

LAVYRLE SPENCER

KOLIBEREK

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Kiedy pociąg o dziewiątej pięćdziesiąt wjeżdżał na stację w Stuart's Junction, zawsze gromadził się tłum, ciągle bowiem była to nowość, na którą całe miasto wyczekiwało co dzień. Bosonogie dzieci czekały przykucnięte niby przepiórki w trawach i ostnicach na skraju miasta, dopóki głośny syk potwora nie kazał im rzucić się biegiem ćwierć mili w stronę stacji. Brnie Turner, miejscowy pijaczek, także wychodził codziennie na spotkanie pociągu. Wytaczał się chwiejnie z baru i, wstrząsany czkawką, zasiadał na ławce przy stacyjnym ganeczku, gdzie zapadał w drzemkę. Dopiero po przyjeździe popołudniowego pociągu wyruszał na wieczorną sesję w barze. Kowal Spud Swedeen odkładał swój ciężki młot, porzucał miechy i stawał w otwartych drzwiach kuźni, krzyżując wysmarowane na czarno ręce na jeszcze czarniejszym fartuchu. A kiedy milkły odgłosy młota w kuźni Spuda, wszyscy w Stuart's Junction w Colorado nastawiali uszu. Właściciele sklepów wzdłuż niedługiej ulicy Frontowej wychodzili na wypalone słońcem deski chodnika.

Ten poranek na początku czerwca 1879 roku nie różnił się od innych. Kiedy umilkło stukanie w kuźni Spuda, opróżniło się krzesło u balwierza, urzędnicy bankowi porzucili kasy, szale wagi w urzędzie probierczym kołysały się bez obciążenia, a wszyscy wylegli na dwór, zwracając głowy na północny wschód, by obserwować przyjazd pociągu o dziewiątej pięćdziesiąt.

Ale pociąg o dziewiątej pięćdziesiąt nie przyjechał.

Wkrótce wiele rąk sięgnęło nerwowo po łańcuszki zegarków, wyciągnięto chronometry, otwierano ich pokrywki i zatrzaskiwano, wymieniając przy tym pełne powątpiewania spojrzenia. W końcu miejsce szeptanych domysłów zajęło zdenerwowanie i właściciele po kolei powrócili do swoich sklepów, jedynie od czasu do czasu wyglądali [przez](#) okna, zastanawiając się nad spóźnieniem pociągu.

Czas włókł się powoli. Wszyscy nasłuchiwali jękliwego gwizdu, który jakoś się nie rozlegał. Minęła godzina i w Stuart's Junction zapadła pełna uszanowania cisza, jakby ktoś umarł.

O jedenastej zero sześć uniosły się wszystkie głowy. Najpierw jeden, potem drugi kupiec wyszedł na próg swego sklepu, gdy orzeźwiający letni wietrzyk przywiał odgłos parowego gwizdka.

- Jedzie! Ale coś za szybko!

- Jeżeli prowadzi Tuck Holloway, to ani chybi chce minąć stację. Odsuńcie się, bo może wyskoczyć z szyn.

Ukazał się spychacz przed lokomotywą w kłębach pary i kurzu, a z otwartego okna kabiny machała czerwona ręka. Był to Tuck Holloway. ale jego słowa zagłuszył brzęk metalu i syk pary, kiedy rozpędzony parowóz minął stację i zatrzymał się sto metrów dalej i jakimś cudem nie wyskoczył z szyn. Jednak ochrypli głos Tucka i tak nie przebiłby się przez jazgot cizby ludzi na peronie. W tym momencie wszystkie głowy odwróciły się, a języki zamilkły, rozległ się bowiem pojedynczy strzał; Max Smith, nowo mianowany zawiadowca stacji, stał z dymiącym pistoletem w dłoni.

Ciszę przerwał podniesiony głos Tucka:

- Gdzie Doc Dougherty? Lepiej go sprowadźcie jak najszybciej, bo dwadzieścia mil stąd na północ był napad na pociąg i mamy dwóch rannych. Jeden jest ciężko postrzelony, nie ma kwestii.

- Kim są ranni? - Spytał Max.

- Nie miałem czasu pytać o nazwiska. Nie znam żadnego. Jeden próbował obrabować mój pociąg, a ten drugi go powstrzymał. Ale został przy tym ranny. Potrzebuję kilku mężczyzn, żeby ich wyładować.

W ciągu kilku minut z głębi pociągu podano dwa bezwładne ciała wprosi w ramiona kasjera bankowego, stajennego, mierniczego i kowala.

- Niech ktoś sprowadzi wóz!

Złożono nieruchome ciała na bryczkę, a tymczasem zza budynku baru ukazał się zadyszany i zasmarkany doktor Cleveland Dougherty; ciężka czarna torba uderzała go w tłuste łydki, kiedy próbował przyśpieszyć kroku. Chwilę później klęczał nad pierwszym nieznanym, który miał kredowobiałą twarz wyrażającą nienaturalny spokój.

- Żyje - stwierdził. - Ledwie. - Zbadał drugiego rannego - O tym nic nie mogę powiedzieć. Zawieźcie ich do mnie, szybko! Spud, masz omijać każdy kamień i każdą dziurę na drodze!

Ktokolwiek przybył tego dnia do miasteczka, zwlekał z odjazdem. W barze był taki ruch jak w przydrożnym zajeździe. W stajni Gem Perkins miał za mało boksów dla koni. W hallu hotelowym podłoga przy spluwaczkach została dokładnie opluta na długo przed nadejściem popołudnia, a tymczasem mieszkańcy miasteczka zgromadzili się pod bukiem we frontowym ogródku doktora i wpatrywali się w drzwi. Czekali, tak jak przedtem oczekiwali przybycia pociągu o dziewiątej pięćdziesiąt. Czekali, by dowiedzieć się o losie tych dwóch, którzy przyjechali pociągiem w pozycji leżącej.

Panna Abigail McKenzie westchnęła, a westchnienie to podniosło do góry piersi pod

plisowanym przodem jej wiktoriańskiej bluzki. Przejechała paluszkami wzdłuż obszytego koronką wysokiego kołnierzyka, oddzielając go od lepkiej skóry. Odwróciła się trochę w lewo, jej niebieskie oczy zerknęły w zwierciadło, wierzchem dłoni dotknęła podbródka, sprawdzając jędrność skóry.

- Owszem, skóra jeszcze jest jędrna, jeszcze młoda - pocieszała się panna Abigail.

Następnie zdecydowanym ruchem wyjęła dużą szpilkę ozdobioną filigranem z kapelusza obramowanego stokrotkami, starannie nałożyła go na gładko zaczesane do tyłu brązowe włosy i przypięła szpilkę. Wzięła nieskazitelnie białe rękawiczki z półki olbrzymiego wieszaka, który przypominał tron, z lustrem na oparciu; otwory w bocznych ramionach były przeznaczone na parasole i laski.

Panna Abigail przez chwilę zastanawiała się nad rękawiczkami, wyjrzała przez obite siatką ochronne drzwi na zewnątrz, gdzie upalne powietrze zdawało się falować, odłożyła rękawiczki, zawahała się, po czym zdecydowanie znowu je wzięła i zaczęła wkładać na szczupłe dłonie. Upał nie usprawiedliwia wychodzenia na miasto w nieodpowiednim stroju - skarciła samą siebie.

Przeszła na tył domu, raz jeszcze sprawdziła zasłony na wszystkich południowych oknach, upewniając się, że dobrze chronią przed ostrymi promieniami słońca. Rozejrzała się po kuchni, ale nic tu nie wymagało przestawienia, odłożenia czy poprawienia. Dom utrzymywała w równie nienagannym porządku jak swoje ubrania. Wszystko w życiu panny Abigail McKenzie było absolutnie uporządkowane, dokładne i poprawne.

Znowu westchnęła, przeszła z kuchni przez jadalnię do frontowego pokoju i wyszła na ganek. Jednak gwałtownie zawróciła, żeby sprawdzić zasuwkę przy drzwiach z przesadnym zaaferowaniem, typowym dla osób wymyślających sobie zmartwienia, których nie dostarcza im życie.

Nie ma sensu wystawiać na niebezpieczeństwo pięknej owalnej szyby - powiedziała głośno w stronę drzwi. Ta szyba była jej dumą i radością. Upewniwszy się, że drzwi nie trzasną, wyszła ponownie, zamknęła przy tym siatkowe drzwi ochronne tak delikatnie, jakby miała do czynienia z żywą istotą. Idąc ścieżką, kiwała na powitanie głową zadbanym różom na palikach.

Szła wyprostowana, z podbródkiem równoległe do ziemi, jak przystało na przyzwoitą damę. Nikt nie powie, że panna Abigail szła kiedykolwiek przez miasteczko przygarbiona, z pochyloną głową, wymachując rękami. Przenigdy! W każdej sytuacji zachowywała właściwą postawę. Wygodne buciki ledwie ukazywały się spod spódnic, nigdy bowiem się nie śpieszyła pośpiech był tak pozbawiony dostojności.

Umysł panny Abigail zaprzętały niezbyt przyjemne myśli. Cel wyprawy nie sprawiał jej zbytniej radości. A jednak, obserwując, jak kroczy wzdłuż ulicy frontowej, nikt nie zgadłby, że panna Abigail McKenzie ma jakiegokolwiek kłopoty. To byłoby nie do pomyślenia.

Kiedy mijala domy i podwórza, wzrok jej przykuła niezwykła scena. Na trawniku doktora Dougherty kłębił się tłum, a po drugiej stronie ulicy obfite spódnice kobiet przysłaniały ławki na chodniku, na poręczach przycupnęli mężczyźni, dzieci tłoczyły się w kurzu, a konie czekały przywiązane do słupków.

Nie ulegało wątpliwości, że panna Abigail potrafi trzymać się z dala od spraw innych ludzi. Na widok zgromadzenia skręciła w lewo, przeszła na ulicę Główną i, idąc tą opustoszałą arterią, kontynuowała wędrówkę po mieście. W ten sposób ominęło pannę Abigail ponure prawdopodobnie widowisko w ogrodzie doktora Dougherty. Ten rodzaj widowisk przyciąga szumowiny, a ona z pewnością się do nich nie zaliczy!

Panna Abigail uważała, że to, co ją czeka, jest niewątpliwie godne ubolewania. Nie chodziło, broń Boże, o sam lokal Louisa Culpeppera. Prowadził przyzwoitą i porządną jadłodajnię - musiała to przyznać. Ale podawanie do stołu to już naprawdę ostatnia deska ratunku, naprawdę ostatnia! Gdyby miała możliwość wyboru, byłoby to ostatnie zajęcie, na jakie by się zdecydowała. Ale panna Abigail nie miała wyboru. Albo lokal Louisa Culpeppera, albo głód. A na to, by umrzeć z głodu, panna Abigail była zbyt uparta.

Stukając płaskimi obcasami wygodnych czarnych butów, weszła do wnętrza, nad którym widniał szyld CRITERION - NAJLEPSZE JEDZENIE I NAPOJE, WŁASNOŚĆ LOUISA CULPEPPERA. Starannie zamknęła drzwi, przesunęła dłonią po gorsie bluzki, upewniając się, że jest przyzwoicie wpuszczona do spódnicy, po czym rozejrzała się i znowu wydała westchnienie. Jadłodajnia sprawiała wrażenie opustoszałej. Unosił się w niej zapach wczorajszej kapusty, nic jednak nie wskazywało na przygotowywanie mięsa dla wieczornych gości, którzy wkrótce powinni nadejść. Można by przypuszczać, że Louis Culpepper jest trochę lepiej zorganizowany!

- Halo! - zawołała, przekrzywiając głowę i nasłuchując. Gdzieś z zaplecza doszedł cichutki, metaliczny dźwięk. Poszła w kierunku kuchni. Gorący wiatr wpadający przez otwarte drzwi kuchenne, poruszał garnki zawieszony nad płytą. Lokal był pusty.

- Coś podobnego! - wykrzyknęła panna Abigail do nie istniejących słuchaczy, po czym rozejrzała się wokół i raz jeszcze powtórzyła: - Coś podobnego!

Minęło kilka tygodni, zanim zdecydowała się na rozmowę z Louistem. Fakt, że zastała pustą restaurację, był wysoce deprymujący. Panna Abigail, poirytowana tak nieoczekiwanym rojem wydarzeń, wytarła jednym palcem w nieskalanej rękawic, zabłąkaną kropelkę potu z

czoła. Obejrzała rękawiczkę, a stwierdziwszy, że zwilgotniała od jej własnego potu, nabrała pewności, że nie zdobędzie się, by przyjść tu po raz drugi. Musi zaraz, jeszcze dzisiaj, odnaleźć Louisa!

Poprawiła dobrze włożony kapelusz, ponownie wyszła na ulicę Główną i pierwszą przecznicą przeszła na Frontową, przy której, dwie przecznice dalej, mieszkał Doc Dougherty. Kiedy wyszła zza rogu ulicy, znalazła się w tłumie wypełniającym ogród doktora. Sam Doc stał pod bukiem z podwiniętymi rękawami koszuli i przemawiał głośno, żeby wszyscy mogli usłyszeć:

- ...stracił dużo krwi, musiałem zrobić operację, żeby wyczyścić i zamknąć ranę. Jeszcze za wcześnie na stwierdzenie, czy się z tego wylize. Więcie jednak doskonale, że jest moim obowiązkiem zrobić wszystko, by utrzymać go przy życiu, bez względu na to, jaki czyn popełnił.

Wśród zgromadzonych mieszkańców miasta rozszedł się szmer, a panna Abigail rozglądała się z nadzieją, że znajdzie Louisa Culpeppera. Zobaczywszy chłopca, który był jej sąsiadem, wyszeptała:

- Dzień dobry, Robercie.

- Dobry, panno Abigail.

- Robercie, czy widziałeś pana Culpeppera?

Chłopiec wyciągał szyję i nadstawiał uszu, by usłyszeć doktora Dougherty, wymamrotał więc niewyraźnie:

- Ummm.

- O czym mówi doktor Dougherty?

- Nie wiem dokładnie. Jacyś obcy postrzelali się w pociągu.

Panna Abigail doznała ulgi, że sprawa nie dotyczy nikogo z miejscowych, doszła jednak do wniosku, że musi porzucić myśl o załatwieniu swojego problemu, dopóki zbiegowisko się nie rozejdzie, skupiła więc uwagę na słowach doktora.

- Ten drugi nie jest w bardzo złym sianie, ale przez kilka dni nie będzie mógł się ruszać. Z dwoma rannymi będę miał pełne ręce roboty. Wiecie, że Genie pojechała na wesele kuzynki do Fairplay, zostałem więc bez pomocy. Wielu z was na pewno będzie potrzebowało moich usług, a nie mogę przecież być w kilku miejscach naraz. Jeśli więc znalazłby się ktoś, kto na ochotnika udzieliłby mi pomocy przy tych dwóch, byłbym bardzo zobowiązany.

Gdzieś w tłumie odezwała się kobieta, a jej wypowiedź wyrażała myśli większości;

- Chciałabym wiedzieć, dlaczego niby mamy się, czuć zobowiązani do opiekowania się jakimś bandytą, który robił wszystko, żeby nas skrzywdzić! Chciał okraść nasz pociąg i

postrzelił tego niewinnego młodzieńca. A co by było, gdyby postrzelił Tucka?

Doc podniósł rękę, by uciszyć pomruk aprobaty.

- Chwileczkę! Mam tu dwóch mężczyzn i nie ulega wątpliwości, że jeden postąpił źle, a drugi dobrze, ale obydwaj potrzebują pomocy. Czy chcielibyście, żebym zajął się tym lżej rannym, a zaniedbał tego, który i tak już ledwie dycha?

Niektórzy z zebranych w tym momencie opuścili oczy, ale większość nie zmieniła zdania.

Doc mówił dalej, skoro udało mu się obudzić w słuchaczach poczucie winy.

- Człowiek może sam zrobić tylko tyle, ile może. Potrzebuję pomocy i wam pozostawiam znalezienie jej. To nie jest tylko mój problem - jest to sprawa również wasza. Wszyscy chcieliśmy, żeby Kolej Gór Skalistych przeprowadziła boczną linię przez nasze miasto, prawda? I dostaliśmy ją! Oczywiście, zależało nam jedynie na tym, żeby wywoziła nasz kwarc, miedź i srebro, a przywoziła dla nas różne urządzenia ze wschodu. Teraz, kiedy przywiozła nam także trochę kłopotów, to już nam tak bardzo nie zależy na tym, żeby ponieść koszty, prawda?

Nadal jednak nie zgłaszał się żaden ochotnik.

Prawdziwość słów doktora nie ulegała wątpliwości. Linia kolejowa przynosiła wszystkim korzyści. Bocznica biegnąca przez ukryte w górach miasteczko Stuart's Junction otwierała drogę i na zachód, i na wschód, poprawiała sytuację handlową miasta i dawała pewną przyszłość, która przed położeniem torów kolejowych nie przedstawiała się najlepiej.

Jednak mieszkańcy postanowili teraz zapomnieć o tym wszystkim, pozwalając, by Doc Dougherty bezskutecznie dobijał się o pomoc. Z niewytłumaczalnych powodów pannę Abigail rozłościła taka egoistyczna postawa.

- Każdemu, kto mi pomoże, mogę zapłacić tyle samo, ile płacę Gertie - zaoferował Doc pełen nadziei.

Panna Abigail rozejrzała się wokół. Wydęła usta.

- Doc, niech pan posłucha! - wykrzyknął ktoś z tłumu. - Gertie jest jedyną pielęgniarką, jaką widziało to miasto, i pewnie jedyną, jaką kiedykolwiek zobaczy. Nie znajdzie pan nikogo, kto mógłby zająć jej miejsce.

- Może nie znajdę nikogo o takich kwalifikacjach jak Gertie, ale każdy chętny ma dla mnie wystarczające kwalifikacje. I co wy na to?

Na górnej wardze panny Abigail pojawiły się kropelki potu. To, co zamierzała, było zbyt nagle, zbyt niezwykle, ale nie miała czasu na rozmyślanie. I w dodatku te miny wszystkich, tak zadowolonych z siebie, doprowadzały ją do wściekłości! Pomysł opiekania

się dwoma rannymi w zaciszu własnego domu wydawał się znacznie lepszy, niż donoszenie im codziennie gulaszu i zupy do domu doktora. Co więcej, panna Abigail była niemal równie wykwalifikowana jak Gertie Burtson. Pod wysokim, czystym kołnierzykiem puls jej uderzał trochę szybciej, trzymała jednak jak zwykle uniesiony podbródek, kiedy wystąpiła z tłumu, wyciszając własne wątpliwości, za to przycierając nosa wszystkim zebranych.

- Sadze, doktorze Dougherty, że będę się nadawała - oświadczyła, jak przystało na damę. Ponieważ jednak dama nie krzyczy, Doc jej nie dosłyszał. Ludzie nie wierzyli własnym oczom, kiedy panna Abigail podniosła nieskazitelnie białą rękawiczkę.

- Panno Abigail, czy dobrze słyszę? - zawołał doktor, a w tłumie zapanowała dziwna cisza.

- Tak, doktorze Dougherty. Chciałabym zgłosić się jako ochotniczka.

Zanim doktor zdążył zapanować nad swoją reakcją, uniósł brwi, przejechał ręką po łysiejącej głowie i wykrzyknął:

- Niech mnie diabli!

Panna Abigail, przepraszając mijane osoby, podeszła do doktora. Tłum rozstępował się przed nią jak Morze Czerwone przed Mojżeszem, kroczyła jak zawsze z właściwym sobie dostojeństwem i dumnie uniesionym podbródkiem. Na jej widok mężczyźni podnosili ręce, by uchylić kapeluszy, choć byli z gołymi głowami.

- Dzień dobry, panno Abigail!

- Halo, panno Abigail!

Kobiety pozdrawiały ją milczącym skinieniem głowy, zniechęcone jej chłodem, kiedy tak sunęła w stronę doktora swoim zwykłym, nienagannym krokiem rasowej istoty, podczas gdy one same wachlowaniem broniły się przed upałem czy podnosiły do góry ręce, by przewietrzyć spocone pachy. Wystarczyło, że panna Abigail przeszła obok, i tylko tym potrafiła sprawić, że czuły się pospolite i grube, a co gorsza podłe, z powodu tak upartego odmawiania pomocy.

- Panno Abigail, proszę wejść do środka - zaprosił doktor i głośniejszym głosem zwrócił się do tłumu: - Możecie równie dobrze iść już do domów. Gdyby zaszła jakaś zmiana, powiadomię Maxa na stacji. - Potem wziął pannę Abigail ceremonialnie pod rękę i wprowadził do domu.

Doktor był wdowcem, a jego dom stanowił zbiorowisko rupieci, gromadzonych przez lata i nigdy nie wyrzucanych. Duży frontowy pokój wyglądał tak, jakby nabałaganiło w nim złośliwe dziecko w odwecie za klapsy, tyle że porzucane przedmioty należały oczywiście do osoby dorosłej. Doc Dougherty zrzucił z fotela stertę gazet i czasopism, odkopał parę zniszczonych kapci i powiedział:

- Proszę usiąść, panno Abigail, proszę usiąść.

- Dziękuję - odparła i zasiadła na opróżnionym miejscu, jakby było to podium w sali tronowej.

Panna Abigail sprawiała wprawdzie wrażenie, że nagromadzone wokół śmieci nie naruszają w niczym jej wyniosłej postawy, jednak doskonale wszystko zauważała. Stary Doc Dougherty miał jak najlepsze intencje, ale od śmierci jego żony Emmy w domu zapanował nieporządek. Doc pracował w absurdalnych godzinach, o każdej porze dnia i nocy pędził na wezwanie, zostawiając sobie niewiele czasu na takie subtelności jak sprzątanie. Gertie Burtson została zaangażowana jako pielęgniarka, nie gosposia. Wygląd pokoju świadczył o tym aż nadto wyraźnie.

Doc Dougherty przysiadł na oparciu starej powybrzuszanej sofy z końskiego włosia, wyprostował swoje starcze guzowate kolana i przykrył je starczymi, pełnymi guzów dłońmi. Kiedy dotknął pośladkiem zbyt wypchanej poręczy sofy, panna Abigail zobaczyła unoszący się z końskiego włosia tuman kurzu, który otoczył doktora niby aureola. Doc przez chwilę wpatrywał się w podłogę, zanim się odezwał.

- Panno Abigail, doceniam pani propozycję. - Nie bardzo wiedział, jak to powiedzieć.

- Ale widzi pani, zupełnie się nie spodziewałem, że to pani wystąpi jako wolontariuszka. Chyba jest to zajęcie nie bardzo dla pani odpowiednie.

Pannę Abigail ogarnęła irytacja. Zapytała zgryźliwie:

- Doktorze Dougherty, czy odmawia pan przyjęcia mojej pomocy?

- Ja... nic chciałbym powiedzieć, że odmawiam. Proszę, żeby się pani zastanowiła, w co się pakuje.

- Sądzę, że już to zrobiłam. Dlatego zaproponowałam swoją pomoc. Jeśli istnieje jakiś niewytłumaczalny powód, dla którego nie powinnam tego robić, to obydwójce tracimy czas. - Kiedyś panna Abigail czuła się dotknięta, jej głos stawał się rzeczowy, robiła się też niesłychanie wymowna. Podniosła się i starannie obciągała rękawiczki, patrząc na swoje dłonie.

Doktor szybko posadzi! ja z powrotem, a towarzyszyła temu chmura kurzu. Panna Abigail spojrzała na niego spod runda kapelusza, usatysfakcjonowana, że zorientował się, iż poczuła się dotknięta. Dobrą porę wybrał na grymasy!

- Proszę poczekać, niechże się pani nie unosi.

- Unosi, doktorze? Z pewnością nie określiłabym w ten sposób swojego zachowania. - Zmarszczyła brwi i przekrzywiła główkę.

Doc Dougherty stał nad nią wpatrując się w podniesioną twarzączkę pod

wykruchmalonym kapelusikiem ze stokrotkami.

- Słusznie, panno Abigail, wątpię, czy uniosła się pani kiedykolwiek. Usiłuję jedynie pani uzmysłwić, że jeśli zgodzę się na to, by pielęgnowała pani tych dwóch, dopiero wtedy może się pani unieść.

- Doktorze, może zechce mi pan łaskawie wyjaśnić, z jakiej przyczyny.

- No, prawda jest taka, że... no, jest pani... niewinną damą.

Zdanie to odbiło się okrutnym echem w trzydziestotrzyletniej główce panny Abigail McKenzie, a także w jej szybko bijącym, samotnym serduszku.

- Niewinna damą? - powtórzyła, zaciskając mocniej wargi.

- Właśnie, panno Abigail.

- A jaki związek ma fakt, że jestem... niewinną damą, jak pan to uprzejmie określił, z możliwością udzielenia panu pomocy?

- Musi pani zrozumieć, że spodziewałem się zamężnej ochotniczki.

- Dlaczego?

Doktor Dougherty odwrócił się i zaczął chodzić po pokoju, szukając sposobu delikatnego wyrażenia swoich myśli. Chrząknął.

- Będzie pani oglądała takie części anatomii tych mężczyzn, jakich z pewnością wolałaby pani nie oglądać, i będzie pani musiała wypełniać posługi, które - ujmując to najdelikatniej - są nie do przyjęcia dla kobiety o pani... - W tym miejscu słowa go zawiodły. Nie chciał wprawiać jej w większe zażenowanie.

Panna Abigail dokończyła zdanie za niego.

- Wyjątkowej wrażliwości, doktorze? - I, śmiejąc się trochę sztucznie, zapytała: - Czy miał pan zamiar rozwodzić się nad tym, że jestem damą o wielkiej wrażliwości?

- Owszem, można to tak określić. - Raz jeszcze zwrócił się twarzą do niej.

- Czy zapomina pan, doktorze, o tych wszystkich latach, kiedy pielęgnowałam chorego ojca?

- Nie, panno Abigail, nie zapominam. Ale to był ojciec, nie jakiś nieznajomy z raną postrzałową.

- Coś podobnego, panie Dougherty - powiedziała, robiąc wrażenie, że rzuca te słowa ot tak sobie, podczas gdy w rzeczywistości były starannie przemyślane, łącznie z tym, iż zwróciła się do niego „pan”, nie „doktor”. - Proszę mi podać jeden przekonujący powód, dlaczego nie powinnam pielęgnować tych dwu dżentelmenów.

Wyrzucił ręce do góry gestem rezygnacji.

- Dżentelmenów! Skąd pani wie, że to dżentelmeni? A jeśli nie? Co pani robi, kiedy

się okaże, że jestem gdzieś o wiele mil stąd, a pani akurat będzie mnie potrzebowała? Jeden z tych „dżentelmenów” właśnie usiłował obrabować pociąg, a to, że jestem gotów go leczyć, nie oznacza, że mu ufam. A gdyby chciał panią obezwładnić i uciec?

- Przed chwilą radził mi pan, żebym się nie unosiła. Czy mogę teraz udzielić panu tej samej rady, doktorze? Pan podnosi głos.

- Przepraszam, panno Abigail. Chyba to prawda. Ale muszę uświadomić pani ryzyko, jakie pani podejmuje.

- A więc spełnił pan swoją powinność, doktorze Dougherty. Ale skoro pana prośba o pomoc nie sprowadziła tu rzeszy ochotników, chyba nie ma pan innego wyboru jak zaakceptować moją propozycję.

Doktor wpatrywał się w wydeptany dywan, kręcił głową i zastanawiał się, co by na to powiedział ojciec panny Abigail. Abbie zawsze była jego oczkiem w głowie.

Panna Abigail spojrzała na Doca Dougherty. Siedziała prosto i przykładowie na starym zniszczonym fotelu. Nieodwołalnie podjęła decyzję.

- Jestem wytrzymała, mam dużo zdrowego rozsądku i niemal puste konto w banku - oświadczyła - A pan ma dwóch rannych, którymi trzeba się zająć; Przypuszczam, że żaden z nich nie jest tak silny, by zrobić mi krzywdę czy uciec. Może więc będziemy kontynuować?

Wiedziała, że odniosła zwycięstwo, wspominając o koncie bankowym.

- Ma pani dar przekonywania, panno Abigail, a ja nic mam wyjścia, to jest pewne. Ale wie pani, że nie mogę dużo zapłacić. Nic więcej niż trzydzieści dolarów na tydzień. Tyle płacę Gertie.

- Trzydzieści dolarów zupełnie wystarczy. O, jeszcze jedno - powiedziała, siadając na brzegu fotela.

- Tak?

- Gdzie pan zamierza umieścić pacjentów, kiedy oprzytomnieją jutro rano?

Panna Abigail nie rozglądała się natrętnie po pokoju, ale nie musiała tego robić, bo Doc i tak wiedział, że pomieszczenie to nie odpowiada jej wyobrażeniom o szpitalu. Nic miał żadnych złudzeń co do stanu swego domu. W najlepszym razie to, co widzieli teraz ze swego znakomitego punktu obserwacyjnego, można by określić jako nieopisany bałagan. Oboje wiedzieli, na co by się natknęła, gdyby próbowała zapuścić się na górę czy gorzej jeszcze - do kuchni. Oboje wiedzieli również, że przywiązywała wielką wagę do czystości. Kiedy więc Doc przestał w końcu toczyć wzrokiem po frontowym pokoju, miał pełną świadomość wszystkich niedociągnięć tego miejsca.

- Chyba nie będziemy mogli położyć ich na górze? - spytał bez większej nadziei.

- Nie sędę, by było to najdogodniejsze miejsce. Proponuję przenieść ich do mojego domu, kiedy tylko uzna pan to za możliwe. Będzie mi znacznie łatwiej zajmować się nimi, mając do dyspozycji własną kuchnię.

- Ma pani rację - przyznał doktor, a panna Abigail wstała gwałtownym ruchem.

- Czy mogę teraz zobaczyć naszych pacjentów?

- Oczywiście. Jeden leży na stole w gabinecie, a drugi na sofie w poczekalni, ale na razie obydwaj są nieprzytomni. Wystarczy, jeśli zajmie się pani nimi od jutra.

Przeszli do poczekalni doktora Dougherty, gdzie panował tylko odrobinę większy porządek niż w saloniku. Na zapadniętej sofie pod potrójnym oknem leżał nieruchomy mężczyzna. Miał na sobie garnitur, marynarka i kamizelka były rozpięte. Z nogawki spodni wystawała jedna stopa w brązowej skarpetce, palec drugiej stopy, spoczywającej na poduszce, były zabandażowane, pięta odkryta. Twarz pozostająca w uśpieniu miała przyjemny wyraz. Ciemne włosy, niezbyt określonego koloru, spadały z czoła chłopciami falami. Miał płaskie uszy i czyste paznokcie. A to wystarczyło pannie Abigail.

- Czy to ten, który obrabował pociąg?

- Nie, rabusiem jest tamten drugi. Ten nazywa się Melcher i podobno przeszkodził kradzieży. Tuck twierdzi, że dostał zabłąkaną kulą z broni tamtego. - Doc wskazał głową w stronę gabinetu. - Musiało dojść do jakiejś bójki z udziałem kilku pasażerów, bo kiedy Tuck zdążył zatrzymać pociąg i poszedł na tyły sprawdzić, co się dzieje, wszyscy opowiadali zupełnie inne historie, a ci dwaj leżeli skrwawieni na podłodze. Jedna z kul dokładnie odstrzeliła duży palec u prawej nogi Melchera.

- Duży palec! - wykrzyknęła panna Abigail, przyciskając do ust dłoń, by ukryć uśmiech.

- Mogło być gorzej, gdyby strzał poszedł wyżej. Ale z drugiej strony, skończyłoby się niemal na niczym, gdyby miał na sobie sensowne buty, zamiast tych miejskich pantofli.

Panna Abigail podążyła wzrokiem za ręką doktora, który wskazywał na stojący na podłodze jeden brązowy but z miękkiej, eleganckiej skóry.

- Drugi musiałem rozciąć - poinformował Doc. - Zresztą i tak był do niczego z odstrzelonym przodem.

Panna Abigail nie mogła się powstrzymać od uśmiechu. Przede wszystkim rozbawiło ją to, że Doc zachował pojedynczy but, który bez swego towarzysza był całkiem bezużyteczny, a poza tym absurdalność sytuacji, w której pierwszy bohater miasta ratuje pociąg, dając sobie odstrzelić duży palec!

- Panno Abigail, czy znajduje pani w tym coś śmiesznego? - Natychmiast się

opanowała, zażenowana, iż przyłapano ją na płochości kosztem tego nieszczęśnika.

- Nie, nie... proszę mi wybaczyć, doktorze. Proszę mi powiedzieć, czy utrata palca to poważna rana. To znaczy, czy jego życiu zagraża niebezpieczeństwo.

- Nie, mało prawdopodobne. Palec odstrzelono bezbłędnie, a kula przeszła przez but, nie zostawiając w ciele żadnych okrawków skóry czy prochu. Melcher znajdował się w stanie silnego szoku i stracił dużo krwi, uspiłem go i pozszywałem, ale szybko dojdzie do siebie. Kiedy się obudzi, ten palec będzie mu dokuczał jak sukin... - Wydało się, że doktor nagle uświadomił sobie, do kogo mówi. - Och, proszę mi wybaczyć, panno Abigail. Zapomniałem się.

Panna Abigail oblała się rumieńcem i wyjąkała:

- Ja... z pewnością bardzo współczuje biednemu panu Melcherowi.

- No tak... Doktor Dougherty chrząknął. - Pan Melcher będzie niewątpliwie do końca życia utykał, ale nic więcej. Będziemy przez kilka dni układać tę nogę wyżej i bandażować, dam pani odpowiednią masę. Ale szwy zagoi głównie czas i powietrze. Ma pani rację, panu Melcherowi przyda się przede wszystkim dużo staroświeckiego współczucia.

- To tyle o szkodach u tego. A co z tamtym? - spytała panna Abigail, zadowolona, że znowu panuje nad sobą.

Doktor zwrócił się w stronę gabinetu, postąpił krok czy dwa do przodu.

- Obawiam się, że ta druga kula wyrządziła więcej szkód. Ten łobuz będzie z pewnością przeklinał dzień, w którym wsiadł do pociągu Kolei Gór Skalistych,, jeśli w ogóle dożyje takiej chwili.

Stanęli na progu i panna Abigail weszła pierwsza do kremowych głębi gabinetu, Tutaj nareszcie panowała czystość, ale panna Abigail nie poświęciła temu najmniejszej uwagi. Wzrok jej przyciągnął prostokątny stół, na którym pod prześcieradłem leżała nieruchoma postać. Stół stał na wprost drzwi, widać więc było jedynie podeszwę lewej stopy bardzo dużej lewej stopy, pomyślała panna Abigail - i prześcieradło okrywające ugiętą w kolanie prawą nogę.

- Ten ma szczęście, że żyje. Stracił mnóstwo krwi od postrzału, a jeszcze więcej podczas czyszczenia rany. Byłoby lepiej dla niego, gdyby kula została w ciele. Ale wyszła z drugiej strony i wyrwała dziurę dwadzieścia razy większą niż w miejscu wlotu. I nieźle wszystko poszarpała po drodze.

- Czy on umrze? - wyszeptwała panna Abigail, patrząc na tę olbrzymią stopę, która przyprawiała ją o wewnętrzne dreszcze. Nigdy dotychczas nie widziała gołej stopy żadnego mężczyzny prócz własnego ojca.

- Nie ma potrzeby mówić szeptem. On nic nie słyszy i jeśli się nie mylę, tak będzie przez jakiś czas. A co do tego czy biedny sk... czy nieszczęsny głupiec umrze, jeszcze nie mogę powiedzieć. Wygląda na to, że zanim się to stało, był zdrow jak byk. - Doktor Dougherty wszedł do gabinetu dalej niż panna Abigail i stał teraz, obok mężczyzny na stole operacyjnym. - Niech pani podejdzie i spojrzysz na niego.

Panna Abigail odczuła niespodziewany wewnętrzny opór, zbliżyła się jednak na tyle, by zobaczyć tors okryty prześcieradłem do wysokości pach. Widać było tylko ciemne, gęste włosy, szerokie, opalone bary i dół ciemnej, szczupłej twarzy z diabelskimi wąsami. Z miejsca, na którym stała, nie mogła widzieć rysów twarzy powyżej wąsów, jedynie nozdrza w kształcie połowy serca i dolną wargę, która nagle drgnęła. Na brodzie widoczny był zaledwie cień jednodniowego zarostu i panna Abigail nagle pomyślała, że jak na kolejowego złodzieja, mężczyzna jest wyjątkowo zadbany, jeśli czysta stopa i ślady niedawnego golenia mogą o czymś świadczyć.

Prześcieradło okrywało go od bicepsów aż po kostki, nie można więc było stwierdzić, w jakie miejsce jest ranny ani jak poważna jest rana. Wyglądał, jakby położył się na krótką drzemkę, z jednym kolaniem podkurczonym przypadkowo w trakcie pogodnego snu.

- Dostał postrzał w pachwinę - powiedział Doc, a panna Abigail nagle zbladła i poczuła skurcze w żołądku.

- W... w... - zaczęła dukać i zamilkła.

- No, niezupełnie, ale bardzo blisko. Czy nadal chce pani tę pracę?

Nie była pewna. Gorączkowo myślała o tym, jak wszyscy w mieście usłyszą, z jakiego powodu zmieniła zdanie. Zastanawiała się, jak to się dzieje, że człowiek tak kończy życie. Bez względu na to, czy dalej chciała go pielęgnować, czy nie, żal jej się zrobiło nieprzytomnego człowieka.

- Bandyta kolejowy może się spodziewać smutnego końca, ale nikomu nie powinno się przydarzać coś podobnego.

- Tak, panno Abigail. Nie jest to przyjemny widok, ale mogłoby być gorzej. Kilka cali różnicy i straciłby... no, mógłby nie żyć.

Panna Abigail znowu oblała się rumieńcem, patrzyła jednak rezolutnie na doktora Dougherty. Nikt prócz niej nie zaoferował pomocy. Nawet nieprzytomny złodziej kolejowy zasługuje na ludzkie względy.

- Doskonale rozumiem, doktorze, na czym mógłby polegać problem tego człowieka, ale czy nie sądzi pan, że nawet bandyta zasługuje na nasze współczucie, kiedy znajduje się w takim stanie?

- Panno Abigail, ja mu na pewno współczuje, nawet bardzo. Otoczę go najlepszą opieką, ale muszę panią uprzedzić, że nie mogę czynić cudów. Jeżeli przeżyje, będzie to prawdziwy cud.

- A co ja mam robić, doktorze? - Panna Abigail uznała nagle, że mężczyzna w tym wieku, wyglądał na jakieś trzydzieści pięć lat, jest o wiele za młody, by umierać.

- Jest pani pewna? Absolutnie?

- Proszę mi tylko powiedzieć, co mam robić. - Wyraz, jej oczu, podobnie jak przed laty, kiedy zajęła się pielęgnowaniem ojca, upewnił doktora, że mówi poważnie.

- Musi pani trzymać to kolano podniesione, biodro wyżej, żeby powietrze dostawało się z obu stron. Udało mi się zatamować krwawienie, ale jeśli znowu się zacznie, będzie pani musiała zastosować ałun, żeby próbować je zatrzymać. Proszę utrzymywać ranę w czystości. Powiem pani, jakich środków dezynfekujących należy używać. Nie można dopuścić do zakażenia. Jeśli zobaczy pani najmniejsze oznaki, proszę pędzić do mnie tak szybko jak kot z podpalonym ogonem. Musimy obniżyć mu gorączkę. Niewiele możemy poradzić na ból. Ma leżeć nieruchomo. Proszę próbować skłonić go do jedzenia. Panno Abigail, czy da pani sobie radę?

- Ze wszystkim prócz podpalenia sobie ogona - odparła chłodno, zadziwiając doktora dowcipem. Uśmiechną! się.

- Dobrze, niech więc pani teraz idzie do domu i dobrze się wyśpi, bo będzie to pewnie ostatnia pani spokojna noc. Rano spodziewam się tutaj dużego ruchu i chciałbym się pozbyć tych dwóch, zanim się zacznie. Podejrzewam, że każdy, kto ma choćby źle rosnący włos, zjawi się tutaj jutro rano w nadziei rzucenia okiem na prawdziwego bandytę i prawdziwego bohatera.

- To znaczy, że należę do szczęśliwców, skoro mogłam obejrzeć z bliska ich obydwu.

- W kącikach ust panny Abigail pojawił się przelotny uśmiech.

- Na to wygląda. Jak zdołam pani podziękować?

- Zobaczymy się rano. Wszystko będzie przygotowane na ich przybycie.

- Nie wątpię w to, panno Abigail. Znając panią, nie mam co do tego wątpliwości.

Skierowała się do wyjścia, ale zawróciła od drzwi.

- Jak... jak on się nazywa... ten złodziej?

- Nie wiadomo. Ludzie jego profesji nie noszą biletów wizytowych jak pan Melcher.

- O, no, oczywiście, że nie - odpowiedziała, zawahała się chwilę i dorzuciła: - Ale byłoby straszne, gdyby umarł, a my nie wiedzielibyśmy, kogo o tym zawiadomić. Musi przecież gdzieś mieć kogoś bliskiego.

Doc Dougherty nie miał dotychczas chwili czasu, by się nad tym zastanowić.

- Tylko kobieta obdarzona wyjątkowym sercem potrafi myśleć o czymś takim w podobnej sytuacji.

- Nonsens - odparowała panna Abigail i ruszyła do wyjścia. Ale oczywiście doktor miał rację, bo w drodze do domu jej serce wyprawiało dziwne harce na wspomnienie dużej, gołej stopy, ciemnego, owłosionego torsu i perspektywy zajmowania się raną w pobliżu męskiego...

Panna Abigail McKenzie nie tylko unikała wymawiania podobnego słowa. Nie mogło jej nawet przejść przez myśl!

ROZDZIAŁ DRUGI

Następnego ranka słońce przygrzewało mocniej niż zwykle, kiedy Doc podszedł do gapiów okupujących zapadniętą werandę przy sklepie rolniczym Mitcha Fielda. Gromadzili się tutaj, składali worki, popluwali i żuli tytoń, nigdy jednak nie kupili nic w sklepie nieszczęsnego Mitcha, nawet za centa.

- Który z was, obrzydłych próżniaków, gotów jest mi pomóc? - rzucił wyzwanie Doc.

Roześmieli się rozleniwieni, spojrzeli zmrużonymi oczami na słońce, rozważając, czy oplaca się wysilać po to, by rzucić okiem na tych dwóch w domu doktora. Chudzielec Binley podrapał pomarszczoną brodę tępym krańcem długiego noża i wybąkał:

- Doc, na mnie może pan liczyć.

Teraz Doc się roześmiał. Chudzielec miał słabość do panny Abigail i wiedziało o tym całe miasto. Wyglądał dokładnie tak, jak mówiło przezwisko, ale przy dodatkowej pomocy Mitcha i Setha Cartera udało się przetransportować pacjentów bez przygód.

Panna Abigail czekała na progu domu. Poleciała zanieść Davida Melchera do południowo wschodniej sypialni na górze, a drugiego rannego do sypialni na dole, bo pewnie byłoby niewskazane wnoszenie go po schodach.

Materac okazał się za krótki dla złodzieja, nogi wystawały mu poza poręcz łóżka, a prześcieradło okrywało go jedynie do pasa. Chudzielec i Seth obserwowali twarz panny Abigail, w chwili gdy stanęła na progu i zobaczyła obnażony włochaty tors, ale ledwie spojrziała w stronę rannego, zwróciła się do nich i odprawiła chłodno i bezapelacyjnie:

- Dziękuję, panowie. Na pewno macie pilne zajęcia w sklepie rolniczym.

- Dlaczego... no tak, rzeczywiście, panno Abigail. - Chudzielec uśmiechał się, a Seth tymczasem trącał go łokciem w zębra, zachęcając do wyjścia.

- Nawet jeśli jest ponad czterdzieści stopni ciepła, w pobliżu panny Abigail McKenzie można zamarznąć na śmierć - oświadczył Seth, kiedy znaleźli się na zewnątrz.

- Ale ona coś ma - zachwycił się Chudzielec, poruszając grdyką.

- Całe miasto wie, że może cię okręcić dokoła palca, ale mnie nie oszuka tym swoim słodkim głosikiem. Pod tym cukrem kryje się tylko ocet.

- Naprawdę tak uważasz, Seth?

- No pewnie, nie mam wątpliwości. Popatrz, jak nas wyrzuciła, jakbyśmy się zagnieździli w jej sypialni!

- No tak, ale przyjęła tego złodzieja.

- Zrobiła to dla pieniędzy, jak mówią. A poza tym to pewnie jedyny sposób, żeby

sobie wziąć chłopca do łóżka. Kiedy ten facet oprzytomnieje, będzie żałował, że nie umarł, jak zobaczy, kto się nim zajmuje.

Wielu mieszkańców miasta uważało, podobnie jak Seth, że panna Abigail się wywyższa. Prawda, że zawsze była grzeczna, ale miała taki sposób bycia, jakby czuła się lepsza, i traktowała wszystkich z góry.

Doc dopilnował ułożenia pacjentów, poprosił, by w razie potrzeby wysłała po niego Roba Nelsona, obiecał przyjść wieczorem i oddalił się w towarzystwie Mitcha.

Panna Abigail myślała, że pan Melcher śpi, kiedy podeszła do drzwi jego sypialni, miał bowiem zamknięte oczy i czoło zasłonięte ręką. Wprawdzie przez noc urosła mu broda, ale miał bardzo kształtne usta. Przypominały jej usta dziadka McKenzie, zawsze skore do uśmiechu. Pan Melcher robił wrażenie człowieka przed trzydziestką, choć trudno było ocenić, zwłaszcza że miał zamknięte oczy. Rozejrzawszy się po pokoju, panna Abigail dostrzegła pod stolikiem w pobliżu okna jego walizkę, podeszła więc na palcach, żeby poszukać w niej nocnej koszuli. Kiedy się odwróciła, zobaczyła, że pan Melcher jej się przygląda.

- Ach, nie śpi pan - odezwała się wesoło, trochę zażenowana, że przyłapał ją na grzebaniu w osobistych rzeczach.

- Nie śpię. Pani jest pewno panną McKenzie. Doc Dougherty powiedział, że zgłosiła się pani jako wolontariuszka. To ładnie z pani strony.

- Niezupełnie. Mieszkam sama i mam dużo czasu, którego brakuje doktorowi. - Spojrzała na stopy rannego i zapytała: - Jak się pan czuje dzisiaj?

- Trochę boli - odparł szczerze, a ona natychmiast się zarumieniła i zaczęła poszukiwania nocnej koszuli.

- Zobaczymy, czy uda się nam trochę to uśmierzyć. Ale najpierw chyba powinien pan zdjąć garnitur. Zdaje się, że dobrze by mu zrobiła mączna kąpiel. - Brązowa wełna była pognieciona, a panna Abigail nie miała pewności, w jaki sposób wyzwolić z niej pacjenta.

- Mączna kąpiel?

- Tak, wysypanie czystą mąką, która zbiera kurz i odświeża. Wyczyszczę panu ten garnitur.

Melcher zdjął wprawdzie rękę z czoła i uśmiechał się, ale czuł zażenowanie na myśl o rozbieraniu się w obecności damy.

- Czy może pan usiąść, panie Melcher?

- Nie wiem, ale chyba tak. - Podniósł głowę i jęknął, więc panna Abigail szybko podbiegła i dotknęła klapy jego marynarki. Niech pan oszczędzi sobie wysiłku, zaraz wrócę.

Zjawiała się po chwili z dzbankiem, miednicą, ręcznikiem i ścierką do mycia, na

szklance z gorącą wodą kołysało się mydło. Pozbywszy się tych rzeczy, stanęła obok niego i powiedziała:

- Spróbujmy teraz, zdjąć marynarkę.

Wszystko odbyło się tak sprawnie, że David Melcher zastanawiał się później, jak jej się to udało. Zdjęła mu marynarkę, kamizelkę i koszulę i umyła górną połowę ciała, co wprawiło oboje w minimalne zażenowanie. Trzymała miskę, kiedy płukał usta woda z sodą, po czym pomogła włożyć nocną koszulę, zanim spod lej koszuli zdjęta mu spodnie. Przez cały czas rozmawiała, wprowadzając tym samym ich oboje w swobodny nastrój. Oświadczyła, że posypie marynarkę mąką, potem zostawi na parę godzin, a kiedy powiesi ją na sznurze i wytrzepie trzepaczką, marynarka będzie jak nowa. Nigdy nie słyszał o czymś podobnym! Co więcej, nie był przyzwyczajony, żeby kobieta poświęcała mu tyle uwagi. Przez cały czas, kiedy się nim zajmowała, słuchał jej słodkiego głosu, co rozładowywało sytuację, która mogłaby się stać naprawdę nieprzyjemna, gdyby panna McKenzie była mniej rozmowna lub mniej sprawna.

- Wydaje się, że stał się pan czymś w rodzaju miejscowego bohatera, panie Melcher - powiedziała, uśmiechając się nieznacznie.

- Nie czuję się jak bohater. Raczej jak głupiec, który skończył w pozycji leżącej z odstrzelonym palcem.

- Mieszkańcy miasta są bardzo przywiązani do naszej nowej kolei i za nic nie dopuściliby do jej uszkodzenia. Pan uratował kolej od pierwszego poważnego niebezpieczeństwa. Nie ma więc powodu, by czuł się pan jak głupiec. To jest coś, czego miasto tak prędko nie zapomni.

- Mam na imię David - Usiłował pochwycić jej wzrok, ale odwróciła oczy.

- Miło mi pana poznać, choć ze względu na pana przykro mi, że odbywa się to w takich okolicznościach. Skąd pan pochodzi, panie Melcher?

Kiedy usłyszał, że posłużyła się jego nazwiskiem, poczuł, że dała mu w ten sposób nauczkę i lekko się zarumienił.

- Pochodzę ze wschodu, - Obserwował jej precyzyjne ruchy i niespodziewanie zapytał:

- Panno Abigail, czy pani jest pielęgniarką?

- Nie, proszę pana.

- To powinna pani być. Działa pani bardzo sprawnie i delikatnie.

Nareszcie się rozpromieniła.

- Dziękuję, panie Melcher, to jedna z najprzyjemniejszych rzeczy, jakie mogłam usłyszeć od pana w tej sytuacji. Czy jest pan głodny?

- Tak. Nawet nie pamiętam, kiedy jadłem po raz ostatni.

- Przeszedł pan koszmar, który z pewnością długo pozostanie w pańskiej pamięci. Może odpowiednie jedzenie sprawi, że pobyt tutaj wyda się panu krótszy, a złe wspomnienia rozproszą się szybciej.

Sposób jej wysławiania jest równie elegancki jak jej ruchy pomyślał, obserwując, jak porusza się po pokoju i zbiera części jego garderoby oraz przybory toaletowe. Miał poczucie bezpieczeństwa i zadbania i zastanawiał się, czy tak czuje się człowiek żonaty.

- Zajmę się pańskim garniturem, jak zrobię panu śniadanie. Och, zapomniałam pana uczesać. - Zatrzymała się już w drzwiach.

- Mogę to zrobić sam.

- Ma pan grzebień?

- Nie mogę go dosięgnąć.

- Więc proszę wziąć ten z kieszeni mojego fartucha.

Wróciła i podniosła do góry obładowane ręce, żeby sięgnąć do kieszeni. Chwila wahania, zanim wyciągnął rękę, powiedziała jej o nim więcej niż tysiące słów. Widziała wyraźnie, że David Melcher był dżentelmenem. Podobało jej się w nim wszystko i robiąc dla niego śniadanie, uświadomiła sobie, że jest w niewytłumaczalnie dobrym nastroju i nawet podśpiewuje. Niewykluczone, że czuła się troszeczkę jak żona, przynosząc na tacy jajka na bekonie i kawę. Bardzo żałowała, że nie może dłużej z nim zostać, ale przecież jeszcze jeden pacjent potrzebował jej opieki.

Na progu sypialni na dole zawahała się, patrząc na nieznanego na swoim łóżku. Niepokoił sam fakt, że był to przestępca, chociaż nie odzyskał przytomności i w żaden sposób nie mógł jej skrzywdzić. Miał kruczoczarną brodę, wąsy i włosy, ale jego cera od poprzedniego wieczoru przybrała kolor wosku. Panna Abigail weszła do pokoju i przyjrzała mu się dokładniej. Obnażoną pierś i ramiona pokrywały kropelki potu, wyciągnęła nieśmiało rękę, żeby go dotknąć, i poczuła, że jego ciało promieniuje niezdrowym nadmiernym ciepłem.

Niewzłocznie przyniosła miskę wody z octem, natarła mu twarz, szyję, ramiona i tors aż do pasa, dokąd sięgało prześcieradło, na czole położyła zimny kompres, by trochę obniżyć gorączkę. Wiedziała, że musi obejrzeć ranę, ale na samą myśl o tym zwilgotniały jej dłonie. Wstrzymała oddech i ostrożnie uniosła róg prześcieradła. Na widok jego nagości płomień ogarnął jej ciało. Lata opieki nad robiącym pod siebie ojcem zupełnie nie przygotowały jej na coś takiego! Drżącą ręką położyła prześcieradło ukośnie na brzuchu, genitaliach i lewej nodze pacjenta, przyniosła dwa twarde walki do podparcia prawego kolana, Zdjęła gazową osłonę, ale bandaż przylgnął do skóry, zmieszała więc wodę z octem i saletrą i przykładała mokre

kompresy, żeby odmoczyć bawełniany opatrunek. Kula trafiła wysoko w wewnętrzną stronę prawego uda, które przedtem musiało być bardzo jędrne. Ale teraz, kiedy odpadły opatrunki, panna Abigail zauważyła, że rana zaczęła znowu krwawić. Wystarczyło jedno spojrzenie, by się przekonać, że musi działać natychmiast, jeśli nie chce, by się wykrwawił na śmierć.

Pobiegła do kuchni, nalala ałunu na żeliwną patelnię i potrząsała nią nad gorącą płytą, aż ałun pociemniał i zaczął dymić. Polala czystą gazę spalonym ałunem, ale kiedy wpadła z tym okładem do sypialni, ze zgrozą zobaczyła krew nie znanego z nazwiska złodzieja wpływającą z rany w płytkie zagłębienie pachwiny, gdzie zatrzymały ją szorstkie włosy.

Nie miała pojęcia, jak długo tak stała, wpatrując się w odkrytą ranę i gromadzącą się krew, Ale nagle poczuła się tak, jakby to do niej ktoś strzelił. Poderwała się i znowu zaczęła nerwowo stosować okłady, tamować krew, modlić się. W ciągu następnych godzin toczyła walkę z czasem jak z największym wrogiem. Uświadomiwszy sobie, że chory wkrótce musi coś zjeść... albo umrze... zbiła tłuczkiem kawałek befsztyka, włożyła do solonej wody, żeby przygotować wołowy rosół. Ale pacjent nie przestawał krwawić. Zastanawiała się, czy będzie żył wystarczająco długo, by ten rosół wypić. Przypomniała sobie opowieści babci McKenzie o tym, jak kładła suszony sporysz w rany od strzał z łuku, przygotowała więc okład ze sproszkowanego grzybka żytniego. Dotknęła szerokiej, czarnej brwi rannego i zorientowała się, że wcale nie jest mniej rozgorączkowany, natarła go więc alkoholem. Kiedy tylko przestawała nacierać, natychmiast ciało wracało do poprzedniej temperatury, zrozumiała, że należy zwalczać gorączkę raczej od środka niż od zewnątrz. Szukała w myślach sposobu i wpadła na kolejną możliwość.

Napar z korzeni imbiru!

Kiedy jednak przyniosła imbirowy wywar, pacjent leżał nieruchomy jak śmierć; pierwsza łyżeczka płynu wypłynęła z ust, minęła ucho i rozlała się na poduszce jasnobrązową plamą. Panna Abigail próbowała wlać mu do ust kolejną łyżeczkę, ale udało jej się jedynie sprawić, że zaczął kasłać.

- Pij to! Pij! - zachęcała nieprzytomnego żarliwym szeptem. Ale to nie miało sensu, zakrztusi się, jeśli będzie mu wmuszała napar w ten sposób.

Bliska łez, przyciskała pięści do ust. Nagle ogarnęło ją natchnienie, jak szalona pobiegła przez dom, wybiegła tylnymi drzwiami i zobaczyła Roba Nelsona bawiącego się na sąsiednim podwórku.

- Robert! - zawołała, a on momentalnie stanął na baczność. Nigdy w życiu nie widział panny Abigail w takim stanie, nigdy leż nie słyszał, by podnosiła głos.

- Słucham? - wybąkał, wytrzeszczając oczy. Panna Abigail schwyciła go za ramiona

tak mocno, jakby chciała połamać mu kości.

- Robert, biegnij szybko do stajni pana Perkinsa i poproś o garść słomy. Czystej słomy, rozumiesz? Pędź tak, jakby ci się palił ogon! - Po tych słowach popchnęła Roberta, tak że o mało nic wylądował na własnym nosie.

- Dobrze, proszę pani - wymamrotał zdziwiony chłopiec, oddalając się tak szybko, jak potrafił.

Pannie Abigail wydawało się, że mijają godziny, kiedy przemierzała ogródek w oczekiwaniu. Gdy pojawił się Rob, wyrwała mu słomę i bez podziękowania wbiegła do domu, zatraskując chłopcu przed nosem ochronne drzwi z siatki.

Pochyliła się nad ciemną twarzą złodzieja, podniosła mu brodę i wepchnęła dwa palce do ust. Jego język był złowieszczo rozpalony i suchy. Jednak słomka okazała się zbyt krucha, nie ulegało to najmniejszych wątpliwości po kilku nieudanych próbach wepchnięcia jej do gardła. Zrozpaczona panna Abigail myślała gorączkowo, marnując cenne minuty, zanim wpadła na nowy pomysł. Tymotka! Wyciągnęła jedną łądyżkę z suchego bukietu w salonie, drutem do robótek wypchnęła miękisz ze środka i - z jeszcze większą determinacją podniosła podbródek rannego, otworzyła mu usta palcami i wepchnęła tymotkę do gardła, przy czym sama niemal się zadławiła na myśl o tym, na jakie naraża go nieprzyjemności, Ale tymotka okazała się dobrym pomysłem! Było to niewielkie zwycięstwo, jednak napełniło ją nadzieją - napar z imbiru przeszedł gładko. Nie zastanawiając się wcale nad konwenansami, panna Abigail raz po raz brała do ust napar i wlewała w usta rannego, a kiedy wyciągała słomkę z jego ust, chory powodowany jakimś wewnętrznym impulsem, przełknął, przygryzając jej przy okazji dwa palce. Krzyknęła i wyprostowała się gwałtownie z bólu, wyciągnęła palce z ust rannego, zobaczyła na obydwu przegryziona skóre pomiędzy pierwszym a drugim stawem. Natychmiast włożyła je do ust, żeby wyssać, i poczuła wilgoć jego śliny. Przestępca! - pomyślała. Wyjęła z rękawa czysta chusteczkę, starannie wytarła nią język i palce. Patrząc jednak na nieprzytomną twarz swego podopiecznego, poczuła, że ją samą ogarnia gorąco, a serce bije mocniej z niezrozumiałych powodów Uświadomiła sobie, że dochodzi południe, zostawiła więc rannego, by przygotować posiłek dla Davida Melchera. Kiedy stanęła na progu jego pokoju, Melcher spojrzał na nią ze zdumieniem.

- Panno Abigail! Co się pani stało?

Dostrzegła na gorsie bluzki ślady krwi od tłuczenia befsztyka, a może nawet z rany mężczyzny leżącego na dole. Podniosła rękę do włosów i zorientowała się, że są potargane jak trawa na wietrze. Kiedy podnosiła rękę, pod pachą niebieskiej wykrochmalonej bluzki, która rano wyglądała tak nieskazitelnie, ukazała się wielka mokra plama potu. Na jej palcach

widniały ponadto krwawe ślady zębów, ukryła jednak dłoń w fałdach spódnicy.

Wielkie nieba! - pomyślała - Nie zdawałam sobie sprawy, jak wyglądam!

- Panno Abigail, nic pani nie jest?

- Naprawdę, panie Melcher, wszystko w porządku. Usiłowałam ocalić życie człowieka i mogę pana zapewnić, że w tym momencie życzyłabym sobie, żeby miał dość siły, by móc zrobić mi krzywdę.

Twarz Melchera złodowaciała.

- A więc on jeszcze żyje?

- Ledwo.

David Melcher z najwyższym trudem powstrzymał się od komentarza: „Jaka szkoda!”

Panna Abigail wyczuła jego dezaprobatę, zauważyła jednak, jak bardzo się starał ukryć swój gniew, który skądinąd był całkiem usprawiedliwiony, zważywszy, że mężczyzna z dołu pozbawił pana Melchera dużego palca u nogi.

- Proszę się oszczędzać. Nie sędzę, by była pani przyzwyczajona do tak ciężkiej pracy. Nie chciałbym, żeby się pani rozchorowała z powodu pielęgnowania pospolitego złodzieja.

Jego słowa napełniły ją niewypowiedzianym ciepłem.

- Panie Melcher, proszę się o mnie nie troszczyć. To ja mam się troszczyć o pana.

I tym właśnie się zajęła, kiedy skończył jeść. Przyniosła jego przybory do golenia i trzymała lustro, podczas gdy on dopełniał rytuału. Obserwowała go uważnie, miał łagodne usta i prosty nos, mocny podbródek bez żadnego zagłębienia, żadnych dołeczków. Najbardziej jednak podobały jej się oczy, jasnobrązowe i bardzo chłopięce, zwłaszcza kiedy się uśmiechał. Podniósł wzrok, a ona spuściła oczy. Kiedy jednak podjął na nowo mozolny trud golenia, obracając głowę w jedną i w drugą stronę, wysuwając szczękę, aż nabrzmiewały mu żyły na szyi, poczuła dziwne pulsowanie w brzuchu. Bez żadnego ostrzeżenia stanęły jej przed oczami znacznie ostrzejsze rysy twarzy złodzieja, jego grubsza szyja i bardziej podłużna, ciemniejsza twarz. Odpychająca powierzchowność - pomyślała - w porównaniu z otwartą twarzą Davida Melchera.

- Złodziej ma wąsiki - zauważyła.

- Wyraz łagodności znikł z twarzy mężczyzny.

- Typowe! - warknął.

- Naprawdę?

- Bez wątplenia! Najślawniejsi przestępcy nosili wąsy.

Odsunęła lustro, wstała i złożyła ręce, zmartwiona, że go zdenerwowała.

- Widzę, że nie lubi pan o nim mówić, więc proszę po prostu zapomnieć, że on leży na

dole, i myśleć jedynie o własnym wyzdrowieniu. Doktor Dougherty powiedział, że powinnam panu zmienić opatrunek i zastosować maść, jeśli odczuwa pan ból.

- Jest coraz lepiej, proszę się tym nie przejmować.

Ofuknięta w ten sposób, odwróciła się do wyjścia, żałując, że doprowadziła go do irytacji rozmową o złodzieju, tym bardziej, że pan Melcher tak bardzo chwalił befsztyk z kartoflami i czystą lnianą serwetkę na tacy. Jeżeli bandyta przeżyje, w domu z pewnością dojdzie do konfliktów. Jednak podjęła się pielęgnowania go, musi więc opiekować się nim jak najstaranniej.

W sypialni na dole zauważyła, że pacjent poruszył prawą ręką - położył ją na brzuchu. Przyglądała się długim, smukłym palcom, lekko podwiniętym, widziała cienie króciutkich włosków i dostrzegła na ręce plamę brudu. Podeszła bliżej i okazało się, że nie był to brud, tylko czarnosiny wyraźny ślad obcasa. Ostrożnie ujęła skaleczoną rękę w nadgarstku i położyła wzdłuż ciała. Kiedy jednak dłoń dotknęła prześcieradła, chory lekko się przekręcił i instynktownie osłonił skaleczenie zdrową ręką, jakby sprawiało mu ból. Panna Abigail położyła go z powrotem na plecy, jej dłonie wydawały się śmiesznie małe na potężnym torsie. Wrócił jednak do poprzedniej pozycji i znowu znieruchomiał.

Trudno było stwierdzić, czy ręką jest złamana, ale na wszelki wypadek wzięła kawałek drewnianki, włożyła mu w dłoń i zabandażowała, okręcając gazy wokół owłosionego nadgarstka, krzyżując ją pomiędzy kciukiem, żeby nie dało się poruszyć złamanych kości. Robiąc opatrunek, zauważyła, że miał czyste ręce, zadbane paznokcie, a na dłoniach odciski.

Dotknęła jego czoła, wydało się trochę chłodniejsze, ale ciągle gorętsze, niż być powinno. Przypomniała sobie wczorajszą wyprawę do miasta w postukiwaniu pracy u Culpeppera, kiedy to nie mogła nawet podejrzewać, że skończy przy takim zajęciu. Może mimo wszystko praca w jadalni byłaby lepsza - pomyślała zmęczona, idąc z powrotem do kuchni po watę i alkohol. Rozejrzała się wokół z niechęcią. Wszędzie poniewierały się poszarpane szmaty i gaza, zużyte wilgotne kawałki waty w miseczkach, roztwór octowy, miska z solą, torebki z ziołami, nożyczki, brudne naczynia, plamy krwi na ścianach i na wieszaku do ubrań, a nad wszystkim unosił się obrzydliwy zapach palonego alunu.

Panna Abigail odwróciła się na pięcie, w sposób całkiem dla siebie nietypowy zignorowała to wszystko i wróciła do swojej sypialni.

Dobry Boże! Ranny przewrócił się na bok... i do tego na prawą nogę!

Ciężko dysząc, zmagając się z bezwładnym ciężarem i wreszcie udało jej się położyć go z powrotem na plecy, ale padła wyczerpana na jego brzuch. I jeszcze zanim spojrzała, wiedziała, co się stało; rana znów zaczęła krwawić.

Z ciężkim westchnieniem, już niemal potykając się ze zmęczenia, rozpoczęła od nowa całą batalię: czyszczenie rany, palenie ałunu, zatrzymywanie krwotoku, przykładanie sporyszu i modlitwa o to, żeby krwotok ustał. W miarę jak mijało popołudnie, chory wydawał się częściej poruszać. Ilekroć zmieniał pozycję, używała całej siły, by zmusić go do położenia się na plecach, marzyła, by leżał nieruchomo, karciała go głośno, pociła się z wysiłku, ale wycierała pot raczej z jego rozgorączkowanego ciała. Kiedy pod wieczór ciągle nie odzyskiwał przytomności, straciła nadzieję, że rozbudzi się w wystarczającym stopniu, by wypić rosół, toteż znowu nakarmiła go siłą.

W jakiś czas później stała niby w transie, wpatrując się w obnażone białe biodro i licząc minuty od chwili ustania krwotoku. Pukanie doktora Dougherty wyrwało ją z zamyślenia.

- Proszę wejść. - Zabrakło jej jednak siły, by zawołać głośniejszym głosem. Doc Dougherty miał za sobą ciężki dzień, ale wystarczyło mu jedno spojrzenie, by wykrzyknąć:

- Panno Abigail, co, u diabła, pani z sobą zrobiła?

Wyglądała strasznie! Miała zaczerwienione oczy i przez chwilę przypuszczała, że zaraz się rozplacze.

- Nigdy sobie nie zdawałam sprawy, jak ciężką pracą jest ratowanie życia - powiedziała znękany głosem. Doc poprowadził ją pod rękę do zdewastowanej kuchni. Roześmiała się trochę głupekowato, kiedy sadzał ją na krześle. - Teraz wiem też, dlaczego pański dom tak wygląda!

Doktor nie poczuł się dotknięty, roześmiał się dobrotliwie. A więc podobnie jak my wszyscy przeszła inicjację - pomyślał.

- Panno Abigail, potrzebna pani niezła porcja kawy i jeszcze większa porcja snu.

- Na kawę przystaję, ale ze snem trzeba będzie poczekać, dopóki on nie odzyska przytomności, dopóki nie będę pewna, że najgorsze minęło.

Doc nalał jej filiżankę kawy i poszedł zbadać pacjentów. Wychodząc z kuchni, zauważył plecy panny Abigail opadające na oparcie krzesła. Nie wątpił już, że szczęśliwie się złożyło, iż to właśnie ona zgłosiła się do pomocy. A jednak po wejściu do pokoju, w którym spoczywał złodziej, rozważał raz jeszcze, czy panna Abigail nie jest zbyt delikatna, by zajmować się podobnymi ranami. Początkowo brał pod uwagę wyłącznie jej poczucie przyzwoitości, ale ujrzawszy ją tak wyczerpaną, zaczął się zastanawiać, czy nie jest to dla niej zbyt duży wysiłek fizyczny.

Zaledwie rzucił okiem na pacjenta, zachwycił się pomysłowością i uporem panny Abigail. Oględziny rany szczerze go zdumiały. Ten człowiek nawet nie zdawał sobie sprawy,

jakie to szczęście, że tutaj wyładował - pomyślał Doc. Rana wyglądała dobrze, gorączka opadła, nie było krwawienia ani śladów gangreny. Panna Abigail zrobiła nie mniej, niż zrobiłby sam doktor.

- Panie Melcher, chyba jest pan w dobrych rękach pod opieką panny Abigail - powiedział na górze. - Ale mimo wszystko zaofiaruję panu moje skromne medyczne usługi.

- Doktorze Dougherty, jakże się cieszę, że pana widzę. - Melcher wyglądał na człowieka zupełnie zdrowego.

- Mimo że sprawiłem panu tyle bólu?

- Nie więcej, niż mogę wytrzymać. Od czasu do czasu mnie rwie, ale maść, którą pan polecił panie Abigail, bardzo mi pomaga.

- Laudanum, mój drogi. Maść laudanowa przykładana przez pannę Abigail to bardzo skuteczna mieszanka, nie sądzi pan?

Melcher uśmiechnął się.

- Czyż ona nie jest wspaniała? Chciałbym panu podziękować za... no, szczęśliwy jestem, że znalazłem się w jej domu.

- Niewielka w tym moja zasługa. Ona sama się zgłosiła! I chociaż dostaje za to pieniądze chyba stara się znacznie ponad wysokość zapłaty. Z wami dwoma ma pełne ręce roboty.

Na wspomnienie drugiego pacjenta twarz Melchera spochmurniała.

- Proszę mi powiedzieć... co z nim?

- Żyje i nie krwawi, a w oba te fakty wprost trudno uwierzyć. Nie wiem, co zrobiła panna Abigail, ale odniosło skutek. - Widząc wyraz twarzy Melchera, doktor klepnął go w zdrową nogę. - Niech się pan rozchmurzy! Nie będzie pan musiał długo przebywać pod jednym dachem z tym łajdakiem. Palec wygląda dobrze. Nie powinien pana długo tu zatrzymać.

- Dziękuję - rzekł Melcher, ale wyraz jego twarzy nie zmienił się ani trochę.

- Radzę zapomnieć o tym, że on jest na dole, jeśli to pana tak denerwuje - powiedział Doc, szykując się do wyjścia.

- Jak mogę o tym zapomnieć, skoro panna Abigail musi chodzić na dół... i pielęgnować go!

A, tu jest pies pogrzebany - pomyślał doktor.

- Wygląda na to, że panna Abigail wywarła na panu nie byle jakie wrażenie.

- Śmiem twierdzić, że tak - przyznał Melcher.

Doc roześmiał się.

- Niech się pan nie martwi o pannę Abigail. Ona da sobie radę. Wkrótce znowu przyjdę. Tymczasem proszę poruszać stopą; dopóki nie boli, może pan jej używać spokojnie. Goi się.

Schodząc na dół, doktor uśmiechał się na myśl o tak niespodziewanym obrocie spraw.

Kawa trochę ożywiła pannę Abigail.

- Ma pani i dla mnie odrobinę kawy? Nie, proszę nie wstawać. Tu są filiżanki? Sam sobie naleję. Panno Abigail, przykro mi, że wczoraj w panią zwątpiłem. Widzę, jakim byłem głupcem. Nie tylko znakomicie się pani wywiązała z pielęgnowania tych dwóch... ale wydaje się, że pozyskała pani wielbiciela w osobie pana Melchera.

- Wielbiciela? - spojrzała zaskoczona znad filiżanki.

Doc Dougherty oparł się o brzeg kredensu, popijał kawę, a oczy mu błyszczały.

- Nonsens, doktorze. Po prostu jest wdzięczny za czyste łóżko i wyżywienie. - Panna Abigail spoglądała zarumieniona we wnętrze filiżanki.

- Ma pani rację, panno Abigail, ma pani rację. - Ale w oczach doktora migotały filuterne błyski. Niespodziewanie zmienił temat. - Przyszła telegraficzna wiadomość, że linia kolejowa chce, żebyśmy przetrzymali tu nieznajomego, dopóki nie przyślą kogoś, kto go przesłucha.

- Jeżeli będzie żył dość długo, by móc mówić. - Raz jeszcze doktor dostrzegł jej zmęczenie, usłyszał w głosie lęk.

- Przeżyje. Obejrzałem ranę, wygląda dobrze. Nawet bardzo dobrze, panno Abigail. Co, u diabła, stosuje pani do tych okładów?

- Sproszkowany sporysz. Leczył rany od strzał indiańskich, pomyślałam sobie, że jemu też może pomóc. Dlaczego mnie pani nie wezwała, kiedy mu się pogorszyło?

Spojrzała na niego, zaskoczona.

- Chyba dlatego, że po prostu nie przyszło mi to na myśl.

Doc uśmiechnął się i pokręcił głową.

- Zamierza pani stworzyć dla mnie konkurencję w uzdrawianiu? - zapytał z roześmianymi oczami.

- Nie, doktorze. To zbyt ciężkie dla niewinnej damy. Kiedy ci dwaj wyzdrowieją, chętnie porzucę działalność medyczną.

- Panno Abigail, bardzo proszę, niech pani trochę jeszcze z tym poczeka. Wykonuje pani dla mnie cholernie dobrą robotę.

Zbyt zmęczona, by oponować przeciwko jego wyrażeniom, powiedziała tylko:

- Dziękuję bardzo, doktorze. - Mógłby przysiąc, że się rozpromieniła, w tej swojej

kuchni tak zabałaganionej i wypełnionej zapachami, ostro kontrastującymi ze zwykle panującym tu porządkiem. Zrozumiał, że ona sobie poradzi, że dysponuje cechami obcymi większości kobiet. Doznawała również po raz pierwszy tej dojmującej radości, znanej jedynie tym, którzy odnoszą zwycięstwo nad śmiercią.

Zbliżając się do drzwi, Doc odwrócił się.

- Och, zapomniałem powiedzieć, że kolej gotowa jest płacić tak długo, aż ci dwaj wyzdrowieją. Chyba chcą udobruchać Melchera i powstrzymać go przed wywołaniem skandalu, że został postrzelony w pociągu Kolei Gór Skalistych. A co do tego drugiego... to chyba poszukiwany jest za więcej niż jeden napad, skoro tak się nim interesują. Nie chciałem pani przestraszyć, chciałem panią tylko uspokoić co do pieniędzy. Czy pani się boi, będąc tu z nim sama?

O mało się nie roześmiała.

- Nie, nie boję się. Nigdy w życiu niczego się nie bałam. Nawet wtedy, gdy myślałam, że kończą mi się pieniądze. Sprawy jakoś się rozwiązują. Wczoraj stałam w obliczu nędzy, a dzisiaj znalazłam się na utrzymaniu kolei. Czy to nie wygodne?

Poklepał ją po ramieniu z uśmiechem.

- To mi się podoba, panno Abigail. Niech pani się trochę prześpi, żeby pozostać w takim nastroju.

Kiedy otwierał już drzwi z ochronnej siatki, zatrzymała go na moment pytaniem:

- Doktorze, czy w telegramie było nazwisko tego mężczyzny? Dziwne wydaje mi się mówienie o nim „ten mężczyzna” albo... „ten złodziej”.

- Nie. Napisali tylko, że chcą, abyśmy go bezapelacyjnie tutaj zatrzymali. Bardzo chcą dostać go w swoje ręce.

- Skąd mogą wiedzieć, że jest poszukiwany za inne przestępstwa, skoro nie widzieli go na oczy?

- Wysłaliśmy jego opis. Ktoś na linii musiał go rozpoznać na tej podstawie.

- A jeśli on umrze? Nie wydaje się przyzwoite, żeby człowiek umierał w miejscu, gdzie nikt nie zna jego nazwiska.

- To się już nieraz zdarzało - rzekł z przekonaniem Doc.

Panna Abigail wyprostowała ramiona, a na jej twarzy pojawiła się determinacja.

- Ale tym razem się nie zdarzy. Będzie moim celem, rodzajem wyzwania, żeby doprowadzić go do takiego stanu, kiedy potrafi podać swoje nazwisko. Jeśli będzie mógł to zrobić, może wyzdrowieje kompletnie. Jak pan widzi, doktorze, zamierzam być upartym uzdrowicielem. - Uśmiechnęła się do niego. - A teraz niech pan już idzie. Muszę posprzątać w

kuchni i przygotować kolację.

Doktor śmiał się pod nosem, kiedy wyprawiała go z domu. Samym tylko zmęczeniem nie da się pokonać panny Abigail McKenzie!

Nie miała czasu martwić się własnym wyglądem, kiedy przygotowywała kolację dla Davida Melchera, ale serce jej biło mocniej na wspomnienie słów doktora. Wielbiciel. David Melcher był jej wielbicielem. Na tę myśl przepęliło pannę Abigail rozkoszne uczucie wyczekiwania. Ze szczególną starannością przygotowywała tacę z kolacją, a przed wejściem do pokoju poprawiła kilka kosmyków niesfornych włosów. Chory leżał spokojnie, wpatrując się w różowawe niebo za oknem. Kiedy stanęła na progu, wyczuł jej obecność i odwrócił się z uśmiechem. Serce jej zabiło radośnie, wypełniła ją nie znana dotychczas świadomość własnej istoty.

- Przyniosłam kolację - powiedziała miękko.

- Proszę ze mną posiedzieć i dotrzymać mi towarzystwa.

Miała na to wielką, jakże wielką ochotę, ale po prostu nie wypadało.

- Obawiam się, że mam zbyt dużo zajęć na dole - usprawiedliwiła się. Na jego twarzy odbiło się rozczarowanie. Bał się jednak zachować zbyt natrętnie, i tak zrobiła już dla niego wystarczająco dużo. W pokoju zapanowała cisza, zza okna dobiegł żalostny krzyk osamotnionej synogarlicy. Panna Abigail postawiła tacę na łóżku i oznajmiła pogodnie: - Przyniosłam panu coś do czytania po kolacji, jeśli będzie pan mini ochotę.

Wyjęła z kieszeni tomik sonetów.

- Och, sonety! Czy pani też je lubi? Powinienem był zgadnąć.

Widząc uśmiech aprobaty na jego ustach, zmieszała się i spojrzała na chmury za oknem przypominające cukrową watę. Znowu odezwał się głos pogrążonej w żalobie synogarlicy wyśpiewującej swoje pytanie: „Kto? kto? Kto?” Pannie Abigail nagle wydało się, że to jej zadają owo pytanie. A zadawała je sobie tyle razy, że wołała o tym zapomnieć. Czy kiedykolwiek znajdzie się ktoś, kto rozjaśni jej życie? Kto nada mu sens?

Pogrążona w marzeniach, panna Abigail powiedziała przyciszonym głosem:

- Wieczór wydaje mi się szczególnie odpowiednią porą na czytanie sonetów. To najłagodniejsza chwila dnia, nie uważa pan?

- Absolutnie się zgadzam - padła elegancka odpowiedź. - Wydaje się, że mamy z sobą wiele wspólnego.

- Na pewno. - Panna Abigail nagle uświadomiła sobie swój wygląd, dotknęła koniuszkami palców dolnej wargi, znów miała na sobie poplamiony, przepocony strój, który nosiła cały dzień, a włosy strasznie potargane. Ale wybiegając z pokoju, pomyślała, że mimo

wszystko pan Melcher przemawiał do niej słodko i uśmiechał się czule. Czyżby Doc powiedział prawdę? Abigail McKenzie, jesteś tak zmęczona, że ulegasz fantazjom!

Jednak bez względu na zmęczenie jej dzień jeszcze nic dobiegł końca.

Zapadł zmierzch i w ciemności sypialni na dole pacjent wydawał się ciemniejszy niż zwykle. Złapała się na tym, że porównuje go z panem Melcherem. Zarost na jego brodzie zrobił się niemal o połowę dłuższy, postanowiła więc, że jutro go ogoli. Nigdy nie podobali jej się mężczyźni o ciemnym zarostie. I te wąsy! Jeśli ciemny zarost wyglądał ponuro, to czarne wąsy były zdecydowanie przerażające. Podeszła bliżej. Wąsy okalały górną wargę rannego jak grube, opuszczone skrzydło nietoperza. Patrząc na nie, zadrżała i skrzyżowała ręce w geście samoobrony. Paskudne! - pomyślała. Dlaczego mężczyzna dobrowolnie nosi na twarzy coś tak ostrego i nieprzyjemnego?

Nagle panna Abigail rozluźniła uścisk własnej dłoni na swoim ramieniu. Przypomniało jej się niejasno... ale nie, to przecież niemożliwe. Zmarszczyła brwi, przypominając sobie dotyk tych wąsów, kiedy go karmiła; zachowała w pamięci nie ostrość szczeciny, ale delikatną jedwabistość.

Z pewnością się myślę - pomyślała, karcąc się w duchu. Jak mogłyby wydawać się delikatne w dotyku, skoro robią wrażenie tak sztywnych? Ale nagle nie miała już wątpliwości, że to prawda. Spojrzała spłoszona za siebie - oczywiście nikogo w pokoju nie było. Rozglądanie się świadczyło o głupocie! Jednak rozejrzała się raz jeszcze, zanim wyciągnęła nieśmiało palec, by dotknąć obfitych, czarnych włosów pod nosem złodzieja. Kiedy okazały się niemal jedwabiste, doznała czegoś w rodzaju szoku! Czuła na palcu jego gorący oddech, więc szybko, z poczuciem winy, ponownie skrzyżowała ręce. Ta miękkość była niepokojąca. Nagle poczuła się głupio i oświadczyła głośno:

- Czy masz wąsy, czy nie, czy jesteś złodziejem, czy nie, zmuszę cię, żebyś mi podał swoje nazwisko. Rozumiesz? Nie umrze mi pan tutaj, mój panie, ponieważ po prostu do tego nie dopuszczę! Będziemy posuwali się stopniowo, a na początek wyciągnę z ciebie twoje nazwisko. Dobrze by było, żebyś od początku zdał sobie sprawę, że nie jestem przyzwyczajona do sprzeciwu.

Pacjent nawet nie drgnął.

- Och, jak ty wyglądasz! Lepiej cię uczeszę. Teraz niewiele więcej mogę dla ciebie zrobić.

Wzięła z szafki swój grzebień i przejechała nim po jego gęstych włosach, odczuwając dziwny dreszcz na myśl, że jest to bandyta kolejowy, którego intymne potrzeby właśnie zaspokaja.

- Nigdy dotychczas nie cesałam włosów przestępcy - powiedziała mu. - Robię to teraz jedynie dlatego, że gdybyś jednak mnie słyszał, chciałabym, żebyś wiedział... że nie wolno ci tak po prostu leżeć i nie walczyć. Włosy są brudne i jeżeli chcesz, żeby zostały umyte, musisz odzyskać przytomność.

Nagle poruszył ręką i wydał cichy dźwięk. Przekręcił głowę i byłby się przewrócił na bok, gdyby panna Abigail nie przytrzymała go rękami.

- Musisz leżeć na wznak. Nalegam na to! Tak zalecił doktor Dougherty!

Wydawało się, że pacjent się zgadza. Dotknęła jego czoła, okazało się chłodne. Jednak na wszelki wypadek przyniosła fotel bujany z saloniku pozbawiony oparcia na ręce, wąski, niezbyt to wygodny, używany przy szyciu - i usiadła. Tylko na chwile, tylko dopóki nie nabierze pewności, że on się już nie rzuca i nie zrobi sobie krzywdy.

W mgnieniu oka głowa jej opadła, a myśli zmętniały, kiedy pograżyła się w świecie snów, gdzie spod miękkich czarnych wąsów uśmiechał się do niej nieznajomy. Jego szeroki tors znalazł się bliżej i przycisnęła go dłońmi. Unikała jego kuszących warg, powtarzając, że jest złodziejem, na co on śmiał się gardłowo i przyznawał, że to prawda i właśnie chciałby jej coś ukraść. Ale ja nie znam twojego imienia westchnęła jak podmuch nocnego wiatru. Uśmiechnął się i powtarzał przekornie; „Ale przecież znasz mnie samego lepiej, niż gdybyś знаła moje nazwisko”, I znowu zobaczyła jego nagie ciało miękkie, zwinięte, bliskie i znowu poczuła cudowne zawstydzenie zmysłów. I jej uśpione ciało podskoczyło na niewielkim foteliku na biegunach.

Obudziło ją to, że się poruszył. Poderwała się i położyła go, przytrzymując własnym ciałem w pozycji na wznak i bez ruchu. Dziwny zakazany sen towarzyszył jej wyraźnie, kiedy poczuła pod sobą ciało tego mężczyzny. Nie powinna oddawać się takim myślom, nie powinna go w ten sposób dotykać.

A jednak została przy nim, czuwając całą noc. Od czasu do czasu kręcił się, a ona przykazywała;

- Leż na wznak... trzymaj kolano do góry... powiedz mi, jak się nazywasz...

Aż wreszcie nie mogła już dłużej z nim walczyć. W środku nocy powlokła się do kuchni, znalazła rolkę gazy, przywiązała mu lewą nogę w kostce do jednej poręczy łóżka, a lewy nadgarstek do drugiej. Oszołomiona sennością, znowu usadowiła się na fotelu. Ale w którymś momencie wstała odruchowo, przeszła przez poręcz i zapadła w sen w nogach łóżka, z ustami w pobliżu biodra rannego.

ROZDZIAŁ TRZECI

Stopniowo... niewyraźnie... zaczął odczuwać ciepło na twarzy. Było niezmiennie, domyślił się więc, że to słońce.

Jak przez mgłę... leniwie... zaczął odczuwać miękkie, bujne ciepło obok siebie. Dzięki wypukłościom zorientował się, że to kobieta.

Powoli... dokuczliwie... zaczął odczuwać natarczywe, męczące ciepło własnego ciała. Nie potrafił go jednak zidentyfikować, wiedział jedynie, że nigdy dotychczas nie zaznał podobnego cierpienia. Gałki oczne poruszały się pod zamkniętymi powiekami, nie chciały jeszcze opuścić swojej prywatnej ciemności, odgradzały go wraz z trzema źródłami ciepła, które zdawały się wypalać całą jego istotę. Zastanawiał się, czy sen się skończy, jeśli otworzy oczy. A może była to rzeczywistość? Czyżby był żywy? Czy znalazł się w piekle? Otworzył oczy, ale nad głową widział sufit, nie dach namiotu. Odczuwał ból w różnych miejscach ciała. Słodki Jezu - pomyślał, a oczy znowu się zamknęły, pozwalając mu zastanawiać się, gdzie jest i kto leży w nogach łóżka. Na próżno usiłował przełknąć ślinę, znowu podniósł ciężkie powieki, zacisnął zęby i z bolesnym wysiłkiem uniósł głowę.

Do jego łokci uczepiła się jakaś kobieta - satyr i patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

Miał w głowie tylko jedną przytomną myśl: coś niedobrze ze mną. To na pewno wiedźma i musiała mnie przywiązać, żeby mnie zatrzymać.

I znowu osunął się w ciemność. Zabrał jednak z sobą obraz paskudnej wiedźmy z włosami rozpuszczonymi jak wiecheć słomy wokół twarzy, która od oczu w dół składała się wyłącznie z fałd. W nieprzytomnym śnie dręczyła go, kazała wykonywać czynności, do których nie był zdolny. Domagała się, żeby mówił, żeby przewracał się na bok, żeby się nie przewracał, żeby jej odpowiadał, żeby leżał nieruchomo. Chwilami jej głos stawał się słodki, ale potem znów dźgał jak ukłucie kolca, aż wreszcie udało mu się uciec od tego dźwięku i pogрузić w sen bez żadnych wizji.

Panna Abigail straciła wszelką nadzieję, kiedy głowa chorego opadła na poduszkę i pogрузił się w niebycie, zanim zdążyła wydobyć od niego nazwisko. Dowiedziała się jedynie, że jego niemal czarne oczy mają lekko orzechową barwę. Mogła się spodziewać, że okażą się smolisto czarne, równie złowróźbne jak cała reszta. Ale ratowały je te orzechowe połyski.

Z jękiem podniosła się z łóżka.

Nigdy w życiu, patrząc rano do lustra, panna Abigail nie napotkała takiego widoku, jaki powitał ją owego ranka. Noc nie pozostała bez śladu, najwyraźniej skurczyła skórę nad

jej oczami, a rozciągnęła pod nimi. Fioletowe cienie podkreślały jej zbyt duże, rozbiegane oczy, podczas gdy równoległe do warg biegły jakieś podłużne linie. Potargane, zniszczone włosy podkreślały okrutną realność tego obrazu.

Obserwowała własne odbicie w lustrze i poczuła się bardzo stara.

Z tych jałowych rozmyślań wyrwała ją myśl o Davidzie Melcherze.

W kuchni umyła się, wyszczotkowała włosy, upięła je starannie u nasady szyi, po czym ubrała się w miękką, kremową bluzkę, podobną do tej, jaką nosiła poprzedniego dnia, i w brązowa bawełnianą spódnicę. Powodowana impulsem, posmarowała nadgarstki odrobiną różanego olejku.

- Panno Abigail, jak pięknie pani wygląda! - wykrzyknął z uznaniem David Melcher, kiedy stanęła na progu z tacą ze śniadaniem.

- A pan wydaje się w świetnej formie, panie Melcher!

Znowu oprosił, żeby dotrzymała mu towarzystwa podczas śniadania, na co tym razem zgodziła się, choć przyzwoitość wymagała, by została jedynie na chwilkę. On jednak chwalił jej kuchnię, gotowane jajka, grzanki i jabłeczną marmoladę, i przekomarzał się.

- Panno Abigail, kiedy będzie mnie pani stąd wyrzucać będę kompletnie rozpieszczony.

Jego uznanie poruszyło go w miły, delikatny sposób, tak jak lekki wiaterek rozwiewający włosy na karku wywołuje rozkoszne dreszcze.

- Panie Melcher, nie będę, jak pan to określa, pana stąd wyrzucać. Może pan zostać tak długo, jak będzie to potrzebne.

- Panno Abigail, to jest naprawdę niebezpieczna propozycja. Mogę wziąć panią za słowo i nigdy się stąd nie ruszyć.

W jego oczach czaił się na tyle tylko figlarny wyraz, by całe stwierdzenie nie wykraczało poza granice przyzwoitości. A jednak panna Abigail poczuła znowu na karku owo łaskotanie. Została w pokoju tak długo, jak pozwalała przezorność.

- Chętnie zostałabym z panem dłużej, ale mam zajęcia, które chciałabym dokończyć, dopóki panuje poranny chłód.

- Panno Abigail, wypowiedziała to pani tak, jakby recytowała sonet. Ma pani tak interesujący sposób wysławiania się! - W tym miejscu chrząknął i dodał już bardziej oficjalnym tonem: - Chciałbym dzisiaj znowu poczytać trochę sonetów, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu.

- Oczywiście. Może spodobają się panu jeszcze inne, które mam.

- Tak... tak, nie wątpię, że mi się spodobają.

Kiedy panna Abigail wstała z krzesła i przejechała dłońmi po rękawach bluzki, by wyprostować nie istniejące zmarszczki, pomyślał o tym, jak krucha się wydaje w tej bluzce z wysokim kołnierzykiem i długimi rękawami; o tym, że pachnie jak róża i że jest absolutną damą.

Ponownie nakarmiła złodzieja gorącym rosołem za pomocą łydgi tymotki. Teraz, kiedy zbliżała się do niego, jej puls zaczynał wyprawiać dziwne harce, więc jakby pragnąc wyrównać rachunki, besztła nieprzytomnego mężczyznę:

- Kiedy się zdecydujesz obudzić, podać mi swoje nazwisko i zjeść przyzwoity posiłek? Sprawiasz okropnie dużo kłopotu, kiedy tak tu leżysz jak wielki niedźwiedź grizzly pograżony w zimowym śnie! Zmuszasz mnie, żebym cię znowu karmiła tak jak wczoraj! Wiem, że to się wydaje okrutnym sposobem, ale nic innego nie przyszło mi do głowy... i możesz mi wierzyć, że dla mnie jest to równie nieprzyjemne jak dla ciebie, zwłaszcza przez te wąsy!

Skończywszy karmienie, przyniosła przybory do golenia i zabrała się do higieny chorego, nie bardzo pewna, jak sobie z tym poradzi. Podłożyła mu pod brodę gruby ręcznik, namydliła twarz i zabrała się do przeciągania brzytwą, zastanawiając się cały czas, co zrobić z wąsami.

Powinna czy nie powinna?

Naprawdę był to nieprzyjemny, złowieszczy szczegół. I może gdyby David Melcher nie powiedział, jak charakterystyczne są wąsy dla przestępców, może gdyby nie były tak niepokojąco jedwabiste, może gdyby serce nie zawiodło jej w chwili, gdy ich dotknęła, może nie byłaby ich zgolila.

Ale w końcu zrobiła to.

Kiedy zniknęła już połowa wąsów, poczuła przez moment wyrzuty sumienia. Ale było już za późno. Kiedy skończyła, cofnęła się o krok, by obejrzeć twarz bez wąsów, i ku swojemu utrapieniu utwierdziła, że kompletnie tę twarz oszpeciła! Wąsy pasowały do niego tak jak te gęsie czarne brwi i śniada cera. A jeśli oprzytomnieje i dojdzie do podobnego wniosku? Myśl ta nie przyczyniła się do uśmierzenia niepokojów panny Abigail, a kolejne zadanie również w tym nie pomogło. Przyszła pora, żeby pacjenta umyć.

Zabrała się do tego po kawałku. Najpierw lekko namydliła jedną rękę, potem spłukała i wytarła do sucha. Jego pachy porastały proste, gęste, czarne włosy - bardzo niepokojący widok. Skoncentrowała się więc na barku, starając się nie patrzeć na pachy. Łóżko stało w rogu pokoju, toteż ręka leżąca od ściany sprawiała więcej trudności. Panna Abigail próbowała

wysunąć łóżko, żeby mieć dostęp do pacjenta z tamtej strony, ale było zbyt ciężkie i ani drgnęło. Jeszcze raz więc skończyło się na tym, że aby ułatwić sobie zadanie, weszła do jego łóżka.

Górna część ciała skończona...

Panna Abigail przełknęła nerwowo ślinę, a potem przypomniała sobie, że przecież pacjent jest nieprzytomny.

Umieściła ceratę pod jego prawą nogą i umyła ją starannie, unikając dotykania tego przeklętego uda. Stopę miał dużą, poczuła dziwne podniecenie, kiedy myła podeszwę, a potem skórę między palcami, którą zacieniały włosy rosnące między stawami. Przyznała teraz racje słowom doktora Dougherty: znacznie bardziej żenujące było spełnianie podobnych posług przy nieznanym niż przy ojcu. Prześcieradło w dalszym ciągu okrywało intymne partie ciała. Udało jej się nie odkryć ich także w trakcie mycia drugiej nogi. „Tych partii” nie umyła.

Ale widziała je raz i nie mogła wyrzucić ze swej pamięci tego obrazu.

W ciągu dnia pacjent coraz częściej poruszał oczami, choć nadal ich nie otwierał. Od czasu do czasu widziała, jak napinał mięśnie i bez przerwy się rzucał, więc przywiązała go mocno do poręczy łóżka.

Kiedy panna Abigail porządkowała rano pokój Davida, dowiedziała się, że zajmuje się sprzedawaniem butów dla firmy z Filadelfii. Zaskoczył ją stwierdzeniem:

- Jak wrócę, to przyśle pani parę naszych najlepszych bucików.

Położyła drobna dłoń na wysokim kołnierzu bluzki, dyskretnie dotykając szyi palcami, jakby chciała ukryć bicie pulsu.

- Ależ, panie Melcher... obawiam się, że to niemożliwe, chociaż bardzo bym chciała mieć parę męskich bucików.

- Niemożliwe? Dlaczego?

- Panna Abigail spuściła oczy.

- Dama nie przyjmuje tak osobistych prezentów od dżentelmena, jeżeli nie jest on...

- Jeżeli nie jest on kim, panno Abigail? - spytał łagodnie.

Poczuła, że się rumieni, i wpatrywała się w obręb spódnicy.

- No, jakże, panie Melcher, to po prostu nie wypada. - Podniosła wzrok i zobaczyła, że wpatruje się w nią para piwnych oczu - Ale mimo wszystko bardzo panu dziękuję - powiedziała rozmarzona.

Uznała sprawę za zakończoną, ale koło południa pan Melcher Oznajmił, że czuje się

na tyle dobrze, by zejść na obiad do kuchni, przeprosił jednak, że nie ma co włożyć na nogi.

- Chyba uda mi się znaleźć jakieś kapcie ojca.

Przyniosła kapcie i uklękła przed nim.

Widok ten wyraźnie poruszył Davida. Była to elegancka, subtelna kobieta, a każda jej kolejna uprzejmość wzbudzała w nim coraz większe uwielbienie. Podniósł się niepewnie, skakał na jednej nodze, próbując złapać równowagę, więc panna Abigail objęła go w talii, a on oparł się na jej ramieniu.

- Podłoga jest śliska, proszę się trzymać poręczy - ostrzegła.

Ruszyli w dół po schodach, po jednym stopniu, a ilekroć opierał się na niej, zbliżał twarz do jej skroni. Wciąż pachniała różami.

Wolna ręka panny Abigail znalazła się na gorsie jego koszuli, czuła więc, jak napinają się mięśnie klatki piersiowej za każdym razem, gdy opierał się na poręczy.

- Jaki kolor by pani odpowiadał, panno Abigail? - spytał między jednym a drugim skokiem.

- Kolor? - Przystanęli, a ona spojrzała na jego twarz oddaloną ledwie o kilka centymetrów.

- W jakim kolorze buciki mam wybrać dla pani? - Wykonali kolejny krok.

- Niech pan nie będzie głuptasem, panie Melcher. - Znowu się zatrzymali, ale teraz obawiała się podnieść wzrok.

- A co by pani powiedziała na jasnobrazową skórę? - Lekko ścisnął ją za ramię, wprawiając jej serce w szalone bicie. - Wyglądałyby świetnie z tym, co pani ma na sobie. Proszę sobie wyobrazić skórę i te miękkie koronki. - Dotknął koronki jej mankietu.

- Niech pan zrobi kolejny krok, panie Melcher.

- Byłbym zaszczycony, gdyby zechciała pani przyjąć buciki.

Ze spuszczonej ręki nadal trzymała rękę na jego torsie.

- Nawet nie miałabym dokąd w nich pójść.

- Nigdy w to nie uwierzę. Kobieta o tak pięknym wyglądzie...

- Nie... nie miałabym. Proszę... obiad gotowy. - Usiłowała go poruszyć, ale opierał się, poczuła, że serce bije mu równie gwałtownie jak jej własne.

- Proszę się nie zdziwić, jeśli pewnego dnia dotrze do pani para bucików. Będzie to znak, że myślę o pani. - Wyszeptał : - Panno Abigail...

Wreszcie podniosła wzrok, a w jego oczach wyczytała całą gamę uczuć. Poczuła silniejszy uścisk jego ręki na swoim ramieniu. Widziała, jak przetyka ślinę. Oddech uwiązł jej w gardle, zetknęła się z jego spojrzeniem. A kiedy dotknął jej ust miękkimi wargami, pod

dłonią wyczuła znowu zamieszanie w jego piersi. Był to pocałunek tak delikatny jak westchnienie. Po chwili David Melcher odsunął się i spojrzał w jej wilgotne oczy. Serce jej waliło, kolana się ugiwały, przez chwilę obawiała się, że spadnie ze schodów, tak silny czuła zawrót głowy. Jednak skromnie spuściła powieki i znowu podjęła swój powolny, ściskający za serce marsz do kuchni.

Wiele lat upłynęło, odkuci David Melcher mieszkał w domu z podobną kuchnią. Błat stołu pokrywało wykrochmalone żółte płótno, pasujące do zasłon okiennych, które wydymał szemrzący wiatr. Nakrycia leżały na stole, a na jego talerzu spoczywała starannie złożona lniana serwetka. Wodził oczyma za Abigail McKenzie, kiedy podawała proste, pachnące potrawy. Na jego talerzu znalazły się trzy puchate złociste biszkopty. Z garnka w niebieskie kropki panna Abigail wyjęła kawałeczki kurczaka i polała je sosem.

- Od jak dawna nie był pan w domu, panie Melcher?

Można powiedzieć, że nie mam domu. Kiedy wracam do Filadelfii, biorę pokój w Klubie Elizejskim. Proszę mi wierzyć, że w niczym to nie przypomina...

- A więc pan... pan nie ma rodziny?

- Nikogo. - Oczy ich się spotkały i rozeszły. Z zacienionego podwórza dochodził świergot ptaków i mocny zapach nasturcji. Pomyślał, że nigdy nie chciałby stąd wyjeżdżać, i próbował odgadnąć, czy ona czuje równie nagłą potrzebę założenia gniazda.

Czarnowłosa, świeżo ogolony mężczyzna zaczął sobie uzmysławiać otaczające go zapachy, podobnie jak przedtem wyczuwał ciepło. Miał zamknięte oczy, ale poczuł jakiś słodki aromat, jakby kwiatów. Ze świeżej pościeli unosiła się przyjemna woń krochmalu i mydła. Od czasu do czasu dolatywał niepokojący zapach gotującego się kurczaka. Otworzył oczy i ujrzał jakiś fantastyczny węzeł haftu na poduszce. A więc... to nie był sen. Słodki zapach dochodził od pomarańczowego bukietu na niskim stoliku w pobliżu wykuszowego okna. Ławeczka pod oknem wyłożona była poduszkami w żółte kwiaty, takie jak na zasłonach.

Zamknął oczy, usiłując sobie przypomnieć, do kogo należy sypialnia. Niewątpliwie do kobiety, bo na tapetach też były kwiaty, i nad toaletką lustro na zawiasach.

Nic poruszył się, jedynie podnosił i opuszczał powieki. Czuł mrowienie w lewej ręce, jakby nie przepływała przez nią krew. Kiedy zgiął palce, objęły metalową rurkę - uświadomił sobie ze zgrozą, że jest przywiązany do łóżka.

A więc ta wiedźma to nie był koszmar senny! Któż inny mógłby go przywiązać? Przeworność nie była mu obca, toteż ukradkiem sprawdził wiązania, by się przekonać, czy

dałoby się je zerwać. Trzymały jednak mocno i nogę, i rękę.

Uniół powieki i ujrzał brązową spódnicę stojącej przy łóżku kobiety. Powoli oceniał sytuację, zastanawiając się, czy powinien użyć prawej ręki, by niespodziewanym ciosem zwalić ją z nóg. Znowu opuścił powieki, udając, że z powrotem zapada w niebyt, aby przez na pół opuszczone rzęsy przyjrzeć się jej twarzy.

Niewiele jednak mógł zobaczyć. Zasłoniła twarz dłońmi złożonymi przed nosem gestem radości, rozpaczy lub modlitwy. Ale już to, co ujrzał, upewniło go, że nigdy w życiu nie widział tej kobiety. W każdym razie nie stwierdził nic nadzwyczajnego, a z surowego uczesania wywnioskował, że nie była to dziewczyna z baru. Długie rękawy i kołnierzyk wysoko pod szyją wskazywały, że nie pracowała również w tańcbudzie. W końcu, doszedłszy do wniosku, że z jej strony nie grozi mu niebezpieczeństwo, otworzył oczy.

Natychmiast oderwała ręce od twarzy, pochyliła się nad nim i przyłożyła mu jedną, och, jakże zimną - dłoń do czoła. Nie pachniała jak dziewczyna z baru.

- Jak się pan nazywa... proszę mi podać swoje nazwisko - powiedziała błagalnym tonem.

Zastanawiał się, dlaczego, do wszystkich diabłów, nie zna jego nazwiska, skoro znać je powinna, ale się nie odezwał.

- Proszę - nalegała od nowa. - Proszę mi podać swoje nazwisko.

Nagle rzucił się, wykręcił więzy i gorączkowo rozglądał się po pokoju w poszukiwaniu czegoś.

- Moja kamera! - wycharczał. Wydobył z siebie żalony skrzekliwy głos, poczuł ból w całym ciele. Otworzyła szeroko oczy, kiedy zaczął się rzucać, odskoczyła do tyłu i zawisła mu wzrokiem na ustach. - Moja kamera! - Ta pierwsza próba wypowiedzenia kilku słów wywołała przeszywający ból w jego gardle. Próbował raz jeszcze, ale z ust wydobył się jedynie charkot. Ona jednak odczytywała ruchy jego warg i to wystarczyło, by wprawić ją w nagły zachwyt.

- Cameron! - rzekła z niedowierzaniem.

Chciał ją poprawić, ale nie mógł.

- Mike Cameron - powiedziała głośniejszym głosem, jakby te słowa graniczyły z cudem. - Cameron... cos podobnego! - Rozpromieniła się i radośnie klasnęła w dłonie: - Dzięki Bogu! Panie Cameron, byłam pewna, że panu się uda!

Pomyłona czy co? Przypominała wiedźmę, którą widział na swoim łóżku we śnie, tyle że była czysta i schludna i miło było na nią popatrzeć. A jednak zachowywała się, jakby brakowało jej jednej klepki, pomyślał więc, że może powinien był trzasnąć ją, kiedy miał

sposobność, żeby w ten sposób wyrwała się z transu.

Obróciła się na pięcie, stała teraz twarzą do okna, a z tyłu wydawało się, że wyciera oczy. Ale dlaczego, u diabła, miałyby nad nim płakać?

Kiedy znowu stanęła twarzą do niego, usiłował powiedzieć: „Nie nazywam się Cameron”, ale znowu poczuł straszny ból w gardle i wydał niezrozumiały dźwięk.

- Panie Cameron, niech pan nie próbuje mówić. Miał pan w ustach i w gardle obce ciała i dlatego tak bardzo to boli. Proszę leżeć spokojnie.

Próbował usiąść, ale zbliżyła się błyskawicznie i położyła mu na piersiach te swoje zimne dłonie, żeby go przytrzymać.

- Panie Cameron, proszę tego nie robić. Nie może pan się jeszcze poruszać. Jeśli pan obieca, że nie będzie próbował wstawać, rozwiążę te bandaże. - Spojrzała w jego ciemne, pełne podejrzliwości oczy.

Wtedy dokładnie jej się przyjrzał. Wydawało się, że ma nic więcej siły niż dziesięcioletni chłopiec, ale wyczytał z jej oczu, że jeśli trzeba będzie, zrobi wszystko, żeby był posłuszny. Przy najmniejszym ruchu większość mięśni sprawiała piekielny ból. Nie miał zbytnej ochoty zmagać się nawet z takim kolibrem jak ona. Wykrzywił usta, niemal niedostrzegalnie skinął głową na znak zgody, potem usłyszał u wezglowia dziwny odgłos, a za chwilę podobny od strony nóg. W zasięgu wzroku pojawiła się kobieta z bandażami z gazy, uwolniła go, żeby mógł poruszać kończynami, które jednak teraz odmówiły posłuszeństwa.

- Sam pan widzi, panie Cameron, w jakim stanie osłabienia pan się znajduje. - Zręcznymi ruchami zaczęła nacierać jego zdrtwiałą rękę, masując mięśnie. - Trzeba pozwolić, żeby krew napłynęła z powrotem... Za chwilę wszystko będzie dobrze. Ale nie wolno się panu ruszać. Muszę pana na chwilę zostawić, żeby przygotować coś do jedzenia. Był pan nieprzytomny przez dwa dni.

Nagle poczuł, że krew napływa z powrotem niby wiosenny potok, pulsuje w żyłach, kłuje tysiącami szpilek. Złapał powietrze i wyprężył się. Ale łapanie powietrza wywoływało ból gardła, a próba naprężenia ciała - wszechogarniający ból. Usiłował zakląć, ale to sprawiało jeszcze większe cierpienie, poddał się więc, upuszczając powieki, walcząc z dziwnym uczuciem, że za chwilę jego skóra eksploduje. Panna Abigail przytrzymywała bezwładną rękę pod pachą, a on leżał nieruchomo, wsłuchując się w głuchy odgłos klepania, kiedy próbowała przywrócić obieg krwi w zdrtwiałej kończynie. Przypominało to ubijanie mięsa na kolację. Nie czuł, że jej dotyka, a kiedy w chwilę później otworzył oczy, zobaczył, że ręka leży z powrotem na prześcieradle, a kobiety nie ma już w pokoju.

Prawe kolano miał podniesione. Kiedy napiął mięśnie, pot oblał mu czoło i pachy. Co za piekło! - pomyślał. Spojrzał na swój obnażony tors. Prawe udo ozdabiała biała opaska. Podniósł odruchowo prawą rękę, żeby dotknąć bandaża, ale doznał paroksyzmu bólu, tym razem skoncentrowanego w dłoni. Miał wrażenie, że ściska mu dłoń jakaś gigantyczna łapa. Posłużył się więc lewą ręką, by dotknąć wilgotnej, przylepionej do skóry materii, która strzegła jakiejś tajemnicy w pobliżu pachwiny. Niczego się nie dowiedział. Macając dalej, odkrył prześcieradło przerzucone przez, lewe udo i przykrywające intymne części ciała aż do pępka. Nie zdziwiło go, że obudził się nagi w łóżku kobiety, ale obudzenie się w łóżku takiej kobiety było naprawdę cholerną niespodzianką!

Błądził wzrokiem po pokoju, słuchając dobiegających zza drzwi odgłosów domowej krzątanimy, i zastanawiał się od jak dawna nie przebywał już w podobnym miejscu. Pokój przypominał ogród jakiejś starej panny - wszędzie kwiaty! Nie miał wątpliwości, że to jej pokój, za bukietem dostrzegł dwa portrety w owalnej ramie, a na ławeczce we wgłębieniu wykuszowego okna otwartą książkę z wystającą z niej zakładką zrobioną szydełkiem. Zobaczył niewielki fotel na biegunach, z wyszywaną poduszką, a na podłodze obok koszyczek do robótek ręcznych. Pod jedną ścianą stała szafa, a pod drugą toaletka.

Przez otwarte drzwi ujrzał obitą zielonym welwetem kanapkę; to musiał być salonik. Obok stał niewielki stolik, a na nim lampa z abazurem z matowego białego szkła pomalowanego w różę. Boże! Znowu kwiaty pomyślał, fragment okna z koronkowymi firankami, zasłony z falbanami i sznurami. Salonik starej panny - uznał. Oczy mu się zamknęły i zastanawiał się, w jaki sposób, u licha, tu się znalazł.

- Bardzo proszę, panie Cameron. - Otworzył oczy, drgnął i skrzywił się. - Zrobiłam panu trochę lekkiego rosołu i herbaty. To niewiele, ale przez jakiś czas będziemy musieli zwracać większą uwagę na pańskie gardło niż na pański apetyt. - Niosła rzeźbioną drewnianą tacę, z której brzegów zwieszały się trójkąty lnianej serwetki.

Wielkie nieba pomyślał coś takiego! Prawdopodobnie sama szła te serwetki. Przyciskając tacę do pasa, opróżniła miejsce na stoliku przy łóżku. Że zdziwieniem dostrzegł, że obciążnięta przez tacę bluzka opina się na pełnych i jędrnych piersiach. Ubierała się jak kobieta, która nie życzy sobie, żeby świat podejrzewał, że w ogóle ma piersi! Jednak nawet najlepiej zamaskowana para jędrnych piersi nie mogła się ukryć przed jego wzrokiem. Wodził oczami za kobietą, kiedy podeszła do szafy i wyjęła z niej poduszkę. Kiedy podkładała mu ją pod głowę, znowu owiał go ów zapach krochmalu i świeżości. Przypomnił sobie liczne noce spędzone na wilgotnej podłodze namiotu pod zatechłym kocem. Gdy ujęła dłońmi jego głowę i uniosła ją, poczuł w dolnych partiach ciała fale bólu. Odruchowo zamknął oczy i głośno

zaczepnął tchu. Kiedy ból ustał, znowu usłyszał jej głos.

- Przyniosłam coś, żeby odświeżyć panu usta. Wodę z sodą. - Ściereczka dotknęła jego brody, a brzeg szklanki jego warg, wciągnął wtedy w usta słony roztwór. - Niech pan to chwilę potrzyma w ustach, aż się spieni. Ta piana jest bardzo odświeżająca. - Był zbyt słaby, by się spierać, obserwował jednak ukradkiem, jak podsuwała mu miskę, by wypłuć wodę. Kiedy opluł sobie brodę, natychmiast wytarła ją wilgotną, ciepłą ściereczką, po czym umyła mu całą twarz jak dziecku. Usiłował się odsunąć gwałtownym ruchem, ale było to zbyt bolesne, więc się poddał. Następnie położyła mu serwetkę pod brodę i zaczęła łyżką rosół. Potem od spodu osłaniała ją zwinętą dłonią w drodze do jego ust.

Panna Abigail zastanawiała się, dlaczego tak się krzywił, i nie przestawała mówić, ponieważ przerażała ją jego niemal zupełnie czarne oczy.

- Miał pan szczęście, panie Cameron. Był pan ciężko ranny i o mało nie wykrwawił się na śmierć. Na szczęście doktor Dougherty...

Dalej coś opowiadała, ale usłyszał z tego niewiele prócz informacji, że został postrzelony. Usiłował podnieść prawą rękę, przypomniał sobie, jak bardzo to boli, więc posłużył się lewą, żeby powstrzymać zmierzającą do ust łyżkę. Ale uderzył pannę Abigail w rękę i zupa rozlała mu się na brodę i spływała po szyi. Cholera! - pomyślał i próbował bezskutecznie to wypowiedzieć, podczas gdy ona starannie wycierała, obmywała, osuszała mu brodę.

- Panie Cameron, proszę się zachowywać przyzwoicie! Widzi pan, co pan narobił.

Panna Abigail doskonale zdawała sobie sprawę, że każdy mężczyzna, dowiedziawszy się, iż został postrzelony, chciałby przede wszystkim wiedzieć, kto to zrobił! Czy musi się o to pytać, mając tak podrażnione gardło? Wciąż podawała mu ten idiotyczny rosół i tym razem udało mu się złapać jej rękę w przegubie, co sprawiło, że szeroko otworzyła zdumione oczy.

- Kto mnie postrzelił - próbował zapytać, ale ból palił mu gardło, starał się więc wyartykułować to pytanie ruchem warg. Patrzyła na niego jak oniemiała, zwinęła rękę w pięść i wykręcała ją, chcąc się uwolnić.

- Nie ja, panie Cameron - oświadczyła pośpiesznie - więc nie ma powodu mnie atakować - Rozluźnił uchwyt, wyrwała dłoń, zdziwiona siłą, jakiej dodawał mu gniew. - Obawiam się, że zbyt pochopnie pana rozwiązałam - powiedziała przez nos, rozcierając palcami czerwoną plamę w miejscu, gdzie sztywny koronkowy mankiet odcisnął się na nadgarstku.

Widział po jej minie, że nie była przyzwyczajona do przemocy. Naprawdę nie zamierzał jej przestraszyć, ale chciał uzyskać pewne wyjaśnienia. Miała mnóstwo czasu, żeby

udzielić mu informacji, kiedy kręciła się z ta poduszka albo myła mu twarz. Znowu sięgnęła po jej nadgarstek, ale wymknęła się. Tym razem jedynie dotknął jej ręki, żeby skłonić ją do spojrzenia na swoje usta.

- Kto mnie postrzelił? - zapytał raz jeszcze ruchem warg.

Przybrała oficjalny wyraz twarzy i rzuciła krótko:

- Nie wiem - po czym wepchnęła mu do ust łyżkę, uderzając nią o zęby.

Łyżka zaczęła kursować coraz szybciej i szybciej, zaledwie nadażał z przetykaniem. - Ta suka mnie udławi, niech ją diabli! - Zaklął w myślach. Tym razem przechwycił łyżkę w połowie drogi i rozchlapał rosół z kurczaka na gorsie jej nieskazitelnej bluzki. Cofnęła się, wyprostowana, zamknęła oczy, jakby błagała bogów o cierpliwość. Nozdrza jej chodziły, kiedy spojrzała na niego z nienawiścią. Wskazał brodą na miseczkę z zupą, mamrocąc z furją, dopóki nie ustawiła jej bliżej. W czasie jedzenia zorientował się, że umiera z głodu. Jednak niezręcznie posługiwał się lewą ręką, toteż po kilku nieudanych próbach odrzucił łyżkę, chwycił miskę i złopał z niej zupę, czerpiąc perwersyjną przyjemność ze świadomości, że szokuje tę kobietę.

Barbarzyńca! pomyślała. Walczyłam o to, by uratować życie barbarzyńcy! Jak wygłodniała bestia wyzłopał zupę do końca. Kiedy jednak wzięła w dłoń miseczkę, wyszarpał ją jednym ruchem, układając usta w pytanie: „Kto do mnie strzelał?” Uparła się, żeby odebrać mu naczynie, ale nie zważając na ból, wyrwał H' z powrotem i cisnął przed siebie, aż stłukło się o podstawę siedzenia w wykuszowym oknie. Przeszywał pannę Abigail wściekłym wzrokiem. Twarz mu zsiniała, kiedy musiał wydobyć głos, co szarpało mu gardło na strzępy.

- Ty cholerna suko! Czy to ty? - wyskrzeczwał.

Och, ten ból! Co za ból! Schwycił się za gardło, a ona odskoczyła do tyłu, zaciskając przed sobą dłonie tak mocno, że aż na jej policzkach pojawiły się dwie czerwone plamy. Nigdy w życiu nikt nie odezwał się w ten sposób do panny Abigail McKenzie. I pomyśleć, że pielęgnowała tego... tego potwora, starała się, żeby odzyskał przytomność, żeby przemówił, a wszystko po to, by usłyszeć przekleństwa, by nazwał ją suką i oskarżył, że to ona go postrzeliła! Wydeła pogardliwie usta, ale zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, usłyszała zaniepokojony głos Davida Melchera.

- Panno Abigail! Panno Abigail! Czy wszystko w porządku?

- Kto to? - spytał chrypliwy głos.

Z olbrzymią przyjemnością udzieliła mu nareszcie odpowiedzi:

- To, mój panie, jest człowiek, który do pana strzelał!

Zanim dotarła do niego ta odpowiedź, znowu rozległ się głos z głębi domu:

- Czy ten bydlak próbował panią skrzywdzić?

Wybiegła, najprawdopodobniej do podnóża schodów.

- Wszystko w porządku, panie Melcher, proszę wracać do łóżku. Miałam drobny wypadek z talerzem zupy.

Melcher? Kim, u diabła, jest ten Melcher, że nazywa go bydlakiem? A dlaczego ona skłamała o tym talerzu zupy?

Wróciła do pokoju i uklękła, żeby pozbierać skorupy. Marzył o tym, żeby zarzucić ją pytaniami, żeby podskoczyć i potrząsnąć nią, zmusić do wypełnienia wszystkich luk w jego wiadomościach, ale po ciśnięciu tym przeklętym talerzem zawładnął nim ból. Mógł jedynie popatrzeć na nią, kiedy na chwilę stanęła przy łóżku, pełna wyniosłości.

- Przeklinanie, panie Cameron, to podpórka dla tępaków. Co więcej, nie jestem suką, ale gdybym była, to może nawet bym do pana strzeliła, żeby go uwolnić od nieszczęść, które na siebie sprowadził, i tym samym pozbyć się pana. Ja, w przeciwieństwie do pana, jestem osobą cywilizowaną, będę więc jedynie stała z boku w nadziei, że udławi się pan na śmierć! - Mówiła dobitnie, przy czym z hukiem rzucała na tacę kolejne fragmenty stłuczonego talerza. Zanim jednak wyszła, udreńczyła go jeszcze bardziej, ciskając ostatni ochłap, akurat tyle, by obudzić w nim tysiące nie wyjaśnionych pytań.

- Został pan postrzelony, panie Cameron, kiedy usiłował pan dokonać napadu na pociąg... zmarszczyła brwi i dodała: - Tak jakby pan o tym nie wiedział! - I po tych słowach wyszła.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Zacisnął zdrową pięść. Och, to jakaś zadowolona z siebie suka! Jaki pociąg? Nie jestem żadnym cholernym złodziejem kolejowym! A kim jest ten Melcher? Najwyraźniej nie jest to jej mąż. Opiekun? Akurat! Tak jej potrzebny opiekun jak tarantuli!

Panna Abigail stała w kuchni roztrzęsiona jak osika, patrzyła na potłuczona porcelanę i zastanawiała się, dlaczego nie posłuchała ostrzeżeń doktora Dougherty. Nigdy w życiu nie odezwano się do niej w ten sposób! Pozbądź się go, zanim dzień dobiegnie końca, tyle przynajmniej sobie przyrzekła. Przycisnęła ręką pulsującą skroń, zamierzała pobiec do doktora Dougherty i wytłumaczyć się chorobą. Tylko, że wówczas doktor niewątpliwie zabierze i pana Melchera. W tym momencie przypomniała sobie, jak rozpaczliwie potrzebuje pieniędzy, i przygotowała się wewnątrz na przetrwanie długiego dnia, jaki ją czekał.

Tymczasem w sypialni pacjent marzył o tym, by ryczeć jak bawół, dopóki ktoś mu nie wyjaśni, co się tu, u diabła, dzieje. Leżał jednak tylko, oblewając się potem i kręcąc się bardziej, niż to było wskazane. Noga, biodro i dół brzucha były w ogniu. Zakrył dłonią oczy i zaciskał zęby z bólu. I w tej pozycji zastała go panna Abigail.

- Już minęły dwa dni od...

Poderwał się i schwycił go nowy paroksyzm bólu. Niech ją diabli! Czy musi się zawsze tak skradać?

Bardzo opanowana, panna Abigail jeszcze raz zaczęła zdanie, wręcz przesadnie panując nad sobą:

- Pomyślałam, że może chciałby się pan wypróżnić. - Wypowiadając te słowa, wpatrywała się w gałkę na oparciu łóżka.

Patrzył na nią nieufnie, zdając sobie sprawę, że trzyma go na muszce. Rzeczywiście musiał się wypróżnić i doskonale wiedział, że nie może w tym celu nigdzie pójść. Cóż więc miała na myśli?

Głosem zimnym jak lód wydawała polecenia:

- Niech się pan nie stara mówić ani nadwierać nogi. Najpierw pomogę panu przewrócić się na bok.

Podeszła do łóżka, wyciągnęła wałki spod jego kolana, wyprostowała nogę z zadziwiającą delikatnością, wysunęła spod materaca końce prześcieradła i za jego pomocą obróciła pacjenta twarzą do ściany. Był w dalszym ciągu nakryty drugim prześcieradłem. Postawiła obok niego płaski porcelanowy nocnik i bez słowa wyszła z pokoju, zamykając za sobą drzwi niemal bezszelestnie.

Co to za kobieta? Wkroczyła, przynosząc mu ten nocnik, jakby nie pamiętała, że zaledwie przed kilkoma minutami stłukł talerz do zupy i nazwał ją suką. Większość kobiet odmówiłaby dalszej pomocy, choćby tylko ze złości... a ona nie. Dlaczego ten fakt tak go irytuje? Może dlatego, że robiła wrażenie osoby tak kruchej, że da się ją zastraszyć groźnym wzrokiem? Może dlatego, że wykonał taką próbę i próba ta się nie powiodła?

Przyszła po nocnik z tak samo milczącą i nieprzeniknioną twarzą jak przedtem. Nie musieli się zresztą odzywać, żeby zrozumieć, że trafił swój na swego.

Zemściła się wprost idealnie za jego nieznośne zachowanie rano: zostawiła go samego. Panna Abigail doskonale zdawała sobie sprawę, że dręczy go tysiąc nie wyjaśnionych pytań. Bardzo dobrze! Niech dręczy! Na nic więcej nie zasługuje.

W ozdobionej kwiatami sypialni tak właśnie się działo. Suka! - powtarzał w myślach wciąż od nowa, niezdolny ani krzyknąć, ani zapytać o to, czego tak bardzo pragnął się teraz dowiedzieć. Wściekał się przez resztę dnia, uwięziony przez nią w tym nieznośnym ogrodzie z żółtymi kwiatami jak głupi bąk w szklanym słoju. W pewnej chwili usłyszał nawet, że z miejsca, które wydawało się kuchnią, dochodzi jej podśpiewywanie, co rozzłościło go jeszcze bardziej. Ona sobie tam podśpiewuje, podczas gdy on nie może nawet zaskrzeczeć, żeby nie okupić tego bólem.

O wiele później usłyszał, że wchodzi na górę, potem obydwójce zeszli na kolację. W cichym domu dobiegały go fragmenty ich rozmowy, w każdym razie usłyszał wystarczająco dużo, by się zorientować, że ta para doskonale się ze sobą czuje.

- Och, panno Abigail, nasturcje na stole!

- Jak to przyjemnie spotkać mężczyznę, który potrafi rozpoznać nasturcje.

- Jak przyjemnie poznać kobietę, która jeszcze je sieje! - Podśluchujący w sypialni wzniosł uczy do fory.

- Może jutro będzie pan miał dość siły, by posiedzieć w ogródku za domem, kiedy będę wrywała zielsko.

- Bardzo bym chciał, panno Abigail, naprawdę bardzo!

- A więc tak zrobimy, panie Melcher obiecała, a potem spytała: - Czy lubi pan świeżą lemoniadę?

- Chciałbym, żeby mówiła pani do mnie David. Tak, bardzo lubię lemoniadę.

- To jutro ją wypijemy... w ogrodzie?

- Czekam na to z niecierpliwością.

Pomogła mu wrócić do łóżka. Mężczyzna na dole słyszał, jak wchodzili po schodach, a potem nastąpiła cisza, więc pomyślał: nie, to niemożliwe. Ale było to możliwe, ponieważ

David Melcher z uwielbieniem całował pannę Abigail, a następnie patrzył, jak odchodzi zmieszana i rumiana niczym brzoskwinia.

Po tym przyjemnym interludium zeszła na dół, mając w perspektywie przerażająco konieczność ponownego nakarmienia tego czarnego brutala. Chętnie zagłodziłaby go na śmierć. Co więcej, bała się do niego zbliżyć, a jeszcze bardziej się obawiała, że nie potrafi tego strachu ukryć. Przygotowała dla niego grzankę z mlekiem i wkroczyła do sypialni, gotowa cisnąć w niego jedzeniem i poparzyć go, gdyby znowu próbował ją schwytać.

- Przyniosłam panu grzankę z mlekiem - poinformowała.

Pomyślał, że wygląda tak, jakby ta grzanka skwaśniała jej w ustach.

- Bah! - była to jedyna opinia na temat grzanki z mlekiem, jaką potrafił wykrztusić. - Umieram z głodu - przekazał ruchami warg.

- Chciałabym, żeby tak było powiedziała słodko, po czym wepchnęła mu pod brodę serwetkę. - Niech pan się nie rusza i zje to.

O mało się nie zakrztusił gorącym mlekiem, a oślizgły chleb z trudem przeciskał się przez gardło. Każdy kęs był torturą. Zastanawiał się, co mogło spowodować takie okaleczenie przełyku, i wiedział, że niczego się od niej nie dowie, bo nadal wydawała się urażona.

Patrzyli na siebie z wrogością. On, czekając na możliwość zadawania pytań, a ona - gotowa uskoczyć w bezpieczne miejsce przy pierwszych oznakach brutalności. Nie mogła znieść jego widoku i myślała, jak to dobrze, że on nie może mówić. A ponieważ nie wydawał się zdolny do prowadzenia godnej rozmowy, zostawiła go własnym myślom. Zrobiła porządek w kuchni i poczuła się wyczerpana. Niestety, wszystkie niezbędne na noc rzeczy znajdowały się w sypialni, a nie miała najmniejszego zamiaru znowu tam wchodzić. Wymyśliła więc pretekst: płukanie gardła.

Podeszła na palcach pod drzwi, zajrzała do środka, siląc się na odwagę. Ranny patrzył w okno, intensywnie napinając mięśnie szczęki. A, więc dalej jest zły - pomyślała. Znowu odrósł mu zarost, zaciemniając całą twarz. Wpatrując się w jego usta, które mimowolnie obnażyła, zadrzała na myśl, co się stanie, kiedy on odkryje, że nie ma wąsów. Och, żeby tak odrosły jak najprędzej!

Przeszła bezszelestnie przez próg, niemal trzęsąc się ze strachu.

- Jest pan gotów zachowywać się kulturalnie? - spytała.

Gwałtownie odwrócił głowę i zacisnął zdrową pięść. Wykrzywił się z bólu. To cholerne skradanie się! - pomyślał.

- Czy zamierza pani uśmiercić mnie przez zaniedbanie? - wyszeptał z wysiłkiem, przyciskając rękę do żołądka. - Czy uważa pani, że zrobi to ta oślizgła grzanka?

Wspomnienie ciepłych komplementów Davida Melchera nadało jej głosowi jeszcze bardziej lodowaty ton, kiedy odpowiedziała:

- Usiłowałam dać panu nauczkę, ale najwyraźniej mi się to nie udało. Odwróciła się do wyjścia.

- Nie... proszę poczekać! - wykrztusił.

- Poczekać, panie Cameron? A na co? Na to, żeby mnie pan obrażał i przeklinał, żeby tłukł pan moje naczynia w podzięce za to, że przynoszę jedzenie?

- Nazywa pani tę bryję jedzeniem? Umieram z głodu, a pani mi przynosi rosółek i grzanekę rozmoczoną w mleku, po czym wynosi się pani z pokoju nawet bez pożegnania! Leżę tutaj nie wiadomo od jak dawna, czekając na wyjaśnienia, więc lepiej niech się panienka nie rusza stąd!

Oburzona jego wybuchem, próbowała uspokoić go chłodną, sarkastyczną wyższością.

- Coś podobnego! Jakim bogatym słownictwem pan dysponuje, panie Cameron! Bryja, rosółek, panienka... wysławia się pan jak prawdziwy uczonec. - Obrzuciła go pogardliwym spojrzeniem i wyprostowała plecy, usiłując robić wrażenie, że panuje nad sytuacją, choć naprawdę wcale nie czuła się tak pewna siebie. - Jeśli chce pan usłyszeć odpowiedź na jakiegokolwiek pytanie, musi pan przestać kłąć i rozkazywać, i zacząć traktować mnie z szacunkiem. Ja jestem tutaj od wydawania rozkazów, rozumie pan? Dostał się pan pod moją opiekę; i bez względu na to, do jakiego stopnia jest pan abominacyjny, zamierzam nią pana otoczyć. Ale nie muszę, powtarzam, nie muszę, znosić pańskiego grubiaństwa i obelg. A więc czy mam wyjść, czy gotów się pan podporządkować?

Znowu poruszył brodą, spojrzał na nią nieprzyjaznym wzrokiem i wyszeptał coś, co brzmiało jak „cholera”. Polem gardłowym głosem dodał:

- Zostań, Czerwony Kapturku, a ja spróbuję powściągnąć swój temperament.

- Nie wystarczy próbować, mój panie. - Potrafiła wymawiać „mój panie” w sposób wyjątkowo lodowaty, zważywszy ten jej słodki głosik.

- Dobrze, proszę pani - odparł, odpłacając jej tą samą monetą.

- W porządku. Przygotowałam płukanek na pana gardło. Jeśli pan z niej skorzysta, jestem pewna, że do rana nastąpi poprawa.

Wahała się jednak, stojąc poza zasięgiem jego ręki, jakby dalej mu nie dowierzała. Zastanawiał się, czy nie mrugnąć na nią, żeby ją wystraszyć, ale jedynie skinął głową, godząc się odłożyć brutalne działania.

Podeszła bliżej.

- Proszę, niech pan tylko płucze, nie połyka. - Pomogła mu nabrać płynu kątem warg.

Nabrał w usta jedynie połowę zawartości naczynia, ale natychmiast wypluł.

- Co za szczyzny!

- Panie Cameron! - syknęła, odsuwając od ciała moką bluzkę.

Tym razem naprawdę nie zamierzał jej zachlapać. W końcu chciał usłyszeć odpowiedź na swoje pytania, nawet gdyby oznaczało to kompletne podporządkowanie się.

- Przepraszam - wyszeptał nieszczerze.

Chyba uspokoiło ją to natychmiast, bo wyciągnęła kubek w jego stronę, a on skrzywił się, nabrawł w usta płynu i zaczął płukać, podczas gdy panna Abigail poinformowała go z niekłamaną satysfakcją:

- To stara recepta mojej babki: ocet, sól i czerwony pieprz.

Tym razem trafił do miski, ale o mało się nie zakrztusił.

- Proszę płukać! - rozkazała władcym tonem, podając mu szklanę. Przyjrząwszy się niechętnie naczyniu, wziął je w końcu do ręki. Okazało się, że tym razem wypełnione jest zwykłą wodą.

- Co, do diabła, stało się z moim gardłem? - wymamrotał.

- Tak jak mówiłam. Kiedy pan był nieprzytomny, dostały się tam obce ciała. Jutro powinno już być lepiej. Byłabym wdzięczna, gdyby zechciał pan zatrzymać swoje grubiaństwa dla siebie.

- Czy nie dosyć, że zostałem postrzelony, muszę się jeszcze zakrztusić? Każdy w mojej sytuacji zacząłby kłąć. A co się stało z tą ręką?

- Z ręką od pistoletu? - spytała słodko, a jedna zmarszczona brew rzucała mu ciężkie oskarżenia.

Wykrzywił się, przy czym na czole pojawiły się nieprzyjemne fałdy.

- Domyślam się - rzekła - iż w trakcie zamieszania ktoś na nią nadepnął, ma bowiem wyraźny ślad obcasa.

- Boli jak diabli.

- Nie wątpię. Sądząc z tego, jak wygląda, powinna boleć. Ale sam pan sobie winien, skoro usiłował pan obrabować pociąg.

- Nie rabowałem żadnego cholernego pociągu - wyszeptał gorączkowo.

Panna Abigail, która wyjmowała rzeczy z szafy w przeciwległym krańcu pokoju, zeszywniała, słysząc te słowa. Nie miała wątpliwości, że przekleństwa wypływały z jego ust z większą łatwością niż krew z ran. Trudno będzie zmusić go do posługiwania się cywilizowanym językiem. Były jednak jeszcze inne powody, by zwrócić mu uwagę.

- To dlaczego pan Melcher leży w pokoju na górze, zraniony przez pana, i dlaczego

złożył przeciwko panu zaprzysiężoną skargę, domagając się odszkodowania za wyrządzone przez pana szkody?

- Kim jest ten Melcher?

- Człowiekiem, którego pan postrzelił i który postrzelił pana.

- Co takiego?

- Was obydwu wyniesiono z pociągu tutaj, w Stuart's Junction, i jest cały wagon świadków, którzy widzieli, jak usiłował pan obrabować pasażerów Kolei Gór Skalistych, a on próbował pana powstrzymać. W trakcie zamieszania postrzeliliście się nawzajem.

Nie mógł w to uwierzyć, ale ona najwyraźniej wierzyła, podobnie jak jeszcze inne osoby w mieście. Tak się przynajmniej wydawało. Teraz, chociaż, wiedział, gdzie się znajduje.

- A więc jestem w Stuart's Junction.

- Tak.

- Jako czarny charakter?

- Naturalnie - potwierdziła z owym wyrazem wyższości.

- A Melcher jest bohaterem w miasteczku?

Nie uznała za stosowne odpowiadać na to pytanie.

- A czemu pani zawdzięcza honor opiekowania się nami, panno Abigail, bo wszak tak pani na imię?

Zignorowała jego sarkastyczny ton i odpowiedziała:

- Zgłosiłam się na ochotnika. Kolej Gór Skalistych płaci mi za tę opiekę, a potrzebuję pieniędzy.

- Kolej płaci pani?

- Owszem.

- A czy w tym miasteczku nie ma lekarza?

- Jest doktor Dougherty. Pewnie jutro pan go zobaczy. Nie przyszedł dzisiaj, więc chyba został wezwany na wieś. Może pan zachować dla niego pozostałe pytania. Jestem bardzo zmęczona. Dobranoc, panie Cameron.

Wymaszerowała z głową uniesioną do góry jak żyrafa, ucinając dalszy ciąg pytań, toteż znowu wpadł w furię. Zdarzyło mu się poznać parę zimnokrwistych kobiet, ale ta była wszystkie na głowę. A jaka nadęta! Była tak sztuczna, że wyobrażał sobie, iż gotowa jest spędzić noc oparta o ścianę w jakimś kącie. Dobranoc, panie Cameron! Akurat! Nie nazywam się Cameron, ale nie dałaś mi możliwości sprostowania. Wchodzi tu napuszona i komenderuje jak jędrza, która czerpie przyjemność z dokuczania mężczyznom. Och, znam takie typy, tak

zesznurowane fiszbinami gorsetu, że cierpią na chroniczną niestrawność.

A jednak na podstawie podsłuchanej rozmowy pomiędzy nią a tym Melcherem próbował dociec, czy tamtemu udało się jakimś cudem trochę ją ożywić. A potem, spojrzawszy na swoje obnażone biodro, zastanawiał się, jak też mogła reagować taka stara jędza na widok nagiego mężczyzny w swoim łóżku. Roześmiały się, gdyby nie sprawiało to tak wielkiego bólu. Nie - uznał - ona jest tak zimnokrwista jak żaba. Zaczął obmyślać, w jaki sposób zemści się, że tak go zostawia.

W ciemności doszedł go lekki szmer. Domyślał się, że ona przebiera się w saloniku. Niemal się spodziewał usłyszeć eksplozję, kiedy rozluźni fiszbiny gorsetu.

Oczywiście, na górze musiały być dodatkowe sypialnie. Ale z jakiegoś powodu panna Abigail uznała, że nie wypada, żeby poszła spać na górę, teraz, w tej sytuacji, kiedy tak dobrze się rozumieją z Davidem Melcherem. Znacznie lepiej będzie, jeśli spędzi noc na sofie w saloniku. To prawda, że okropny pan Cameron jest tuż za ścianą, ale panujący między nimi antagonizm czynił tę sytuację możliwą do zaakceptowania. W końcu teraz już przestało ją obchodzić, czy pacjent przeżyje, czy umrze.

Obudziła się, przeszył ją dreszcz, wyciągnęła szyję, świadoma, że coś wyrwało ją ze snu. Była głęboka noc, zza okna nie dochodziły głosy ptaków, w powietrzu unosiła się chłodna wilgoć.

- Panno Abigail!

Słyszała swoje imię wypowiedane ochryłym szeptem, wiedziała, że to on ją wzywa, i odruchowo sprawdziła guziki przy kołnierzyku nocnej koszuli.

- Panno Abigail! - wyszeptał znowu i tym razem nie zawahała się, nawet nie zapaliła lampy. Pewnie poruszała się w ciemności po znajomym wnętrzu, aż stanęła przy jego łóżku.

- Panno Abigail! - Usłyszała słaby głos.

- Jestem tutaj, panie Cameron.

- Jest... jest mi gorzej. Czy może mi pani pomóc?

- Zobaczę. - Coś jej mówiło, że on nie udaje. Szybko zapaliła lampę i przekonała się, że pacjent ma zamknięte oczy i zupełnie skopał z siebie prześcieradło. Przykryła go i pochyliła się, by zdjąć opatrunek.

- Wielki Boże! - jęknęła, kiedy zapach zaatakował jej nozdrza.

Boże, nie! - Brzegi rany, którą weszła kula, stały się ciemnoszare, a smród zgnilizny o mało nie zwałił jej z nóg.

- Muszę sprowadzić doktora Dougherty - powiedziała stłumionym głosem.

I wybiegła z pokoju.

Biegła bosą, ona, zawsze tak nienaganna, tak schludna panna Abigail, biegła na bosaka nie zważając na rosę, która zmoczyła obręb nocnej koszuli ślizgała się na wilgotnym żwirze. Z rozwianymi włosami pędziła ulicą frontową do domu doktora. Ale jeszcze zanim zapukała do drzwi, wiedziała, że nie ma go w domu. Nie przyszedł wieczorem odwiedzić pacjentów, co oznacza, że śpi w jakiejś zrujnowanej szopie z chorym koniem albo odbiera poród w wiejskim domu odległym o wiele mil. W drodze powrotnej panna Abigail na przemian przeklinała siebie i modliła się, szukając w myślach odpowiedzi na pytania, których nigdy nie zadała doktorowi Dougherty, przekonana, że ona nie musi tego wiedzieć. Nic powinna była dopuścić, by złość zatriumfowała nad zdrowym rozsądkiem. A tak właśnie się stało w dniu dzisiejszym. Ten mężczyzna tak ją rozzłościł, że nie mogła nawet pomyśleć o sprawdzeniu okładów i przekonaniu się, czy nie wymagają zmiany. Dlaczego tego nie zrobiła, nawet jeśli była wściekła? Jej matka mawiała: „Gniew służy tylko własnym celom”, i teraz dopiero zrozumiała, co to naprawdę znaczy.

Przeskoczyła schodki ganku z nocną koszulą uniesioną nad kolana, zatrzymała się dopiero u wezglowiu łóżka. Pacjent leżał z zamkniętymi oczami, oddychał zbyt płytko i cicho. Zapomniała momentalnie o całej złości na niego, o całym strachu. Wiedziała tylko, że musi zrobić wszystko, by uratować mu życie. Padła na kolana, by w cedrowej komóдке w nogach łóżka poszukać mocno zniszczonej książki, która przywędrowała tu na wozie razem z jej dziadkami. Księga ta zawierała spis lekarstw dla ludzi i zwierząt, i panna Abigail miała rozpaczliwą nadzieję, że znajdzie w niej odpowiedź na swoje problemy.

Pacjent poruszył się niespokojnie, podczas gdy ona nerwowo przewracała palcami kartki.

- Gdzie doktor? - wyszeptał chrapliwie.

Podbiegła do niego.

- Cicho - uspokajała. Wertowała książkę, oczy jej błyszczały, włosy miała potargane, odczytywała głośno oderwane zdania, aż wreszcie znalazła to, czego szukała. Rzuciła się do drzwi, powtarzając półgłosem jak litanie: Węgiel drzewny i drożdże, węgiel drzewny i drożdże.

Pacjent zapadł w rodzaj spokojnego rozmarzenia, które zdawało się go nie dotyczyć, choć jednocześnie docierały do niego fragmenty rzeczywistości. Usłyszał brzęk pokrywy od pieca, okrzyk: „Uf!”, uśmiechnął się, usiłując odgadnąć, co sobie zrobiła ta wielce ostrożna kobieta. Doszły go jakieś inne odgłosy, brzęk szkła, darcie materiału, nalewanie wody. Zdawało się, że wpłynęła do pokoju, ręce miała obciążone. Kiedy jednak zaczęła czyścić

ranę, wyrwało go to ze stanu szczęśliwego niebytu.

- Przykro mi, panie Cameron, ale muszę to zrobić.

Sięgnął w dół, by zatrzymać jej rękę.

- Proszę że mną nie walczyc. Proszę. Nie mam czasu, żeby pana znowu przywiązać. -

Wydał długi, przeciągły, chrapliwy jęk, a ona zacisnęła zęby i przygryzła wnętrze policzka. Ścisnął zdrową dłońią prześcieradło, a drugą uderzał bezwładnie w materac. Panna Abigail usunęła martwą tkankę przełykając kulę, która urosła jej w gardle, wytarła czoło wierzchem dłoni.

W jej oczach zebrały się łzy i spływały z kącików, kiedy przemywała ranę środkiem dezynfekującym, po czym wyszeptała:

- Już kończę, panie Cameron.

Poczuła, że złapał ją rękami za klatkę piersiową i pomyślała idiotycznie, że nie powinien się posługiwać chorą dłońią. Pozwoliła jednak, by schwycił za przód koszuli nocnej i przyciągnął ją bliżej swoich ust.

- Nie nazywam się Cameron. Mam na imię Jesse - wydusił z siebie.

- Jesse i co? - wyszeptała.

Ale w tym momencie stracił przytomność, rozluźnił chwyt, usta mu znieruchomiały, tuż obok jej warg.

Nie pozwolić mu umrzeć! Stało się to dla niej sprawą osobistą. Mieszała ciepłe, wilgotne drożdże z resztkami węgla, tworząc substancję, która powinna utrzymać go przy życiu. Przez cały czas czuła znowu to uparte pragnienie, by nie dopuścić do śmierci człowieka. To, kim był i jak ją potraktował, straciło znaczenie wobec faktu, że był żywą istotą. Uparcie zaklinała się, że będzie żył.

Jeśli poprzednia noc była trudna, to pozostałe godziny tej nocy stanowiły prawdziwy koszmar.

Według zaleceń książki należało stosować ciepłe okłady. Przygotowała więc dwa i biegała do kuchni, by je kolejno podgrzewać. Ogień przygasał, wyszła więc na zewnątrz po drewno. Ale okłady wciąż zbyt szybko stygły, dlatego położyła na wierzchu plastry musztardowe, wiedząc, że na pewno zachowają ciepło. Ponieważ jednak okłady należało często zmieniać, przykleiła tylko jeden plaster od spodu, a ten na wierzchu przytrzymywała ręką. Pacjent chwilami rzucał się spazmatycznie, a kiedy przybiegała z kuchni, słysząc jego jęki, zwilżała mu wargi wilgotną szmatką, wyciskając krople wody do ust, i masowała gardło, pomagając przełknąć. Czasami wymawiała jego imię, to nowe imię Jesse, zachęcając, by walczył wraz z nią.

- No, Jesse - szeptała żarliwie. - Pomóż mi.

Nie miała pojęcia, czy ją słyszał.

- Jesse, nie umieraj teraz, nie teraz, kiedy osiągnęliśmy już tyle.

Rzucał się w delirium, a ona walczyła z nim, używając, jak jej się zdawało, resztek sił, by utrzymać go w pozycji nieruchomej. Mamrotał coś bez sensu.

Przynaglęła go natarczywie.

- Walcz razem ze mną, Jesse. Wiem, że umiesz walczyć. Teraz mi pomóż.

Ale ona sama nie mogła już dłużej walczyć. Nie bardzo wiedziała już, co mówi, kim jest, o kogo chodzi ani gdzie się znajduje.

Nawet nie wiedziała, kiedy utraciła świadomość.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Następnego ranka pan Melcher czuł się naprawdę wyśmienicie. Palec prawie go nie bolał, postanowił więc zrobić pannie Abigail niespodziankę i zejść na śniadanie bez pomocy. Dom wydawał się nienaturalnie spokojny, kiedy kuśtykał w dół po schodach. Z ostatniego stopnia rzucił okiem na drzwi sypialni. Odrzą napawała go myśl, że bandyta sypia pod tym samym dachem, co panna Abigail i on sam, ale mimo to bardzo pragnął choćby zerknąć na tego mężczyznę. Będzie miał co opowiadać chłopakom w Klubie Elizejskim o wyglądzie tego bandyty po udzieleniu mu nauczki.

Nie spodziewał się jednak tak szokującego widoku, jaki ukazał się jego oczom, gdy wetknął starannie uczesaną głowę w drzwi sypialni.

Owszem, leżał tam ranny złodziej, ale nie miał na sobie żadnej części garderoby prócz bandażu. Leżał tak nagusieńki i owłosiony, jedną nogę podtrzymywały wałki, a druga, leniwie wyciągnięta w bok, przykrywała kobiecy brzuch. Kobieta zajmowała część łóżka, spódnice miała zadartą do połowy uda, a stopy wystawały za poręcz, tuż obok stopy złodzieja. Twarz jej spoczywała niemal na jego biodrze, ale okrywały ją potargane włosy, na których zaciskały się palce mężczyzny. Najstraszniejsze jednak było to, że nierządnicę wyciągnęła jedną ręką na owłosione biodra brutalu, a dłoń jej znajdowała się w zatrzważającej bliskości jego genitaliów!

Jej powierzchowność świadczyła, że nie powinien to być widok zaskakujący. Ladacznica wyglądała odrażająco. Podeszwy stóp były brudne, podobnie jak szata, cała w pomarańczowe i szare plamy, koronkowe mankiety nasiąkły tłuszczem. Jej dłonie nie wyglądały lepiej niż cała reszta: połamane paznokcie, palce nie domyte, w lewej dłoni ścisnęła kawałek brudnej gazy, jakby stoczyła bójkę w barze.

W jaki sposób udało się temu mężczyźnie zwabić ją do łóżka, pozostawało tajemnicą, ale gdyby panna Abigail ujrzała podobny spektakl, byłaby wstrząśnięta do głębi swej istoty!

W tym momencie mężczyzna poruszył się niespokojnie i wymamrotał coś niezrozumiałego. Kobieta ocknęła się z głębokiego snu tylko na tyle, by westchnąć, dotknąć bandaży i wyszeptać: „Jesse, leż spokojnie” - po czym jej ręka opadła bezwładnie na jego kolano, a ona sama sennie przytuliła się do jego długiej, obnażonej nogi, odwracając przy tym twarz.

- Czy to ty, Abbie? - spytał, nie otwierając oczu.

- Tak, Jesse, to ja, ale teraz śpij.

Mężczyzna westchnął, a po sekundzie rozległo się łagodne chrapanie, dłoń trzymająca

włosy kobiety rozluźniła się. I wkrótce jej rytmiczny oddech akompaniował jego oddechowi, a tymczasem wstrząśnięty David Melcher bezszelestnie wycofał się do swojego pokoju.

W ciągu kilku kolejnych dni ta niesamowita scena wciąż tkwiła w jego pamięci. Podczas tych wszystkich miłych, a zarazem gorzkich popołudni w ogrodzie panny Abigail marzył o tym, by poprosić ją o wyjaśnienie, ale powstrzymywała go obawa, że nie istnieje zadowalające wytłumaczenie takiej sytuacji. Robił się coraz bardziej zazdrosny, ponieważ panna Abigail spędzała większość czasu w pokoju przestępcy, który w żółwym tempie dochodził do zdrowia. Mijając drzwi do jego pokoju, David czasami przystawał i zaglądał do środka, podsycając swoją nienawiść do człowieka, który nie tylko go okaleczył, ale i ukradł największą radość jego życia. Nie ulegało już wątpliwości, że David zawsze będzie utykał, co pozbawiało go pewności siebie, wierzył bowiem, że już nigdy nie spodoba się żadnej kobiecie. Obserwował, z jaką troskliwością panna Abigail odnosiła się do tego mężczyzny, chociaż ostatnio naszpikowano go laudanum. Ale i tak każda minuta spędzana przez pannę Abigail w sypialni na dole oznaczała, że na tę właśnie minutę odebrano Davidowi jej względy.

Pannę Abigail dziwiło pełne rezerwy zachowanie Melchera. Tęskniła, żeby ją znowu pocałował, co podniosłoby ją na duchu po wyczerpującym dniu, ale nie robił I tego. Palec Davida wydawał się kompletnie zagojony i przerażała ją myśl, że mógłby wyjechać i nigdy już nie zalecać się do niej. Kiedy usiłowała zrobić mu przyjemność drobnymi przysługami, dziękował uprzejmie, ale dawne komplementy należały do przeszłości.

Kiedy wreszcie Doc pozwolił odstawić laudanum, Jesse obudził się pewnego słonecznego poranka bardzo słaby, ale głodny jak wilk. Ze zdumieniem stwierdził, że jeszcze żyje. Napiął mięśnie, sztywne i obolałe od bezruchu, ale szarpiący ból zdecydowanie zelżał. Słyszał odgłosy dochodzące z kuchni i przypomniał sobie o człowieku, za którego sprawą tu się znalazł; zastanawiał się też, ile dni był nieprzytomny.

Nie słyszał kroków, ale wiedział, że panna Abigail stała w progu. Porzucił obserwowanie drzew za oknem i spojrzawszy na nią, zorientował się, że patrzy na niego bez śladu dawnego antagonizmu.

Wyglądała niezwykle świeżo w ciemnozielonej spódnicy i białej bluzce, ciemne włosy upięła starannie w węzeł na szyi, cerę miała młodą, brzoskwiniową. Po raz pierwszy też zauważył, jak bardzo zmienia się jej twarz w uśmiechu.

- A więc udało się panu - powiedziała spokojnie.

- Na to wygląda. - Przez moment przyglądał się jej uważnie, po czym dodał: - Proszę

się zbliżyć.

Zawahala się chwilę i niespiesznie podeszła do łóżka.

- Była pani zajęta? - uśmiechnął się filuternie.

- Trochę - odparła łagodnie.

Wyciągnął rękę, otoczył ramieniem spódnice i pieszcząc bezczelnie jej pośladki, rzekł:

- Chyba mam wobec pani długi. - Jesse zachowywał się podobnie wobec setek kobiet w setkach różnych miejsc, ale trzeba było mieć pecha panny Abigail, aby akurat w tym momencie stanął na progu David Melcher, zwabiony odgłosami ich rozmowy.

Krew odpłynęła mu z twarzy, zanim zauważył zimno:

- Proszę, proszę...

Panna Abigail zamarła, przerażona i bezradna. Wszystko wydarzyło się tak szybko. Usiłowała się wyrwać, ale Jesse zacieśnił chwyt i wypowiedział przeciągle z szelmowskim uśmiechem:

- Domyślam się, że to pan Melcher, nasz bohaterski mściciel.

- Czy nie ma pan w ogóle poczucia przyzwoitości? - syknął David.

Zupełnie tym nie zmieszany, Jesse uśmiechnął się do Abbie, która usiłowała wyrwać się z jego objęcia.

- Najmniejszego. Prawda, Abbie?

- To już mówimy do siebie Abbie? - zawołał oburzony David, podczas gdy pannie Abigail udało się w końcu wyrwać z uścisku Jesse'a, a przez cały czas nie odrywała wzroku od stojącego w progu mężczyzny.

- To... to wcale nie tak - powiedziała błagalnie do Davida.

- Owszem, tak - potwierdził Jesse, rozkoszując się zmieszeniem Davida, ale panna Abigail odwróciła się błyskawicznie w jego stronę, z równą jadowitością jak poprzednio.

- Niech pan zamilknie! - wyrzuciła z siebie, a jej maleńkie dłonie zacisnęły się w pięści.

David obrzucił ich oboje krytycznym spojrzeniem.

- Już po raz drugi zastaję panią z nim w sytuacji, którą określiłbym jako... kompromitującą - oskarżył.

- Drugi raz! O czym pan mówi? Jak to, przecież ja nigdy...

- Panno Abigail, widziałem panią, skuloną obok niego z ręką na... - Nagle jednak zesnurował usta, niezdolny kontynuować.

- Jest pan kłamcą! - wykrzyknęła panna Abigail, przykładając dłonie do twarzy.

- Uspokój się, Abbie - wtrącił Jesse - te dwie noce... -

Obróciła się w jego stronę, a oczy jej zdawały się miotać błyskawice.

- Byłabym wdzięczna, gdyby zamknął pan tę swoją abominacyjną twarz, panie...
jakkolwiek się pan nazywa!

- Przez sen nazywała go pani Jesse - podsunął David.

- Przez sen... Panna Abigail nie zrozumiała, a Jesse uśmiechnął się, zachwycony całą sytuacją.

- A ja brałem panią za damę. Co za głupiec że mnie! - zachnął się Melcher.

- Nigdy nie zrobiłam żadnej z tych rzeczy, które pan insynuuje. Nigdy!

- Och? Gdzie więc była pani tamtej nocy, jeśli nie baraszkowała w trawie? Pani strój,
stopy, dłonie...

Przypomniała sobie wszystko aż nazbyt wyraźnie: przewiązane palce, ponieważ oparzyła się płonąca głownia, szukając węgla drzewnych, a szatę i stopy upaprała ziemia, biegnąc do domu doktora.

- On był nieprzytomny i wdała się gangrena. Pobiełam po doktora Dougherty.

- Tak? Jakoś nic przypominam sobie wizyty doktora tamtej nocy.

- Bo nie... to znaczy, nie było go w domu, więc sama musiałam leczyć Jesse'a, to znaczy pana Camerona, zgodnie z własnymi umiejętnościami.

- Wydaję się, że nie ograniczyła się pani wyłącznie do okładów z musztardy rzucił oskarżycielsko David.

- Ależ...

- Niech pani zachowa swoje wyjaśnienia dla kogoś, kto w nie uwierzy, panno McKenzie.

Panna Abigail zbladła jak prześcieradło, trzymała ręce złączone, aby opanować ich drżenie.

- Chyba lepiej będzie, jeśli się pan wyniesie, panie Melcher - powiedziała, panując nad głosem.

Widać było mięsień drgający na jego policzku, kiedy patrzył na nią stojącą tak nieruchomo i prosto obok drwiąco uśmiechniętego mężczyzny.

- Chyba tak - przyznał już spokojnie i wyszedł z pokoju. Z ciężkim sercem poszedł na górę, żeby pozbierać swoje rzeczy. Kiedy schodził na dół, panna Abigail stała pośrodku saloniku, a na zwróconej w jego stronę twarzy nie widać było śladów bólu.

- Nie mam butów - oznajmił posepnie.

- Może pan pójść w kapciach papy i odesłać je, kiedy ktoś przyjdzie po pana walizkę. -
Zaciskała dłonie, kiedy oczy ich zwały się na krótką chwilę.

- Panno Abigail... ja... - Przełknął ślinę. - Może zareagowałem ze zbytnią pochopnością.

- Niewykluczone - odparła chłodno, zbyt urażona, by mu wybaczyć.

Pokuśtykał do drzwi wyjściowych, a każdym krokiem deptał płatki delikatnego kwiatu, który rozkwitał w jej duszy od chwili jego przybycia. Pchnął drzwi, a jej ręka instynktownie wyciągnęła się w geście pomocy.

- Pan... - Odwrócił się, a ona cofnęła niesforną rękę. - Może pan wziąć jedną z lasek papy. I nie musi jej pan zwracać.

Wziął laskę ze stojaka na parasole, obrzucił pannę Abigail niechętnym spojrzeniem i powiedział:

- Bardzo mi przykro.

Jakże pragnęła podejść do niego i wyciągnąć rękę ze słowami: To tylko wielkie nieporozumienie. Proszę zostać, a wszystko wyjaśnimy. Proszę zostać, będziemy pili lemoniadę w ogrodzie. Mnie też jest przykro”. Jednak duma nie pozwoliła jej zapomnieć o rezerwie. Odwrócił się i pokuśtykał w dal.

Patrzyła na niego, dopóki nie zniknął za rogiem. Był człowiekiem dobrze wychowanym, dżentelmenem, a oba te przymioty obudziły gasnące nadzieje panny Abigail na koniec staropanieństwa. Ale teraz nie mogło być mowy nawet o nadziejach. Nie będzie już lemoniady w ogrodzie ani paczki z miękkimi, miejskimi butami, która przypominałaby pannie Abigail, że on o niej myśli. Będą jedynie spokojne popołudnia spędzane na pielieniu ogrodu i zmierzchy nad tomikiem sonetów. Czym sobie na to zasłużyłam? Pomyślała z poczuciem krzywdy. - Ocaliłam jedynie życie przestępcy.

W tym momencie, jakby czytał w jej myślach, odezwał się dźwięczny, wyraźny głos owego przestępcy:

- Abbie?

Aż trudno uwierzyć, że pojedyncze słowo może kogoś tak bardzo rozżłościć.

- Nie ma tu nikogo o takim imieniu! - zawołała, ocierając zabłąkaną Izę.

- Abbie, przyjdź tutaj! - nawoływał, tym razem jeszcze głośniejsze.

Żałowała, że nie może wepchnąć mu widelca do gardła i na powrót wyłączyć je z użycia! Kontynuowała jednak swoje zajęcia, czerpiąc ogromną przyjemność z tego, że zignorowała jego wezwania. Nienawiść niby oś tkwiła w jej krtani.

- Do cholery! Abbie, chodź tutaj!

Wzdrygnęła się, słysząc przekleństwo, ale przysięgła sobie, że już nigdy nie postawi jej to w niezręcznej sytuacji. W tej przewrotnej grze mogły brać udział dwie osoby, a pannie

Abigail nie była obca myśl o wyrównaniu z nim porachunków. Spokojnie ignorowała jego nawoływania, aż zaryczał głosem nabrzmiałym wściekłością.

- Panno Abigail, jeśli nie pojawi się, - pani tutaj natychmiast, obsikam dokładnie całe to śnieżnobiałe łóżko!

Oburzona i zarumieniona, uwierzyła w każde jego słowo, porwała więc nocnik i pobięła.

- Niech pan tylko spróbuje! - wykrzyknęła i cisnęła nocnikiem od progu. Wylądował z brzękiem na zdrowym kolanie chorego, ale panna Abigail zniknęła, jeszcze zanim umilkł hałas. Doszły do niej jedynie jakieś syki na lemat jadawitej zmił.

Drżąc że zgrozy, uświadomiła sobie, że pogorszyła jedynie sytuację, ponieważ będzie przecież musiała wejść do pokoju i zabrać ów przedmiot, a on znowu jest taki zły! Może nie powinna była rzucać w niego nocnikiem, ale zasłużył sobie na to, jeśli nie na coś gorszego. Zasłużył nawet na to, żeby cisnąć w niego pełnym naczyniem! Panna Abigail przycisnęła dłonie do policzków. Co też za myśli przychodzą mi do głowy? On robi ze mnie nieokrzesanego barbarzyńcę, takiego, jakim sam jest. Muszę nad sobą zapanować, wziąć się w garść. Pozbędę się go, jak tylko będę mogła, ale tymczasem muszę zapanować nad swoim temperamentem, tak jak mi zawsze powtarzała mama, i zdusić w sobie tę potrzebę zemsty. Kiedy weszła do pokoju pacjenta, zupełnie odzyskała panowanie nad sobą i przemawiała z pełną chłodu pogardą.

- Proponuję, żebyśmy na czas trwania pańskiej rekonwalescencji zawarli zawieszenie broni. Chciałabym, żeby pan doszedł do siebie, ale nie mogę ścierpieć pańskiej wrogości.

- Mojej wrogości! Jakbym na to zasłużył! Najpierw strzela do mnie ten... ten głupek za coś, czego nie zrobiłem, potem torturuje mnie kobieta wpychająca mi łyżkę między zęby, która nie chce powiedzieć, ani gdzie się znalazłem, ani dlaczego, która przypisuje mi nazwisko kogoś innego, przywiązuje do łóżka i mści się akurat w momencie, gdy potrzebny jest nocnik! Moja pani, jeśli mówi pani o wrogości, to mam jej nieprzebrane zapasy!

Jego krzyki szarpały jej nerwy, ale starannie to ukrywała.

- Widzę, że pańskie struny głosowe odzyskały pełną moc zauważyła słodko.

Jej wyniosła postawa skłoniła go do jeszcze głośniejszego wrzasku:

- Ma pani rację, do cholery! - Panna Abigail poczuła szczypanie w oczach.

- Nie pozwalam na używanie w tym domu podobnych słów! - wycodziła przez zęby.

- Co mnie to, u diabła, obchodzi! - zaryczał.

- Ależ jest pan dzielny, rycząc jak szaleniec. - Zaczął się powoli uspokajać. Panna Abigail, posługując się najbardziej wyrafinowanym akcentem, wyjątkowo lodowatym tonem i

wyszukanym słownictwem wyłożyła obowiązujące zasady, co wprawiło pacjenta w lekkie zażenowanie. - Przede wszystkim musi pan zrozumieć, że nie dopuszczę, aby zwracał się pan do mnie poufale i lekceważąco, a więc żadnych Abigail, Abbie czy... droga damo. Będzie pan mówił do mnie panno Abigail, a ja będę zwracała się do pana po nazwisku, jeśli zechce mi pan łaskawie je zdradzić.

- Niech mnie diabli, jeśli to zrobię!

Jakże łatwo podważał wagę etykiety i sprawiał, że to ona czuła się osobą postępującą niesłusznie.

- A co stoi na przeszkodzie, by nazywać mnie Jesse? - spytał. - Tak mam na imię. Bardzo chciała pani je poznać, kiedy zanosilo się na to, że nie wyżyję.

- Owszem, żeby umieścić je na nagrobku - odparła bez wahania.

Uśmiechnął się niespodziewanie.

- Teraz, już nigdy nie podam pani swojego nazwiska. - Panna Abigail odwróciła się pospiesznie, miała bowiem wielką ochotę się uśmiechnąć.

- Czy moglibyśmy dać spokój tym przepierankom i rozwiązać nasz spór?

- Jasne, że moglibyśmy. Proszę po prostu mówić do mnie Jesse, panno Abigail. - Kiedy wypowiedział te słowa, ogarnęła ją złość. Gdybyż nie wymówił ich w ten sposób! Nigdy nie spotkała bardziej irytującego człowieka.

- Dobrze więc, skoro nic chce mi pan podać swego nazwiska, będę się posługiwała panem Cameronem, zresztą przywykłam do tego nazwiska. Jeśli jednak będzie pan obstawał przy wulgarnym sposobie wyrażania się, nie dojdziemy do porozumienia. Byłabym wdzięczna, gdyby zechciał pan pohamować swój język.

- Mój język nie da się tak łatwo utemperować. W miejscach, w których bywam, nie jest to na ogół konieczne.

- To nie ulega dla mnie wątpliwości. Skoro jednak zostaliśmy skazani na przebywanie razem, co nikomu z nas nie odpowiada, może postaramy się przetrwać ten czas możliwie najlepiej?

Ponownie zastanawiał się nad jej słowami, nad wyniosłym sposobem mówienia i nad tą niesforną brwią, która sprawiała, że nieustannie miał ochotę ją złościć.

- Czy zamierza pani dalej truć mnie tym wywarem dla niegrzecznych rewolwerowców? - zapytał podstępnie.

- Dziś rano udowodnił pan ponad wszelką wątpliwość, że nie jest już panu potrzebny - odparła, choć w uszach jej dalej dźwięczały jego słowa.

- W takim razie, panno Abigail, przyjmuję warunki rozejmu.

Po tych słowach napięcie między nimi wyraźnie osłabło. Panna Abigail otworzyła wykuszowe okno, żeby wpuścić świeże powietrze poranka.

- W tym pokoju cuchnie. I pan, i to pomieszczenie wymagacie dokładnego wietrzenia i mycia. Pan już prawie tak pachnie stęchlizną jak bielizna pościelowa. - Stała do niego plecami, przerzucając zasłony przez pręty.

- Hola, panno Abigail! I kto teraz zrzędzi?

Owo „hola” w jego ustach wydawało się co najmniej niestosowne. Nie była pewna, czy wytrzyma przejawy tego nowego poczucia humoru.

Chciałam jedynie powiedzieć, że może przydałaby się panu kąpiel. Ale jeśli woli pan leżeć we własnych wyziewach, to chętnie na to przysłane. - Teraz już wiedział, że ilekroć panna Abigail czuje się zmieszana, ucieka się do wyszukanego słownictwa. Bawiło go jej zażenowanie, kontynuował więc przekomarzenia.

- Czy zamierzą pani urządzić mi kąpiel, kiedy będę leżał nagi w łóżku? - Westchnął z udanym przerażeniem i podciągnął prześcieradło pod brodę ruchem onieśmiałej niewinności.

Panna Abigail odwróciła się i z najwyższym trudem powstrzymała od śmiechu, widząc go w tej humorystycznej pozie. Obrzuciła go wzrokiem, w którym czaiło się wyzwanie i oświadczyła rzeczowo:

- Zrobiłam to przedtem, mogę zrobić i teraz.

Zaskoczony, uniósł w górę gęste brwi.

- Zrobiła pani to przedtem? - Opuścił prześcieradło poniżej pępka. - W takim razie... - Wyciągnął się odprężony, podkładając pod głowę zdrową rękę.

Kiedy panna Abigail wypadła z pokoju, leżał uśmiechnięty i zastanawiał się, czy rzeczywiście umyła go dokładnie. Uśmiech stawili się coraz wyraźniejszy. Do diabła, Abbie, jeśli ty jesteś chętna, to nie mam nic przeciwko temu. Odkąd się znalazł w tym jej ukwieconym łóżku, nie czuł się jeszcze tak pogodnie jak w tej chwili.

Kiedy panna Abigail wróciła do pokoju, obserwował, jak zawija rękawy i pomyślał: nareszcie panienka obnaża się przede mną. Nie wątpił, że ocenił ją prawidłowo. Była wręcz fanatycznie cnotliwa i nie bardzo mógł sobie wyobrazić, w jaki sposób rozwiąże tę sytuację bez uszczerbku dla swojej niewinności. Bawił się znakomicie, czekając, jak objawi się jej zmieszanie.

Miała bardzo delikatne dłonie i wydawało się, że nie nadaje się do takiej pracy. Ale po kilku minutach podłożyła pod niego ceratę tak błyskawicznie, że nawet nie pamiętał, czy unosił się do góry. Poddawał się posłusznie wszystkim poleceniom, unosił brodę, przekręcał

głowę, podnosił rękę. Musiał przyznać, że naprawdę potrafiła przyzwyciężyć umyć leżącego pacjenta. Czuł się znakomicie. Nie mógł uwierzyć, kiedy znalazła się obok niego na łóżku, żeby mieć dostęp do lewego boku. Ale, na Boga, zrobiła to! Zrobiła! Wzbudziło to w nim mimowolny szacunek.

- Kiedy już zawarliśmy rozejm, może się dowiem, dlaczego zaczęła mnie pani nazywać Cameronem - powiedział, kiedy go namydlała.

- Jak się pan odezwał po raz pierwszy, myślałam, że jest pan przytomny. Zapytałam, jak się pan nazywa, a pan odpowiedział: „Mike Cameron”. Wyraźnie to słyszałam, czy raczej widziałam.

Przypomniał sobie tę sytuację i wybuchnął śmiechem.

- Nie mówiłem „Mikę Cameron”, tylko „moja kamera”, ale wtedy czułem się tak, jakby ktoś szorował mi tarką w gardle, więc może nic zabrzmiało to zbyt wyraźnie. - Rozejrzał się po pokoju. - A propos, gdzie to jest?

- Gdzie jest co? Nie przestawała szorować, klęcząc obok niego.

- Mój aparat fotograficzny.

- Aparat? - Spojrzała na niego z powątpiewaniem. - Zgubił pan aparat i spodziewa się pan, że ja wiem, co się z nim stało?

- A nie wie pani? - Uniósł kpiąco brew.

Myślała akurat jego lewy bok. Szmata zatrzymała się prawie na biodrze, poniżej okrywało go prześcieradło. Spojrzała na niego i oświadczyła sucho:

Może mi pan wierzyć, panie Cameron, że nie znalazłam przy panu żadnej kamery... w żadnym miejscu. - Wypowiedziała to, zanim zdążyła pomyśleć, i momentalnie pożałowała tych słów. Ich spojrzenia spotkały się, po czym ona odwróciła oczy pełne pomieszania i że zdwojoną energią zabrała się do pracy.

- Och, panno Abigail, coś podobnego - powiedział, obserwując z uśmiechem rumieniec wstępujący na jej policzki. Jednak poważnie się niepokoił losem swego sprzętu. - Aparat i klisze zabierają masę miejsca. Co się z nimi stało? - spytał. - A razem ze sprzętem fotograficznym była moja torba. Gdzie ona jest?

- Nie mam pojęcia, o czym pan mówi. Przyniesiono pana do mnie bez niczego i nikt nie wspominał ani słowa o żadnej kamerze czy kliszach. Czy sądzi pan, że ukrywam je przed panem? Proszę podnieść rękę do góry.

Ręka uniosła się do góry, a panna Abigail myślała ją dokładnie, nic pomijając przy tym pachy.

- No więc muszą gdzieś być. Czy nikt nie zabrał ich z pociągu?

Zacząła spłukiwać mydło z ręki.

- Panie Cameron, z tego pociągu wyniesiono jedynie pana, pana Melchera i jego walizkę. Jestem pewna, że nikt nie przypuszczał, by złodziej mógł wieść z sobą kamerę. - Lekkie uniesienie brwi świadczyło, jak oburzająca wydaje się pannie Abigail cała ta bajeczka o kamerze. - Proszę mi powiedzieć, panie Cameron, na co przestępcy aparat. - Patrzyła mu prosto w oczy, zastanawiając się, jakie też kłamstwo wymyśli.

Nie mógł się oprzeć pokusie.

- Robi zdjęcia swoich martwych ofiar do prywatnego archiwum. - Z diabelskim uśmiechem spotkał jej oburzony wzrok.

- Panie Cameron, to w najmniejszym nawet stopniu nie jest zabawne! - odpaliła, szorując zdecydowanie zbyt mocno.

- Uff! Ostrożnie! Proszę pamiętać, że jestem rekonwalescentem.

- Nie musi pan mi o tym przypominać - powiedziała kwaśno.

Zaczął tonem bardziej zdawkowym.

- I tak mi pani nie uwierzy, więc nie będę nawet próbował opowiadać o mojej kamerze. Woli pani myśleć, że po prostu rabowałem pociągi, bo to stanowi usprawiedliwienie, żeby... - podniósł trochę głos - garbować mi skórę zamiast ją myć. Och! kobieto, czy nie rozumie pani, co znaczy „och”? - Oglądał swoją dłoń i niemal usłyszał trzask kości w szyi panny Abigail, tak błyskawicznie zeszywniała.

Mówiłam, żeby nie zwracał się pan do mnie w ten sposób!

Z powrotem uchwyciła jego dłoń i zaczęła ją niezbyt delikatnie wycierać.

- Dlaczego? Czy nie jest pani kobietą? - Ręka jej znieruchomiała, ponieważ uchwycił ją wraz z ręcznikiem i włożył w swoich długich, ciemnych palcach. Serce jej zaczęło bić niespokojnie i ogarnęła ją panika. Spojrzała w jego ciemne oczy, które wpatrywały się w nią z przerażającą intensywnością.

- Nie dla pana - odparła cierpko i wyszarpnęła dłoń, po czym szybko się podniosła.

W chwili gdy złapał ją za rękę, zaszła w ich stosunku jakaś nieuchwytna zmiana. Oboje milczeli, kiedy zabrała się do mycia jego prawej nogi. Namydliła ją na całej długości, niesłychanie ostrożnie dotykała okolic rany. W pewnej chwili naprężył tors i opadł na poduszkę z cichym sykiem bólu.

Goi się, bez względu na to, co pan odczuwa.

Panna Abigail w dalszym ciągu czuła się przygnębiona jego wcześniejszymi uwagami. Szybkimi ruchami posuwała się w kierunku stopy, tworząc pianę z mydła, kiedy on spojrzał w dół i zapytał spokojnie:

- A dla tego pocziwca Melchera?
- Co? Podniosła raptownie głowę.
- Kobieta. Czy jest pani kobietą dla tego pocziwca Melchera?

Jednak nie najlepiej się wybrał z tym pytaniem. Trzymała właśnie jego chorą nogę i niezbyt delikatnie opuściła ją na łóżko, razem z mydlinami. Zazgrzytał zębami i wstrzymał oddech, ale ona stała z twarzą pełną oburzenia, z rękami na biodrach, w mokrym fartuchu, a oczy jej błyszczały.

- Czy nie wyrządził już pan wystarczającej krzywdy panu Melcherowi? Czy musi pan jeszcze mnie do tego mieszać? On jest dżentelmenem... ale skąd pan mógłby coś wiedzieć na temat dżentelmenów, prawda? Czy zadowala pana świadomość, że udało się panu również poróżnić go ze mną?

Noga bolała go teraz tak bardzo, że aż wokół ust pojawiła się biała linia, ona jednak nie odczuwała najmniejszego współczucia. Ile jeszcze może od niego znosić?

- Jeżeli jest takim dżentelmenem, to dlaczego wyrzuciła go pani z domu? odparował Jesse.

Wydeła usta, wrzuciła ręcznik do miednicy, chlapiąc wodą na jego twarz, na poduszkę i podłogę. Cofnął się i zaczął wykrzykiwać za umykającą panną Abigail.

- Hej, dokąd pani idzie? Jeszcze pani nie skończyła!

- Ma pan zdrową rękę, proszę się nią posłużyć! - I jej spódnica zniknęła za drzwiami. Spojrzał na swoją namydloną nogę.

- A co mam zrobić z tym mydłem?

- Niech pan spróbuje przepłukać nim usta, skoro przed laty nie zrobiła tego matka!

Namydlona noga zaczęła swędzić.

- Proszę mnie nie zostawiać z tym mydłem!

- Niech się pan cieszy, że aż tyle umyłam!

Walnął zdrową pięścią w materac i krzyknął na cały głos:

- Wracaj tutaj, ty źmijo!

Jednak panna Abigail nie wróciła, a swędzenie namydlonej nogi stało się nie do zniesienia, musiał więc wygiąć się, co sprawiało ból, usunąć mydło i wytrzeć stopę i łydkę w prześcieradło.

Wychodząc z domu, panna Abigail trzasnęła drzwiami z siatki ochronnej tak mocno, jak jeszcze nigdy w życiu. Schodziła po schodkach na tyłach domu, tupiąc jak heski żołnierz. Nie mogę mieszkać pod jednym dachem z takim potworem! Myślała. Jeszcze nikomu nie

udało się rozzłościć jej do tego stopnia. Stała w cieniu lipy, popatrzyła na ogród i zatęskniła za dawnym spokojem. Nie przynosiły ukojenia nawet pochylone, łagodne kwiaty floksów. Zastanawiała się, czy wytrzyma z tym strasznym człowiekiem aż do momentu, gdy będzie już tak zdrowy, by o własnych siłach opuścić jej dom. Nigdy nie zetknęła się z podobnie nieokrzyszczonym typem. O mało się nie roześmiała, wspominając, jak Doc martwił się o jej „wyjątkową wrażliwość”. Gdyby wiedział, na jakie próby wystawiał ową wrażliwość ten człowiek, którego z własnej woli przyjęła do swego domu!

Rodzice panny Abigail mieli nienaganne maniery. Nie stykała się z przekleństwami i napadami wściekłości. Uczono ją ukrywania gniewu, ponieważ nie było to eleganckie uczucie. Ale panu Cameronowi udało się obudzić w niej coś więcej niż gniew. Gnębiły ją wyrzuty sumienia z powodu tego, co zrobiła - najpierw odmówiła inwalidzie podania nocnika, potem rzuciła w niego tym naczyniem, potem szarpała go za nogę, naumyślnie narażając na ból, po czym wyprysnęła z domu jak niesforne dziecko. A do tego wszystkiego wygłosiła nieprzystojną uwagę! Na samą myśl jeszcze teraz oblała się rumieńcem.

Jednak osobnik, który był przyczyną tego wszystkiego, nie pozwalał jej uciec, nie miała zaznać spokoju nawet w ogrodzie. W nieruchomym letnim powietrzu rozległ się jego głos, raz jeszcze drażniąc jej nerwy.

- Panno Abigail, za co kolej pani płaci?! Czy tylko za wykonanie pracy do połowy?! Gdzie moje śniadanie?! - wykrzykiwał.

Jakże bezczelny był ten człowiek, który ośmielał się stawiać jej wymagania! Niczego nie pragnęła bardziej jak możliwości przepędzenia go z domu głodem. Obrzydliwa istota! Ale złapała się we własne sidła. Mogła jedynie schronić się za pancierzem swoich dobrych manier i wrócić do kuchni, żeby przygotować mu śniadanie.

Kiedy wkroczyła do pokoju z tacą, zauważył przede wszystkim brak Inianej serwetki.

- Cóż to? Ja nie dostaję kwiatów tak jak Melcher?

- Skąd pan wie... - Powiedziała to, zanim zdążyła się zastanowić. Roześmiała się.

Dźwięki rozchodzą się w tym domu. Czyżbym dostrzegł na policzku kobiety prawdziwy rumieniec? Coś podobnego! Ciekaw jestem, czy ten poczciwy Melcher zdawał sobie sprawę ze swoich przymiotów. Ho z pewnością nie robił takiego wrażenia.

Sposób, w jaki wypowiedział „ten poczciwy Melcher”, wywołał w niej chęć odegrania się. Ale w końcu rzekła spokojnie, oficjalnym tonem:

- Czy pamięta pan o naszym rozejmie?

- Zastanawiałem się tylko, dlaczego nie cieszę się tutaj podobnymi względami -

poskarżył się z udanym oburzeniem.

- Był pan głodny. Przyniosłam panu jedzenie. Czy chce pan paplać cały ranek, czy jeść?

- Zależy, czym pani zdecydowała truć mnie tym razem.

Wspomnienie ciepłych, pełnych uznania uwag pana Melchera na temat jej gotowania wcale nie pomagało teraz, pannic Abigail w trzymaniu na wodzy swego gniewu. Przyniosła poduszkę, żeby położyć wyżej głowę tego ciemnego szatana, i żałowała, że nie może go tą poduszką przydusić. Myśl ta musiała się odbić na jej twarzy, bo obserwował ją czujnie, kiedy rozkładała mu na piersi serwetkę i brała do ręki łyżkę. Błysk w jego oczach ostrzegł, żeby miała się na baczności przed białymi, połyskującymi zębami!

- Może wolałby pan to zrobić sam? - spytała oschle.

Nie, bo nie bardzo mi się to udaje, kiedy leżę tak płasko. Zresztą wiem, że pani z przyjemnością robi to dla mnie, panno Abigail. - W kąciku jego ust czał się drwiący uśmiezek. - Co to za konkocja?

- Ta... konkocja... to rosół z wołowiny.

- Czy postanowiła pani mnie zagłodzić? spytał tym swoim nieznośnym, przekornym tonem, który dotykał ją znacznie bardziej niż jego wojownicze wystąpienia.

- Dziś na kolację może dostanie pan coś solidniejszego, ale na razie tylko rosół i gotowane jajko.

- Cudownie. - Wykrzywił się.

- Może się to panu wyda cudowne, kiedy przekona się pan, co pana czeka po śniadaniu.

- Co takiego?

- Przygotuję napar z balsamu Gileada i choć może jest trochę gorzki, to zapewniam, że bardzo wzmacnia kogoś w takim stanie jak pan.

Kiedy wpychała mu do ust kolejne łyżki rosółu, widział, jak starannie unikała dotknięcia łyżka zębów.

- Panno Abigail, czy pani kiedykolwiek wyraża się tak jak inni ludzie?

Momentalnie zorientowała się, że znowu próbuje ją rozzłościć.

- Czy znajduje pan coś niewłaściwego w moim sposobie wyrażania się?

- Nie ma w nim nic niewłaściwego. I na tym polega problem. Czy nigdy nie mówi pani zwyczajnie, na przykład: zrobiłam lekarstwo, po którym będzie pan silniejszy.

Przypomniała sobie w tym momencie, że David Melcher przyrównywał jej wypowiedzi do sonetów. Ta nowa, niesprawiedliwa krytyka wywołała na jej policzkach lekki

rumieniec. Zawsze dumna była ze swojej elokwencji i teraz za wszelką cenę pragnęła ukryć, jak wielką przykrość sprawiła jej ta krytyka. Usiłowała się odwrócić, ale Jesse złapał jej rękę w nadgarstku.

Hej, panno Abigail, czy nie może się pani czasami troszeczkę rozluźnić? - Tym razem zdawało się, że w jego głosie nie pobrzmiewał ton przekory.

Panie Cameron, widział mnie pan... wyjątkowo rozluźnioną. Udało się panu mnie rozgniewać, doprowadzić do tego, że straciłam cierpliwość, że wykrzykiwałam jak przekupka i jeszcze gorzej. Zapewniam pana, że nie leży to w mojej naturze. Jestem cywilizowaną osobą, co, mam nadzieję, odbija się w moim sposobie mówienia. Drażnił mnie pan na tysiące sposobów, ale nie widzę żadnych podstaw do tego ostatniego ataku. Czy znowu zamierza pan wytrącić mi z ręki łyżkę?

- Nie... nic podobnego - odpowiedział spokojnie, ale nie puścił jej ręki. Rozluźnił jedynie chwyt i trzymał wąską, delikatną dłoń w uścisku szerokich, ciemnych palców, a jego oczy nakrapiane orzechowymi plamkami spoglądały w jej oczy i znowu przenosiły zainteresowanie na dłoń. Potrząsnął tą dłonią delikatnie, ręka panny Abigail zwiotczała, dając mu do zrozumienia, że nie zamierza stawiać oporu przeważającej sile.

- Ale jest pani bardziej przekonująca, kiedy krzyczy, złości się i niecierpliwi. Dlaczego nie robi pani tego częściej? Mnie to nie przeszkadza.

Zaskoczona, uwolniła się bez trudu z jego uścisku.

- Proszę jeść jajko.

Otworzył posłusznie usta.

- Bardzo to oślizgłe.

- Prawda? - przytaknęła, jakby bardzo rozradowana. - Ale przyczyni się do tego, że odzyska pan siły, a im szybciej je pan odzyska, tym szybciej się pana pozbędę, zamierzam więc od tej chwili roztoczyć nad panem wyjątkową opiekę. Kiedy skończy pan śniadanie, pójdę do miasta, do sklepu pana Fielda, po siemię lniane na kataplazmy. Siemię wygoi te rany szybciej niż każdy inny lek, ale dla mnie i tak nie dość szybko.

- A może wymyśli pani coś także na tę bolącą rękę? Musi być złamana jakaś kość, bo boli jak diabli. - Panna Abigail obrzuciła go niechętnym spojrzeniem. Naprawdę, panno Abigail. Proszę mnie źle nie zrozumieć, naprawdę zachwyca mnie pani opieka, ale przy dwóch zdrowych rękach jedną miałbym wolną i mogłaby ją pani trzymać.

- Niech pan zuchowa swoje niewczesne dowcipy dla kogoś, kto lepiej potrafi je ocenić.

Tymczasem Jesse zaczął doceniać ją coraz bardziej. Była sarkastyczna, co mu się

podobało, i choć może sama o tym nie wiedziała, miała niezłe poczucie humoru. Gdyby tylko udało mu się trochę przygiąć ten jej sztywny kark i nadwątlić te niewzruszone ideały, mogłaby siać się całkiem ludzka. Śniadanie wcale nie było takie złe.

- O, jeszcze jedno, zanim pani wyjdzie. Co z goleniem?

Wyglądała, jakby połknęła agrafkę.

- Nie ma pośpiechu... prawda? Nagle zaczęła zachowywać się nerwowo. - To znaczy nie golił się pan od momentu utraty przytomności, więc jakie znaczenie ma jeszcze kilka godzin? Potarł ręką po brodzie, a panna Abigail wstrzymała oddech, czując, że zbiera jej się na mdłości. Najgorsze jednak odwlekło się na chwilę, bo jego ręka zatrzymała się, nie dotarła do górnej wargi. Zdawało się, że panna Abigail jak najszybciej chce wyjść z domu.

- Zrobię napar z balsamu Gileada, pójdę do sklepu, a pan może... no, może pan odpocząć, kiedy mnie nie będzie... i...

- Niech pani idzie, skoro pani chce. - Wskazał ręką na drzwi, zaskoczony jej nagłą nerwowością, tak do niej niepodobną. Kiedy powróciła po chwili z balsamem Gileada, szeroko otworzył usta i połknął lek bez oporu. W smaku był okropny.

- Fu! - skrzywił się, zamknął oczy, drgnął gwałtownie i wysunął język. Normalnie taki grymas zdradzający jego niezadowolenie napełniłby pannę Abigail poczuciem szczęścia, ale teraz za bardzo się martwiła zgolonymi wąsami.

Martwiła się nimi całą drogę do miasteczka.

Wykuszowe okno wychodziło na południe, miało wschodnie i zachodnie skrzydło. Jesse widział, jak szła drogą, wyprostowana i elegancka, i nie mógł uwierzyć, że w tak upalny czerwcowy dzień włożyła kapelusz i rękawiczki. Panna Abigail miała jednak charakter! To nie ulegało wątpliwości! Ta kobieta krochmaliła chyba wszystko, od pantalonów po kręgosłup. Zabawne było powodowanie pęknięć w tym pancerzu. Zniknęła z ograniczonego pola widzenia i Jesse zaczął myśleć o czym innym.

Zastanawiał się, czy na końcowej stacji w Rockwell znaleziono jego aparat i sprzęt fotograficzny. Jeśli rzeczy te zostały w pociągu, to załoga w Rockwell na pewno je odnalazła i zawiadomiła już Jima Hudsona, że dotarły na miejsce bez Jesse'a. Jim prędzej czy później skontaktuje się z nim.

Rozmyślenia Jesse'a przerwało pukanie do drzwi.

- Proszę wejść! - zawołał.

Do pokoju wkroczył krępy mężczyzna, łysiejący i zadyszany, za to cały w uśmiechach. Uniósł do góry lekarską torbę.

- Nazywam się Cleveland Dougherty, znany w okolicy po prostu jako Doc. Jak się czujesz, chłopcze? Wyglądasz na żywego, nie spodziewałem się zobaczyć cię w takim stanie.

Jesse od razu poczuł do niego sympatię.

- Ta kobieta jest zbyt uparta, by pozwolić mi umrzeć.

Doc wybuchnął śmiechem, czując, że ten człowiek rozgryzł charakter panny Abigail.

- Abigail? Tak, Abigail jest w porządku. Miał pan szczęście, że wzięła pana do siebie. Nikt inny nie chciał, wie pan.

- Domyśliłem się.

- Kiepski pan był, kiedy pana wyjęli z pociągu. Z pana rzeczy została tylko ta koszula i buty. Naturalnie spodnie trzeba było rozciąć. Przypuszczam, że to także należy do pana. - Doc podniósł do góry pistolet, ważąc go na dłoni i przyglądał się spod wpół przymkniętych powiek mężczyźnie na łóżku. - Oczywiście jest nie nabity - powiedział znacząco i uważając temat za całkowicie wyczerpany, rzucił pistolet na łóżko.

- Chyba może pan położyć moją koszulę i buty pod łóżko. W ten sposób nie będą zagrażały domu panny Abigail.

- Wydaje się, że już pan ją rozgryzł, co? A gdzie ona jest?

- Poszła do miasta, do sklepu rolniczego. - Udało mu się powiedzieć to w taki sposób, jakby zrobiła to panna Abigail.

- Widzę, że poznał pan dokładnie języczek panny Abigail - zauważył Doc ze śmiechem. - A czegoż ona, na Boga, tam szuka?

- Powiedziała, że idzie po siemię lniane na kataplazmy.

- To bardzo w stylu panny Abigail. Zna więcej leków, niż kury mają pcheł. Zobaczmy, co też zrobiła dla pana. - Doc podniósł prześcieradło i przekonał się, że rana wygląda zadziwiająco dobrze. - Przysięgłbym, że w najlepszym razie straciłby pan nogę przez gangrenę, bo tak to wyglądało. Ale mieszanina węgla drzewnego i drożdży oczyściła ranę i wyciągnęła ropę na powierzchnię. Wydaje się, że uratowała ci życie, chłopcze, a w każdym razie nogę.

- Słyszałem jednak, że najpierw pan przeprowadził operację. Chyba winienem panu wdzięczność za to, że mnie pan przyjął, kiedy wywlekli mnie z pociągu. Mówili, że okradałem pociąg, a w takiej sytuacji wielu wahałoby się, czy mnie łątać.

- Może niektórzy by się wahali. Nawet w tej okolicy. Ale nie wszyscy jesteśmy tacy. Ale... jak pan się, u licha, nazywa? - Jesse polubił rzeczowy sposób bycia doktora, który zdawał się nie interesować, czy uratowany przez niego człowiek jest złodziejem.

- Proszę mnie nazywać Jesse.

- No więc, Jesse, uważani, że człowiek ma prawo najpierw do opieki medycznej, a potem do procesu.

- Procesu?

- No, mówi się o tym. Oczywiście, nie obejdzie się bez tego, jeśli się zważy, jak pan się tutaj pojawił.

- Sprawilem zamieszanie, co?

- Zamieszanie to nie jest odpowiednie słowo. Całe cholerne miasteczko zebrało się na moim trawniku, żeby przeszkodzić mi w leczeniu pana. Mogę panu powiedzieć, że niezłe mnie to rozjuszyło! Chociaż można zrozumieć, że ludzie trochę się bali wziąć pana pod swój dach, zważywszy okoliczności. Nie może pan mieć im tego za złe.

- A jednak panna Abigail się odważyła?

- Niewątpliwie. Przemaszerowała przez środek tłumu, zimna jak lód, i oświadczyła wobec całego cholernego miasta, że gotowa jest pana przyjąć - przyjąć was obydwu! Wszyscy poczuli się trochę głupio, wiedząc, kim ona jest i tak dalej.

- Co to znaczy, Doc?

- Chce pan powiedzieć, że pan nie wie?

- No, mam chyba niezłe pojęcie, ale wolałbym usłyszeć to od pana.

- Mogę panu powiedzieć, ale, spędziwszy z nią trochę czasu, nie może się pan dowiedzieć niczego nowego. Jestem pewien, że się pan domyślił, że nie jest to lafirynda. Panna Abigail to prawie wzorzec dla naszego miasteczka. - Doc w zamyśleniu podrapał się po głowie, zastanawiając się, jak opisać powszechny stosunek do panny Abigail. - To znaczy, jeśli chce się wiedzieć, jaka powinna być prawdziwa dama, przyrównuje się ją do panny Abigail, jest ona bowiem największą damą, jaką kiedykolwiek widziało to cholerne miasteczko. Jeśli chce się wiedzieć, jak powinna się zachowywać dobra córka, przymierza się ją do panny Abigail, do tego, jak zajmowała się swoim ojcem przez ostatnie lata jego życia. Wiele kobiet w tym miasteczku mogłoby się od niej nauczyć nie wsadzania nosa w cudze sprawy. Ona jest dokładnie taka, jak się wydaje, co do tego nie ma wątpliwości, to dama w każdym calu. Pewnie dlatego mieszkańcy miasteczka byli tak zaskoczeni, kiedy wzięła do siebie rewolwerowca. - To słowo mogło być obraźliwe, ale Doc wypowiedział je tak zdawkowo, jakby nie przywiązywał do niego wagi.

- Czy była kiedyś mężatką? - spytał Jesse.

- Panna Abigail? Nie... - Potem, jakby coś sobie przypomniał Doc dodał: - Chwileczkę. O mało nie wyszła za męża. To był nicpoń, nigdy nie mogłem sobie wyobrazić ich razem. Ale, o ile sobie przypominam, zalecał się do niej aż do chwili, gdy jej ojciec

zachorował. Zdaje się, że nie chciał brać przykutego do łóżka starca razem z panną młodą, więc bez słowa odjechał. Wie pan, po tylu latach zapomina się o podobnych rzeczach. Oczywiście ona wtedy była młodsza. Ale trudno wyobrazić sobie Pannę Abigail w stanie innym niż dziewiczy. Pewnie dlatego byliśmy wszyscy tak zaskoczeni, kiedy wzięła pana do siebie. Doc spojrzął na niego. - Jak sobie radzi?

- Silna jak akuszerka.

- To też typowe dla niej. Taka już jest. Kiedy się czegoś podejmie, zdecydowana jest doprowadzić to do końca, bez względu na trudności. Poświęciła większą część młodości, by opiekować się ojcem, a kiedy umarł, wszyscy uznaliśmy za rzecz naturalną, że jest naszą miasteczkową starą panną. Niektórzy uważają, że trochę się wywyższa, ale nie można jej mieć tego za złe. Do diabła, kto mógłby się temu oprzeć, jeśli w tak młodym wieku sąsiedzi zrobili z niej starą pannę? W każdym razie wszyscy bylibyśmy wdzięczni, gdyby okazywał jej pan należyty szacunek.

- Doc, daję panu na to moje słowo. Och, doktorze, czy może pan zbadać tę rękę?

Doc stwierdził, że jest jedynie stłuczona, i podsumował wynik oględzin:

- Dzięki panie Abigail rany goja się szybko, ale proszę się nie nadwierać. Zachować spokój. Jutro może pan spróbować usiąść, ale nie więcej. Patrząc na pana, zaryzykowałbym twierdzenie, że pod koniec tygodnia będzie się pan mógł poruszać powolutku. Tylko niech pan nie przesadzi.

Jesse uśmiechnął się i skinął głową. Doc budził w nim coraz większą sympatię.

- Doc?

- Słucham?

- Co się dzieje z tym facetem Melcherem?

- Zastanawiałem się, czy pan o niego zapyta. - Doc dostrzegł po raz pierwszy twarde linie na twarzy Jesse'a. - Wydaje się, że dzisiaj wyjeżdża z miasta. Kupił sobie na stacji bilet do Denver na popołudniowy pociąg. Wie pan, że odstrzelił mu pan duży palec n nogi?

- Słyszałem o tym.

- Prawdopodobnie do końca życia będzie utykał. Wystarczający powód do wniesienia sprawy, co?

- Wybacz pan, że nie czuję się przytłoczony poczuciem winy - powiedział Jesse, a w jego głosie brzmiała gorycz. - Niech pan popatrzy, co on zrobił ze mną.

- W tej okolicy nie będzie to miało zbytniego znaczenia, jak sędzę. Pan jest czarnym charakterem, a on bohaterem.

Dziwne, ale nawet po tych szczerych słowach Jesse nie odniósł wrażenia, że Doc go

krytykuje. Obydwaj patrzyli na siebie z milczącym wyrazem aprobaty.

- Proszę powiedzieć pannie Abigail, że będę w domu, gdyby znowu mnie potrzebowała. Choć nie przypuszczam, by do tego doszło.

- Dziękuję, Doc.

Doc zatrzymał się na progu, odwrócił po raz ostatni i powiedział:

- Proszę dziękować pannie Abigail. To ona utrzymała pana przy życiu. - I wyszedł.

Jesse leżał, rozmyślając o wszystkim, co usłyszał od doktora.

Usiłował sobie wyobrazić młodą i promienną pannę Abigail u boku żarliwego zalotnika, ale jakoś mu to nie wychodziło. Obraz panny Abigail pielęgnującej chorego ojca wydawał się bardziej wiarygodny. Zastanawiał się, ile ma lat. Przypuszczał, że trzydzieści lub coś koło tego. Ale jej postawa i zachowanie sprawiały, że wyglądała na o wiele starszą, nudną i staroświecką. Śmieszne wydawało się wyobrażenie jej sobie u boku męża i dzieci. Nie była to rola dla niej, trudno sobie wyobrazić zatłuszczone paluszki dziecka szarpiące nieskalany fartuch czy też pannę Abigail podziwiającą babki z błota. Nie mógł sobie również wyobrazić panny Abigail, jęczącej w ekstazie pod ciężarem mężczyzny.

Ale nagle, niby zmienny obraz w stereoskopie, przypomniał sobie pannę Abigail tej nocy, kiedy walczyła o jego życie, z potarganymi włosami, poplamioną suknią, pobrudzoną skórą, kiedy pochylała się nad nim, przynaglając, by pomagał jej w walce. Była wtedy bardzo skoncentrowana, pełna ognia i poświęcenia, bez tej normalnej sztywności, jaka zwykle ją cechowała. Te dwa obrazy jakoś do siebie nie przystawały. Jednak zdaniem doktora Dougherty jej właśnie zawdzięczał życie. Poczul się nieswojo na wspomnienie o tym, jak została porzucona przez tamtego mężczyznę przed laty, po prostu dlatego, że wzięła na siebie obowiązek opieki nad chorym, a teraz znowu zdarzyło się to samo, i to z jego winy. Poczucie winy było zupełnie nowym uczuciem w życiu Jesse'a. Zdecydował jednak, że pohamuje swój język, ponieważ z jego powodu panna Abigail straciła zalotnika.

Ale na pewno będzie mi brakowało przekomarzanek z nią - pomyślał. Co do tego nie ma wątpliwości.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Całą drogę powrotną do domu panna Abigail myślała o tym, że już nie da się dłużej odwlec sprawy golenia. Wcześniej czy później Jesse i tak się dowie, że zgoliła mu wąsy. A może już się zorientował?! Zamierzała załatwić ten problem razem z jego kąpielą, ale tak ją rozzłościł, że nie potrafiła się na to zdobyć. Och, gdyby już było po wszystkim! Na pewno Jesse wścieknie się, jak zobaczy, że nie ma wąsów, a że panna Abigail zdążyła już poznać jego temperament, więc myśl ta napawała ją przerażeniem.

- Jestem w domu - zaanonsowała z progu sypialni, zaskakując go jak zwykle. Jak ta kobieta mogła poruszać się po domu całkiem bezszelestnie? Przekraczało to jego możliwości pojmowania.

- Aha.

Z lekkim westchnieniem ulgi, że nie dokonał jeszcze odkrycia w sprawie wąsów, panna Abigail weszła do pokoju; idąc w stronę lustra, zdejmowała białe rękawiczki. Jesse ze zdumieniem stwierdził, że cieszy się z jej powrotu.

- Przyniosła pani to siemię lniane? - zapytał, obserwując jej profil, kiedy wyjmowała ozdobną filigranową szpilkę z kapelusza. Po raz kolejny zauważył, że ma okazały biust. Ukrywały to zazwyczaj jej sztywno wykrochmalone bluzki, ale w momencie gdy unosiła rękę do góry, piersi wyraźnie zdradzały swą obecność.

- Naturalnie. Przyniosłam też świeże cytryny do zimnego napoju.

Powstrzymał się od wygłoszenia zgryźliwej uwagi na temat Melchera, zapytał natomiast:

- A przyniosła pani piwo dla mnie?

- Okres pańskiego opilstwa uległ chwilowemu zawieszeniu - oznajmiła kwaśno. - Dopóki jest pan tutaj, musi panu wystarczyć lemoniada.

Teraz ją rozgryzł; w odpowiedzi na jego przekomarzanki sięgała do swego bogatego zasobu pretensjonalnych słów, aby mu utrzyć nosa. Opilstwo! Jednak nowo nabyta grzeczność powstrzymała go przed drażnieniem jej, więc zgodził się uprzejmie:

- Prawdę mówiąc, panno Abigail, chętnie napiję się lemoniady.

Panna Abigail stała na środku pokoju i z niezrozumiałych przyczyn czuła się nieswojo. Powiew wiatru z otwartego okna wydał jej spódnice. Posłużyła się kapelusikiem, by ją przyglądzić, a zrobiła to gestem tak młodzieńczym i czarującym, że Jesse znowu zaczął się zastanawiać, jak też wyglądała jako młoda dziewczyna.

- Jeśli pan chce, to... to teraz pana ogolę. - Unikała jego wzroku i w roztargnieniu

miętosila stokrotki na kapeluszu. Potarł ręką policzek, a jej serce podskoczyło do gardła.

- Wyglądam pewnie jak niedźwiedź grizzly - zażartował z uśmiechem.

- Owszem - przyznała bez przekonania, myśląc zarazem: i pewnie za chwilę zachowasz się jak niedźwiedź grizzly. - Pójdę zagrzać wodę i przynieść przybory do golenia.

Wyszła, by napalić pod kuchnią, wzięła czystą serwetkę, miseczkę i pędzel ojca. Kiedy sięgała po miednicę, z sypialni dobiegł ją ryk.

- Panno Abigail, niech pani natychmiast ruszy tyłek i tu przyjdzie! - Wyprostowała się, jakby dźgnięta ostrogą, zamknęła oczy i policzyła do dziesięciu, ale zanim skończyła, zaryczał od nowa:

- Panno Abigail... natychmiast do mnie!

Kompletnie zapomniał, że obiecał być dla niej miły. Weszła do pokoju, trzymając przed sobą miednicę w charakterze tarczy.

- Słucham, panie Cameron? - powiedziała niemal szeptem.

- Żadnych „słucham, panie Cameron”! Co się, do jasnej cholery, stało z moimi wąsami?

- Zniknęły - wymamrotała.

- Właśnie to odkryłem. Kto za to odpowiada?

- Odpowiada? Nie rozumiem, dlaczego pan to tak formułuje.

- Będę to formułował, jak mi się żywnie podoba, ty wścibska...

Był tak rozjuszony, że nie dowierzał sam sobie, w końcu zamiast jej imienia mógł mu się wysnąć dowolny epitet.

- Kto, do jasnej cholery, pozwolił pani mnie golić?

- Nie potrzebowałam żadnego pozwolenia. Biorę pieniądze za opiekę nad panem.

- To pani nazywa opieką?! - W jego czarnych, świdrujących oczach nie było teraz miękkich orzechowych połysków. - Pewnie uznała pani, że skoro wszystko tu pani zmienia - pościel, nocniki, bandaże - może pani zmienić i to. Ale zmieniła pani o jedną rzecz za dużo. Słyszysz mnie, kobieto? O jedną rzecz za dużo!

Chociaż panna Abigail drżała niedawno na myśl o jego gniewie, nie miała zamiaru pozwolić, by się w ten sposób do niej odzywał.

- Krzyczy pan na mnie, a to mi się nie podoba. Proszę mówić spokojnie i ciszej.

Wydało się jednak, że jej opanowanie jeszcze bardziej go rozjuszyciło.

- O Boże! - Wzniósł oczy do sufitu. - Uchroń mnie przed tą kobietą! - Spojrzał na nią przenikliwie. - Uznała pani, że trzeba utrzyć nosa niedobremu bandycie, co? I to się pani wydało najlepszym sposobem? A może zrobiła to pani ze złości, ponieważ wąsy są tak bardzo

męskim atrybutem? Przejrzałem panią, panno Abigail! Znam takie osoby. Wszystko, co męskie, stanowi zagrożenie, prawda? Wszystko, co pachnie męskością, drażni cię tak, że nie panujesz nad sobą, ale powiem ci, kobieto, że wybrałaś sobie nieodpowiedniego mężczyznę do wywierania swojej purytańskiej zemsty. Zapłacisz za to, i to słono!

Panna Abigail zrobiła się purpurowa, przerażona tym, że tak niewiele się pomylił.

- Płacę za to, stojąc tak spokojnie i przysłuchując się pańskim wymysłom, na które sobie nie zasłużyłam.

- Chce pani mówić o zasługach? A czy ja na to zasłużyłem? - Gestem pełnym niechęci wskazał swoją ranną nogę. - Albo na to? Tym razem wskazał na górną wargę. Po raz kolejny stwierdziła że zdumieniem, że bez wąsów rzeczywiście wydawał się nagi i nienaturalny.

- Może zbyt szybko się pośpieszyłam - zaczęła, ciągle jeszcze roztrzęsiona, ale gotowa teraz na kompromis i rodzaj przeprosin, choćby tylko po to, by go uciszyć. Fuknął pogardliwie i leżał wpatrzony w sufit. - Jeśli poprawi to pańskie samopoczucie, przyznam, że żałuję swojego postępu.

- Może pani wierzyć lub nie, ale wcale nie czuję się przez to lepiej. - I kontynuował urażonym łonem: - Dlaczego, do diabła, pani to zrobiła? Czy one pani przeszkadzały?

- Wyglądały nieporządnie i nadawały panu wygląd typowego przestępcy, Nagle ton jej głosu stał się wyraźnie pogodniejszy. - Chyba wiadomo panu, że wielu najslawniejszych przestępców nosiło wąsy?

- Czyżby? - Lekko uniósł głowę, żeby jej się przyjrzeć. - A ilu z nas pani poznała?

- Jedynie pana - wyznała żałośnie.

- Tylko mnie?

- Tak - potwierdziła cichutko.

- I ogoliła mnie pani, żeby nie wyglądał jak inni?

Panna Abigail, zwykle tak opanowana, o mało się nie rozplakała.

- Prawdę mówiąc nie... To znaczy... one bardzo... bardzo przeszkadzały, kiedy... kiedy pan jadł. Chciałam powiedzieć, że łaskotały.

- Co takiego? - Oderwał głowę od poduszki.

- Nic! - warknęła. - Nic.

- Łaskotały?

Przerażona zdradliwością własnego języka, musiała teraz wyjaśnić.

- Tak, kiedy pana karmiłam.

- Na te słowa podniósł głowę jeszcze wyżej.

- Panno Abigail, czy zechciałaby pani to bliżej wyjaśnić?

Zrobiła się tak czerwona, że niemal czuł krochmal roztapiający się na kołnierzyku bluzki. Wybiegła z sypialni.

Kiedy kompletowała przybory do golenia, przysłała mu do głowy szalona myśl, a że bardzo lubił kobiety, myśl ta przyjemnie polechtała jego próżność i osłabiła złość. Jednak zdrowy rozsądek podpowiadał, że nie może to być prawdą, nie w przypadku sztywnej panny Abigail. Jej zachowanie po powrocie do pokoju utwierdziło w nim to przekonanie, bo wydawała się spłoszona, przekładała przybory do golenia, unikała jego wzroku i najwyraźniej czuła się nieswojo.

Wiedziała, że Jesse przygląda się jej niechętnie, opanowała się jednak, podeszła do łóżka, naląła gorącej wody do miseczki, zrobiła pianę. Kiedy jednak chciała zabrać się do golenia, wyczytała w czarnych oczach ostrzegawczy błysk.

- Sam to zrobię. - Wyrwał jej z ręki namydlony pędzel. - Niech pani tylko trzyma lustro - polecił. Ale kiedy spojrział na swoją obnażoną twarz, znowu poczuł obrzydzenie. - Do diabła, Abbie, równie dobrze mogła pani zmienić kształt mojego nosa. Wąsy są nieodłączną częścią mężczyzny, bez nich nie czuje się sobą. Teraz w jego głosie brzmiała uraza. Patrząc w lustro, żałośnie pokręcił głową na widok własnego odbicia i zaczął namydlać twarz, jakby chciał zakryć to, co zobaczył.

W miarę jak czarny zarost pokrywał się białą pianą, nabierał mniej groźnego wyglądu, toteż panna Abigail wyznała:

- Sposzregłam to natychmiast. Bardzo mi przykro. - Zabrzmiało to jak szczerza skrucha, przestał więc mydlić policzki i odwrócił głowę, żeby jej się przyjrzeć. Nie odrywała wzroku od lustra, powiedziała jednak: - Przekonałam się, że... znacznie wolę pana z wąsami. - W obawie, że znowu palnęła coś niewłaściwego i dostarczyła mu tym amunicji, odważyła się na niego spojrzeć. Ale z, jego twarzy znikł grymas, w głosie już nie pobrzmiwał gniew.

- Odrosną.

Wyczuła, że najgorsze minęło, że on naprawdę próbował zapanować nad sobą, by dotrzymać umowy.

Sprawiło jej to przyjemność, odezwała się więc:

- Tak, pańska broda rośnie bardzo szybko.

Przez kilku sekund patrzyli na siebie badawczo, a Jesse uświadomił sobie, że kiedy spał, musiała mu się przyglądać wystarczająco długo albo wystarczająco uważnie, by zauważyć, w jakim tempie rośnie jego zarost.

- Bardzo jest pani sposzregawcza, panno Abigail - powiedział spokojnie. Oczywiście, wywołało to rumieniec na jej policzkach. - No. może pani dokończyć. - I podał jej pędzel. -

Nie najlepiej sobie radzę lewą ręką.

- Jest pan pewien, że można mi zaufać? - Uniosła do góry jedną brew, ale mimo to Jesse się uśmiechnął.

- Niezupełnie. A można?

- Pan Melcher mi ufał - skłamała, nie bardzo wiedząc, dlaczego chciała, by ten człowiek myślał, że goliła Davida Melchera.

- Nie sprawiał wrażenia dość męskiego, by zapuścić brodę. Jest pani pewna, że w ogóle miał jakiś zarost?

- Niech pan się nic rusza, bo jeszcze obetnę panu nos - trzymała ostrze brzytwy nad jego policzkiem - który w przeciwieństwie do wąsów nie odrośnie.

Niech pani tylko nie dotyka mojej górnej wargi - ostrzegł i napiął mięśnie wokół ust. Czul poruszenia brzytwy, którą panna Abigail manipulowała niezbyt zręcznie. Wyciągnął rękę, żeby przestała na chwilę, bo chciał coś powiedzieć, nie ryzykując skaleczenia.

- Niech pani nada im odpowiedni kształt.

- Wystarczająco dobrze pamiętani kształt pańskich wąsów przerwała, a pan znowu trzyma mnie za nadgarstek. - W nieskończoność dłużyła się chwila, kiedy jego opalone palce otaczały nasadę jej dłoni.

- Ja też pamiętam - Uśmiechnął się. - Odbiorę pani tę brzytwę i połamię, jeśli zgoli pani o jeden włos więcej, niż trzeba. Puścił jej rękę i leżał z zamkniętymi oczami, czekając na koniec golenia. Robiła to coraz lepiej. A więc - myślał - wystarczająco dobrze pamięta kształt moich wąsów? Sprawilo mu to niewytłumaczalną przyjemność.

- Panno Abigail? - Przestała płukać brzytwę i dostrzegła w jego czarnych oczach przewrotne rozbawienie, kiedy uśmiechały się do niej ze świeżo ogolonej twarzy. - Będę się zastanawiał, jak się na pani odegrać za ogolenie mi wąsów.

- W to nic wątpię. A tymczasem napijemy się razem lemoniady, jakbyśmy byli najlepszymi przyjaciółmi, zgoda?

Kiedy przyniosła lemoniadę, z trudem pił ze szklanki.

- Niech pan spróbuje tego. - Podała mu coś, co przypominało pęd wierzby.

- Co to takiego?

- Łodyga tymotki, którą wydrążyłam drutem od robótek. Może pan przez to pić lemoniadę.

- Jest pani bardzo pomysłowa. Dlaczego nie przyniosła pani tego rano do rosółu? Czy tak bardzo chciała pani karmić mnie łyżką?

- Po prostu nie pomyślałam o tym.

- Acha - mruknął znacząco, jakby tylko głupiec mógł uwierzyć w podobne wyjaśnienie.

- Mam dużo pracy - oznajmiła nagle. Postanowiła, że jednak nie będzie z nim piła lemoniady, zwłaszcza jeśli zamierza się z nią przekomarzać.

- Nie napije się pani lemoniady? Proszę tu przynieść swoją szklankę i porozmawiajmy chwilę.

- Męczy mnie rozmowa z panem. Wolałabym chwilami, żeby nie odzyskał pan głosu.

To okrutne chcieć pozbawić mnie nawet głosu, kiedy to jedna z nielicznych rzeczy, która funkcjonuje u mnie prawidłowo. - zanim zdążyła rozstrzygnąć, czy miała to być prowokacyjna uwaga, poprosił: - Niech pani nie odchodzi. Chciałbym chwilę porozmawiać.

Zawahała się, po czym przycupnęła na bujanym fotelu, zastanawiając się, dlaczego w ogóle została z nim w pokoju. Powoli sączyła lemoniadę, podczas gdy on łapczywie pił zimny napój przez łyżkę tymotki. W pewnej chwili powiedział:

- Uuuu, to prawie tak dobre jak piwo.

- Trudno mi to potwierdzić. - Przypuszczał, że byłoby jej trudno.

- Był tu Doc Dougherty w czasie pani nieobecności.

- I jak znalazł pana stan?

- O wiele lepiej, niż oczekiwał. - Panna Abigail podniosła szklankę, ale oczy wciąż miała spuszczone. - Powiedział, że powinienem pani podziękować za ocalenie mi życia.

- I dziękuje pan? - rzuciła mu wyzwanie.

- Jeszcze nic jestem pewien. Ciekaw jestem, co musiała pani w tym celu zrobić.

- Niewiele. Tu jakiś kataplazm, tam jakiś kompres.

- Panno Abigail, dlaczego taka skromność? Wiem, że ocalenie mnie wymagało więcej niż pogłaskania po głowie. Trapi mnie ciekawość, co pani zrobiła, żeby nie dopuścić do zgnicia mojej cielesnej powłoki.

Panna Abigail zupełnie nieświadomie przyglądała się swoim dwóm pogryzionym palcom, pocierała kciukiem niewielkie blizny, nie zdając sobie sprawy, że wzrok Jesse'a podąża za jej wzrokiem.

- Niewiele miałam do toboły. Jest pan silny i zdrowy, więc kula nie mogła pana pokonać. To wszystko.

- Zastanawialiśmy się z doktorem, jak pani mnie karmiła. Dzisiaj parokrotnie wspominała pani o tym, że jadłem. W jaki sposób może jeść człowiek nieprzytomny?

Dobrze, powiem panu. Karmiłam pana siłą za pomocą tej słomki z tymotki, przez którą pan teraz pije. Musiałam ja wepchnąć panu do gardła. Dlatego tak bardzo pana bolało,

kiedy odzyskał pan przytomność. - Zauważył znowu, że przygląda się bliznom na palcach, i skojarzył jedno z drugim.

- Chce pani powiedzieć, że wlewała pani łyżka jedzenie i lekarstwa przez ten maleńki otwór? Pod wpływem tych pytań panna Abigail czuła się coraz bardziej nieswojo. Nagle uświadomiła sobie, że on patrzy na jej palce, więc ukryła je w fałdach spódnicy.

- Nie nalewałam łyżką, tylko wdmuchiwałam - wyznała z niecierpliwością.

- Ustami? dopytywał się, zaskoczony.

- Ustami, panie Cameron. - Unikała jednak jego wzroku.

- A niech mnie diabli porwą!

- Pewno już mają pana w swej mocy, więc mógłby się pan powstrzymać od ciągłego potwierdzania tego w mojej obecności.

- I dlatego łaskotały panią moje wąsy? Z powodu tego kawałka słomki. Mam wrażenie, że można było przyciąć dłuższy kawałek.

Panna Abigail czuła, że się rumieni, poderwała się więc z bujanego fotela, ale Jesse okazał się szybszy. Zdażył schwycić ją za rękę. Spojrzał na palce, potem na jej twarz, a w kącikach ust igrał mu filuterny uśmiech.

- Czy to... co to za blizny? - spytał, oglądając uważnie jej palce.

- Może zechce pan puścić moją rękę!

- Kiedy tylko dowiem się, co się tutaj działo, gdy leżałem bez zmysłów. Czyżby były to ślady moich zębów?

- Tak!

Trzymał jej dłoń w żelaznym uchwycie, a ona usiłowała ją wyrwać.

- A w jakim celu pani palce znalazły się w moich ustach?

- Musiałam otworzyć panu usta i wyciągnąć język, kiedy wkładałam słomkę do gardła.

- I twierdzi pani, że niewiele było do roboty?

Spojrzała na niego w milczeniu, zarumieniona aż po czubki uszu.

- Karmienie zwykłego złodzieja metodą usta - usta, wkładanie mu palców do ust, narażanie się na ugryzienie aż do krwi, wlewanie mu rosołu w usta prosto z własnych ust? To znacznie więcej niż niewiele. To absolutne poświęcenie, panno Abigail. To godne podziwu, uporczywe poświęcenie, prawda? Wygląda na to, że jednak winien jestem pani wdzięczność.

- Nic mi pan nie jest winien. Proszę puścić moją...

- Winien jestem pani wdzięczność. Jak mam ją wyrazić?

- Wystarczy, że puści pan moją rękę.

- O nie, panno Abigail. To na pewno nie wystarczy. W końcu zmuszona pani była

uciekać się do nieortodoksyjnych, że nie powiem - intymnych wręcz, sposobów pielęgnowania mnie. Byłbym niewdzięcznikiem, nie zauważając pani wspaniałomyślności. - Delikatnie głaskał kciukiem ślady zębów na jej palcach. Ich oczy spotkały się w milczącym pojedynku, podczas gdy panna Abigail poczuła dziwne skurcze w żołądku i za wszelką cenę chciała uwolnić rękę z jego uścisku. - Ponieważ nie mam już łaskoczących wąsów, proszę mi pozwolić... w ramach przeprosin... - Powoli przyciągnął jej dłoń do ust i ucałował niewielkie blizny. Poczuł, że przestała się szamotać i pozwoliła mu na tę poufałość. Odwrócił jej dłoń i pocałował delikatnie, powoli, zwilżył skórę muśnięciem języka. Wyrwała się gwałtownie i ujęła udreżoną rękę drugą dłonią.

- Musiałam postradać rozum, żeby przyjąć pana pod swój dach! - syknęła.

- Chciałem tylko przeprosić za to, że panią ugryzłem. Proszę się nie obawiać, to sio już więcej nie powtórzy.

- Czy... czy ten rodzaj przeprosin ma być wyrównaniem porachunków za zgolenie panu wąsów?

- O nie, nigdy, panno Abigail. Kiedy wybiorę rodzaj i moment zemsty, dowie się pani o tym na pewno.

Nie ulepiło wątpliwości, co miał na myśli. Pannie Abigail nie pozostawało więc nic prócz ucieczki z pokoju, umknienia przed uśmiechem i pogodnym wzrokiem, które teraz, kiedy wyrażały nowo pozyskany dobry humor, wydawały się większym zagrożeniem niż w momentach złości.

Przez resztę dnia trzymała się możliwie jak najdalej od drzwi sypialni, a ilekroć na wspomnienie jego pocałunku odczuwała drżenie w żołądku, powtarzała sobie, że to ze złości.

W południe musiała pójść do niego z obiadem. Przygotowała wyjątkowo gęsty gulasz i bezceremonialnie postawiła talerz na piersi Jesse'a.

Pacjent spał i przebudził się gwałtownie, zdążył jedynie powiedzieć: „Uff, poziom usług zdecydowanie się pogarsza” - ale panny Abigail już nie było. Nic jej nie obchodziło, czy poradzi sobie zjedzeniem gulaszu. Co więcej, miała nadzieję, że potrawa jest wystarczająco gęsta, żeby run zaszkodzić!

Kilka minut później rozległ się okrzyk:

- Ma pani tam więcej tego gulaszu?

Powinna była się domyślić, że taki wieprz zje wszystko, co jest w domu, i nic mu nie zaszkodzi. Wrzuciła dodatkową porcję gulaszu na talerz i bez słowa postawiła mu na piersi, a on uśmiechał się tak, jakby wiedział coś, o czym ona nie miała pojęcia.

Po południu poszła posprzątać w pokoju pana Melchera, gdzie znalazła tomik

sonetów, niby list miłosny od straconego wielbiciela. W jej samotnym życiu te kilka bezcennych dni stanowiło zapowiedź nadejścia lepszych czasów. Jednak pan Melcher zniknął z jej życia równie szybko, jak się pojawił.

Nieśmiałe pukanie do drzwi na dole wyrwało pannę Abigail z zamyślenia. Schodząc w dół, rozpoznała rękaw marynarki Davida Melchera. Serce zabiło jej mocniej, przechodząc przez salonik zatrzymała się, przyłożyła dłoń do ust, wygładziła przód bluzki, poprawiła spódnicę i dotknęła ręką węzła włosów na karku. Nic wiedziała, że Jesse obserwował to wszystko z sypialni.

Zniknęła z jego pola widzenia, słyszał jednak każde słowo i nawet z tej odległości wyczuwał, że panna Abigail z trudem oddycha.

- Ach, to pan, panie Melcher.

- Tak... przyszedłem... przyszedłem zwrócić ranne pantofle pani ojca.

- A tak... naturalnie. Dziękuję. - Zaskrzyphiały zawiasy ochronnych drzwi i nastąpiła długa cisza.

- Obawiam się, że sprawiłem pani wiele kłopotu.

- Ależ nic podobnego, żadnego kłopotu.

Wydawało się, że Melcher ma jakieś problemy z gardłem. Chrząkał wielokrotnie, po czym znowu nastąpiła długa cisza. Kiedy znowu się odezwali, zrobili to jednocześnie.

- Panno Abigail, być może wyciągnąłem zbyt pochopnie...

- Panie Melcher, ten poranek był...

Znowu milczenie, podczas którego pacjent w sypialni nadstawiał uszu.

- Miała pani prawo rozżłościć się na mnie tamtego ranka.

- Nie, panie Melcher. Nie wiem, co mnie napadło.

- A jednak miała pani powody. Nigdy nie powinienem był powiedzieć czegoś takiego.

- Ale to przecież nie ma żadnego znaczenia, skoro za godzinę opuszcza pan Stuart's Junction, prawda?

- Chciałem, żeby pani wiedziała, jak wiele znaczyły dla mnie te dni, które spędziłem w tym uroczym domu, gdy pani mnie pielęgnowała. Zrobiła pani znacznie więcej, niż należało.

- Nonsens, panie Melcher... - Panna Abigail uświadomiła sobie teraz, że mężczyzna w sypialni słyszy każde słowo, ale nie miała gdzie zaprosić gościa. Ganek przed domem był miejscem zbyt publicznym, a kuchnia zbyt prywatnym.

- Nie, panno Abigail, to wcale nie nonsens. Przecież... nasturcje i sonety, i pani doskonały gust... chciałem powiedzieć, że nie jestem przyzwyczajony do takiego traktowania.

I to wspaniałe jedzenie, i delikatna opieka...

- Wszystko w ramach obowiązków.

- Naprawdę? Miałem nadzieję... - Nie skończył zdania, a panna Abigail bawiła się koronką przy wysokim, sztywnym kołnierzu bluzki.

- Nadzieja może sprawić wiele bólu, panie Melcher - stwierdziła spokojnie.

- Tak... no...

- Widzę, że kupił pan sobie nowe buty.

- Tak. Nie tak eleganckie jak te, które sam sprzedaję, ale... - Po raz kolejny nie dokończył zdania.

- Może pan zatrzymać łaskę papy. Odkąd go zabrakło, nie jest mi potrzebna.

- Jest pani pewna?

Nagle zapragnęła gorąco, żeby zatrzymał łaskę, żeby zabrał z jej domu jakiś drobiazg, który zawsze będzie mu o niej przypominał.

- Ja nawet nie zauważę jej braku, a panu może się to zdarzyć.

- Tak... raz jeszcze dziękuję, panno Abigail.

Znowu zapadła cisza i Jesse wyobrażał sobie tych dwoje, prawdopodobnie wpatrywali się w łaskę. Znowu zaskrzypiały zawiasy ochronnych drzwi.

- Jeśli znajdę się kiedykolwiek w tym mieście, zwrócę pani łaskę.

- Nie ma potrzeby.

- Ach... rozumiem powiedział tonem przygnębienia.

- Nie miałam na myśli... - Ale panna Abigail również nie dokończyła zdania.

- Ilekroć poczuję zapach nasturcji, będę myślał o tym domu.

Panna Abigail przełknęła ślinę, serce jej łomotało, a oczy napełniały się łzami.

- Do widzenia, panno Abigail - rzekł, wycofując się powoli.

- Do widzenia, panie Melcher.

Zrobiło się tak cicho, że Jesse słyszał kuśtykające kroki odchodzącego Melchera. Zobaczył utykającą postać przez wschodnie skrzydło wykuszowego okna, poniżej na pół zaciągniętej żaluzji, i pomyślał: gdyby ten głupiec posłużył się rozumem w pociągu, to teraz nie byłby kulawy. Po raz pierwszy Jesse mógł myśleć o Melcherze, nie wpadając we frustrację czy złość z powodu własnego unieruchomienia. Długo, bardzo długo po odejściu Melchera usłyszał kroki panny Abigail wracającej na górę. Musiała wypatrywać go jeszcze po tym, jak zniknął jej z oczu - pomyślał Jesse. Przypomniawszy sobie, co Doc opowiadał mu o tamtym mężczyźnie, który kiedyś ją porzucił. Nie mógł się powstrzymać od porównywania tamtej sytuacji z obecną. Nie mógł też uciszyć irytującego poczucia winy.

Panna Abigail obserwowała z okna na górze kłęby dymu, kiedy na stację wjeżdżał popołudniowy pociąg. Ciszę przerwał gwizdek lokomotywy, gdy tak stała, podtrzymując ręką zasłony. Wyobrażała sobie, jak pan Melcher, utykając na nogę, wsiada do pociągu. Jej serce błagało, by o niej nie zapomniał. Kłęby dymu spowiły dach stacji, a parowy gwizdek zabrzmiał raz jeszcze żalonym dźwiękiem, uwożąc z jej życia Davida Melchera. Z oczami pełnymi łez, zabrała się do zmiany pościeli na jego łóżku. Spodziewała się, że Jesse po tym wszystkim, co usłyszał, będzie znowu z niej podkpiwał.

Stała teraz na progu sypialni i dłuższy czas przyglądała się śpiącemu. W pewnym momencie możliwość zakłócenia jego snu sprawiła jej niemal perwersyjną przyjemność.

- Znalazłam chwasty, które powinny pomóc na pańską rękę - oznajmiła głośno i rzeczowo.

Obudził się, zacisnął zdrową dłoń i przeciągnął się. Robił to powoli, z taką lubością, że panna Abigail odwróciła wzrok, przypomniawszy sobie jego wcześniejsze słowa, że czuje się zagrożona każdym przejawem męskości. Ziewał przeciągle i prężył się leniwie.

- O, halo, panno Abigail. Od dawna pani tu jest?

- Właśnie... - Ale była tu od dawna. Obserwowała leniwe poruszenia jego mięśni.

- Znowu śledzi pani, jak rośnie moja broda?

- Pochlebia pan sobie. Wołałabym obserwować, jak rośnie trawa.

Uśmiechnął się, powoli i leniwie.

- Przyszłam przyłożyć okład na rękę. Im szybciej przestanie boleć, tym prędzej przestanę się szamotać z przyborami do golenia.

Roześmiał się. Wydawał się w ludzkim niemal nastroju.

- Przemawia pani jak prawdziwy przeciwnik, panno Abigail. Skoro zostałem tak brutalnie obudzony, nie miałbym nic przeciwko towarzystwu. Myślę, że pani również, skoro Melcher poszedł.

- Zechce pan łaskawie nie mieszać do tego pana Melchera powiedziała jadowitym tonem. - Czy życzy pan sobie, żebym położyła kompres na rękę?

- Ależ naturalnie. W końcu to ręka do trzymania broni. - Wyciągnął dłoń w jej stronę, a ona odwinęła stary bandaż i opatrunek. - Jest to też ręka do miłości - dodał. Panna Abigail natychmiast znieruchomiała, ale uświadomiwszy sobie, że to błąd, kontynuowała zwijanie bandaża, podczas gdy Jesse mówił: - Praworęcznemu mężczyźnie trudno się kochać, kiedy ma tylko jedną zdrową rękę, i to w dodatku lewa.

Czuła, że spod wysokiego kołnierza na policzki zaczyna się wdzierać rumieniec.

- Bardzo niedelikatnie się pan wyraża.

Ręką była już obandażowana, spróbował zacisnąć dłoń, unosząc ją zarazem w stronę twarzy panny Abigail. Odskokczyła jak oparzona.

- A jak niedelikatnie, że pani się uchyla, panno Abigail, zupełnie jakbym miał wobec pani jakieś zamiary. W końcu ręka znajdująca się w tym stanie nie nadaje się ani do strzelania, ani do miłości. Kiedy już będzie się nadawała, pani na pewno się o tym dowie.

Panna Abigail, bardzo zdenerwowana, odwróciła się od niego i powiedziała niemal błagalnie:

- Co mam zrobić, żeby przestał się pan ze mną drażnić? Nie jestem do tego przyzwyczajona, więc nie umiem się bronić. Jestem pewna, że kobiety, z którymi pan się stykał w przeszłości, umiały błyskawicznie replikować, ale mnie za każdym razem brakuje słów i czuję się zażenowana. Zdaję sobie sprawę, że doprowadzanie mnie do takiego stanu jest pana celem, więc musi pan odczuwać niewypowiedzianą przyjemność, kiedy wreszcie przyznaję to otwarcie. Jednak odkrywam przed panem duszę i wyznaję, że te rozmowy bardzo mnie peszą. Proszę, żeby ułatwił mi pan pracę, traktując mnie sprawiedliwie i z szacunkiem.

- Chce pani, żebym błagał o przyniesienie świeżych nasturcji do mojego pokoju?

Kiedy się odezwała, mówiła głosem wyjątkowo spokojnym, jakby przyznawała się do poniesienia klęski.

- Nie chcę od pana niczego więcej poza tym, by traktował mnie pan jak damę, tak jak robił to pan Melcher. Ale pan najwyraźniej nim pogardza. Wiem, że jego uprzejmość i dobroć to cechy zupełnie panu nie znane, ale wyśmiewając się z niego, jeszcze bardziej mi pan dokucza.

- Poczciwy Melcher spodobał się pani, co?

Z najwyższym trudem zapanowała nad swoim głosem.

- Wiedział, jak należy traktować kobietę, jak dać jej odczuć, że jest ceniona i szanowana, jak z codziennej monotonii wydobyć choć odrobinę wzniosłości. Panu może się to wydawać objawem miękkości i słabości, ponieważ nigdy nie odkrył pan siły, jaką można czerpać z piękna i łagodności. Dla pana siła to tylko... tylko... złość, przekleństwa, pomstowanie i zmuszanie innych, by robili to, co pan chce. Żał mi pana, panie Cameron, ponieważ nie dane było panu poznać, iż tak wyświechtane atrybuty, jak uprzejmość, szacunek, cierpliwość, tolerancja, a nawet wdzięczność mają szczególne właściwości wzmacniające.

- A pani przez całe życie uprawiała owe cnoty?

- Próbowалам. - Zauważył, że mówiąc to, dumnie wyprostowała plecy.

- I jakie korzyści pani z tego ma? Siedzi tu pani, uprzejma i zgorzkniała, w moim

towarzystwie, ale za to porzucona przez Melchera.

Panna Abigail, nadal odwrócona do niego plecami, wykrzyknęła:

- Nie ma pan prawa, panie Cameron! Najmniejszego prawa! Przez pana go straciłam, przez pana i pański złośliwy język. Jestem pewna, że odczuwa pan wielką satysfakcję, iż on odszedł, a wraz z nim moja ostatnia szansa na... na... - W końcu panna Abigail się załamała, ukryła twarz w dłoniach i zaczęła szlochać, drobne plecy drżały. Jesse nigdy nie spodziewał się, że ujrzy ją w podobnym stanie. Ostatnią kobietą, jaką doprowadził do płaczu, była jego matka, kiedy opuszczał Nowy Orlean, by znów pojechać na Wschód(Zachód). Teraz łzy panny Abigail poruszyły go w równym stopniu. Czuł się tak, jakby rzeczywiście był gruboskórny i prymitywny, jak go oskarżała. A było to dla niego uczucie nowe i niepokojące. Nagle zapragnął wynagrodzić przykrość, jaką jej sprawił, zanim jednak zdążył się odezwać, połknęła łzy i ze słowami: „proszę mi wybaczyć”, wybiegła z pokoju.

Uderzyło go, że nawet w momencie załamania trzymała się swoich nienaganych manier.

Panna Abigail była wstrząśnięta własnym postępowaniem. Nigdy w życiu nie rozplakała się w obecności mężczyzny. Siłę można było czerpać z wielu źródeł, ale na pewno nie z łez. A jednak czuła się dziwnie oczyszczona tym płaczem. Cała gorycz zmarnowanego życia, wszystkie lata poświęceń, wszystkie nie doznane radości, wszystkie nie zaznane przyjemności, o które nigdy nie miała żalu do ojca ani do Richarda... Richard... jaką ulgą było choćby samo wspomnienie jego imienia... stopiły się teraz w jeden przytłaczający ból, który nią zawładnął. Wszystkie tłumione frustracje, jakich prawdziwa dama nigdy nie okazuje, ujawniły się i poczuła to jak odzyskanie wolności po latach spędzonych w więzieniu.

Stała w zacienionym ogródku na tyłach domu i nareszcie oplakiwała utratę Richarda, ojca, Davida Melchera, dzieci, ciepła i bliskości z drugim człowiekiem. I po raz pierwszy żałowała tych wszystkich lat, które poświęciła ojcu.

A Jesse, będąc świadkiem jej załamania, odkrył coś, czego nigdy nie podejrzewał: że pannę Abigail można zranić.

To zaś, że stał się powodem - jej łez obudziło w nim uczucia, o jakie ona nigdy by go - nie podejrzewała: poczuł bowiem skrucę.

Kiedy późnym popołudniem znowu przyszła do sypialni, po raz pierwszy zapanowało między nimi coś w rodzaju harmonii. Pojawiła się z tą samą pewną siebie godnością, jakby nigdy nie doszło do wcześniejszego załamania. Jedynym śladem łez były lekko podpuchnięte oczy. Jej twarz nie wyrażała ani wyzwania, ani nagany, kiedy stanęła na progu ze słowami:

- Wygląda na to, że znowu zaniedbałam pańską rękę.

- To moja wina - powiedział po prostu. Nic w wyrazie jego twarzy nie zapowiadało, że ma ochotę na kpiny.

- Teraz się nią zajmę. - Było to raczej pytanie niż stwierdzenie.

- Oczywiście. Co pani przygotowała tym razem?

- Ingrediencje do ciepłego okładu. Czy mogę go przyłożyć? - Naprawdę jednak pytała o to, czy może pozostać w pokoju bez obawy, że znowu zacznie ją dręczyć swoimi docinkami. Skinął twierdząco głową, zrozumiał bowiem, o co jej chodzi. Panna Abigail zabrała się do opatrywania potłuczonej ręki. Po raz kolejny obudziła podziw Jesse'a. Bez względu na to, jak się zachował, wracała, by się nim zająć. Wydawało się, że jej poczucie obowiązku nie zna przeszkód.

- Jak ręka? - spytała.

- Nie najlepiej..

- Sądzi pan, że są jakieś połamane kości?

- Doc mówi, że nie, ale każdy ruch sprawia mi ból.

- Dziwiłabym się, gdyby nie było tu żadnej złamanej kostki.

Żółtozielony siniak wyglądał paskudnie. Z parującego garnuszka panna Abigail wyjęła niewielki lniany woreczek.

- Co to jest? - dopytywał się podejrzliwie Jesse.

- Proszę leżeć spokojnie. - Trzymała woreczek ostrożnie dwoma palcami i dmuchała, by go ostudzić.

- Czy to ma być kara? - Panna Abigail wycisnęła woreczek opierając go o brzeg naczynia, i przyłożyła na kolorowy siniec. Jesse nie poczuł oparzenia, ale i tak było to bardzo nieprzyjemne. - Pewnie zasłużyłem sobie na to - zauważył, ale ona w milczeniu bandażowała rękę. - Co pani tam włożyła?

- Coś, co zmniejszy ból i usunie zasinienie.

- To jakaś tajemnica?

- Żadna tajemnica. To po prostu chwast.

- Chwast? Jaki?

- Zwany lizydupką.

- Lizydupka! Mówi pani poważnie? - Z najwyższym trudem powstrzymywał się od soczystych komentarzy.

A panna Abigail myślała tymczasem: czy nie możemy rozmawiać o niczym, co nie miałoby podwójnego znaczenia? Na twarzy Jesse'a pojawił się oczywiście uśmiezek, który

kompletnie zignorowała. By ukryć zmieszanie wygłosiła wykład.

- Babka nauczyła moja matkę, która z kolei mnie przekazała wiedzę o cennych zaletach lizydupki. Rozpuszcza skrzepy krwi i dlatego przyłożyłam ją na pana rękę. Moja babcia stosowała to na wszystko. Przykładała nawet okłady na niewielki pieprzyk, który miała na policzku, w tym miejscu. - W końcu panna Abigail, dotykając własnego policzka spojrzała w oczy Jesse'a. Dokończyła nieporadnie: - Jednak, o ile pamiętam, znamię nigdy nie zniknęło. Nigdy... - Zabrakło jej słów, kiedy patrzyła na ogorzałą twarz Jesse'a, świadoma wylanych niedawno łez i ciekawa, czy wspomni o tej scenie. Jednak nic nie powiedział, wydawał się pogrążony w myślach.

- Mam nadzieję, że do rana odczuje pan wyraźną ulgę. - Panna Abigail zabrała rolkę gazy. Spojrzała na zabandażowaną dłoń. Teraz mnie zwymyśla - pomyślała. Jesse jednak wyciągnął rękę i pokręcił głową, jakby karcił sam siebie.

- W ten sposób ręka do pistoletu wyłączona z obiegu. Ale znacznie mniej boli.

Nie było to wyraźne podziękowanie, ale i tak panna Abigail cały czas myślała o tych słowach, przygotowując tacę z kolacją. Oczekiwanie od niego przeprosin nie miało większego sensu, pewno nigdy w życiu nikogo nie przeprosił. A jednak jej łzy jakoś go zmiękczyły. Aby więc poinformować go, że nie pozwoli kpić z eleganckiego stylu życia, panna Abigail wzięła maleńki pęczek nasturcji, włożyła w delikatny wazonik z kryształu i postawiła na tacy nakrytej nieskazitelnie czystą lnianą serwetką.

Na widok eleganckiej tacy i świeżych kwiatów Jesse uniósł pytająco brwi, uznał to jednak za propozycję pokoju, którą postanowił przyjąć.

- Czy to tak słodko pachnie? - Dotknął ręką płatków.

- Tak.

- Przypuszczam, że to nasturcje.

- Tak.

Patrzyli na siebie niby dwa bawoły, zastanawiając się, czy zaatakować, czy dać za wygraną.

- Chorą ręką nie potrafię utrzymać noża. - Tymi słowami Jesse zaakceptował gałązkę oliwną.

- Ja pokroję - zaproponowała. - Mam nadzieję, że lubi pan wątróbkę, panie Cameron. Jest za ciepło, żeby robić zapasy na dłużej. Wątróbka z cebulą to najszybsza potrawa, jaka mi przyszła do głowy.

Słyszając to, Jesse poczuł dziwne swędzenie u nasady języka, które ostrzegało go, żeby nie brał do ust ani kawałka wątróbki. Ale panna Abigail siedziała na bujanym fotelu tuż przy

łóżku, kroїła wątróbkę i podawała jakby na znak milczącego, chwiejnego zawieszenia broni. Wziął więc do ust kawałek, pogryzł wolno i połknął, myśląc o tym, żeby się nie zadławić, żeby znowu nie sprawić jej przykrości, bo zdawało się, że sprawianie przykrości pannie Abigail przychodzi mu wyjątkowo łatwo. Jakże nienawidził wątróбки!

Podawała mu coraz nowe kawałki, musiał to choć na chwilę przerwać.

- Co jest w filiżance? - zapytał.

- Kawa.

- A gdzie słomka?

- Tutaj. - Wyjęła słomkę spod lnianej serwetki na tacy.

- Napiję się trochę. - Zbyttno się spieszył, poparzył sobie usta i krzyknął: - Ojej!

- Powinam była pana uprzedzić, że może być za gorące powiedziała niewinnie.

W tym momencie jednak za bardzo koncentrował się na tym, by zjeść do końca wątróbkę, toteż nawet nie wypomniął, że go poparzyła. Pragnie pokoju, a więc, na Boga, będzie go miała! Przygotował się na dalsze kęsy wątróбки i nie wypowiedział słowa, jadł potulnie tak długo, aż nic nie zostało na talerzu.

Ona tymczasem opowiadała o rozmaitych domowych sposobach leczenia i lekarstwach, o jakich dowiedziała się od matki i babki. Wspomniała o książce zawierającej przepis na ten właśnie okład z drożdży i węgla drzewnego, który uratował mu życie.

A żołądek Jesse'a buntował się gwałtownie.

- Do rana stan ręki powinien poprawić się tak dalece, że będzie pan mógł sam pokroić swoją wątróbkę... to znaczy, że sam pan sobie pokroi wątróbkę.

W połowie zmywania naczyń usłyszała niezbyt głośne wołanie: „Panno Abigail”. Nastawiła uszu, uśmiechnęła się, zadowolona, że wreszcie zwraca się do niej „panno Abigail” i nie używa tego swojego denerwującego tonu, a jednocześnie zastanawiała się, jaką sztuczkę ma tym razem w zanadrzu.

- Panno Abigail, proszę mi przynieść kubek... szybko!

Czy rzeczywiście usłyszała słowo proszę? I nagle uświadomiła sobie, że prosił o kubek. Jego milczenie w czasie kolacji, zamknięte oczy, ta niezwykła bierność. Och, nie!

- Idę! - zawołała na cały głos.

Ledwie zdążyła postawić kubek na podłodze przy łóżku, a chory jęknął, usiłując się obrócić na bok. Wyciągnęła podpórki spod nogi, pochyliła się i uchwyciła go razem z pościelą za pośladki i przewróciła na bok w samą porę. Zwymiotował każdy kawałek smażonej wątróбки, cebulę, kawę, groszek, nawet zimny napój. Leżał obłany potem na skraju łóżka, z twarzą w dół i zamkniętymi oczami.

W końcu zaczerpnął wzmacniający haust powietrza i powiedział do podłogi:

- Czy nie przychodzi pani do głowy, panno Abigail, że skazani jesteśmy na to, by sobie wzajemnie dokuczać?

- Proszę się przewrócić z powrotem - zarządziła. - Nie może pan leżeć na chorej nodze. - Pomogła mu położyć się na wznak i zauważyła, jak bardzo blada wydaje się jego twarz na tle kruczoczarnych baczków. - Może powinnam znowu sprawdzić, jak wygląda rana.

Zakrył ręką twarz.

- To nie ma żadnego związku z moją raną. Po prostu nienawidzę wątróbki, to wszystko.

- Co takiego? I mimo to zjadł pan bez słowa protestu?

- W każdym razie próbowałem - wyjaśnił i roześmiał się z wysiłkiem. - Próbowałem, ale bez powodzenia. Postanowiłem, że w żadnym wypadku nie narażę się pani, zwłaszcza kiedy zobaczyłem tę pięknie przygotowaną tacę. Wygląda jednak na to, że nawet jeśli się staram, nie mogę utrzymywać pokojowych stosunków. - Zdjął rękę, którą zakrywał oczy i zobaczył, że panna Abigail McKenzie z trudem powstrzymuje się od śmiechu, chowając twarz za złączonymi dłońmi. Na ten widok sam nie potrafił opanować głupawego uśmiechu. I wtedy panna Abigail zrobiła coś zupełnie zadziwiającego! Opadła na bujany fotel i śmiała się rozgłośnie, trzymając się ręką w talii, a dźwięki jej rozbawienia wypełniły pokój. To była ostatnia rzecz, jakiej Jesse mógł się po niej spodziewać. Kołysała się w przód i w tył, zapomniawszy zupełnie, podnosiła nogi w górę jak dziecko, które chce rozbijać huśtawkę, a tej chwili wyzwolenia towarzyszyły przebłyski koronkowej halki spod spódnicy. Jakże czarująco wyglądała panna Abigail we władzy swobodnego śmiechu.

- Przykro mi, że nie mogę pani towarzyszyć, ale śmiech sprawia ból zaraz po takiej rewolucji wnętrza. - Nie przestawał się jednak uśmiechać, myśląc, jak zaskakująco czarowna wydaje się panna Abigail bez gorsetu konwenansów.

- Och, panie Cameron, może ma pan rację i jesteśmy skazani na nieporozumienia. Nawet jeśli stara się pan uhonorować moją kuchnię, odnosi to wręcz przeciwny skutek. - I znowu wesoło się roześmiała.

- Wręcz przeciwny skutek! Chociaż raz wybrała pani odpowiednie wyrażenie. - Zachichotał, nie zwracając uwagi na obolałe mięśnie. - Na Boga! Niech mnie pani nie rozśmiesza - błagał, trzymając się za brzuch.

- Zasluguje pan na to po tym, jak pan zlekceważył moją kuchnię.

- Kto kogo zlekceważył? To pani wepchnęła mi tę wątróbkę, nawet nie pytając, czy mi smakuje. Może mi pani uwierzyć, że to niemal śmiertelny cios.

Była tak rozbawiona, że nie przyszło jej do głowy, by wypominać mu swobodny język czy kpiący ton przy słowie „pani”. Wychyliła się w tył na bujanym fotelu, a on z przyjemnością jej się przyglądał.

- Powoli odkrywam kolejne pęknięcia w pańskim pancerzu - oznajmiła, zatrzymując fotel i przechylając lekko głowę. - Jednym z nich jest wątróbka. - Nigdy jeszcze nie zachowywała się przy nim z taką swobodą. Przez zachodnie okno wpadały promienie zachodzącego słońca, oświetlały jej włosy, brodę, wysoki kołnierz bluzki, koniuszki uszu i rzęsy, nadając im złocistą poświatę.

Znów zaczął się zastanawiać, ile lat ma panna Abigail, bo nagle, wychylona do tyłu na bujanym fotelu, wyglądała tak młodo, że przez moment pożałował wypowiedzianych wcześniej słów na temat tego, że Melcher ją porzucił. Chciał oczyścić atmosferę i uznał, że teraz, kiedy jest rozluźniona i pogodna, będą mogli o tym porozmawiać i przegnać urazy wywołane jego stwierdzeniem.

- Ile pani ma lat?

- Zbyt wiele, żeby to mogło pana interesować.

- Zbyt wiele, by pozwolić na rozwianie się tak dobrych perspektyw jak Melcher?

- Jest pan obrzydliwy - stwierdziła, ale bez zbytniej niechęci. Wysunęła głowę do przodu, spojrzała mu w oczy, a na jej ustach pojawił się blady uśmiech.

- Możliwe - zgodził się, również z uśmiechem. - A pani się martwi.

- Czym się martwię?

- Tym, że się pani starzeje i nie ma mężczyzny. Ale Melcher nie jest jedyny, są jeszcze inni.

- Nie w Stuart's Junction - stwierdziła z rezygnacją.

- A więc... popsulem sprawy między wami, a Melcher był ostatnią szansą?

Nic nie odpowiedziała, ale nie było to konieczne. Obserwował ją bacznie, a ona zmrużonymi oczami wpatrywała się w promienie słoneczne, jakby się z nimi bawiła.

- Panno Abigail, czy powinienem za to przeprosić?

Przestała igrać z promieniami słońca, zwróciła głowę w jego stronę i przez chwilę zastanawiała się w spokoju.

- Jeśli musi pan o to pytać, nie ma to żadnego znaczenia - rzekła miękko.

- Naprawdę? - I po chwili dodał: - I tak wszelkie przeprosiny między nami nie miałyby sensu. W końcu zaczęliśmy się z sobą szarpać jak dzikie koty. Brakowałoby pani czegoś, gdybym nagle stał się łagodny.

- A przeprosiny sprawiłyby panu przykrość? - zareplikowała.

- Przykrość? Panno Abigail, jest pani niesprawiedliwa. Stać mnie na to, żeby każdego przeprosić. - W dalszym ciągu jednak nie powiedział, że jest mu przykro.

- Ja przeprosiłam pana z powodu wąsów.

Myszę, że tylko ze strachu.

- Odrzuciła głowę do tyłu, w promienie światła wpadającego przez okno, i wzruszyła ramionami.

- Przeprosiny to gest świadczący o sile, nie o sile ciała, którą pan niechybnie zawsze mógł się szczyścić, ale o sile charakteru, której nie brak panu Melcherowi.

Pod wpływem jej słów nagle opuścił go pogodny nastrój. Miał zupełnie dosyć porównań z tym facetem, które w dodatku zawsze wypadały na jego niekorzyść. Nic lubił, kiedy wytykano mu jakiegokolwiek wady, nawet jeśli robiła to kobieta tak bezpłciowa jak panna Abigail, a już na pewno nie w zestawieniu z takim mięczakiem jak Melcher. Jeżeli wystarczą przeprosiny, żeby zaspokoić jej nienasycony apetyt na łagodzenie sytuacji, to, na Boga, doczeka się tych przeprosin!

- Bardzo mi przykro, panno Abigail. Czy to poprawia pani samopoczucie?

Nawet nie odwróciła się w jego stronę, siedziała napięta i nieruchoma w promieniach słońca. Usłyszała jednak nutę samoobrony w jego głosie, więc tym samym owym przeprosinom zabrakło szczerości.

- No, niezupełnie. To ma sprawić, że pan poczuje się lepiej. Czy tak?

Poczuł, że krew napływa mu do twarzy. A więc odmawia przyjęcia jego przeprosin, chociaż niełatwo mu przyszło zdobyć się na ich wypowiedzenie. Nigdy w życiu nie poniżył się do tego, by przeproszać jakąkolwiek kobietę, a teraz, kiedy to zrobił, co z tego wynikło? W nagłym przyplwywie złości roześmiał się, krótko i brutalnie.

- Powiem pani, co by mi poprawiło samopoczucie! Gdyby pani stąd wyszła i zabrała z sobą te swoją wątróbkę i wszystkie świetlane portrety Melchera!

Spojrzała na niego i zobaczyła na twarzy wyraz poirytowania. Patrzyła rozbawionym wzrokiem w oczy pełne złości. Zrozumiała, że jego zdaniem powinna potulnie zaakceptować przeprosiny, nie zważając na to, iż wypowiedział je pod wpływem niewłaściwej motywacji, co pozbawiało je kompletnie elementu skruchy. Znowu nabrał rumieńców, a zjadliwość jego słów zasiała w myślach panny Abigail nagle podejrzenia. Przecież on jest zazdrosny o Davida Melchera! Choć było to wręcz niewiarygodne, musiało jednak być prawdziwe. Jakież inne powody mogłyby wywołać podobną reakcję? Wpatrywał się w nią, kiedy z tajemniczym uśmiechem wyszła z pokoju, życząc mu dobrej nocy.

Właśnie to słodkie pożegnanie i pewna siebie postawa skłoniły go do zawołania:

- Teraz, winien jestem pani zemstę za wątróbkę i za wąsy!

Kiedy już panna Abigail udała się na noc do swojej sypialni na górze, Jesse długo leżał bezsennie, rozmyślając, dlaczego ona potrafi tak go rozzłościć. Co takiego jest w pannie Abigail McKenzie, co tak mu załazi za skórę? Przypomniwał sobie wszystkie oczywiste powody do irytacji - wąsy, nocnik i temu podobne - ale tak naprawdę nie to wywoływało jego gniew. Brało się to stąd, że swoim zachowaniem wywołała w nim poczucie winy z powodu przepędzenia Melchera. Do czego to podobne? Miewał przecież kobiety od Nowego Orleanu do Gór Skalistych, a przy każdej z nich panna Abigail wyglądałaby jak strach na wróble. I nagle to właśnie ona rozplywa się nad tym ślamazarnym Melcherem, a odskakuje jak oparzona, jeśli on wyciągnie jeden palec w jej stronę! A kiedy wreszcie wymusiła na nim przeprosiny, co zrobiła? Cisnęła mu je z powrotem w twarz! Tego wieczoru przez moment, kiedy siedziała roześmiana na bujanym fotelu, wydało mu się, że nie jest pozbawiona ludzkich odruchów jak każda inna kobieta. No, wkrótce się przekonamy, czy tak jest. Jeśli ma zamiar wywoływać we mnie poczucie winy z powodu Melchera, bezustannie przypominać, jakim to on jest dzentelmenem, a jakim ja jestem draniem, nawet jeśli usiłuje ją przeprosić, to, na Boga, dostarczę jej na to niezbitych dowodów! A jeśli następny raz uda jej się zmusić mnie do przeprosin, to może zademonstruje to swoje nienaganne wychowanie, którym wiecznie mnie kłuje w oczy, i przyjmie te przeprosiny, jak przystało na prawdziwą damę, za jaką się uważa!

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Zanim nastał świt, Jesse usłyszał ciche kroki panny Abigail na schodach. Szybko minęła tę część domu, którą widział ze swojego łóżka, a potem zorientował się, że otwiera drzwi frontowe. Po chwili ciszy dobiegło do niego cichutkie nucenie. Z oddali słychać było pianie koguta. Wyobrażał sobie, że panna Abigail stoi na progu, wpatruje się we wstający dzień i przysłuchuje pianiu. Minęła na palcach drzwi do jego sypialni.

- Podziwia pani świt, panno Abigail? - spytał. Wysunęła tylko głowę zza framugi drzwi, bo była w nocnej koszuli.

- Jak to, panie Cameron, już pan nie śpi, i w dodatku siedzi na łóżku?!

- Doc Dougherty powiedział, że już mogę siadać.

- I jak pan się czuje?

Czuję się tak, jakbym powinien być tam z panią i podziwiać wstający dzień. Przyzwyczajony jestem do tego widoku na prerii, ale nie widziałem go już od dawna. Jak jest dzisiaj?

Spojrzała w kierunku drzwi frontowych, nadal kryjąc się za futryną, widział jedynie czubek jej nosa.

- Dzisiaj są miliardy różowych piór, cała gama kolorów, od najgłębszej purpury do pastelu pierwiosnków, a poszczególne barwy oddzielają pasy, tak jasne i głębokie jak rozważania mędrców.

Roześmiał się, ale nie był to śmiech nieprzyjemny.

- Dobrze powiedziane, panno Abigail. Ale zrozumiałem z tego tylko to, że jest różowo.

Poczuła się głupio, że tak dała się ponieść urodzie wstającego dnia, ale to przecież naturalne, że on nie potrafiłby zachwycić się jutrzeńką tak samo jak ona.

- Ja... potrzebne mi są pewne rzeczy na dzisiaj. Czy mogę wejść po nie?

- To pani pokój. Skąd to nagle pytanie o pozwolenie?

- Ja... wczoraj wieczorem zapomniałam zabrać suknię. Czy może pan się odwrócić, kiedy wejdę do pokoju?

Zza drzwi dobiegł ją bardzo serdeczny wybuch śmiechu.

- Jeżeli się nie mylę, jest pani spowita w białą bawełnę aż do nadgarstków, po czubki uszu i do kostek. Czy nie mam racji?

- Panie Cameron!

- Tak, proszę pani, może pani wejść. Z mojej strony nic pani nie grozi. - Oczywiście

siedział oparty o zagłówek łóżka i obserwował ją bezceremonialnie, kiedy wybierała ubranie. Kątem oka widziała jego uśmiech, w pewnej chwili ośmielił się nawet zapytać: „Co to?” Ukryła sztukę bielizny, przysięgając sobie, że już nigdy nie - zapomni wziąć rzeczy z szafy, kiedy on będzie spał.

- Noga dzisiaj mniej boli - zaczął. - Podobnie jak ręka. Boli mnie jedynie żołądek po tej wczorajszej wątróbce, którą mnie pani nakarmiła. Jestem tak głodny, że zjadłbym konia z kopytami i jeszcze rozglądałbym się za jeźdźcem!

O mało nie wybuchnęła śmiechem. Czasami nie mogła nad sobą zapanować, tak bardzo chciało jej się śmiać, choć naprawdę nie - życzyła sobie, żeby on ją zabawił.

- Jeśli zobaczę, że ktoś tu nadjeżdża, nie omieszkać go ostrzec. Bo nie wątpię, że mógłby pan dotrzymać słowa.

- W wojowniczym nastroju od samego rana, co?

- Panie Cameron, mogłabym panu zadać to samo pytanie. - Zmierzała w stronę drzwi ze swoim pakunkiem.

- Abbie? - na dźwięk tego zdrobnienia zatrzymała się gwałtownie.

- Panno Abigail - poprawiła, podnosząc brodę i zwracając głowę w jego stronę.

I w tym momencie zobaczyła pistolet.

Był czarny, naoliwiony, oślizgły, a Jesse trzymał go niedbale w lewej ręce. Nie miała wątpliwości, że z tej odległości potrafiłby się nim posłużyć precyzyjnie, nawet lewą ręką.

Znowu powiedział „Abbie”, a zabrzmiało to tak, jakby powtarzał znacznie więcej niż tylko jej imię. Zapanowała dłuższa chwila ciszy, pragnął bowiem, by dotarło do niej znaczenie pistoletu i owego zdrobnienia. Potem odezwał się obojętnym, łagodnym głosem:

- Jednak czuję się dziś ilość wojowniczo. - Na jego pełnych wargach, poniżej zacienionej wąsami skóry, do której kiedyś przyłożyła brzytwę, błąkał się uśmiešek.

Panna Abigail spojrzała na tę wargę, przeniosła wzrok na pistolet, który beztrząsko trzymał w dłoni, i przycisnęła do piersi garderobę.

- Skąd pan ma... tę rzecz? - spytała drżącym głosem, niezdolna oderwać wzroku od broni.

- Przecież jestem złodziejem kolejowym, prawda? Jak mógłbym rabować pociągi bez broni?

- Ale... skąd pan to wziął?

- To teraz nieważne. - Dla niej jednak było to najważniejsze. Jej oczy przypominały księżycy, a obserwowanie jej przerażenia sprawiało mu perwersyjną przyjemność.

- Abbie? - powtórzył. Nie ruszyła się, wciąż wpatrzona w broń; końcem lufy wskazał

na miejsce u jej stóp.

- Proszę rzucić te szmaty - rozkazał, ale bardzo łagodnie.

- Szmaty? - O mało się nie zakrztusiła.

- Te, które trzyma pani w objęciach.

Minęło trochę czasu, zanim dotarło do niej znaczenie łych słów. Wtedy wypuściła rzeczy powolnym ruchem, a bluzka, pończochy i bielizna utworzyły żalosny stos u jej nagich stóp.

- Chodź tutaj! - polecił stanowczo.

Przełknęła ślinę, ale nie ruszyła się.

- Powiedziałem, chodź tutaj - powtórzył i podniósł pistolet, celując prosto w nią, zaczęła więc wolniutko zbliżać się do łóżka.

- Co takiego zrobiłam? - wymamrotała z trudem.

- Nic... jak dotąd - Uniósł prowokacyjnie lewą brew. - Ale jeszcze jest wcześnie.

- Dlaczego pan to robi?

- Dzisiaj zamierzam dać pani porządną nauczkę. - Jak królik zapędzony do kąta, nawet nie mrugnęła powieką. - Wie pani, czego zamierzam panią nauczyć? spytał, a ona pokręciła wolno głową. Po pierwsze tego, żeby nigdy nie goliła pani wąsów nic nie podejrzewającemu przestępcy. Powiedziałem, żebyś tu przyszła!

Panna Abigail podeszła bliżej, ale jeszcze nie dość blisko, żeby mógł jej dosięgnąć. Siedział wygodnie oparty o zagłówek łóżka i powoli skierował na nią pistolet.

- Tutaj - wskazał lufą na podłogę tuż obok łóżka.

- Dlaczego... dlaczego pan mi grozi?

- Czy wypowiadałem jakieś groźby?

- Panie Cameron, broń jest wystarczającą groźbą.

- Jesse! - warknął niespodziewanie. - Mów do mnie Jesse!

- Jesse - powtórzyła niepewnie.

- Już lepiej. - Głos jego znowu brzmiał spokojnie, niemal pieszczotliwie. - Nauczka numer dwa, Abbie, dotyczy sytuacji, kiedy wymuszasz na kimś przeprosiny, a potem posługujesz się owymi przeprosinami, żeby wymierzyć mu policzek.

- Niczego nie wymuszałam.

- Owszem, Abbie, wymuszałaś. Przez ciebie zacząłem naprawdę żałować, że skłoniłem poczciwego Melchera do ucieczki jak wystraszoną fretkę. Czy zdajesz sobie sprawę, że ty mnie do tego doprowadziłaś?

Pokręciła przecząco głową, wpatrując się w przestrzeń.

- A kiedy już przeprosiłem, co powiedziałaś?

- Nie pamiętam.

- Zamierzam ci to przypomnieć, Abbie, żebyś nigdy więcej tego nie powtórzyła.

- Nie powtórzę - obiecała. - Tylko niech pan odłoży broń.

- Zrobię to... kiedy już dam ci nauczkę. Powiedziałaś, że te przeprosiny miały poprawić moje samopoczucie, tylko że nie dopuściłaś do tego. Ale już wkrótce będę się czuł dobrze, naprawdę.

Zaciskała ręce na piersiach, trzymając rękawy batystowej nocnej koszuli.

- Opuść ręce, Abbie. - Spojrzała w jego czarne, rozbawione oczy niezdolna się poruszyć.

- Co takiego? - wymamrotała.

- Doskonale słyszałaś. - W końcu wypełniła jego polecenie bardzo powolnym ruchem.

- Skoro wystraszyłem Melchera, a ty odmówiłaś przyjęcia przeprosin, uznałem, że mogę przynajmniej zrekompensować tę stratę, co?

Teraz, się zacznij - pomyślała, ogarnięta paniką. Zamknęła oczy, a całe jej ciało drżało w sposób nie kontrolowany.

- Ale jestem przykuły do łóżka, więc będziesz musiała przyjść do mnie, Abbie, chodź tutaj. - Wykonał zapraszający gest końcem lufy. Kiedy zbliżyła się, skierował pistolet prosto na nią, przy czym nawet na nią nie patrzył. - W obecności Melchera wprost zapierało ci dech, czasami aż tutaj słyszałem bicie twojego serca. Gdyby pocziwy Melcher nic był takim mięczakiem, zostałby tu dłużej, choćby po to, by trochę pogruchać. Wiesz, co mam na myśli? Ale skoro wielki, podły bandyta kolejowy go przepędził, to musi teraz co najmniej zająć miejsce tego pocziwca, prawda?

Stała bez ruchu, cała drżąca, więc Jesse kontynuował pieszczotliwym głosem:

- Wiem, że mnie zrozumiałaś, Abbie, więc teraz mnie pocałuj. Czekam.

- Nie.., nie zrobię tego - odpowiedziała, dziwiąc się, skąd wzięła siły, żeby się odezwać. Wykonał ruch pistoletem i nawet przez materiał nocnej koszuli wyczuwała chłód lufy przytkniętej do biodra. On nadal nie podnosił wzroku, po prostu dotykał jej biodra pistoletem. Powoli pochyliła się i z szeroko otwartymi oczami dotknęła ustami jego warg.

- To nazywasz pocałunkiem? - zachnął się, a ona znowu odskoczyła. - To tak jakby stara, wysuszona jaszczurka musnęła moje usta ogonem. Spróbuj jeszcze raz, tak jak chciałybyś zrobić, gdyby na moim miejscu był Melcher.

- Dlaczego pan to robi... - zaczęła, ale przerwał jej natychmiast.

- Jeszcze raz, Abbie! I tym razem zamknij oczy. Tylko jaszczurka ma oczy otwarte

podczas pocałunku.

Zbliżyła twarz do jego twarzy. Zobaczyła, jak zamykają się jego ciemne, rozbawione oczy. zanim spuściła powieki i pocałowała go ponownie. Wyrastające wąsy przypominały łodygi dzikiej róży.

- Lepiej - oznajmił, kiedy znów odskoczyła. - A teraz z języczkiem.

- Wielki Boże - wyszeptała przerażona.

- Bóg ci teraz nie pomoże, Abbie, więc rób, co każe.

- Proszę... - błagała.

- Proszę, Jesse - skorygował.

- Proszę, Jesse... ja nigdy... nigdy nie...

- Przesłań kluczyć, bierz się do roboty - ponaglił. - I usiądź tutaj. Zaczyna mi się kręcić w głowie od tych twoich skoków.

Cała drżąca, usiadła ostrożnie na brzegu łóżka, czując nienawiść do każdego włoska zarostu, do każdego rysu tej nieznośnie przystojnej twarzy.

- Czego pan ode mnie chce? Proszę już z tym skończyć - błagała.

- Chcę czulego kobiecego pocałunku. Abbie, czy nigdy dotychczas nie całowałaś mężczyzny? Mamy mnóstwo czasu, żebyś nabrała wprawy. Czego się boisz? - Kiedy uparcie nie opuszczała wzroku na pistolet przytknięty do biodra, zachichotał: - Powróćmy do aktualnej lekcji. Miałaś mnie pocałować z języczkiem. Nazywa się to pocałunkiem francuskim i wszyscy chyba, nie wyłączając jaszczurek, robią to w ten sposób. - Wyciągnął się bezczelnie na łóżku, a ona siedziała sztywno i nieruchomo, musiał więc ponownie uciec się do pomocy pistoletu, przykładając go tym razem z prawej strony szczęki. - Z języczkiem! - przypomniał i poruszył pistoletem; panna Abigail podskoczyła, słysząc metaliczny szcęk.

Zamknęła oczy i poddała się. On spod półprzymkniętych powiek obserwował jej zaciśnięte oczy, widział, jak zmarszczyły się łuki brwi, kiedy dotknęła końcem języka jego górnej wargi, gdzie jego język wyszedł jej na spotkanie.

- Rozluźnij się, Abbie - powiedział z ustami przy jej ustach, opuścił pistolet, otoczył ją ramieniem i przyciągnął do swego nagiego torsu. - Obejmij mnie - polecił, czując, jak jej łokcie usiłują stawiać opór. - No, rusz się, Abbie, chyba że chcesz spędzić tutaj cały dzień.

Jedna jej ręka wślizgnęła się pod jego szyję, a druga spoczęła na obnażonym boku. Czowała pistolet w dłoni, która przytrzymywała tył jej głowy, co sprawiało, że ich wargi były tak blisko siebie. Otworzył usta szerzej, wepchnął język w sekretne zakamarki jej ust, wycofał go i lekko ugryzł ją w koniuszek języka, aż, wystraszona, zaczęła odpychać się od jego torsu. Udało mu się jednak odsunąć jej ramiona i przyciągnąć ją do siebie. Piersi jej rozpląszczyły

się na jego torsie, zwalczał opór, nie uwalniając ust z pocałunku. Przerwał pocałunek, delikatnie ujął zębami jej dolną wargę.

- Powiedz „Jesse” - wyszeptał żarliwie.

- Jesse - wymamrotała, zanim jego usta ponownie dotknęły jej warg, ciepłe i wilgotne, rozpraszające częściowo jej opór.

- Jeszcze raz! - zażądał, czując na piersi szalone bicie serca pod batystową koszulą.

- Jesse - wyszeptała, a on głaskał jej kark palcami i ręką pistoletu, dotykiem ciepłym i zimnym zarazem. Potem znowu uciszył ją pocałunkiem z równie aktywnym jak poprzednio udziałem języka, co obudziło jednocześnie strach i zachwyt, zmysłowość i wstyd, odmowę i przyzwolenie.

- Ab... - wyszeptał - Ab... Usta miała wolne, aby go skorygować, ale myśl ta w ogóle nie przyszła jej do głowy, ogarnęła ją bowiem jakaś dziwna niemoc. W tym momencie Jesse odepchnął ją gwałtownie od siebie i zapytał: Czy teraz łaskotało?

Nie mogła na niego spojrzeć. Miała opuszczoną głowę i nagle poczuła się zbrukana, sponiewierana w jakiś niepojęty sposób, zbrukana nie przez niego, ale przez siebie samą, bo przestała mu się upierać w pewnym momencie, kiedy poczuła poruszenia jego języka w swoich ustach, bo miękka wilgotność owego języka, muskularne, szerokie baty, które wyczuwała pod ręką, i bicie własnego serca na jego torsie zaczęły sprawiać jej przyjemność.

- Dzisiejsza lekcja skończona - oznajmił, a oczy śmiały mu się z zadowolenia. - Powiedziałem, że dowiesz się, kiedy zacznę wyrównywać porachunki.

- A ja panu powiedziałam, że przemoc nie oznacza siły. Siła to łagodność.

- Ale przemoc jest cholernie skuteczna, prawda, Abbie?

Kiedy znalazła się poza zasięgiem jego ramion, z dała od łóżka, wróciła jej odwaga.

- Chcę, żeby pan się stąd wyniósł! Natychmiast!

- Abbie, niech pani nie zapomina, w czym ręku jest broń. Poza tym jeszcze nie mogę chodzić. Jak wytłumaczy się pani przed sąsiadami z tego, że wyrzuciła z domu bezradnego człowieka? Czy powie pani, że zrobiła to dlatego, iż nauczył panią, jak należy się całować?

- Nie będą pytać o przyczyny. Przecież nikt z sąsiadów nie chciał pana wziąć. Nie obwinia mnie o to, że teraz pana wyrzucam.

- Chciałem właśnie o tym porozmawiać, Abbie. Doc Dougherty powiedział mi, że była pani jedyną osobą w całym miasteczku, która się za mną ujęła. Miałem zamiar za to podziękować.

Te słowa sprawiły, że krew w niej zawrzała. Bezcelny, zarozumiały głupiec! Ośmiela się jej dziękować po tym, co zrobił!

- Pana podziękowania nie mają żadnego znaczenia i już nie są mi potrzebne. Kolej płaci mi za to, żeby pana przetrzymać, dopóki nie wezmą pana w swoje ręce. To jedyne podziękowanie, na jakim mi zależy.

Odchylił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem.

- Abbie, czy zastanawiała się pani po co jestem im potrzebny? - zapytał z filuterną miną.

- Dobrze pytanie w ustach kolejowego bandyty! - Marzyła o tym, żeby szturchać ten przepędzić z jego warg ten kpiący uśmieszek. Pójdę dzisiaj na stację i zadepeszuję, żeby jak najprędzej ktoś po pana przyjechał! Kolej może sobie pana wziąć, razem z raną, wąsami i ze wszystkim!

- Będzie pani brakowało pieniędzy, które można zarobić na mojej rekonwalescencji.

- Nie będzie mi brakowało niczego, co ma związek z tobą, ty podły, zarozumiały baranie! - wychrypiła panna Abigail.

- Dosyć! - wrzasnął niespodziewanie. - Wyjdź stąd, ubierz się i przygotuj mi śniadanie, zanim zacznę się z tobą rozliczać za to wczorajsze nakarmienie mnie wątróbką! Jak długo można żyć bez przyzwoitego jedzenia?

Podeszła do sterty ubrań na podłodze w nogach łóżka, podnosiła kolejno każdą część garderoby i układała na ręku, po czym wyszła. Miała tak mocno zaciśnięte wargi, że aż zaschło jej w gardle. Po jej wyjściu Jesse opadł na poduszki i zanosił się bezgłośnym śmiechem. Polem wyciągnął swoją brudną koszulę spod prześcieradła w nogach łóżka, zawinął w nią nie nabity pistolet i włożył pod materac.

Panna Abigail nie miała najmniejszego zamiaru przygotowywać mu jakiegokolwiek jedzenia. Napaliła pod kuchnią, umyła się, ubrała, a przez cały ten czas z sypialni co chwila dobiegały okrzyki.

- Co. do diabła, robisz tam tak długo?

- Kobieto, umieram z głodu!

- Gdzie moje jedzenie?

Panna Abigail często spoglądała na zegar, czekając, aż będzie mogła pójść do miasta wysłać telegram. Bardzo zadowolona, że morzy głodem tego barana w sypialni, usłyszała:

- Nie czuję żadnych zapachów gotowania. Mam pistolet wycelowany w tę ścianę, pod którą pani stoi. Czy mam spróbować szczęścia?

Z wściekłym hałasem postawiła na kuchni czajnik. Nakarmi go, żeby się uspokoił, ale na pewno nie da mu niczego smacznego! Płatki kukurydziane - były najszybszym, najtańszym

i najmniej apetycznym daniem, jakie przyszło jej do głowy. On nie przestawał wykrzykiwać:

- Co pani robi?! Zabija pani wieprzka na boczek...? Czuję, że coś się gotuje. Co...? Jeśli zamierza pani tracić czas, przynosząc mi dzbanek i miednice, niech pani zapomni o tym, chyba że napelni je pani żarciem. Człowiek może tutaj umrzeć z głodu i nikt tego nawet nie zauważy!

Nie przestawał zrzędzić, więc kiedy wreszcie przyniosła tacę z jedzeniem, była wściekła.

- O, widzę, że wreszcie mnie pani usłyszała - zauważył z głupim uśmiechem.

Rozejrzała się za pistoletem, ale nigdzie go nie dostrzegła.

- Nie wątpię, że słyszało pana całe miasto.

- To dobrze! Może ktoś się nade mną zlituje i przyniesie mi trochę sucharów, które schowam pod materac. Na pewno będą lepsze niż tutejsza kuchnia, że już nawet nie wspomnę o poziomie obsługi. Nie przyniosła mi pani chyba tych oślizgłych jajek, co?

- Jest pan nieznośny! Podły! syknęła jadowicie.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Pani też, panno Abigail, pani leż. - Robił wrażenie bardzo dobrodusznego. - Teraz proszę stanąć z boku i pozwolić mi się nacieszyć tą epikurejską uczta. Aaa, płatki kukurydziane. Trzeba nie lada mistrza, żeby przygotować płatki kukurydziane.

- Nawet zwierzęta myją się przed jedzeniem. - To było jedyne stwierdzenie, jakie przyszło jej do głowy.

- Tak? Może zechce im pani powiedzieć, które - wymamrotał z ustami pełnymi płatków.

Z niesmakiem odwróciła głowę.

- Szopy na przykład.

- Szopy myją pożywienie. Poza tym mają na to dosyć czasu. Nikt nie zmusza ich do wymiotów i nie zostawia na całą noc bez jedzenia.

Nie mogła zrozumieć, dlaczego w ogóle się do niego odezwała. Ale chociaż raz chciała go pokonać. Tymczasem nie można było dogadywać się ze świnia. Zirytowana, wybiegła z pokoju. Niemal natychmiast zaczął się domagać kolejnej porcji płatków.

- Mógłbym zjeść jeszcze jedną miskę tego przysmaku - poinformował głośno. Zaniósł garnek do pokoju i wlała mu na talerz porcję zimnych płatków. Teraz ich wygląd i konsystencja przypominały wysuszona cegłę.

- Jak już się pani mnie pozbędzie, proszę sobie poszukać pracy przy siekaniu mięsa. - - Uśmiechnął się diabelsko. - Naprawdę ma pani talent w tym kierunku. - Pokroił bryłę płatków

na mniejsze kawałki, które wystawały niby wyspy z jeziora śmietany. Kiedy panna Abigail wychodziła z pokoju, uśmiechał się szelmowsko i zabierał do jedzenia.

Jak mogłam w ogóle pomyśleć, że pielęgnowanie tego człowieka będzie lepsze niż „siekanie mięsa” u Louisa Culpeppera - zastanawiała się panna Abigail. - Teraz pracowałabym u Louisa... I to bardzo chętnie, gdyby tylko było możliwe.

Wreszcie Jesse skończył jeść. Ilość płatków kukurydzianych, jaką pochłonał, wystarczyłaby do utuczenia stada gęsi.

- Abbie, bardzo by się nam pani przydała w obozie. - Przyszło jej do głowy, że każda kobieta, która byłaby tak dalece głupia, by znaleźć się w obozowisku bandytów, bardzo by im się przydała.

- Co trzeba zrobić, żeby dostać garnek gorącej wody?! - krzyknął - Muszę się umyć i ogolić. Abbie, słyszy mnie pani?

Nie miała wprawdzie skali porównawczej, którą dałoby się mierzyć męską butę i nieokrzesanie, ale on niewątpliwie mógł być rekordzistą świata w tej dziedzinie - pomyślała. Przyniosła mu wodę i przy okazji nie odmówiła sobie wyjątkowo zjadliwej uwagi:

- Niech się pan myje, jeśli w ogóle pan się tego kiedykolwiek nauczył!

Roześmiał się i zauważył:

- Dowcipna smarkula od samego rana.

Zrobił wielkie przedstawienie w czasie mycia się. Nawet z kuchni mogła się domyślać jego poszczególnych ruchów. Głośno wyśpiewywał, pluskał wodą i wykrzykiwał, jaką przyjemność sprawia mu to czy tamto. Obrzydliwe. Nie miała pojęcia, jak sobie radził jedną ręką, ale nic ją to nie obchodziło. Wielokrotnie ogarniała ją coraz większa złość, ponieważ udawało mu się ją rozśmieszyć. W końcu zawołał:

- Jestem tak świeżutki jak te przeklęte nasturcje. Chodź i powąchaj!

Choć panna Abigail była w kuchni, oblała się rumieńcem. Nigdy w życiu nie była tak poirytowana. Musiał znowu zagrozić jej bronią, żeby zdecydowała się przynieść mu przybory do golenia.

Kiedy niosła je do pokoju, utkwiała wzrok w czubku własnego nosa pod takim kątem, jakby wpatrywała się w usadowioną tam muchę.

- Zaczynamy? - spytała lodowato. Spodziewała się, że zastanie go nagiego, z ulgą więc stwierdziła, że jest przykryty prześcieradłem.

- My?

Stała, czekając najwyraźniej na granicy cierpliwości - na jakieś nowe obiekcje z jego strony, marząc o tym, by ogolić każdy włos na jego głowie.

Może z wyrazu jej oczu zorientował się, że powinien się mieć na baczności, bo w końcu powiedział:

- Kobieto, trzymaj się z dala od mojego zarostu. Zmusiłaś mnie, żebym sam się umył, więc skąd nagle ta chęć pomocy w czasie golenia? Zupełnie jak bym nie wiedział, o co chodzi. Mam półtorej zdrowej ręki i mogę już siedzieć, więc poradzę sobie sam.

A kiedy zakreśliła się na pięcie, żeby wyjść, dorzucił:

- Delila.

Panna Abigail wyprostowała plecy, a on zaczął się golić. Prędzej go diabli porwą, niż pozwoli jej się zbliżyć do swoich wąsów po tym, jak ją potraktował tego ranka, Uśmiechnął się na samo wspomnienie. Jednak golenie okazało się trudniejsze, niż, przewidywał, bo właściwie mógł się posługiwać tylko jedną ręką. Lusterko należące do panny Abigail było cholernie małe. Próbował trzymać jego rączkę między kolanami, ale kiedy jedną ręką naciągał policzek, a drugą trzymał brzytwę, ten przeklęty przedmiot zmieniał pozycję. Wreszcie poddał się i zawołał:

- Panno Abigail, nie mogę sobie poradzić z lusterkiem. Proszę mi je potrzymać!

Zaczęła śpiewać, jakby nie doszło do niej żadne z jego słów. Jednak jego głos znowu był głęboki i mocny, nic dało się go zignorować.

- Czy ktoś tam nastąpił kotu na ogon? Wydaje się, że muszę krzyczeć, żeby się przebić przez ten cały zgiełk. Chodź tu i potrzymaj lusterko!

- Ma pan półtorej ręki i znowu może pan siadać. Niech pan sam sobie trzyma lusterko!

Usłyszała jego niechętne westchnienie. I wtedy - uwaga - rozległo się to magiczne słówko!

- Proszę!

Na ustach panny Abigail pojawił się szeroki uśmiech.

- Przepraszam, panie Cameron, czy pan coś mówił? - zawołała, uśmiechając się coraz szerzej.

- Powiedziałem „proszę”, o czym pani doskonale wie, więc proszę się nie zachwycać swoim postępowaniem i przyjąć mi pomoc!

- Idę - zaśpiewała. Szybko odkrywała, jak wielką rozkosz może sprawiać złośliwość. Zapytała pogodnie od progu: - Jak mogłabym odmówić mężczyźnie o tak wytwornych manierach? - Spojrzała na jego namydloną twarz, która mówiła sama za siebie. - Co mam robić? - Jego oczy przypominające kawałeczki węgla na głowie śniegowego bałwana były posępne i rzucały błyskawice.

- Niech wasza wysokość przytrzyma tylko to przeklęte lustro!

Wzięła do ręki lusterko i rzekła:

- Najwyraźniej piana na twarzy nie jest jedyną, jaka panu towarzyszy. Jeśli pan chce, mogę pana ogolić. Sądzę, iż mam pewniejszą rękę, proszę zobaczyć, jak drży pańska dłoń. - Zignorował tę uwagę i spojrzał do lusterka, pociągnął brzytwą po policzku, zarysowując ciemny, gęsty faworyt, obramowujący jedną stronę cennych wąsów.

Panna Abigail uniosła mały palec.

- Och, niech pan uważa na wąsy - ostrzegła, patrząc na pokropkowaną na czarno pianę. Na twarzy Jesse'a ukazał się grymas.

- Niech pani spokojnie trzyma to lusterko, żebym mógł się zobaczyć. - Napiął górną wargę, podwinął na zęby, nadając kształt wąsom. - Cholernie trudno... zachować kształt... nie zostało po nim śladu.

- Wydaje mi się, że z tej strony powinien pan zajechać głębiej - poradziła, marszcząc brwi, jakby poważnie studiowała pomyłkę.

- Do cholery, Abigail, zamknij się! Łatwiej było radzić sobie z panią przedtem, zanim obudziło się w pani to poczucie humoru, znowu poruszyła pani lusterko!

- Ops, przepraszam! - Usadowiła się wygodnie i obserwowała, jak kończy golenie. Było to zadziwiająco przyjemne. Że też mężczyźnie tak szybko rośnie zarost! Kiedy skończył, znowu widać było czarny zarys wąsów. Śmieszne - pomyślała - ale ten głupiec naprawdę lepiej wygląda z wąsami.

- Zaintrygowana? - spytał. Podskoczyła, zawstydzona tym, że przyłapał ją na podobnych obserwacjach. - Może pani ich dotknąć, ilekroć przyjdzie pani na to ochota. Cała przyjemność po mojej stronie.

- Prędzej dotknęłabym brody kozła! - warknęła.

- Można odejść - powiedział ze śmiechem, kiedy już zbliżała się do drzwi. I dodał: - Tylko proszę się zachowywać przyzwoicie.

Wydawało się, że upłynęły wieki, zanim można było iść do miasteczka, przez cały ten czas panna Abigail zastanawiała się, co miało znaczyć to „proszę, się zachowywać przyzwoicie”. Czy znowu zamierzał szantażować ją pistoletem? Podeszła na palcach do drzwi na tyłach domu, świadoma, że nie zdoła minąć otwartych drzwi sypialni tak, żeby jej nie zobaczył. Jednak zdradził ją skrzyp zawiasów, a dobiegający z sypialni głos poinformował, że Jesse doskonale zdaje sobie sprawę z jej zamiarów.

- Jak już pani wychodzi, to proszę sprawdzić, czy w tym miasteczku mają jakiegokolwiek mięso prócz wątróbki, dobrze? Jutro i tak nikt po mnie nie przyjedzie. Jutro jest niedziela.

Powodowana jakąś nieodpartą potrzebą, panna Abigail zatrzasnęła ochronne drzwi z całej siły, aż zaskrzypiała framuga, a drzwi zamknęły się z hukiem. Oczywiście, Jesse się roześmiał.

ROZDZIAŁ ÓSMY

- Nie mogę wysłać takiego telegramu dlatego, że pani tak chce - upierał się Max.

- A to dlaczego? - Panna Abigail była dotknięta.

- Musi to zrobić szeryf - odparł, dumny z wagi swojego zajęcia. - Proszę iść w tej sprawie do Sama i on wyśle telegram. On wie, do kogo to należy wysłać. Ja nie wiem.

Panna Abigail, natknąwszy się na tę przeszkodę, stała wyprostowana i przygnębiona, nie bardzo wiedząc, co robić. Nie chciała płatać się po całym miasteczku i informować wszystkich mieszkańców, że chciałyby się pozbyć z domu tego człowieka. Szczególnie drażniło ją to, że przewidywania Jesse'a okazały się częściowo słuszne. Obawiała się, że jeśli rozgłosi, że chce się go pozbyć, ludzie zaczną się zastanawiać, dlaczego. I co wtedy powie? Że wymierzył w nią broń i zmusił, by go pocałowała? Żadna siła na ziemi nie mogłaby jej skłonić do podobnego wyznania. Czy mogłaby powiedzieć, że bronią zmusił ją, żeby przygotowała mu śniadanie? Niezupełnie. W końcu za to właśnie dostawała pieniądze od kolei. Jak by to wyglądało, gdyby przyznała, że usiłowała nawet głodem wypędzić go ze swojego domu? A co, gdyby powiedziała, że wycelował w nią pistolet, by pomogła mu się ogolić? Płynące z tego implikacje były jeszcze gorsze. Dlaczego ten kretyn Maxwell Smith tak się przed nią puszył? Wystarczyłby przecież jeden po cichu wysłany telegram. Wbrew zdrowemu rozsądkowi udała się do szeryfa Samuela Harrisa.

- Przykro mi, panno Abigail - powiedział szeryf Harris. - Muszę mieć przede wszystkim zgodę doktora Dougherty. Takie jest prawo. Każdy więzień znajdujący się pod opieką lekarza powinien najpierw otrzymać jego zgodę, zanim zostanie przewieziony z jednego więzienia do następnego. Za pozwoleniem, panno Abigail, nie chciałem powiedzieć, że pani dom jest więzieniem. Wie pani, co miałem na myśli.

- Oczywiście, panie Harris. Wobec tego porozmawiam z doktorem Dougherty.

Jednak doktora nie było w domu, wróciła więc na ulicę Główną i całkowicie zde gustowana, skierowała się do rzeźnika.

- ... dobry, panno Abigail - powitał ją Bill Tilden wychodzący od fryzjera.

- Dzień dobry, panie Tilden.

- Gorąco, prawda? - rzekł, patrząc na jej głowę nie nakrytą kapeluszem. Szybko skinęła głową i odeszła. - Idzie pani do Culpeppera na obiad? - zawołał za nią, podczas gdy Frank Adney wywieszał na sąsiednich drzwiach wiadomość WYSZEDŁEM NA OBIAD.

- ... dobry, panno Abigail - powitał ją.

- Dzień dobry, panie Adney.

- Ale upał, co?

- Rzeczywiście.

Idąc chodnikiem, rozmyślała, jak ograniczone są tematy konwersacji w Stuart's Junction. Za jej plecami Bill Tilden pytał Franka Adneya:

- Widziałeś kiedyś pannę Abigail w mieście bez kapelusza i rękawiczek?

- Jak sobie przypominam, to nie.

- No proszę, cuda nigdy się nie kończą! - odwrócili się zgodnie, żeby obserwować, jak panna Abigail wchodzi do sklepu mięsnego Portera i kiwali z niedowierzaniem głowami.

- Witam, panno Abigail - powiedział Gabe Porter.

- Dzień dobry, panie Porter.

- Słyszałem, że wzięła pani do siebie tego bandytę kolejowego.

- Naprawdę?

Gabe skrzyżował przypominające balerony ręce na swoim gigantycznym, odkrytym fartuchem brzuchu, muchy bzyczały nad plamami krwi, czasem któraś z nich lądowała na lepie zwieszającym się z sufitu.

- No jak, przecież wszyscy o tym wiedzą, Chyba nie robi pani za dużo kłopotów, co?

- Nie, panie Porter.

- Słyszałem, że ten drugi miastowy wyniósł się wczorajszym pociągiem.

- Tak, wyjechał.

- Czy to nie ryzykowne, żeby pani była sama z tamtym?

- Panie Porter, czy wyglądam na osobę, która znajduje się w niebezpieczeństwie?

- Nie, panno Abigail. Ludzie się po prostu zastanawiają, to wszystko.

- No więc, panie Porter, może im pan powiedzieć, żeby przestali się zastanawiać.

Jedyne niebezpieczeństwo, jakie mi grozi, polega na tym, że on zdolny jest przejeść cały mój dobytek.

W tym momencie Gabe podskoczył, zdał sobie bowiem sprawę, że panna Abigail chce kupić mięso.

- Ach, w porządku. Co by pani dzisiaj chciała?

- Jakie ma pan kotlety schabowe? Świeże i nietłuste?

- Jak najbardziej, panno Abigail. Dzisiaj odkrojone, cały czas na lodzie.

- Wobec tego wezmę trzy.

- Już się robi.

- Jednak, po namyśle, może wezmę cztery... albo pięć.

- Pięć? Nie przetrzymają do jutra, panno Abigail, nawet na dnie studni.

- Mimo to wezmę pięć i kawałek wędzonej kiełbasy, o, tej długości. Rozsunęła dłonie na szerokość sześciu cali, po czym odsunęła je na odległość dziesięciu i zdecydowała: - Nie, lepiej tyle.

- Panno Abigail, czy pani karmi goryla?

Z najwyższym trudem powstrzymała się, żeby nie odpowiedzieć „zgadł pan”. Ale i tak kompletnie zbiła z tropu nieszczęsnego Gabe'a słowami:

- I proszę do mojego zamówienia dołączyć cały świński pęcherz.

- Świński pęcherz? - - powtórzył, wytrzeszczając oczy z niedowierzaniem.

- Dopiero pan zabił wieprza, prawda? Więc gdzie są wnętrzności?

- Mam je. To znaczy nie zostały jeszcze zakopane, ale...

- No więc proszę zapakować pęcherz - poleciła wyniośle, a on potulnie wypełnił polecenie. Po wyjściu panny Abigail Gabe zadawał muchom pytanie: „Co ona, do diabła, zamierza zrobić ze świńskim pęcherzem?”

Panna Abigail zobaczyła przed swoim domem świeże ślady kół bryczki, z czego wynikało, że znowu rozminęła się z doktorem Dougherty. Co za pech, kiedy akurat potrzebowała jego pomocy, żeby pozbyć się tego człowieka.

Swoim zwyczajem zatrzymała się przy stojaku na parasole, żeby rzucić okiem do lustra. Nie miała na głowie kapelusza, więc przyglądała włosy, rękawy i pasek w talii i wierzchem dłoni szybko sprawdziła skórę podbródka.

- Dosyć jędrna? - spytał niski głos. Odwróciła się i aż podskoczyła do góry, przyciskając ręce do serca.

- Dlaczego wstał pan z łóżka? - Jesse stał przy drzwiach kuchennych, wsparty na kulach, owinięty prześcieradłem, spod którego wystawał ciemny tors, łydki i stopy.

- Ja pierwszy zadałem pytanie.

- Co? - Myśli jej skupiały się jedynie na tym, co będzie, jeśli to prześcieradło się obsunie.

- Czy skóra jest jędrna? Powinna być, zważywszy, że ciągle zadziera pani ten impertynencki podbródek aż do sufitu. - Jakby na potwierdzenie tych słów panna Abigail uniosła do góry brodę.

- Skoro wstał pan z łóżka, ma pan dość siły, żeby się stąd wynieść. Jaka dobra wiadomość!

- Doc przyniósł kule, a że musiałem iść do tego budyneczku w ogrodzie, postanowiłem spróbować. Ale nie jestem tak silny, jak mi się zdawało.

- Paradował pan po ogrodzie owinięty w to prześcieradło? - Niemal zaparło jej dech. -

A gdyby ktoś pana zobaczył?

- To co z tego?

- Drogi panie, muszę dbać o opinię!

- Niech pani sobie nie pochlebia, panno Abigail - powiedział z kpiącym uśmiechem, Poczwała, że krew napływa jej do twarzy, aż zaczęły palić ją koniuszki uszu. - Wie pani, trochę mi się zaczyna krecie w głowie.

- Kręcić w głowie! Niech się pan nie waży zemdleć w tym stroju! Proszę natychmiast wracać do łóżka! Jeśli upadnie pan na podłogę, w żaden sposób nie zdołam pana podnieść!

Pokuśtykał przez kąt saloniku i wszystko szło dobrze, dopóki nie dotarł do podwiniętego dywaniku na progu sypialni. Zawadził o dywanik kulą, która zaczęła się chwiać. Panna Abigail rzuciła się na pomoc, schwyciła go w pasie, a kiedy już, odzyskał równowagę, uklękła, żeby odsunąć dywanik. Ale dywanik dalej przytrzymywała stojąca na nim kula.

- Nie mogę nic zrobić. Mógłby pan podnieść kule? - zapytała, patrząc na niego z podłogi. Oczy musiały przebiec daleką drogę, żeby dotrzeć do jego głowy. - Panie Cameron, jeśli upadnie pan teraz na mnie, nigdy panu tego nie wybaczę!

- Zrobiłby się z pani rozgnieciony... koliberek, który nie miałby czego wybaczać. - Zatoczył się na futrynę, kiedy jedna kula z hukiem upadła na podłogę.

- Szybko do łóżka! - Panna Abigail stanęła u jego boku. Był tak wysoki jak wrota do stodoły, udało im się jednak dotrzeć do łóżka i usiedli na brzegu obok siebie. Szybko zdjęła jego rękę ze swoich ramion i wstała.

- Byłabym wdzięczna, gdyby zechciał pan kierować się od tej pory zdrowym rozsądkiem. Po pierwsze, jeśli zamierza pan paradować po domu, proszę to robić w piżamie i w szlafroku. Po drugie, będzie pan wstawał tylko w koniecznych przypadkach zamiast sterczeć pod ścianą i stwarzać zagrożenie bezpieczeństwa w moim domu swoją wielką masą. Jeżeli taki... goryl jak pan upadnie, to w jaki sposób będę mogła pana podnieść?

Mimo pewnego zamroczenia zapytał:

- Panno Abigail, czy wysłała pani ten telegram?

- Tak - skłamała. - I nie mogę się doczekać, kiedy mnie uwolnią od pana.

- Jeśli chce pani się mnie pozbyć, to może zacznie mnie pani porządnie odżywiać. Jestem słaby jak mucha. Czy kupiła pani jakieś przyzwoite mięso?

- Owszem, kupiłam coś akurat odpowiedniego dla pana!

Obudził się pod wrażeniem, że deszcz uderza o płótno namiotu, ale to kotlety

schabowe skwierczały na kuchni panny Abigail. Przeciągnął się, poczuł naciągniętą skórę na prawym biodrze, nie miał jednak wątpliwości, że rana się goi, bo ból był znacznie mniejszy. Dochodziły tak wspaniałe zapachy, że aż podskoczył mu żołądek, a usta napełniły się śliną. Kiedy panna Abigail wkroczyła z tacą, umierał już z głodu.

- Mmmi... zapach schabowych. Czy nareszcie będzie jakieś prawdziwe mięso? - Twarz mu się rozjaśniła, kiedy taca wylądowała na łóżku. Panna Abigail nakryła nawet talerz odwróconą miseczką, żeby jedzenie nie wystygło.

- Owszem, prawdziwe mięso - potwierdziła, uśmiechnięta od ucha do ucha.

- Czy to możliwe, że nie jest pani jednak pozbawiona serca?

- Niech pan sam zdecyduje - powiedziała figlarnie, podnosząc miskę, spod której ukazał się surowy świński pęcherz. Musiała chociaż chwilę zostać w pokoju, by w pełni nacieszyć się wyrazem jego twarzy. Zsiniął z wściekłości i bluzgał przekleństwami. W przerwie między miotaniem obelg zapytał, co, u diabła, ma na talerzu.

- Prawdziwe mięso. Czyż nie o to panu chodziło? - zapytała niewinnie, rozkoszując się każdą chwilą. - Prawdę mówiąc, to wieprzowina. Świński pęcherz... idealny dla takiego kozła.

Spojrzał na nią zjadliwie i wrzasnął:

- Abbie! Czuję kotlety schabowe! Nie próbuj zaprzeczać! Dostanę kotleta czy mam iść w prześcieradło do miasta i powiedzieć wszystkim, że Abigail McKenzie nie chce mnie żywić, choć bierze za to pieniądze?

Panna Abigail pieniała się z wściekłości, zacisnęła drobne dłonie w pięści, oczy jej płonęły zemstą, kiedy tupnęła nogą.

- Teraz moja kolej, żeby dać panu nauczkę. Mam kotlety schabowe, kartofle, sos, jarzyny, jednym słowem wszystko, żeby zaspokoić pański głód, przywrócić panu siły i pozbyć się pańskiej obecności. W zamian oczekuję od pana przyzwoitego traktowania. Proszę mi oddać ten przebrzydły pistolet!

- Przynieś mi moje schabowe! - krzyknął, patrząc na nią spode łba.

- Proszę mi oddać pistolet!

- Prędzej mnie diabli porwą!

- A więc nie zje pan kotletów! - Jednak pistolet pojawił się tak błyskawicznie, że mogłaby przysiąc iż przez cały czas Jesse trzymał go w ręku. Umilkła natychmiast.

- Daj mi... moje... schabowe - warknął.

- Proszę mi zabrać z oczu ten przebrzydły przedmiot! - wybąkała.

- Odłożę go, kiedy przyniesiesz mi schabowe, bo za to ci płaca!

- Proszę! - krzyknęła panna Abigail.

- Proszę! - zaryczał.

Zapanowała cisza i przez ułamek sekundy oboje poczuli się głupio.

Dostał wreszcie swoje schabowe. Ale przez ten czas panna Abigail doprowadziła się do stanu niebywałego zdenerwowania. Doszła do wniosku, że szczęśliwym zrządzeniem losu nazajutrz jest niedziela, zdecydowanie potrzebowała boskiej pomocy po tych wszystkich wykroczeniach, jakich dopuściła się ostatnio. Złość, uszczypliwość, mściwość, kłamstwo, a nawet rozwiązłość. Owszem, musiała przyznać, że to, co wydarzyło się podczas owego pocałunku, zdecydowanie traciło rozwiązłością, a w każdym razie tak się skończyło. Ale jeśli ona dopuściła się tych wszystkich przewinień, to jak bardzo obciążone było jego sumienie, choć oczywiście nigdy nie będzie prosił o wybaczenie win. Prócz własnych grzechów miał przecież na sumieniu wszystkie jej grzeszne postęпки!

Świński pęcherz zniknął w tajemniczych okolicznościach. Nie miała pojęcia, co się z nim stało i nie zapytała o to. Ten baran zdolny był przecież do zjedzenia czegoś takiego i jeszcze pewno by mu smakowało!

- Przyniosłam panu trochę nocnej bielizny mojego ojca. Proszę się w nią ubrać i nie zdejmować. Mam zupełnie dosyć oglądania pańskiego owłosionego torsu i nóg.

- Tak powiadasz! - Wypiął rzeczony tors i głąskał jego owłosioną powierzchnię, jakby była to złota przędza. Zignorowała jego zarozumiałstwo i odchodząc od łóżka, zauważyła pęcherz świński zanurzony w misce z wodą, Wyciągnęła dwa palce, by zabrać len cuchnący fragment wieprza, usłyszała jednak polecenie: - Proszę zostawić to w spokoju!

- Co takiego?!

- Powiedziałem, proszę to zostawić!

- Ale to śmierdzi! - Wykrzywiła się, patrząc na osad na powierzchni wody.

- Proszę zostawić pęcherz, piżamę i proszę wyjść!

Wrzuciła z powrotem pęcherz do brudnej wody i z ulgą wyszła z sypialni.

Było to sobotnie popołudnie, zaczęła więc porządkować dom przed niedzielą, zgodnie z przyzwyczajeniem całego życia. Uporawszy się ze wszystkim, podeszła pod drzwi sypialni i zawołała:

- Panie Cameron, czy wygląda pan przyzwoicie?

- Czy wąż ma pachy? - usłyszała w odpowiedzi.

Musiała złapać się za policzki, żeby się nie roześmiać. Dlaczego temu przekłętemu człowiekowi tak łatwo ją rozśmieszyć, chociaż napawa ją absolutnym wstrętem?

- Jestem przykryty, jeśli o to pani chodzi, mam nadzieję jednak, że nigdy nie będę przyzwoity.

Rzuciła na niego okiem i znowu z najwyższym trudem musiała się powstrzymać od śmiechu. Wyglądał niezwykle zabawnie. Nogawki od piżamy sięgały zaledwie do połowy owłosionych łydek.

- O co chodzi? Z czego pani podrwiwa?

- Z niczego.

- Do diabła, albo pani mówi, albo ściągam te idiotyczne łachy. Czuję się w nich jak cholerny kulis... Pani ojciec musiał być karłem!

- Musi się pan przyzwyczaić. Nie mam dłuższej piżamy. - Ale wbrew sobie stała na środku pokoju, śmiejąc się otwarcie z owłosionych łydek i stóp wystających z nogawek piżamy.

- Dobrze, niech się pani zabiera do tego sprzątania, jeśli po to pani tu przysłała, bo jeszcze chwila wyśmiewania, i ściągam te cholerne rzeczy!

- Ma pan najbardziej plugawe słownictwo, z jakim się kiedykolwiek zetknęłam. Mam ochotę znowu położyć temu kres za pomocą tymotki!

- Niech pani sprząta i przestanie mi dokuczać!

Stałe utarczki między nimi zaczęły układać się w pewien wzór.

W złości wypowiadali słowa ostre i raniące, rzadko wyrażające to, co naprawdę myśleli. A kiedy posunęli się za daleko, uciekali się do sarkazmu i złośliwości, i nawet pannie Abigail sprawiały przyjemność te pojedynki słowne. W trakcie sprzątania pokoju cały czas czuła na sobie jego wzrok. Usiadł na ławie pod oknem wykuszowym, gdy zmieniała pościel i odkurzała pod łóżkiem. Klęcząc, dostrzegła jego buty głęboko wepchnięte pod łóżko, a pomiędzy materacem i sprężynami wystające zawiniątko: pistolet owinięty w koszule. Jedynie Doc Dougherty mógł mu przynieść te rzeczy, ale trudno było uwierzyć, by okazał się aż tak nierozgarnięty. Nie wspominała już o pistolecie, teraz też udawała, że go nie widzi, skończyła odkurzać i zabrała się do mycia stolika, na którym stał dzbanek z wodą i miednica.

- Czy mogę zapytać, w jakim celu trzyma pan tutaj to paskudztwo? Spojrzała z obrzydzeniem na pęcherz w miednicy.

- Nieważne, niech pani nie rusza.

Kolacja minęła spokojnie, poza tym, że nie ukrywał swojej niechęci do krwistoczerwonych buraków.

Pęcherz dalej moczył się w miednicy, a w głowie panny Abigail zarysowywał się pewien plan.

Wieczorem Jesse poczuł ogarniające go znużenie i apatię. Śmieszne, jak bardzo przywykł do jej wizyt w pokoju. Kiedy tylko został sam, pragnął niemal, by znowu się

pojawiła, choćby po to, by się pokłócić. Jak dziecko walczące z rówieśnikiem, lepiej znosił dokuczanie niż nieobecność. Usłyszał pluski wody, więc wstał i o kulach podszedł do drzwi ogrodowych. Panna Abigail, pochylona nad schodkiem, myła głowę. Otworzył drzwi ochronne i dwa razy uderzył ją nimi po głowie, ale delikatnie, by tylko trochę jej dokuczyć.

- Nie najlepsze miejsce na mycie głowy. Dokładnie w drodze z sypialni do ustępu.

- Proszę zamknąć te drzwi! - wykrzyknęła spod namoczonych włosów. Mogę myć włosy, gdzie mi się podoba. Robię to tutaj dlatego, że łatwiej tu posprzątać niż w kuchni.

Stał nad panną Abigail, która klęczała na ziemi, z głową pochyloną nad miską. W zagłębieniu karku zebrało się trochę mydlin, zorientował się, że trudno mu oderwać wzrok od tego miejsca. Otworzył drzwi ochronne wystarczająco szeroko, by wyjść na schody, co spowodowało, że panna Abigail musiała uklęknąć trochę dalej. Czowała się niezbyt bezpieczna, wiedząc, że on stoi nad nią i obserwuje.

Stał w takiej pozycji z prawą nogą wysuniętą do przodu, że bez trudu dotknął dużym palcem owego zagłębienia na karku, gdzie zebrały się mydliny.

- Pozbywamy się brzydkich wydzielin, żeby jutro w kościele błyszczeć czystością? - Przekomarzał się z nią, przypominając pretensjonalne słowo, którym się kiedyś posłużyła. Zamierzyła się ślepo na jego nogę, ale tymczasem zszedł do ogródka, ubrany jedynie w za krótkie spodnie od piżamy, i stamtąd zawołał:

- Panno Abigail, o czyje zbawienie będzie się pani modlić, o swoje czy moje?

Całą tę scenę obserwował z sąsiedniego ogródka Rob Nelson i pogalopował do domu z okrzykiem:

- Mamo! Mamo! Zgadnij, co usłyszałem.

Kiedy Jesse wrócił do domu, ani panny Abigail, ani miednicy nie było już na schodach. Znowu poczuł się słaby, więc poszedł prosto do łóżka, zdecydowany, że musi codziennie chodzić o kulach, by zregenerować siły. Usiadł na brzegu łóżka i przesunął dłonią po włosach. Skóra swędziała. Chociaż kpił z panny Abigail, chętnie sam umyłby głowę.

- Panno Abigail! - zawołał, ale w domu panowała cisza. - Czy pani mnie słyszy?

Żadnej odpowiedzi.

- A ja nie będę miał umytej głowy?

Nadal nie było odpowiedzi, usłyszał jedynie skrzyp podłogi w pokoju na górze.

- Mnie też przydałoby się umycie włosów! - Nie spodziewał się odpowiedzi, a ona nie zamierzała jej udzielać. Jesse powiedział do siebie: „Typowy rozkład zajęć starej panny. W sobotę wieczorem przed ósmą zamyka się w swoim pokoju”. - Był śmiertelnie znudzony, bardzo chciał, żeby panna Abigail zeszła na dół i dotrzymała mu towarzystwa. Gdyby tylko

mogła pohamować ten swój ostry języczek, on postarałby się zrobić to samo, aby tylko chwilę z kimś porozmawiać. Z miasta dochodziły odgłosy zabawy, tęsknił za kuflem piwa i towarzystwem, może nawet za tym, by posadzić sobie na kolanach kobietę.

Panna Abigail suszyła włosy przy otwartym oknie na górze, wycierała je grubym ręcznikiem, zastanawiając się, kiedy znajdzie pierwszy siwy włos. On znowu coś wykrzykiwał, ale zignorowała to przypominając sobie z ukradkowym uśmiechem, jak dotknął jej karku dużym palcem u nogi. Potrafił być jednocześnie tak denerwujący i tak zabawny. Nie wiedziała, w co się ubrać nazajutrz do kościoła; teraz już zabrała wszystkie swoje rzeczy z jego pokoju. Myślała o pistolecie pod materacem. Myślała o jego pocałunku, odsuwała jednak od siebie tę myśl, ponieważ dziwne rzeczy działy się z jej wnętrzem. Powietrze było tak nieruchome, że słyszało się niemal każdy dźwięk z baru w miasteczku, ale przecież już niemal nastał lipiec, więc - sprawiał to letni upał. Ile sobotnich wieczorów spędziła na myciu włosów, suszeniu ich, na wczesnym pójściu do łóżka, marząc przez cały czas, by robić co innego? Z mężczyzną. Teraz znalazła się pod jednym dachem z mężczyzną, który mógłby zapewnić jej towarzystwo, gdyby nie okazał się tak wyjątkowo abominacyjny. Jak długo jeszcze będzie na niego skazana? Słyszała, jak woła, że też chce umyć głowę. Nonsens! Nie będzie miał siły stać wystarczająco długo, by można było to zrobić. Ile dni upłynęło, odkąd mył włosy? Dziewięć? Dziesięć? Przypomniała sobie, że kiedy leżał nieprzytomny, obiecała umyć mu włosy, Była na niego skazana, dopóki linia kolejowa nie uwolni jej od jego obecności. Przynajmniej, jeśli będzie czysty, będzie mniej drażniący, zdecydowała, nie chcąc przyznać, że czuje się samotna, że nawet jego towarzystwo jest lepsze niż żadne.

Kiedy weszła do pokoju, spytała, pełna obrzydzenia na widok przedmiotu, który trzymał w ręku:

- Co też pan robi z tym paskudztwem?

Świński pęcherz, został wyczyszczony, nadmuchany i związany nitką z pudełka do szycia. Jesse trzymał go w prawej dłoni, zacieśniał chwyt i rozluźniał. Była to czynność dość sugestywna, wyjaśnił więc z dwuznacznym uśmiechem:

- Ćwiczę dłoń do pistoletu.

Panna Abigail odczuła przerażenie i nie mogła oderwać wzroku od śniadych, zręcznych palców zaciskających pęcherz i rozluźniających się. Otworzyła usta, żołądek podskoczył aż do gardła. Czy powinna uciekać? I dostarczyć mu satysfakcji, że po raz kolejny ją upokorzył? Oblewając się rumieńcem, poleciła:

- Proszę odłożyć to paskudztwo, jeśli oczekuje pan mojej pomocy w trakcie mycia głowy.

Jesse jeszcze kilkakrotnie ścisnął pęcherz wymownym gestem, zanim odrzucił go niedbale, a na jego ustach dalej igrał ten znaczący uśmiezek. Coś podobnego - pomyślał - królowna zesła z góry! I do tego w koszuli i szlafrocuku!

- Jest pan zbyt słaby, żeby wytrzymać w pochylonej pozycji mycie głowy wodą, więc umyję włosy na sucho płatkami owsianymi. Nie pachną tak przyjemnie, ale są skuteczne.

- Abbie, nie chciałbym pani urazić, ale czy na pewno pani wie, co robi?

- Doskonale, tyle że musi się pan położyć.

- Płatki owsiane? - dopytywał z niedowierzaniem i wcale nie zamierzał się położyć.

- Właśnie! - zareplikowała oschle. - Czy mam pana załatwić na sucho, czy nie? - Zbyt późno uświadomiła sobie, co powiedziała. W kąciakach jego oczu pojawiło się rozbawienie, a kiedy zaczął się śmiać, panna Abigail była już purpurowa.

Wyciągnął się na łóżku i rzekł:

- Ależ jak najbardziej! Zgadzam się robić to na sucho!

Panna Abigail, niezwykle zmieszana, kręciła się z miską płatków owsianych, ręcznikiem i trzema zapinkami do bielizny, czemu Jesse przyglądał się pytająco.

- Ręcznik idzie pod głowę - wyjaśniła ironicznie, jakby miała do czynienia z kretyńcem.

- Oczywiście, nawet się nie domyśliłem. - Uśmiechnął się i uniósł głowę, pod którą panna Abigail podłożyła ręcznik. A następnie ku jego niepomiernemu zdumieniu, wysypała mu na głowę pół miski płatków i zaczęła je wcierać, jakby była to woda z mydłem.

- W ten sposób można je wykorzystać dwukrotnie, co? Jutro może mi pani podać je na śniadanie zamiast płatków kukurydzianych.

Zaskoczył ją tym stwierdzeniem i wybuchnęła śmiechem, co obserwował z kpiącym wyrazem twarzy. W końcu zamknął oczy i z przyjemnością poddał się ruchom jej rąk. Przypominało mu to sobotnie wieczory z dzieciństwa. Zdawało mu się, że czuje zapach czernidła na butach wszystkich swoich braci i sióstr, a buty te stały rzędem u podnóża schodów w oczekiwaniu na niedzielny poranek. Ile czasu upłynęło, odkąd przebywał w domu, w którym sobotni wieczór poświęcano na przygotowania do niedzieli?

Głowa do góry poleciała, przerywając mu marzenia.

- Muszę to strząsnąć. Niech się pan nic rusza, dopóki nie wrócę. - Ostrożnie wzięła ręcznik i wyniosła zabrudzone płatki. Powtórzyła całą operację tylko że tym razem wysypała mu włosy czystymi płatkami, zawinęła głowę ręcznikiem jak turbanem i przypięła zapinkami do bielizny. - Płatki owsiane wchłoną tłuszcz. Zostawimy je na jakiś czas.

Podeszła do miednicy, żeby umyć ręce, ale nadal była w niej woda, w której moczył

się świński pęcherz. Z grymasem na ustach wyniosła miednicę.

Kiedy wróciła, on znowu ćwiczył dłoń tym sposobem, poprosił jednak:

- Niech pani tu zostanie, dopóki moje włosy się moczą.

Spojrzała na poruszającą się dłoń, a potem na niego z wyrazem nieufności.

- Co mogę robić, związany jak zapchlony szejk? - spytał, wznosząc oczy do góry.

Podświadomie poprawiła węzeł paska przy szlafroku. Jesse po chwili odrzucił pęcherz i powiedział przymilnie: - Abbie, jest sobota wieczór, pora na kontakty towarzyskie. Leżę w tym łóżku prawie od dwóch tygodni i, prawdę mówiąc, coraz bardziej dokucza mi bezruch. Chciałbym tylko trochę porozmawiać...

Z westchnieniem przysiadła na skrzyni w nocach łóżka.

- Jeśli robi się pan niespokojny, to znaczy, że odzyskuje zdrowie.

- Nie nawykłem siedzieć tak długo w jednym miejscu.

- A do czego pan nawykł?

Nie była pewna, czy rzeczywiście pragnie usłyszeć ponure detale z życia złodzieja, a jednak ta perspektywa wydawała się dziwnie ekscytująca. On tymczasem zastanawiał się, czy uwierzyłaby, gdyby powiedział jej prawdę.

- Nie jestem przyzwyczajony do takiego domu, to na pewno, ani do spędzania czasu w towarzystwie kobiety takiej jak pani. Dużo podróżuję.

- Niewątpliwie, przy pana zawodzie to konieczne. Nie męczy to pana?

- Czasami., Ale ponieważ muszę to robić, więc robię.

Spojrzała mu prosto w oczy, gotowa wygłosić kazanie.

- Nikt nie musi prowadzić takiego życia. Czemu nie rzuci pan tego i nie znajdzie sobie przyzwoitego zajęcia?

- Może pani wierzyć lub nie, ale fotograf to całkiem przyzwoite zajęcie.

- Niech pan da spokój, myśli pan, że uwierzyłam w te bajeczki o kamerze w pociągu?

- Nie, przypuszczam, że kobieta taka jak pani nie mogła w to uwierzyć.

- I cóż jest obiektem tych pańskich fotografii? - Dawała wyraźnie do zrozumienia, że nie bierze tego poważnie.

- Budowa kolei - odpowiedział z tym swoim uśmiechem. - Wielkość chwili, która tworzy historię. - W tym momencie rozłożył ręce dramatycznym gestem. - Spinanie naszego kraju parą bliźniaczych szyn; utrwalam te chwile na zawsze dla potomnych - Opuścił ramiona i zamyślił się. - Wie pani, to się już nigdy nie powtórzy. Abbie, warto było to oglądać. - Westchnął, splótł palce pod głową i patrzył w sufit. Wydawał się do tego stopnia szczery, że przez moment mu uwierzyła.

- Panie Cameron, nic wątpię, że chciałby pan mnie przekonać o prawdziwości swoich słów.

- Czy sprawiłoby pani przykrość zwracać się do mnie Jesse? Byłoby to na pewno przyjemniejsze podczas takiej rozmowy.

- Zdawało mi się, że uświadomiłam panu, iż kieruję się w życiu względami przyzwoitości.

- Prócz nas nie ma tu nikogo. A ja nikomu nie powiem - oznajmił przekornie.

- Nie, nie powie pan, bo nie będę pana nazywała Jesse... nigdy. A teraz proszę nie zmieniać tematu i opowiedzieć mi wszystko o swoim zawodzie. Niech pan spróbuje mnie przekonać, że nie jest pan kolejowym złodziejem.

Roześmiał się.

- Dobrze. A więc pracuję dla linii kolejowej, fotografuję każdy etap budowy. Dopóki dla nich pracuję, mam bezpłatny przejazd i jeżdżę na najdalej wysunięty punkt, gdzie robię większość zdjęć. Mieszkam przeważnie w obozach lub w pociągu. Niewiele więcej jest do powiedzenia na ten temat.

- Chyba tylko wyjaśnienie, dlaczego, jeśli ma pan przyzwoitą pracę, postanowił pan okradać akurat tę instytucję, która pana żywi?

- Abbie, to była pomyłka.

- Panno Abigail - poprawiła.

- No dobrze, panno Abigail. Czy widziała pani kiedykolwiek obóz na budowie kolei?

- Raczej nie.

- No właśnie. Mogę więc pani oświadczyć, że w niczym nie przypomina to domu panny Abigail McKenzie. Zwykle obozowisko jest w kompletnej głuszy, a zamieszkujący je mężczyźni nie nadają się specjalnie do salonów.

Jak pan? - Nie mogła się oprzeć temu pytaniu.

Roześmiał się ponownie, nie wyprowadzając jej z błędu.

- Jestem uosobieniem dobrych manier w porównaniu z tymi, którzy budują koleje, Ich życie jest twarde, język brutalny, a jeśli ktoś wejdzie komuś w drogę, może się spodziewać kulki między oczy, W święcie, w którym żyją, nie obowiązują żadne prawa. Załatwiają swoje kłótnie za pomocą karabinu i pięści, a czasami nawet kilofa, co jest pod ręką. Na końcu linii kolejowej nie tylko nie obowiązują żadne prawa, ale nie ma nawet żadnego miasta. Żadnych domów, sklepów, kościołów czy stacji, jednym słowem żadnego schronienia. W takiej głuszy człowiek nie przeżyje długo bez broni. W górach są rysie, na prerii wilki, a pomiędzy nimi wszystko, co ma duże zęby. I wszystkie te zwierzęta szukają wody, co jest oczywiste, a nad

wodą wznosi się zazwyczaj mosty i wiadukty. Mniej więcej o tej porze dnia zwierzęta zawsze przychodzą do wodopoju.

- Do czego pan zmierza, panie Cameron?

- Zmierzam do tego, że noszę broń, jak każdy sensowny facet, który chce podbić Dzikie Zachód i żyć wystarczająco długo, żeby zobaczyć owoce tej pracy. Nie przeczę, że w tym pociągu miałem przy sobie bron, Zaprzeczam jednak, że posłużyłem się nią w celach rozboju.

- Zapomina pan, że przyłapano pana na gorącym uczynku.

- Na jakim? Wyciągnąłem bron z zamiarem oczyszczenia jej, ale zanim zdążyłem wyjąć pociski, jakaś nerwowa paniusia zaczęła wrzeszczeć i znalazłem się na podłodze, postrzelony. Ocknąłem się dopiero u pani w domu. Nic więcej nie wiem.

- Bardzo prawdopodobna historyjka. Byłby z pana niezły aktor, panie Cameron.

- Nie potrzebuję być niezłym aktorem, jestem całkiem niezłym fotografem. Przekona się pani o tym, kiedy odzyskam swoje klisze.

- Wydaje się, że nie ma pan co do tego wątpliwości.

- Nie mam. Wystarczy poczekać i wtedy pani zobaczy.

- Poczekał niewątpliwie, ale nie sądzę, by było co oglądać.

- Trudno panią przekonać.

- Dostrzegam prawdę, kiedy mam ją przed oczami.

- I tym właśnie się zajmuje jako fotograf. Rozpoznaję prawdę i utrwalam ją na zdjęciach.

- Prawdę?

Zastanawiał się chwilę, po czym przekrzywił głowę na bok, jakby starannie obserwował pannę Abigail.

- No więc weźmy na przykład wczorajszy wieczór. Kiedy siedziała pani roześmiana na tym bujanym fotelu, była bardzo interesującym obiektem dla fotografa. Światło padało na pani twarz akurat pod odpowiednim kątem, zdejmując z niej całą tę nabytą sztywność a pozostawiając naturalny wyraz. Nazwijmy to bezpretensjonalnością. Gdybym miał kamerę, w tej krótkiej chwili mógłbym sfotografować panią taką, jaka pani jest naprawdę, nie taką, za jaką chce pani uchodzić. Mógłbym odkryć tę całą pani szarlatanerię.

Wyprostowała się nieznacznie, słuchając jego słów, ale natychmiast zaprzeczyła:

- Nie jestem szarlatanem.

Nie podjął sporu, obserwował ją z, przekrzywioną na bok głową, jakby potrafił zajrzeć w głąb jej istoty i doskonale wiedział, o czym mówi.

- Jeśli ktokolwiek jest tu szarlatanem, to tylko pan. Udowodnił to pan własnymi

słowami. Każdy fotograf wie, że nie można fotografować nikogo, kto się kołysze na bujanym fotelu. Nawet ja wiem, że model musi być nieruchomy, czasami nawet przywiązany do odpowiedniego miejsca, żeby wyszło dobre zdjęcie.

- Celowo postanowiła pani zrozumieć mnie na opak. Ale jeśli to pani odpowiada, nie zgłaszam sprzeciwu. Niech mi wolno będzie tylko powiedzieć, że jeśli chce się osiągnąć sztywną, upozowaną fotografię, jest to bardzo łatwe. W moich zdjęciach nie ma tej sztuczności. Dlatego właśnie pracuję dla kolei. Chcą, żeby fotografować historię kolei tak, jak się ona toczy, a nie w grupach upozowanych przez jakiegoś głupca. To samo dotyczy zdjęć poszczególnych osób. Kiedyś zrobię pani zdjęcie i udowodnię, o co mi chodzi. Pokażę pani, jaka jest prawdziwa Abbie.

Po jej minie łatwo było poznać, że wybrała z jego wypowiedzi tylko to, co chciała usłyszeć.

- Prawdziwa znaczy teraz niezwykle znużona - oznajmiła, podnosząc się ze skrzyni. - Ale nic do tego stopnia, by uwierzyć w pańskie historyjki. Nadal uważam, że jest pan lepszym aktorem niż fotografem czy złodziejem kolejowym.

- Jak pani chce, panno Abigail. To na ogół cecha szarlatanów.

- Pan powinien to wiedzieć. - Spojrzenia ich spotkały się, a pod wpływem uporczywości jego wzroku zaczęła się zastanawiać, co miał na myśli, mówiąc to wszystko. W końcu popatrzyła na jego głowę w turbanie z ręcznika i powiedziała: - Myślę, że możemy już pozbyć się płatków owsianych. - Podeszła do toaletki po szczotkę do włosów.

- Sam mogę wyszczotkować. - zaproponował, zbyła jednak tę propozycję machnięciem ręki. odpięła zapinki, rozłożyła ręcznik i zaczęła szczotkować.

- Wszędzie by pan to rozsypał, a płatki owsiane przyciągają myszy. W przeciwieństwie do pana, myszy nie mają nic przeciwko lekko używanym płatkom.

Zaniknął oczy i poruszał głową zgodnie z poleceniami panny Abigail. Co za sobotni wieczór - pomyślał. - Kobieta, która nie lubi mnie tak, jak nie lubi myszy, wyszczotkowuje mi z włosów płatki owsiane!

- Nie sięgam na tył głowy. Czy mógłby pan usiąść na brzegu łóżka i pochylić głowę w dół.

Usiadł, oparł łokcie na kolanach, pochylił głowę do przodu, panna Abigail rozłożyła ręcznik na podłodze. Patrzył na spadające płatki, kiedy szczotkowała mu włosy zręcznymi ruchami od nasady szyi w górę. Chwilami była całkiem pociągająca, jak na przykład poprzedniego wieczoru na bujanym fotelu czy teraz, w czasie wykonywania tak pospolitej czynności jak szczotkowanie włosów. Rzadko jednak robiła coś w sposób pospolity. Z

jakiegoś powodu wolą wydać się sztywna, upozowana, równie nieelastyczna jak restrykcje jakim nieustannie poddawała swoje zachowanie.

Nie rozumiał zupełnie, dlaczego pragnął uświadomić jej, jaka jest naprawdę. Jeśli czuje się szczęśliwa z tą pozą, należy jej na to pozwolić - pomyślał. A jednak trudno mu było zrozumieć, że ktokolwiek może formować swoje życie według tak sztywnego modelu.

Szczotkowanie wywołało gęsią skórę na jego rękach. Było tak cudownie relaksujące. Jego senne myśli krążyły wokół panny Abigail McKenzie, zastanawiał się, co jeszcze mógłby jej powiedzieć, i nagle uświadomił sobie, że szczotkowanie ustało. Panna Abigail odeszła równie bezszelestnie, jak się pojawiła. Szczotka tkwiła na karku Jesse'a włosiem przy skórze.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Panna Abigail zostawiła swojego podopiecznego w stanie senności i rozluźnienia, nasłuchiwała więc teraz przyciszonych odgłosów z dołu. Słyszała, jak sprężyny łóżka uginały się pod jego ciężarem, potem zadźwięczał cicho miedziany zagłówek; pewnie Jesse podciągał się na łóżku. Wyobrażała sobie, jak przewraca się na bok, wzdycha i zasypia. Ona tymczasem cierpliwie czekała. Walczyła z, sennością, od czasu do czasu dobiegały jakieś odgłosy z miasta, aż wszystko ucichło i znieruchomiło jak wieczność. Raz w oddali zaszczekał pies, co wyrwało ją z drzemki i, rozbudzona, usiadła na łóżku.

Upłynęło bardzo wiele czasu, zanim wstała, szybko i cicho, tylko trochę zaskrzypiało łóżko i wszystko umilkło. Znowu czekała, cierpliwa jak kot na czatach, po czym poruszyła się zupełnie bezszelestnie. Schodziła po schodach boso, szybkim płynnym krokiem, wiedząc, że tym sposobem narobi mniej hałasu, niż gdyby wahała się na każdym stopniu. U podnóża schodów znowu się zatrzymała, W kompletnej ciszy słychać było jego oddech - powolny, rytmiczny, senny. Znowu ruszyła, nie zatrzymała się ani na progu sypialni, ani w nogach łóżka, by się upewnić, czy on śpi, każdy bowiem z tych przystanków, a już szczególnie ten ostatni, mógłby wywołać instynktowną reakcję i obudzić go. Pewnym krokiem, w absolutnym milczeniu, podeszła do łóżka i wsunęła się pod nie do połowy.

Oddech Jesse'a nie uległ zmianie, podczas gdy ona oddychała nerwowo, spazmatycznie.

Zawinięty w koszulę pistolet znajdował się w pobliżu zewnętrznej krawędzi materaca, skąd Jesse łatwo mógł go wydobyć, nie wychylając się zbytnio. Dotknęła zawiniątka, badając materiał koszuli, obmacując twarde przedmiot w środku, brzegi komory z nabojami, ostry, zakrzywiony cyngiel, lufę, rękojeść. Zadrżała. Jeśli będzie próbowała wyciągnąć pakunek przez prostokątne otwory między sprężynami łóżka, na pewno paczka utknie, bo pistolet był większy niż te otwory. Badała jego kształt jak osoba niewidoma, wyczuwała opuszkami palców; uznała, że pakunek znajduje się wystarczająco blisko brzegu łóżka, by jedynie lekkim wypchnięciem materaca uwolnić i wydobyć pistolet. . Problem polegał na tym, jak unieść materac kilka centymetrów do góry.

Będzie musiała poczekać, aż Jesse przewróci się na drugi bok. Może kiedy zatrzeszcza sprężyny, uda jej się szybko wyciągnąć pakunek. Podłoga wydawała się twarda jak klepisko. Czowała chłód i potrzebę poruszenia się, ale on dalej spokojnie spał. Znowu usłyszała w oddali szczekanie psa i odpowiadającego mu wilka z jeszcze dalszej odległości; mimo twardej, niewygodnej podłogi poczuła się bardzo senna. Aby się rozbudzić, wyciągnęła rękę, która

dotknęła czegoś zimnego i cielesnego zarazem. Odsunęła się, przestraszona, i wtedy uświadomiła sobie, że to świński pęcherz. Zaczęło ją gnębić wspomnienie smukłych, silnych palców ściskających pęcherz. Zaciśnęła powieki, żeby pozbyć się tego obrazu. Akurat w tym momencie Jesse pociągnął nosem, westchnął i przewrócił się na bok, aż zaskrzypiały sprężyny. W tej samej chwili pchnęła ręką materac przez otwór między sprężynami, a drugą ręką wyciągnęła pakunek. Wylądował na jej torsie, ciężko klapnął, z trudem powstrzymała się od sieknięcia.

Leżała absolutnie nieruchomo, ogarnięta obrzydzeniem do przedmiotu, który uciskał jej piersi. Ale wreszcie miała w ręku tę złowieszczą broń! Powoli odwinęła pistolet. W koszuli leżącej na jej piersi i brzuchu mi In zapach Jesse'a. Zadrżała. Potem powoli zwinęła koszulę w ciasną kulę, starając się, by metal pistoletu nie zadzwonił o podłogę. Czując na piersi zimny dotyk stali, zastanawiała się, jakim trzeba być człowiekiem, żeby wyciągnąć i wycelować tę broń w inną ludzką istotę. Widziała siebie na drugim końcu lufy, jak to się zdarzyło tego ranka, i po raz kolejny powtarzała sobie, że podobny gest może wykonać jedynie ktoś zupełnie zezwierzęcony.

Jesse znowu oddychał równo. Wstrzymała oddech, drżąc na myśl, że mogłaby zostać przyłapaną. Ale najtrudniejsze było już poza nią, reszta nie stanowiła problemu. Cierpliwości, cierpliwości - powtarzała sobie. On teraz lekko pochrapywał. Usiadła, trzymając w jednej ręce pistolet, a w drugiej koszulę, czujna, gotowa do skoku na jego najmniejszy ruch; ze zdumieniem odkryła, jak blisko głowy znajdowała się przez cały czas. Leżał twarzą do ściany, wysunęła się więc dalej, bezszelestnie jak zawsze. I kiedy tylko dotknęła stopami podłogi, poderwała się do ucieczki.

Nie zdążyła nawet zrobić jednego kroku, kiedy schwyciła ją wyciągnięta ręka, przerzuciła przez sterczącą kość biodrową, aż palce nóg uderzyły w ścianę. Ześlizgnęła się, a na piersiach poczuła ugniatający ciężar. W następnym momencie nie miała wątpliwości, że umiera, ponieważ zabrakło jej tchu. Zdawało jej się, że u nasady pleców znajdują się dwa głazy, wyciągnęła więc rękę, żeby złagodzić ból. On jednak natychmiast podłożył tę rękę pod siebie, a drugą przygoździł do materaca nad głową. Ciągle trzymał w dłoni pistolet.

- Doskonale, moja pani, jeśli chcesz wślizgiwać się pod moje łóżko, możesz się spodziewać takiego traktowania - wycharczał. - Oddaj mi tę przeklętą broń! Natychmiast! Przycisnął jej nadgarstek do materaca, usiłując wyszarpać pistolet. Na próżno. Jej palce ściskały broń bardzo mocno. Starła się ze wszystkich sił łapać powietrze, a ból w piersi stawał się dławiący i coraz silniejszy. On tymczasem walił jej nadgarstkiem w łóżko, opierał się na niej, jeszcze utrudniając oddychanie; miała wrażenie, że oczy wyjdą jej z orbit..

- Oddaj mi broń, ty uparta babo! Czy myślałaś, że jestem aż tak głupi, że ci na to pozwolę? - Wciąż nie mogła oddychać, ogarniał ją coraz większy strach, popadła w panikę, niezdolna wydobyć z siebie głosu, by wyjaśnić, o co chodzi. I kiedy już była zupełnie pewna, że zaraz umrze, zabalgotała jej w gardle, a ręka rozluźniła uścisk na pistolecie. Jesse usłyszał świsty i bulgoty w jej gardle, kiedy starała się chwycić oddech. Nagle ucisk kolan osłabł.

Zsunął się z jej piersi z okrzykiem:

- Na Boga, Abbie!

Zwinęła się w kłębek, płacząc, łapiąc z trudem powietrze, i kołysała się z boku na bok, trzymając rękami kolana. Usiłował ją zmusić do wyprostowania się, żeby ułatwić jej oddychanie, ale ona z większym jeszcze uporem zwijała się w kłębek.

Wreszcie przerzucił ją na brzuch jak szmacianą lalkę, pistolet uderzył o ścianę i upadł na podłogę w kącie za łóżkiem. Wciskając czoło w materac, panna Abigail trzymała się za brzuch, wiała, unosząc do góry pośladki, usiłując odzyskać siły. Jesse podniósł ją za biodra, próbując pomóc w złapaniu oddechu.

- Nie miałem zamiaru pozbawić cię tchu. - Wciąż oddychała chrapliwie i nierówno. Czowała, że jej pośladki dotykają czegoś ciepłego. - Abbie, dobrze się czujesz? - Naciskał kciukiem miejsce poturbowane przez koniaki z jego kością udową. Panna Abigail, zapłakana, zadyszana, wszelkimi sposobami usiłowała się uwolnić.

- Daj mi... - Nie mogła jednak mówić, a on dalej trzymał ją w tej upokarzającej pozycji, tuż przy swoim ciele odzianym w piżamę.

- Jeszcze nie próbuj mówić - polecił. - Najpierw musisz zacząć normalnie oddychać.

Wreszcie wróciła jej zdolność oddychania. Błogosławione, czyste, olbrzymie hausty powietrza dostawały się do płuc i przywracały siły.

- Zostaw mnie - zdołała wyszeptać; nadal ścisnęła w dłoniach prześcieradło, a nogi miała rozłożone. Wreszcie uwolnił ją i padła płasko na łóżko. Jesse ukląkł obok.

- Coś ci się stało? - zapytał. Czowała, że masuje ręką dół jej pleców, ale leżała bezwładna, zadyszana, czekała, aż uspokoi się rozszalałe serce.

- Weź... swoje... brudne... łapy... - wykrztusiła w materac między jednym a drugim wdechem.

- To twoja wina - powiedział, całkowicie ignorując polecenie, i dalej masował jej plecy, już bardziej zamasztytymi ruchami. - Co chciałaś zrobić, zastrzelić mnie?

- Nic nie sprawiłoby mi większej przyjemności! - wysapała.

- To świadczy jedynie o twojej niewiedzy - oświadczył i znaczącym ruchem przejechał długimi smukłymi palcami w dół pleców, w miejsce, gdzie zagłębienie rozszerza

się, a potem zwięża. Poderwała się jak oparzona w rozpaczliwym skoku w róg łóżka, usiłując sięgnąć po pistolet. Ale z hukiem uderzyła głową o ścianę! Zaskrzypiały sprężyny, a Jesse złapał ją za łydki i przyciągnął z powrotem; nawet nie zdążyła dotknąć pistoletu, bielizna nocna zwinęła się pod nią w rulon. Rozpaczliwym gestem sięgnęła, by ją obciągnąć, ale w tym momencie Jesse rzucił się na nią, przykrył sobą i bez trudu podniósł z podłogi broń. Jego tors wgniatał jej twarz w łóżko, potem ciężar zelżał, przesunął się niżej, kiedy Jesse okraczył ją jak nie ujeżdżonego konia, przytrzymując kolanami obydwie jej ręce.

Ale teraz on też ciężko dyszał, zwierzał mocno zęby, kiedy przyciskał ręką pulsująca bólem ranę. Zakołysał się raz i drugi, nagle zły z powodu bólu.

- A więc dobrze, panno bez skazy, chciałaś pobawić się bronią? Dobrze, pobawimy się! - W skołowanej głowie słyszała jego urywany oddech. Zsunął się z jej bioder i usłyszała przy uchu szcęk broni. - Przewróć się! - rozkazał.

Zmagała się z nocną koszulą, usiłując ją obciągnąć, ale lufa pistoletu przytrzymała koszulę w połowie pleców.

- Przewróć się! - powtórzył, tym razem ostrzej, i mocniej przycisnął pistolet.. Odsunęła się od niego lekliwie i leżała pod ścianą cała drżąca. - Jak to się dzieje, że ilekroć się budzę, znajduję cię w swoim łóżku?

Ścisnęła rękami coraz bardziej bolącą głowę, zamknęła oczy, a on tymczasem mówił tonem pełnym namaszczenia:

- Czy dlatego wzięłaś mnie do swojego domu, Abbie? Żeby móc się wślizgnąć do łóżka rewolwerowca? Dlaczego nie powiedziałaś tego wprosi, udając dobroczynną pielęgniarkę? Pielęgniarka, dobre sobie! Czy wiesz, co mi zrobiłaś pod pretekstem pielęgnowania? Pozwól, że przypomnę wszystkie incydenty po kolei, żebyś wiedziała czego dotyczą moje z tobą porachunki. Najpierw ogoliłaś mi wąsy bez żadnego wyraźnego powodu. Kazałaś mi czekać na nocnik tak długo, że o mało nie pękł mi pęcherz. Potem rzuciłaś we mnie nocnikiem. Potem wpychałaś mi w gardło jakieś gałęzie, aż zaniemówiłem, i jeszcze utrzymywałaś, że musisz mnie głodzić dla mojego własnego dobra. Następnie zabrałaś się do systematycznego trucia mnie wątróbką, aż myślałem, że wyrzygam wnętrzności. Kiedy marzyłem o przyzwoitym posiłku, podałaś mi surowy świński pęcherz. A teraz usiłowałaś mnie zastrzelić!

- Nic podobnego!

- Panno Abigail, została pani przyłapana na gorącym uczynku. Czy zna pani to wyrażenie? Czy może słyszała je pani niedawno?

- Pan strzelił do pana Melchera, czego dowodem jest fakt, że stracił palec u nogi. Ja do

nikogo nie strzelałam. Chciałam jedynie zabrać pistolet.

- Do nikogo pani nie strzelała, bo ja się okazałem szybszy. O co chodzi, teraz boli panią głowa?

- Uderzyłam się o ścianę.

- To pani własna wina, jak to pani kiedyś powiedziała do mnie. Sama pani to na siebie sprowadziła, wślizgując się tutaj ukradkiem. O jeden raz za wiele tego skradania się.

- Ocaliłam ci życie, ty niewdzięczniku! - warknęła, zamierzając go zdemaskować, sadziła bowiem, że naprawdę nie zamierza zrobić jej krzywdy. Jednak ledwo zdążyła się poruszyć, została znowu pchnięta na plecy i poczuła jego palce na żebrach.

- Niewdzięcznik? - powtórzył zjadliwie. - Tak, może byłem niewdzięcznikiem. Może nie okazałem właściwej wdzięczności za wszystko, co pani dla mnie zrobiła. Może zrobię to teraz... w naturze. Mani odplacić pani za wszystko, co pani dla mnie zrobiła, tak?

- Nie... nie to miałam na myśli.

- Oczywiście, że to miała pani na myśli. Nazwijmy to zapłatą za otrzymane usługi.

- Nie... - Obronnym gestem skrzyżowała ręce na piersiach.

- No, Abbie, zobaczmy, jak ci się spodoba najazd na twoje usta. - Wykonał tak szybki ruch, że nie miała szansy się bronić. W ciągu sekundy jedna jej ręka została uwięziona pomiędzy materacem a jego ciałem, drugą przygwoździł swoją dłonią do mosiężnego zagłówka. Odwróciła głowę, więc nie trafił na jej usta. Spróbował raz jeszcze, ale zdążyła wykręcić się w drugą stronę.

- Dalej masz ochotę na gierki, co? Wyrывała się, kiedy przytrzymał jej dłoń. Jednak bez trudu przewrócił ją na bok, wciskając jedną jej rękę pod plecy, gdzie została unieruchomiona, przyciśnięta podwójnym ciężarem dwóch ciał. Tym sposobem uwolnił jedną swoją dłoń, którą teraz włożył jej pod głowę, przytrzymując długimi palcami świeżo umyte włosy. Sprawował absolutną kontrolę, toteż bez trudu przycisnął swoje usta do jej warg i przejechał językiem po zębach. Westchnęła i wyprężyła się, ale ukłucie bólu w ramieniu kazało jej leżeć spokojnie, zdała sobie bowiem sprawę, że nie sprosta jego sile. On zwolnił chwyt warg, pieścił ją teraz językiem, badając nim kąciki ust, torturując tym miękkim, wilgotnym najeżdżcą. Niezdolna z nim walczyć, mogła jedynie leżeć bezwładnie i posłusznie, zdecydowana nie okazywać ani oporu, ani strachu.

Wyczuł jej zamiary, przesunął wargi w zagłębienie pod szczęką i wyszeptał:

- Abbie, zamierzam zapłacić ci za wszystko, co mi zrobiłaś. - Znowu muskał językiem kąciki jej ust, po czym powoli objął je swoimi pełnymi wargami, ale szczęki panny Abigail były mocno zaciśnięte. Zabulgotało mu w gardle i poczuła na swoich wargach jego śmiech. -

Jak ci się to podoba, Abbie?

Serce podskakiwało jej do gardła, a mocno zaciśnięte powieki drżały. Uchwycił wargami koniuszek jej nozdry, jak ogier igrający z klaczą, zostawił na skórze wilgotny ślad, kiedy pochylił się niżej. Wziął w usta jej niewielką spiczastą brodę, wysysał ją dokładnie a ciało panny Abigail ogarniały fale gorąca. Czują wierzchem uwięzionej dłoni jego stalowe mięśnie. Pragnęła umrzeć, a jednak czuła się bardziej żywa niż kiedykolwiek przedtem, całą sobą pochłaniała to odczucie. Trzymana na uwięzi, miała wrażenie że doznała wyzwolenia.

Zdjął rękę z jej włosów i przesunął bokiem małego palca wzdłuż szczeliny między jej piersiami aż do talii. A potem nieśpiesznymi ruchami tegoż palca rozpinął po kolei guziki nocnej koszuli, wędrując tym razem do góry.

- Czy sądziłaś, że uda ci się wymknąć z moją koszulą? - szepnął, wtulony w jej szyję. - Ty kradniesz moją... ja kradnę twoją.

Powoli zsunął z jej ramion szlafrok, najpierw z lewego, potem z prawego, a robił to w dalszym ciągu małym palcem, przesuwając go przy tym wzdłuż wzgórków jej piersi aż do sztywnych sutek, dotykał ich jak ciepły powiew wiatru, wywołując na skórze panny Abigail nie kontrolowane dreszcze.

- Wiesz, jak na mnie działasz, Abbie? Stale głaszczesz mnie pod włos. Pozwól, że ci pokażę jedyny sposób, w jaki powinno się głaskać. - Objął dłonią obnażoną pierś, a panna Abigail otworzyła oczy. Zobaczyła jego czarne wąsy blisko swojej twarzy, poczuła oddech i gorące ciało napierające na wierzch dłoni. Przez cały czas obejmował jej pierś z tą karygodnie usztywnioną sutką, pieścił przedramieniem jej żebra i brzuch. Powieki jej opadły, oddech znowu uwiązał w gardle.

- Abbie, a co powiesz na kąpiel w łóżku? Jestem ci dłużny jedną - Zmysły panny Abigail skoncentrowały się w jednym punkcie, kiedy Jesse trzymał w dłoni jedną pierś i pochylił się, by dotknąć drugiej ciepłym, wilgotnym językiem, powoli, starannie kapiąc ją w ślinie od czubka aż po miękkie obrzeża. Na wilgotnej miękkości poczuła coś twardszego. Jego zęby gryzły delikatnie, umiejętnie, nie sprawiając bólu. Wziął rubinowy grzebień jej piersi pomiędzy język a górne zęby i leciutko, leciutko głaskał, pociągał, aż ręka jej opadła z materaca. Przesunął ustami w dół, w miękkie zakole, gdzie pierś spotyka się z żebrami, i kapał ją w ciepło, zanim podjął wędrówkę w dół. Jej ciało nagle jakby zamarło. Zanurzył język w zagłębienie pępka, jak pszczoła szukająca miodu w kielichu kwiatu. Ciepły język zniknął, potem pocałował ją delikatnie jeszcze niżej, podniósł głowę i spytał: - Czy mam dokończyć, czy przerwać w połowie, jak ty zrobiłaś ze mną?

- Proszę... - błagała urywanym szeptem.

- Proszę co? Skończyć czy przestać?

- Proszę przestać. - Zdawało się, że jej oczy, gardło i przestrzeń między nogami wypełniają łzy.

- Jeszcze nie. Muszę najpierw obudzić jakieś życie w tych kończynach, tak jak ty zrobiłaś dla mnie. Pamiętasz to, Abbie? Pamiętasz, jak masażem przywracałaś mi życie i krążenie krwi po tym, jak mnie związałaś? - Nie potrafiła już odróżnić, czy to tortura, czy przyjemność. Zdawało się, że w każdej komórce jej ciała bije osobne serce, kiedy znowu tymi powolnymi, leniwymi ruchami zaczął robić z nią, co chciał, podnosząc jedną jej rękę do góry, a drugą wpychając pod ciężar ich ciał. Wyciągnął się teraz na niej, przytrzymując od tyłu, podczas gdy jeden nadgarstek spoczywał na zagłówku, za każdym poruszeniem jego nabrzmiałego ciała na jej rozbudzonym ciele zagłówek wydawał cichy dźwięk. Kiedy jej zdradzieckie ciało odpowiedziało mu, rozchyliły się jej wargi i Jesse poczuł mi twarzy szybki i gorący oddech. Nie wydawała żadnego dźwięku, ale słyszał jej jęk. Jęk spowodowany strachem i tym nowym pomieszaniem zmysłów, tak nagle w niej obudzonych, tą pulsującą pustką, która zdawała się domagać wypełnienia.

Nagle Jesse znieruchomiał, patrząc na jej ukrytą w cieniu twarz, na zamknięte drżące powieki i otwarte drżące usta. Delikatnie dotknął jej policzka.

- Abbie, ile masz lat? Okłamałaś mnie, prawda? Powiedziałaś, że jesteś stara, bo jest to tarcza, za którą się chowasz, bojąc się życia. Ale czego się boisz teraz, życia z tym czy życia bez tego?

Szloch uwiązał jej w gardle.

- Mam trzydzieści trzy lata i nienawidzę cię - wyszeptwała. - Będę cię nienawidzić aż do śmierci. - Teraz już nie bała się go, wypełniał ją nowy strach, całkiem odmienny: strach przed samą sobą. Lęk przed tym ciałem, które tak niedwuznacznie odpowiedziało na wszystko, co Jesse powiedział i zrobił.

Od jak dawna jej ręce były wolne? Spoczywały nieruchome, skurczone bezwolnie, przytrzymywane teraz jedynie przez powietrze ponieważ Jesse odgarniał właśnie włosy z jej czoła - ruchem tak delikatnym, zbyt delikatnym. To prawda, że odniósł nad nią zwycięstwo, ale czuł się pusty i pobity. Kiedy tak leżała przy nim pokonana i rozczochrana, nagle zapragnął mieć przy sobie tę dawną Abbie, sztywną i pełną przekory.

- Halo, jak w ogóle do tego doszło? - Usłyszała zmianę tonu jego głosu i nawet nie starała się zapanować nad buntowniczymi drganiem swego ciała. Przełknęła łzy i odezwała się nieswoim głosem, zasłaniając ręką oczy.

- Jeśli dobrze pamiętam, ktoś przyniósł do mojego domu kolejowego

złodzieja, który miał wąsiki.

- Abbie... - zaczął nieśmiało, jakby jeszcze tyle rzeczy zostało niedopowiedzianych. Ale zepchnęła go z siebie, przesunęła się na brzeg łóżka, a on pozostał, żałując, że zrobił tak dużo, i jeszcze bardziej żałując, że nie posunął się dalej. Kiedy panna Abigail ześlizgiwała się z pogniecionej pościeli, ręka jej dotknęła zimnej stali porzuconej podczas ich walki, która walką być przestała. Zacisnęła palce na metalu, poruszając się bezszelestnie w ciemności.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Był piękny niedzielny dzień, pogodny i świeży, a błękit nieba przypominał kolorem jajko gila. Ale przez cały czas trwania nabożeństwa panna Abigail nie mogła się skupić. Nawet kiedy modliła się o wybaczenie reakcji, nad którymi nie potrafiła zapanować poprzedniego wieczoru, czuła, jak na samo wspomnienie przebiega ją słodki dreszcz. Kiedy wstała, by wraz z innymi odśpiewać hymn usta jej otwierały się formując słowa, ale wspomnienie dotyku języka Jesse'a na wargach paliło wstydem i przepelniało natrętnym, zakazanym pragnieniem. Podniosła rękę, by przygładzić włosy na karku, a wspomniawszy dotyk jego dłoni, zwiesiła głowę ze wstydu. W tym momencie spojrzała na gors swojej czystej sukni z wysokim kołnierzykiem i uświadomiła sobie, że pod spodem sterczą najeżone sutki. I w swej niewinnej duszy Abigail McKenzie nie miała żadnych wątpliwości, że jest już absolutnie potępiona, chociaż nic było w tym jej winy. Prowadziła pruderyjne życie, w którym, co oczywiste, zdarzało jej się napotykać pokusy podobne tym z wczorajszego wieczoru. Ale nie zasłużyła sobie na tak brutalne potraktowanie.

Rozmyślając o tym wszystkim, panna Abigail chwilami łapała się, że wpatruje się w tył łysej głowy doktora, opanowana pragnieniem, by rękojęścią pistoletu wbić do niej trochę pomysłu!

Po nabożeństwie zadawano jej w nieskończoność pytanie, co słycać w domu, w nieskończoność też musiała udzielać kłamliwych odpowiedzi: „Świetnie, świetnie”. Pytano ją o wszystko, jak się goja rany przestępcy i do czego potrzebny jej był świński pęcherz. Na to ostatnie pytanie odpowiadała również niezupełnie zgodnie z prawdą, bo nie po to kupiła ten pęcherz, by złodziej kolejowy posługiwał się nim w celu usprawnienia swojej pokiereszowanej ręki. Kiedy wreszcie udało jej się odprowadzić na bok doktora Dougherty, była poirytowana nie tylko na niego, ale i na tych wszystkich, którzy pytali ją o to, co nie powinno ich obchodzić.

Doktor powitał ją ze swoją zwykłą dobroduszością.

- Doktorze, muszę z panem porozmawiać.

- Coś niedobrego z naszym pacjentem? Jak on ma na imię? Jesse, prawda? Czy wstaje i trochę się rusza?

- Tak, ale...

- To doskonale! Doskonale! Jeśli nie będzie się ruszał, ta noga zeszywnieje jak nie wyprawiona skóra. Niech pani go dobrze karmi i dopilnuje, żeby wstawał i chodził. Może nawet powinien wychodzić z domu.

- Wychodzić z domu?! Przecież ten człowiek nie ma się w co ubrać! Wczoraj poszedł do ustępu owinięty jedynie w ręcznik!

Doktor roześmiał się, jego brzuch podskakiwał radośnie.

- Nie pomyślałem o tym, kiedy przyniosłem mu jego rzeczy. Chyba będziemy musieli kupić mu jakieś ubrania, co? Kolej zapłaci za...

Przerwała mu niecierpliwie.

- Doktorze, co panu przyszło do głowy, żeby mu oddawać pistolet? On groził mi tym pistoletem, po tym wszystkim co dla niego zrobiłam.

Doktor skrzywił się, zaniepokojony.

- Groził?

- Sza! - Rozejrzała się wokół i znowu skłamała. - Nic poważnego. Chciał tylko dostać na kolację schabowe kotlety.

Doktor nagle domyślił się, do jakiego typu rywalizacji mogło dojść między dwójką tak upartych ludzi. W oczach zabłyśły mu ogniki, kiedy pytał:

- I co, dostał je?

Panna Abigail zarumieniła się, zaczęła niezręcznie podciągać rękawiczkę i wymamrotała:

- Tak to... no... ja... owszem, dostał.

Doktor sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki, wyciągnął cygaro, odgryzł koniuszek i w zamyśleniu zapatrzył się w dal. Wypluł koniec cygara i uśmiechnął się.

- To bardzo sprytnie z jego strony, zważywszy, że pistolet był nie nabity.

Panna Abigail poczuła się tak, jakby ktoś nalał jej za koszulę lodowatej wody.

- Nie nabity? - powtórzyła z zaciśniętymi szczękami.

- Nie nabity, panno Abigail. Nie sądziła pani, że oddam mu broń z całym magazynkiem naboju, prawda?

- Ja. ja... - Uświadomiła sobie w tym momencie, jak głupia musiała się wydać doktorowi, przyznając, że nabrał ją łotrzyk z nie nabitym pistoletem. - Nie przyszło mi do głowy, że pistolet może być nie nabity. Powinnam była się domyślić.

- Oczywiście. Ale przykro mi, że jednak wycelował w panią ten pistolet. Wygląda na to, że nieźle się pani z nim nameczyła. A czy poza tym wszystko w porządku?

Panna Abigail za nic nie wyjawiałaby nikomu, jak bardzo wszystko było nie w porządku. Nigdy w życiu nie mogłaby spojrzeć w oczy mieszkańcom tego miasteczka, gdyby ktokolwiek dowiedział się, co wycierpiała z rąk tego drania we własnym domu. Chłubiła się swoim opanowaniem, dobrym wychowaniem, wspaniałymi manierami, a miasto za to ją

szanowało. Nie da im żadnego powodu, żeby teraz, mówiąc o niej, unosili brwi. Nie teraz!

- Doktorze Dougherty, zapewniam pana, że wszystko jest w absolutnym porządku. Ten człowiek w żaden sposób mi nie dokuczył. Ale to brutal, prymitywny i próżny, i mam coraz bardziej dosyć trzymania go w domu. Im wcześniej się wyniesie, tym lepiej. Bardzo bym chciała, żeby pan od razu podpisał odpowiednie papiery, wtedy szeryf Harris zawiadomi dyrekcję kolei, że mogą po niego przyjechać.

- Naturalnie! Zrobię to z samego rana. Już chyba wydobrzała w wystarczającym stopniu, by móc podróżować.

- Jak długo potrwa, pana zdaniem, zanim po niego przyjadą?

Doktor podrapał się w brodę.

- Trudno powiedzieć, ale nie powinno trwać zbyt długo, a ja codziennie będę panią odwiedzał. Proszę na mnie liczyć, panno Abigail. Jak tylko się przekonam, że może podróżować, uwolnię panią od niego. Czy mógłbym jeszcze jakoś pani pomóc?

- Owszem. Może pan kupić dla niego parę spodni. Jeśli ma snuć się o kulach, nalegam, by był przyzwoicie ubrany.

- Naturalnie. Zrobię to z samego rana.

- Im wcześniej, tym lepiej - zasugerowała, niezbyt ugodowo. Potem, unosząc brodę do góry tym swoim charakterystycznym ruchem, powiedziała doktorowi „do widzenia” i skierowała się w stronę domu, poirytowana jak nigdy w życiu. Pomyśleć, że dała się nabrać, wystrychnąć na dudka, bawić się sobą, że pozwoliła na to temu... psu, którego wzięła z ulicy, podczas gdy nikt w całym mieście nie chciał mu rzucić nawet ochłapów ze stołu! zrobił z niej ofiarę dwukrotnie... i do tego posługując się nie nabitą bronią! Kiedy zbliżała się do domu, myśl o tym doprowadziła ją do autentycznej furii.

Jesse usłyszał głośny stukot obcasów na schodach, kiedy z hałasem wchodziła na górę. Chwilę później schodziła na dół, stąpając głośno, rytmicznie, jakby przy akompaniamencie orkiestry. Ten nietypowy hałas zaskoczył go; zanim poszła do kościoła, skradała się bezszelestnie, jak zwykle. Teraz przemknęła obok drzwi sypialni, poszła do kuchni i otworzyła spiżarnię. Słyszał odgłosy nalewania jakiegoś płynu, a potem znowu głośne kroki. Weszła do sypialni, szybko podbiegła do łóżka i zanim zdążył powiedzieć słowo, wyrznęła go w twarz tak mocno, iż głowa odskoczyła mu od mosiężnego zagłówka. Mosiądz zadźwięczał jak uderzony młotkiem. Jesse nie mógł dojść do siebie ze zdumienia, a ona tymczasem podeszła spokojnie do dzbanka z wodą, wlała filizankę jakiegoś płynu i podniosła do góry pistolet, trzymając go jedynie kciukiem i palcem wskazującym.

- Nigdy więcej nie będzie mi pan groził tym ohydny przedmiotem, zwanym kiedyś

pistoletem - powiedziała, stanowcza i pewna siebie, po czym wrzuciła broń do dzbanka z wodą, aż rozległ się plusk. - Ani nabitym, ani nie nabitym! - Ciągłe zbyt oszołomiony by się odezwać, Jesse słyszał dochodzący z dzbanka bulgot, kiedy woda wypełniała lufę. Gdy wreszcie uświadomił sobie, co zrobiła panna Abigail, poderwał się z łóżka i pokuśtykał w stronę dzbanka. Już zamierzał sięgnąć ręką po broń, kiedy poradziła lodowatym łonem: - Nie próbowałabym tego, chyba że chce pan, aby rozpuściła się też ręka, tam jest ług. - Odsunęła się na bezpieczną odległość.

Obrócił się niezręcznie, żeby stanąć twarzą do niej, ale przechylił przy tym stół.

- Ty zmij! Natychmiast to wyjmij albo wyleję wszystko na podłogę, przysięgam!

- Mój stolik! - wykrzyknęła, kiedy trochę wody z ługiem rozlało się na politurę, zrobiła kilka kroków w stronę stołu i zatrzymała się niepewnie.

- Wyciągnij to! - zaryczał. Patrzyli na siebie spode łba, on zgrzytał zębami, jej drżały usta. Przyczajeni jak dzikie zwierzęta, czujni, ostrożni, napięci. Jesse, zaciskając szczęki, wymamrotał urywanymi sylabami: - Wy - ciąg - nij to!

Nie miała wątpliwości, że lepiej go posłuchać.

Wzruszyła ramionami i wyniosła dzbanek do ogrodu. Słyszał trzask drzwi ochronnych, a potem plusk wylewanego płynu. Przybiegła z powrotem ze ścierką, żeby wytrzeć swój cenny stolik.. Jesse zapadł w bujany fotel, ukrył twarz w dłoniach i zapytał z wyraźną niechęcią:

- Po co wyprawia pani takie idiotyzmy?

Zaczęła bardzo sarkastycznym tonem:

- Pańskie próby elokwencji są doprawdy imponujące...

- Niech mi pani da spokój z tymi wyszukаныmi słowami, bo obydwójce wiemy, że ucieka się pani do nich zawsze, ilekroć odczuwa lęk! Będę mówił to, co chcę, i tak, jak chcę!

- I ja też! Może się panu wydawać, że wczoraj wieczorem zwyciężył mnie pan, ale panna Abigail McKenzie nie pozwoli się zwyciężyć, słyszy pan? - Gwałtownymi ruchami czyściła blat stolika. - Wzięłam do swojego domu pana, zwykłego kolejowego złodzieja, i utrzymałam przy życiu ten gnijący kadłub! I po co? Żeby wysłuchiwać krytyki mojego gotowania, języka, manier, nawet kwiatów, jakie mam w ogrodzie! Żeby w nagrodę za moją troskę doczekać się obmacywania i poniżenia!

- Troskę? - Roześmiał się chrapliwie. - W całym swoim nieszczęsnym życiu nigdy się pani o nic nie troszczyła! Ma pani równie zimną krew jak zaba. I podobnie jak zaba żyje pani na swoim samotnym niewielkim wybiegu, wskakując do kryjówki, ilekroć w pobliżu pojawi się coś przypominającego normalne życie! A więc odkryła pani, że broń była nie nabita, co? I

dlatego wparadowała pani tutaj i wyrznęła mnie w pysk, a potem wrzuciła w roztwór ługu mój pistolet, tak?

- Tak! - wrzasnęła, odwracając się gwałtownie w jego stronę z oczami pełnymi łez.

- Akurat! Zrobiła to pani dlatego, panno Abigail McKenzie, że doskonale pani wie, iż ten pistolet nie był nawet wycelowany w pani stronę, kiedy drżała pani pode mną jak galareta. Dlatego, że to, co odczuwała pani wczorajszego wieczoru, nie ma najmniejszego związku z bronią. Przeżyła pani całe życie w tym opuszczonym domku starej panny, śmiertelnie przerażona możliwością okazania jakichkolwiek uczuć, dopóki nie zjawiłem się ja. Ja! Pospolity złodziej kolejowy! Człowiek, którego pani wypaczone poczucie przyzwoitości kazało się strzec od pierwszej chwili, kiedy mnie tu wtaszczone. Ale nie może pani przyznać nawet przed samą sobą, że ma ludzkie odruchy, że może panią rozpaść ktoś podobny do mnie. że może pani leżeć na łóżku i przekonać się, że obnażona skóra nie musi być plugawa, bez względu na to, kogo dotyka, wbrew temu, w co chciała pani wierzyć przez te wszystkie lata. Przekonała się pani także, że drobna utarczka od czasu do czasu może okazać się bardzo ożywcza, żeby nie wspomnieć już. o tym, jak bardzo podniecająca. Tylko że nie powinno tak być, co? Odkąd tu jestem, doświadczyła pani wszystkich emocji, dotychczas niedozwolonych. I prawda jest taka, że wini pani mnie za to, jak bardzo przypadło to pani do gustu, choć przecież tak nie wypada!

- Kłamstwa! Kłamie pan, żeby się bronić, bo wie pan doskonale, że to, co zrobił wczoraj, było niskie, podłe i niemoralne.

- Niskie? Podłe? Niemoralne? - Roześmiał się szyderczo.

Abbie, gdybyś miała trochę rozsądku, dziękowałabyś mi za to, że wczorajszego wieczoru pokazałem ci, że jeszcze nie wszystko dla ciebie stracone. Po tym, jak przeskradałaś się całe życie w tych nieskazitelnie białych rękawiczkach, z nieskazitelnie czystymi myślami, dziwię się, że nie poprosiłaś dziś rano wiernych, żeby cię ukamienowali jak męczennicę. Przyznaj się, Abbie. Jesteś wściekła, bo z przyjemnością tarzałaś się wczoraj ze mną po tym łóżku.

- Niech pan zamilknie! Niech pan zamilknie! - zaskrzeczała. Obróciła się błyskawicznie i cisnęła w niego szmatą moką od ługu. Wylądowała na jego twarzy, wilgotny brzeg zwisał nad szyją jak szcurzy ogon. Skóra natychmiast zaczęła go palić, otworzył szeroko zdumione oczy. Gwałtownym ruchem ujął szmatę w palce a panna Abigail z przerażeniem uświadomiła sobie, co zrobiła. W następnym momencie zareagowała tak, jak została zaprogramowana przez całe swoje życie - chwyciła z umywalki suchy ręcznik i rzuciła się wycierać twarz Jesse'a. Dłonie ich spotkały się w szaleńczych zmaganiach, żeby osuszyć

skórę, zanim ulegnie uszkodzeniu. Zobaczył jej oczy rozszerzone strachem, które dawały mu do zrozumienia, że posunęła się za daleko.

- Pan... - wychrypiała, szorując jego policzki mocniej niż blat stołu. - Wyśmiewa pan wszystko co dla niego robię, wyśmiewa mnie pan za to ...co jest pana winą. Odkąd pan się tu zjawił ani raz nie docenił mojej najdrobniejszej nawet czynności. Tylko pan krytykuje, pomniejsza, wykpiwa. Jeśli więc jestem taka zimna, sztywna i nieponętna, dlaczego zabrał pan się do tego, do czego pan się zabrał wczoraj na łóżku? Dlaczego? - Przerażona, bliska załamania, spotkała jednak wzrokiem jego oczy. - Myśli pan, że jestem aż tak naiwna, że nie zorientowałam się, że wpadł pan we własne sidła i panu też zaczęło sprawiać to przyjemność? Opuściła ręce, w których nadal trzymała ręcznik zwisający na ramionach Jesse'a. Ręcznik ciągle zakrywał mu usta, ale wyżej widać było wąsy, czarniejsze niż zwykle na tle bieli ręcznika. Patrzyli na siebie w milczącym oczekiwaniu. Czarne oczy Jesse'a wpatrywały się tak intensywnie, że panna Abigail skierowała wzrok na jego opalony tors. Ręce jej wypuściły ręcznik, uciekając tak, jak uciekały jej oczy przed jego nieubłagany, domyślnym wzrokiem. Nagle pożałowała swoich słów. Smagłe palce Jesse'a powolnym ruchem odsunęły ręcznik od ust. Kiedy się wreszcie odezwał, jego słowa wydały się porażające, bo wypowiedział je przyciszonym, niepewnym głosem.

- I co, jeśli sprawiło mi to przyjemność? I co z tego, Abbie?

Panna Abigail poczuła, że jej nerwy zaciskają się w węzły, że skóra na karku cierpnie, ogarniało ją coraz większe pomieszanie. On jest graczem, łamie prawo. jest jej wrogiem. Nie można mu ufać. Spojrzała jednak w niepokojące oczy złodzieja kolejowego, które przykuwały ją do miejsca skuteczniej niż lufa jakiegokolwiek broni. Nie uśmiechał się ani nie krzywił, patrzył na nią z wyrazem absolutnej szczerości.

- Ja o to nie prosiłam - wyznała zduszonym szeptem.

- Ani ja - powiedział cicho.

Szybkim ruchem odwróciła się od niego.

- Czy ma pan poparzoną skórę?

Schwycił mocno jej rękę powyżej łokcia.

- Naprawdę chciałaś mnie poparzyć? - Wpatrywał się w żyły na jej szyi, kiedy usiłowała mu się wyrwać i nerwowo przełykała ślinę.

- Ja... nie... sama nie wiem, czego chciałam. - Mówiła lęklwym i niepewnym głosem.

- Nie wiem, jak przetrwać w pana towarzystwie. Złości mnie pan w momentach, kiedy nie chcę się złościć. Chcę... - Westchnęła, bo nie potrafiła dokończyć zdania. Pragnęła jedynie spokoju, nie tego bicia serca i niebezpiecznego pożądania kogoś takiego jak on.

- Ty mnie też złościsz - rzekł bardzo łagodnie, ściskając palcami jej rękę.

Obserwował, jak przy oddechu unosi się jej prawa pierś. Zobaczył rzęsy opuszczające się na zaróżowione policzki.

- Proszę puścić moją rękę - błagała drżącym głosem. - Nie chcę, żeby mnie pan dotykał.

- Chyba się z tym spóźniłaś, Abbie, bo już cię dotykam. - Łagodnie potrząsnął jej ręką.
- Hej, popatrz na mnie.

Nie zrobiła tego, więc wziął ją za ramiona i odwrócił twarzą do siebie. Wpatrywała się w podłogę, podczas gdy jego ręce zostawiały palący ślad wzdłuż bezwładnie opuszczonych kończyn, w dół do łokcia i nadgarstków. Ujął jej dłonie, a ona walczyła z odruchem, by spojrzeć w te ciemne, ciemne oczy.

- Abbie, jest niedziela. Czy nie moglibyśmy zostać przyjaciółmi na ten jeden dzień i spróbować jak nam to idzie?

- Ja... - Przełknęła ślinę. Serce tłukło się tuż pod gardłem, ośmieliła się podnieść wzrok aż do podbródka Jesse'a. Ogolił się w czasie jej nieobecności, pachniał mydłem, miał gęste i czarne XXXXX. Wciąż jednak nie odważyła się podnieść wzroku wyżej... Nagle westchnął i opadł na oparcie bujanego fotela. Nadal trzymał ją za ręce i robił coś wspaniałego - gładził je powoli kciukami od przegubu dłoni do palców, a ona stała zmieszana, powtarzając sobie, że powinna wyrwać mu ręce, ale zarazem rozkoszowała się delikatnością tego dotyku, tak odmiennego od dotychczasowych. Teraz dotykał jej łagodnie, czule, choć przysięgłaby, że ten człowiek nigdy by tego nie potrafił.

Spojrzała na ich połączone dłonie i choć doskonale wiedziała, co on robi, pozwoliła mu na to. Powoli podniósł do ust jej dłoń, zamknął oczy, wtulając w nią ciepło swoich warg i miękkość wąsów. Podkurczone palce panny Abigaile dotykały jego brody, stała nieruchomo jak posąg pod wpływem czarodziejskiej różdżki, nagle ogarnięta życiodajnym prądem pocałunku, który muskał jej rękę. Wtedy Jesse objął ją w talii i przyciągnął do siebie.

- Nie, proszę tego znowu nie zaczynać - błagała, kiedy wprawnym ruchem posadził ją sobie na kolana.

- Dlaczego? - wyszeptał, odwracając ją nieubłaganie twarzą do siebie.

- Ponieważ nienawidzimy się... - Przerwał jej pocałunkiem, głaszcząc jednocześnie po plecach. Wąsy miał teraz tak miękkie i delikatne jak wtedy, zanim je zgolili, a ciepły język zmysłowo, drażniąco, zapraszająco łaskotał, zanim wyrwała się z okrzykiem: - To szaleństwo! Nie możemy... - Ale ujął w dłonie jej policzki i znowu ją uciszył. Zbliżył jej usta do swoich, zarzucił sobie naszyję jej ramiona, przytrzymując je, dopóki nie wyczuł

przyzwolenia i wówczas otoczył nimi swoją głowę.

A ona myślała: „Jestem szalona”, ale pozwalala się całować, aż jego ręce znowu znalazły się na jej plecach, wędrując po nich w górę i w dół, w górę i w dół, a potem na jej talii, przyciskając mocno z obu stron, trochę powyżej paska od spódnicy. Wszeptywał jej w usta:

- Abbie, nie opieraj się, chociaż raz.

Słowa stawały się niewyraźne, kiedy pieścił jej język swoim. Opuścił ręce niżej na jej biodra, obracał nią tak długo, aż znalazła się na jego kolanach pół leżąc, pół siedząc. Wyprężył się na niewielkim fotelu i tak nią manipulował, aż straciła rozeznanie, gdzie jest i w jakiej pozycji się znajduje. Jesse w końcu położył ją na sobie. Jego ciało było gładkie i sztywne, przytrzymywał ją mocno w talii obydwoma rękami, pozwalając wyczuwać swoją bliskość przez pogniecione halki.

A był długi., twardy... i bardzo przyjemny.

Powodowana odruchem zdrowego rozsądku, zaczęła się opierać.

- Nie, jest pan złodziejem. Moim wrogiem.

- Abbie, sama jesteś swoim wrogiem - wyszeptał. Poczowała, że bierze ją pod ramiona, unosi i bez wysiłku przesuwają wyżej, dopóki jej piersi nie znalazły się dokładnie ponad jego twarzą. Przytrzymywał ją w tej pozycji, oddychając przez nienagannie wykrochmalony przód sukni; wdmuchiwał w nią gorące życie, a ona tymczasem tłumiła w sobie pragnienie poddania się.

- O, proszę, proszę mnie puścić. - Była bliska łez. W jej piersiach, w sercu, w rękach wspartych na jego ramionach... i w tej części ciała, która spoczywała teraz na jego torsie, mieszała się przyjemność z cierpieniem.

- Abbie, pozwól mi, pozwól.

- Nie, nie, błagam - powtarzała z ustami przy jego miękkich włosach.

- Ab, pozwól mi zrobić z ciebie kobietę.

- Nie, nie - jęknęła. - Ja... ja obiecuję, że nigdy już nie dotknę ani pana broni, ani wąsów. Będę pana karmić tak, jak pan będzie chciał, tylko proszę mnie puścić.

- Przecież wcale tego nie chcesz.

Pozwolił jej ześlizgnąć się w dół, aż ich usta znalazły się na jednej wysokości. Ale pomiędzy nimi wylądował ręcznik.

- Abbie, zabierz, ten ręcznik - prosił, trzymając ją mocno w talii.

- Nie, Jesse, nie - szepnęła bojaźliwie.

Słyszając, że wypowiedziała jego imię, Jesse nie wątpił już, że ona też go pożąda.

Podniósł brodę, przesunął ręcznik.

- Bądźmy przyjaciółmi - powiedział z ustami przy jej wykrochmalonym wysokim kołnierzyku.

- Nigdy - zaprotestowała, a on znowu ją pocałował.

Pchnął fotel do tyłu, przez co przybrał bardziej horyzontalną pozycję i przytrzymując jej biodra na swoich, zaczął lekko kołysać fotelem, a każdy kolejny ruch powodował coraz bliższy kontakt ich ciał. Zdawał sobie sprawę, że ona w żaden sposób nie potrafi się przemóc i powiedzieć „tak”, że może ją mieć, jedynie uciekając się niemal do gwałtu, bo nawet jeśli ona się podda, zrobi to wbrew swojej woli. Musi usłyszeć owo „tak” albo ją puścić. Ale kiedy ją puści, będzie się czuła zawstydzona nawet tym, co już zrobiła. Musiał ją jednak wypuścić, aby więc ułatwić jej sytuację, zaryzykował:

- Abbie, powiedz „tak”, bo strasznie mnie boli noga.

Na te słowa skoczyła jak oparzona, zbyt zmartwiona, by się wstydzić.

Och, ty nieznośny egoisto!

Ku jej oburzeniu roześmiał się, przytrzymując ją jeszcze chwilę.

- Zostańmy jednak przyjaciółmi, przynajmniej na dzisiaj, ja też już mam dość walki.

Zerwała się z jego kolan, poprawiając ubranie.

- Jeśli obieca pan nie robić już niczego takiego...

- A czy mógłbym się najpierw zastanowić? - Czarne wąsy poruszyły się pod wpływem przekornego uśmiechu, a tymczasem Abbie była tak zmieszana, że nie wiedziała, gdzie podziąć wzrok. Skierowała się w stronę kuchni, a on poszedł za nią, wspierając się na kulach.

- Mógłbym tu trochę posiedzieć? Zaczynam mieć naprawdę dosyć tej sypialni.

Nie mogła na niego spojrzeć, wyraziła jednak przyzwolenie:

- Może pan robić, co chce, byle nie wchodził mi pan w drogę.

Rozsiadł się nonszalancko przy stole, opierając kule o podłogę.

- Nie będę sprawiał kłopotu - obiecał.

Jednak już zaczynał sprawiać kłopot, kiedy tak siedział z wyciągniętymi nogami i kulami opartymi w kroku. Abbie z najwyższym wysiłkiem powstrzymywała się, żeby tam nie patrzeć, nie miała przy tym wątpliwości, że on doskonale wie, jak na nią działa. Zanim jednak zdążył wprawić ją w większe pomieszczenie, od drzwi frontowych dobiegł głos doktora Dougherty.

- Halo, czy mogę wejść? - I wszedł natychmiast, nie czekając na odpowiedź, bo dom panny Abigail był tak rozplanowany, że już od drzwi widział ich obydwoje w kuchni. - Widzę, iż jest pan w świetnej formie, skoro może siedzieć na krześle. Jak się pan czuje?

- Co dzień silniejszy dzięki pani Abigail - odparł Jesse, jak zwykle zadowolony z wizyty doktora.

- Tak mi właśnie powiedziała już wcześniej, w kościele. O, panno Abigail, przyniosłem spodnie, zgodnie z pani prośbą. Avery specjalnie otworzył sklep. Uznaliśmy, że spodnie są naprawdę konieczne, więc zrobił mi tę uprzejmość. Jeśli nie będą pasowały, nie da się nic zrobić, bo Avery już zamknięty.

Panna Abigail rzuciła okiem na dzinsy i wróciła do zajęć w kuchni, a doktor zabrał Jesse'a do sypialni, żeby obejrzeć nogę. Dochodziły do niej ich przyciszone głosy, po czym doktor pojawił się w kuchni i powtórzył swoje wcześniejsze polecenia:

- Już od dawna nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo i może robić to, na co starcza mu siły, w domu czy na dworze. Trochę słońca i świeżego powietrza by nie zaszkodziło. Teraz, kiedy ma przyzwoite ubranie, mógłby pojechać na przejażdżkę albo siadywać u pani w ogrodzie.

- Wątpię, czy sprawiłoby mu to przyjemność.

- Już z nim o tym rozmawiałem i wydaje mi się, że bardzo chce wychodzić. Pani też to nie zaszkodzi. No, to już lepiej sobie pójść. Jeśli tylko będzie pani czegoś potrzebowała, proszę mi dać znać.

Panna Abigail odprowadziła doktora do frontowych drzwi, a Jesse wyszedł z sypialni ubrany w niebieskie dzinsy i nie zapiętą jasnoniebieską bawełnianą koszulę.

- Dziękuję za przyjście, Doc, i za ubrania. - Szedł z nimi do frontowych drzwi, jakby znajdował się w swoim domu.

- To był pomysł panny Abigail - poinformował Dougherty.

- Więc może powinienem podziękować pani Abigail - rzekł Jesse, rzucając w jej stronę uśmiech. Ale Doc był już na stopniach ganku, skąd zawołał:

- A więc widzę was oboje jutro!

Sposób, w jaki to powiedział, łącząc ich niejako w parę, wywołał w Abbie coś w rodzaju poczucia bezpieczeństwa, kiedy tak stała na progu obok Jesse'a i kiedy wspólnie pożegnali doktora.

- Dobrze znowu mieć na sobie jakieś ubrania odpowiedniego rozmiaru. Dziękuję, Abbie.

Głos mężczyzny zabrzmiał niespodziewanie uprzejmie i szczerze. Zaskoczył ją, bo tak bardzo przywykła do jego kpín i krytyki, że nie wiedziała, jak reagować na uprzejmość. Doskonale zdawała sobie sprawę, że w obecności doktora Dougherty Jesse zwracał się do niej z szacunkiem „panno Abigail”, ale zaraz po jego wyjściu wrócił do poufalej formy „Abbie”.

Czuła, że na nią patrzy, sama widziała katem oka owłosiony tors, długie bosc stopy i zastanawiała się, co powiedzieć. Ale w tym momencie odwrócił się, uniósł kulę i uprzejmym gestem wskazał, żeby poszła przed nim do kuchni. Czuła jego wzrok na karku, kiedy kuśtykał za nią.

Zabrała się do gotowania, a on wrócił na swoje krzesło. Zapanowało krępujące milczenie, dopóki nie przerwał go Jesse:

- Doc nie zostawił na mnie suchej nitki za to, że groziłem ci pistoletem. - Nie potrafiła ukryć zaskoczenia. Tak znieczeka wypowiedział te słowa. I dodał: - Zdziwiłem się, że się do tego przyznałaś.

- Powiedziałam mu tylko, że domagał się pan kotletów schabowych, nic więcej.

- Tylko tyle?

Była speszona, że siedzi za jej plecami i prawdopodobnie obserwuje każdy jej ruch. W końcu zaryzykowała spojrzenie przez ramię. Kule znowu spoczywały w tym samym zenującym miejscu co poprzednio, a on opierał się łokciem o stół, skrzywiony, i przesuwiał palcem wskazującym po wąsach, jakby pogrążony w zamyśleniu.

Odwróciła się do niego plecami, zanim spytała niewinnie:

- Mówił coś jeszcze?

Dłuższą chwilę milczał.

- Pytał, dlaczego mam czerwoną brodę i policzki. Powiedziałem, że jadłem świeże truskawki z twojego ogrodu i dostałem wysypki. Lepiej, żeby w tym twoim ogrodzie rosły jakieś truskawki...

Zobaczył, że opadły jej ręce.

Abbie czuła, jak rumieniec ogarnia jej szyję.

- To znaczy... że... nie powiedział mu pan o szmacie z ługiem?

- Nie. - Zauważył, że z ulgą rozluźniła ramiona.

Wpatrując się w blat kuchni, oznajmiła:

- Owszem, mam w ogrodzie truskawki.

Obserwował zza jej pleców, jak zaczęła ubijać coś łyżką. Ruch ten sprawił, że spódnica wydeła się na jej wąskich biodrach. Nagle znieruchomiła i rzekła spokojnie:

- Dziękuję.

Ogarnęło go dziwne uczucie. Nigdy dotychczas nie mówiła do niego tak przyjemnym łonem. Odchrząknął, co w cichej kuchni zabrzmiało jak grom.

- Abbie, czy masz, na to jakąś maść, bo naprawdę zaczyna mnie porządnie piec?

Odwróciła się błyskawicznie i dostrzegł na jej twarzy wyraz zatroskania. Podeszła do

niego i wyciągnęła rękę do brody, cofnęła ją, oczy ich się spotkały i oboje zastanawiali się, dlaczego każdemu z nich zależało mi zatajeniu prawdy w rozmowie z doktorem Dougherty.

- Maślanka powinna pomóc. - Opuściła wzrok na kule.

- A masz maślanke?

- Tak, w studni na zewnątrz. Zaraz przyniosę.

Obserwował, jak szła przez podwórze, wyciągnęła wiadro ze studni i niosła do domu słoik. Przez cały czas miał zmarszczone brwi.

- Przyniosę gazę - oznajmiła, a potem stała niepewnie z gazą w ręku, bojąc się go dotknąć.

Wyciągnął dłoń.

- Mogę to zrobić sam. Jesteś zajęta. - Kiedy ponownie znalazła się przy kuchni, zaskoczył ją pytaniem: - A ty masz ręce w porządku?

- Ręce?

- Od ługu. Są w porządku, czy też przydałaby się maślanka?

- Nie, nic się nic stało. Ledwie je zamoczyłam.

Kiedy już usunęła pozostałą mokrą gazę i resztę maślanki, żeby zabrać się do nakrywania stołu, zatrzymała się przy drzwiach spiżarni i spojrzała na niego:

- Lubi pan maślanke?

- Tak.

- A chce pan trochę do obiadu?

- To brzmi interesująco.

Zniknęła na chwilę, wróciła ze szklanką białego pianistego płynu i podała mu ją. Na tle bieli maślanki jego palce wydawały się jeszcze bardziej śniade.

- Dziękuję - powiedział, już po raz drugi tego dnia.

W końcu usiadła z nim przy stole, wyciągnęła w jego stronę półmisek i spytała uprzejmie:

- Kurczaka?

- Najpierw nałóż sobie - zaproponował.

Siedzieli przy stole naprzeciwko siebie, nad pełnymi talerzami, przy czym nie wymienili ani jednego przykrego słowa.

- Kiedy byłem mały, w każdą niedzielę jadaliśmy kurczaka.

- My, to znaczy kto?

- My. Moja mama i tata, Rafe i June, i Clare, i Tommy Joe. Moja rodzina.

- Gdzie to było?

- W Nowym Orleanie.

Obraz Jesse'a w gronie braci, siostr i rodziców wydawał się humorystyczny.. Przecież był kłamcą doskonałym.

- Nie wierzysz mi, prawda? - Uśmiechnął się i wziął do ust kęs kurczaka.

- Nie wiem.

- Nawet złodzieje kolejowi mają rodziców. A niektórzy z nas mają nawet rodzeństwo.

- Znowu zrobił się przekorny, ale jakoś tym razem jej to nie przeszkadzało. Zaskoczyło ją również słowo *rodzeństwo*, jeden z tych wyrazów, który od czasu do czasu niespodziewanie wtrącał do rozmowy. To słowo należało raczej do jej słownika.

- A jak liczne było to rodzeństwo?

- Miałem... mam czworo. Dwóch braci i dwie siostry.

- Naprawdę? - Uniosła brew z powątpiewaniem.

On natomiast podniósł brodę wysmarowaną maślanką i roześmiał się radośnie.

- Słyszę sceptycyzm w twoim głosie i nawet wiem, dlaczego. Przykro mi, że nie odpowiadam twoim wyobrażeniom o tym, skąd powinienem pochodzić, ale mam rodziców, którzy mieszkają nadal w Nowym Orleanie, w prawdziwym domu, i nadal w niedzielę jadają prawdziwe kurczaki, tylko przyprawione po kreolsku. Mam też dwóch starszych braci i dwie młodsze siostry, a kiedy wczoraj wieczorem myślaś mi włosy, przypomniało mi to sobotnie wieczory w domu. Wszyscy myliśmy głowy w soboty, a mama czyściła nam buty na niedzielę.

Teraz, wpatrywała się w niego bezwstydnie. Naprawdę bardzo chciała, żeby przekonał ją, że to wszystko prawda. Czy to możliwe? Znowu powtarzała sobie, że jest przestępcą i że absolutnie nie powinna dawać wiary jego słowom.

- Zaskoczona? - spytał, uśmiechnąwszy się na widok jej zdumionej miny. Jednak nie była jeszcze gotowa mu uwierzyć.

- Skoro miał pan taki przyjemny dom, dlaczego pan go opuścił?

- Och, nic opuściłem go na stałe. Odwiedzam ich regularnie. Zostawiłem rodzinę, bo byłem młody, chciałem szukać szczęścia, a mój dobry i wierny przyjaciel chciał go szukać wraz ze mną. Ale czasami tęsknię za rodziną.

- A więc razem wyjechaliście z Nowego Orleanu?

- Tak.

- I znaleźliście szczęście?

- Tak. Obydwaj. Dzięki kolei żelaznej.

- Aaa, znowu kolej - potwierdziła znacząco.

- Cóż mogę powiedzieć? - Wyrzucił ręce do góry. - Zostałem przyłapany na gorącym uczynku.

Intrygowała ją beztroska, pogodna postawa Jesse'a, uśmiechnęła się jednak, zadowolona z tej zmiany, i zaczęła się zastanawiać nad prawdziwością opowieści o Nowym Orleanie i rodzinie.

- A ty? - Skończył jeść, niedbale rozparł się na oparciu krzesła, jeden łokieć lekko opierał na stole. - Masz braci albo siostry?

Natychmiast popatrzyła w dal przez ochronne drzwi i z nieobecnym wyrazem twarzy odparła:

- Nie.

- Domyśliłem się na podstawie tego, co mówił Doc. Zostawiłem rodzinę, kiedy miałem dwadzieścia lat. Powiedział, że ty zostałeś ze swoją.

- Tak. Zdjęła ze spódnicy nie istniejącą nitkę.

- Nie z wyboru?

Podniosła głowę gwałtownym ruchem. Nie można przyznawać się do czegoś podobnego, nawet gdyby była to prawda. Dobra córka nie będzie nigdy miała żalu do ojca, prawda? Jesse bezmyślnie bawił się wąsami i z palcem pod nosem kontynuował:

- Doc wyjawiał mi kiedyś, że poświęciłaś własną młodość, by opiekować się chorym ojcem. Bardzo godne pochwały. - Spojrzała mu w oczy, chcąc zorientować się, czy dalej kpi, ale wyczytała w nich powagę. - Jak dawno temu?

Uświadomiła sobie, że nie narazi się na żadne ryzyko, jeśli wyzna mu to, o czym nigdy z nikim nie rozmawiała.

- Trzydzieści lat - odparta.

- Kiedy miałaś dwadzieścia lat?

- Tak. - Znowu opuściła wzrok.

- Co za marnotrawstwo - skomentował spokojnie. Poczula, że drętwieje jej skóra na karku. Nie wiedziała, co odpowiedzieć, gdzie podziąć oczy, co zrobić z rękami. - Abbie, nie każdy zdobyłby się na podobną rzecz. Czy teraz tego żałujesz?

Nie zaprzeczyła, i było to niemal jak wyznanie, że żałuje.

- Kiedy umarł? - spytał Jesse.

- Rok temu.

- Poświęciłaś mu dwadzieścia lat? - Milczała uparcie, wpatrując się w swoje dłonie. - I przez te dwadzieścia lat nauczyłaś się tak dobrze robić to wszystko, że dom funkcjonuje bez wstrząsów, a rodzina... ale przecież nigdy nie miałaś rodziny. Dlaczego?

Była wstrząśnięta i zażenowana tym pytaniem. Zdawało jej się, że zawarli milczącą umowę, iż nie będą już więcej sprawiać sobie wzajemnie przykrości. Resztką dumy powstrzymała się od płaczu.

- Sądziłam, że to oczywiste.

- Chodzi ci o to, że nie miałaś wielkiego wyboru?

Przełknęła ślinę, a na jej twarz wystąpiły czerwone plamy. Powinna wiedzieć, że nie należy mu się zwierzać - pomyślała, a serce jej niemal pękało z bólu.

- Dopóki nie pojawił się Melcher, a ja odebrałem ci możliwość wyboru, bo go stąd przepędziłem.

Nie mogła dłużej znosić jego docinków. Zerwała się do ucieczki, ale położył jej rękę na ramieniu.

- Teraz widzę, że nie miałem racji - przyznał, a ona natychmiast spojrzała mu w oczy. Nie spodziewała się usłyszeć od niego takiego stwierdzenia. Zachwiało jej postanowieniem, by go nienawidzić, ale teraz bała się, co zajmie miejsce tej nienawiści, jeśli z niej zrezygnuje.

- Czy musimy o tym mówić? - zwróciła się z pytaniem do opalonej dłoni na swoim ramieniu.

- Abbie, usiłuję cię przeprosić. Nie robiłem tego wiele razy w życiu. - W jego wzroku wyczytała absolutną szczerość, a serce jej rozpoczęło szalony taniec na widok powagi malującej się na jego warzy.

Wiedziała, że skoro raz wypowie te słowa, znajdzie się w jeszcze bardziej niepewnej sytuacji, a jednak wypowiedziała:

- Przyjmuję przeprosiny.

Jego ciemne palce ścisnęły jej ramię i puściły. Miała wrażenie, że naznaczył ją tym uściskiem, kiedy mówił słowa, których nigdy nie spodziewała się usłyszeć.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Jesse siedział oparty o drzewo, z dłońmi splecionymi na brzuchu, i obserwował pannę Abigail. Pomyślał, że ogródek utrzymany jest z równą starannością jak cała reszta. Zdecydowanie przeważał w nim kolor niebieski, ale Jesse, będąc mężczyzną, nie odróżniał naturalnie chabrów, dzwonekówek ogrodowych czy niezapominajek, choć rozpoznawał powoje. Przymrużył oczy, kiedy Abbie oglądała powoje wspinające się na białe drabinki wokół domu. Niemal oczekiwał, że nachyli się nad kwiatkiem i zacznie z niego pić, od tak dawna już myślał o niej jak o koliberku. Rozleniwiony i usatysfakcjonowany, patrzył, jak Abbie posuwa się od kwiatka do kwiatka. Pochyliła się, by wyrwać zabłąkany chwast, a on uśmiechnął się, widząc tyłeczek wypięty w jego stronę. Spod spódnicy wyjrzały łydki. Zamknął jedno oko, patrzył na nią drugim, jak przez monokl. Kiedy zdawało się, iż panna Abigail za chwilę się odwróci, udał, że śpi. Potem znowu spojrzał na nią spod przymkniętych powiek. Po raz kolejny oceniał jej szczupłe kostki, dochodząc do wniosku, że jest cholernie atrakcyjną kobietą. Gdyby tak rozpuścić jej włosy, rozpiąć parę guzików, nauczyć, że wypada się śmiać, to niejedynemu mężczyźnie by się za nią obejrzał. Uświadomiwszy sobie, o czym myśli, zamknął oczy i powiedział do siebie: Jesse, ten koliber jest nie dla ciebie. Dlaczego jednak tyle czasu tak się z sobą drażnili i walczyli? Nosiło to wszelkie znamiona zalotów i doskonale o tym wiedział. Czy ogier nie gryzie klaczy, zanim na nią wejdzie? A jak prycha i powarkuje kotka na kota, zanim go do siebie dopuści? Nawet łagodne króliki stają się złośliwe, samica wierzga silnymi tylnymi nogami i kopie samca, jakby był jej nienawistny.

Obserwował Abigail McKenzie spod półprzymkniętych powiek. Zerwała coś żółtego i powąchała. Miała śmieszny, zadarty nosek.

Zaczął się zastanawiać nad kolibrami. Nawet one stawały się wojownicze w okresie godowym. Niezliczoną ilość razy widywał kolibry w lasach, kiedy wyjadały nektar z kwitnących drzew. Każdy samiec oznakowywał swoje terytorium i bronił go przed intruzami, którzy usiłowali spijać nektar z wybranych przez niego kwiatów. Przepędzał wszystkich, dopóki nie zjawiała się ta jedyna samiczka, zdolna go skusić. Śmigali razem w powietrzu, flirtując, odfruwając i przyfruwając do cennych kwiatów. I wreszcie samiczka unieruchamiała skrzydła na wystarczająco długą chwilę, by samiec zdążył się z nią sparzyć, nagradzając go w ten sposób za smak owych kwiatów, po czym zniknęła tak szybko, że nie można było za nią nadążyć wzrokiem.

Przypomniał sobie, jak Abbie nie dawała mu jedzenia, usiłując głodem zmusić do odejścia. Przypomniał sobie wszystkie przekomarzanki, utarczki, pułapki, jakie na siebie

zastawiali.

Abbie wyprostowała się, wytarła czoło wierzchem dłoni, na tle gęstwiny niebieskich kwiatów wyraźnie rysowały się jej piersi.

Do diabła, Jesse, lecz się jak najszybciej i zmykaj stąd! - pomyślał i podniósł się szybkim ruchem.

- Co byś powiedziała, gdybyśmy pojechali na przejażdżkę? - Spytał, spragniony jakiejś rozrywki.

- Myślałam, że pan śpi.

- Przez ostatnie dwa tygodnie spałem tak dużo, że mógłbym pewnie już nigdy w życiu nie zmrużyć oka. - Z lekkim grymasem spojrzał na odległe góry.

- A jak skóra? - spytała.

- Chyba zdrowieje. Maślanka dobrze mi zrobiła, ale wydaje się, że trzeba ją zmyć, zanim sąsiedzi zaczną się skarżyć. - Na ustach Abigail pojawił się pełen rozbawienia uśmiech i raz jeszcze wytarła czoło wierzchem dłoni.

- Przyniosę trochę wody. - Wróciła wkrótce z miską zimnej wody, ściereczką i kawałkiem mydła. Umieściła to wszystko na ziemi koło Jesse'a.

- Uff! Ale cuchnie! - wykrzyknęła cofając się.

- Jeśli uważasz, że cuchnie z tamtej odległości, powinnaś powąchać z mojego miejsca. - Znowu się roześmiała, usadowiła się w odpowiedniej odległości, przykryła nogi spódnicą i obserwowała, jak Jesse stawia miednicę między nogami i pochyla się, żeby umyć twarz. Zmoczył ręce zamiast szmatki, podniósł brodę i zaczął namydlać szczękę i szyję. Spłukał, otworzył oczy i zobaczył, że ona mu się przygląda. Szybko przeniosła wzrok ponad równiny, na góry wznoszące się na horyzoncie, pokryte niebieskawą mgiełką nawet w słoneczny dzień.

- Przyjemnie byłoby pojechać tam bryczką - powiedział.

- Nie mam przecież ani konia, ani bryczki.

- A czy w mieście nie ma stajni pocztowej?

- Jest, prowadzi ją pan Perkins, ale nie wydaje mi się, że to dobry pomysł.

- Doc powiedział, że nie ma nic przeciwko temu. Już od dawna się ruszam. Nie leżałem w łóżku przez, cały czas, kiedy ciebie nie było. Umyłem nawet włosy wodą i mydłem, zauważyłaś?

Oczywiście, że zauważyła. Pamiętała jeszcze ich zapach, kiedy tego ranka oddychał z twarzą przy jej piersi, na bujanym fotelu.

- Chodzenie po domu to co innego niż jazda trzęsącą bryczką. - Ale sama też patrzyła tęsknie na drogę wznoszącą się łagodnie z doliny na wzgórze nad miastem.

- Czy boisz się wybrać ze mną na przejażdżkę?

Zaskoczona tym, że odgadł prawdę, musiała skłamać.

- Nie, dlaczego miałabym się bać?

- Jestem człowiekiem poszukiwanym.

- Jest pan ranny i mimo tego, co mówi Doc Dougherty, nie wierzę, że przejażdżka na twardym siedzeniu bryczki może panu dobrze zrobić.

- Abbie, kiedy po raz ostatni widziałaś moją ranę? A Doc ją oglądał i stwierdził, że przejażdżka bryczką dobrze mi zrobi.

- To nie jest dobry pomysł - rzekła niepewnie, zrywając trawę.

- Uważasz, że to ty nie powinnaś jechać bryczką, nie ja. Przyznaj się.

- Ja?

Spojrzał na góry zmrużonymi oczami, podczas gdy jej wzrok zabłądził na czarne włosy porastające duże palce jego bosych stóp.

- Chodzi mi o to - teraz on też gryzł źdźbło trawy - że na pewno będzie to dziwnie wyglądało. Panna Abigail McKenzie wypożyczająca bryczkę, żeby zawieźć Bóg wie gdzie swojego kolejowego złodzieja w niedzielne popołudnie.

- Panie Cameron, nie jest pan moim kolejowym złodziejem, i byłabym wdzięczna, gdyby się pan w ten sposób nie określał.

- O, przepraszam - powiedział z szelmowskim uśmiechem - a więc miasteczkowego złodzieja kolejowego. - Widział, że jej opór słabnie, ale, do diabła, z każdą chwilą wyglądała bardziej ponętnie. Zastanawiał się, czy nie powinien się uspokoić.

- Dlaczego znowu mnie pan zaczepia? Obiecał pan przyzwoite zachowanie.

- Przecież się zachowuję. Chcę tylko na chwilę się stąd wyrwać. Co więcej, obiecałem doktorowi, że nie zrobię ci krzywdy ani nie będę próbował ucieczki. Jest niedziela, wszyscy w miasteczku odpoczywają i robią dokładnie to, co im się podoba, a ty siedzisz i przyglądasz się górom ze swojego upalnego ogródka na tyłach domu, podczas gdy moglibyśmy się znaleźć w miejscu znacznie chłodniejszym, trochę wyżej, i rozkoszować się pięknym dniem.

- Mnie jest tutaj zupełnie dobrze, to znaczy, było mi dobrze, dopóki nie wpadł pan na ten nierozsądny pomysł. - Włożyła szczupły wskazujący palec pod sztywny kołnierzyk i przesuwała nim w tę i z, powrotem.

Zastanawiał się, czy kiedykolwiek w życiu pojechała z mężczyzną na przejażdżkę bryczką. Może z tamtym, przed trzynastoma laty. Znowu usiłował sobie wyobrazić, jak wyglądała i zachowywała się wtedy, kiedy miała zalotnika.

- Przecież nie gryzę, Abbie. Co ty na to?

Jej niebieskie oczy zdawały się błagać, żeby nie przekonywał w ten sposób, ale kiedy wyjęła palec zza kołnierzyka, wargi jej rozchyliły się wyczekująco i raz jeszcze spojrzała na góry. Policzki panny Abigail nabrały delikatnego koloru pierwiosnków. Opuściła oczy mówiąc:

- Będzie pan musiał pozapinać koszulę i włożyć buty.

Ciszę przerywało tylko brzęczenie cykad. Podniosła oczy, a on pomyślał: „Jesse o ci, do diabła, chodzi? Nagle poczuł się jak ogłupiały bąk siedzący w jej ogródku, podczas gdy ona czatuje na niego, gotowa schwytać go do słoika i zakręcić pokrywkę. Jednak wbrew zdrowemu rozsądkowi uśmiechnął się i powiedział:

- Zgoda.

- O, witam, panno Abigail! - Gem Perkins usilnie starał się ukryć zdumienie, widząc ją w drzwiach. Nigdy do niego nie przychodziła, ale teraz oto stała przed nim nienagannie wystrojona w biały kapelusz i rękawiczki.

- Dzień dobry, panie Perkins. Chciałabym pożyczyć konia i bryczkę z miękkim siedzeniem. Taką, która jak najmniej trzęsie.

- Bryczkę, panno Abigail? - zapytał Gem, jakby poprosiła go o osiodłanie potwora.

- Czy pan zajmuje się wypożyczaniem bryczek, panie Perkins? - spytała lodowało.

- No, oczywiście, że tak, przecież wie pani o tym, panno Abigail. Tylko nigdy dotychczas nie pożyczła pani bryczki.

- Teraz też bym tego nie robiła, tylko że Doc Dougherty życzy sobie, żeby ten inwalida, który jest u mnie, zaczął się znowu przyzwyczajać do jazdy, aby można go było jak najprędzej zapakować do pociągu. Jednak potrzebna będzie bryczka z miękkimi siedzeniami, na dobrych resorach.

- Naturalnie, panno Abigail, Wyściełane siedzenia, a to drugie to co? - Prowadził ją do wozowni, dalej nie posiadając się ze zdumienia.

- Sprężynujące resory, panie Perkins - oznajmiła, zastanawiając się, ile czasu minie, zanim do wszystkich mieszkańców miasta dotrze wiadomość o jej poczynaniach.

Jesse zachichotał, widząc, jak panna Abigail jedzie w dół ulicą. Zorientował się, że nie ma najmniejszego pojęcia o powożeniu. Klacz podrzucała głową, protestując przeciwko nadmiernemu ściąganiu wędzidla zbyt ostrożnymi rękami Abbie. Zatrzymała bryczkę przed furtką; obserwował, jak ostrożnie wysiada i idzie w stronę ganku. Nie - zdecydował - nigdy w życiu nie robiła niczego podobnego.

Kiedy weszła do saloniku, Jesse czekał na eleganckiej kanapce. Panna Abigail z trudem powstrzymała się od śmiechu - tak zabawnie wyglądał, stanowił jedyny dysonans w jej skądinąd nienagannie uporządkowanym pokoju. Nie - pomyślała - on nigdy nie będzie bywalcem salonów.

- Ta noga jest jednak trochę sztywna - wyznał. - Podobnie jak nowe dżinsy. Czy możesz mi pomóc włożyć buty?

Spojrzała na jego bose stopy i zaniepokoiła się, że na ich widok przeszył ją dziwny dreszcz; szybko uklękła i wzięła do ręki najpierw skarpetki, a potem buty. Po raz pierwszy zauważyła, że buty były w dobrym gatunku, starannie utrzymane i zrobione z grubej, kosztownej skóry. Zastanawiała się, czy musiał napaść na pociąg, żeby za nie zapłacić, i stwierdziła ze zdumieniem, że ta myśl wcale nie odbiera jej ochoty na wspólną przejażdżkę.

Kiedy już włożyła mu buty. Starannie unikała spoglądania na obnażony tors widoczny spod nie zapiętej koszuli.

- Obiecał pan pozapinać koszulę - przypomniała.

Spojrzał na siebie.

- A, rzeczywiście.

Stojąc niezręcznie na jednej nodze, zapiął koszulę, odwrócił się plecami do panny Abigail, bez ceremonii rozpiął rozporek i zaczął wpychać koszulę w spodnie. Policzki jej spurpurowiały, kiedy obserwowała mięśnie jego ramion w czasie wykonywania tych niezbędnych czynności. Uświadomiwszy sobie w końcu, co robi wybiegła z pokoju i wyszła na ganek, żeby tam na niego poczekać.

Wyszedł o kulach i pokuśtykał do bryczki. Spodnie były rzeczywiście bardzo ciasne. Niewątpliwie będzie mu trudno wsiąść. Bryczka tylko jeden niewielki stopień, umieszczony wysoko. Jesse trzykrotnie próbował bezskutecznie postawić na nim stopę, aż wreszcie Abbie poleciała.

- Niech pan poczeka na schodach, a ja podjadę bliżej.

Wrócił na stopnie ganku i obserwował, jak niewprawnie wyprowadza bryczkę zza narożnika płotu.

- Za mocno ciągniesz - ostrzegł. - Poluzuj! - Wstrzymywał oddech w obawie, że Abbie wywróci bryczkę, jeszcze zanim rozpoczną wyprawę. Jednak bryczuszka bezpiecznie dojechała do ganku, a on wsparł się na kulach, stojąc na drugim stopniu schodów.

- Poradzi pan sobie? - spytała Abbie, mierząc wzrokiem dystans.

- Jeśli nie, to wyślij moje kości z powrotem do Nowego Orleanu - zażartował z uśmiechem. Podrzucił obydwie nogi w stronę bryczki, opierając się przez moment jedynie na

kulach pod pachami. Jednak reszta ciała nie podążyła za stopami i zachwiał się niepewnie. Niewiele brakowało, by przechylił się do tyłu.

- Nie! - wykrzyknęła panna Abigail, reagując instynktownie, chwytając go w miejscu jedynym z możliwych, czyli za pasek nowych spodni. Poskutkowało, ale pociągnęła zbyt mocno i wpadł do bryczki jak podcięte drzewo, przy czym o mało jej nie wypchnął. Znalazła się w dziwnej pozycji, przygnieciona ciężarem mężczyzny, jedną rękę miała rozplaszczoną na jego piersi, a drugą dalej trzymała pasek spodni. Nagle uświadomiła sobie, gdzie ukrywa rękę i wyszarpnęła ją gwałtownie. Ale tymczasem jego znaczący uśmiech zdążył wywołać rumieniec na jej twarzy. Odepchnęła go i zaczęła niezręcznie poprawiać kapelusz, obciążać spódnice, przy czym pilnowała się by na niego nie spojrzeć. Jednak kątem oka dostrzegła kpiący uśmieszek. Purpurowa aż po uszy, udając, że wcale nie jest zmieszana, wyprostowała plecy, a Jesse wziął lejce, cmoknął, gwizdnął i klacz ruszyła. Abbie siedziała niby worek płatków kukurydzianych wieziony na przejażdżkę.

- Nic ci nie jest? - zapytał. Słyszała jednak w jego głosie kpiące tony.

- Wszystko w najlepszym porządku! - warknęła.

- Więc czemu taki ton?

- Doskonale pan wie, dlaczego!

- Skąd mam wiedzieć? - Uosobienie niewinności i beztroski.

- Doskonale pan wie, co pan zrobił. Pan i te pańskie zdradzieckie, sugestywne oczy!

Uśmiechnął się, widząc jej sztywną, urażoną pozę.

- No więc, nie zamierzałem o tym wspominać, ale skoro sama to poruszyłaś, chciałem zapytać, co ma zrobić mężczyzna, kiedy kobieta wkłada mu ręce w spodnie?

- Nie wkładałam ręki w pańskie spodnie! - wykrzyknęła, teraz już dotknięta do żywego.

Roześmiał się zuchwale.

- Och, stokrotnie przepraszani, panno Abigail, chyba się pomyliłem. To musiała być ręka jakiejś innej kobiety. - Rozejrzał się wokół, jakby w poszukiwaniu winowajczyni. Zachichotał cicho, przyglądając się jej drwiąco. Nie reagowała dzisiaj zbyt dobrze na te przekomarzanki. Najbardziej lubił, kiedy odpłacała mu dokładnie tą samą monetą. Uśmiechał się i z ukosa rzucał spojrzenia na jej poważną twarz, po czym usiadł niedbale i zaczął pogwizdywać. Postanowił przez chwilę być miły, może uda się ją trochę zmiękczyć.

Jechali na południe w stronę wzgórz drogą biegnącą równolegle do linii kolejowej. Panował niesamowity upał i panna Abigail zadowolona była nawet z tego fragmentu cienia, jakiego dostarczało jej rondo kapelusza. W bryczce było zbyt mało miejsca na długie nogi

Jesse'a, więc rozłożył je i dotykał jej spódnicy, choć sama trzymała nogi ściśnięte w kolanach i ręce na podolku. Odsunęła się jak najdalej, ale wjechali na wybój i jego kolano uderzyło w nią, a roześmiane oczy zerknęły w jej stronę. Siedziała tak sztywna i milcząca, że wreszcie zaczął się rozglądać po okolicy, nie mówiąc ani słowa.

W miarę jak zbliżali się do podnóża wzgórz, zarośla gęstniały i Jesse wskazał na nie wyciągniętą ręką. Podążyła wzrokiem w tym kierunku i zobaczyła umykającego królika; uśmiechnęła się mimo woli. Nie odrywała wzroku od miejsca, gdzie zniknął zwierzak, dopóki go nie minęli, a Jesse ukradkiem obserwował, jak się rozgląda w poszukiwaniu innych zwierząt. Pojawił się jastrząb, zataczający kręgi w górze. Podniosła wzrok, śledząc jego ruchy. Zieleń podchodziła bliżej drogi, panna Abigail wydawała się zafascynowana stadem skowronków dziobiących orzeszki. Szyny odchodziły w prawo w miejscu, gdzie droga skręcała w lewo, i znowu znaleźli się na otwartej przestrzeni. Szypułki niebieskiego łubinu tworzyły wokół ruchome morze, jakby część niebios spłynęła na spokojne wzgórza. Jej usta ułożyły się w pełne zachwyty „och”, a on uśmiechnął się z aprobatą. Jechali w milczeniu, wznosząc się coraz wyżej i wyżej, aż teren stał się bardziej skalisty; gdzieniegdzie na niewielkich polankach rósł karłowaty cis. Gdy mijali pęk pomarańczowych kielichów, odwróciła głowę, żeby jak najdłużej cieszyć się widokiem kwiatów.

Obrzucił ją rozleniwionym spojrzeniem.

- Dokąd prowadzi ta droga?

Siedziała przycupnięta na skraju siedzenia jak ćwierkający wróbel, czujna, uważnie obserwując okolice.

- Do Szczytu Orłów, a potem wzdłuż wąwozu Kaskady do Wielkiej Sosnowej Skały i grzbietem gór do Hicksville.

Znowu zamilkli, on się uśmiechał, a ona rejestrowała wzrokiem wszystko dokoła. W pewnej chwili Jesse wytarł czoło rękawem koszuli. Wjechali na drogę wśród drżących osik, w plamisty, chwiejny cień. Od czasu do czasu zdarzały się pachnące iglaki - liliowce czy świerki - rwące się do nieba, podczas gdy w dole ich gałęzie tworzyły tunel nad głowami. Wkrótce dojechali do płaskiego, bezkształtnego masywu skalnego.

- Czy to Szczył Orłów?

Panna Abigail rozejrzała się.

- Tak mi się zdaje. Już dawno tu nie byłam.

Zatrzymał konia i siedzieli w promieniach bezlitosnego słońca, patrząc poza ogrom Szczytu Orłów na podobny grzbiet, który wyrastał po drugiej stronie przepaści, nad którą dłuższy czas jechali. Sosny znajdowały się tam w głębokim cieniu - bogata. przytulna

przystań chłodu, podczas gdy po tej stronie wciąż paliło popołudniowe słońce. Wpatrując się w pejzaż, Jesse bezwiednie odpiął dwa guziki i włożył rękę pod koszulę. Z zapachem sosen mieszała się woń dojrzałej trawy i przyjemny zapach spoconego konia.

- Jeśli pojedziemy dalej, wkrótce dotrzemy do wąwozu Kaskady, a tam będzie znacznie chłodniej.

Cmoknął na klucz i ruszyli. W wąwozie rzeczywiście było chłodno i przyjemnie, płytki strumień płynął po skalistym podłożu, w cieniu wierzb i olch.

Koń podszedł do wody, pochylił łeb, napił się, stanął z podniesioną głową i powoli mrugał oczami. Oboje dłuższą chwilę w milczeniu przyglądali się zwierzęciu.

- Chciałabyś wysiąść na chwilę? - spytał w końcu Jesse.

Panna Abigail zdawała sobie sprawę, że rozsądniej byłoby ograniczyć ten wypad po prostu do przejażdżki, ale woda wyglądała tak kusząco. Nie czekając na odpowiedź, Jesse pociągnął lejce i skierował konia w stronę nisko zwieszonych gałęzi powykręcanej sosny. Wstał, złapał się za gałąź i bez trudu dotknął ziemi. Zdjął następnie kule z bryczki, a panna Abigail starała się ukryć zaskoczenie jego zwinnością - był wszak tak wysoki, a poruszał się jak puma. Wyciągnął opaloną dłoń, żeby pomóc jej wysiąść, spojrzała na tę rękę zaskoczona, nie przygotowana na takie uprzejmości.

- Uwaga na głowę - ostrzegł, wskazując gałąź.

Czekał z wyciągniętą ręką i ta twarda dłoń z odciskami stawała się problemem, im dłużej panna Abigail zwlekała z wsparciem się na niej. Ale przypomniała sobie, że ma przecież na rękach białe rękawiczki i wreszcie wyciągnęła dłoń i przy jego pomocy zeskoczyła na ziemię. Szła przed nim w kierunku strumienia, ale ona była w rękawiczkach, a on szedł o kulach, więc żadne z nich nie dotknęło kuszącej wody. Obserwowali, jak pieni się pod ich stopami. Po chwili Jesse wyciągnął koszulę ze spodni i rozpiął ją od góry do dołu. Panna Abigail nadal stała sztywno. On wypatrzył wygodne miejsce, gdzie przepływająca woda utworzyła na brzegu coś w rodzaju krzesła. Pokuśtykał w tamtą stronę, odrzucił kule i usadowił się z westchnieniem. Strumień szemrał. Ptaki śpiewały. Na leśną ściółkę składały się igły i pleśniejące liście. Jesse skrzyżował ręce za głową i wychylił się do tyłu, obserwując kobietę stojącą nad brzegiem strumienia.

Plecy miała sztywne jak kij, nigdy nie pozwalała sobie na odstępianie od tych swoich idiotycznych zasad. Stała wyprostowana jak świerk, choć Jesse doskonale wiedział, że mężczy ją upał, podniosła bowiem do czoła dłoń w białej rękawiczce, a potem przetarła nią skórę na karku. O czym myślała, wpatrując się w strumień na dnie jaru? Co takiego chciała zrobić, na co nie pozwalały jej te absurdałne maniery? Zastanawiał się, czy kiedykolwiek zdecyduje się

usiąść, dotknąć wody, czy zgodzi się z nim rozmawiać.

- Woda wygląda tak przyjemnie i orzeźwiająco - skomentował w końcu obserwując uważnie jej reakcję. Kiedy jednak ani nie odpowiedziała, ani się nie ruszyła, dodał: Powiedz mi, czy to prawda, bo ja nie sięgnę.

Przez długi czas jej ręce pozostawały nieruchome. Wreszcie zdjęła rękawiczki. Pochyliła się niepewnie, by dotknąć wody; Jesse zorientował się, że czuje się skrepowana, iż ją obserwuje. Nawet taki prosty, zwyczajny gest budził w niej wahanie. Przez moment czuł dla niej litość. Brzeg spódnicy ześlizgnął się w dół, uchwyciła to szybko, chroniąc przed zamoczeniem.

Abbie, zostaw w spokoju spódnicę, niech się zamoczy, sama też wejdź do strumienia i przekonaj się, jak to przyjemnie - pomyślał. Ale wiedział, oczywiście, że ona nigdy tego nie zrobi.

- Przynieś mi trochę wody! - zawołał jednak, żeby się przekonać, jak się zachowa.

Rzuciła mu pytające spojrzenie przez ramię:

- Ale nie mam jej w co wziąć.

- Weź w dłonie.

Wyprostowała się raptownie.

- To jest naprawdę humorystyczna propozycja.

- Nie dla spragnionego człowieka.

- Niech pan nie będzie śmieszny, nie może pan pić z mojej dłoni.

- Dlaczego nie? - spytał zdawkowo.

Słyszał, jak pracują jej myśli równie wyraźnie, jakby wypowiedziała słowa : „To przecież nie wypada”.

- Jeśli mogłem pić z twoich ust, kiedy byłem nieprzytomny, dlaczego teraz nie mogę się napić z twoich dłoni?

Wyprostowała gwałtownie ramiona i powiedziała, wciąż nie patrząc na niego:

- Sprawia panu wielką przyjemność prześladowanie mnie, prawda?

- Chciałbym jedynie napić się wody - wyjaśnił spokojnie, z głową wspartą na złączonych rękach. Westchnął, spojrzał w górę strumieniu i wymamrotał: - Ach, do diabła, zapomnij o tym. - Położył głowę na ziemi i zamknął oczy.

Kiedy odważyła się na niego spojrzeć, wyglądał w tej pozycji całkiem niegroźnie. Śmieszne, ale naprawdę nie lubiła go denerwować, tyle, że nigdy nie wiedziała, do czego naprawdę zmierzał. Spojrzała na jego wąsy - były już niemal równie gęste, jak wtedy, gdy zobaczyła go po raz pierwszy - potem na wodę i znów na niego. Rozglądała się za czymś, z

czego mogłaby zrobić rożek lub naczynie, ale nic takiego nie dostrzegła. Nigdy w życiu nie zrobiła niczego podobnego, już sama myśl o tym wywołała jakąś dziwną sensację w jej wnętrzu. Woda była rozkosznie chłodna. Nawet koń musiał się napić. A Jesse najwyraźniej bardzo odczuwał upał. Znowu miał rozpiętą koszulę; przypomniała sobie, jak wcześniej przesuwał ręką po torsie. Popatrzyła, jak spokojnie drzemie. Przeniosła wzrok na wodę.

Jesse otworzył oczy, kiedy dwie wielkie krople spadły mu na tors. Podskoczył, ale natychmiast się uśmiechnął. Abbie stała nad nim ze złączonymi dłońmi.

- Otwierać usta - poleciała.

A niech mnie diabli - pomyślał ale posłusznie otworzył usta, jakby przyjmował komunię. Opuściła dłonie, utworzyła między nimi szczelinę, ale woda spływała jej za mankiety, rozlewała się po jego torsie i szyi, nie docierała jednak do ust. Abbie niemal się spodziewała, że Jesse się poderwie i schwyce ją za dłonie, tak jak wtedy, gdy nieumyślnie uderzyła go łyżką w zęby. Zaskoczył ją jednak, ponieważ, zaczął ciemną dłonią rozprowadzać wodę po torsie.

- Ach, jaki chłód powiedział z uznaniem, po czym oczy mu rozbłysły. - Ale chciałbym leż. dostać trochę do ust.

- Pomoczyłam sobie mankiety - poskarżyła się Abbie, usiłując podciągnąć rękawy. Przyłgnęły jednak do przegubów i nie chciały ześlizgnąć się po skórze.

- Skoro już są mokre, możesz spróbować jeszcze raz.

Tym razem poszło lepiej, ponieważ Jesse przytrzymał jej dłonie w swoich i wlewał sobie wodę do ust, używając jej palców jak dzióbka dzbanka.

Obserwowanie jak spija wodę z jej palców, było odczuciem zdecydowanie zmysłowym. Panna Abigail poczuła w dole brzucha dziwne dreszcze. Na jego wąsach pozostały kropelki wody. Zafascynowana patrzyła, jak przejechał językiem po skraju wąsów. Nagle uświadomiła sobie, że się w niego wpatruje. Natychmiast przeniosła wzrok na jakiś odległy krzak.

- A ty się nie napijesz?

Dotknęła szyi tuż pod brodą.

- Nnnie... nie mam ochoty.

Wiedział, że to nieprawda, ale rozumiał, że już i tak posunęła się za daleko.

- Chodź, usiądź na chwilę. Tu jest chłodno i naprawdę wygodnie.

Rozejrzała się wokoło, jakby ktoś mógł ją przyłapać, gdy odważy się to zrobić. W wyniku jakiegoś kompromisu z sobą oznajmiła:

- Usiądę tutaj. - Przysiadła na głazie u jego stóp.

- Nigdy tu nie byłaś? - Obserwował jej plecy, podczas gdy ona wpatrywała się w wąwóz.

- Byłam jako dziewczynka.

- Kto cię tu przywiózł?

- Ojciec. Przyjechał ciąć drzewo, a ja mu pomagałam ładować.

- Gdybym mieszkał w okolicy stale bym tu przyjeżdżał. Tam w dole jest dla mnie zbyt płasko i za gorąco. Kiedy byliśmy dziećmi, ja i moi bracia, spędzaliśmy całe godziny nad zatoką, łapiąc kraby, bawiąc się na plaży, zbierając muszelki. Bardzo tęsknię za oceanem.

- Nigdy nie widziałam oceanu - powiedziała żałośnie.

- Wcale nie jest ładniejszy niż ten wąwóz, po prostu inny. Chciałabyś...?

- Chciałabym co?

- Zobaczyć ocean?

- Nie wiem. Richard miał... - Urwała gwałtownie i szybko zwróciła głowę w stronę wąwozu.

- Richard? Kto to jest?

- Nic... nikt... Nawet nie wiem, dlaczego o nim wspomniałam.

- Musiał być kimś, bo inaczej byś go nie wspomniała.

- Och! - - Objęła rękami kolana. - Był to ktoś, kogo kiedyś znałam, kto zawsze mówił, że chciałby mieszkać nad oceanem:

- I udało mu się?

- Nie wiem.

- Straciłaś z nim kontakt?

Westchnęła i wzruszyła ramionami.

- Jakże to ma znaczenie? To było tak dawno.

- Jak dawno?

Nie odpowiedziała. Bała się zwierzeń. A jednak Jesse skłaniał ją do mówienia rzeczy, którymi nikt dotąd się nie interesował.

- Trzydzieści lat temu? - zaryzykował. Nie odpowiadała, a on namyślał się długo, zanim wyznał: - Abbie, ja wiem o Richardzie.

Usłyszała, jak oddech uwiązał jej w gardle, zanim zwróciła na niego zaskoczony wzrok.

- Skąd może pan wiedzieć o Richardzie?

- Powiedział mi Doc Dougherty.

Nozdrza jej się rozszerzyły, a wargi zacisnęły.

- Doc Dougherty za dużo mówi.

- A ty za mało.

Skrzyżowała ramiona i odwróciła się.

- Zachowuję moje prywatne sprawy dla siebie. Tak powinno być.

- Naprawdę? Dlaczego więc wspomniałaś Richarda?

- Nie wiem. Jego imię wymknęło mi się mimo woli. Nie mówiłam o nim nigdy, odkąd wyjechał, i zapewniam pana, że nie mam zamiaru teraz zacząć.

- Dlaczego? Czy to jakieś kolejne tabu?

- Mówi pan juk głupiec.

- Nie. Ale przypuszczam, że mówił tak ktoś na długo przed tym, zanim się pojawiłem, i dlatego jesteś taka usztywniona.

- Nie wiem nawet, dlaczego słucham tego, co pan mówi. Jest pan tak wyjątkowo impulsywny. Nie ma najmniejszego pojęcia o rezerwie czy jakiegokolwiek samokontroli... Przedziera się pan przez życie, jakby chciał pan zadawać mu ciosy, wbić się w pamięć. Może panu to odpowiada, ale mogę zapewnić, że nie jest to mój styl. Kieruję się sztywnymi zasadami.

- Abbie, czy przyszło ci do głowy, że może ustawiasz te standardy za wysoko, a może zrobił to dla ciebie ktoś inny?

- Tego nie mógłby zrobić nikt z żyjących.

- To powiedz mi, dlaczego siedzisz tutaj, pięć mil od cywilizacji, i za nic nie zdejmiesz kapelusza, nawet gdyby wyrosły mu macki, nie odepniesz mankietów, choć pewnie spinki wrzynają ci się w skórę. A co najgorsze, nie chcesz rozmawiać o czymś, co sprawiło ci ból, ponieważ jakiś głupiec wmówił ci, że to nie przystoi damie. Dama nie okazuje również żalu ani gniewu, prawda? Dama po prostu nie okazuje żadnych uczuć. Zawija je w porządne, sztywne węzłki i siedzi na nich. Naturalnie, rozmowa o tym zrobiłaby z ciebie ludzką istotę, ale pewnie wolisz uważać, że jesteś ponad to. - Zdawał sobie sprawę, że ją złości, ale wiedział również, że to jedyna okazja, aby się naprawdę otworzyła.

- Nauczono mnie, mój panie, że ujawnianie swojego niezadowolenia świadczy o złych manierach i nie przystoi damie. Tego się po prostu nie robi.

- Kto tak twierdził? Twoja matka?

- Owszem, jeśli musi pan wiedzieć.

Potrafił sobie wyobrazić jej matkę.

- Najlepszą rzeczą dla ciebie byłoby, gdybyś mogła powiedzieć: „Kochałam mężczyznę o imieniu Richard, ale mnie porzucił, co przyprawia mnie o szaleństwo”.

Zacisnęła pięści, odwróciła się gwałtownie w jego stronę, oczy jej błyszczały:

- Nie ma pan prawa!

- Ja nie, ale ty masz, Abbie. Czy tego nie rozumiesz? - Wyprostował się, bardzo teraz napięty.

- Rozumiem tylko to, że nigdy nie powinnam była się zgodzić na to, by dziś tu z panem przyjechać. Znowu udało się panu tak ranie rozzłościć, że chciałabym... trzasnąć pana w tę przebrzydłą twarz!

- To byłby już drugi policzek w dniu dzisiejszym za to, że wzbudziłem w tobie jakieś uczucia. Czy odczuwanie czegoś napawa cię takim przerażeniem? Jeśli spoliczkowanie mnie ma poprawić twoje samopoczucie, dlaczego tu nie podejdziesz i nie zrobisz tego? Jak bardzo muszę cię zezłościć, żebyś się załamała? Dlaczego nie potrafisz po prostu kłąć, śmiać się czy płakać, kiedy jakiś głos wewnątrz mówi ci, że powinnaś?

- Czego pan ode mnie chce?

- Chcę tylko cię nauczyć, że to, co naturalne, nie jest zabronione.

- O, na pewno! Wymierzanie policzków, płacz... i... taka scena... jak dziś rano na bujanym fotelu! Przecież gdyby pan mógł, zrobiłby pan ze mnie ladacznice! - W jej oczach zaszklily się łzy.

- Te rzeczy wcale nie oznaczają ladacznicy, ale nie możesz tego zrozumieć z powodu wszystkich nonsensownych zasad, według których kazała ci żyć twoja matka.

- Proszę nie mieszać do tego mojej matki! Odkąd pojawił się pan w moim domu, wszystkiemu się pan sprzeciwia i wszystko krytykuje. Nie pozwolę atakować mojej matki. A pańska matka mogła, swoją drogą, nauczyć pana trochę lepszych manier!

- Abbie, posłuchaj siebie samej. Dlaczego potrafisz się złościć na mnie i obrzucać epitetami, podczas gdy naprawdę obwiniasz swoich rodziców i Richarda o to, co z tobą zrobili?

- Ostrzegłam, żeby ich pan do tego nie mieszał! To nie pańska sprawa, czym byli dla mnie! - Poderwała się na nogi z błyszczącymi oczami.

- Abbie, czemu jesteś taka wojownicza? Ponieważ powiedziałem prawdę? Przecież to ich obarczasz winą, ale uważasz, że nie powinnaś. Doc Dougherty nie musiał mi wiele mówić, że bym poskładał wszystkie kawałki w całość. Popraw mnie, jeśli się mylę. Matka nauczyła cię, że dobra córka szanuje swoich rodziców, nawet jeśli ma to oznaczać rezygnację z własnych przyjemności. Nauczyła cię, że to cnota jest czymś naturalnym, a nie cielesność, podczas gdy naprawdę jest akurat odwrotnie.

- Jak śmie pan oskarżać niewinnych ludzi, którzy chcieli jedynie mojego dobra?

- Nie mieli pojęcia, co jest dla ciebie dobre. Podejrzewam, że wiedział o tym Richard,

ale był wystarczająco sprytny, aby się zorientować, że nie wygra z etyką twojej zmarłej matki, i prysnął.

- Ach, tak, a pan pewnie wie, co jest dla mnie najlepsze?

Przyglądał jej się beznamiętnie.

- Niewykluczone.

Spojrzała na niego z pasją.

- Niewykluczone też, że rozwinię pan skrzydła i wyrwie się ze szponów prawa, kiedy jego przedstawiciele zjawią się po pana? - Wskazała palcem w kierunku miasteczka.

- Ach, teraz dochodzimy do prawdy. - Sięgnął po kule, nie odrywając od niej groźnego wzroku. - Nie możesz zrozumieć, w jaki sposób jakiś pospolity, zwykły złodziej kolejowy zna prawdę o tobie, co?

- Właśnie! - warknęła, obracając się w jego stronę z zaciśniętymi pięściami. - Pospolity, zwykły złodziej kolejowy!

- A więc pozwól, Abigail McKenzie, że ten pospolity, zwykły złodziej kolejowy powie ci prawdę o tobie, prawdę, której starasz się zaprzeczyć od chwili, gdy mnie zobaczyłaś. - Wstał i powoli zbliżał się w jej stronę. - Właśnie dlatego, że jestem wyjęty spod prawa, zboczyłaś wielokrotnie ze swojej drogi cnoty i straciłaś panowanie nad sobą. Robiłaś ze mną rzeczy, na które nigdy przedtem nie miałaś odwagi, rzuciłaś ukradkowe spojrzenie na prawdziwe życie. A wiesz, dlaczego tego spróbowałaś? Bo potem będziesz mogła oczyścić swoje sumienie, zwalając całą winę na mnie. W końcu to ja jestem ten podły, prawda?

- Mówi pan dosyć niejasno! - rzuciła, cała drżąca, bo wszak powiedział prawdę, a ta była zbyt szokująca, by mogła ją zaakceptować.

- Czy robisz to dlatego, że jestem... przestępcą, więc możesz troszkę nagiąć swoje święte zasady? - Stali teraz twarzą w twarz.

- Nie wiem, o czym pan mówi - oświadczyła urażonym tonem i odwróciła się, krzyżując ręce na piersiach.

Schwycił ją za ramię i usiłował ustawić twarzą do siebie.

- Panno Abigail Struś, wyciągnij głowę z piasku i przyznaj się! - Wyrwała się z uścisku jego ręki, ale podszedł do niej bliżej, zarzucając oskarżeniami. - Trzaskałaś drzwiami, rzucałaś nocnikiem, całowałaś mnie, wymyślałaś mi i nawet trochę się podnieciłaś erotycznie, i przekonałaś się, że to wszystko może być chwilami bardzo przyjemne. Ale wszystkie te zakazane przyjemności możesz zwalić na mnie, prawda? Bo ja tu jestem czarnym charakterem, nie ty. Ale co się stanie z tymi twoimi wielkimi złudzeniami, gdyby się okazało, że nie jestem bandytą, za jakiego mnie uważasz? - Ponownie chwycił ją za ramię. - No, mów

do mnie! Wyznaj mi te wszystkie swoje sekretne, tak dobrze strzeżone winy! Mnie możesz powiedzieć, przecież wkrótce sobie pójdę i zabiorę je z sobą!

W końcu odwróciła się do niego gwałtownym ruchem, strącając jego rękę ze swego ramienia.

- Nie mam żadnych sekretnych win! - wykrzyknęła z wściekłością.

Patrzył jej natrętnie w oczy i wykrzyknął z równą furią:

- Właśnie przez cały czas chodziło mi o to, żebyś to zrozumiała!

Zapanowała cisza. Patrzyli sobie w oczy. Panna Abigail usiłowała uświadomić sobie znaczenie jego słów, a kiedy wreszcie dotarło do niej, poraził ją fakt, że to zrozumiała. Odwróciła się.

- Abbie, przestań się ode mnie odwracać. - Jesse przysunął się do niej niezręcznie na tych swoich kulach, teraz dotknął jej ramienia znacznie delikatniej, usiłując skłonić, by z własnej woli stanęła twarzą do niego, jednak uparcie się odwracała. - Abbie, czy muszę to powiedzieć? - rzekł miękko.

Czuła, że zaraz się rozplacze.

- Nie... wiem, o co chodzi... co chcesz wiedzieć?

Jesse przemówił tak łagodnym tonem, jak nigdy dotychczas.

- Dlaczego nie zaczniesz od przyznania, że Richard był pobudliwym młodzieńcem, że wydarzyło się między wami coś, co skłoniło go do odejścia? - Umilkł na chwilę, po czym dodał jeszcze łagodniej, głaszcząc jednocześnie jej ramię: - I że nie miało to żadnego związku z twoim ojcem.

- Nie, nie... to nieprawda! Ukryła twarz w dłoniach. - Dlaczego tak mi pan dokucza?

- Ponieważ myślę, że Richard był bardzo podobny do mnie i to cię śmiertelnie przeraziło.

Odwróciła się gwałtownie i wyrznęła go swoją małą piąstką w sam środek torsu, Zachwiał się, zatoczył do tyłu, ale nie upadł.

- Nie był taki? - nalegał Jesse.

Spojrzała w jego nieubłagane oczy jak oszalała nimfa leśna, wstrząśnięta, zalana łzami.

- Proszę mnie zostawić w spokoju! - błagała żałośnie.

- Przyznaj się, Abbie! powtórzył miękko.

- Odczep się! - wykrzyknęła, szlochając otwarcie, i podniosła rękę, żeby znowu go uderzyć. Nie drgnął ani nie cofnął się, kiedy kolejne ciosy spadały na jego barki i tors. - Odczep się... Richard! - wymamrotała, ale Jesse stał nieruchomo, nawet kiedy uderzyła go w

szyję, a jej paznokcie zostawiły dwie czerwone rysy.

Nie walczył z nią, nie starał się jej powstrzymać, powiedział jedynie:

- Abbie, nie jestem Richard, jestem Jesse.

- Wiem... wiem... - Szlochała pod osłoną dłoni, zawstydzani; tym, że upadła aż tak nisko.

Objął jej drżące ramiona, przytulił głowę do twardego torsu. Łzy płynęły po jego nagiej skórze, wywołując jakieś zupełnie nie znane mu i niepokojące swędzenie pod powiekami. Jedna kula upadła na ziemię, ale Jesse złapał równowagę. Kapelusz panny Abigail przekrzywił się, wyciągnął rękę, żeby wyjąć przytrzymującą go szpilkę.

Zapytała zdławionym głosem:

- Co robisz?

- Coś, czego sama byś nic zrobiła: zdejmuję ci kapelusz. Nic więcej, zgoda? - Wbił filigranową szpilkę w słomkowy kapelusz i rzucił go za siebie na brzeg potoku, a potem znowu objął ją jedną ręką, a drugą głaskał włosy tak pruderyjnie ściągnięte za uszy.

Płakała na jego piersi, a uścisk Jesse'a przynosił znacznie większą pociechę, niż mogłaby przypuszczać w najśmielszych marzeniach. Dotknął palcem jej ucha, przytulił policzek do włosów i poczuła się dziwnie bezpieczna w jego objęciach.

Abbie, Abbie, mój maleńki koliberku, co ty ze mną wyprawiasz - pomyślał.

Pachniał inaczej niż jej ojciec - przyjemniej. Wydawał się inny niż David - silniejszy. Przypominała sobie, kim on jest, jaki jest, ale w tym momencie nie miało to znaczenia. Był obok, ciepły, rzeczywisty, a jego serce pod jej policzkiem biło mocno i pewnie. A ona tak bardzo potrzebowała porozmawiać wreszcie o wszystkim.

Kiedy przestała płakać, Jesse odchylił się do tyłu, ujął jej twarz w swoje dłonie, wytarł wilgoć spod oczu.

- Uspokój się, Abbie, lepiej usiądźmy i porozmawiajmy. Czy nie rozumiesz, że musisz to zrobić?

Skinęła bezwolnie głową, a on wziął ją za rękę i zaprowadził na brzeg strumienia; szła za nim posłusznie, wyczerpana płaczem.

W wierzbach śpiewał kos. Kiedy Abbie zaczęła mówić, jej słowom towarzyszył szmer strumienia. Jesse nie dotykał jej, pozwalał mówić, wypowiedzieć to wszystko, czego już dawno się domyślił. Widział obraz żalosego, samotnego ojca i jedyne dziecko, których matka skrzywdziła swoją wąsko pojmowaną miłością. Zimna kobieta o surowej dyscyplinie, która nauczyła córkę, że obowiązek jest ważniejszy niż pragnienia ciała. A Richard był mężczyzna, który uświadomił Abbie te pragnienia, ale nie potrafił uwolnić jej od surowych

zakazów ustanowionych przez matkę. I Abbie przez lata zasłaniała się złudzeniem, że Richard porzucił ją z powodu chorego ojca.

Jednak Jesse widział teraz, jak uwalnia się uwięziona Abbie. Obserwował, jak nad brzegiem strumienia robi się z niej łagodna, ludzka istota, pełna obaw, wątpliwości, słabości i żalu. I zdawał sobie sprawę, że tej właśnie odmienionej Abbie powinien się wystrzegać.

Kiedy zaczęli zbierać się do powrotu, atmosfera między nimi zmieniła się zasadniczo. Prysłły mity. Prawda towarzyszyła im niby dodatkowy pasażer w bryczce. Zrodziła się między nimi niepokojąca swoboda, wyrosła z głębokiego zrozumienia, znacznie groźniejsza niż wzajemne urazy cechujące ich dotychczasowe kontakty.

Abbie dowiedziała się, że Jesse potrafi być łagodny.

A Jesse dowiedział się, że Abbie potrafi być ludzka.

Jechali w milczeniu, świadomi każdego momentu, kiedy zetknęły się ich łokcie lub kolana. Pojawiły się białe ćmy, umilkł śpiew cykad. Cienie drzew robiły się coraz dłuższe, aż wreszcie znikły wraz z zejściem słońca. Liście szeptały swoje ostatnie przytłumione nieszpory. Klacz przyspieszyła kroku w drodze do domu, a jedynym dźwiękiem było jej rżenie, kiedy witała nadchodzący zmierzch, Jesse pochylił się do przodu, poczuł na swoim ramieniu rękaw Abbie, odsunął się, oparł łokcie na kolanach, w rękach luźno trzymał lejce i wpatrywał się przed siebie. Pomógł dzisiaj Abbie przełamać wiele barier, ale nadal kierowało nią poczucie przyzwoitości. Nie była jego typem kobiety. A jednak spojrzał przez ramię i zobaczył, że go obserwuje, jej oczy miały kolor wieczornego nieba, na drobnej twarzyczce widać było ślady pomieszania, a ręce, znowu w białych rękawiczkach, wydawały się niemal fioletowe w zapadającej ciemności.

Odwróciła wzrok, a potem spojrzała mu w oczy i poczuła nagły onieśmiałający ból kobiety, która wie, że pociąga ją nieodpowiedni mężczyzna. Koła bryczki kręciły się, pasażerowie patrzyli sobie w oczy, kołysali się w takt ruchu pojazdu. W końcu Abbie oderwała zaniepokojony wzrok. Pomyślała o tym, jak Jesse trzymał w ręku pistolet i zamknęła oczy, chcąc pozbyć się tego natrętnego obrazu. Znow otworzyła oczy i wpatrywała się w szerokie bary opięte niebieską bawełnianą koszulą, w czarne, kręcone włosy opadające na kołnierz, gęste baki zarastające nisko, na rękawy podwinięte wysoko nad owłosionymi przedramionami, na rozluźnione nadgarstki, długie palce dłoni. Przypomniała sobie ich dotyk i odwróciła wzrok.

Niech Bóg ma mnie w swojej opiece, bo bardzo go pragnę pomyślała.

Dojeżdżali do miasta. Jesse przełożył lejce do jednej ręki i bez słowa pozapinał

koszulę. W zapadającym zmroku poczuła, że się rumieni. Odchylił się na oparcie siedzenia, ich ramiona znowu się spotkały, a potem obok nich wyrósł znajomy płot z palików i Jesse zatrzymał bryczkę przy stopniach ganku.

Podał jej lejce. Były ciepłe od dotyku jego rąk.

- Nie zwracaj tak ostro tym razem. Nie chcę, żebyś wywróciła bryczkę - powiedział z zatroskaniem w głosie.

To spokojne napomnienie wyzwoliło w niej coś aż nazbyt przyjemnego.

Stał w mroku, obserwując, jak Abbie znowu zbyt ostro bierze zakręt koło płotu, wstrzymał oddech, aż do chwili, gdy wjeżdżała ulicą pod górę. Pokuśtykał do huśtawki w północnym narożniku ganku, żeby tam na nią poczekać. Postawił kule w kącie i huśtał się leniwie, rozglądając po ganku, tak typowym dla panny Abigail. Ganek był schludny, świeżo pomalowany, otoczony balustradą ze szpikulcami, która kończyła się w miejscu, gdzie szerokie schody prowadziły na podwórze. Na przeciwległym krańcu ganku stały dwa białe trzcinowe krzesła i taki sam stolik, na którym rozpościerała się duża paproć. Jesse huśtał się przy akompaniamencie cichego chrzęstu sznurów i myślał o Abbie.

Obserwował, jak wyszła z za rogu ulicy, niewielka i wyprostowana. Poczuł, jak jego zdrowiejące mięśnie nabierają siły, i nie miał wątpliwości, że powinien jak najprędzej opuścić to miejsce.

Trochę ją zaskoczył widok Jesse'a w mroku na huśtawce. Jedną rękę wyciągnął swobodnie na oparciu podwójnego siedzenia. Pomyślała, jak dobrze byłoby usiąść obok, oprzeć głowę na jego ramieniu i kołysać się bez słów, dopóki nie zapadnie ciemność, a Jesse nie powie: „Abbie, już pora spać”.

Ale przecież Jesse to groźny złodziej kolejowy, stała więc niepewnie na szczycie schodów. Tylko że nie wyglądał bardzo złowrogo, kiedy tak siedział niedbale na huśtawce. Liny cicho skarżyły się na jego ciężar, i przez moment wspomniała, jak czuła ten ciężar na sobie. Ogarnięta poczuciem winy, opuściła wzrok.

- Jesteś głodny ? spytała, niezdolna pomyśleć, co innego mogłaby powiedzieć.

- Trochę. - Doskonale wiedział, czego dotyczy jego głód.

- Czy wystarczy zimny kurczak z chlebem?

- Oczywiście. Czy nie moglibyśmy zjeść tutaj?

- Nie sędzę. - Rzuciła okiem na sąsiedni dom i zmieniła zdanie. - Dobrze. Przyniosę wszystko. - Zostawiła go na huśtawce, a kiedy wróciła z tacą, wyczuł, że się waha.

- Postaw to na podłodze pod nogami i usiądź tu przy mnie. Robi się ciemno, nikt nas nie zobaczy. - Ale jej wzrok powędrował w kierunku łokcia przewieszzonego niedbale przez

oparcie huśtawki i dopiero kiedy zdjął rękę, postawiła tacę i przysiadła obok niego.

Jedli niewiele, w milczeniu, świadomi nowego napięcia, jakie zrodziło się między nimi. Jedli niewiele. Panna Abigail powtarzała sobie, że powinna zanieść tacę z powrotem do domu, ale siedziała nieruchomo, jakby jej nogi obdarzone były niezależną wolą.

Jesse oparł kostkę jednej nogi na kolanie drugiej i przytrzymał ją ręką, a przy każdym ruchu huśtawki jego kolano ocierało się o spódnicę Abbie. Wzrok jej przyciągało muskularne udo, ciasno opięte materiałem spodni. Zacisnęła rękę na fałdach spódnicy, żeby nic położyć jej na łych sprawnych mięśniach, napinających się za każdym razem, gdy dotykał piętą podłogi. Niemal czuła jędrność i ciepło tego uda, wiedziała, jak przyjemnie byłoby przejechać dłonią po jego wewnętrznej stronie, wyczuć z bliska ruchy mięśni poruszających się wraz z ruchami huśtawki. Ale jedynie wpatrywała się w to udo, podczas gdy jej niesforna imaginacja wywierała dziwny wpływ na dolne partie brzucha. Poczwała tam sztywność, a niepojęte drżenie objęło najbardziej intymne części jej ciała. Siedziała, pragnąc tego męskiego uda, zachwycona teraz nawet tym, że jej suknia dotyka jego skóry.

Jesse wyciągnął leniwie rękę na oparciu huśtawki, ale nie dotknął Abbie. Serce jej załomotało, kiedy uświadomiła sobie, jak blisko jej ramienia znalazła się ta ręka.

- Chyba już pora spać - powiedział w końcu bardzo spokojnie. Puls jej walił, a krew napłynęła do policzków. A on jedynie zdjął rękę z poręczy huśtawki i sięgnął po stojące w rogu kule, podniósł się, ustawił kule i grzecznie czekał, aż Abbie przejdzie pierwsza.

Udało mu się otworzyć ochronne drzwi, wpuścił ją przed sobą do saloniku i zapytał zza jej pleców:

- Czy chcesz, żeby zamknąć wewnętrzne drzwi?

Bała się spojrzeć na niego, więc idąc w stronę kuchni, odparła:

- Nie, jest ciepła noc, zamknij tylko na zasuwkę drzwi ochronne.

Jesse poczuł się jak w domu, wchodząc z nią w ten sposób, zamykając drzwi na noc, i jaśniej niż kiedykolwiek uświadomił sobie, że pora zniknąć. Posuwał się w ciemności w kierunku kuchni.

- Gdzie są zapalniczki? - spytał.

Jej głos dobiegł spod drzwi spiżarni.

- W pudełku na ścianie, po lewej stronie pieca.

Poszukał po omacku, znalazł, zapalił zapalniczkę i unióś ją do góry. Abbie podskoczyła, widząc światło, stała w drzwiach spiżarni, przyciskając do piersi tacę, jej wielkie oczy zabłyśły. Jesse założył klosz na lampę i popatrzył na Abbie, ogarnięty pokusą, och... jak silna była ta pokusa.

Przez chwilę żadne z nich nie wiedziało, co powiedzieć.

- Ja... zaniósę te brudne talerze...

- O, tak... koniecznie - Wzruszył ramionami i rozejrzał się wokół, jakby w poszukiwaniu zguby. - Chyba, zanim się położę, wyjdę jeszcze na dwór. - Jesse zdecydowanym ruchem skierował się do drzwi, przekonany, że postępuje słusznie. Kiedy schodził po ciemnych schodach, Abbie stanęła za nim z lampą, oświetlając mu drogę. Odwrócił się i spojrzał na nią.

Obserwowała jego twarz bez uśmiechu, końce jego włosów zlewały się z ciemnością nocy. Latarnia wychwytywała niezmiernie głębokie jego oczy, jak oczy kota w promieniu bezpośredniego światła.

- Dziękuję, Abbie - rzekł spokojnie. - Dobranoc. - Ujął rękami kule i zniknął w ciemności podwórza.

Posprzątała w kuchni, a on wciąż nie wracał. Podeszła do drzwi i zaczęła wypatrywać. Pojawił się księżyc i w jego bladym świetle dostrzegła sylwetkę Jesse'a siedzącego na podwórku pod lipą. Twarz miał ukrytą w jedwabnym cieniu nocy, widziała jednak jego buty, jedno kolano uniesione i przewieszoną przez nie rękę.

- Jesse? - zawołała cicho. - Wszystko w porządku?

- Tak. Idź spać, Abbie.

Przez długi czas leżała nasłuchując, ale nie słyszała, kiedy wrócił do domu.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Następnego ranka uśmiechnięty Chudzielec Binley stał na frontowym ganku panny Abigail. Wyglądał jak latarnia z dyni na sękatym płocie, z tą swoją swoją ogromną głową., brakującymi zębami i wystającą grdyką.

- Dzień dobry, panno Abigail. Piękny ranek, piękny. Ta paczka... mmm... przyszła dla pani na stację wczorajszym pociągiem, ale nie miał jej kto przynieść, więc Max dziś rano mnie prosił.

- Dziękuję, panie Binley - odparła panna Abigail, otwierając ochronne drzwi tylko na tyle, by przeszła przez nie paczka. Sprawiała tym straszny zawód poczciwemu Chudzielcowi, który dostał od kumpli pół torebki tytoniu, żeby się dowiedzieć, co zawiera ta przesyłka, a drugie pół, żeby się przekonać, co robi w domu panny Abigail złodziej kolejowy. Kiedy jednak Chudzielec dalej uśmiechał się zza siatki ochronnych drzwi, panna Abigail dodała: - To bardzo uprzejme z pana strony, że doręczył mi pan paczkę, panie Binley.

Była jedyną osobą, która zwracała się do niego w ten sposób.

- Nie ma sprawy, panno Abigail - powiedział Chudzielec niemal uniesieniem, kiwając głową i szurając olbrzymimi stopami. Panna Abigail tymczasem zastanawiała się, czy ma go zepchnąć z ganku drzwiami jak natrętną muchę.

Kiedyś, w czasach młodości, Chudzielec kupił koszyczek panny Abigail na pikniku z okazji święta Czwartego Lipca i nigdy nie zapomniał smaku kruchego ciasta i smażonego kurczaka ani jej eleganckich manier, ani tego, jak poprosiła, żeby poprawił gonty na dachu, a potem zaprosiła go do domu na ciasto i na kawę. Ale teraz zorientował się, że ma takie same szanse dostania się do wnętrza jej domu, jak, nie przymierzając, jakiś kolejowy bandyta do wnętrza jej majątek, co przecież było tematem rozmów całego miasteczka.

- Jak się ma ten złodziej? - zapytał, unosząc sfatygowany kapelusz i drapiąc się w czoło.

- Panie Binley, nie mam kompetencji, żeby wydać medyczne orzeczenie o stanie jego zdrowia. Jeżeli chce pan przekazywać tę informację razem z tabaką w sklepie rolniczym, proponuję, żeby zapytał pan o to doktora Dougherty.

Chudzielec zebrał właśnie dość śliny i zamierzał się jej pozbyć, kiedy od frontowych drzwi dobiegło go ostrzeżenie panny Abigail:

- Proszę nie zostawiać żadnych pozostałości na moim terenie, panie Binley!

Niech mnie diabli - pomyślał poczciwy Chudzielec - jeśli mówiła o ślinie, to dlaczego, u licha, nie wyszła i nie powiedziała zwyczajnie o tym, żeby nie pluć? Może ludzie mają

rację, że czasami trochę się wywyższa. W każdym razie Chudzielec splunął porządnie, dopiero kiedy znalazł się na ulicy. Nie miał zamiaru sprzeciwić się pannie Abigail, co to, to nie. I chyba nie mylił się, myśląc, że nie uda się to żadnemu chłopu, nawet kolejowemu bandycie.

Paczka była nie oznakowana, widniał na niej jedynie stempel poczty w Denver, nazwisko panny Abigail, Stuart's Junction, Colorado. Nie rozpoznała charakteru pisma. Litery były kanciaste, duże, wprawiły jej serce w szybsze bicie. W całym swoim życiu dostała może ze trzy paczki. Bardzo dawno temu przysłała paczka z ramką do obrazków, którą zamówiła, żeby oprawić w nią cynowe płytki z fotografiami rodziców. A potem zamówiła nocnik, kiedy ojciec nie mógł już wychodzić do wygodki na podwórzu. Ta przesyłka była trzecią w jej życiu i chciała możliwie jak najdłużej cieszyć się jej tajemniczością.

Potrząsnęła paczką, wewnątrz zagrzechotało jak suche ciasteczka w puszcze. Widziała, jak Chudzielec znika na końcu ulicy, i, wiedzona impulsem, wyszła z przesyłką na huśtawkę na ganek. Jeszcze dłuższy czas się nią rozkoszowała, aż wreszcie rozwinęła ostrożnie zewnętrzne opakowanie, nie rozdzierając papieru, który zamierzała zachować i w dalszym ciągu się nim napawać. Jeszcze raz potrząsnęła pudełkiem i nawet je powąchała. Pachniało jak stronice starej książki, zapachem wysuszonego papieru. Postawiła pudełko na kolanach i przejechała zachwyconą dłonią po wieczku, huśtała się leniwie, rozkoszując się niewiadomą, podczas gdy jednocześnie rozpierała ją ciekawość. Przez jakiś czas cieszyła się na zapas i chciała zachować w pamięci to uczucie. W końcu podniosła wieczko i oddech uwiązał jej w krtani. Wewnątrz, jak dwa kawałki układanki, leżała para najpiękniejszych bucików. Był tam też złożony liścik, ale przez dłuższy czas nie wzięła do ręki ani butów, ani kartki papieru; przykryła tylko dłonią otwarte usta, wspominając twarz Davida Melchera taką, jaką widziała po raz ostatni, pełną żalu.

Wreszcie wzięła liścik w jedną rękę, a w drugą trzewiczek.

Coś takiego! pomyślała. Czerwone! Buciki są czerwone! Co ja zrobię z parą czerwonych pantofli?

Oglądała jednak wspaniałą skórę, delikatną jak płatki kwiatu gencjany, tak miękką, że przez moment zastanawiała się, w jaki sposób tak giętki materiał może utrzymać ciężar człowieka. Buciki miały dość wysoką cholewkę, delikatne sznurowadła od kostki w górę i obcasiki wklęsłe i eleganckie jak talia wróżki. Dotykając mięciutkiej skórki, nie miała wątpliwości, że to jagnięca i że trudno byłoby znaleźć pantofelki w lepszym gatunku. Davidzie - pomyślała - dziękuję ci. Przycisnęła bucik do policzka, i nagle zatęskniła za Melcherem, zapragnęła, żeby tu był. Chętnie włożyłaby te buciki i dopiero wtedy

przeczytałaby list od niego, ale nie mogła tego zrobić ze względu na sąsiadów. Może włoży je kiedyś w zaciszu własnej sypialni. Tymczasem umieściła bucik w pudełku, obok towarzysza, i zabrała się do czytania listu.

Moja droga panno Abigail,

Pozwalam sobie - nie, raczej mam honor - przesiać najwspanialszą i najnowszą parę bucików z transportu, który czekał na mnie, kiedy przybyłem do Denver. Z przyjemnością będę je sobie wyobrażał na Pani delikatnych stopach, kiedy zrywa pani nasturcję, by zanieść je do swego uroczego domu. Widzę Panią zawsze w tej scenerii i jeszcze teraz żałuję swojej popędliwości w rozmowie z Nią. Jeżeli w głębi serca potrafi mi Pani przebaczyć, proszę uwierzyć, że pragnąłem, aby sprawy przybrały inny obrót, niż przybrały w rzeczywistości.

Pozostaję uniżony i wdzięczny

David Melcher

Przed trzynastu laty zdawało jej się, że wie, co znaczy złamane serce, kiedy odtrącił ją mężczyzna, którego przyzwyczała się kochać przez całe swoje dorosłe życie. Ale teraz wydało jej się, że poczucie utraty czegoś, jeszcze zanim się to naprawdę osiągnęło, jest o wiele bardziej przykre. Poczula ukłucie w sercu na myśl, że David Melcher usycha z tęsknoty za nią - choć wydawało się to tak nieprawdopodobne, zważywszy jej wiek. Taki kulturalny mężczyzna, laki, jakiego szukała przez te wszystkie lata od chwili ucieczki Richarda. A teraz nie mogła go dosięgnąć, nie mogła powiedzieć: „Wracaj... wybaczam ci, zacznijmy od początku”. Nic nie wywnioskowała z pudełka od butów. Nie miało nazwy firmy ani oznakowania koloru czy fasonu. Nie można było się zorientować, kto jest pracodawcą Davida. Wiedziała tylko, że wspominał Filadelfię i że paczka została nadana w Denver. Ale to były duże miasta, Denver i Filadelfia, miasta, w których na pewno było wielu producentów butów, wielu domokrażców. Niemożliwe byłoby znalezienie człowieka, który nawet nie ma stałego adresu. Ale na myśl o braku miejsca stałego zamieszkania Davida przypomniały jej się słowa: Klub Elizejski.

Klub Elizejski! Filadelfia!

Tam się zatrzymywał, kiedy przyjeżdżał do Filadelfii. Serce jej biło mocno, wiedziała już bowiem, że napisze do niego liścik z podziękowaniem pod adresem Klubu Elizejskiego w Filadelfii, w nadziei, że David dostanie ten list podczas którejś z licznych podróży, a może - kto wie? - może wróci kiedyś do Stuart's Junction i złoży jej wizytę.

- Abbie? Co tam robisz? - Na progu frontowych drzwi pojawił się rozczochrany Jesse,

który dopiero wstał z łóżka, bosy, z obnażoną piersią.

W jej głosie słychać było podniecenie.

- Och, panie Cameron, niech pan popatrzy, co dostałam. Wzrok miała utkwiony w buty, których on jeszcze nie mógł zobaczyć. Przyniosła paczkę do saloniku, położyła na skraju dużego stołu, tuż obok opakowania ułożonego adresem do góry, żeby nie było wątpliwości, że buciki były dla niej.

Jesse przykuśtykał bliżej, żeby zobaczyć, o co chodzi.

- Gdzie pani to zamówiła? - zapytał, zdumiony widokiem szkarłatnych trzewików, ponieważ w żaden sposób nie potrafił sobie wyobrazić, że mogła wybrać coś podobnego.

- Ja ich nie zamówiłam. To prezent od Davida Melchera. Nagle okazało się, że Jesse musi jeszcze raz spojrzeć na buty, a kiedy to zrobił, nie wątpił, że bardzo mu się nic podobają.

- Od Davida Melchera? Coś podobnego, czy nagle nie robimy się bardzo poufali? Buciki! To szokujące, panno Abigail.

- Ja uważam, że raczej wzruszające - powiedziała, delikatnie dotykając skóry, niezupełnie świadoma tego, co robi. - Nie jest to prezent, który potrafiłby wybrać byle kto.

Jesse wyczuwał jej podniecenie, kiedy dotykała palcami skóry, sznurowadeł, języka, czubka buta; w jej ruchach była niemal rewerencja.

- Możesz, w nich iść do miasta, ilekroć będziesz chciała dostać świński pęcherz od rzeźnika - zaryzykował - albo wysłać telegram z prośbą, żeby uwolniono cię od rewolwerowca.

Była zbyt szczęśliwa, żeby zwracać uwagę na próby zdezwuowania prezentu.

- Obawiam się, że nigdzie nie będę mogła w nich pójść. Nie są... po prostu są zbyt eleganckie i wytworne na Stuart's Junction.

Jesse zmarszczył brwi. Panna Abigail niemal pieściła buciki, a na jej twarzy pojawił się wyraz uszczęśliwienia, kiedy rozwodziła się nad mistrzostwem wykonania i jakością skóry. Nigdy dotychczas nie widział jej tak rozpromienionej. Miała oczy równie niebieskie i błyszczące jak powoje, a wargi rozchyłały się w uśmiechu. Chętnie wytrąciłby jej z ręki te przeklęte, czerwone buty.

Nagle Jesse uświadomił sobie, że włosy Abbie są potargane, że ubrana jest w starą, ciemną bluzkę w kwiaty, ma rękawy podwinięte do łokci, a w talii przepasana jest trójkątem ścierki. Wyglądała jak zwykła pomoc kuchenna i robiło to piorunujące wrażenie. Złapał się na tym, że kontempluje węzeł ścierki zawiązanej we wgłębieniu nasady pleców.

- Wielkie nieba! - wykrzyknęła wesoło panna Abigail. - Spał pan tak długo, ja stoję, wpatrując się w buty, a pan pewnie umiera z głodu. Przykryła pudełko, podniosła wzrok i

zauważyła ponury grymas na jego twarzy.

Przez moment Abbie wydawało się, że Jesse urósł w ciągu nocy, ale nagle uświadomiła sobie, co stwarza takie wrażenie.

- Jak to, chodzi pan bez kul! - wykrzyknęła z radością. A potem pomyślała: ależ on jest wysoki! I natychmiast potem: ależ on jest nie ubrany! Był boso i bez koszuli, jak zwykle, miał na sobie tylko nowe spodnie. - Doktor Dougherty powiedział, że ma pan to robić stopniowo - skarciła go, by ukryć zmieszanie wywołane widokiem obnażonego torsu.

Jej troska zmniejszyła trochę rozdrażnienie, jakie odczuwał z powodu butów, jego gniew stopniał.

- Umieram z głodu. Która godzina? - Poglaskał swój umięśniony płaski brzuch i z zadowoleniem skonstatował, że Abbie odwróciła wzrok.

- Prawie południe. Spał pan bardzo długo. - Skierowała się w stronę kuchni, a Jesse poszedł za nią.

- Tęskniłaś za mną? - Obrzucił ostatnim pogardliwym spojrzeniem pudełko z butami i obserwował węzeł ścierki, który unosił się do góry przy każdym kroku Abbie. Miała naprawdę bardzo zgrabny tyłeczek.

- Nie miałam na to czasu, byłam zajęta praniem.

- A więc dlatego jesteś ubrana jak pomoc kuchenna. Muszę powiedzieć, że to bardzo korzystna odmiana.

Nagle panna Abigail poczuła onieśmienie i zaczęła opuszczać rękawy bluzki, usiłując zakryć przedramiona, a Jesse zastanawiał się, czy zostałyby w podwiniętych rękawach w obecności Davida Melchera. Ta myśl zirytowała go jeszcze bardziej.

- Brudne roboty nie znikają za pomocą różdżki czarodziejskiej - oświadczyła, znów bardzo rzeczowa, zapięła mankiety, po czym rozwiązała z tyłu węzeł ścierki. Patrzył na to z żalem i obserwował przygotowania do południowego posiłku. W kuchni nie było dowodów na to, że prała jakieś rzeczy, ale za oknem zobaczył na sznurach bieliznę pościelową, ścierki, spódnice i bluzki. Kuśtykając do wygodki, zauważył także pantalony i koszulki z dziurkami na sznurówki, ukryte jak najstaranniej za większymi, bardziej przyzwoitymi sztukami bielizny. Nigdzie nie dostrzegł gorsetu, który według jego wyobrażeń musiał powodować u Abbie chroniczną niestrawność gastryczną i emocjonalną.

Kiedy jednak wrócił do kuchni, uznał, że gorset nie może schnąć na sznurze, bo starannie krępuje pannę Abigail! Z nie wyjaśnionych powodów była znowu zła jak osa. Rzuciła się na niego, jak tylko stanął w progu.

- Prosiłam, żeby pan nie chodził nie ubrany!

- Nie ubrany? Nie jestem nie ubrany!

- Gdzie pańska koszula?

- W sypialni, na miłość boską!

- Panie Cameron, będzie pan łaskaw zapomnieć o swoim odrażającym słownictwie, dopóki nie znajdzie się pan z powrotem w towarzystwie, które potrafi je ocenić.

- Dobrze już, dobrze, co cię nagle ugryzło?

- Nic mnie nic ugryzło, po prostu... - Stała tyłem, nie dokończywszy zdania.

- Przed chwilą robiłaś cielece oczy na widok butów od pocziwego Melchera, a teraz...

- Nie robiłam cielecych oczu! - Odwróciła się gwałtownie, oczy jej błyszczały, ręce trzymała na biodrach.

- Phi! - prychnął. Opierając się o krawędź kredensu, wybijał palcami nerwowy rytm na jego blacie. - Rozpalił cię jak wiązkę chrustu dzięki tym... tym fatałaszkom! - Machnął pogardliwie ręką w kierunku pokoju.

- Wczoraj mówił mi pan, żeby pozbyć się rezerwy i zacząć czuć. Dzisiaj pomiata pan mną tylko za to, że okazałam wdzięczność.

Patrzyli na siebie w milczeniu kilka sekund, wreszcie Jesse wygłosił zupełnie absurdalne stwierdzenie.

- Ale one są czerwone!

- Co takiego? - spytała, zaskoczona.

- Powiedziałem, że są czerwone! - ryknął. - Te cholerne buty są czerwone!

- No i co z tego?

- To... że są czerwone, nic więcej. - Zaczął obchodzić kąt przy drzwiach do spiżarni, bo poczuł się głupio. - Jaka kobieta nosi czerwone buty? - warknął, zapominając, że przed chwilą zachwycał się fartuchem ze ścierki, w którym Abbie wyglądała dokładnie tak jak kobieta, która mogłaby nosić czerwone buty.

- A czy ja powiedziałam, że zamierzam je nosić?

- Nie musiałaś tego mówić. Wystarczyło spojrzeć na wyraz twojej twarzy.

Wskazała ręką drzwi na podwórze.

- Podczas gdy ja usiłuję zachować jakieś pozory przyzwoitości, pan kuśtyka do wygodki goły jak dzikus, a potem ma czelność besztać mnie za to, że chciałabym chodzić w czerwonych butach!

- Panno Abigail, wyjaśnijmy sprawę do końca! Nie wścieka się pani z tego powodu, że wychodzę na dwór bez butów i bez koszuli. Wścieka się pani dlatego, że przyłapałam panią, wpatrującą się cielecym wzrokiem w straszne pantofle!

- A pan się nie wścieka dlatego, że buty są czerwone, tylko dlatego, że przysłał je David Melcher!

- David Melcher! - prychnął, zdumiony, niemal prosto w ucho Abbie, która szła właśnie do spiżarni. - Nie rozśmieszaj mnie! Jeśli sądzisz, że jestem zazdrosny o podobnego mięczaka... Akurat w tym momencie panna Abigail obróciła się i nadepnęła mu na bosy palec u nogi. - Au! - jęknął, ale ona nawet nie zwolniła kroku ani nie przeprosiła.

- Gdyby był pan przyzwoicie ubrany, nikt by na pana nie nadepnął. - Z brzękiem stawiała na stół jakieś naczynia.

- Akurat! Zrobiłaś to naumyślnie!

- Niewykluczone. - Wydawała się bardzo zadowolona.

Przyciskał palec do łydki drugiej nogi.

- Zupełnie bez powodu! Tym razem nic nie zrobiłem!

Jednak ona odwróciła się błyskawicznie i z oburzeniem wskazała ręką na podwórze.

- Nic, mówi pan? Jak pan śmie spacerować po moim podwórku w takim stroju i wpatrywać się w moją bieliznę na oczach całego miasteczka?!

Podniósł brwi, a na jego ustach pojawił się uśmiech, wąsy uniosły się lekko, zanim uśmiech zagościł w przekornych oczach. Jesse wreszcie zaczął się śmiać, coraz głośniej i głośniej, aż opadł, wyczerpany, na krzesło.

- Och, pan... pan... niechże pan zamilknie! Chce pan, żeby usłyszało całe miasto? - Opadła na krzesło naprzeciwko i dopuściła się wielkiego wykroczenia wobec etykiety właściwej pannie Abigail McKenzie, ponieważ włożyła sobie na talerz jedzenie, nie czekając na niego. Tłukła łyżką o talerz, nakładając kartofle, podczas gdy on obserwował ją z kpiącym wyrazem twarzy. Wreszcie pchnęła miskę w jego stronę i warknęła: - Niech pan je!

Nałożył sobie na talerz, chichocząc przy tym bez przerwy, tak że miała ochotę kopnąć go w chorą nogę. Wreszcie oparł się łokciem na rogu stołu, wychylił do przodu i wyszeptał głośno:

- A więc mam mówić szeptem? W ten sposób sąsiedzi nie usłyszą. - Nawet nie odrywając wzroku od talerza widziała tuż przy swoim policzku te przebrzydłe wąsiki. - Abbie, wiesz, czego szukałem na podwórku? Gorsetów. Chciałem zobaczyć, ile sznurówek będę musiał pokonać, zanim dostanę się do skóry.

Upuściła z brzękiem nóż i widelce, zerwała się z krzesła jak wyrzucona z katapulty, ale zdążył ją schwycić za spódnicę.

- Proszę mnie puścić! Szarpnęła się, ale on chwycił mocniej i przyciągnął ją z powrotem pomiędzy swoje rozstawione nogi, podczas gdy ona bezskutecznie wymachiwała

rękami.

- Abbie, ile masz jeszcze warstw pod spodem? - przekomarzał się, usiłując objąć ją w talii i posadzić sobie na kolanach. Szarpała się. uderzała rękami, chcąc uwolnić spódnice, ale ściągał ją jak żagiel i przez cały czas chichotał.

- Wynos się! krzyknęła, kiedy przyciągnął ją bliżej do siebie. Wyrwała się energicznie, jedną ręką odpychała się od jego ramienia, a drugą usiłowała wyszarpnąć spódnice.

Miał złośliwy uśmieszek, piekielnie silne ramiona i ciężko dyszał prosto w jej ucho.

- Abbie, czy nosisz te wszystkie spódniczki? No, chodź, sprawdzimy. - W tym momencie była już tylko płatanina ramion, rąk, łokci, halek i kolan. On zwyciężał, a ona walczyła. On zdobywał, a ona się miotła. Unikał niecelnych ciosów, uchylając się zręcznie do tyłu, podczas gdy ona gwałtownie traciła grunt.

- Ty maniak! - wrzasnęła, odrywając jego dłonie od swego nadgarstka.

- Daj spokój. Ab, przestań się przekomarzać. - Znowu uchwycił jej przegub, tym razem mocniej.

- Ja...! Puść mnie! - zapiszczała. Ale w jakiś sposób udało mu się ją obrócić twarzą do siebie. Przyciągnął ją do swego krocza, dotykała udem jego genitaliów, opadła na silny tors. Ale raz jeszcze zdołała się wyrwać, wykonała pół obrotu, zanim schwycił ją za biodra i znowu wprowadził do portu.

- Jak na takiego koliberka, to masz dużo siły - wysapał. Na dowód tego znów o mało się nie wyrwała. Jednak złapał ją mocno w talii i bezceremonialnie posadził sobie na kolanach. - Oj! - jęknął z holu, kiedy uderzyła całym ciężarem w ranną nogę, ale nie zwolnił uścisku.

- Dobrze! - warknęła. - Mam nadzieję, że zabolalo. Zabierz ręce! Zostaw moje guziki!

Trzymał ją od tyłu, przyciskał jedną ręką talię, a drugą sięgał do guzików pod szyją. Udało mu się rozpiąć jeden, podczas gdy Abbie usiłowała odepchnąć jego rękę, która zaczęła się ślizgać w kierunku piersi.

- Abbie, daj spokój, nie zrobię ci krzywdy. - Te zmagania wydawały się go bawić i dalej walczył z bluzką.

- A ja zrobię ci każdą krzywdę, jaka tylko będzie w mojej mocy - przysięgła, jak komar grożący nosorożcowi. - Ostrzegam pana! - Wojowała dzielnie, już zaczynało jej brakować tchu, ale trzymał ją tak mocno, że miała ograniczone pole działania.

- Boże, jakże mi się podobasz w tej wypłowiałej bluzce - wysapał i jakoś udało mu się odpiąć kolejny guzik, podczas gdy Abbie starała się unieruchomić mu obydwie ręce.

- Ty przebrzydły opryszku... mam nadzieję... że cię powieszają!

- Jeśli mają mnie powiesić... daj mi... przynajmniej ostatnie słodkie wspomnienie. -
Teraz trzymał już jedną pierś, Abbie wyrywała się z taką siłą, że Jesse musiał zręcznie uchylać się przed ciosami szalejącego łokcia.

- Abbie, bądź grzeczną dziewczynką, obróć się tak, żebym mógł do ciebie sięgnąć. -
Czarne wąsiki zbliżały się do jej ust, ona tymczasem schwyciła kępkę jego włosów i odciągała je z całej siły.

- Oj! - jęknął. Ciągnęła mocniej i nagle niespodziewanie ją puścił. Ześlizgnęła się bezwolnie w dół i wylądowała na kolanach z ustami powyżej jego pępka. Ale łokciem trafiła dokładnie w miejsce, gdzie dostał postrzał, stracił więc dech i zeszywniał. Wyrzucił ręce, jakby ukrzyżowała go na krześle. Z jego jęków wywnioskowała, że walka dobiegła końca.

Wygramoliła się spomiędzy jego kolan, zapięła guziki bluzki, a on nadal miał zamknięte oczy, powieki mu drgały. Otworzył usta, końcem języka przeciągał po równych zębach, wreszcie wciągnął głośno powietrze, wzniosł oczy, ale głowę wciąż miał zwieszoną do tyłu. Dotknął włosów na skroni, zaczął je masować, czemu panna Abigail przyglądała się drżąca i czujna. Wreszcie z jękiem powrócił powoli do pozycji siedzącej. W kuchni panowała nieprzyjemna cisza, kiedy Jesse oparł łokcie po obu stronach talerza i wpatrywał się weń tak, jakby tymczasem jedzenie się przemieściło. Panna Abigail usiadła na swoim krześle z rękami na podołku, po czym wyjęła nóż wbity pod dziwnym kątem w puree ziemniaczane. Wytarła go o brzeg własnego talerza, odłożyła bardzo starannie i dalej żadne z nich nie wypowiedziało słowa. Wzięła do ust kęs jedzenia, ale miała wrażenie, że staje jej w gardle. Jesse podniósł głowę i patrzył w głąb domu, ponad nią, aż na frontowe drzwi. Nie miało sensu udawanie apetytu, więc wytarła usta, złożyła serwetkę i położyła na stole, jakby w oczekiwaniu na karę.

Jesse wiedział już teraz, dlaczego to zrobił. Nawet nie zdziwił się szczególnie, kiedy uświadomił sobie, że jest zazdrosny, zaskoczyło go tylko, że jest zazdrosny o tego typu kobietę. Nigdy nie udało mu się wzbudzić w niej szczerzej radości, a taki właśnie efekt bez trudu wywołała para butów od Melchera.

Abbie szurnęła krzesłem w tym samym momencie, w którym zdecydował się przemówić.

- Abbie, myślę...

- Co? - zatrzymała się z talerzem w ręku.

Wyglądał przez frontowe drzwi, nie ufając sobie, że potrafi patrzeć na nią.

- Myślę, że powinienem się stąd wynieść, zanim zrobimy sobie nawzajem krzywdę.

Spojrzała na trzymany w ręku talerz i nagle pożałowała, że sprawiła mu ból.

- Tak - rzekła łagodnie. - Chyba tak będzie lepiej.

- Czy mogłabyś przynieść mi kule z sypialni? - poprosił bardzo grzecznie.

- Oczywiście - odparła równie uprzejmie i poszła po kule. Chciała go przeprosić, ale sądziła, że on powinien to zrobić pierwszy. To on zaczął. W milczeniu podała mu kule.

- Dziękuję - powiedział, znowu zbyt uprzejmie. Wstał i pokuśtykał w stronę sypialni, wyraźnie oszczędzając prawą nogę. z, głębokim westchnieniem opadł na łóżko.

Abbie długo spoglądała na podwórze nic nie widzącym wzrokiem. Wreszcie westchnęła i zabrała się do sprzątanania kuchni, polem wślizgnęła się po schodach do swego pokoju, żeby zdjąć bluzkę w kwiatki.

Rzuciła się w rozpacz na skraj łóżka i ukryła twarz w dłoniach. Czuła tak wielkie pomieszanie. Nic nie wydawało się proste, odkąd ci dwaj mężczyźni wkroczyli w jej życie. Nie mogła już zapierać się tego, że Jesse ją pociąga. Chwilami potrafił być tak ciepły i pełen współczucia. Jak wczoraj, kiedy powiedziała mu o tym, o czym nie mówiła nikomu. I zaczęła mu ufać, tylko po to, żeby powtórzył to, co zrobił przed chwilą. Dlaczego nie był taki jak David? David, o wiele bardziej podobny do niej, David dżentelmen, który dzielił z nią ten sam system wartości, David, który tak słodko pocałował ją na schodach, który jednak nigdy nie ośmieliłby się próbować czegoś takiego, jak Jesse przed chwilą na tym krześle w kuchni. Ale na myśl o tym poczuła to dawne, zakazane uniesienie, którego nie mogła uciszyć. Dlaczego nie potrafiła się oprzeć tym ciemnym, złowieszczym urokom, które wciągały ją wciąż od nowa w pajęczynę Jesse'a?

Usiłowała wyobrazić sobie ojca traktującego w ten sposób matkę, ale było to niemożliwe. Matka opuściłaby dom! A jednak Abbie zaczęła się teraz zastanawiać, dlaczego jej rodzice nigdy się nie dotykali ani nie całowali. Zawsze zakładała, że ta ich uprzejma obojętność to sposób, w jaki traktują się wszystkie dobrze wychowane pary.

Abbie przyciskała ręce do rozpalonej twarzy, wspominając słowa matki, że wszyscy mężczyźni to bestie. Przypomniła sobie, jak Richard dobrał się kiedyś do niej w stajni pocztowej i jak wymierzyła mu policzek. Przypomniła sobie, jak Jesse zmagął się z nią na tym krześle, i tamtą noc na łóżku, kiedy wodził językiem po jej piersiach i brzuchu. W upale sypialni zadrzała, upewniając się, że zarówno tamtej nocy, jak i dzisiaj w kuchni odczuwała jedynie strach, nic więcej. Bo wszystko inne byłoby grzeszne.

Zerwała się gwałtownie, przebrała odpowiednio i zdecydowała, że musi jednak przeprosić Jesse'a za to, iż sprawiła mu ból. Zejdzie więc na dół zrobić lemoniadę, która powinna zastąpić słowa w przypadku, gdyby nie mogła się zmusić do wypowiedzenia czegokolwiek.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Panna Abigail miała właśnie nalewać lemoniadę, kiedy rozległo się pukanie do frontowych drzwi. Na ganku stał śniady, nienagannie ubrany mężczyzna, w wieku około czterdziestu pięciu lat. Wszystko, od butów aż do nakrycia głowy, było czyste i eleganckie. Uchylił kapelusza wypielegnowaną dłonią i skłonił się lekko, podtrzymując pod pachą paczkę.

- Dzień dobry. Panna Abigail McKenzie?

- Tak.

- Powiedziano mi w miasteczku, że pan DuFrayne jest tutaj.

- DuFrayne? - powtórzyła, zmieszana.

- Jesse DuFrayne - wyjaśnił.

Zaskoczyło ją to. Jesse DuFrayne. Jesse DuFrayne. W jakiś sposób brzmienie tego nazwiska skojarzyło jej się ze stukotem kół pociągu. Pomyślała jednak, że nie może się tak nazywać Jesse, którego zna. Wyposażenie go w prawdziwe nazwisko znaczyłoby przydawanie mu nie usprawiedliwionej ważności.

- Czy on jest tutaj, panno McKenzie?

Głos nieznanego wyrwał ją z zamyślenia.

- Och, przepraszam, panie...?

- Hudson. James Hudson z Kolei Gór Skalistych. Jak się już pani pewno domyśliła, panno McKenzie, łączy nas zainteresowanie Jesse'em DuFrayne.

A więc - pomyślała - Jesse DuFrayne jest jednak złodziejem kolejowym, prawda? To był moment, na jaki czekała - zemsta należała do niej, tylko że jakoś utraciła smak.

- Proszę wejść, panie Hudson - powiedziała, otwierając drzwi ochronne i zapraszając go gestem do wnętrza. - Sądzę, że człowiek, którego pan szuka, jest tutaj. Odmówił mi podania...

Ale w tym momencie dobiegł ich głos z sypialni:

- Halo, to pan, doktorze? Proszę wejść.

Na twarzy pana Hudsonu pojawił się uśmiech, wykonał gwałtowny ruch w kierunku sypialni, ale zatrzymał się - zniecierpliwiony, lecz pomny na dobre maniery, zapytał:

- Czy mogę?

Skinęła głową i wskazała drzwi sypialni.

- Jest tam.

James Hudson nie ukrywał, że chciałby jak najprędzej znaleźć się w sypialni.

Sześcioma czy siedmioma krokami pokonał przestrzeń saloniku i rozległy się dwa głosy.

- Jesse, na miłość boską, jak się tu znalazłeś?

- Jim! Jak się cieszę!

Abbie podeszła nieśmiało do drzwi. Jesse akurat się golił, ale nawet spod mydlin nie ulegało wątpliwości, że absolutnie nie boi się Jima Hudsona, a raczej jest zachwycony jego widokiem. Ku ogromnemu zdziwieniu panny Abigail dwaj mężczyźni padli sobie w ramiona i czule poklepywali się po plecach.

- Niech to diabli, ale przyjemnie cię widzieć! - wykrzyknął DuFrayne, cofając się o krok.

- Mogę powiedzieć dokładnie to samo. Na kolei rozeszła się pogłoska, że zostałeś postrzelony. Co się stało? Jakaś zabłąkana kula musnęła twoje wąsy? Wyglądają na poszarpane.

Pokój wypełniły dźwięki spontanicznego, nieposkromionego śmiechu DuFrayne'a, kiedy spojrzął w lusterko, które trzymał w ręku.

- Wolałbym, żeby zabłąkana kula nie wyrządziła innych szkód.

- Tak? A w co jeszcze trafiła?

- W prawą nogę, ale już jest dobrze dzięki obecnej tu panie Abigail. Wywlekli mnie z wagonu i upchnęli tutaj. Od tej pory panna Abigail jest na mnie skazana.

- Panno McKenzie, jak mamy pani dziękować? - Jim Hudson, jakby odpowiadając na własne pytanie, podszedł do niej z paczuszką, którą przyniósł. Pod opakowaniem wyraźnie rysował się kształt butelki. - Proszę przyjąć ten drobiazg z moimi najserdeczniejszymi podziękowaniami.

Panna Abigail czuła się bardzo zmieszana, ruchem automatu wyciągnęła rękę po prezent, kompletnie zaskoczona całą sytuacją, ale Hudson ponownie odwrócił się w stronę DuFrayne'a.

- Jesse, co się stało? Martwiliśmy się jak cholera. Nie zjawileś się, chłopcy w Rockwell znaleźli w pociągu twój ekwipunek, ale ciebie nie było! A potem ktoś ze stacji w Stuart's Junction nadał telegraficzny opis rzekomego złodzieja, którego wyciągnięto tam z pociągu: kruczoczarne wąsy i wzrost olbrzyma. No, powiedziałem sobie, jeśli to nie Jesse, to zjem swój kapelusz, który kosztował piętnaście dolarów.

Jesse znowu roześmiał się i zapadł na łóżko, na którym zastał go Hudson.

- No więc możesz wyjść stąd w tym swoim kapeluszu, bo ze mną wszystko w porządku. - Rzucił zaniepokojone spojrzenie na Abbie. - Dzisiaj trochę mnie boli noga, więc postanowiłem ogolić się na siedząco.

- Opowiesz, co się wydarzyło, czy przez cały dzień zamierzasz mnie trzymać w niewiedzy?

- Nie, nie cały dzień, jeszcze tylko chwilę. Ta piana zaczyna schnąć i trochę szczypie. Pozwolisz, że najpierw skończę golenie?

- Oczywiście.

- Chodź tutaj, Abbie. Nie stój w drzwiach. Jim, to jest Abbie. Przez trzy tygodnie czyniła cuda, żeby utrzymać mnie przy życiu. Gdyby nie ona, już byłbym pożywieniem dla kruków. Panno Abigail McKenzie, przedstawiam pani Jima Hudsona.

- Poznaliśmy się z panem Hudsonem na progu. Może zechce pan usiąść, panie Hudson? - zaprosiła, podsuwając bujany fotel. - zostawię panów samych.

- Abbie. poczekaj chwilę. - Jesse znowu trzymał brzytwę i lusterko, ale nie bardzo mógł sobie poradzić. - Czy mogłabyś potrzymać to cholerne lustro, żebym skończył się golić?

- Wypowiedział tę prośbę tak przyjaźnie, że zapomniała poczuć się dotknięta i wzięła do ręki lusterko.

Obserwując ich obydwój, Jim Hudson pomyślał, że ta domowa scena zupełnie nie jest w stylu jego przyjaciela Jesse'a, i zaczął się zastanawiać, co zaszło tutaj w ciągu ostatnich kilku tygodni.

- Jesse, co się, do licha, stało z twoimi wąsami? Wygląda na to, że próbowałeś na nich brzytwy. Nie sądziłem, że dożyję tego dnia.

Oczy Jesse'a i Abbie na sekundę spotkały się ponad lusterkiem, zanim odpowiedział:

- Ja też nie. Chciałem po prostu się przekonać, jak będę wyglądał z gołą twarzą. I chyba się domyślasz, co pomyślałem. Wystarczył jeden dzień bez wąsów i zacząłem je zapuszczać w możliwie najszybszym tempie, Abbie leż uważa, że lepiej wyglądam z wąsami.

Poczuła, że twarz jej oblewa się rumieńcem; dobrze, że stała plecami do Jima Hudsona. Jesse wytarł twarz, a potem jego rozbawiony wzrok znowu na moment spotkał się z jej wzrokiem. Poczuła głębokie zaniepokojenie na myśl o tym, jak odmiennie traktował ją w obecności osób trzecich; zawsze z szacunkiem, ukrywając wszelkie ślady jej wykroczeń, biorąc całą winę na siebie. Co to za człowiek? - zastanawiała się, a jego wzrok tymczasem powędrował gdzie indziej.

Jesse po skończeniu golenia pozostał na łóżku i rozmawiał z Jimem.

- Jesse, co się stało z twoją ręką?

- Trochę jej się dostało w tym pociągu.

- Chyba już dość długo czekałem. Opowiadaj, co się tam wydarzyło.

- Niewiele jest do powiedzenia. Cholernie głupia pomyłka. Jechałem do Rockwell, jak

wiesz... - Kiedy Jesse opowiadał o incydencie w pociągu, Abbie pochyliła się, by pozbierać z łóżka przybory do golenia. W tym momencie Jesse bezwiednie położył rękę poniżej jej talii i klepnął ją lekko, kiedy się wyprostowała. Abbie wyszła z pokoju. Jim Hudson z zainteresowaniem obserwował tę scenę. Ten bezwiedny gest był równie intymny jak pieszczota, ponieważ Jesse ani na chwilę nie przestał mówić i dla Jima nie ulegało wątpliwości, że w ogóle nieświadom był faktu, iż dotknął tej kobiety. Hudsonowi udało się nie zdradzić zaskoczenia. Panna McKenzie nie była w typie Jesse'a. Hudsonowi wystarczyło trzydzieści sekund przy drzwiach wejściowych, żeby się o tym przekonać. Obserwował, jak wychodziła z pokoju, zaintrygowany tym, co zobaczył przed chwilą.

Jesse nieświadom był tego, co zrobił, za to Abbie była w pełni świadoma jego gestu. Miejsce, którego dotknął dłonią, wydawało się płonąć. Nigdy w życiu żaden mężczyzna nie położył ręki na ciele Abigail McKenzie w sposób tak zdawkowy. W niczym nie przypominało to żadnej z dotychczasowych sytuacji, kiedy Jesse DuFrayne jej dotykał, czasami przekornym, czasami śmiałym, czasami pełnym złości gestem, ale zawsze z jakiegoś powodu. Ale tym razem było zupełnie inaczej. Był to ten rodzaj kontaktu, o jakim myślała, wspominając rodziców, kontaktu, jakiego nigdy między nimi nie zaobserwowała. Bezceremonialność tego gestu wprawiła jej serce w szybsze bicie.

Przez cały czas, kiedy przygotowywała w kuchni dodatkową lemoniadę, myślała o jednym: Jesse DuFrayne właśnie dotknął mojego poślądka w obecności przyjaciela...

A tymczasem w sypialni Jim Hudson mówił:

- Słuchaj, Jesse, załatwimy to wszystko błyskawicznie. Wiesz, że nie ma żadnych problemów ze strony kolei. - Roześmiał się, potrząsnął głową i kontynuował: - Do diabła, wiemy przecież, że nie okradałeś pociągu. Ale ten Melcher strasznie się awanturuje. Gotów nas skarżyć o jak największą sumę z powodu trwałego kalectwa.

- Jak myślisz, ile dostanie?

- Jutro się dowiemy... W samo południe mam umówione zebranie tutaj w miasteczku i postaramy się to załatwić od ręki. Niewątpliwie zjawi się Melcher, a ja będę reprezentował kolej, więc nie musisz przychodzić, jeśli nie chcesz, a jeśli miałbyś przyjść, to oczywiście jedynie w przypadku, gdybyś się czuł na siłach. Melcher na pewno będzie ze swoim prawnikiem. Najlepiej byłoby załatwić tę sprawę bez zbytejnego rozgłosu, nie sądzisz?.

- Jak najbardziej. Ale dalej wściekam się na myśl, ile ten nędznik może dostać, po prostu wysuwając oskarżenie pod adresem kolei. Po dwóch dniach wstał i poszedł sobie, a ja leżę tutaj z dziurą postrzałowa wielkości gęsiego jaja!

- I tylko tą raną powinieneś się teraz zajmować. Mnie zostaw stronę prawną. Do

diabła! Wszyscy bardziej się przejmują twoim zdrowiem niż tym, ile Melcher może zażądać. Zresztą na pewno się okaże, że głośniej krzyczy, niż działa. Ale co z tobą? Jak się goi ta noga?

- Jest jeszcze cholernie sztywna, podobnie jak ręka, ale nawet gdyby ten strzał skierował mnie tylko w objęcia doktora Dougherty - lokalnego medyka - nie mógłbym trafić lepiej. Abbie zna leki, o których doktorowi się nawet nie śniło. Pierwszego dnia on mnie zoperował, ale później to ona utrzymała mnie przy życiu.

- Coś mi się przypomniało - wtrącił Hudson. - Czy dostała wiadomość od nas, że wynagrodzimy ją za opiekę nad tobą i Melcherem?

- Dostała. Słuchaj, Jim... - Jesse zniżył głos, chociaż do tej pory nie rozmawiali zbyt głośno. - Postaraj się, żeby dostała dużo. Zachowywałem się wobec niej jak prawdziwy sukinsyn.

Panna Abigail usłyszała w kuchni wybuch śmiechu, choć nie dosłyszała, co go spowodowało.

- Domyślam się, że ta dama zrobiła na tobie wrażenie? - spytał spokojnie Jim Hudson, unosząc brew.

- Czy widziałeś kiedyś damę, która nie zrobiłaby na mnie wrażenia?

- Do diabła, Jesse, nie sądzę, żebym kiedykolwiek dotychczas widział ciebie w towarzystwie damy.

Słysząc było, że obydwaj są w doskonałych humorach.

- Muszę przyznać, że dla mnie jest ona osobą dość dziwną, ale nie było mi tu źle, chociaż w jej oczach jestem złodziejem kolejowym, człowiekiem bezczeszczącym kobiety, kłamcą i najczarniejszym z czarnych charakterów. I że wszystkich sił stara się mnie poprawić. Godzę się na to, bo lubię jej kuchnię - wodniste rosółki, oślizgłe jajka i śmiertelnie trującą wątróbkę. - Jesse wybuchnął śmiechem na samo wspomnienie.

- Wygląda na to, że uosabia to wszystko, czego zawsze unikałeś, Jesse. Jest przyzwoitą kobietą. A może tego właśnie ci potrzeba?

- Jamesie Hudsonie, cwaniaczku, najbardziej potrzeba mi pociągu, który mnie stąd wywiezie. Im prędzej, tym lepiej. Przyjdę na to jutrzejsze zebranie bez względu na to, czy Doc mi pozwoli, czy nie. Kiedy wszedłeś, myślałem, że to on. Ma mi dać zgodę na wyjazd, bo tak można by to ująć. Chociaż już bardzo dobrze się poruszam o kulach.

- Jesse, nie spiesz się zbytnio. Będę musiał się pewnie zobaczyć z tym doktorem. Jemu też jesteś coś winien?

- Tak, i rachunek dalej rośnie, ale wiedziałem, że zjawisz się tu w pewnej chwili i

popłacisz moje długi.

Hudson roześmiał się.

- Słuchaj, chłopaki w Rockwell nie wiedzą, co zrobić z twoim ekwipunkiem.

- A ekwipunek w porządku?

- Nietknięty, mogę cię zapewnić. Schowali wszystko do szopy.

- Do szopy! Te gamonie potłuką mi wszystkie klisze! Chciałbym to stamtąd zabrać.

Nie jedziesz do Rockwell?

- Nie. Po jutrzejszym zebraniu wracam do Denver. Czy wiesz, że burmistrzowie wszystkich górniczych miasteczek w całym stanie błagają o doprowadzenie bocznic kolejowej, żeby mogli wywozić swoją rudę? Nie możemy nadażyć z budową linii, więc zdrowiej jak najprędzej.

- Ufam, że zrobisz wszystko jak należy, Jim. Tylko poinformuj mnie o tym, co się dzieje, bo mam już zupełnie dosyć próżnowania. Jak tylko Doc mi pozwoli, wynoszę się stąd z powrotem na kolej.; Ale zanim to się stanie, chciałbym mieć pewność, że mój ekwipunek jest bezpieczny.

- Mogę polecić, żeby Stoker przywiózł ci wszystko pociągiem dostawczym - zaproponował Hudson ze znaczącym uśmiechem.

- Na Boga, nie! Tylko nie Stoker! - Obydwaj się roześmieli. - Dobrze sobie radzi ze stalą i drewnem, ale gdybym miał wysłać moją aparaturę lokomotywą Stokera, mógłbym ją równie dobrze zepchnąć ze zbocza góry. Na razie niech wszystko zostanie tam, gdzie jest. Może coś wymyślę. Może nawet jutro wyjadę stąd razem z tobą. Kto wie?

- No, odpoczywaj, chłopcze. Muszę jeszcze zobaczyć się z doktorem Dougherty. a jak już tu jestem, wstąpię na stację, by dowiedzieć się, czy nic ma żadnych skarg na tę nową bocznicę. Chyba już pójdę, [Jesse](#). W każdym razie zobaczę cię na pewno przed wyjazdem z miasta.

Kiedy Hudson szykował się do wyjścia, na progu pojawiła się panna Abigail z tacą.

- Czy mogę pana poczęstować szklanką lemoniady, panie Hudson?

- Panno McKenzie, chyba już narobiliśmy pani dosyć kłopotów. To ja powinienem pani coś ofiarować, zanim wyjdę. Ile jestem winien za opiekę nad tymi dwoma?

Bez względu na to, jak często przypominała Jesse'owi, że zajmuje się nim tylko dla pieniędzy, teraz, kiedy ofiarowano jej zapłatę, poczuła się zmieszana.

Jesse domyślił się, że nie bardzo wie, jak zareagować na pytanie Jima, że niechętnie przelicza na dolary to, co zrobiła. Pieniądze, podobnie jak wiele innych spraw, to nie był temat, nad którym powinna dyskutować dama.

- Jim, zapłać pani przyzwoitą cenę.

- DuFrayne, na ile cenisz swoją skórę?

Obydwaj mężczyźni wymienili porozumiewawcze i rozbawione spojrzenia, zanim Jesse odpowiedział:

- Nie wiem, ile warta jest moja skóra, ale szklanka lemoniady panny Abigail na pewno warta jest tysiąc dolarów.

- W takim razie muszę przed wyjściem spróbować tej lemoniady - zdecydował Jim Hudson, uśmiechając się do Abbie.

- Należę panu - zaproponowała. Ich kpiąca postawa wprawiała ją w zakłopotanie. - Gdzie chciałby pan wypić lemoniadę, panie Hudson?

- A może na frontowym ganku, panno McKenzie? Czy dotrzyma mi pani towarzystwa?

Dlaczego spojrzała ukradkiem na Jesse'a, zanim odpowiedziała, jakby potrzebowała jego przyzwolenia, by wypić lemoniadę w towarzystwie innego mężczyzny?

- Śmiało, Abbie, należy się pani odpoczynek - zachęcił, zauważywszy rumieniec na jej policzkach. - Jim, ty łobuzie, cholernie dziękuję, żeś przyjechał!

Hudson podszedł do łóżka i uściśnił sobie ręce.

- Zwijaj się stąd i wracaj na szlak, słyszysz? I nie sprawiaj pani więcej kłopotów. To rozkaz!

- Wynoś się stąd, zanim ta lemoniada wyparuje od upału. A kiedy już obydwójce wyszli z pokoju, zawołał za nimi: - Jim, zachowuj się przyzwoicie na ganku! Panna Abigail jest kobietą wyjątkowej przyzwoitości!

Wczesnym popołudniem północny kraniec ganku panny Abigail znajdował się w chłodnym cieniu. Hudson zauważył tam drewnianą huśtawkę, ale skierował pannę Abigail gestem ręki w przeciwległy koniec, gdzie stały wiklinowe krzesła. W całym jego zachowaniu widać nienaganne maniery - pomyślała - nawet w tym, że wybrał raczej osobno stojące krzesła w palącym słońcu niż podwójną huśtawkę w zachęcającym cieniu. Stał, czekając, aż usiądzie. Zauważyła, jak pociągnął nad kolanem spodnie zaprasowane w piękny kant, zanim zajął krzeselko naprzeciwko.

- Rozumiem, że Jesse nie był wzorowym pacjentem - zaczął.

- Był bardzo ciężko ranny, panie Hudson, miał niewielkie szanse przeżycia. W takiej sytuacji trudno być wzorowym pacjentem. - Wypowiedziawszy te słowa, nie miała pojęcia, dlaczego wzięła Jesse'a w obronę, tak samo jak on ją przed chwilą.

- Mam wrażenie, panno McKenzie, że nie mówi pani wszystkiego, ale ja dobrze go

znam. Zarobiła pani każdego centa, który pani zapłacimy. Obawiam się, że Jesse niezbyt wdzięcznie poddaje się troskliwej opiece. W swoim żywiole jest za to wspaniałym człowiekiem, jednym z najlepszych.

- A co jest jego żywiołem, panie Hudson?

- Kolej, oczywiście.

- A więc rzeczywiście pracuje dla linii kolejowej?

- Tak, i wykonuje wspaniałą pracę.

Słyszając to, panna Abigail zmartwiała. A więc to prawda! Z najwyższym trudem powstrzymała się od zasłonięcia ręką ust.

- Pańska lojalność przynosi mu zaszczyt, panie Hudson, wydaje się pan bowiem człowiekiem godnym szacunku. - Pod wpływem jego nienagannej elegancji, uprzejmości i oczywistego podziwu dla Jesse'a DuFrayne poczuła się przytłoczona nagłą zmianą statusu swego podopiecznego.

- Panno McKenzie, ludzie w rozmaity sposób zasługują sobie na szacunek. Jeśli ja cieszę się szacunkiem, to na pewno z innych powodów niż on. Może mi pani wierzyć na słowo, że Jesse DuFrayne to prawdziwy klejnot i nie ma człowieka w Kolei Gór Skalistych, który nie byłby tego zdania.

- A co on takiego robi, żeby zasłużyć na ten respekt? - Zastanawiała się czy Hudson zauważył, jak bardzo drży szklanka w jej ręku.

- Słyszę w pani głosie powątpiewanie, panno McKenzie, i podejrzewam, że niewiele dostarczył powodów, by mogła pani dostrzec w nim coś dobrego. Wyrzuciłbym mu niedźwiedzią przysługę, wyliczając jego osiągnięcia. Uwierzy w nie pani tylko wtedy, jeśli sama się o nich przekona. Gdyby kiedykolwiek nadarzyła się pani okazja obejrzenia jego fotografii, proszę je starannie przestudiować. Zobaczycie pani więcej niż tylko obrazki w kolorze sepilii... zobaczycie pani, co jest drogie jego sercu.

Śmieszne, ale nigdy dotychczas nie przyszło jej do głowy, że Jesse w ogóle ma serce.

- Zrobię to, panie Hudson, jeśli kiedykolwiek zobaczę te fotografie. - On jest fotografem - myślała, a krew pulsowała jej w skroniach. - Naprawdę jest fotografem!

- Jess miał rację - oznajmił Jim Hudson, odstawiając pustą szklankę na wiklinowy stolik. - W taki dzień jak dziś szklanka tej lemoniady jest warta tysiąc dolarów.

- Cieszę się, że panu smakowała.

- Jeśli będzie pani potrzebowała czegokolwiek, dopóki on jest tutaj, wystarczy jedno słowo.

- Bardzo panu dziękuje.

- Do widzenia, panno McKenzie. I proszę się nim opiekować.

Ta, najwyraźniej ze szczerzej troski płynąca, uwaga dopełniła jeszcze pomieszania i tak już poplątanych odczuć panny Abigail.

Sądziła, że Jim Hudson zjawił się u niej, by wymierzyć sprawiedliwość, a tymczasem oczyścił zupełnie człowieka, którego ona nieustannie nazywała złodziejem. Obserwując nogawki spodni Jima Hudsona maszerującego po pełnej kurzu ulicy, od nowa poczuła się wstrząśnięta rewelacjami na temat Jesse'a Camerona DuFrayne.

Nie mogła jednak w nieskończoność stać na ganku. Musiała wejść do domu i spotkać się z nim. Ale co mogła powiedzieć? Wydawało się, że oddycha z trudnością, czuła, że krew napływa jej aż do czubka głowy, a puls bije coraz mocniej, w miarę ogarniających ją wspomnień o tym, jak to niezliczoną ilość razy urągała mu, ponieważ był kolejowym złodziejem. Usiłowała jakoś nad sobą zapanować, ale poczuła się nagle niesłychanie kobieca i bardzo zagrożona. Jak dobrze musiał się on bawić przez ten cały czas - pomyślała. - A co myśli teraz?

Otworzyła bezszelestnie drzwi, zatrzymała się przy stojaku na parasole, żeby spojrzeć do lustra, ale ręka jej zawisła w połowie drogi do włosów. Na półeczce leżał prostokątny kawałek papieru. Zawahała się, jakby pod wpływem ostrzeżenia, zanim w końcu wzięła ten papier do ręki.

Po chwili głośno zaczerpnęła powietrza.

Był to czek z wypisaną na górze dużymi literami nazwą płatnika: KOLEJ GÓR SKALISTYCH, DENVER, COLORADO. Czek na tysiąc dolarów wystawiony był na nazwisko panny Abigail McKenzie!

Zaczęło ją ścisnąć w żołądku, a czek drżał w dłoni. Spojrzała przez drzwi sypialni, bardziej niż kiedykolwiek przerażona koniecznością spotkania z Jesse'em.

Tysiąc dolarów! Jak to, przecież żeby zarobić taką sumę, musiałaby co najmniej przez dwa lata obsługiwać stoły u Louisa Culpeppera. Kim był ten Jesse DuFrayne, że kolej płaciła podobne pieniądze za opiekę nad nim? Kompletnie zaskoczona, wpatrywała się w czek ze świadomością, że nie zapracowała nawet na czwartą część tej sumy. Przypomniała sobie znaczące spojrzenia, jakie wymienili Jesse i Jim Hudson przy słowach: „Szklanka lemoniady panny Abigail na pewno warta jest tysiąc dolarów”. Zupełnie już nie wiedziała, co o tym wszystkim myśleć; przełknęła podchodzący do gardła węzeł.

- Abbie, czy Jim poszedł?

- Tak, panie... - Ale jak ma go teraz nazywać? Nie potrafiła jeszcze powiązać go z nowym nazwiskiem, a już nie kojarzył się ze starym. Wszystko uległo tak gwałtownej

zmianie. Spojrzała do lustra, zobaczyła swoją zarumienioną twarz, papier w dłoni, niepewność w oczach i stała jak wmurowana, nie mając najmniejszego pojęcia, jak się zachować w obecności tego człowieka w sypialni. Miał prawdziwe nazwisko i szacowną pracę, a także bardzo godnego przyjaciela, a do tego całą linię kolejową pełną zwolenników, którzy najwyraźniej darzyli go niezwykłym szacunkiem.

Ale to wszystko wydawało się mniej istotne wobec faktu, że kolej gotowa była tak dobrze zapłacić za opiekę nad nim w chorobie.

Jak powinna się zachować?

Tak długo nazywała go panem Cameronem albo złodziejem kolejowym, że trudno było nagle zmienić swoją o nim opinię, która jak teraz przyznawała - opierała się głównie na założeniu, że winien jest zarzucanych mu czynów. A ileż razy sam sugerował, iż jest wyjęty spod prawa? Jak to, przecież dopiero wczoraj oświadczył, że nie ma znaczenia, czy opowie mu o sobie i... Richardzie, bo przecież on niedługo już tu pozostanie. Teraz zrozumiała, że igrał z nią, sugerując, że zgłosi się po niego wymiar sprawiedliwości, choć cały czas wiedział, że będzie to Jim Hudson.

Z uczuciem przynębienia przypominała sobie wszystkie inne sytuacje - utarczki, pocałunki, celowanie w siebie z pistoletu, wzajemne dokuczania i awantury. Czy mówił prawdę? Czy ona rzeczywiście zatraciła poczucie przyzwoitości w przekonaniu, że to on, złodziej kolejowy, ponosi za wszystko odpowiedzialność jako człowiek i tak niemoralny?

Tylko że wcale nie był złodziejem.

Nagle jednak odzyskała rozsądek i doszła do wniosku, że nie ma powodu traktować go inaczej niż przed wizytą Jima Hudsona. Nie mógł być nagle oczyszczony ze wszystkiego, na co ją naraził! Trzymała jednak w ręku czek na tysiąc dolarów i choćby nie wiem jak temu zaprzeczała, to jednak w jakiś sposób go oczyszczało.

Z mocno bijącym sercem weszła do pokoju i zastała Jesse'a siedzącego na ławeczce w wykuszowym oknie. Był bardzo męski w obcisłych dżinsach i nie dopiętej koszuli. Na żółtozielonym tle kwiecistych poduszek i zasłon wyglądał na bardzo opalonego. Patrzył na Jima Hudsona podążającego do miasta i nie wiedział, że Abbie go obserwuje. Z trudem przełknęła ślinę, wyglądał bowiem tak przystojnie i niewinnie, co wcale nie odpowiadało jej pragnieniom. Opuścił zasłonę, podrapał się po obnażonym torsie, a ona nie mogła oderwać wzroku od szczupłych palców. Wreszcie chrząknęła głośno.

Podniósł głowę, zaskoczony.

- Och, pewnie nie powinienem był tu siadać, co? - Wykonał taki ruch, jakby zamierzał wstać.

- Nie, niech się pan nie rusza. Między oknami jest chłodniej. Usadowił się z powrotem.

- Niech pani wejdzie. Może już teraz się pani nie boi. - Ale z jego oczu i głosu znikł kpiący wyraz, nagle zapragnęła, żeby tamten nastrój wrócił i uwolnił ją od tej dziwnej fascynacji.

- Ja... dalej się boję - przyznała. Ale żadne z nich się nie uśmiechnęło. - Mam na końcu języka: „Dlaczego mi pan nie powiedział”, tylko że wydaje się to głupie, bo przecież pan to mówił.

Okazał się do tego stopnia wspaniałomyślny, że nie podjął tematu, i teraz pragnęła jedynie, by to zrobił. Byłoby to znacznie łatwiejsze niż ta pełna napięcia powaga. Powiedział tylko:

- Też bym się chętnie napił lemoniady. Czy mogłaby mi pani przynieść?

- Oczywiście. W końcu teraz to już zapłacone. - Poczula na sobie jego wzrok i drżały jej ręce, kiedy nalewała napój. Kim jesteś?! - krzyczała w duchu. - Dlaczego...? Zbijala ją z tropu zmiana, jaką wyczuwała w nim od wyjścia Jima Hudsona. Podziękował za lemoniadę, wypił łyk, pochylił się do przodu, oparł łokcie na kolanach i wpatrywał się w nią w milczeniu.

- Zanim powiem cokolwiek innego - zaczęła nerwowo - chciałabym wyjaśnić ponad wszelką wątpliwość, że dzisiaj w kuchni nie sprawiłam panu bólu naumyślnie... a mówię to teraz bez żadnego związku z tym, czy utrzymuje się pan z napadania na pociągi, czy nie.

- Miło to wiedzieć. Naturalnie, wierzę pani. Abbie, jest pani wyjątkowo uczciwą osobą. - Jego wzrok zdawał się przenikać do głębi jej duszy.

- A pan?

- Abbie, na miłość boską, niech pani usiądzie... w tym bujanym fotelu, żebyśmy mogli z panią porozmawiać. - Po chwili wahania usiadła, ale nadal nie opuszczało jej napięcie. - Wszystko, co kiedykolwiek powiedziałem pani o sobie, jest prawdą. Nigdy pani nie okłamałem.

- Jim Hudson jest tym przyjacielem, o którym pan mówił? To z nim wyjechał pan z Nowego Orleanu w wieku dwudziestu lat?

Skinął głową i spojrzał w okno, na nowo poruszony bliskością tej kobiety, wbrew swoim życzeniom.

- Robi bardzo przyjemne wrażenie - przyznała, wpatrując się w swoją szklankę, po czym dodała wyjątkowo spokojnie: - I jest bardzo bogaty.

Zwrócił na nią spojrzenie swych ciemnych oczu z orzechowymi plamkami, ale nic nie powiedział.

- W żaden sposób nie mogę przyjąć tysiąca dolarów. To o wiele za dużo.

- Wydaje się, że Jim tak nie myśli. - Oczy ich spotkały się.

- Odniosłam wrażenie, że nie tylko Jim o tym decydował.

- Tak? - Miał obojętny wyraz twarzy. Podniósł do ust szklanę, jakby ta sprawa nie miała dla niego żadnego znaczenia. Przylapała się na tym, że wpatruje się w jego pełne wargi na brzegu naczynia, w jego czarne wąsy, które pogładził palcem wskazującym, kiedy już odstawił napój.

- Kim pan jest? - spytała, bo nie mogła się już dłużej powstrzymać.

- Jesse DuFrayne, do usług szanownej pani - odparł, unosząc szklanę, jakby wznosił toast na jej cześć.

- Doskonale pan wie, że nie to miałam na myśli.

- Wiem. - Teraz prowadzi dokładne studia nad lemoniadą.

- Nie chciałbym jednak, żeby zmieniała pani swój stosunek do mnie, co mogłoby się zdarzyć, gdybym nagle stał się dla pani kimś realnym.

Wciągnęła głęboko powietrze, .

- Jest pan dla mnie kimś realnym, o czym pan także doskonale wie, więc równie dobrze mogę poznać całą prawdę.

Wciąż wpatrywał się bardzo intensywnie w szklanę, obracając ją tak, że wirujący płyn osadzał na ściankach kawałeczki cytryny.

- Nie chcę być dla pani kimś realnym. - Jego niepokojące oczy rzucały jej wyzwanie, kiedy wreszcie podniósł wzrok i spojrzał na nią. - Zresztą i tak już pani wie, kim jestem. Jestem fotografem, tak jak mówiłem.

- Zatrudnionym przez Jamesa Hudsona?

Pociągnął duży łyk, patrząc na nią sponad brzegu szklanki, opuścił wzrok, przełknął i powiedział:

- Tak.

- Dlaczego kolej miałaby tak się panem opiekować, jeśli byłby pan jedynie utrwalaczem obrazków?

- Pewnie podoba im się rezultat mojej pracy.

- Niewątpliwie. Bardzo bym chciała również go zobaczyć, jeśli pan pozwoli. Pana fotografie muszą być rzeczywiście niezwykle.

- Nic podobnego. Są bardzo plastyczne, a jedyna ich niezwykłość może polegać na tym, że przedstawiają życie na budowie kolei tak, jak ono rzeczywiście wygląda.

- Tamtego wieczoru mówił pan inaczej. Po raz pierwszy uśmiechnął się kątem ust.

- Och... to pewnie jedyny raz, kiedy troszkę panią okłamałem. Ale będzie pani mogła sama ocenić, jeśli je zobaczy.

- A zobaczę? - ośmieliła się zapytać, czując serce podchodzące do gardła.

- Trudno powiedzieć. Jutro pozałatwiamy z Jimem jakieś nie dokończone sprawy w miasteczku. - Oparł opaloną rękę na framudze okna i patrzył na drogę. - A potem wyjadę.

Nie, jeszcze nie! - krzyczały jej myśli. Już ogarniało ją uczucie pustki, zupełnie nieuzasadnione, zważywszy, ile razy marzyła o tym, żeby wyjechał.

Nie odrywając wzroku od ulicy, dodał:

- Jeśli kiedykolwiek nadarzy się okazja, wpadnę tu i pokażę pani moje fotografie, na pewno.

Uświadomiła sobie ze smutkiem, że to nigdy nie nastąpi.

- Czy naprawdę czuje się pan tak dobrze, by podróżować?

- Przecież chce pani się mnie pozbyć, prawda?

- Owszem - skłamała, po czym dodała zgodnie z prawdą: - Ale nie chcę, żeby pan sobie przez to zaszkodził.

Spojrzał na nią, a wyraz jego oczu złagodniał.

- Abbie, niech się pani o mnie nie troszczy. Już dosyć się pani o mnie namartwiła.

- Ale zapłacił mi pan za to zbyt dużo - oświadczyła. Zauważył, jak sztywno siedzi na bujanym fotelu, ściskając w rękach szklankę, jakby czuła przed nim śmiertelny strach. Przypuszczał, że domyśla się prawdy o nim, ale łatwiej mu będzie wyjechać, nie przekonawszy się o tym do końca.

- Zapłaciła pani kolej, nie Jim czy ja - sprostował z całym przekonaniem.

- Wiem. Chciałam jedynie powiedzieć, że to za dużo.

- Ile pani zdaniem warte jest moje życie? - zapytał tylko po to, żeby usłyszeć, co odpowie; bo wiedział już teraz, jak ważne było to, by go ceniła.

Wodziła wzrokiem po pokoju, wreszcie utkwiała oczy w szklance.

- Więcej niż szklanka lemoniady... - Ale wreszcie straciła kontrolę nad sobą. - Och, nie mam pojęcia - westchnęła i oparła czoło na rękę.

- Ile pani zdaniem to wszystko było warte - to wszystko, co „musiała pani zrobić, żeby ocalić moje życie? Nigdy się do końca nie dowiedziałem naprawdę, co pani zrobiła. Części dowiedziałem się tej nocy, kiedy miałem panią... - Jego wzrok powędrował w stronę łóżka, potem nagle spojrzał za okno. Do diabła, ta kobieta ma dziwny wpływ na niego! Patrząc niewidzącym wzrokiem na letnie popołudnie za oknem, powiedział, wyraźnie poruszony: - Abbie, cholernie mi przykro z powodu tego wszystkiego.

Uniosła głowę, obserwując jego profil. Widziała, jak przełykał ślinę, grdyka uniosła się i opadła. Zdawał się zaintrygowany podwórzem za oknem, ale nie miała nic przeciwko temu, bo twarz jej płonęła, a usta i oczy zdawały się nagle wypełnione solą.

- Mnie... też bardzo przykro, panie D... DuFrayne - wydukała.

Jesse opierał dłoń na framudze okna, obrócił głowę i spojrzał na nią sponad swoich bicepsów, których dotykał wargami. I wtedy po raz ostatni powiedział spokojnie, spoza tego opalonego ramienia:

- Jesse... na imię mam Jesse. - Bardzo chciał usłyszeć to imię z jej ust teraz, kiedy już wiedziała, że nie jest przestępcą.

Podniosła wzrok na jego twarz, szukając na niej śladów rozbawienia, ale znalazła jedynie owo spokojne napięcie, które przyprawiało ją o utratę panowania nad sobą. To imię wisiało w powietrzu między nimi. chciała wypowiedzieć je niby echo, ale gdyby to zrobiła, oboje byliby zgubieni, i w tym przejmującym momencie zdawali sobie z tego sprawę. Powiodła wzrokiem wzdłuż jego muskularnej ręki, zatrzymała oczy w miejscu, gdzie musiały znajdować się jego usta. Spoza ramienia połyskiwały ciemne wąsy. Teraz trzeba było wielkiej spostrzegawczości, by poznać, że wąsy dopiero niedawno odrosły. Pan Hudson musiał bardzo dobrze znać tego człowieka, żeby to zauważyć. Czy równie dobrze znał te wszystkie wewnętrzne przymioty, do których robił aluzję? - zastanawiała się Abbie.

Kiedy przed kilkoma minutami obserwowała Jesse'a od progu, nie uległo wątpliwości, że odprowadza wzrokiem przyjaciela powracającego do bujnego, twardego życia na budowie kolei, które było ich wspólnym losem przez tyle lat. Nie miała żadnego prawa życzyć sobie, by jeszcze nie odchodził.

Cisza przedłużała się i stawała coraz bardziej napięta, ale w końcu Jesse zdjął rękę z framugi i rozejrzał się po pokoju, jakby oglądał go starannie po raz ostatni.

- Abbie, chciałbym podziękować za możliwość korzystania z pani pokoju. Jest bardzo ładny. Pokój prawdziwej damy. Myślę, że z przyjemnością znowu pani w nim zamieszka.

- Nie było mi niewygodnie na górze - powiedziała bezmyślnie.

- W nocy musi tam być znacznie goręcej niż tu na dole. Przykro mi, że panią stąd wypędziłem. - Spojrzał na owalną, podwójną ramkę na zdjęciu. Wziął ją do ręki. - Czy to pani rodzice?

- Tak - odparła, patrząc, jak smukły, opalony palec puka w ramkę.

- Nie jest pani podobna do niej. Bardziej do niego.

- Ludzie zawsze mówili, że wyglądam jak ojciec, a zachowuję się jak matka. - Wypowiedziała to, zanim zdążyła się zorientować, co mówi.

W pokoju zaległa cisza. Jesse chrząknął, wpatrywał się w zdjęcie, podrzucił je na dłoni raz czy dwa, aż zawisło w jego palcach zapomniane, podczas gdy on zaczął mówić, wpatrując się w podłogę między stopami. Ton jego głosu wydawał się bardziej emocjonalny niż kiedykolwiek.

- Abbie, proszę zapomnieć, co powiedziałem o pani matce. Co, do diabła, to znaczy... przecież nawet jej nie znałem.

Popatrzyła na zdjęcie w tak dobrze znajomej dłoni. Poczowała ucisk w gardle i łzy pod powiekami.

- Owszem, znał pan... myślę, że znał ją pan lepiej niż ja.

Podniósł zdziwiony wzrok, powolnym ruchem zdjął łokcie z kolan, zdawał się zbliżać do niej, choć nawet się nie ruszył ze skraju ławeczki pod oknem. Przez zapierającą dech sekundę myślała, że to zrobi. Widziała toczącą się w nim walkę, kiedy siedział pełen niezdecydowania. I wtedy wymówił to imię, które wypowiadał tak wiele razy, kiedy się z nią drażnił, ale teraz wypowiedział je z tłumionym uczuciem.

- Abbie?

Wypowiedział to w taki sposób, że chciałaby utrwalić to słowo w czymś, co można by zamknąć w medalionie i nosić na szyi albo włożyć między kartki książki z sonetami. Powinna była mu zwrócić uwagę, ale dni, kiedy go besztala, wydawały się częścią mglistej i odległej przeszłości, ponieważ w czasie tej konwersacji upłynęło wiele lat świetlnych. Teraz, kiedy wymawiał jej imię, kiedy jego ciemne, niespokojne oczy zdawały się rzucać pytania, które lepiej pozostawiać bez odpowiedzi, kiedy czarne wąsy nie unosiły się w uśmiechu, błagała go w milczeniu, żeby nie robił wrażenia kogoś, kto leż cierpi.

- Abbie? - powtórzył równie miękko jak poprzednio, tak cudownie i niepokojąco. Przebiegł ja dreszcz i przerwała czar, który w ogóle nie powinien był zaistnieć.

- Panie DuFrayne, muszę panu podać jeszcze co najmniej dwa posiłki, a w domu nie ma nic, co choćby przypomina mięso. Lepiej pójdę do miasta, zanim rzeźnik zamknie sklep. Co chciałby pan na kolację?

Wpatrywał się w nią, ale, na szczęście, powoli, niepostrzeżenie wrócił do dawnego kpiącego nastroju:

- Od kiedy to zadaje pani sobie trud, żeby mnie pytać?

- Od maślanki - odpowiedziała, pamiętając dokładnie, kiedy to nastąpiło.

Roześmiał się pogodnie, uradowany jej towarzystwem, co tak często mu się zdarzało. Musiał przyznać, że była ładniutka, w tym wysokim wykrochmalonym kołnierzyku i zaczesanymi do tyłu włosami. Ona z kolei zachwycała się jego smagłą urodą i szerokością na

pól obnażonego torsu.

- A, prawda, maślanka - przypomniał sobie, kręcąc z rozbawieniem głową. Oboje uświadomili sobie, że sprawa z maślanką to był przełomowy moment.

- No więc co na kolację? - spytała.

Przez chwilę patrzył z uśmiechem w jej czarodziejskie oczy. Przeniósł mimowolnie wzrok na jej piersi i znowu na twarz.

- Pozwolę pani dokonać wyboru - powiedział, zupełnie nie jak Jesse. do którego przywykła.

- Bardzo dobrze - odparowała, zupełnie jak panna Abigail, do której przywykł.

Kiedy wstała, kolana wydawały się jej dziwnie miękkie, jakby przebiegła długi dystans. I znowu uciekała, choć jej kroki były równie powolne i zdecydowane jak zawsze. Uciekała od uśmiechniętych oczu Jesse'a... do stojaka na parasole, gdzie uzbroidła się w ozdobiony stokrotkami kapelusz i parę rękawiczek naznaczonych smugami brudu od powożenia bryczką i czerpania wody ze strumienia.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Miasteczko huczało od nowin. Panna Abigail nie miała co do tego wątpliwości. Czują oczy wpatrujące się w nią zza każdego okna na ulicy. Szła jednak dumnie wyprostowana, wkroczyła do sklepu mięsnego, jakby była nieświadoma podążających za nią pełnych ciekawości spojrzeń.

- Ależ to panna Abigail! - Gabe Porter od razu przeszedł do sedna sprawy. - I co pani powie na to, że ten mężczyzna u pani w domu to wcale nie złodziej? Czy to nie dobre? Całe miasto mówi o tym facecie z kolei, który dzisiaj przyjechał popłacić długi pani pacjenta. Wygląda na to, żeśmy się co do niego pomylili i że on rzeczywiście pracuje na kolei. I co pani na to?

- Panie Porter. nie bardzo mnie to interesuje. To, kim jest, nie ma żadnego wpływu na to, jak się czuje. Nie wyzdrowiał jeszcze zupełnie i zostanie pod moją opieką przez kolejny dzień, zanim będzie gotów opuścić Stuart's Junction.

- To znaczy, że będzie go pani trzymała u siebie, nawet jeśli on już nie musi u pani zostać?

Oczy panny Abigail rzucały płomienie wystarczające do podgotowania mięsa wiszącego na olbrzymich stalowych hakach na ścianie sklepu Gabe'a.

- Panie Porter, do czego dokładnie pan zmierza? Że byłam z nim bezpieczna tak długo, jak długo był przestępcą, ale już nie jestem, skoro okazał się fotografem?

Gabe Porter niewiele z tego zrozumiał.

- Dlaczego, panno Abigail, przecież nic nie chciałem powiedzieć. Po prostu obawa o położenie samotnej panienki.

Nie mógł dotknąć jej boleśniej, nawet gdyby zaciął ją głęboko swoim tasakiem do mięsa, jednak na twarzy panny Abigail nie pokazał się żaden ślad bólu, jaki zadały jego słowa.

- Lepiej by się pan zatroszczył o moje położenie, panie Porter, gdyby pan uciął dwa grube befsztyki wołowe - zarządziła. - Nic tak nie przywraca sił osłabionemu człowiekowi jak mięso. Winni mu jesteśmy parę kawałków ciemnego mięsa, skoro utracił tyle krwi w tym niefortunnym incydencie, nie sądzi pan?

Gabe wykonał polecenie, przypominając sobie cały czas, jak to Chudzielec Binley powiedział, że Gem Perkins mówił, iż pannę Abigail widziano w bryczce z tym fotografem w drodze w góry, a mały Rob Nelson widział tego człowieka pętającego się po podwórku za domem panny Abigail, zupełnie rozebranego, tylko w spodniach od pizamy. I wygląda na to,

że zaczął jej przysyłać prezenty ekspresem kolejowym z Denver. Musiał to być prezent od niego. Do diabła, przecież ona nie zna w Denver nikogo innego!

Ale jeśli Gabe Porter czuł niezwykle podniecenie całą tą sytuacją, to największy szok był jeszcze przed nim. W drodze do domu dowiedział się, że panna Abigail, wracając do siebie, wstąpiła do banku i zdeponowała czek na ni mniej, ni więcej tylko tysiąc dolarów, wysławiony przez Kolej Gór Skalistych, dla której, o czym już wiedziało całe miasto, ten człowiek z jej domu robił fotografie.

Wychodząc zza rogu między dwoma budynkami, panna Abigail z konsternacją dostrzegła, że Jesse znowu czeka na nią na huśtawce na ganku. Opanowała odruchową chęć rozejrzenia się po ulicy, czy ktoś go nie widział. No, ale przynajmniej był w koszuli - pomyślała, a kiedy podeszła bliżej, stwierdziła, że koszula jest niemal przyzwoicie pozapinana. Jednak wchodząc na schody, zobaczyła, że miał bose stopy i jedną nogę położył na siedzeniu huśtawki, przez co ta przeważała na jedną stronę.

- Hej! - powitał ją. - I na co się pani zdecydowała?

Przypomniawszy sobie wytrzeszczone oczy Blaire'a Simmonsa W chwili, gdy wsunęła w okienko czek zaledwie pięć minut temu, Odpowiedziała:

- Zatrzymałam.

- Co? - spytał, zdezorientowany.

- Zatrzymałam - powtórzyła. - Zdeponowałam w banku. Dziękuję.

Roześmiał się i pokręcił głową.

- Nie to miałem na myśli. Chodziło mi o to, co pani kupiła na kolację.

Tysiąc dolarów zdawało się nie robić na nim żadnego wrażenia. Jakby zupełnie już o tym nie myślał, jakby uznał, że te pieniądze jej się należały.

- Befszytk. - Była zadowolona, że zbagatelizował sprawę tysiąca dolarów.

- Psiakrew, to brzmi zachęcająco! - wykrzyknął, klepiąc się po brzuchu.

Panna Abigail uświadomiła sobie nagle, że nie może karcić go za prymitywny sposób wyrażania się, a jeszcze trudniej przychodzi jej powstrzymanie się od uśmiechu.

- Jest pan niepoprawny. Obawiam się, że gdyby został pan tu dłużej, przestałabym w ogóle zwracać uwagę na pański brak okrzesań.

- Gdybym został dłużej, musiałyby pani albo mnie nawrócić, albo zaakceptować. Panno Abigail, jestem, jaki jestem, a befszytk brzmi cholernie interesująco.

- Nie jestem pewna, czy uwierzyłabym panu, panie Camer... panie DuFrayne, gdyby wyraził pan to w inny sposób. - Uśmiechała się pogodnie, co oczarowało go bez reszty.

Znowu łatwo było paplać z nim beztrąsko. Wiedziała, że w ten sposób mogą

bezpiecznie przetrwać nadchodzący wieczór. I właśnie w tym momencie Jesse opuścił nogę na ziemię, oparł smukłe, ciemne dłonie na brzegu huśtawki i z tym swoim typowym, tak dobrze jej znanym, uśmiechem powiedział:

- Kobieto, idź usmażyć befsztyk!

Po tym wszystkim, co mieli za sobą, ta uwaga naprawdę nie powinna była wywołać rumieńca na jej twarzy.

Słońce zaszło za góry, kiedy smażyły się befsztyki, a na frontowym ganku zapanował chłód. Jesse DuFrayne siedział, przysłuchując się głosom dzieci bawiących się w berka. Chwilami udawało się z ogólnego hałasu wyodrębnić fragmenty dziecięcych sporów: „Nie, nie zrobił!” „Tak, zrobił”. „Nic podobnego”. Na ganek dochodził także zapach smażonego mięsa, brzęk sztućców, a czasami dźwięk uderzonego czymś szkła. Jesse wstał leniwie i pokuśtykał do wnętrza. Zobaczył pannę Abigail wychodzącą ze spiżarni ze stertą talerzy, szklanek i filiżanek. Naczynia obciągały bluzkę, uwypuklając biust, patrzył z zachwytem na ten widok, a kiedy podniósł wzrok, zorientował się, że panna Abigail przyłapała go na tym. Uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

- Mógłbym w czymś pomóc? - spytał.

Wieczór niespodzianek - pomyślała. Ale podała mu stertę naczyń. Kiedy zbliżał się do kuchennego stołu, zaskoczyła go słowami:

- Nie, nie tutaj. Proszę to zanieść do jadalni. Już od dawna nie używam tamtego stołu. Pomyślałam, że dzisiaj moglibyśmy tam zjeść.

- A więc będzie to coś w rodzaju pożegnalnego przyjęcia?

- Tak.

- Co tylko rozkażesz, Abbie. - Ruszył w stronę jadalni.

- Chwileczkę. Wyciągnę obrus.

- O? Więc to aż taka okazja?

Wyjęła nieskalany, wykrochmalony obrus i spytała:

- Czy może pan zdjąć te świeczniki?

- Oczywiście. - Zdjął ze stołu świeczniki, a ona tymczasem podrzuciła obrus do góry: wydał się jak balon i opadł na stół, układając dokładnie pośrodku.

- Psiakrew, to najdziwniejsza rzecz, jaką widziałem!

- Co? spytała, nachylając się nad stołem, by wygładzić i tak już idealnie gładką powierzchnię obrusa.

- No, gdybym ja tak spróbował, ta cała płachta poleciałaby pewno w przeciwnym

kierunku i jeszcze mnie pociągnęłyby za sobą.

Przekrzywił głowę i dalej trzymając stos naczyń, obserwował zgrabne pośladki pochylonej nad brzegiem stołu panny Abigail, która wygładzała ręką nie istniejące zmarszczki.

- Skończy pan nakrywać czy będzie pan tak stał całą noc?

- Chciałbym jeszcze raz popatrzeć, jak pani to robi.

- Co?

- Jak pani zarzuca ten obrus, a on ląduje dokładnie w żądanym miejscu. Golów jestem się założyć, że drugi raz to się pani nie uda.

- Pan ma niedobrze w głowic. Jeśli nie odstawi pan tych talerzy, to golów pan mi wytłuc resztę zastawy.

- O co się zakładamy?

- Teraz, jeszcze na domiar wszystkiego chce pan zrobić ze mnie hazardzistkę?

- Abbie, daj spokój. Co stawiasz? Chodzi tylko o jeden rzut obrusem.

- Już naprawdę dosyć z panem przeszłam. - Uśmiechnęła się przyjaźnie.

- Ja postawię jeden portret fotograficzny, a pani jeden dobry posiłek domowy. - zaproponował z myślą o tym, że dostarczy mu to wiarygodnego pretekstu, by ponownie pojawić się w Stuart's Junction.

Abigail McKenzie sama nie bardzo wiedziała, co ją podkusiło, ale w następnej chwili zdjęła ze stołu obrus i zamachnęła się nim pod czujnym okiem Jesse'a. Oczywiście, tym razem obrus wylądował krzywo... to samo stało się następnym razem, tylko że teraz już obydwójce zaśmiewali się jak szaleni, chociaż nie było to aż tak zabawne!

Pobrzękiwały talerze oparte o tors Jesse'a, który pogodnie przekomarzał się z panną Abigail.

- A nie mówiłem, że już nigdy nie uda się pani zrobić tego jednym rzutem? Wygrałem!

- To nie ma znaczenia, bo za pierwszym razem mi się udało. Zresztą teraz już powstały wiry powietrzne, więc to nie był dobry start. Ale w ogóle co ja tu robię, wymachując obrusem jak głupia?

- Niech mnie diabli porwą, jeśli wiem - zażartował i wreszcie postawił stos naczyń.

A panna Abigail po raz pierwszy w życiu pomyślała: niech i mnie diabli porwą, jeśli wiem!

- Lepiej pójde do kuchni przewrócić te befsztyki.

Za chwilę poszedł za nią do kuchni, niosąc szklanki o szerokim dnie, które mu dała

poprzednio.

- Hej, skoro jest to bankiet, to może weźmiemy odpowiednie kieliszki i wypijemy szampana, który przyniósł Jim?

- Szampana?

- Zajrzałem do torby, jak pani nie było. Stary poczciwy Jim przyniósł pani szampana. W samą porę na moje pożegnalne przyjęcie. Co pani powie na to, żebyśmy go otworzyli?

- Ja, niestety, nie pijam alkoholu i nie sądzę, żeby pan... - Ale teraz sytuacja była inna. On był porządnym człowiekiem. - Jeśli pan chce, może się pan napić szampana.

- Odzie są kieliszki?

- - Nie mam odpowiednich kieliszków.

- Nie szkodzi, w końcu jest to bez znaczenia. - Wrócił do jadalni, żeby postawić na stole szklanki.

Ostrzem noża otworzył butelkę na podwórzu za domem. Panna Abigail nie wątpiła, że całe cholerne miasteczko słyszało, jak strzelił korek - chociaż niewielu jego mieszkańców potrafiłoby rozpoznać ten dźwięk.

- Wszystko gotowe? - spytał Jesse.

Panna Abigail zdjęła fartuch i szła przed nim do jadalni, niosąc befsztyki i jarzyny na dużym półmisku w kolorze kości słoniowej.

Jedynie oświetlenie w jadalni stanowiły świece.

- Niech pan przyniesie lampę - rzuciła przez ramię. - Robi się ciemno.

Wziął lampę z kuchennego stołu i podązał za panną Abigail, niezbyt swobodnie wspierając się na uszkodzonej nodze, w jednym pojemniku chybotał się olej, a w drugim szampan.

- Zapalki - przypomniała panna Abigail.

- Już niosę.

Uderzyło ją, że teraz orientował się doskonale, gdzie czego szukać i że to jego rozeznanie sprawia jej przyjemność. Odczuła przypływ nagłej, nieco rzewnej dumy, obserwując, jak Jesse sięga po zapalki gestem dziedzica, który zamierza zapalić ogień na kominku.

- Abbie, niech pani siada, ja będę pełnił honory domu. Zresztą dzisiaj do mnie należy zajmowanie się stołem. - Zapalił lampę, a także dwie świece, które wypełniły wnętrze przytulnym blaskiem. Nie mogła oderwać wzroku od jego dłoni trzymającej zapalkę; kiedy gasił ją dmuchnięciem, poruszyły się ciemne włosy na jego przedramieniu i przegubie. Stół był dwa razy większy od kuchennego, ale Jesse postawił dwa nakrycia na dwóch bokach przy

jednym narożniku.

- Abbie, będzie mi pani musiała wybaczyć, że nie jestem odpowiednio ubrany na tę okazję - rzekł, siadając do stołu i sprawdzając jednocześnie, czy pozapinał wszystkie guziki przy koszuli.

- Panie DuFrayne, zważywszy na pańskie standardy, jest to strój wieczorowy - powiedziała z uśmiechem.

- Chyba ma pani rację. - Roześmiał się i poklepał po żebrach.

Położyła mu na talerzu befsztyk, okrągłe przyrumienione kartofle i złota marchewkę, a on natychmiast zabrał się do jedzenia z wyraźnym zadowoleniem.

- Boże, ale jestem głodny! Obiad nie był... - Nie będzie jednak poruszał sprawy obiadu. Wzruszył ramionami i kontynuował jedzenie.

- Obiad został przerwany - dokończyła za niego panna Abigail, unosząc brew. Nie spotkała dotychczas nikogo, kto w równym stopniu rozkoszowałby się jedzeniem. Zadziwiające było, że robił to spokojnie, wykonywał poprawne ruchy, posługiwał się nożem jedynie w czasie krojenia, nie jadł nim ani nie ugniatał jedzenia.

Wycierał usta płócienną serwetką zamiast rękawem, pijąc odchyłał się rozluźniony na oparcie krzesła. Abbie nie mogła się powstrzymać od porównywania tego sympatycznego, uprzejmego mężczyzny z nicponiem, który krytykował pierwsze posiłki, jakie mu podawała. Dlaczego od początku nie był tak uśmiechnięty i uległy?

- Będzie mi brakowało tego dobrego jedzenia - oznajmił, jakby czytał w jej myślach, wzmacniając tym jej nowo sformułowaną opinię o nim.

- Jak zawsze moje gotowanie z oddali będzie się wydawało lepsze, niż jest.

- Bardzo wątpię, Abbie. Kiedy tylko przestaliśmy toczyć walki w czasie posiłków, jadłem je z przyjemnością.

- Nie wiedziałam o tym. Sądziłam, że nic nie sprawia panu takiej przyjemności jak dobra... czy może powinienam raczej powiedzieć zła, awantura.

- Ma pani rację do pewnego stopnia. Lubię dobrą awanturę. Uważam, że ożywia i jednocześnie uspokaja system nerwowy. Dobra walka oczyszcza i pozwala zaczynać wszystko od początku. Tak jak wątróbka.

Panna Abigail wybuchnęła śmiechem i musiała szybko złapać serwetkę i przyłożyć ją do ust, żeby nie wypadło z nich jedzenie. Będzie tęskniła za jego poczuciem humoru. Kiedy wreszcie przelknęła i odezwała się, jej słowom towarzyszył zniewalający uśmiech.

- Panie DuFrayne, czy pana psychika wymaga aż tak częstego oczyszczania?

Roześmiał się, opadając na oparcie krzesła w nie ukrywanym zachwycie. Uwielbiał ją

w takim nastroju i teraz on z kolei pomyślał, że będzie mu brakowało tych dowcipnych potyczek, w których nabrali takiej wprawy.

- Abbie, pani zgryźliwość nie ulega wątpliwości, ale bardzo ją polubiłem. Urozmaicała monotonne dni tak samo jak owe drobne utarczki, które wszczynaliśmy od czasu do czasu. - Jego oczy ponad kieliszkiem wydawały się bardzo czarne, a w pokoju było za ciemno, by mogła dostrzec w nich te orzechowe plamki, tak dobrze jej znane.

- Drobne utarczki? Od czasu do czasu? - powtórzyła.

Nadział na widelec kawałek mięsa i patrzył na nią przez stół, bardzo rozbawiony.

- Chyba dostała się pani zbyt duża dawka mojego złego humoru... - W tym momencie widelec z mięsem znalazł się niemal pod jej nosem. - Ale zasłużyłaś sobie na to, moja dobra kobieto, i wiesz o tym.

Spojrzała na niego z udami surowością i odsunęła widelec drobnym paluszkiem.

- Jesse, przesłań obrzucać mnie mięsem.

Zbył późno uświadomiła sobie, co powiedziała. Na jego twarzy pojawił się znaczący uśmiezek, a ona czuła, że płoną jej policzki.

Rozbawiony Jesse obserwował, jak rumieniec wędruje od brody aż do nasady włosów. Nie miał na tyle przyzwoitości, żeby powiedzieć coś, co odwróciłoby uwagę, choć byłby to zaiste rycerski postępek w danym momencie. Ale kiedy to Jesse okazał rycerskość? Starał się jedynie obrócić na swoją korzyść tę jej niefortunna uwagę, szeroki uśmiech obnażył białe błyszczące zęby, a ona tymczasem przycisnęła do ust serwetkę, wbiła oczy w talerz i wyjąkała:

- Nie zasłużyłam na to... żeby rzucać moją najlepszą porcelaną w mojej czystutkiej sypialni i rozpryskiwać po całym pokoju zupę i szkło.

Jesse zakreślał na swoim talerzu kręgi kawałkiem mięsa, od którego to wszystko się zaczęło, aż w końcu postanowił pomóc jej wybrnąć z sytuacji. Włożył do ust mięso, zapatrzył się w sufit i zapytał:

- Dlaczego, do diabła, to zrobiłem, pamięta pani?

Tym razem nie była przygotowana na tę demonstrację niewinności. Wybuchnęła nieposkromionym śmiechem i wypluła przy tym kawałek mięsa, który wylądował na czystutkim obrusie, a ona tymczasem zakryła usta obydwoma rękami i śmiała się tak gwałtownie, aż drżały jej ramiona.

Jesse podniósł wędrujący kawałek mięsa i, śmiejąc się, skarcił swą towarzyszkę:

- Do czego to podobne, panno Abigail McKenzie, proszę to natychmiast włożyć na miejsce! - Trzymał mięso powyżej jej nosa. Panna Abigail sama nie mogła uwierzyć w

niestosowność swojego zachowania, ale posłusznie otworzyła usta, co nie było łatwe, ponieważ zanosila się od śmiechu.

Słuchała humorystycznej rekapitulacji wszystkich okropności, jakie spotkały pacjenta w jej domu, a wypominania te kończyły się oskarżeniem, że próbowała go utopić w zupie.

- Więc wyrwał mi pan talerz i siorbał jak wieprz - uzupełniła.

- O, to coś nowego wieprz przy korycie. Już jestem całą menażerią w jednej osobie. Panno McKenzie, czy zdaje pani sobie sprawę, że obdarzała mnie pani nazwami większej liczby zwierząt, niż Noe miał w swojej arce?

- Naprawdę? - wydawała się zdumiona.

- Owszem.

- Nie podobnego!

- Kozioł, cap, świnia, wieprz... Abbie, pytam panią: czy zachowuję się jak kozioł?

- A co z wątróbką?

- To zupełnie inna sprawa. Tamtego wieczoru, zresztą nie jedyne, kiedy gotów byłem zawrzeć z panią pokój, wniosła pani tę trującą wątróbkę. To prawda. Ab, ilekroć postanowiłem być dla pani miły, wpadała pani na jakiś nowy pomysł, który doprowadzał mnie do szału. - Wytarł usta, ukrywając uśmiech za serwetką, a ona uświadomiła sobie, jak przyjemnie było śmiać się teraz z tego wszystkiego razem z nim.

- Ale wie pani co? - spytał, sięgając ręką po butelkę szampana. - Była pani godnym przeciwnikiem. Nie wiem, jak mogliśmy z sobą wytrzymać przez cały ten czas, ale sądzę, że oboje zasłużyliśmy na to, co nas spotykało. - Napełnił obydwie szklanki i zaproponował: - Chciałbym wnieść toast. - Podał jej szklankę, patrząc uporczywie w oczy koloru bratków. - Za zdrowie Abigail McKenzie, kobiety, która uratowała mi życie i jednocześnie o mało mnie nie zabiła.

Trącił swoją szklanką jej szklankę, przy czym dotknął śniadym palcem jaśniejszej skóry na dłoni Abbie. Odwróciła wzrok.

- Ja nie piję - oświadczyła już po raz drugi, a w pokoju zaległa cisza.

- Tak, oczywiście, że pani nie pije. Jedyne usiłuje pani uśmiercić niepoprawnych rewolwerowców. - Nadal trzymał w górze szklankę, czekając na nią. Poczula się głupio, nie chciała pozbawiać go możliwości eleganckiego zakończenia całej tej sprawy, tym bardziej że tak dobrze się spisywał podczas tej bardzo, jak dotąd, przyjemnej kolacji. Trąciła więc jego szklankę, wypila maleńki, zakazany łyk i zorientowała się, że nie sprawiło jej to najmniejszej przykrości, miała jedynie ochotę kichnąć, pociągnęła więc następny łyk i kichnęła. Roześmieli się jednocześnie, Jesse opróżnił szklankę i dolał sobie i jej.

- Pani również musi wznieść toast - nalegał, odchylając się nonszalancko na oparcie krzesła. - Inaczej nie wypada.

W miękkim świetle świec jej oczy miały barwę fioletową i wyraz głębokiego zamyślenia. Zastanawiał się, czy tak jak on wspomina... przyjemne chwile, które razem przeżyli. Tak bardzo chciałby widzieć obrazy przewijające się w jej myślach, ponieważ tego wieczoru wyglądała naprawdę zachwycająco.

Abbie siedziała z łokciami opartymi o stół, przed oczami musował tajemniczy szampan.

- Dobrze - zgodziła się w końcu, potem jeszcze chwilę patrzyła na niego poprzez jasnozłoty płyn, zastanawiając się, jak ma to sformułować. Opuściła nieco szklankę, by zobaczyć jego twarz, i zaczęła spokojnie: - Zdrowie Jesse'a DuFrayne, który w istocie podziwia moje zasady moralne, choć cały czas usiłuje je zbrukać.

Ale tym razem, kiedy tręcili się szklankami, to on nie wypił szampana. Zmarszczył brwi i lekko się skrzywił.

- Co pani powiedziała?

- Powiedziałam: „Zdrowie Jesse'a DuFrayne, który...”

- Wiem, co pani powiedziała, Abbie, chciałbym tylko wiedzieć, dlaczego pani to zrobiła.

Naprawdę, Jesse? - pomyślała. - Naprawdę? A może równie dobrze jak ja zdajesz sobie sprawę, że mogłeś narzucić mi się siłą niezliczoną ilość razy, a jednak zawsze się wycofywałeś. Czy muszę ci mówić, dlaczego? Czy tak marnie rozumiesz sam siebie?

Abbie wciągnęła głęboko powietrze i spojrzała mu w oczy.

- Dlatego, że to prawda. Może dlatego, iż zauważyłam, że w obecności osób trzecich zawsze zwraca się pan do mnie z szacunkiem „panno Abigail”, bez względu na to, jak mnie pan nazywa, kiedy jesteśmy sami. Może także dlatego... a resztą, mniejsza o to. - Nie potrafiła do końca wyjawić tego, czego sam nie zauważał.

- Chciałbym wiedzieć, czego pani nie dopowiedziała. - Pochylił się teraz do przodu, położył przedramiona na stole, obracał kieliszek w dłoniach, brwi miał zmarszczone.

Panna Abigail zastanawiała się chwilę, pociągnęła łyček szampana, odwróciła wzrok od jego ust - przeżuwał coś pod wąsem - i pomyślała, że to może sygnalizować nadchodzące niebezpieczeństwo.

- Gdybym miała powiedzieć prawdę, tak jak ją widzę, zabrzmiałoby to jak oczywista zarozumiałość. A nie chciałabym, żeby wyjeżdżał pan stąd, myśląc tak o mnie.

- Jest pani najdalsza od zarozumiałości spośród wszystkich znanych mi osób. Może

zadowolona z siebie, ale nigdy zarozumiała.

- Nie wiem, czy powinnam podziękować, czy to zignorować.

- Ani jedno, ani drugie. Wystarczy powiedzieć, co pani miała na myśli, mówiąc o mnie i swoich zasadach moralnych.

Znowu wypła łyk szampana, żeby dodać sobie odwagi, patrzyła na światło odbijające się od bąbelków w kieliszku.

- Dobrze - zgodziła się w końcu, stwierdzając ze zdumieniem, że szklanka jest pusta. Jesse napełnił ją, a ona kontynuowała: - Sądzę, że uważa mnie pan. powiedzmy, za niezupełnie pozbawioną wdzięków. Ja jednak myślę, że atrakcją dla pana stanowiłoby już samo to, że jestem rodzaju żeńskiego, ponieważ pan po prostu lubi kobiety. Ale nie o to chodzi. Wspomniałam o tym tylko dlatego, żeby podkreślić, że nie powoduje mną próżność. Przypuszczam, że pociąga pana we mnie właśnie to, co usiłuje pan zmienić. Jeśli się nie mylę, jestem pierwszą kobietą, jakiej od dawna pan nie spotkał, a która ma pewne przymioty wychwalane przez tradycję. I przez cały czas, kiedy karci mnie pan z powodu mojej niezdolności do zmiany, ma pan nadzieję, że jednak tego nie zrobię. Innymi słowy, panie DuFrayne, myślę, że po raz pierwszy w życiu znalazł pan w kobiecie coś prócz ciała, co można podziwiać, ale nie wie pan, jak sobie poradzić z tego rodzaju podziwem, próbuje pan więc złamać moje zasady moralne, żeby poczuć się swobodnie w kontaktach ze mną.

Siedział oparty o krzesło, ale grymas na ustach zadawał kłam nonszalanckiej pozycji ciała. Opierał łokieć na poręcz krzesła i gładził palcem wskazującym brzegi wąsów.

- Może ma pani rację, Abbie. - Przełknął łyk szampana, obserwując ją spoza szklanki.
- A jeśli ma pani rację, czemu rumieni się pani jak uczennica? Pani cnotliwa natura jest nietknięta - wszystko na swoim miejscu, dokładnie tak jak wtedy, kiedy panią poznałem. - Pochylił się leniwie do przodu i ujął ją lekko palcem pod brodę, zmuszając, by na niego spojrzała. Ale panna Abigail zeszywniała, odwróciła wzrok, odsunęła brodę, by uniknąć dotyku palca, który wydawał się za ciepły, o wiele za ciepły i podniecający. Ponieważ nadal nie chciała na niego spojrzeć, Jesse przesunął palcem wzdłuż delikatnego zarysu jej szczęki. To spowodowało, że wreszcie spojrzała mu w oczy.

- Proszę przestać! - Odskokczyła do tyłu, ale coś dziwnego zaszło w jej głowie. Przez moment wydawało się, że wszystkie przedmioty mają niewyraźne zarysy.

Jego wzrok ześlizgnął się na jej rozchylone wargi, zauważył szybki oddech, rozszerzone nozdrza, po czym powoli powrócił do niebieskich głębi szeroko otwartych oczu.

- Zgoda - powiedział miękko. - Tym razem nawet nie będę pytał, dlaczego.

Wystraszona tą nagłą w nim zmianą, panna Abigail poderwała się od stołu, ale w jej

wnętrzu zdawało się szaleć tornado. Pochyliła się do przodu, dłonie oparła płasko na stole po obu stronach talerza. W głowie jej się kręciło, szyja zdawała się bezwładna, na kołnierzyk zwieszał się pukiel wilgotnych włosów.

- Jeszcze raz mnie pan nabrał, prawda, panie DuFrayne? Tym razem swoim niewinnym toastem. - Głowa zwisła jej bezwładnie, nie była zdolna jej podnieść, nie mogła nawet obrzucić go piorunującym spojrzeniem za to, co jej zrobił.

- Nie zrobiłem tego. W każdym razie nie miałem takiego zamiaru. Przecież wypła pani akurat tyle szampana, ile trzeba, by upić koliberka. Podniósł butelkę i przechylił, oglądając zawartość pod świniło lampy. Butelka dalej była do połowy napełniona.

- A jednak... ten koliberek... jest pijany - wymamrotała panna Abigail do uciekającej krawędzi stołu, a głowa zapadała jej coraz niżej między ramiona.

Uśmiechnął się do przedziłka w jej włosach, myśląc o tym, jak bardzo będzie tym wszystkim przerażona nazajutrz rano, a także o tym, że jednak nie uda im się rozstać bez stoczenia kolejnej walki. Abbie wstawiona, coś podobnego - myślał, niezdolny powstrzymać się od uśmiechu.

- To musi być sprawa wysokości - próbował wyjaśnić. - Na tej wysokości niewiele potrzeba, zwłaszcza jeśli pani nigdy dotychczas nie piła. - Podszedł do niej, otoczył ramieniem i poprowadził w stronę drzwi na podwórko. - Chodźmy na świeże powietrze, Abbie. - Połknęła się. - Uważaj, tu są schody. - Wziął jej bezwładną rękę i położył sobie w tali, a ona posłusznie chwyciła go za koszulę. - Abbie, musimy pospacerować, bo inaczej, kiedy się położysz, łóżko będzie się kołysało.

- Nnnie ww wątpię, że... pan... wie... wszystko o kołyszących się łóżkach - wydukała, prostując się i niezdarnie trzepnęła pomocne dłonie Jesse'a. - Nic mi nie jest, nic mi nie jest - powtarzała w zamroczeniu, przekonana, że odzyskuje trochę panowania nad sobą. Ale w tej samej chwili zaczęła coś nucić i doskonale wiedziała, że gdyby naprawdę wszystko było w porządku, to na pewno by tego nie robiła.

- Cicho - szepnął, zmuszając ją do marszu.

Podniosła rękę do góry.

- Ale przecież jestem koliberkiem, prawda? - zachichotała, zachwiała się i niemal upadła na niego, uderzając dłonią w jego tors. - Jesse, czy nie jestem koliberkiem? Co? - Wierciła palcem wskazującym w podbródku Jesse'a.

- Jesteś, jesteś. A teraz bądź cicho, maszeruj i oddychaj głęboko, zgoda?

Usiłowała stawiać ostrożne kroki, ale ziemia wydawała się tak odległa od jej stóp i tak chwiejna. Chodzili bez kotka dokoła podwórza. Znowu zaczęła chichotać. I co chwila się

potykała, więc Jesse mocniej uchwycił ją w talii.

- Nie przystawaj - powtarzał co jakiś czas. - Do diabła, Abbie, nie zrobiłem tego celowo. Nigdy w życiu nie widziałem, żeby ktoś się wstawił naparstkiem szampana. Wierzysz mi?

- Jakie to ma znaczenie, czy ci wierzę. Czy ty mnie wierzysz?

- Nie przystawaj.

- Pytałam, czy ty mnie wierzysz - powtórzyła, a jej głos niósł się w nieruchomym powietrzu. - Czy wierzysz w to, co powiedziałam o tobie i o sobie? - Robiła się wojownicza i próbowała mu się wyrwać, ale trzymał ją mocno tuż przy swoim biodrze i poddała się jego silnemu ramieniu.

- Abbie, nie podnoś głosu. Sąsiedzi mogą jeszcze nie spać.

- Coś podobnego! - ryknęła. - To trzeba wyrwać w marmurze! Ty martwisz się o to, co pomyślą moi sąsiedzi! - Schwyciła w obydwie dłonie przód jego koszuli, ciągnąc ją tak długo, aż znalazła się pod szyją Jesse'a.

- Cicho! Jesteś pijana!

- Jestem już zupełnie trzeźwa. Dlaczego mi nie odpowiadasz?

Czy była pijana, czy trzeźwa, kiedy cofnęła się i zaczęła wykrzykiwać w sposób zupełnie nie przystający damie: „Jesse DuFrayne kocha Abbie Mc...”, aż przyłożył swoje usta do jej warg, by ją uciszyć? Objęła go rękami za szyję, a on uniósł ją do góry, rozplaszczając bezlitośnie piersi na swoim muskularnym torsie.

Gdy tylko jego wargi znalazły się na jej ustach, zupełnie zapomniał, że zrobił to wyłącznie po to, by ją uciszyć. Zawładnął całkowicie jej ustami i nie znalazł w nich żadnej suchości. Obejmowała obydwoma rękami jego silną szyję, nogi jej dyndały kilka centymetrów nad ziemią. Stali tak w srebrnym świetle księżyca, złączeni nie kończącym się pocałunkiem, zapominając, że ślubowali pozostać nieprzyjaciółmi; teraz liczyły się tylko języki, wargi, zęby i miękkie, gęste wąsy. Jej usta były gorące, słodkie i miały smak szampana. Z wykrochmalonej bluzki unosił się zapach róż, z gardła wydobywał głęboki jęk, a ciepły oddech muskał jego policzek. I w mgnieniu oka ciało Jesse'a stężało, postawił więc pannę Abigail na nogi niezbyt delikatnie, zdjął jej ręce ze swojej szyi i polecił ostro:

- Abbie, idź na górę do łóżka! Słyszysz?

Stała przed nim całkowicie pokonana.

- Czy potrafisz iść bez pomocy? - Jego gorąca dłoń wciąż trzymała ją za łokieć.

- Powiedziałam ci, że nie jestem pijana - wymamrotała w ziemię u swoich stóp.

- No więc udowodnij to i idź do domu, bo tam powinnaś być.

- Panie DuFrayne, jestem absolutnie trzeźwa - chełpiła się, nadal zwracając się do ziemi pod stopami, ponieważ nie mogła podnieść głowy, Kiedy puścił jej łokieć, zachwiała się lekko, ale utrzymała się na nogach.

- Abbie, nie osadzaj mnie za to, ale, do wszystkich diabłów, wynoś się stąd!

- Nie musisz się tak wściekać - powiedziała dziecinnie i mimo zamroczenia uświadomiła sobie, że chyba jest bardzo pijana, skoro odzywa się w ten sposób, niemal skomli. Zawstydzona swoim zachowaniem, odwróciła się i pomaszerowała niepewnie w stronę domu, wdychając duże hausty przejmującego nocnego powietrza.

Mijając siół w jadalni, wypila całą filiżankę zimnej kawy. A kiedy wchodziła po schodach na górę, osądzała siebie, nie Jesse'a. Szampan nie był absolutnie żadnym wytłumaczeniem. Czysta, szczerza prawda polegała na tym, że przez cały wieczór pragnęła, by Jesse ją pocałował. Co gorsza, chciała oddać mu ten pocałunek. A co jeszcze gorsze, nie była pewna, czy tylko do tego ograniczają się jej pragnienia.

Na górze rzuciła się plecami na łóżko, ręce miała równie słabe jak usprawiedliwienia, które usiłowała wymyślać. Wielkie nieba! Ten mężczyzna potrafi całować! Jednym palcem zwijała kosmyk włosów. Zamknęła oczy i wydała cichy jęk. Zwinęła się w kłębek, obejmując rękami brzuch, nagle przepełniona tragiczną pewnością, że jej matka myliła się zasadniczo. Ona, Abigail McKenzie, starzejąca się trzydziestotrzyletnia panna, miała się nigdy nie dowiedzieć, przed czym tak żarliwie ostrzegała ją matka. Z pewnością nie mogło chodzić o pocałunki. Ten pocałunek bowiem był czymś cudownym. Z Richardem wszystko wydarzyło się tak dawno, że nie mogła pamiętać, czy było równie przyjemne. A pocałunek Davida z całą pewnością nie wywołał w niej takich wulkanicznych wstrząsów. Ale zawsze dotychczas powstrzymywała się, pomna słów matki. Kiedy się jednak zapomniała o całej rezerwie, pocałunek staje się zupełnie czym innym. Zapoczątkowuje tak dziwne i cudowne drzenie wędrujące w dół ciała.

Leżąc w ciemności pokoju ponad sypialnią Jesse'a, po raz kolejny przypominała sobie jego ciało. Och! Znała je tak dobrze!

Znała kształt, kolor i fakturę każdej jego części, dolinę między łopatkami, gdzie wybrzuszały się potężne mięśnie, tworząc zachęcające wgłębienie. Jego opalone ręce, długie, silne, poznaczone żyłami na wewnętrznym zgięciu łokci. Jego nogi i stopy, ile razy je widziała, ile razy je myśla. Znała jego dłonie, duże, szerokie, równie łagodne co złośliwe. Zdawało się, że jego oczy, których zarysy kreśliła teraz z pamięci na swoim brzuchu, szukają jej w ciemności spod brwi. Kąciaki tych oczu marszczyły się na moment przed tym, nim miękkie, delikatne wąsy unosiły się w leniwym uśmiechu. Znała miejsce, w którym skóra

stawiała się gładka, niżej, gdzie zarost na jego szerokim torsie opuszczał się coraz węższą linią na płaskim brzuchu aż do pachwiny.

Przewróciła się na brzuch, ponieważ bolały ją piersi. Objęła rękami ich pęczniejące kontury, zacisnęła uda, ściskając również nogi w kostkach, mocno, jak najmocniej, starając się pozbyć z myśli obrazu nagiego Jesse'a. Ale opuściła ją zdolność zapominania. Rozchyliła wargi, oczekując ciepła jego wyimaginowanego pocałunku. Dotknęła jednak tylko poduszki, nie znalazła ciepłych, miękkich warg. Przewróciła się na bok, ściskając między nogami węzeł nocnej koszuli, czując, że ten dręczący ból trzeba ukoić.

A więc tak to było? Tak powinno być? Czy jej matka wiedziała o tym, czy nigdy tego nie poznała? Była to pełnia i pustka, zgoda i odmowa, ciepło i zimno, dreszcz, i pot, tak i nie. To było odrzucenie skrupułów, etyki, kodów, standardów i cnót, i zupełna wobec tego wszystkiego obojętność, ponieważ ciało przemawiało głośniej od sumienia.

Jesse przez cały czas miał rację, a matka się myliła. Jak takie pragnienie może być złe? Zmysły, o których posiadanie Abbie siebie nigdy nie podejrzewała, zostały teraz wystawione na najwyższą próbę. Jej ciało drżało, trzęsło się, błagało. Jak słuszne, jak absolutnie słuszne byłoby zejście na dół i poproszenie go „Pokaż mi, bo chcę zobaczyć. Daj mi, bo zasłużyłam na to. Pozwól mi, bo czuję, że mam prawo”.

Problem nie polegał już na tym, czy mogłaby to zrobić i potem żyć z tą świadomością. Problem polegał na tym, czy mogłaby tego nie zrobić i patrzeć, jak jej ostatnia szansa znika jutro za progiem, pozostawiając ją nieświadomą i nieusatisfakcjonowaną.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Przez szerokie okno wlewało się do pokoju światło księżyca, padając na nagie ciało Jesse'a niedbale rozciągniętego na łóżku.

Głowę wykrzywił pod dziwnym kątem, jakby próbował zobaczyć odwrotną stronę zagłówka. Panna Abigail wsłuchiwała się w jego nerwowe poruszenia chyba przez całą wieczność, zbierając się na odwagę, by wślizgnąć się do pokoju na dole. Ale teraz spał, poznawała to po rytmicznym oddechu. Jedna opalona noga zwisała z łóżka, które zawsze było dla niego za małe. Podeszła, drżąc, do drzwi sypialni, bała się wejść, ale bała się również nie zrobić tego. A jeśli ją odtrąci?

Przyciskając pięści do brody, podeszła bliżej. Czuła, jakby w piersiach miała ogromny ciężar. W jaki sposób go obudzić? Co powinna zrobić? Dotknąć go, a może powiedzieć: „Panie DuFrayne, niech się pan obudzi i kocha się ze mną”? Jakie to absurdalne, że teraz, już nawet nie wiedziała, jak się do niego zwracać. Nagle poczuła się bardzo niezręczna i zupełnie nieatrakcyjna; była pewna, że on każe jej wracać na górę, a ona umrze z upokorzenia.

Jednak wyszeptała jego imię. Czy może wyjęczała?

- J... Jesse?

Był to dźwięk tak ulotny, że równie dobrze mogła go wywołać zasłona ocierająca się o parapet.

- Jesse? - zwróciła się raz jeszcze do ciała skapanego w świetle księżyca.

Sennym ruchem poprawił głowę na poduszce. Nie widziała jego oczu, jedynie odbicie księżyca na twarzy. Wąsy rzucały ciemniejszy, nęcący cień. Jesse opuścił brodę, spojrzął na swój tors, zauważył ja i pociągnął za róg prześcieradła, żeby się okryć.

- Abbie? Co się stało? - spytał, zaspany i zdezorientowany, wspierając się na łokciu.

- J... Jesse? - Zadrzała, nagle nie miała pojęcia, co powiedzieć. To było straszne. Takie straszne. Gorsze od wszystkich obelg, jakie od niego wycierpiała, a jednak stała przed nim nieruchomo, trzymając przy brodzie obie ręce zaciśnięte w pięści.

On jednak wiedział. Domyślił się z drżenia jej głosu, kiedy nareszcie zwróciła się do niego po imieniu. Usiadł, pociągnął większą część prześcieradła, by zakryć się dokładniej, i spuścił jedną nogę z łóżka dla zachowania równowagi.

- Co tutaj robisz?

- Nie pytaj... proszę - błagała.

Otoczyła ich cisza nocy i zdawało się, że czas się zatrzymał, aż z jedwabistego milczenia ciemności odezwał się jego cichy głos:

- Nie muszę pytać, prawda?

Westchnęła, pokręciła przecząco głową, niezdolna wymówić słowa.

Nie wiedział, co robić; wiedział, co zrobić musi.

- Abbie, idź na górę. Na miłość boską, idź! Nie wiesz, co robisz. Nie powinienem był pozwolić ci pić tego szampana.

- Nie jestem pijana, Jesse... nie jestem. I nie chcę wracać na górę.

- W twoim życiu to wcale nie jest potrzebne.

- W jakim życiu? - spytała stłumionym głosem, a jemu ścisnęło się serce, miał wyrzuty sumienia, że skłonił ją do zakwestionowania tej pustki, która dotychczas wydawała się zadowalająca.

- W tym, którym się zawsze chlubiłaś, a którego nie chciałbym ci zrujnować.

- Tyle razy zdawało mi się, że wiem, co może zrujnować moje życie. Matka zawsze mnie ostrzegała, że zrujnują je mężczyźni tacy jak Richard. Później ona umarła, on odszedł, ja zaś zastanawiałam się, jak przetrwać kolejny dzień w tej nicości. Potem w moim domu zjawił się człowiek o nazwisku David Melcher i znowu obudził moje nadzieje, ale..

- Abbie, usiłowałem cię za to przeprosić. Wiem, że nie powinienem był ci tego zrobić. Przykro mi.

- Nie powinienes, ale zrobiłaś, on odszedł i nigdy nie wróci. A ja potrzebuję... potrzebuję... - Stała tak nieruchomo jak manekin, światło księżyca upodabniało ją do figurki z kości słoniowej, przyciskała rękę do pulsującego gardła.

- Abbie, nie mów tak. Miałaś rację dziś wieczorem przy kolacji. Cenię twoje staroświeckie zasady moralne, bo w przeciwnym razie już dawno bym cię posiadł. Nie chcę być tym, który je złamie, więc wracaj na górę, a jutro mnie już tu nie będzie.

- Czy myślisz, że o tym nie wiem?! - wykrzyknęła z desperacją. - Ty pozwoliłeś mi zrozumieć prawdę na temat Richarda. Ty oskarżałeś mnie o to, że trwam bez ruchu, więc do kogo innego mam się zwrócić? Nic rób mi tego, Jesse, nie teraz, kiedy posunęłam się aż tak daleko. Ty... ty jesteś moją ostatnią szansą. Chcę tego, co każda kobieta poznaje na długo przedtem, zanim skończy trzydzieści trzy lata.

Wyskoczył z łóżka, usiłując owinąć się prześcieradłem.

- Do cholery, to nie w porządku! Ja nie przyłożę ręki do twojego upadku! - Wściekle szarpał prześcieradło, ale zaklinowało się pod materacem, unieruchamiając go. - Leżę tutaj, godzinami rozmyślając o tobie, i dochodzę do wniosku, że miałaś stuprocentową rację co do moich motywów. Nie wiem, dlaczego wywierasz na mnie taki wpływ, że w jednej chwili chcę cię nagiąć, a w następnej klnę, bo jesteś tak cholernie moralna, że gdybyś ty się nagięła, to ja

bym się załamał. Ale wiesz o tym doskonale i wykorzystujesz to przeciwko mnie.

Wykorzystywała. Wiedziała o tym. Przełknęła jednak dumę i wyszeptwała:

- A więc odsyłasz mnie na górę?

Boże - pomyślał - Abbie, nie rób mi tego, kiedy staram się być szlachetny po raz pierwszy w życiu.

- Abbie, nie mógłbym po tym żyć sam z sobą. Nie jesteś pierwszą lepszą... dziwką podążającą za budową kolei.

- A gdybym była, mogłabym zostać? - Jej żalosne błaganie sprawiło, że wił się z pożądania.

Dlaczego, do diabła, doprowadziłem ją do tego - pomstował na siebie, zastanawiając się, jak wyprowadzić ich oboje z tej sytuacji bez trwałych urazów dla żadnej ze stron. To była chwila, w której rozchodziła się jej moralność i moralność jej matki. Co za ironia, że stawał się teraz rzecznikiem matki, którą tak skrytykował!

- Abbie, właśnie dlatego, że nie jesteś, to nie możesz - wyjaśniał. - Czy rozumiesz, na czym polega różnica? - Czyż ona nie zdaje sobie sprawy, jak na niego działa, kiedy tak stoi, drżąca, w świetle księżyca, ze złożonymi mi piersiach rękami? - Znienawidzisz mnie później, tak jak nienawidzisz Richarda. Bo ja wyjeżdżam, Abbie, wyjeżdżam i wiesz o tym.

- Różnica polega na tym, że mnie uprzedziłeś.

Poczuł kropelki potu na piersi, owinał się prześcieradłem tak mocno, że aż wrzynało mu się w skórę.

- Abbie, ale przecież wiesz, kim jestem.

Dumnie podniosła głowę, choć ciało jej drżało.

- Owszem, jesteś Jesse DuFrayne, fotograf, przedstawiający życie takim, jakim ono jest. Ale teraz to ty uciekasz od rzeczywistości, nie ja.

- Masz rację, że uciekam. - Oddychał tak ciężko, jakby rzeczywiście uciekał. - Ale to z twojego powodu. Jutro spojrzysz na to inaczej i znienawidzisz mnie.

- A będzie ci to robiło różnicę? - zaryzykowała, unosząc głowę w geście obrony.

- Do cholery! Doskonale wiesz, że będzie mi robiło, bo w przeciwnym razie nie stałbym tutaj, spierając się z tobą, owinięty w prześcieradła jak nieśmiały uczeń!

- Ale wiesz, że jeśli odeślesz mnie na górę, i tak będę cię nienawidziła.

Światło księżyca pobłyskiwało na ich sylwetkach, kiedy starali się nawzajem dostrzec w ciemności swoje twarze. Wydawało mu się, że czuje w pokoju zapach róż. Miała tak wąskie ramiona, wyglądała na kruchą, przerażoną istotę. Rozpuszczone włosy w świetle księżyca tworzyły aureolę wokół niewidocznej twarzy.

- Abbie... - W jego głosie brzmiała udręka. - Nie jestem dla ciebie. Miałem zbyt wiele cholernie łatwych kobiet. - Ale jego determinacja zdawała się blednąć pod wpływem pokusy i zrobił jeden niepewny krok w jej stronę. Ona zrobiła jeden drżący krok, potem następny, słyszał teraz jej szybki oddech.

- Lepiej, żebyś to był ty, Jesse, ten mój jedyny raz, właśnie dlatego, że umiesz to tak dobrze. - Wymówiła te słowa miękko, na przydechu, aż /jeżyły mu się włosy na rękach. Stali tak blisko siebie, że postać Jesse'a rzucała cień na jej wzniesioną do góry twarz. Napięcie dręczyło ich niepewne, wahające się ciała. W pokoju słychać było jedynie szelest zasłon poruszanych podmuchem nocnego wiatru. Nozdrza Jesse'a rozdeły się, kiedy ciałniej ściągał prześcieradło. Pomyślał o jutrzejszym dniu i uświadomił sobie, że ona nie ma pojęcia o przyjeździe Davida Melchera do miasta. Wystarczy, żeby jej to powiedział, a posłusznie wróci na górę. Jednak myśl o zostawieniu jej tamtemu napełniła go gwałtowną zazdrością. Może ją teraz osiąść, ale jakże ona go znienawidzi, kiedy się dowie, że wiedział o powrocie Melchera!

Nie wątpił, że ona nie ma najmniejszego pojęcia, co może jej zrobić. Stała tutaj, błagając go o to, czego nie знаła - Abbie, jego maleńki koliberek, który w tym samym pokoju walczył o jego życie i rzucał wyzwanie śmierci. W zamian prosiła go teraz o jedno... a on tak bardzo pragnął jej to dać, że odczuwał wręcz fizyczny ból. Wystarczy, że zrobi jeszcze tylko jeden krok. Stojąc naprzeciwko niej, walcząc z pożądaniem, czując unoszący się wokół zapach róż, Jesse zaplątał się, zatracił.

- Abbie wymamrotał - jesteś tak cholernie maleńka. - Kiedy pochylił się, żeby szeptać jej do ucha, prześcieradło niby mleczny całun poruszyło się razem z nim. - Abbie, obiecaj, że mnie nie znienawidzisz. - Jego ochryple słowa sprawiły, że serce uwięzło jej w gardle. W blasku księżyca wyciągnęła się ręka i zacisnęła na jej ramieniu.

Usta jej rozchyliły się. Uniosła głowę i dotknęła nosem muskularnego ramienia. Jego skóra pachniała snem i ciepłem nocy; przyłgnęła do niej pozostałość wilgoci, która nie była tak całkiem nieprzyjemna. Abbie uniosła wahającą się rękę, by dotknąć tej skóry opuszkami palców. On był tak mocny, tak ciepły, a ona tak niepewna. Stał nieruchomo, czuła jego oddech przy uchu i zastanawiała się, co jej każe robić. Wiedziała tak niewiele, tylko tyle, że pocałunki - takie jak ten na podwórku - oblewały jej ciało potem i wprawiały w drżenie. Przysunęła więc wargi do jego ust i zapytała:

- Jesse, czy pocałujesz mnie najpierw tak jak na podwórku?

Uścisk na ramieniu stał się bolesny.

- O Boże, Abbie - jęknął Jesse i zagarnął ją w silne ramiona, pozwalając, by

prześcieradło opadło na podłogę, tulił ją do serca, które tłukło się jak szalone. Ukrył twarz w jej włosach, wiedząc, że nie powinien tego robić, niezdolny jednak dłużej sobie odmawiać.

Przytuliła skroń do jego warg, spragniona ich dotyku na swoich ustach, po czym nieśmiało, powoli, uniosła głowę w poszukiwaniu zapamiętanego uniesienia.

- Abbie, to niedobrze - zaprotestował bezskutecznie po raz ostatni.

- Tylko raz, tak jak na podwórku - wyszeptała. - Och, Jesse, proszę cię... było mi tak przyjemnie.

Zniknęły resztki rozsądku, Jej dziecinna prośba wprawiła jego serce w szalony rytm. Dotknął jej ust rozchylonymi wargami.

Odpowiadając na pocałunek, oplotła mu szyję rękami, badając palcami tajemnie gestych, czarnych włosów u nasady karku. Jego język, wysuszony kiedyś gorączką, zwilgotniały teraz z zapалу, zachłannie badał wnętrze jej ust. Początkowo odpowiadała nieśmiało, ale potem zaczęła naśladować te poruszenia i odczuwała coraz większą przyjemność. Wypuścił ją nagle z uścisku, jej nogi ześlizgnęły się w dół, aż stopy dotknęły podłogi. Zaciśnął silne ramiona na jej żebrach i uniósł jej nie uświadomione ciało, przyciskając do siebie. Jego wymagające usta dotykały jej warg, a język sięgał coraz głębiej, głębiej, badał, igrał, rozpuszczał jej wnętrzności jak kandyzowany cukier, aż poczuła, że się rozpływają, słodkie i ciepłe, gdzieś poniżej.

Dla Abbie był to cud pierwszego pocałunku, stokrotnie zwielokrotniony, kiedy jej chętne ciało przywierało do ciała Jesse'a. Z jego gardła wydobył się zduszony jęk, pogłaskał swymi długimi palcami włosy na jej skroniach, ujął jej głowę w dłonie i obsypywał pocałunkami. Wydawało się, że pożera ją skubnięciami warg, czuła się cudownie, kiedy ujmował ustami jej brodę, wargę, nos, brew, ucho, szyję, a potem znowu całował usta, lekko przygryzając język, jakby to był najsmaczniejszy kąsek. Zapomniała o wszystkim prócz tej leniwej, słodkiej tęsknoty wszechogarniającej ciało. Pozwoliła, by owa tęsknota nad nią zapanowała, oczarowana mężczyzną, którego obawiała się tak długo, a którego pragnęła teraz z taką siłą, że opuściły ją wszelkie myśli o grzechu.

Zapomniała, że jego pocałunek jest wynikiem długiej praktyki, wiedziała jedynie, że to preludium do tego, czego tak bardzo chciała się od niego nauczyć, czego chciała się dowiedzieć. Przytulił twarz do jej szyi, czuła na skórze ciepło jego oddechu.

- Abbie, muszę wiedzieć, żebyś nie sprawił ci bólu - powiedział chropawym, obcym głosem - czy robiliście to kiedykolwiek z Richardem?

Opuściła bezwładnie ręce na jego kark.

- Nie... nie - zaprzeczyła zduszonym szeptem i odsunęła się gwałtownie. - Mówiłam

ci... - Odwróciłaby się od niego, gdyby nie ujął jej twarzy w gorące dłonie, podnosząc ją jak puchar, z którego będzie pił, i nie zmusił, by spojrzała mu w oczy.

- Abbie, to już nie ma znaczenia - uspokajał ją, głaszcząc delikatnie palcami policzki. - Musiałem zapytać, bo nie chcę sprawić ci bólu.

- Nie... nie rozumiem - powiedziała z drżeniem, patrząc mu w oczy z ustami rozchylonymi z przerażenia.

Z trudem przełykała ślinę, co wyczuwał pod palcami, myśląc przy tym: Boże, ona jest taka drobniutka, to ją zabije. A jednak dotknął ustami jej policzka i wyszeptał:

- Cicho, już wszystko dobrze. - Znowu uniósł jej twarz do pocałunku, sprawiając, iż obydwójce zapomnieli o wszystkim prócz zmysłów rozbudzonych tak intensywnie, że już nie było odwrotu. Potem podniósł ją, zaniósł na łóżko i posadził na swoich kolanach. Obiecywał sobie, że nic będzie się śpieszył, że postara się, by było jej dobrze, by stało się to dla niej niezapomnianym przeżyciem. Uniósł jej rękę i zarzucił sobie na szyję. Zdawała sobie sprawę, że on jest nagi, że dotknięcie jego skóry pali ją przez materiał koszuli nocnej i szlafroka. Jego usta przemknęły się w zagłębienie obojczyka i wyszeptały:

- Pachniesz tak pięknie... jak róża. - Obróciła głowę, pocierając zmysłowo policzkiem o jego skroń. Dotknął jej szyi językiem, a ona zadrżała pod wpływem nowego silnego pożądania. - Abbie, czy mogę zdjąć twój szlafroczek? - zapytał, obsypując pocałunkami miękkość zagłębienia pod brodą.

Czy tak się to robi? - spytała, rozmarzona.

- Tylko jeśli tego chcesz.

- Chcę - wyznała z prostotą, czując rozszalałe zmysły. Rozwiązał pasek w talii i zsunął szlafrok na swoje obnażone kolana.

Pocałował ją jeszcze raz i wyszeptał:

- Abbie, ja też drzę tak, jakby to był mój pierwszy raz.

- To dobrze - usłyszał w odpowiedzi.

Tak, to dobrze - pomyślał.

A ona dodała:

- Ja też.

Słyszał w jej głosie śmiech. Uśmiechnął się również, z ustami przy jej policzku, i ugryzł leciutko koniuszek ucha.

- Pamiętasz, jak siedzieliśmy na huśtawce? Naprawdę chciałem to zrobić wlały, ale bałem się nagle cię objąć.

- Nie sędzę, żebyś się kiedykolwiek bał, Nie tego. - Ale sprawiło jej przyjemność, że

to powiedział, Jego dłoń ześlizgnęła się na jej żebra, głaszcząc skórę przez materiał nocnej koszuli.

- I teraz się boje, Ab, że to wszystko rozplynie mi się w rękach.

Wstrzymała oddech, jej skóra drgała wyczekująco, aż wreszcie objął dłonią jej pierś, ciepłą, sterczącą, hojną. Nacisk drugiej jego ręki na karku stawał się coraz bardziej natarczywy, aż posłuchała tego milczącego rozkazu i znowu podała mu usta. Ale tym razem jego pocałunek był równie delikatny jak muśnięcie skrzydła motyla, raczej pocałunek oddechu niż warg. Niemniej całe jej ciało przebiegł dreszcz. Jego pieszczoty były czułe i delikatne, ujął twarde i wyczekujący sutek i ścisnął go łagodnie, aż z jej ust wydobyło się westchnienie. Przeniósł dłonie na jej ramiona, koszula opadła na biodra. Najpierw Abbie poczuła na skórze ciepłe dotknięcie powietrza nocy, a potem ciepłe palce Jesse'a DuFrayne.

Kiedy jego dłoń zagarnęła wreszcie jej obnażoną pierś, oparła skroń o jego brode, poddając się czarownej mocy tego dotyku.

Pogłaskał sterczący sutek zewnętrzną stroną palców, a jej nadgarstki zwisły bezwolnie na jego ramionach. Nieświadomie odchyliła się do tyłu, tworząc miejsce do dalszej eksploracji. Przekonawszy się, że druga pierś jest równie rozbudzona, Jesse jęknął z zadowolenia.

- Och, jakie twarde - powiedział niewyraźnie.

Abbie wymamrotała odpowiedź bez słów; pogrążona w rozkoszy, pragnęła, by trwało to w nieskończoność. Zdawała się unosić ponad sobą, patrząc w dół na obcą, szczęśliwą kobietę, której sprawiał rozkosz jej mężczyzna. Nigdy nie przypuszczała, że ludzie rozmawiają, robiąc takie rzeczy, ale kojący ton jego głosu pozbawił ją resztek oporu, i kochanka, którą obserwowała z góry, odpowiadała swemu partnerowi:

- Czasami wystarczy tylko, że o tobie pomyślę, a one powstają. Raz zdarzyło się to nawet w kościele.

Zachichotał cichutko, z ustami tuż przy jej szyi, ale z trudem powstrzymywał się, by nie rzucić jej na plecy i nie wdrzeć w nią, ostro, głęboko i natychmiast. Pragnął ją smakować, wachać, słuchać jęków, czuć, jak jej ciało go wciąga. Opanował się jednak, świadomy, że powinien przedłużyć tę grę, by sprawić rozkosz obydwójgu. Obsypywał ją pocałunkami, przesuwał rękę wzdłuż jej pleców aż do samego dołu. Uchwycił ją w talii i przycisnął jej nagie udo do sterczącego dowodu swego pożądania, by mogła oswoić się z nieznaną męskością i poznać różnicę pomiędzy nim a nią. Położył jedną dłoń w dole jej brzucha, drugą u podstawy pleców i siedział w pozie modlitewnej, trzymając ją zgiętymi rękami. Polem objął dłonią jej pierś i pociągnął ją za sobą do tyłu w miękkość rozgrzebanej

pościeli. Wylądowała na muskularnym torsie, ale położył ją na plecach i zaczął całować ramię, obojczyk i miękką nabrzmiałą skórę poniżej. Czuła dotyk jedwabistych włosów i wyobrażała je sobie, kiedy gorący, wilgotny język zbliżał się coraz bardziej i bardziej do sutka, aż wreszcie go dotknął. Abbie zaparło dech, wygięła ciało w łuk i na oślep sięgnęła ręką do jego włosów. Język Jesse'a lizał i ssał, wysyłając dreszcze emocji we wszystkie strony od tego miejsca, które nauczyło się pożądać wilgoci jego miłości. Zostawił wilgotną sutkę; kiedy zbliżał twarz do drugiej, Abbie, drżąc, naprowadzała dłonią jego usta. Gorący pocałunek w pierś ożywił jej dawno nie używane zmysły, wilgotny potok namiętności runął w dół. Sutki odczuwały słodkie pragnienie dalszych pieszczot, ale Jesse wyciągnął się obok, podłożył rękę pod głowę i dotykał jej torsu jednym rozigranym palcem. Całe jej ciało pokryło się gęsią skórka, roześmiała się dziecinnie i odsunęła poza zasięg ekscytującego palca.

- Chciałbym dotykać cię wszędzie - powiedział, ale jednocześnie w ogóle przestał jej dotykać, wywołując w niej gwałtowne pragnienie, by ponowił swe pieszczoty. Przez długą, pełną napięcia chwilę patrzyli sobie w oczy, żadne z nich nie odezwało się ani nic poruszyło. Posyłała mu milczące zaproszenie do powrotu, ale niezdolna była wymówić słowa. Wyciągnął rękę wzdłuż tułowia. Podniósł ją wolniutko i dostrzegł drgnienie powiek, kiedy delikatnie dotknął jej brzucha koniuszkiem jednego palca, rysując koła wokół pępka, w górę żeber, wokół sutek aż do gardła. A potem, wciąż tym jednym palcem, przejechał wzdłuż linii, przy której delikatne włosy na jej ciele spotykały się, łączyły i niby strzałka natury wskazywały na miejsce, które płakało z pożądania. Przycisnął jej brzuch i zapuścił palce w delikatny mech, pozwalając im błądzić, podczas gdy ona leżała z zapartym z rozkoszy tchem. Kiedy jednak jego palce zsunęły się niżej, cofnęła się w instynktownej obronie, przed intruzem.

Uświadomiwszy sobie, co zrobiła, poczuła się głupio i niezręcznie, ale nagle ogarnął ją niewytłumaczalny lęk. Jesse na pewno teraz się zdenerwuje, uzna, że jest kompletnie dziecinna i jedynie traci z nią czas.

Ale on wyszeptał jej prosto do ucha:

- Wszystko dobrze, Abbie, wszystko dobrze. - Położył rękę na jej talii i znowu zaczął ją całować, kark, ramiona i jędrne wzgórki pośladków. Podniósł głowę i popatrzył na jej twarz: - Abbie, czy się rozmyśliłaś? - wyszeptał chrapliwie, z napięciem. Patrzyły na niego jej szeroko otwarte, pełne niepewności oczy, ale nie mogła mówić. Wyczuwając jej niespodziewany lęk, starał się go ukoić, szepcząc czule słowa, głaszcząc palcami jej ramiona i obrzeże piersi. - Abbie, jaką ty masz skórę! Jak ciepły budyń... gładka... miękka... i słodka. - I jakby pragnąc to udowodnić, pochylił się, by posmakować tej skóry po wewnętrznej stronie

łokcia, tam, gdzie delikatnie pulsuje żyła. Ujął lekko w zęby aksamitną skórę, gryząc czule, a potem ukrył głowę w zagłębieniu jej brzucha. Plecy jej zeszywniały, więc uniósł głowę i wyszeptał: - Nie bój się, Abbie.

A potem jego dłoń łagodnie, ale natarczywie, zsuwała się w dół, ciepła, powolna, ale zdecydowana. Abbie zamknęła oczy, wciągnęła głęboko powietrze, wyobrażając sobie długość i siłę jego palców, zanim zaczęły poszukiwania, znalazły i wtargnęły.

Była słodko nabrzmiała i absolutnie gotowa, jak gładka wilgotna satyna. Jesse wsparł się na łokciu, żeby ją lepiej widzieć. Poruszył palcem, przez cały czas obserwując jej twarz - drżące powieki, rozchylone wargi, zapadnięte policzki. Pod wpływem tego, co działo się w jej wnętrzu, wygięła się w łuk i wstrzymała oddech. Dotykał jej z absolutnym wyczuciem i pewnością, że dojrzała do tego. Drażnił ją umiejętnie, aż zakryła ręką oczy, oddech miała szybki i urywany, kompletnie mu oddana.

Uśmiechnął się, widząc, jak przeciąga się zmysłowo.

I wtedy odsunął rękę.

Otworzyła zdziwione oczy i ujrzała nad sobą jego uśmiechniętą twarz.

- Jesse... - jęknęła, umierając z pożądania.

- Cicho... mamy całą noc. - Otoczył ją silnym ramieniem i przewrócił na bok, przyciągając blisko do siebie. Jego kolano wślizgnęło się między jej nogi, podjechało wysoko, aż do miejsca, które przed chwilą opuściła jego ręka. Podeszwą stopy pieścił jej łydkę i miękkie zagłębienie pod kolanem. Nawet w słabym świetle dostrzegał wyraz tęsknoty w jej oczach. Podtrzymał pocałunkami jej podniecenie, po czym znowu położył ją na plecy. Z dręczącą powolnością przesunął ręką wzdłuż brzucha, żeber, piersi, pach, wzdłuż wyciągniętej w górę ręki, aż uchwycił jej dłoń. Wyczuł napięcie, kiedy zorientowała się, dokąd prowadzi jej rękę.

- Nie wymamrotała, zanim zdążyła się opanować.

Walczyła z uściskiem jego dłoni, aż zaczął się zastanawiać, jak ma postępować. W końcu położył dłoń Abbie na swoich żebrach, jej pozostawiając wybór. Aby jednak przechylić szalę na swoją stronę, wyszeptywał jej gorące słowa i posługiwał się ponadczasowym językiem ciała, by ją skusić.

- Dotknij mnie, Abbie - zachęcał. - Dotknij mnie tak, jak dotykałem ciebie. - Mówił urywanym szeptem, jego pocałunki znaczyły ogniem jej twarz, jego kolana i biodra wyrażały intymną obietnicę. Jej dłoń, ciepła i lekko wilgotna, nadal leżała drżąca na jego żebrach. - Ab, tak to się odbywa, najpierw dotykamy się nawzajem. Czy było ci przyjemnie, kiedy cię dotykałem? - Usłyszał, że gwałtownie przełknęła ślinę. - Było przyjemnie, prawda?

Mężczyznom sprawia to taką samą przyjemność jak kobietom.

Lękliwa nieśmiałość wypełniała jej gardło, ale ręka nie chciała się ruszyć. Zrób to! Zrób! - powtarzała sobie, a serce niemal wyskakiwało jej z piersi. Ale na to nie była przygotowana. Spodziewała się, że będzie leżała nieruchomo i pozwoli mu robić to, co miał do zrobienia. Myśl o pieszczaniu go paliła jej dłoń pragnieniem poznania, ale bała się, że kiedy raz go dotknie, duch matki da o sobie znać.

- Dotknij tylko, a będziesz wiedziała.

Znowu wyciągnął rękę, by ją podrażnić, dać przedsmak ognia, który przedtem tak ja obezwładnił, a ona wyprężyła się na powitanie. Ale zwodnicze palce ponownie się odsunęły i dopiero teraz zrozumiała, co oznacza frustracja. Przełknęła ślinę i poruszyła ręką. Leżał znieruchomiał w oczekiwaniu. Kiedy jednak wreszcie opuszki jej palców zetknęły się z jego nabrzmiałością, błyskawicznie zacisnęły się w pięść: okazał się tak zaskakująco rozpalony!

Teraz Jesse zatracił wszelkie poczucie ostrożności - poruszył się błyskawicznie i uwięził jej dłoń między ich ciałami.

- Ab, weź go, dotknij - błagał pełnym napięcia szeptem.

Stracił uwiązał jej w gardle, Wierzch dłoni spoczywał teraz na tym twardo miękkim pozarze, ale nieśmiałość hamowała jej chęć poddania się jego woli. Zacisnęła powieki, a Jesse tymczasem niestrudzenie naprowadzał jej palce na ową obrzmiałość i pokazywał, jak może dać mu rozkosz. Ciszę przerwał gwałtowny jęk, otworzyła oczy i zobaczyła, że Jesse opiera się na łokciu, głowę ma odchyloną do tyłu, a usta otwarte, jakby pod wpływem silnego bólu. Jęknął głęboko, a ona oderwała rękę z poczuciem winy.

- Jesse, co się stało? Czy sprawiłam ci ból?

Pochylił się nad nią zręcznym, brutalnym ruchem i położył jej rękę z powrotem na poprzednie miejsce.

- Boże, nie, nie, nie sprawiłaś mi bólu. Możesz robić wszystko, co chcesz. Rób to... proszę. - Przykrył ustami jej wargi, niemal natarczywie, język i biodra poruszały się rytmicznym ruchem, a ręka przesunęła się po jej brzuchu w nagłym poszukiwaniu.

Zmysły jej rozdarte były pomiędzy kręte przyływy i odpływy we wnętrzu dłoni a ciepłą rękę sunącą po jej udzie; znowu popędzał ją ruchami delikatnymi jak muśnięcia piórka, a jego wszechwiedzące palce nigdy się nie myliły. Kobiecość Abbie, nieożywiona do trzydziestu trzech lat, stworzona przez naturę, a wykarmiona przez czas, wybuchła teraz i rozkwitła błyskawicznie.

Mgliście uświadamiała sobie, że brutalnie odepchnął jej rękę, ale nie mogła otworzyć oczu, podobnie jak nie mogła zapanować nad wulkanicznym wybuchem, do którego Jesse

doprowadził bez najmniejszego wysiłku. A on cały czas szeptał pieszczotliwie, oparty na łokciu, całował jej oczy, głaskał skórę.

- Ab, rozluźnij się, wzlatuj, wzlatuj razem ze mną...

Usta jej wypowiedziały jego imię, podczas gdy z głębi jej brzucha spływały w dół fale żaru, aż biodra jej uniosły się w górę, stęsknione. Kiedy opanował ją ostatni skurcz, nie była przygotowana, że ogarnie ją z taką siłą. Nigdy... nigdy by się nie domyśliła... ach, jaka to siła, jakie uniesienie... Jesse, myślała, ach, Jesse, jak wspaniale... miałeś rację, Jesse. Mamo, dlaczego ostrzegałaś mnie przed tym?

Wbiła mu w ramię paznokcie. Z gardła wydobył jej się urywany krzyk ekstazy, a kiedy szarpnął nią dreszcz, Jesse przykrył jej ciało swoim. Wymawiał jej imię, a jedwabiste włosy na jego torsie dotykały jej piersi, wchłaniały zalegającą na nich cieniutką warstewkę wilgoci. Jego nabrzmiałe ciało poszukiwało, badało, aż wreszcie znalazło przystań. Oparł ręce po obu stronach jej wąskich barków, odchylając się do tyłu.

- Abbie, teraz cię zaboli, ale tylko raz, obiecuję.

Wtargnęło w nią gorące ciało, jej własne stawiało opór. Zaczęła się wyrывać, odpychać go.

- Abbie, rozluźnij się, tak będzie lepiej. Nie odpychaj mnie, Abbie. - Ale tłukła w niego pięściami, więc pochwycił je i przygwoździł do materaca. - Chciałbym, żeby było ci dobrze - mówił, kiedy przygniatał ją i parł do przodu. Wstrzymała oddech i wydała okrzyk przerażenia, ale uciszył go pocałunkiem, a potem wymawiał jej imię w czułym usprawiedliwieniu.

Od ekstazy, jaką Abbie przeżyła przed momentem, przeszła do szarpiącego bólu. Wyprężyła ramiona na materacu, ale on trzymał ją mocno, a jednocześnie poruszał się w jej wnętrzu. Delikatna membrana rozerwała się, śląc sygnały niepokoju do kończyn, tak niedawno obezwładnionych rozkoszą. Abbie walczyła bezskutecznie, ponieważ kontrolował każdy przejaw jej oporu dzięki swoim rozmiarom i sile. Oddychał urywanie przy każdym pchnięciu, wreszcie poddała się, przekreśliła głowę na bok i biernie oczekiwała na zakończenie męki.

Każdy ruch, każde pchnięcie sprawiało jemu również rozdzierający ból. Dawno nie używane mięśnie nogi rozpały się, jakby ktoś wpychał rozżarzony pogrzbacz prosto w ranę. Zgrzytał zębami, przyciskał jej nadgarstki, myśląc o tym, jaka jest drobniutka, i pogarszał swoją sytuację, podnosząc się jak najwyżej, by oszczędzić jej bólu. Starał się zapomnieć o własnym cierpieniu i zażyć jak najwięcej rozkoszy, ale im szybsze wykonywał ruchy, tym bardziej bolała go noga. Na czoło wystąpił mu pot, kiedy ból powoli, choć

zdecydowanie, brał górę. Opuścił głowę i niemal ponuro usiłował doprowadzić rzecz do końca. Ręce mu drżały, z gardła wydobył się jęk, kiedy wreszcie opadł na nią, a palące strumienie białego ognia ogarnęły jego lędźwie. Westchnął, ale nie było to westchnienie przesytu, raczej ulgi.

Zsunął się z niej, jedna noga leżała w poprzek jej ud, a ona, mimo swej naiwności, wiedziała, że coś jest nie tak. Nie było mu tak dobrze, jak jej przed chwilą, Jęczał w poduszkę tuż przy jej uchu i obrócił się na łóżku, Słyszała, że zgrzyta zębami, czuła, że napięte mięśnie dalej drżą. Przypominała sobie wszystko i doskonale wiedziała, czyja to wina. To nagłe wycofanie się mogło być spowodowane tylko brukiem umiejętności z jej strony. Niepewna, co zrobiła źle, nie miała jednak wątpliwości, że gdzieś pobłądziła, bo teraz przypomniało jej się, jak brutalnie odepchnął jej rękę ze swego ciała. Leżał, zakrywając oczy dłonią, najwyraźniej pełen ulgi, że ma to już za sobą. Zasmucona, odsunęła się od niego i przeklinała fakt, że była głupią trzydziestotrzyletnią dziewicą, niezdolną wykonać nawet najprostszej czynności tak, by go zadowolić.

- Dokąd idziesz? - usłyszała.

- Na górę. - Chciała usiąść, ale silne ramię przygwoździło ją do łóżka.

- O co chodzi?

- Puść mnie. - Czuła już, że zbiera jej się na płacz.

- Nie puszczę, dopóki nie powiesz, co się stało.

Szczypały ją powieki. Ugryzła się w wewnętrzną stronę wargi, zaczęło ją opanowywać rozczarowanie, gniew i poczucie winy.

- Dziękuję, panie DuFrayne, za te z serca płynące działania - powiedziała zjadliwie.

- Co takiego? - Wyciągnął szyję, wbił palce w jej ramię.

- Jak inaczej mogę nazwać podobną klęskę?

- Co się stało, Abbie, czy ci nie dogodziłem? - spytał z sarkazmem.

- Och, mnie dogodziłeś jak najbardziej. Obawiam się, że to ja nie stanęłam na wysokości zadania.

Rozluźnił się błyskawicznie.

- Słuchaj, to przecież twój pierwszy raz. Trzeba czasu, żeby się - nauczyć, wierz mi.

Zdjęła jego palce ze swego ramienia, odsunęła się, głęboko teraz zawstydzona wszystkimi swoimi jękami, podczas gdy on zachowywał się lak, jakby nie mógł się doczekać, kiedy z nią skończy. Zsunął się z niej najszybciej jak mógł i leżał obok, niczym wielka milcząca kłoda. Bez słowa. A więc dobrze! Jeśli i on nic ma nic do powiedzenia, to ona leż nic nie powie! Patrzyła na oświetlone księżycem okno, walcząc ze łzami, przypominając

sobie, że on od początku nie chciał się z nią kochać, że praktycznie musiała go o to błagać. Śmiertelnie tym zbulwersowana, znów zrobiła ruch, jakby chciała wstać, ale schwycił ją za ramiona i położył z powrotem.

- O nie, nic podobnego! Nie uciekniesz z tego łóżka, dopóki nie powiesz, o co chodzi, bo ci na to nie pozwolę! Zostaniesz tutaj tak długo, aż się dowiem, co cię ugryzło, a potem dasz mi szansę, żeby to wytłumaczyć.

- Nic mnie nie ugryzło!

- Akurat! Czy nawet tego nic możemy zrobić bez walki? Nawet lego! - Ugryzła się w język, żeby nie krzyknąć na cały głos. - Zdawało mi się, że poszło nam całkiem nieźle, zważywszy, że robiliśmy to po raz pierwszy, więc o co ci chodzi?

- Pozwól mi wstać, zresztą i tak już ze mną skończyłeś. - Męczeństwo zdawało się mieć tak błogosławioną słodycz. Jednak silne ramię przygwaźdżało ją, uniemożliwiając ucieczkę.

- Co zrobiłem? - warknął. Z każdą chwilą rosła jego złość, nie rozumiał bowiem tej naglej, niewytłumaczalnej opryskliwości. - Nie mów do mnie takim tonem, jakbym sprowadził cię tutaj wbrew twojej woli i zgwałcił!

- Nie to miałam na myśli. Chodzi mi o to, że nie ulega wątpliwości, iż jestem niczym.

- Abbie, nie mów tak. - Jego głos stracił gniewne tony. - Jeśli to się zdarza między mężczyzną a kobietą, to nie powinni potem czuć się niczym. Bo to zawsze powinno ich wzbogacić.

- Ale ja byłam niczym. Sam to powiedziałaś.

- Nigdy nie powiedziałem niczego podobnego!

- Powiedziałaś, że to... wymaga czasu... żeby się nauczyć. - • Pod jej powiekami zbierały się łzy.

- Bo to prawda, do cholery! Ale nie świadczy to przeciwko Tobie.

- Jessie DuFrayne, jak śmiesz leżeć tu nade mną i kląć mi prosto w ucho!

- Będę tu leżał i robił, co mi się żywnie podoba, panno Abigail McKenzie! A poza tym wszystko zrozumiałaś na opak. Spójrz na siebie! Przecież jesteś o połowę mniejsza ode mnie. Jak myślisz, co by się stało, gdybym wykorzystał wszystkie swoje możliwości?

Odwróciła głowę. Ujął dłońmi jej policzki i zmusił, żeby na niego spojrzała.

- Abbie, nie chciałem sprawić ci bólu, więc się powstrzymywałem... a kiedy mężczyzna tak robi, nie jest to najlepsze. Prawda, jesteś niedoświadczona, prawda, że nie znasz wszystkich ruchów, ale to mi nie przeszkadzało. Kiedy doszliśmy do końca, doskonale zdawałem sobie sprawę, jakie to bolesne dla Ciebie - pierwszy raz dla kobiety zawsze jest

bolesny, Ze względu na ciebie chciałem to skończyć jak najszybciej.

- Nie jestem z porcelany, jak talerz do zupy, który potłukłeś kiedyś w tym pokoju! - nadała się.

- Nie mam pojęcia, z jakiego powodu zrzędzisz! O co chodzi?

Broda jej drżała, po policzku popłynęła łza. Spojrzała na ławeczkę w wykuszu okiennym, oświetloną blaskiem księżyca.

- Ja... ja też nie wiem. Zachowywałeś się... jakbyś był zadowolony, że już po wszystkim.

Westchnął, zmęczony i zde gustowany.

- Abbie, noga bolała mnie jak diabli i nie chciałem sprawiać ci zbytniego bólu... i... do jasnej cholery! - wykrzyknął, waląc pięścią w materac. Przewrócił się na wznak i patrzył w sufit.

Już nie miała wątpliwości, że z nią skończył, i usiadła. Ale delikatnie dotknął jej ramienia.

- Zostań chwilę - poprosił. - Zostaniesz? - W jego głosie brzmiała teraz nowa nutka szczerości. Abbie odgarnęła włosy do tyłu, wytarła oczy, żałując, że w ogóle to zaczęła. - Nie odchodź, Abbie, nie w taki sposób - błagał, opierając się na łokciu.

- Sięgam tylko po prześcieradło.

Znalazła prześcieradło na podłodze i najpierw wytarła nim oczy, a potem się okryła. Prześcieradło przykryło również Jesse'a i leżeli tak jak para strachów na wróble, w milczeniu i w atmosferze nieporozumienia. W końcu Jesse obrócił się na bok przodem do niej, podparł na łokciu i wpatrywał się w jej wyrazisty profil rysujący się na tle mlecznej bieli okna. Znowu odezwał się ciepłym i rozbrajającym głosem:

- Abbie, czy myślisz, że mężczyźnie zawsze jest łatwo? A więc nie jest. Od mężczyzny oczekuje się, że będzie przewodził i kobieta ufa, że on zrobi to, co należy. Ale fakt, że jest przywódcą, nie czyni z mężczyzny ani istoty nieustraszonej, ani nieomyślnej.

Abbie patrzyła w sufit, prześcieradło ciasno opinało jej ciało pod pachami, a łzy spływały do uszu. Jesse przesunął bezwiednie palcem wzdłuż naciągniętej krawędzi prześcieradła i mówił dalej:

- Dziś posiadam dziewicę. Czy wiesz, jakie myśli rodzą się w głowie mężczyzny podczas takiego aktu? Myślisz, że nie obawiałem się, iż możesz mnie odepchnąć, czy uznać, że posunąłem się za daleko, za mocno czy za szybko? Abbie, sądzisz, że nie zauważyłem, jak się wzdrygnęłaś przed dotknięciem mnie? Co miałem wtedy zrobić? Przerwać, na miłość boską? - W tę i z powrotem, w tę i z powrotem wędrował jego palec, leciutko muskając jej

skórę przy brzegu prześcieradła. - Obiecałem, że postaram się sprawić ci przyjemność, ale pierwszy raz nigdy nie jest dla kobiety zbyt przyjemny. Abbie, czy wiesz, że bałem się potem? Przez cały czas miałem wątpliwości tak samo jak ty, tak jak wszyscy kochankowie, którzy robią to pierwszy raz. Im dalej się posuwałem, tym większy lęk mnie ogarniał, że nagle wstaniesz i uciekniesz. Abbie, spójrz na mnie.

Posłuchała go, ponieważ robił wrażenie bardzo szczerego i bardzo dotkniętego.

- Abbie, co zrobiłem źle? - spytał ciepło. Przestał się bawić prześcieradłem i położył nieruchomą dłoń między jej piersiami, opierając łokieć w zagłębieniu żeber.

- Nic, nic. To... ja. Byłam taka głośna i bałam się zrobić to, czego chciałeś. Miałam do ciebie pretensję, bo na końcu to bolało i... och... wszystko. - Obróciła twarz w jego stronę, zasmucona. Teraz łzy płynęły niepoohamowanie. - Łatwiej... łatwiej jest wściekać się na ciebie niż... niż... na siebie samą.

- Cicho, Abbie, byłaś bardzo dobra.

- Nie... nic byłam bardzo dobra, byłam przerażona i dziecinna, ale nie spodziewałam się...

Wielka dłoń pogłaskała ją po policzku.

- Wiem, Ab, wiem. Dla ciebie to wszystko jest nowością. Ale nie płacz i nie myśl, że nie dałaś mi przyjemności, bo to nieprawda.

Była przerażona, że nie potrafi zatrzymać potoku łez. Jego palec w zagłębieniu oczodołu robił się wilgotny. Abbie zdawało się, że pęknie jej klatka piersiowa, tak bardzo starała się opanować szloch.

- To dli... dlaczego tak bardzo się śpieszyłeś, żeby z tym skończyć? Słyszałam nawet... jak zgrzytałeś zębami.

- Powiedziałem ci, dlaczego się śpieszyłem. Bolała mnie noga i bałem się, że cię zgmiotę. Zresztą pod koniec ja też nie byłem taki wspaniały. - Uniósł wyżej głowę, by spojrzeć na twarz Abbie, i zauważył, że ma zamknięte oczy. Nigdy w życiu nie znalazł się w podobnej sytuacji. On także czuł się niezdarny i nie zaspokojony. Ale zarazem czuł się szczególnie opiekuńczy wobec Abbie. Po raz pierwszy spotkał kobietę, która przejmowała się zaspokojeniem jego potrzeb w równym stopniu co własnych. Pochylił się, by pocałować słony potok na jej policzku, a ona nagle objęła go za szyję, szlochając żałośnie. Łkania budziły w nim pragnienie pocieszenia jej i wyjaśnienia sytuacji.

- Abbie, Abbie, nie płacz - szeptał z ustami przy jej włosach. - Spróbujemy jeszcze raz i będzie lepiej. - Rozumiał jednak, dlaczego płakała. Rozumiał, jak daleką drogę przebyła od przyzwyczajenia do tego momentu, więc obejmował ją czule, szepcząc pieszczotliwe słowa i

głaszcząc ją po włosach.

- Och, Jesse, tak bardzo chciałam mieć dobre wspomnienia z tej nocy. Nie chciałam, żebyśmy dzisiaj walczyli z sobą. Chciałam, żebyśmy sobie nawzajem zrobili przyjemność.

- Cicho, Abbie, są na to różne sposoby. - Wylał jej łzy rogiem prześcieradła. - Różne sposoby i dużo czasu.

- Więc pokaż mi je, Jesse, pokaż - błagała, pragnąc rozpaczliwie, by ta noc nie zakończyła się klęską. Jego ręka znieruchomiała. Pocałował ją w skroń. Słyszała, jak przełykał ślinę.

- Teraz nie mogę. Mężczyzna musi robić przerwy, Abbie, a moja noga też potrzebuje odpoczynku. Za chwilę... dobrze?

Nie uwierzyła mu jednak. Miała teraz pewność, że on jedynie stara się ją uspokoić, ponieważ za pierwszym razem okazała się tak nieudolna. Znowu położył się na wznak, opanowując westchnienie bólu, kiedy wyprostował nogę. Abbie leżała nieruchomo, wpatrując się w sufit, przypominając sobie po kolei wszystkie momenty i na nowo oceniając Jesse'a DuFrayne zgodnie z tym, czego dowiedziała się o nim dzisiejszej nocy. Nie mogła już uważać go za kogoś, kto bezczęści kobiety, był bowiem czułym i delikatnym kochankiem. Nie był tak nieustraszony, jak myślała, był bardziej ludzki, miał wątpliwości, podobnie jak ona. Zawsze wydawał się tak śmiały i pewny siebie. Jaka rewelacją była myśl, że za tym wszystkim kryła się niepewność. A jednak, mimo własnego rozczarowania, pocieszał ją czułymi słowami, pomniejszał jej poczucie nieudolności, biorąc winę na siebie.

Ale jak spojrzeć mu w oczy rankiem? Jak zdoła po obudzeniu się spojrzeć w te ciemne oczy, kiedy żadne z nich nie będzie mogło zaprzeczyć, że to kochanie się było katastrofalną klapą?

Leżała zupełnie nieruchomo, co już się kiedyś w tym pokoju przydarzyło, czekając, aż on zaśnie, żeby mogła się wymknąć.

Jednak duża ciężka dłoń sięgnęła do jej włosów i Jesse przytulił ją do siebie. Oparł brodę na czubku jej głowy, zamknęła oczy, westchnęła, niezdolna odmówić sobie przyjemności, jaką czuła w tych objęciach. Po chwili jego ręka poruszyła się leniwie w jej włosach. Pod policzkiem czuła jedwabistość jego umięśnionego torsu. Powtarzała sobie, że musi wstać i odejść, ale co mu powie rano? Czuła się jednak bezpieczna jak pisklę w gnieździe. Ręka na jej głowie stawała się coraz, cięższa, aż wreszcie znieruchomiała zupełnie. Druga, przerzucona przez jej biodra, poruszyła się raz w spazmatycznym skurczu. Jego ciężki oddech targał jej włosy.

Nie znane jej dotychczas letargiczne uczucie obezwładniło powieki i kończyny.

Wiedziała, że zasypia w ramionach Jesse'a DuFrayne, czulego i troskliwego kochanka. Wiedziała, że rano musi pogodzić się z faktem, iż on wyjeżdża. Ale to wszystko przestawało mieć jakiegokolwiek znaczenie.

I nieoczekiwanie obydwójce zasnęli.

Góry Skaliste Colorado rozpostarły nad kochankami opiekuńcze ramiona. Księżyc oświetlał ziemię, wdrapywał się na chmury i spływał po drugiej, zachodniej stronie. W różowiejącym brzasku odezwały się szczebioty ptaków. Śpiący mężczyzna przewrócił się na bok i przytknął twarz do jasnego, ciepłego ramienia. Śpiąca kobieta wcisnęła poduszkę w zagłębienie barku i podsunęła ugięte kolano niemal do nosa. Mężczyzna zachrapał lekko i przewrócił się na brzuch, pukiel włosów zaczepił się o jego wąsy i łaskotał go przy oddechu. Długą śniadą dłonią podrapał się w nos, usiłując odsunąć zawadę. Ale przy każdym oddechu nadal coś go łaskotało. Prychnął, rozbudzony, poczuł na palcach coś miękkiego i otworzył senne oczy, by sprawdzić, co to takiego.

Abbie.

Uśmiechnął się na widok zwieńczonej różą piersi, która niemal zakrywała wierzch jego dłoni. Druga pierś kryła się gdzieś w pościeli, ponieważ Abbie również przekręciła się w połowie na brzuch, jedno kolano uniosła do góry, demonstrując pięknie utoczone biodro, kryjąc jednak swe kobiece sekrety. Jesse uśmiechnął się. Lubi przytulać się do pościeli - pomyślał. Uśmiech zniknął z jego twarzy na wspomnienie jej wieczornego płaczu. Ostrożnie uwolnił dłoń, przewrócił się na bok i oparł głowę na rękę. Wodził wzrokiem po jej ciele. Maleńkie palce u nóg, cienkie kostki, kształtne łydki. Pamiętał, że kiedyś udało mu się rzucić na nie okiem, ale nigdy nie mógł obejrzeć ich tak dokładnie. Jej biodro miało krągłość morskiej fali, a wcięcie talii było równie zdecydowane jak zagłębienie między falami. Głęboka szczelina tworzyła interesujący kąt sklepiony kolanem podciągniętym niemal pod szyję. Przez umysł Jessa przewinęły się miriady wspomnień. Abbie, ocaliłaś mi życie; Abbie, płakałaś przeze mnie; Abbie, wkrótce muszę wyjechać. Spojrzał na okno, przez które wślizgiwało się szaroróżowe światło, i poczuł taką pustkę, jakiej nie doznał jeszcze nigdy, opuszczając łóżko kobiety. Dla niego rozkosze ostatniej nocy były w najlepszym razie minimalne, a jednak jego ciało poderwało się do życia na jej widok. Pochylił się, by musnąć pocałunkiem jej zębra, a potem blade udo. Znacznie bardziej tęskny pocałunek złożył w zagłębieniu talii. Niewielka dłoń pacnęła go w głowę. Potem Abbie odwróciła się do niego plecami, ale nadal jedną ugiętą nogę miała podciągniętą do góry.

Serce zaczęło mu bić jak oszalałe, a na czoło wystąpił pot. Abbie była taka drobniutka i wspaniała, a także - i to również była prawda - niewinna, nie miała bowiem pojęcia o

zasięgu jego pożądanego. Wypuścił zatrzymane w płucach powietrze, osunął się niżej na łóżku, musnął językiem miękkie zagłębienie pod jej kolanem, zamknął oczy i oddychał, przywarłszy ustami do jej skóry. Miał świadomość, że wykorzystuje jej sen, ale podniecenie zdawało się rozsądzać jego ciało. Poczł pod językiem smak potu, róż, może także smak samego siebie. Powędrował wzdłuż zarysu nogi, ocierając się włosami o uda, przypomniał sobie, od jak dawna jego ciało było jej tak dobrze znajome.

To, co robił, wydawało się nieuniknione. Wymuszały to tygodnie spędzone razem. Całował ją wszędzie prócz tego jednego miejsca, za którego smakiem tęsknił najbardziej. Czekał, aż się obudzi, aby również tam mogły trafić jego pocałunki. Poznawał krawędzie jej kręgow, kragłość biodra, jędrność ud, pośladków, łydek. Zapamiętywał nawet na pół rozplaszczone piersi. Obudziła się, kiedy ugryzł ją lekko w podbicie stopy, i z przerażeniem w oczach spojrzła przez ramię na znajdującego się za jej plecami mężczyznę. Niewyraźne światło brzasku odbiło się w jego ciemnych, ożywionych oczach, kiedy uniósł się na rękach i wypatrywał na jej twarzy wyrazu przyzwolenia. Nad jego rozchylonymi wargami wąsy tworzyły ciemniejszy, drżący cień. Nie mogła oderwać od nich wzroku, wyczuwając, że właśnie zakończyły wędrówkę po jej skórze. Raz jeszcze zatopiła zadziwiony wzrok w jego oczach i wyczytała w nich głęboką mękę, jakiej nie spodziewała się napotkać we wzroku żadnego mężczyzny. Przywróciło to do życia jej serce i krew w nagłym porywie zmysłowego oczekiwania.

- J... Jesse? - wyjąkała chrapliwie. Powoli opuściła nogę, uświadomiwszy sobie nieprzyzwoitość swojej pozycji i fakt, że on pewnie nie spał już od dłuższej chwili. - Obudziłeś mnie.

- Taki był mój zamiar, kochana - szepnął, trzymając ją na uwięzi jedynie siłą swego pożądanego spojrzenia. Przekręciła się nieznacznie, wsparła na łokciu i obserwowała, jak jego wzrok przeniósł się na jej odsłonięta teraz pierś, a potem powrócił na twarz. Czowała, jak jego ciepła dłoń wędruje od nasady pleców, wzdłuż jednego pośladka, wzdłuż łydki, podciągając łagodnie jej kolano do poprzedniej pozycji. Przez cały ten czas uporczywie patrzył jej w oczy.

- Abbie, teraz moja kolej, żeby poznać twoje ciało, tak jak ty poznawałaś moje przez ostatnie trzy tygodnie.

Poczwała nagle wilgoć w różnych miejscach ciała, które badał jego język, kiedy spała, teraz wysychające fragmenty skóry stawały się chłodniejsze. Opuściła ją cała naiwność, kiedy czytała z oczu jego zamiary. Drgnęła mimo woli, po czym zakryła piersi ręką, nic mając pojęcia, jak przykryć całą nagość. Zahipnotyzowana głodem w jego oczach, patrzyła z

fascynacją, jak przytulał głowę do jej białego biodra, zamykał oczy, a w jego krtani wzbierała namiętność. Oparł się na jednej ręce i ciepłą, miękką dłońią drugiej odwrócił ją na brzuch. Jej policzek zapadł się w poduszki, a serce biło mocno tuż przy materacu, kiedy jego ruchliwe usta wędrowały w górę i w dół jej pleców, szepcząc zarazem: „Abbie... Abbie...Abbie”. Wciąż od nowa muskał jej ciało delikatnymi wąsami i gorącymi wargami, aż wszystko w niej stało się jednym pragnieniem i tęsknotą. Obrócił ją delikatnie na plecy, układając tak, jak chciał. Poważnym głosem zapewniał, że drugi raz jest lepiej, błagał, żeby się nie ruszała, żeby mu nie przeszkadzała.

- Nie opieraj mi się. Abbie, nauczę cię... Abbie, jesteś taka drobniotka... Boże, jaka jesteś piękna... spokojnie.... nie uciekaj ode mnie... przekonasz się... zaufaj mi, Abbie.

Kiedy instynktownie wyciągnęła rękę po prześcieradło, żeby się zakryć, odsunął jej dłoń nosem. Polem przytrzymał zębami jej palec i przeniósł w zagłębienie biodra.

- Jesse - wyszeptała przejmująco, błagając o coś, z czego sama nie zdawała sobie sprawy.

- Abbie, przysięgam ci, że tym razem nie będzie bolało.

Nie pomyślała - ludzie tego nie robią! Ale jednak robią, dowiadywała się, bo jego usta brały ją w posiadanie, wprawiały w zachwyt, który odbierał wszelką chęć oporu. Wreszcie pożar wybuchł w niej jak raca, śląc płonące iskry od brzucha aż po koniuszki palców rąk i nóg. Podniosła powieki i zobaczyła przed sobą jego oczy, w których malowało się pożądanie. Z jękiem zsunęła ramię z materaca, przywołała swoje zmysły z oszalamiających głębin, otworzyła oczy i zorientowała się, że on także oczekuje spełnienia, jakiego sama doznała przed momentem. Wyciągnęła więc zapraszającym gestem omdlałe rozkoszą ramiona.

Zaczął szeptać jej do ucha pouczenia, uniósł ją silnymi opalonymi ramionami, posadził sobie na brzuchu, potem przesunął niżej, aż jej piersi rozpląszczyły się na gęstwie włosów jego torsu. Słowa stały się zbędne, własne ciało i jego ręce mówiły jej, co ma robić. Pierzchły gdzieś niewinność, nieśmiałość, naiwność, kiedy zaczęła wykonywać rytmiczne ruchy, czytając na jego twarzy rozkosz, gdy przymknął powieki, odrzucił głowę na zmaltretowane poduszki. Kiedy rozchylił wargi i przyspieszył oddech, zobaczyła na jego twarzy wyraz całkowitego oddania, do jakiego ją wcześniej doprowadził. Serce jej rosło, oczy piekły. Tak, tak, tak właśnie powinno być i dla mężczyzny, i dla kobiety - uświadomiła sobie.

Jedno dające drugiemu i biorące, przy czym branie i dawanie sprawiały jednakową radość. Zmyliła rytm, a jego powieki drgnęły, przywarł skronią do poduszki, kiedy jej ruchy powróciły do zatraconej na chwilę rytmiczności. Wprost nie do uwierzenia, że kiedy osiągnął szczyt, wydal głośny okrzyk - czy wypowiedział jej imię, czy bezmyślne przekleństwo, czy

jedno i drugie? To nie miało znaczenia,, uśmiechnęła się, dumna ze swej zręczności i przepelniona radością.

Padła na jego szeroką atletyczną pierś; dotykała skronią brody. Znużonym ruchem położył rękę na jej ramieniu, pogłaskał ją pieszczotą zadowolenia, po czym znowu zapadł w poduszki. I w tym momencie usłyszała zdumiona, że do jej ucha dochodzi przytłumiony chichot. Z tej odległości huczał w uchu jak grzmot. Zdziwiona, uniosła głowę, żeby spojrzeć na Jesse'a. Miał zamknięte oczy, pod jej piersią jego tors wznosił się i opadał w milczącym śmiechu. I nagle zrozumiała, dlaczego się śmiał - był to śmiech wyrażający zadowolenie i radość. Na jej ustach również pojawił się uśmiech, a we wnętrzu panowało poczucie błogości. Jesse przytulił ją mocno, uśmiechał się z ustami przy jej włosach i kołysał ich splecione ciała w tę i z powrotem.

- Abbie, Abbie, jaka jesteś dobra - usłyszała pochwałę z ust kochanka. - Jesteś cholernie dobra.

W tym momencie nic nie mogłoby sprawić Abbie większej przyjemności. Uśmiechnęła się z głową przytuloną do jego piersi.

Odrzucił ręce do tyłu. Abbie usiadła na łóżku, wpatrując się w niego, ale miał zamknięte oczy. Z niedowierzaniem stwierdziła, że zasnął, a ona siedziała na nim okrakiem - zdumiona, naga i odnowiona.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Obudziwszy się rano, Abbie nie wątpiła, że trochę przeholowała. Miała już trzydzieści trzy lata i mięśnie, które wczoraj naciągnęła, nie były rozciągane od lat. Powstrzymując jęk, przesunęła się na skraj łóżka.

- Dzień dobry, panno Abigail - powitał ją przyjemny, lekko chrapliwy głos zza pleców. Nie mogła jednak znieść myśli o tym, że ma spojrzeć na Jesse'a, wiedząc, że za kilka godzin po prostu zniknie z jej życia. Dwie silne, opalone ręce otoczyły jej białe biodra: leżał za nią rozciągnięty na łóżku równie niedbale jak pomięte prześcieradła.

- Dokąd się wybierałaś? - spytał niespiesznie, ściskając ją mocno.

Wstrzymała oddech, plecy jej zeszywniały.

- Nie rób tego, to boli!

Odsunął ręce i obserwował, jak Abbie wstaje powoli, trzymając się jedną ręką za krzyż. Po dwóch czy trzech krokach obydwójce zorientowali się, że boli ją nie tylko krzyż. Podeszła jednak do sterty bielizny porzuconej na podłodze, pochyliła się z trudem, żeby podnieść szlafrok.

Och, ależ to miły widok!

Jesse miał w planie pewne poranne przyjemności, zorientował się jednak, że nie może być o tym mowy. Abbie wyprostowała się, ale ruchy jej nie były zbyt sprężyste. Z trudem wyszła z pokoju. Jesse tymczasem stwierdził, że czuje się znakomicie - co do tego nie mogło być wątpliwości! Przeciągnął się, ziewnął, podrapał się w pierś i wstał w doskonałym nastroju.

Abbie przystanąła, wpatrując się w zatłuszczony kremowy półmisek, kości i zastygły tłuszcz. Obejrzała filiżanki po kawie z czarnymi pierścieniami fusów na dnie, zwykle szklanki z wywietrzalym szampanem, plamę na obrusie, gdzie wylądował kawałek mięsa, który wypadł jej z ust. Przypomniała sobie ich radosny śmiech, kiedy próbowała zarzucić obrus na stół. Oglądała to wszystko i poczuła przygnębienie; stała na środku pokoju i coraz mocniej zaciskała pasek szlafroka, aż niemal przecinał ją na pół. Powtarzała sobie, że nie będzie wspominała ostatniej nocy juko brudnej! Nie mogłaby tego robić! Jednak patrząc na bałagan na stole, zastanawiała się ze smutkiem, czy powinna najpierw umyć naczynia, czy siebie.

Za jej plecami Jesse oparł się o framugę drzwi i skrzyżował ręce na piersiach. Dokładnie czytał w jej myślach, ale nie bardzo wiedział, jak się zachować i co powiedzieć. Gdyby próbował wziąć ją w ramiona, na pewno by go odepchnęła. Gdyby dał jej prawo obarczać go winą, niechybnie pogorszyłoby to sytuację. A jednak nie mógł przecież pozwolić,

żeby stała tak bez końca, poddając cenzurze swoje postęпки.

Podszedł, położył jej obie ręce na ramionach i rzekł:

- Rano człowiek potrzebuje czasami potwierdzenia... oboje czasami potrzebują potwierdzenia. - Szyja Abbie była bardzo usztywniona, zaczął więc powoli ją masować. Poczul, że przełknęła ślinę. - Rano wszystko wydaje się zupełnie inne, najlepiej więc poczekać do popołudnia z oceną sytuacji. A do tego czasu zwyczaj każe choćby uznać istnienie partnera. Zwykle robi się to w tak czarujący i staroświecki sposób.

Abbie poczuła, że obraca ją przodem do siebie. Wiedziała, że jej twarz i włosy przedstawiają oplakany widok, że cała ta sytuacja jest przerażająca. Ale wszystko straciło znaczenie, kiedy ujął ją za ręce, którymi próbowała zakryć oczy, pocałował delikatnie i dalej masował szyję. Tak bardzo chciała odpowiedzieć, ale czuła się przestraszona i winna, więc przymrużyła jedynie powieki. Tylko na to mogła się zdobyć. Jesse rozumiał jednak, że opanowały ją już wyrzuty sumienia, więc jeszcze raz pocałował ją z czułością, muskając delikatnie obydwie kącki ust.

Ten pocałunek stanowił kolejne zaskoczenie, niepowtarzalne, przyjemne uczucie, którego łagodność niosła zagrożenie. Ale kiedy jego gorące wargi po raz pierwszy w życiu witały ją rano jako kochankę, przypomniała sobie nagle, że zanim dzień dobiegnie końca, on wyjedzie. Z najwyższym trudem opanowała chęć przytulenia się do niego. Zagryzła wargi, podczas gdy Jesse opierał podbródek na czubku jej głowy. Masował rękami jej krzyż gestem i serdecznej troski i wyszeptał:

- Ten ból szybko minie.

A ona niemal krzyczała w myślach: „Tak jak ty, Jesse, tak jak ty!”

Wstrząśnięta była jego wrażliwością, pełnią zrozumienia. Zarówno wczoraj wieczorem, jak i dziś rano traktował ją z czułością, i teraz pragnęła, żeby nie był taki serdeczny. Ta czułość utrudniała zaakceptowanie jego rychłego wyjazdu. Gdyby zachowywał się tak jak poprzednio, drażniąc się, dokuczając czy irytując ją, bardziej by jej to odpowiadało, ponieważ powtarzała sobie z największą surowością, że nie będzie - absolutnie nie będzie - błagać go, żeby został.

W tym momencie poklepał ją po pośladkach i powiedział:

- Dlaczego nie weźmiesz przyjemnej, gorącej kąpieli zamiast myśleć o śniadaniu? Wczoraj przecież jedliśmy późno kolację.

Sztywno wysunęła się z objęć Jesse'a, jego troska z każdą chwilą otwierała w niej nowe rany. Kiedy zaczęła rozpalać pod kuchnią, skrzywiła się, podnosząc ciężkie polano, a on podszedł i wziął od niej drewno.

- Pozwól, że ja to zrobię. Pozbieraj swoje rzeczy albo sprzątnij ze stołu, a ja tymczasem napalę pod kuchnią i przyniosę wody.

Odwróciła się, przytłoczona ciężarem jego dobroci. Zawołał za nią:

- Abbie?

Po raz pierwszy spojrzała mu w oczy z drugiego krańca kuchni. Wyglądał równie naturalnie jak zawsze, boso, w samych dzinsach, z długim polanem w rękach, włosy miał czarne i potargane, a oczy i włosy wyjątkowo pociągające.

- Słucham?

- Jeszcze nic do mnie nie powiedziałaś oprócz „nie rób tego, to boli”.

Niech cię diabli, Jesse, nie rób mi tego - pomyślała. - Nie zasługuję na to wszystko!

Dlaczego musiał stać w kuchni, tak przystojny i troskliwy, tak ciepły i sympatyczny dopiero teraz, kiedy miał za chwilę odjechać?

- Nic mi nie jest - zapewniła obojętnie, ukrywając szalejącą we wnętrzu burzę. - Nie przejmuj się ostatnią nocą, potrafię z tym żyć.

- To już lepiej - oznajmił, odkładając polano i strząsając z dłoni kawałeczki kory. - Abbie, muszę cię poprosić o przysługę.

- Słucham.

- Czy sklepy w mieście są już otwarte?

- Tak.

- Moje rzeczy pojechały pociągiem razem z ekwipunkiem fotograficznym. Wszystko było zapakowane razem. Muszę sobie kupić ubranie, a nie mam pieniędzy. Zapomniałem poprosić o to Jima. Może pożyczysz mi trochę z tego tysiąca? Postaram się zwrócić dług.

- Nie mów głupstw. Nie musisz mi niczego zwracać. Te pieniądze są na twoje potrzeby, a jeśli potrzebne ci ubranie, to, naturalnie, możesz wydać, ile chcesz.

- Pomyślałem, że tylko trochę przemyję twarz, szybko się poczeszę, kupię, co potrzeba, i wrócę tutaj, żeby się umyć i ubrać przed wyjazdem. Nie masz nic przeciwko temu?

- A więc wyjeżdżasz rannym pociągiem?

- Nie. W południe spotykam się z ludźmi, żeby przedyskutować... pewne interesy, a potem pojedę tym po południu o piętnastej dwadzieścia.

- Spotykasz się z ludźmi? - zapytała, zaskoczona, ale odwrócił wzrok, zajęty rozpalaniem pod kuchnią.

- Tak. Jim zorganizował spotkanie i wczoraj mi o nim powiedział. Twierdził, że nie muszę przychodzić, ale chcę iść, skoro dotyczy to... interesów kolei, w które jestem

zaangażowany.

Zastanawiała się, w jakim to zebraniu musi uczestniczyć kolejowy fotograf, w tak nieważnym i peryferyjnym miasteczku jak Stuart's Junction, uznała jednak, że to nie jej sprawa. Po jednej miłosnej nocy zaczynała wchodzić w rolę wymagającej kochanki. Nie miał obowiązku tłumaczyć się przed nią ze swoich interesów.

- Oczywiście - zgodziła się, obserwując, jak Jesse przegarnia w palenisku. Wyglądał tak naturalnie - boso i z obnażonym torsem. Trudno było wyobrazić go sobie w pełnym ubraniu. Nigdy nie przypuszczała, że dożyje dnia, kiedy on kupi i włoży ubranie, pomijając już zebranie w sprawach kolei. Uderzyła ją myśl, że Jesse nie może się doczekać chwili odjazdu, skoro zapamiętał .dokładnie godziny kolejnych gwizdków lokomotywy.

Kilka minut później, gdy siedziała przy sekretarzyku w salonie, Jesse wyszedł z sypialni w starannie pozapinanej i wpuszczonej W spodnie koszuli, w butach, porządnie uczesany.

- Abbie, mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, iż użyłem twojej szczotki do włosów, ale nie mam swojej.

Nie wiedziała, czy ma się śmiać, czy płakać, wysłuchawszy tej uwagi po wszystkim, co zaszło między nimi poprzedniej nocy.

Podala mu świeżo wypisany czek ze słowami:

- Oczywiście, że nie mam nic przeciwko temu. Proszę. Mam nadzieję, że to wystarczy. Nie mam w domu wiele gotówki.

Powoli wyciągnął rękę, nie odrywając wzroku od jej opuszczonej twarzy. Ujął czek smukłymi palcami.

- Niedługo wrócę. - Zawahał się, bardzo chciał, żeby na niego spojrzała, ale zorientowawszy się, że nie ma takiego zamiaru, wyszedł.

Zawołała za nim:

- Sklep bławatny Holmesa, po lewej stronie, nie dochodząc do przecznicy!

Pożerała wzrokiem jego szerokie bary. Nagle zatrzymał się, oparł ręką o kolumnkę ganku i wpatrywał się w swoje buły. Trzepnął dłonią kolumnę, wymamrotał „cholera” i wrócił do domu.

Ochronne drzwi zaskrzypiały niczym jej nadwężone kochaniem stawy, serce jej załomotało i pragnęła rozpaczliwie tylko jednego, żeby on już poszedł, poszedł jak najszybciej. Ale zbliżył się do biurka i stanął, opierając ciężar ciała na jednej nodze, dłoń włożył za pasek dżinsów. Pochylił się jednym bokiem w jej stronę, ale Abbie dalej wpatrywała się w przegródki sekretarzyka. Ujął ją palcem pod brodę, wyrwała się z

okrzykiem: „Nie!” Wahał się jeszcze moment, pochylił się bardziej i pocałował ją w nos.

- Jeszcze wróć! - powiedział niezbyt pewnym głosem.

Podbródek Abbie drżał. Jesse wyprostował się, dotknął jej warg wskazującym palcem i wyszedł szybko z domu, tak jak powinien zrobić za pierwszym razem. Drzwi trzasnęły, Abbie oparła oba łokcie na blacie sekretarzyka, a potem opuściła głowę na dłonie. Siedziała tak bardzo długo, nieszczęśliwa i przekonana, że uczucie to jeszcze się pogłębi, zanim uda jej się zapomnieć o Jessie. A musi o nim zapomnieć.

W końcu wstała, umyła się i poszła na górę się ubrać. Włożyła czarną spódnicę i jasnoniebieską bluzkę z organdy. Zapinała pętelki licznych guziczków wysokich mankietów, potem wyciągnęła szyję i wygładziła ciasny koronkowy kołnierzyk, podciągając go niemal do uszu. Wszelkie ślady wczorajszego spotkania zostały zatarte. Kiedy jednak patrzyła na siebie w owalnym lusterku toaletki, wydawała się dziesięć lat starsza niż wczorajszego ranka.

Za sobą dostrzegła odbite w zwierciadle czerwone trzewiczki. Raz jeszcze uniosła niepewny wzrok, zastanawiając się, czy po ostatniej nocy nie jest to najbardziej stosowne obuwie. Obróciła się, wzięła do ręki jeden but, przyjrzała mu się, zamknęła oczy, osądzając samą siebie. W końcu przysiadła na łóżku i włożyła czerwony bucik.

Z dołu dobiegł ją trzask ochronnych drzwi i głos Jesse'a:

- Abbie, wróciłem. Gdzie jesteś?

- Jestem na górze! - zawołała, obrzucając pantofel złowieszczym spojrzeniem.

Jesse dopytywał się od podnóża schodów:

- Czy mogę się wykapać?

- Oczywiście. Jest jeszcze ciepła woda w rezerwuarze i czyste ręczniki w szufladzie naprzeciwko spiżarni.

- Wiem, gdzie trzymasz ręczniki - oznajmił, oddalając się od schodów.

Abbie zamknęła oczy, broniąc się przed uczuciem ogromnej radości, jaka sprawił jej powrót Jesse'a i ta poufała wymiana zdań.

Boże, Boże, nie chciała, żeby odjeżdżał, nie tak szybko.

Dalej miała na nodze jeden czerwony bucik, nachyliła się teraz, żeby go zasnuować. Wyciągnęła stopę, przekreślała kostkę we wszystkie strony, zachwycając się prezentem od Davida Melchera.

W jakiś sposób poprawiło to jej samopoczucie, włożyła więc i drugi.

Znowu dokładnie obejrzała trzewiczki. Ich czerwień zdawała się mniej wyzywająca, mniej nieodpowiednia. Wstała, zrobiła krok i uznała, że są wyjątkowo wygodne. Czowała się w

nich bardzo kobieca. Był to pierwszy w jej życiu drobny objaw próżności, na jaki sobie pozwoliła. Przy czwartym kroku buty przestały być krzykliwe, nabrały zupełnie nowej urody. Nie przejmowała się, że taka ocena była wynikiem jej pragnień. Przechadzając się po sypialni i przysłuchując stukowi obcasów, panna Abigail nie dopuszczała do siebie myśli, że zdecydowała się zejść w tych butach na dół głównie dlatego, by pokazać Jesse'owi DuFrayne, że chociaż znika z jej życia na zawsze, powinien pamiętać, iż nie jest jedynym mężczyzną na świecie.

- Gdzie, do wszystkich diabłów, trzymasz brzytwę? - wołał Jesse z dołu i znowu przypominał dawnego siebie. - Abbie? Muszę się spieszyć.

- Chwileczkę, już idę - odpowiedziała, zbiegając po schodach.

Zupełnie zapomniała o czerwonych bucikach. Wyjęła brzytwę z szuflady w kuchni, a kiedy się odwróciła, ujrzała przed sobą Jesse'a jedynie w wąskich spodniach w kolorze zielononiebieskim.

Kiedy wyciągnął rękę po brzytwę, oczy jej powędrowały od jego talii do bosych stóp i z powrotem na twarz.

- Abbie, możesz mi dać również rzemień do ostrzenia? - zapytał, na pozór nieświadomy jej wewnętrznych reakcji.

A były to niewątpliwie silne reakcje.

Przede wszystkim zupełnie dotychczas nie znane poczucie zaprawionej smutkiem słodyczy. Oto jej dom wypełniony jest widokiem, zapachem i odgłosami porannej toalety mężczyzny. Od dawna myślała, że nigdy więcej już tego nie zobaczy. Owszem, Jesse golił się, mył i ubierał już niejednokrotnie, ale nie przygotowywał się wtedy do tego, by ją opuścić. Teraz знаła dokładnie mięśnie ukryte pod spodniami; miejsca, których dotykała brzytwa; miękkość włosów pod grzebieniem; ciepło skóry, nie tylko jej zapach. Teraz chciała zatrzymać czas, zabronić Jesse'owi wszelkich zabiegów upiększających, jeśli nie robił ich dla niej. Nie miała jednak do tego prawa.

Starła się więc nie patrzeć na jego obnażone barki pochylone nad lusterkiem, na przekrzywioną głowę, na oczy zmrużone w momencie, gdy golił okolice ucha. Starła się nie zachwycać zapadłem mydła do golenia unoszącym się w staropanieńskiej kuchni. Starła się odwracać wzrok od kosztownego materiału świeżo kupionych spodni. Starła się zignorować gwizd pociągu z Denver o dziewiątej pięćdziesiąt, tego samego, który kiedyś przywiózł tu Jesse'a. Udawała, że nie ma żadnego popołudniowego pociągu, który go stąd zabierze.

- Zostawiłem resztę na sekretarzyku - oznajmił Jesse, wycierając twarz. Pochylił się, żeby przycesać wąsy. Nigdy jeszcze nie widziała, jak to robi. Z trudem odwróciła

spragniony wzrok i wyszła do saloniku. Usiadła przy sekretarzyku, starając się sprawiać wrażenie osoby zajętej i z zaferowaniem przekładała papiery. Ale z każdą chwilą robiło jej się coraz ciężiej na sercu. Jesse poszedł do sypialni i zza drzwi dochodził szelest ubrań, stukot butów, brzęk sprzączek, cichy gwizd przez zęby. Momenty ciszy Abbie wypełniała w wyobraźni obrazami tak dobrze znanymi i zakazanymi.

I wtedy Jesse wyszedł z sypialni.

Staął w progu, a Abbie z najwyższym trudem powstrzymała się od wydania okrzyku. Równie dobrze mógł to być ktoś nieznamy, jakiś wyjątkowy dandys. Jesse przyglądał kamizelkę, a jego twarz przybrała dziwny wyraz. Opalona twarz ukazywała się nad wysokim sztywnym kołnierzem, śnieżnej białości, którego końce wywinięte do góry tworzyły na szyi literę „V”. Starannie zawiązany fontaż w paski podtrzymywała spinka. Zwinięty kołnierz dwurzędowej kamizelki widać było pod nienagannymi połami bezbłędnie skrojonego żakieta, który był krótszy i bardziej obcisły niż te, jakie Abigail widywała w kościele. Widok Jesse'a zapierał dech, szczególnie w tym miasteczku, gdzie górnicy paradowali w brudnych bryczesach, przytrzymywanych przez sfatygowane szelki. Ubranie Jesse'a było w zaskakującym kolorze, który przypominał Abbie dzikiego kaczora.

Poczuła nagle ukłucie zazdrości tak silne, że spuściła oczy, żeby nic mógł nic z nich wyczytać; zazdrości o sprawę, dla której wystroił się jak paw dopiero wtedy, kiedy od niej odchodził, podczas gdy przez cały czas pobytu musiała go zmuszać do włożenia butów czy koszuli.

- Znalazłeś wszystkie te cuda w Stuart's Junction? - Pytanie to skierowała do blatu sekretarzyka.

Sadził, że chętnie zobaczy go w końcu w przyzwoitym ubraniu, ale to określenie było zdecydowanie irytujące i krytyczne.

- Wydajesz się zaskoczona, choć nie powinnaś. - Podeszedł z wdziękiem do sekretarzyka i delikatnie przejechał palcami po jego powierzchni. - Teraz kolej żelazna dowozi tu wszystko, co mają na wschodzie. Jankesi nie mają już monopolu na nowości.

- Można było oczekiwać, że wybierzesz przynajmniej mniej rzucający się w oczy kolor - zachnęła się.

- A dlaczego ten jest niedobry? Podobno nazywa się grynszpan i jest bardzo modny na wschodzie i w Europie.

- No proszę, grynszpan? - zadrwiła, przymrużając oczy, starając się ze wszystkich sił nie patrzeć na te kuszące palce. - Chyba pawi byłby bardziej odpowiedni.

- Pawi? - Wreszcie zdjął rękę z sekretarzyka, żeby przyglądzić klapy nowego żakiem.

- Nie jest bardziej pawia niż... niż kolor butów, które przysłał ci Melcher.

Schowała nogi pod krzesło, przyznając w duchu, że grynszpan wcale nie jest taki jaskrawy. Kolor głęboki, męski i całkowicie odpowiedni. Nie miało to jednak najmniejszego znaczenia, bo przecież to nie kolor był powodem jej zdenerwowania, z czego już obydwójce zdawali sobie sprawę.

- Może nie tyle garnitur przypomina pawia, ile jego właściciel - powiedziała napięta, czując, że Jesse już się zjeżył.

- Panno Abigail, może się pani zdecydować, czego pani ode mnie chce! - wykrzyknął, mając naturalnie na myśli sposób ubierania, ona jednak oblała się rumieńcem na wspomnienie żądań poprzedniej nocy. Zaciśnęła usta.

- Musisz się wybierać na wyjątkowo ważne spotkanie, skoro tak cię odmieniło, a ja nie mogłam cię zmusić nawet do tego, żebyś włożył koszulę, ani groźbą, ani prośbą.

- Ani groźbą, ani prośbą? - powtórzył wyraźnie, powoli. Uświadomiła sobie, że w ciągu ostatnich dziesięciu godzin posłużyła się i jednym, i drugim.

- Niech pan nawet nie próbuje nadawać tym słowom jakiegoś przerośniętego znaczenia, mój panie! - warknęła. - Idź sobie! Idź na to swoje *tete - a - tete* w swoim grynszpanowym ubraniu. Tylko nie zapomnij zabrać codziennych spodni. Nigdy nie wiadomo, kiedy ktoś zestrzeli z ciebie ten grynszpan!

Wpatrywali się w siebie uporczywie, a Jesse zastanawiał się, jak się wycofać, by uniknąć dalszych wzajemnych oskarżeń.

W końcu położył ręce na biodrach i pokręcił głową.

- Abbie - zaczął przymilnie - na miłość boską, czy nie możemy przynajmniej pożegnać się bez tego wszystkiego?

- Dlaczego? Znacznie normalniej będzie, jeśli wyjdiesz stąd zagniewany.

Uświadomił sobie, że to prawda, że pod bezpiecznym płaszczykiem gniewu nie będzie musiał ani o nic prosić, ani się usprawiedliwiać. Przykucnął obok krzesła, a ona wpatrywała się uporczywie w przegródki sekretarzyka.

- Abbie - powiedział spokojnie, ujmując jej małą, zaciśniętą dłoń, która nie chciała się otworzyć - nie chcę rozstawać się z tobą w gniewie, chciałbym widzieć cię uśmiechniętą i sam chciałbym się uśmiechać.

- Wybacz, ale nie wydaje mi się, żebym miała dzisiaj wiele powodów do uśmiechu.

Westchnął, spojrzał na kraj jej spódnicy i bezwiednie pogładził palcami mocno zaciśniętą pięść, którą położył sobie na kolanie.

Psiakrew! Psiakrew! - myślała. - Czy on musi tak przyjemnie pachnieć i tak dobrze

wyglądać? Teraz?

- Wiedziałem, że dziś rano będziesz rozgoryczona. Usiłowałem cię o tym uprzedzić, ale nie chciałaś słuchać. Abbie, nie mam czasu, żeby zostać dłużej i pomóc ci dojść do ładu z sumieniem. Uwierz mi. Nie masz powodu wstydzić się tego, co się stało. Powiedz, że nie będziesz miała wyrzutów sumienia.

Nie chciała jednak powiedzieć niczego takiego, nie chciała rozluźnić pięści ani nawet spojrzeć na niego. Gdyby bowiem zrobiła choć jedną z tych rzeczy, wyłudowałaby znowu w jego ramionach, a i tak już czekał ją długi pobyt w piekle, co do tego nie miała wątpliwości. Jesse uświadomił sobie, że robiło się późno, że wkrótce będzie musiał wyjść.

- Abbie, jest jedna rzecz, którą... Słuchaj, Abbie, to, co zrobiliśmy, może mieć dalszy ciąg. Jeśli cokolwiek się zdarzy, to znaczy jeśli będziesz w ciąży, dasz mi znać?

Nigdy, ani przez chwile nie przyszło jej to do głowy. Ani przed, ani w trakcie, ani po tym, jak się z nim kochała, ale fakt, że on brał pod uwagę taką możliwość, sprawił jej dodatkowy, niewybaczalny ból, wiedziała bowiem, że on nigdy nie wróci i nie ożeni się z nią, gdyby tak właśnie potoczyły się wypadki.

- Zawsze możesz do mnie pisać na centralne biuro Kolei Gór Skalistych w Denver - mówił, a ona tymczasem powoli obróciła się w jego stronę i spod spódnicy wysunęły się dwa czerwone trzewiczki, tuż obok grynszpanowego kolana na podłodze. Dostrzegł czerwone czubki wysuwające się spod spódnicy, jak dwa bezczelne języki, poderwał się na nogi, zacisnął pięści; na świetnie wyprasowanej nogawce powyżej kolana, które ugiął przed panną Abigail w najlepszej intencji, rysowały się teraz dwa horyzontalne wgniecenia.

- Do diabła, Abbie, czego ode mnie oczekujesz?! - wrzasnął. - Powiedziałem ci wczoraj wieczorem, że wyjeżdżam. Nie myśl, że nie wiem, dlaczego włożyłaś te... te buty kobiety upadłej! Ale to się nie uda. Nie będziesz mi wbijała w głowę cielecą czerwoną skórą, że jesteś kobietą upadłą, bo na to potrzebna jest więcej niż jedna noc w łóżku z mężczyzną! Dostałaś to, czego chciałaś, podobnie jak ja, więc nie rób ze mnie kozła ofiarnego. Dorośnij, Abbie. Dorośnij i zrozum, że oboje mamy po trochu rację i oboje po trochu się mylimy i że nie masz monopolu na poczucie winy!

Nie odrywając wzroku od jego kolana, zaczęła niewinnie:

- Coś takiego, panie DuFrayne, żeby tak pognieść nienaganną pawią nogawkę!

- Dobrze, Abbie, niech będzie, jak chcesz, ale przynajmniej nie rób z siebie idiotki i nie paraduj w tych cholernych czerwonych butach po głównej ulicy!

W tym momencie przy drzwiach wejściowych rozległ się niespokojny głos:

- Panno... panno Abigail, czy wszystko w porządku? - David Melcher zajrzał do

wnętrza i doznał nieprzyjemnego uczucia *deja vu*, wydawało się bowiem, że już raz uczestniczył w podobnej scenie.

Panna Abigail poderwała się na nogi z otwartymi ustami. Bez trudu dałoby się włożyć w te usta obydwaj czerwone buciki, zanim na tyle - przyszła do siebie, by wyjąkać:

- Ppp... pan Melcher... jak długo... od jak dawna stoi pan pod drzwiami? - Hysterycznie przebiegała w myślach uwagi Jesse'a na temat czerwonych butów i ciąży.

- Dopiero przyszedłem. Od jak dawna o n tu jest?

Ale Jesse DuFrayne nie pozwalał, by mówiono o nim, jakby był rzeczą. Lodowatym i wyzywającym tonem wyjaśnił, patrząc na drzwi:

- Byłem tu jeszcze, zanim pan wyjechał, panie Melcher. I co z tego?

David obrzucił go spojrzeniem pełnym nienawiści.

- Będę z panem rozmawiał dopiero na zebraniu w południe, ani minuty wcześniej. Przyszedłem zobaczyć się z panną Abigail. Przypuszczałem, że uwolnił ją pan od swojej obecności już dawno, uwłascza że jest pan podobno na tyle zdrow, by organizować arbitraż.

DuFrayne ze złością poprawił mankiety i przyznał bezdźwięcznie:

- A więc, jak pan powiedział, spotkamy się w południe.

Ruszył w stronę sypialni, żeby zabrać swoje nieliczne rzeczy, zostawiając Abbie w pełnym szoku, choć starała się tego nie okazywać.

Wiedział! Wiedział! Przez cały czas wiedział! Od chwili wizyty Jima Hudsona wiedział, że David przyjedzie do Stuart's Junction.

Wiedział, bo to dzisiejsze spotkanie dotyczy ich obydwu, najprawdopodobniej dotyczy sprawy odszkodowań za strzelaninę w pociągu. Nadęty, arogancki zarozumialec doskonale wiedział, że nie jest jej ostatnią szansą, a jednak ukradł jej dziewictwo, w pełni świadomy, że nigdy by na to nie przystała, gdyby wiedziała o rychłym przyjeździe Melchera. Nie trzeba było specjalnej inteligencji, by się domyślić, że człowiek typu Davida Melchera nigdy nic zgodzi się na „doświadczoną” oblubienicę. Panna Abigail miała ochotę rzucić się na Jesse'a DuFrayne i zgnieść go na miazgę, głośno wykrzykiwać, jak została wykorzystana, podczas gdy mógł jej po prostu powiedzieć prawdę i David mógłby należeć do niej!

Melcher dostrzegł na jej twarzy gniew, nie potrafił jednak odgadnąć, czym ja tak zdenerwował ten nieokrzesany DuFrayne.

Zdawało się, że panna Abigail odzyskała równowagę, odwróciła się bowiem i zaprosiła słodko;

- Panie Melcher, proszę, niech pan wejdzie. - Otworzyła mu nawet ochronne drzwi.

- Dziękuję. - Wkroczył z łaską jej ojca w rękę, ale dokładnie w tym momencie Jesse

pojawił się w drzwiach sypialni, trzymając w ręku zwinięte spodnie i pistolet.

- A więc pański człowiek przyjechał już do miasta? - zapytał Melcher głosem bez wyrazu.

- Przyjechał wczoraj - odpowiedział DuFrayne, z trudem ukrywając irytację. - A pański?

- Czeka na stacji, zgodnie z instrukcjami w telegramie.

DuFrayne skinął energicznie głową, czując na karku wzrok Abbie, zimny, pełen powstrzymanej furii. Odwrócił się i powiedział sztywno:

- Do widzenia, panno Abigail.

Nagle wróciła jej cała nienawiść, jaką czuła do Jesse'a DuFrayne tamtego ranka, kiedy w wyniku jego insynuacji straciła Davida. Teraz nie miało prawie znaczenia, że DuFrayne wyjeżdża, a David zostaje, ponieważ straciła już tego człowieka o łagodnych manierach równie niewątpliwie, jakby Jesse DuFrayne strzelił mu prosto między oczy.

Jesse widział przed sobą twarz kobiety pogardliwie odtrąconej i szarpnęło nim poczucie winy.

- Żegnam, panie DuFrayne!

Przez sekundę patrzył jej w oczy, odwrócił się na pięcie, minął Davida Melchera i rzucił się do drzwi. Nozdrza Abigail wypełnił przygnębiający zapach mydła do golenia.

- Przynajmniej nauczył się w końcu zwracać do pani z szacunkiem - zauważył sztywno David.

Abbie, wpatrzona w kulejącego Jesse'a, wymamrotała: - Tak...rzeczywiście - choć marzyła tym, by głośno zdementować sarkazm, jakiego nabrało teraz to wyrażenie.

David chrząknął:

- Ppp..., przyniosłem laskę... ppp... pani ojca, panno Abigail. - Nie - słysząc odpowiedzi, powtórzył: - Panno Abigail?

Odwróciła się, starając się nie myśleć o Jessie DuFrayne.

- Cieszę się, panie Melcher, naprawdę się cieszę. Nie dlatego, że potrzebna mi laska, ale dlatego, że dzięki niej mam okazję znów pana zobaczyć.

Lekko się zarumienił, trochę zdumiony tą bezpośredniością, tak odmienną od jej zachowania w czasie ostatniego spotkania. Zdawało mu się, że wyczuł w głosie panny Abigail jakiś drżący ton, którego także nie pamiętał.

- Ja... no... ja... musiałem przyjechać do Stuart's Junction na zebranie, na którym spróbujemy ustalić, kto ponosi winę za całą tę katastrofalną scenę w pociągu.

- Dopiero dziś rano dowiedziałam się o tym zebraniu. Jak pańska noga?

Spojrzał na swoją stopę i rzeki:

- Ból przeszedł. Ale utykanie zostało.

Wreszcie w jej głosie pojawiła się znajoma troskliwość.

- Tak mi przykro. Może z czasem to także zniknie. - Przypomniała sobie jednak słowa doktora, że Melcher będzie przez całe życie utykał na nogę.

- Widzę... mmm... że... dostała pani prezent ode mnie - wyjąkał.

Teraz z kolei panna Abigail spojrzała na swoje stopy. Wielkie nieba! Akurat musiały to włożyć, kiedy on przyjechał! - pomyślała.

- Na pani nogach robią wrażenie ładniejszych - oświadczył Melcher, zupełnie nieświadomy, iż buty te są nieodpowiednie, a panna Abigail nie miała serca odbierać mu powodów do dumy.

- Są wyjątkowo wygodne - oznajmiła, zgodnie z prawdą, uniosła spódnicę i zgięła palce pod cieniutką skórką. - Chciałam panu podziękować, ale nie miałam adresu. - Podniosła głowę i zorientowała się, że David Melcher jest zażenowany tym, iż pokazała tak wysoko kostkę. Szybko opuściła spódnicę. Jak błyskawicznie zapomina się o względach przyzwoitości wobec prawdziwego dżentelmena nawet po krótkim przebywaniu w towarzystwie takiego łajdaka jak Jesse.

- Proszę wybaczyć moje fatalne maniery, panie Melcher. Proszę, niech pan usiądzie - zaprosiła, wskazując na sofę. Sama usiadła na krześle. - Miałam dość męczący ranek i obawiam się, że wpłynęło to niekorzystnie na moje zachowanie. Proszę, proszę usiąść. Nie mówmy już o mnie. Co u pana? Czy zaraz po dzisiejszym zebraniu znowu ruszy pan w drogę sprzedawać buty?

- Ja... miałem nadzieje... to znaczy... zamierzałem spędzić... no... kilka dni spędzić tutaj... w Stuart's Junction. Wziąłem pokój w... mmm... w hotelu i zostawiłem tam wszystkie swoje rzeczy. Mam teraz większą partię obuwia, czekała na mnie w Denver. Myślałem, że poszukam tutaj i w okolicy nowych rynków zbytu.

- W takim razie może znajdzie pan czas, żeby mnie wieczorem odwiedzić i opowiedzieć o wynikach zebrania? Bardzo mnie to interesuje, ponieważ obydwaj, pan i - trudno jej było wymówić jego imię - pan DuFrayne, byliście pod moją opieką.

- Tak - powiedział David niemal bez tchu. - Bbb... bardzo bym... chciał. Oczywiście, zdaję sobie sprawę, że będzie pani chciała... usłyszeć... nowiny.

- Całe miasto będzie chciało, panie Melcher. Jeszcze nigdy nic podobnego nie zdarzyło się w Stuart's Junction i niewątpliwie wszystkie języki pójda w ruch. A kiedy zebranie się zacznie, ciekawość jeszcze wzrośnie.

Bawił się nerwowo guzikami marynarki, zanim w końcu wydukał przy akompaniamencie nieustannego chrząkania:

- Panno... panno Abigail... czy... czy pani repu... to znaczy, czy ludzie... mówili coś...

Wreszcie ulitowała się nad jego wysławionym na szwank poczuciem przyzwoitości.

- Nie, panie Melcher. Moja reputacja nie ucierpiała z tego powodu, że pan czy pan DuFrayne przebywali w moim domu. Muszę oddać sprawiedliwość mieszkańcom miasteczka, którzy na tyle dobrze mnie znają, żeby nie wysuwać podobnych sugestii.

- Och, oczywiście - wtrącił szybko. - Nie miałem na myśli...

- Proszę wyciągnęła do niego delikatną dłoń - nie posługujmy się parabolami. Płyną z tego wyłącznie nieporozumienia. Umówmy się, że zaczniemy jak najlepsi przyjaciele i zapomnimy o wszystkim, co się wydarzyło.

Jej bezpośredniość znowu go zaskoczyła, jednak na ułamek sekundy ujął wyciągniętą dłoń, a patrząc na jego strapioną twarz, Abbie raz jeszcze przekonała się, jak bardzo różni się ten mężczyzna od Jesse'a DuFrayne.

- A więc do wieczora - powiedziała przyjaźnie.

- Tak... mhm... do wieczora.

Chrząknął pewnie już po raz pięćdziesiąty od chwili, gdy przyszedł, co niespodziewanie okropnie poirytowało pannę Abigail.

Wścibscy obywatele Stuart's Junction zorientowali się, że coś się szykuje, kiedy Max wyrzucił Erniego z ławki na ganku stacyjnym na długo przed przyjazdem pociągu o piętnastej dwadzieścia i oświadczył, że stacja jest zamknięta aż do odwołania ze względu na potrzeby dyrekcji kolei żelaznej.

Wzdłuż chodnika podawano sobie wiadomość, że ten Melcher z odstrzelonym palcem wziął pokój w hotelu Alberta, a razem z nim zjawił się jakiś dandys w ubraniu w żółtą kratkę. Wiedzano również, że jakiś wyelegantowany ważniak z dyrekcji przebywa w mieście już od poprzedniego dnia. Nie było też tajemnicą, że ten, co mieszkał u panny Abigail, przyszedł rano do miasteczka i kupił eleganckie ubranie, które wszyscy oglądali na wystawie sklepu bławatnego Holmesa. Kiedy zauważono, jak kuśtyka w tym garniturze w stronę stacji, nie było końca spekulacjom.

- No, jak to nie jest kolejowy złodziej, to kto to może być i co się będzie działo na stacji?

Ale od Maxa nie można się było dowiedzieć niczego poza tym, że przedstawiciele Kolei Gór Skalistych zwołali na stacji zebranie.

Max odkurzył zniszczone dębowe krzesła i ustawił je wokół zaimprovizowanego stołu konferencyjnego, na który składały się dwie nie heblowane deski wsparte na beczkach, stacja bowiem była zbyt nowa, by dorobić się prawdziwego stołu. Max wyjął z brzegu deski dużą drzazgę, starając się, by wszystko wypadło jak najlepiej. Tak wygląda - pomyślał - że to sprawa naprawdę ważna. Sprokurował więc dzbanek i cztery szklanki. Napełnił go wodą z olbrzymiego zbiornika, który unosił się nad torami i poił parowozy.

Wszyscy czterej zjawili się na stacji o tej samej porze, kwartet przypominający tęczę.

James Hudson był w garniturze koloru wina. Uścisnął rękę Maxa.

- Smith, utrzymujecie tę stację czysto i porządkie. - Zyskał natychmiastową sympatię Maxa.

Jesse DuFrayne pojawił się w ubraniu koloru niebieskiej kaczki cyranki, który to garnitur nawet Max podziwiał na wystawie sklepu bławatnego Holmesa. Hudson przedstawił mu Maxwella Smitha:

- Smith jest naszym agentem na stacji w Stuart's Junction.

DuFrayne wyciągnął rękę i zauważył:

- Pan Smith jest tym człowiekiem, który nie zgodził się odesłać mnie stąd bez upoważnienia Doca Dougherty? Chciałbym panu za to podziękować.

Max powiedział wprawdzie coś w rodzaju: „Nie ma o czym mówić”, ale czuł się niezwykle zadowolony i dumny.

Zdawało się, że Hudson dokonuje wszystkich prezentacji. Max nadstawiał uszu i dowiedział się, że mężczyzna w garniturze w żółtą kratę to Peter Crowley, prawnik Melchera. Poczuł ulgę, kiedy Hudson zaproponował:

- Panowie, może usiądziemy?

Całe to poruszenie i parada barw w chwili powitania przyprawiły go o zawrót głowy. Nigdy w życiu nie widział takiej bandy dandysów!

James Hudson zasiadł przy prowizorycznym stole, jakby to był mebel z polerowanego mahoni. Miał wyraźne cechy przywódcze, co wyróżniało go z czwórki zebranych.

- No więc, Crowley - zaczął - proponuję, żebyśmy darowali sobie oskarżenia i trzymali się ściśle faktów związanych ze strzelaniną. Zarówno pan Melcher, jak i pan DuFrayne najwyraźniej ucierpieli w wyniku tego incydentu w pociągu.

Pan Melcher stawiał się tutaj, by dyskutować o odpowiedzialności - odparł Crowley. a Melcher potwierdził to skinieniem głowy. DuFrayne siedział jak posąg, wpatrując się uporczywie w Melchera, ręce trzymał skrzyżowane na grynszpanowym torsie.

- Ma pan na myśli odpowiedzialność obu stron czy tylko jednej? - spytał Hudson.

- Rozumiem z tego, iż zdaniem DuFrayne'a pan Melcher również ponosi odpowiedzialność?

- A nie ponosi?

- On tak nie uważa.

- On zapoczątkował zamieszanie, podczas którego pan DuFrayne otrzymał postrzał.

- Nie rozpoczął. Wtrącił się w trakcie.

- W wyniku czego DuFrayne otrzymał niemal śmiertelny postrzał.

- Z którego pański klient najwyraźniej się wyleczył, zgodnie z raportem, jaki mam tutaj od pewnego... - Crowley przeglądał stertę papierów - doktora Clevelanda Dougherty. On twierdzi, że DuFrayne najprawdopodobniej odzyska pełną władzę w nodze, podczas gdy pan Melcher będzie do końca życia utykał.

- I z tego powodu pan Melcher pewnie uważa, że należy mu się jakieś odszkodowanie?

- Istotnie - Crowley odchylił się na oparcie krzesła.

- W jakiej wysokości? - zapytał Hudson.

- Pan Melcher podróżował wagonem Kolei Gór Skalistych, kiedy został postrzelony.

Czy więc właściciele kolei nie ponoszą za to odpowiedzialności?

- Pytałem, w jakiej wysokości, panie Crowley. - Tym razem głos Hudsona był znacznie ostrzejszy.

- Powiedzmy, dziesięć tysięcy dolarów.

W tym momencie rozpętało się piekło. DuFrayne poderwał się na nogi ruchem pantery, patrząc na Melchera dzikim wzrokiem.

- Powiedzmy, że nie ma mowy o żadnych dziesięciu tysiącach, ty nędzny, cwany pasożycie! - wykrzyknął.

- Pasożycie! - Wstrząśnięty Melcher odważył się wypowiedzieć swoim najbardziej rozwścieczonym tonem, podczas gdy Crowley i Hudson usiłowali opanować sytuację. - Pytam się, kto tutaj jest pasożytem!

- Nie ma wątpliwości, że nie ja! To pan czeka na datki, myśląc że kolej może sobie na to pozwolić. W końcu kolej jest przecież bogata, prawda? Dlaczego więc nie wydoić tej linii, skoro nadarza się okazja?!

- To prawda, że każda linia kolejowa może sobie pozwolić na taką sumę.

- Ty nędzny...

- Jesse, uspokój się! - Hudson wziął go pod rękę i z powrotem posadził na krześle.

- Panowie, panujcie nad sobą - upominał Crowley.

- DuFrayne najwyraźniej nie zna znaczenia tego słowa! Nigdy nie znał! - twierdził rozsierdzony Melcher.

Crowley poskromił swojego klienta.

- Panie Melcher, jesteśmy tutaj po to, żeby rozmawiać o odpowiedzialności.

- I będziemy. On jest odpowiedzialny nie tylko za moją ranę. A co z tymi, które zadał pani Abigail?

Wokół ust DuFrayne'a pojawiła się biała linia i choć nad górną wargą kryły ja wąsy, nadała jego twarzy wyraz groźnego grymasu.

Kipiała w nim furia wywołana oskarżeniem Melchera, podsycana jeszcze skrywanym poczuciem winy wobec Abbie. To, że Melcher przypomniał mu o tym, powiększyło jedynie jego nienawiść do tego człowieka.

- Niech pan do tego nie miesza panny Abigail! - warknął.

- O, na pewno to by panu odpowiadało. Zachowywał się pan nieznośnie wobec niej, i nie chciałby pan, żeby mu przypominać, do jakiego stopnia był nieznośny.

Zdezorientowany James Hudson zapytał:

- Panna Abigail? Ma pan na myśli pannę Abigail McKenzie? Nie widzę, jaki związek ona może mieć z tą sprawą.

- Ani ja - zgodził się Crowley. - Panie Melcher, bardzo proszę...

- Żadna suma pieniędzy nie może stanowić zadośćuczynienia za to, jak ją traktował - oświadczył Melcher.

- Panna Abigail została już wynagrodzona za swoją pomoc - zapewnił go Hudson. - Postarał się o to pan DuFrayne.

Właśnie widziałem, jak DuFrayne odplaca jej za wszystko, co zrobiła. Zmusza ja...

Znowu DuFrayne poderwał się na nogi.

- Nie mieszaj do tego Abbie, ty nędzny mięczaku, bo jak mi Bóg miły...

- Do diabła, Jesse, usiądź! - Wreszcie Hudson stracił cierpliwość. Ale rozzłoszczony Jesse użył zdrobniałej formy imienia tej kobiety, co z wielkim zainteresowaniem zauważył Max. Kiedy irytacja trochę opadła, Hudson położył palce na sosnowych deskach i oświadczył spokojnie: - Wydaje się, że panowie załatwiacie porachunki nie pozostające w żadnym związku z omawianą sprawą. Poprosiliście tu pana Crowleya i mnie jako swoich arbitrów. Czy mamy przeprowadzić arbitraż, czy też pozwolić, abyście szarpali się sami? - I po chwili przerwy kontynuował: - Panie Crowley, zakładając, że pan DuFrayne przystanie na warunki ugody postawione przez pana Melchera, czego może się spodziewać w zamian?

- Obawiam się, że niezbyt dobrze pana rozumiem. Nie sądziłem, że chodzi o decyzję pana DuFrayne. Przypuszczałem, że w tej sprawie reprezentuje pan kolej żelazną.

Hudson zdjął palce ze stołu i spojrzał na Jesse'a.

- Jesse? spytał spokojnie. Oczy wszystkich obecnych skierowały się na DuFrayne'a.

- Nie.

- Jesse, już czas. Czy chcesz na próżno wydać dziesięć tysięcy?

Ale DuFrayne zacisnął wargi i pogrążył się w rozmyślaniach, podczas gdy dwaj arbitrzy kontynuowali dyskusję. Opalona twarz Jesse'a była nieprzenikniona, choć Melcher przeszywał go nienawistnym wzrokiem. Prześladowany poczuciem winy z powodu ostatniej nocy i rozgniewany tym, że Melcher będzie się bił o każdego centa, Jesse nie mógł sobie wybić z głowy pewnego pomysłu. A gdyby tak dać temu sępowi dość pieniędzy, aby mógł zacząć nowe życie? A gdyby tak dać temu idiocie tyle, żeby mógł się gdzieś osiedlić i sprzedawać buty, dopóki nie trafi go szlag? A gdyby tak osiedlić go tutaj, na miejscu, komfortowo i wygodnie, żeby do szczęścia zabrakło mu jedynie kobiety? Choć nie był to pomysł w najlepszym guście, mógł przynajmniej rozproszyć wyrzuty sumienia Jesse'a DuFrayne z powodu ostatniej nocy. Gdyby udało się to zaaranżować, Abbie miałyby wszystko, czego potrzebuje czy pragnie - tego handlarza butów o twarzy barana, środki na założenie interesu i dosyć pieniędzy, żeby oboje do końca swego nudnego życia mogli paradować w butach z cielęcej skóry! DuFrayne znowu przypomniał sobie twarz Abbie, kiedy przyszła do niego poprzedniego wieczoru i powiedziała: „David Melcher wyjechał i nigdy nie wróci. Jesteś moją ostatnią szansą, Jesse”. Wspomnienie tego, co nastąpiło później, nie opuszczało myśli Jesse'a. Abbie miała zbyt dużo ognia, żeby marnować się z kimś takim jak Melcher, ale miała prawdopodobnie rację, że w Stuart's Junction trudno o lepszy wybór. Lepiej, żeby mogła obdarować Melchera kilkoma iskierkami, niż gdyby miała płonąć w samotności. Przerwał swoje rozmyślenia i zaczął śledzić spór, który toczył się dalej.

- ...trudno przyjąć, że dożywotni wyrok częściowego kalectwa uznano by za drobiazg, gdyby sprawa trafiła do sądu. Musi pan także pamiętać, że pan Melcher był przekonany, iż broni kolei przed jak sądził - uzbrojonym złodziejem. - W głosie Crowleya brzmiała nuta zadowolenia z siebie i Hudson w końcu stracił cierpliwość.

- Panie Crowley, chciałbym coś wyjaśnić. Mam dosyć powtarzania nazwiska DuFrayne'a jako złodzieja kolejowego, ponieważ jest to najbardziej niedorzeczne oskarżenie. Pytam pana: po co ktokolwiek chciałby okradać swój własny pociąg?

- Jim! - warknął DuFrayne, ale przyjaciel nie zwracał na niego większej uwagi.

- Tak, to jest właściwe pytanie, Bo, widzicie, panowie, Jesse DuFrayne jest głównym

udziałowcem w Kolei Gór Skalistych. Innymi słowy, jest właścicielem kolei, o której rabowanie się go oskarża.

Max siedział w swoim kącie jak zaczarowany. Crowley wyglądał tak, jakby chciał wypluć uwięźle w gardle gęsie jajo. A Melcher robił wrażenie, że ma zamiar takie jajo połknąć. DuFrayne siedział nieruchomy jak głaz, patrzył przez okno na błękitne niebo, na którego tle rysował się czubek zbiornika na wodę. Hudson czekał, aż ta informacja wywrze odpowiedni efekt. Melcher odezwał się pierwszy.

- Jeśli pan myśli, że zmienia to sytuację pańskich zobowiązań wobec panny Abigail, to się pan myli. Fakt, że jest pan wielkim właścicielem kolei, nie usprawiedliwia pańskiego zachowania wobec niej. Może jest pan niewinny, jeśli chodzi o rabowanie tego pociągu, ale w przypadku panny Abigail jest pan winien niewybaczalnego nadużycia zau...

- Zapłać mu! - wykrzyknął twardo Jesse, usiłując uciszyć Melchera, bo dopiero teraz uświadomił sobie obecność zawiadowcy stacji, czujnego jak jastrzęb w swoim kącie. Ten człowiek miał uszy, a nie musiał się zbytnio wysilać, żeby usłyszeć, o czym była mowa w pomieszczeniu stacyjnym.

- Jesse, poczekaj chwilkę.

- Powiedziałem: zapłać mu, Jim, i dokładnie to miałem na myśli!

Melcher nie mógł uwierzyć własnym uszom. Jeszcze przed chwilą mógłby przysiąc, że szanse jakichkolwiek zysków finansowych nie istnieją, bo uświadomił sobie, jak mylnie ocenił zamiary DuFrayne'a w pociągu. Dalej jednak nie mógł zapanować nad językiem.

- Opłacenie wyrzutów sumienia jest...

- A ty się zamknij, nędzny człowieczku, jeśli chcesz wyciągnąć ode mnie choć jednego centa! - krzyknął Jesse, zrywając się na nogi i pokazując palcem na Melchera. - Jim, zrób tak, jak mówię.

- Chwileczkę, Jesse, kolej częściowo należy do mnie. Domagam się satysfakcji, zanim damy mu to, czego chce.

Nagle DuFrayne rzucił się do przodu, odepchnąwszy krzesło. Melcher przezornie odsunął się od stołu.

- Chcę porozmawiać z tobą na zewnątrz, Jim.

DuFrayne nie zwracał najmniejszej uwagi na zaciekawione spojrzenia z drugiej strony ulicy. Stał wyprostowany i wściekły na ganku stacji, z kciukami w kieszeniach kamizelki, przymrużone oczy wpatrywały się nic nie widząc w złote patelnie rozwieszane przed sklepem naprzeciwko.

- Jesse, musiałem im powiedzieć, że jesteś właścicielem - tłumaczył Hudson.

- W porządku, Jim. Wcześniej czy później i tak by się wydało. Nie chciałem tylko, żeby Abbie dowiedziała się o tym, zanim wyjadę z miasta.

- Jest tutaj coś, czego nie rozumiem, i prawdopodobnie to nie moja sprawa, chciałbym jednak, żebyś się zastanowił, co robisz, zanim podejmiesz pospieszną decyzję i zaspokoisz żądania tej pijawki.

- Zastanowiłem się nad tym i podjąłem decyzję.

- Na pewno?

- Pod wieloma warunkami i z zastrzeżeniem, że pieniądze dla Melchera będą wypłacone tylko z moich zysków, nie z twoich.

Rozmawiali spokojnie kilka minut, po czym wrócili na stację i zajęli miejsca przy prowizorycznym stole.

- Panie Crowley - Hudson zwracał się raczej do prawnika niż do jego klienta - jeśli kolej żelazna zgodzi się wypłacić panu Malcherowi dziesięć tysięcy dolarów odszkodowania, będziemy w zamian domagać się wypełnienia pewnych warunków. Po pierwsze, pan Melcher umieści w lokalnej gazecie informację, że kolej w żadnym razie nie ponosi odpowiedzialności za incydent wynikły z tego, iż pan DuFrayne miał przy sobie broń, a wypłaca to odszkodowanie jedynie dlatego, że pan Melcher znajdował się w wagonie naszej kolei w momencie, gdy padł strzał. Oświadczenie to nie może w żadnym wypadku szargać nazwiska pana DuFrayne ani panny Abigail McKenzie, ma natomiast jasno stwierdzać, że pan DuFrayne nie okradał pociągu, a pan Melcher nieprawidłowo ocenił jego zamiary. Jeśli pan Melcher sobie życzy, może dodać, iż wedle własnego rozeznania działał w obronie pasażerów, ale to jest jedyna obrona, na jaką może się powołać.

Nasz drugi warunek zakłada, że pan Melcher zainwestuje nie mniej niż dwie trzecie sumy odszkodowania w interes zapewniający mu utrzymanie, który będzie usytuowany w Stuart's Junction. Może wybrać dowolny rodzaj przedsięwzięcia, ale musi ono działać w tym mieście i nie może być sprzedane przed upływem pięciu lat.

Trzeci warunek jest taki, że pan Melcher nigdy więcej nie wsiądzie do pociągu należącego do Kolei Gór Skalistych. Może oczywiście używać tej linii do rozwijania interesów, może przewozić nią towary, ale on sam nie ma prawa nigdy więcej wsiąść do żadnego z naszych wagonów.

Chcemy, żeby warunki te zostały spisane i potwierdzone notarialnie, z zastrzeżeniem oczywiście, że w przypadku niedotrzymania któregokolwiek, pan Melcher będzie musiał na żądanie zwrócić Kolei Gór Skalistych całą sumę dziesięciu tysięcy dolarów.

Crowley uniósł pytająco brew, patrząc na Melchera, który jeszcze nie mógł się

otrząsnąć z szoku. DuFrayne nie tylko został oczyszczony z zarzutu kradzieży, ale okazał się dostatecznie bogaty i wpływowy, by przyłożyć ostateczną pieczęć na ugodzie o odszkodowaniu w wysokości dziesięciu tysięcy dolarów, które były częścią jego własnego kapitału! Na samą myśl o tym twarz Melchera płonęła i drżały mu ręce. Nie rozumiał, naturalnie, z jakiego powodu ten człowiek upierał się, by pieniądze zostały zainwestowane w Stuart's Junction, ale na pewno nie zamierzał o to pytać. Sama konieczność uznania wyższości tego człowieka była wystarczająco upokarzająca i nie było potrzeby wysłuchiwania jego racji, które mogłyby się okazać równie irytujące jak to, że w ogóle stawiał ultimatum.

- Zgodzę się powiedział bezbarwnym głosem Melcher - ale pod jednym warunkiem.

- Mianowicie? spytał Hudson.

- Że DuFrayne pr... prywatnie przeprosi pannę Mc... McKenzie.

- Melcher, posuwasz się za daleko! - ostrzegł DuFrayne, siny z wściekłości. - Jakakolwiek wrogość między panną McKenzie i mną nie ma żadnego wpływu na te negocjacje, a co więcej, nie jest to pański interes!

- To pańska wina, że się tym interesuję. Gdyby nie to, że pewnego ranka w sypialni pozwolił pan sobie na zbyt wiele w mojej obecności...

- Dosyć! - ryknął DuFrayne, a Max o mało nie połknął własnego języka. Wielki mężczyzna poderwał się na nogi, walił w stół, na którym zadzwoniły szklanki, a dzbanek z wodą niebezpiecznie się zakolebał. Jedna szklanka w końcu się przewróciła, woda polała się na kolana Melchera, a DuFrayne stał na rozstawionych nogach, zaciskał pięści i rzucał mu pełne jadu spojrzenia. - Załatwiliśmy swoje spory, Abbie i ja, więc niech pan jej więcej nie wspomina, słyszy pan? Może pan wziąć swoje dziesięć tysięcy jako zapłatę za krew czy za palec, czy za co tam pan chce, i żyć w dostatku przez resztę swoich dni albo może pan patrzeć, jak stąd wychodzę jako właściciel tych pieniędzy, i nigdy więcej mnie nie zobaczyć! Niech więc pan wybiera!

Melcher patrzył na ciemne wąsy, przypominając sobie to bezczelne nagie ciało urągające i jemu, i pannie Abigail, i żałował z całego serca, że kula nie trafiła w anatomię DuFrayne'a o kilka centymetrów bardziej na lewo! Ale gdyby wypowiedział głośno swoje myśli, straciłby dziesięć tysięcy dolarów pochodzących z zysku tego diabła. Nie wątpił w prawdziwość groźby DuFrayne'a, że jeśli wypowie jeszcze jedno słowo, to zobaczy jego plecy, a nie jego pieniądze. Dlatego David ugryzł się w język i nie ośmielał się domagać przeproszenia panny Abigail, na czym tak bardzo mu zależało. Grdyka poruszała mu się nerwowo, bo musiał wepchnąć dumę do gardła. Skinął jedynie sztywno głową.

- Dobrze. Podam do gazety tylko te wyjaśnienia, których pan sobie życzy. Ale niech się pan nie waży wracać kiedykolwiek do Stuart's Junction, DuFrayne. Nie ma pan żadnego powodu. - Obydwaj wiedzieli, że jest to aluzja do Abigail McKenzie, jednak DuFrayne wymierzył jeszcze jedno pchnięcie.

- Melcher, zapomina pan, że jestem tu właścicielem nieruchomości. Nawet w tym momencie znajduje się pan na terenie jednej z nich. Niech więc mi pan nie dyktuje, gdzie mogę, a gdzie nie mogę się pojawiać... w interesach, oczywiście - zakończył sarkastycznie, unosząc brew.

- Chyba już niewiele zostało do powiedzenia - wtrącił Hudson, usiłując osłabić wrogość między tymi dwoma i zakończyć spotkanie, zanim rzucą się na siebie. - Panie Crowley, jeśli zechce pan zostać, możemy spisać umowę, potwierdzić ją notarialnie przed moim wyjazdem z miasta i w ciągu trzech dni postaramy się wystawić kwit bankierski dla pana Melchera na dowolny bank. Rozumie pan chyba, że pan DuFrayne musi osobiście wysłać te pieniądze ze swojego konia w Denver.

- Rozumiem. Jeśli zgadza się na to pan Melcher, nie zgłaszam sprzeciwów.

Melcher stał sztywno i nieruchomo.

Kiedy spotkanie dobiegło końca, Hudson i DuFrayne wyszli na zewnątrz w suchy upał południa, co nie wpłynęło dodatnio na temperament Jesse'a.

- Co się z tobą dzieje, Jesse? - Hudson wziął przyjaciela pod ramię, jakby chciał utemperować jego złość. - Nigdy nie widziałem cię w nastroju tak wojowniczym w obronie kobiety.

- Kobiety! Co, do diabła! Właśnie podarowałem temu zdechłakowi dziesięć tysięcy moich ciężko zarobionych pieniędzy! Jak ty byś się, do cholery, czuł w podobnej sytuacji?

- Chwileczkę, Jesse! To ty powiedziałeś, żeby mu dać te pieniądze i zdawało mi się, że robisz to nie tylko po to, by mu zamknąć usta. A tak naprawdę co się wydarzyło w domu panny Abigail?

Wzrok Jesse'a powędrował na szczyt domku Abbie, widoczny ponad fałszywym frontonem sklepu z uprzężą. Miał pusty wzrok i zaciśnięte usta, kiedy odpowiedział:

- Jim. masz dociekliwy umysł, a ja temperament. I dlatego ty zajmujesz się interesami, a ja pracą w terenie. I niech tak zostanie. Zarezerwuj swoją dociekliwość dla takich jak Melcher, dobra, stary druhu?

- W porządku... jeśli tak sobie życzysz. Jeśli jednak zależy ci na podtrzymaniu reputacji panny McKenzie, to co powiesz o zawiadowcy stacji z nastawionymi uszami i wylupiastymi oczami? Nie wiem, co miała znaczyć ta uwaga Melchera o tym, na co sobie

pozwoliłeś w sypialni rzeczonyj damy, ale może ona mieć niespodziewane reperkusje, skoro raz spłynie z języka naszego zawiadowcy. Czy mam iść go przekupić, czy ty to zrobisz?

- Do cholery, Jim, czy nie dosyć urągań nasłuchałem się od Melchera, żebym miał jeszcze wysłuchiwać ich od ciebie?

Hudson rozumiał jednak frustrację przyjaciela, toteż przyjął reprimendę z przymrużeniem oka. Ale coś dręczyło Jesse'a i nie chciał się do tego przyznać. Hudson nie mógł się oprzeć pokusie zastanawiania się nad tym.

- Staraj się być praktyczny - dorzucił.

- Dobrze, sam idź na stację i bądź tak praktyczny, jak tylko chcesz. Ja straciłem już dosyć... praktyczności jak na jeden dzień.

Umówili się, że spotkają się w hotelu tuż przed odjazdem pociągu. Hudson wrócił na stację, a DuFrayne udał się do miejscowego baru. Wpatrywali się w niego wszyscy, prócz Erniego Turnera, który spał z głową w pianie z piwa.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Z okna hotelowego pokoju na drugim piętrze David Melcher obserwował, jak Hudson i DuFrayne wsiedli do pociągu o piętnastej dwadzieścia. Dotrzymał obietnicy podał do gazety jedynie uzgodnione na zebraniu informacje, ale irytowało go, że musi przykładać rękę do oczyszczania DuFrayne'a od zarzutów. Jeszcze większą przykrość sprawiłoby mu, gdyby znowu natknął się na DuFrayne'a i pannę Abigail w jej domu, poczekał więc, aż ten wsiądzie do pociągu, który wywiezie go z miasta.

Dopiero wtedy David Melcher pozwolił sobie na smakowanie owoców zwycięstwa, dopiero wtedy uśmiechnął się na myśl o niezliczonych możliwościach, jakie się przed nim otwierały. Podniecała go myśl o dziesięciu tysiącach dolarów, nucił więc pod nosem, kiedy się przebierał i szczotkował włosy, widząc przed sobą niespodziewanie różaną przyszłość. Gdy przybył pod drzwi panny Abigail, promieniał jak lampa na lokomotywie Kolei Gór Skalistych.

- Och, pan Melcher, przyszedł pan wcześniej! - wykrzyknęła panna Abigail. Ucieszyła się jednak, że będzie miała towarzystwo, bo ostatnie pięć godzin należało do najdłuższych w jej życiu. Wyobraźnię jej wypełniały nie tylko obrazy z zebrania na stacji, musiała także pogodzić się z wizją Jesse'a wsiadającego do pociągu o piętnastej dwadzieścia, czego nie mogła zobaczyć ze swojego okna, i odjeżdżającego ze Stuart's Junction w tym nadzwyczajnym garniturze, w towarzystwie swego sympatycznego przyjaciela Jamesa Hudsonu. Obaj już nigdy nie mieli tu powrócić. Kiedy kłęby białej pary uniosły się nad dachami, a gwizdek lokomotywy oznajmił odjazd, panna Abigail skrzyżowała ręce na piersi i pomyślała: „Dobrze. Na zawsze znika z mojego życia”. Ale kiedy w ciszy letniego dnia nie słysząc już było stukotu kół, poczuła się nagle opuszczona i samotna.

Przybycie Davida Melchera, z tak pogodnym wyrazem twarzy, to było właśnie to, czego potrzebowała, żeby pozbyć się natrętnych myśli o Jessie DuFrayne. David stojący na stopniach ganku wyglądał niemal jak cherubin, policzki miał różowe, a na ustach chłopięcy uśmiech, z zachwyty o mało nie rozpląszczył sobie nosa na siatce ochronnych drzwi. Od razu się zorientowała, że na zebraniu na stacji musiała zapaść korzystna dla niego decyzja.

- Co też tak pana rozradowało? - spytała panna Abigail.

Po raz pierwszy zapomniał się i spytał:

- Czy mogę wejść? - Otworzył drzwi, zanim zdążyła wyrazić zgodę. - Tak, jestem wcześniej i jestem rozpromieniony, czy może pani zgadnąć dlaczego, panno Abigail?

Trudno było nie uśmiechać się razem z nim.

- Domyślam się, że wyniki zebrania wypadły po pańskiej myśli, ale, panie Melcher, przecież pan prawie tańczy z radości. Proszę, niech pan siada.

Przycupnął na skraju kanapy i znowu poderwał się jak mechaniczna zabawka.

- Panno Abigail, mam nadzieję, że nie zdjęła pani jeszcze tych czerwonych bucików, ponieważ chciałbym panią zabrać na kolację, żeby uczcić tę okazję.

- Uczcić okazję...? Na kolację...? Dlaczego... dlaczego, panie Melcher? - Nigdy w życiu nie zabrano jej na kolację.

Pan Melcher zapomniał się jeszcze bardziej i ujął obydwie jej dłonie, a patrząc w jej pełną zdumienia twarz, oznajmił:

- Naturalnie, żeby uczcić nasze zwycięstwo. Kolej zgodziła się wypłacić mi dziesięć tysięcy dolarów odszkodowania.

Przez moment panna Abigail nie mogła wykrztusić słowa, tak ją to zdumiało. Opuściła brodę tak, że sztywny kołnierzyk uciskał jej szyję.

- Dziesięć... tysięcy... dolarów? - powtórzyła z niedowierzaniem i padła na krzesło.

- Dokładnie! - Wpatrywał się w nią, rozpromieniony, jeszcze przez chwilę, po czym się opamiętał, wypuścił jej ręce i ponownie przysiadł na kanapce.

- Coś podobnego! Co za nadzwyczajna hojność - stwierdziła bez entuzjazmu, znowu wyobrażając sobie Jamesa Hudsona i czek na tysiąc dolarów, który zostawił na półeczce przy stojaku na parasole.

David Melcher wiedział, że powinien ją teraz poinformować o udziałach DuFrayne'a w linii kolejowej, ale nie chciał, żeby cokolwiek rzucało cień na ich wspólny wieczór.

- Proszę powiedzieć, że pozwoli się pani zabrać dziś wieczorem na kolację, aby wspólnie uczcić to zwycięstwo. Uważam je bowiem za nasze zwycięstwo, pani i moje. Jak najbardziej wypada, żebyśmy uczcili to wspólnym wyjściem do miasta.

- Ależ to jest pana odszkodowanie, nie moje.

- Panno Abigail, nie chciałbym niczym mącić radości tej chwili, ale zważywszy okoliczności naszego spotkania, czuję się, można by powiedzieć, odpowiedzialny za zniewagę, na jakie była pani narażona ze strony tego podłego DuFrayne'a. Nie mogłem pani tego w żaden sposób zrekompensować. Teraz, kiedy wyszedłem zwycięsko ze sporu, wydaje mi się, że w końcu zapędziliśmy go w kozi róg. Nie tylko za to, co zrobił mnie, ale również za to, jak postąpił z panią.

Panna Abigail przyglądała się mężczyźnie siedzącemu na skraju kanapy. Przemawiał z takim zapalem, tak pragnął być jej obrońcą, iż nagle ogarnęło ją straszne poczucie winy, że on nadal uważa ją za kobietę nieskalaną, godną rycerskiej postawy. Czuła także kompletną

bezradność, bo w żaden sposób nie mogła cofnąć tego, co zrobili wspólnie z Jesse'em DuFrayne. Jakże pragnęła, by to się nigdy nie zdarzyło, by mogła uczciwie zasługiwać na podziw i względy Davida Melchera. Dotknęła ręką kołnierzyka bluzki i odwróciła wzrok.

- Och, panie Melcher, naprawdę czuję się wzruszona, ale myślę, że lepiej, żebym nie celebrowała pańskiego zwycięstwa. Niech pan po prostu pozwoli, że mu pogratuluję i zatrzymam buciki jako dowód pańskiej wdzięczności.

Na jego twarzy odmalowało się rozczarowanie.

- Nie pozwoli pani nawet, żebym zaprosił ją na kolację?

Ale ich związek nie miał już przyszłości. Wstała z krzesła i podeszła do sekretarzyka, udając, że sterta papierów wymaga pilnego uporządkowania. Odwrócona plecami do Melchera, odpowiedziała:

- Myślę, że lepiej będzie tego nie robić.

David Melcher przełknął ślinę, zarumienił się i wyjąkał:

- Tt... to... znaczy... że pani nn... nie... może mi przebaczyć... tt... tych oskarżeń... tamtego strasznego ranka, kiedy stąd wyjechałem?

- Och, nie! - Odwróciła się do niego z błagalnym wyrazem twarzy. - Już o tym zapomniałam, naprawdę, Dav... panie Melcher.

Usłyszał jednak to przejęzyczenie. Wstał i odważnie podszedł do niej. Zmieszana, panna Abigail odwróciła się znowu do sekretarzyka.

- Ww... więc... nn... niech... pp... pani... tt... to udowodni - wykrztusił w końcu.

Spojrzała na niego przez ramię, nie zdejmując ręki z blatu sekretarzyka.

- Udowodni? - powtórzyła.

- Nn... niech pp... pani... pp... pójdzie... ze mną... na kolację... iii... udowodni, że wszystko... jest... zapomniane.

Panna Abigail ponownie dotknęła koronek na szyi, ujmujący wyraz twarzy zmiękczył jej rysy. Jakże pragnęła pójść na kolację z tak doskonałym dżentelmenem jak pan Melcher, po raz pierwszy w życiu. Pragnęła beztroski i wesołości, której smaku nie знаła w młodości, uroku towarzystwa mężczyzny. Pragnęła mieć wspólne z kimś zainteresowania i zdawała sobie sprawę, że mogliby je dzielić.

Dalej czekał na odpowiedź, jego brązowe oczy wyrażały milczące zaproszenie.

Umysł jej opanowały skrupuły. Gdyby tylko to wydarzyło się wczoraj. Gdybym tylko nie zrobiła tego, co zrobiłam z Jesse'em. Gdyby tylko... gdyby tylko. Poczwała także złość. Niech cię diabli, Jesse, dlaczego mi nic powiedziałeś, że on wraca?

Wiedziała, że powinna odmówić, ale w końcu zaproszenie Davida okazało się zbyt

kuszące. Co się stanie, jeśli spędzę z nim jeden wieczór, tylko jeden? On także jest tu dzisiaj, a jutro wyjedzie, więc komu zaszkodzi, że spędzę jeden wieczór w jego towarzystwie?

- Propozycja kolacji brzmi bardzo interesująco - powiedziała i już w tym momencie poczuła wyrzuty sumienia.

- A więc pani pójdzie? - Znowu wydawał się tryskać radością.

- Pójdę.

- I włoży pani czerwone buciki?

O Boże, pomyślała, czując, że się rumieni. Ale teraz już trudno byłoby się elegancko wycofać, ponieważ on zupełnie nie uświadamiał sobie wulgarności tych bucików. Ale w tym momencie, jakby odpowiadając na swoje zmieszanie, przypomniała sobie drwiący głos ostrzegającego ją Jesse'a: „...przynajmniej nie rób z siebie idiotki i nie paraduj w tych cholernych czerwonych butach po głównej ulicy”. Tak więc bez zbytniego entuzjazmu postanowiła nie zdejmować bucików, modląc się przez całą drogę, żeby nie zauważył ich nikt z mieszkańców miasteczka. Oddałaby jednak złożone w banku tysiąc dolarów, gdyby mógł ją zobaczyć Jesse DuFrayne, jak idzie w czerwonych trzewiczkach do miasta na kolację z Davidem Melcherem, trzymając go pod rękę dłonią w rękawicze.

Ani jedna osoba w mieście nie mogła nic zarzucić ich zachowaniu.

Następnego ranka wszyscy w Stuart's Junction wiedzieli, jak uprzejmy był David Melcher, jak odpowiednio i godnie zachowywała się panna Abigail. Wszyscy wiedzieli również, co ta para zamówiła do jedzenia, ile czasu spędzili w restauracji i ile razy się do siebie uśmiechnęli. Od samego Louisa Culpeppera dowiedzieli się, że panna Abigail przyszła w czerwonych butach. Czerwonych! Musiał to być prezent od Melchera, bo on był podobno handlarzem butów gdzieś ze wschodu.

Coś podobnego! - mówili wszyscy. Panna Abigail i handlarz butów, i do tego ze wschodu! I wystrojona jak na Boże Narodzenie w czerwone buty, które podarował jej ten mężczyzna po tym, jak sypiał w jej domu!

- Niezapomniany wieczór - powiedziała panna Abigail, kiedy po kolacji szli powoli w stronę jej domu. Nigdy w życiu nie wracała tak wolno z miasta. - Jak zdołam panu podziękować?

Melcher kuśtykał obok niej. Wysilek każdego kroku wprawiał w nieznaczny ruch także rękę, którą wsunęła mu pod ramię.

- Nie odmawiając mi, kiedy zaproszę panią znowu.

Opanowała odruch zdumienia i nie spojrzała na niego.

- Znowu? Jak to, czyż nie wyjeżdża pan wkrótce ze Stuart's Junction?

- Nie, nie wyjeżdżam. Jak już mówiłem wcześniej, mam duży transport butów do sprzedania i zamierzam porozmawiać z miejscowymi kupcami w nadziei, że podejmą się roli detalistów. Poza tym kolej przyśle moje odszkodowanie do Stuart's Junction, więc muszę tutaj poczekać.

Panna Abigail znowu stłumiła chęć zapytania, jak długo to potrwa.

On z kolei powstrzymał się od wyjaśnienia, że musi zainwestować większą część pieniędzy właśnie tutaj, bo wyglądałby na marionetkę w rękach DuFrayne'a, co zresztą było prawdą i co doprowadzało go do wściekłości. David chciał, by panna Abigail wierzyła, że decyzja osiedlenia się w Stuart's Junction jest jego własną decyzją, i tak prawdopodobnie by się stało, gdyby pozostawiono mu wybór.

- Ile... ile dni to potrwa pana zdaniem? - zapytała w końcu.

- Pewnie trzy.

Trzy dni - pomyślała. - Och, cudowne trzy dni! Co złego może wyniknąć z rozkoszowania się jego towarzystwem przez trzy dni? Tylko tyle im zostało, a potem on wyjedzie na zawsze.

- W takim razie, dopóki pan tu będzie, niczego panu nie odmówię. - Poczula, że przycisnął jej dłoń do swego boku.

- Panno Abigail, nie pożałuje pani tego - obiecał.

Ale w głębi duszy panna Abigail już czuła żal, że to potrwa jedynie kilka dni, bo ten wieczór był tak wspaniały. A także dlatego, że serce jej podskoczyło, kiedy przycisnął jej dłoń.

- Proszę mi powiedzieć, jak zamierza pan wydać te pieniądze, kiedy już nadejdą - poprosiła, żeby oderwać się od własnych myśli.

- Niewiele jeszcze o tym myślałem. Na razie wystarczy mi związane z nimi poczucie swobody. Nigdy nie byłem naprawdę w potrzebie, ale też nigdy nie miałem takiego poczucia bezpieczeństwa.

Zbliżyli się do domu panny Abigail i jeszcze zwolnili kroku.

- Czy to nie dziwne, że coś bardzo podobnego spotkało i mnie w wyniku całej tej sprawy? Czy mówiłam panu, że kolej zapłaciła mi tysiąc dolarów za opiekę nad panem i... panem DuFrayne? Teraz bardzo trudno było wymawiać jego imię, a kiedy to zrobiła, poczuła, jak napinają się mięśnie przedramienia Melchera, brnęła jednak dalej. - Mnie też daje to poczucie bezpieczeństwa. Tymczasowe, oczywiście, ale zawsze.

David Melcher z pewnością nie żałował jej tego tysiąca dolarów, gnębiło go jedynie,

że opłacił ją DuFrayne i że był wystarczająco bogaty, by móc to zrobić bez trudu.

Zapanował jednak nad swoim poirytowaniem i spytał:

- Jak do tego doszło?

- Przyjechał tu pan Hudson i zostawił dla mnie czek. Wydaje się, że on zajmuje ważne stanowisko na kolei. Czy jest właścicielem?

David przełknął ślinę; ciągle nie chciał jej powiedzieć, że drugim właścicielem jest DuFrayne.

- Tak - odparł sztywno. - Nie ulega wątpliwości, że zapracowała pani na każdego centa.

W tym momencie doszli do ganku, więc zapytała:

- Czy chciałby pan chwilę posiedzieć? Pewnie odpoczynek dobrze by zrobił pańskiej nodze.

- Nie... to znaczy tak... to znaczy moja... mmm... noga... jest w porządku, ale chętnie bym chwilę posiedział.

Panna Abigail rzuciła okiem na wiklinowe krzesła, ale poprowadziła go w stronę huśtawki, usprawiedliwiając w duchu ten wybór faktem, że pozostaje im tak niewiele czasu do chwili jego wyjazdu.

Kiedy usiadła. David spytał uprzejmie:

- Czy mogę?

Zebrała spódnice i zrobiła dla niego miejsce. Usiadł obok, sztywno i formalnie, starając się nie dotknąć jej rękawem. Ze wszystkich stron otaczały ich niespokojne dźwięki nocy - bzyk owadów, pianino z baru, liście szeleszczące przy lekkich powiewach wiatru.

Melcher chrząknął.

Panna Abigail westchnęła.

- Czy coś się stało? - spytał.

- Stało? Nie... nie, wszystko jest... jest wspaniale. - I rzeczywiście powinno być wspaniale. On dostał pieniądze, ona też, zabrał ją na kolację, a ona wreszcie pozbyła się Jesse'a DuFrayne.

- Czasami... ww... wydaje się pani... ii... inna.

Nie zdawała sobie sprawy, że to widać. Będzie musiała uważać.

- Po prostu nie jestem przyzwyczajona, że wszystko się tak dobrze kończy. To stało się tak szybko. Nie wątpię poza tym, że domyślił się pan, iż zaproszenia na kolację nie zdarzają mi się codziennie. Myślałam jeszcze o tym, jak było przyjemnie.

- Mnie... - Chrząknął. Mnie też było przyjemnie. Myślałem o... tym, jak... po

wyjeździe... ze Ss... Stuart's Junction... bardzo chciałem tu wrócić i zaprosić panią na kolację.

- W tym momencie ponownie chrząknął. - I teraz tu siedzimy.

Owszem, jak dwa kije pomyślała panna Abigail ku własnemu zdumieniu. Pragnęła, żeby położył rękę na oparciu huśtawki, tak jak Jesse. Ale nie był Jesse'em i nie powinna sobie życzyć, żeby zachowanie Davida choćby w najmniejszym stopniu przypominało zachowanie tamtego. A jednak w miarę upływającego czasu odczuwała coraz większe rozczarowanie. David nadal siedział sztywny. Jego postawa wydała jej się nagle dziecinna. Zastanawiała się, czy mogłaby go jakoś zmiękczyć.

- Tutaj właśnie siedziałam w chwili, gdy rozpakowałam paczkę z butami.

- Tutaj? Na huśtawce?

- Tak. Pan Binley przyniósł paczkę ze stacji. Pamięta go pan? Pomógł pana przynieść do mojego domu tamtego pierwszego ranka.

- Czy to ten wysoki, kościsty, którego nazywają Chudzielec?

- Ten sam. Wydawał się zafascynowany tym, że dostałam paczkę. Na pewno spodziewał się, że ją przy nim rozpakuję.

- Ale nie zrobiła pani tego?

- Oczywiście, że nie. Po jego wyjściu przyniosłam paczkę na huśtawkę i rozpakowałam ją bez świadków.

- I co pani... hmm... - Znowu to gardło? - pomyślała.

- Byłam zdumiona, panie Melcher, zwyczajnie zdumiona. Chyba żadna kobieta w tym mieście nie ma czerwonych bucików. To niewątpliwie była prawda.

- Ale niedługo będą miały, bo mam je na składzie. Czerwony kolor jest bardzo modny, wie pani?

Nie miała serca powiedzieć mu, co naprawdę myśli o tych butach. Sam będzie musiał się o tym przekonać, kiedy nie uda mu się sprzedać czerwonych butów. Tutaj na zachodzie stateczne, ciężko pracujące kobiety nosiły solidne brązy i czernie, ale on, podobnie jak wiele osób zajmujących się sprzedażą, był przekonany, że jego towar jest najlepszy, i nie mógł się w nim dopatrzeć żadnych wad.

- Czy wolałaby pani inny kolor? - spytał.

- Och, nie! Oczywiście, że nie! Te mi się bardzo podobają. Od kiedy to nauczyła się tak zręcznie kłamać?

Melcher raz jeszcze chrząknął. Położył ręce na kolanach i patrzył prosto przed siebie.

- Panno Abigail, kiedy podszedłem dziś do drzwi pani domu, wyraźnie słyszałem, jak spierała się pani z DuFrayne'em o buty.

- Rzeczywiście - przyznała niewinnie.

- Dlaczego? - spytał, zdumiony własną dociekliwością. Ale w sprawach dotyczących sprzedawanych towarów nie brakowało mu uporu i odwagi.

- Jemu się nie podobały.

- To dobrze! - wykrzyknął, nagle bardzo z siebie zadowolony. Prawdopodobnie był to najbardziej romantyczny moment wieczoru, ale panna Abigail zbyt była zajęta rozmyślaniami, co jeszcze usłyszał tego ranka, żeby zauważyć jego uszczęśliwioną twarz.

Z bijącym sercem zdobyła się na odwagę i zapytała:

- Co jeszcze pan usłyszał?

- Nic. Tylko uwagę o butach. Westchnęła ukradkiem, czując ogromną ulgę. Dawid spojrzał na nią przymilnie i oznajmił:

- On już pojechał i możemy obydwójce o nim zapomnieć.

- Tak - przyznała. Czowała jednak dziwny skurcz w żołądku i nie śmiała spojrzeć Davidowi w oczy, nie miała bowiem wątpliwości, że sama do końca życia nie zapomni Jesse'a DuFrayne. Usiłowała zmienić nastrój i zaproponowała: - Mówmy o czymś przyjemniejszym. Niech pan mi powie, jak jest na wschodzie.

- Nigdy pani tam nie była?

- Nie, nigdy nie byłam dalej niż w Denver, i to tylko dwa razy, do tego w dzieciństwie.

- Wschód... - Urwał na chwilę i zamyślił się. - Na wschodzie jest absolutnie wszystko, czego można zapragnąć. Fabryki wiele produkują, zwłaszcza odkąd skończyła się wojna. Ostatnie innowacje i największe wynalazki. Czy wie pani, że człowiek o nazwisku Lyman Blake z Massachusetts wynalazł maszynę do przyszywania podeszew do butów?

- Nie, nie wiedziałam o tym, ale przypuszczam, że powinnam być mu wdzięczna za ten wspaniały wynalazek. - Panna Abigail uświadomiła sobie, że ta rozmowa śmiertelnie ją nudzi.

- Na wschodzie są wszystkie najnowsze nowoczesne udogodnienia, nie wyłączając kobiet sufrażystek głoszących swoje absurdalne idee i zachęcających do tak nieprzystojnych zajęć, jak gra w tenisa. Nie wszystko na wschodzie jest zgodne z zasadami przyzwoitości dokończył, nie ukrywając, co myśli o kobietach grających w tenisa.

- Oczywiście słyszałam o Stowarzyszeniu Sufrażystek pani Stanton, ale co to jest tenis?

- Nic odpowiedniego dla pani, panno Abigail, zapewniam powiedział z niesmakiem. To... to najbardziej niegodna kobiet zabawa, jaką kiedykolwiek wymyślono we Francji! Kobiety... biegają... cale spocone i tłuką w piłki raketami ze strunami z jelit.

- To przypomina indiańską grę *lacrosse*.

- Można się spodziewać podobnego zachowania po nieucywilizowanych dzikusach, ale kobiety ze wschodu powinny się wystrzegać noszenia krótkich spódnic i rękawów i... och, to jest oburzające! Zatraciły poczucie przyzwoitości. Niektóre nawet piją alkohol! Zdecydowanie wolę kobiety z zachodu, wciąż pielęgnujące dawne cnoty domowe, i za wszelką cenę pragnąłbym, by pod tym względem nic się nie zmieniło. Zostawmy nowomodne idee wschodowi, bo tam jest ich miejsce.

W czasie tej długiej diatryby prawie się nic zająknął. Panna Abigail uświadomiła sobie, że len lemat bardzo go rozpała. Siedząc na huśtawce, bujającej się majestatycznie, złapała się na tym, że porównuje poglądy Davida Melchera z poglądami Jesse'a DuFrayne, kiedy zachęcał ją do odrzucenia przyzwoitych i nienagannyh manier. Przypomniała sobie ten dzień w górach, kiedy zdjął jej z głowy kapelusz i śmiał się, że nie chce rozpiąć mokrych mankietów. Widziała w wyobraźni, jak opaloną dłonią nalewa szampana, i wspomniała poczucie swobody, kiedy trunek znalazł „ się w jej krwiobiegu. A przedtem była ta niezborna szamotanina na krześle w kuchni, w trakcie której powiedział, że podoba mu się w tej wypłowiałej bluzce...

- ...zgadza się pani, panno Abigail?

Ocknęła się z rozmarzenia i uświadomiła sobie, że David rozwodzi się nad zaletami kobiet z zachodu, podczas gdy ona myśli o Jessie i porównuje go z Davidem - jak dotąd na niekorzyść - tego ostatniego.

- O tak! - Wyprostowała się. - Absolutnie się zgadzam. - Nie była jednak pewna, z czym się zgadza. Czy wspomnienie Jesse'a już zawsze będzie tak rozpraszać jej uwagę?

Najwyraźniej zgodziła się na to, że godzina pierwsza będzie dobrą porą spotkania nazajutrz. Ponieważ David wstał z huśtawki i maszerował przez ganek, poszła za nim.

Zszedł jeden stopień, zatrzymał się, odwrócił, chrząknął, niezdarnie sięgnął po jej rękę, pocałował ją szybko i pospiesznie zszedł ze schodów.

- Dobranoc, panno Abigail.

- Dziękuję za kolację, panie Melcher.

Patrząc, jak David oddala się ulicą, pomyślała, że byłoby lepiej, gdyby tak ciągle nie chrząkał, gdyby nie szukał tak niezdarnie jej ręki, a nawet gdyby jej nie pocałował! Wolałaby, żeby pocałował ją w usta i żeby ten pocałunek był dla niej przyjemniejszy od pocałunków Jesse'a DuFrayne.

W domu panował przerażający spokój. Chodziła po wnętrzu, nie zapalając nawet

lampy, niespokojna i niezadowolona. Uniosła do ust wierzch ucałowanej dłoni, usiłując wywołać w sobie jakieś emocje na wspomnienie tego pocałunku. Nie miała wątpliwości, że w oczach Davida Melchera znajdowała pełne uznanie. Jakże pragnęła, żeby jej to na razie wystarczało, ale wspomnienie Jesse'a DuFrayne przeciwstawiało się każdemu gestowi, każdej czynności Davida. Dlaczego Jesse nawet po wyjeździe tak silnie narzuca jej swoją osobę? Zamiast cieszyć się oczywistym zainteresowaniem Davida, nieustannie porównywała obydwu mężczyzn i Jesse zawsze wychodził z tych porównań zwycięsko. W ciągu tych dwóch bezcennych dni, jakie pozostały jeszcze do wyjazdu Davida, chciała przekonać się, że jest on doskonały, bez skazy, bezkonkurencyjny. Ale Jesse na to nie pozwalał. Jesse panował nad nią niepodzielnie.

Nawet w domu, z którego wyjechał, złapała się na tym, że nasłuchuje odgłosu jego oddechu, ziewania, skrzypienia sprężyn, kiedy przewracał się na łóżku. Może rozwieje jego obecność, jeśli wprowadzi się z powrotem do swojej sypialni. Kiedy jednak weszła do pokoju, niemal ścięło ją z nóg poczucie osamotnienia, tęsknoty za „rewolwerowcem”. Łóżko było puste. Cisza stawała się nie do zniesienia. Usiadła na brzegu łóżka, dotkliwie odczuwając nieobecność Jesse'a. Doznawała poczucia beznadziejności i smutku w stopniu znacznie pełniejszym niż po śmierci ojca.

Odwróciła się do tyłu, niespodziewanie walnęła pięścią w poduszkę, na której leżał lak niedawno, i krzyknęła ze złością:

- Jessie DuFrayne! Wynoś się z mojego domu!

Tylko że już się wyniósł.

Ponownie walnęła w poduszkę, uderzenie drobnej pięści wydało głuchy odgłos. On wyjechał - desperowała. - Wyjechał. Jak mogła się tak do niego przywiązać, że jego nieobecność tworzyła wokół niej pustkę? Chciała odzyskać swoje życie takie, jakie było, zanim się pojawił. Chciała wprowadzić takiego mężczyznę jak David Melcher w to dawne życie i stworzyć związek zapewniający spokojną, rozsądną egzystencję. Zanurzyła obydwie ręce w miękką poduszkę Jesse'a, wypełniając dłonie jego nieobecnością, głowa jej opadła nisko między pochylone ramiona i pogrążyła się w rozpacz.

- Niech cię diabli, Jesse! - krzyczała do ciemnego sufitu. - Niech cię diabli porwą za to, żeś się tu w ogóle zjawił!

Potem upadła na jego łóżko, przekręciła się na bok i, płacząc, przyciskała do siebie poduszkę.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Budząc się następnego ranka, Abbie zapomniała, że jest w domu sama. Przeciągnęła się i przewróciła na bok, zastanawiając się, co przygotować dla Jesse'a na śniadanie. Uświadomiwszy sobie pomyłkę, usiadła gwałtownie i rozejrzała się wokół. Była znowu w swojej sypialni. Sama.

Padła na plecy, wpatrywała się w sufit, zamknęła oczy i przekonywała samą siebie, że powinna być rozsądna. Życie musi toczyć się dalej. Musi zapomnieć o Jessie DuFrayne. I zrobi to. Ale otworzyła oczy i poczuła się pusta. Nie miała żadnych perspektyw, które poderwałyby ją z łóżka.

Spędziła dzień, starając się pozbyć wszelkich śladów Jesse'a z sypialni. Wyprała jego zapach z bielizny pościelowej, wypolerowała mosiężny zagłówek łóżka, by zetrzeć odciski jego palców, wyrównała wgłębienia na poduszkach ławeczki w wykuszowym oknie. Ale mimo wszystko nie mogła uznać tego pokoju za niepodzielnie własny. Jesse pozostał w nim obecny, odcisnął ślad na każdym przedmiocie, którego dotykał, na każdym miejscu, na którym siedział, natrętnie przypominał to, czym był dla niej.

Kiedy skończyła sprzątanie, została jej jeszcze godzina do przyjścia Davida. Ale wcześniej przyniesiono „Junction County Courier”. Podniosła gazetę z ganku, gotowa zainteresować się wszystkim, co mogłoby oderwać ją od myślenia o Jessie.

Weszła leniwie do domu, zatrzymała się przy stojaku na parasole i posłużyła zwiniętą gazetą, by sprawdzić jędrność podbródka. Ale nawet to dawne przyzwyczajenie przypominało jej teraz Jesse'a, który stawał w drzwiach, na pół obnażony, i pytał drwiąco: „I co, jędrny?” Odwróciła się gwałtownie od lustra i otworzyła gazetę, usiłując rozwiać wspomnienia.

Lotta Crabtree występowała w głośnej operze Tellera w Central City, a zaraz po niej wielka Modrzejewska.

Kolejny magnat kolejowy zdecydował się wybudować swoją rezydencję w ogromnie popularnym Colorado Springs, na tym terenie zabaw bogaczy, którzy tłoczyli się tam, by wymoczyć swoje choroby w sławnych źródłach mineralnych.

Jakiś złodziej kolejowy...

Oczy panny Abigail rozszerzyły się, a język niemal uwiązł w gardle.

MĘŻCZYZNA OSKARŻONY O KRADZIEŻ W POCIĄGU OKAZAŁ SIĘ WŁAŚCICIELEM KOLEI

We wtorek po południu na stacji w Stuart's Junction arbitrzy debatowali na zebraniu...

Było tu wszystko, nie wyłączając prawdy o Jessie DuFrayne, której powinna była się domyślić już dawno. Stojąc pośrodku swego wiktoriańskiego saloniku, panna Abigail przyłożyła do szyi dłoń wystającą z koronkowego mankietu. Jesse jest właścicielem kolei! Człowiek, którego nazywała złodziejem kolejowym, jest właścicielem kolei! A więc w końcu to on śmiał się ostatni. Ale czy nie było tak zawsze?

Z przerażeniem przypomniała sobie te wszystkie straszne rzeczy, które mu zrobiła. Właścicielowi linii kolejowej!

I nagle wybuchnęła śmiechem, uniosła do góry brodę i zakryła czoło dłonią. Ten dziwny, smutny odgłos żałośnie naruszył ciszę. A kiedy wreszcie zamilkła, wpatrywała się w gazetę jak posąg o szklanych oczach, powoli docierało do niej pełne znaczenie tej notatki; zaczynała uświadamiać sobie, że powinna była wszystkiego się domyślić w dniu wizyty Jima Hudsona. A może odgadła, tylko po prostu nie chciała przyznać, że to prawda? Ponownie przeczytała, tekst i zobaczyła wtedy wszystko czarno na białym. W artykule opisywano przebieg zebrania, nie pomijając nawet tego, jak byli ubrani wszyscy czterej uczestnicy. James Hudson przedstawiony był jako zarządzający współwłaściciel, podczas gdy Jesse DuFrayne występował jako nie ujawniający się partner, nadzorujący własne przedsięwzięcie spod płachty fotograficznej kamery. Samo zebranie opisano jako „momentami spokojne omawianie warunków, przerywane wybuchami gwałtownej wrogości pomiędzy DuFrayne'em a Melcherem na temat pozornie nie związanej ze sprawą niejakiej panny Abigail McKenzie, od dawna zamieszkałej w Stuart's Junction, która pielęgnowała i DuFrayne'a, i Melchera w czasie ich rekonwalescencji”.

Kiedy skończyła czytać, zmartwiała! Odczuwała wściekłość, która niechybnie zachwyiłaby Jesse'a DuFrayne.

Jednak David Melcher, który zjawił się pod drzwiami dokładnie w tym momencie, przestraszył się, kiedy panna Abigail uderzyła go w pierś zwiniętą gazetą.

- Ppp... panno Abigail... cc... co się stało? - wyjąkał.

- Co się stało? - powtórzyła, nie panując nad natężeniem głosu. - Najpierw niech pan to przeczyta, a potem proszę mnie pytać, co się stało! Jestem szanującą się kobietą i muszę mieszkać w tym mieście długo po wyjeździe pana i DuFrayne'a. Nie zależy mi na tym, żeby każdy plotkarz w Stuart's Junction powtarzał moje nazwisko, dlatego że wy obydwaj postaraliście się o to, żeby znalazło się na pierwszej stronie gazety. I to wymienione w wyjątkowo intrygującym kontekście!

Zaskoczony Melcher spojrział na artykuł, potem na nią, i zaczął ; czytać w milczeniu,

znajdując w gazecie więcej informacji, niż podał redaktorowi.

- Co panu przyszło do głowy, żeby kłócić się o mnie na zebraniu w obecności prasy?

- Nn... nie... bb... było... tam... pp... prrasy. Było śś... ściśle... prrr... prywatne. Ja... on... DuFrayne... nn... nawet kazał mi prz... przyrzec, że ani jedno słowo... na pani... temat... nie wydostanie się na... zzz... zewnątrz.

To ją zaskoczyło.

- Więc w jaki sposób się wydostało?

- Nnn... nie wiem.

- Dlaczego moje nazwisko padło w dyskusji o wysokość odszkodowania?

Wczoraj pragnął jedynie jej dobra, ale teraz drżał na myśl, że wszystko zrobił jak najgorzej.

- Uważałem... że... on powinien panią przeprosić za... za wszystko, na co panią naraził.

Panna Abigail odwróciła się do niego plecami i poprawiła przód bluzki.

- A czy nie przyszło panu do głowy, że może już to zrobił?

- Panno Abigail! Czy pani broni go przede mną, podczas gdy to ja zdecydowałem... bbb... bronić pani przed nim?

- Nikogo nie bronię. Po prostu martwi mnie, że stałam się powodem wrogości dwóch mężczyzn i że znalazło się to na pierwszych stronach gazet. Jak to odczytają mieszkańcy tego miasta? I dlaczego nie powiedział mi pan wczoraj, że on jest współwłaścicielem kolei?

Zastanawiał się chwilę nad tym pytaniem.

- A czy to zmienia pani opinię o nim?

Panna Abigail uświadomiła sobie, że gdyby to była prawda, okazałaby się hipokrytką, więc odwróciła się, by pokazać Davidowi, że jest szczerą.

- Nie, nie zmienia. Uważam tylko, że powinien był mi pan powiedzieć, iż pieniądze pochodzą od niego, nic więcej.

- Sprawiedliwość wymaga, żeby mi zapłacił. To on do mnie strzelił.

- Ale nie okradał pociągu, kiedy to zrobił. I na tym polega różnica.

- Pani go jednak broni! - oskarżył David Melcher.

- Nic podobnego! Bronię siebie! - Podniosła głos, krzyczała jak przekupka, a kiedy to sobie uświadomiła, przyłożyła nagle palce do ust. Zorientowała się, że przemawia do niego w ten sam sposób, jak zwracała się wielokrotnie do Jesse'a. Czując teraz złość i na Jesse'a, zaatakowała Davida, jakby reprezentował ich obydwu. Z przerażeniem złapała się na tym, że wyczekuje podniecenia utarczką, gotowa wdać się w słowny spór, którego przyjemności nauczyła się doceniać pod wpływem Jesse'a.

Ale David nie był Jesse'em DuFrayne. Prawdę mówiąc, David był wstrząśnięty jej zaczepną postawą i podniesionym głosem, całkiem nie przystojącym damie. Na twarz wystąpiły mu plamy i przyglądał się pannie Abigail, jakby zobaczył ją po raz pierwszy. Bo rzeczywiście nigdy jej takiej nie widział. Spokojnym tonem skonstratował:

- My się kłócimy.

Te słowa przywołały ją do rozsądku. Uświadomiwszy sobie, na czym się przed chwilą przyłapała, poczuła się nie w porządku wobec Davida. Usiadła jak należy na brzeжку kanapy, patrząc na swoje dłonie złożone na podolku.

- Przepraszam - powiedziała ze skruchą.

Melcher usiadł obok, przyjemnie zaskoczony powrotem dawnej, znajomej panny Abigail.

- Ja też.

- Nie, to moja wina. Nie wiem, co mnie napadło, żeby odzywać się do pana takim tonem. Ja... - Przerwała, bo nagle zdała sobie sprawę, że to oczywiste kłamstwo. Nie było jej wcale przykro i doskonale wiedziała, co ją napadło. Przejęła metody Jesse'a DuFrayne, ponieważ, zgodnie z jego twierdzeniem, utarczki miały moc oczyszczającą. Poprawiały samopoczucie.

- Może nie kłócilibyśmy się, gdybyśmy nie... - odezwał się miękko David. Chciał powiedzieć: „nie byli sobą zainteresowani”, ale powstrzymał się w porę. Za wcześnie było na mówienie podobnych rzeczy, dokończył więc inaczej: - ...gdybyśmy nie... mówili o nim.

Siedzieli w pełnym napięcia milczeniu, niezadowoleni z siebie.

Po chwili David dodał:

- Wie pani, że nie powiedziałbym ani nie zrobiłbym nic, co mogłoby zaszkodzić pani reputacji. Przecież to równałoby się szarganiu mojej własnej, czyż pani tego nie rozumie?

Spojrzała na niego.

- Nie, oczywiście, że pani nie rozumie - kontynuował. - Jeszcze pani nie powiedziałem. Zamierzałem to zrobić zaraz po ppp... przyjściu, ale miała pani w ręku ttt... tę gazetę i straciłem okazję.

- Co miał mi pan powiedzieć?

Uśmiechnął się po chłopcemu, miękkie brązowe oczy wpatrywały się w nią.

- Że zostaję w Stuart's Junction i za te pieniądze od kolei otwieram tutaj sklep z butami.

Serce podskoczyło jej do gardła. Poczowała gwałtowny przyływ lęku i wyrzutów sumienia. Znaczenie jego słów docierało do niej powoli, aż wreszcie zapadło w głębie łona, o

którego odpieczętowanie błagała Jesse'a DuFrayne. Była pewna, że w jej życiu nie pojawi się już żaden mężczyzna, który mógłby to zrobić. Jak na ironię, Jesse nie tylko spełnił jej błagania, ale jeszcze podarował Davidowi garść pieniędzy, które pozwolą mu osiąść na stałe tuż obok niej i zalecać się do niej, co naturalnie teraz nie mogło wchodzić w grę. Co miała zrobić? Pogodzić się z sytuacją, choć wiedziała, że w żadnym przypadku nie wolno jej teraz zachęcać Davida Melchera? Co więcej, już prawie nie ulegało wątpliwości, że zamierzał energicznie się o nią starać.

Jesse DuFrayne odniósł w końcu nad nią najbardziej upokarzające zwycięstwo: dostarczył Davidowi środków do zawarcia małżeństwa, a zarazem odebrał jej tę możliwość.

David Melcher obserwował na twarzy panny Abigail tysiące zmieniających się nastrojów. Na początku wydawała się zaskoczona, potem szczęśliwa, później zakłopotana, niepewna, oszołomiona, a na końcu mógłby przysiąc, że wyglądała na winną. Nie miał pojęcia, z jakiego powodu. Jednak przyjrawszy się tej paradzie emocji, na pewno nie oczekiwał takiej końcowej reakcji: panna Abigail zakryła usta drobną dłonią i szepnęła:

- Och, nie...

Jej słowa bardzo go rozczarowały.

- Sądziłem, że będzie pani szczęśliwa z tego powodu, panno Abigail.

- Ależ jestem, jestem - zapewniła szybko, dotykając jego rękawa. - To dla pana wspaniale. Wiem, że nie odpowiada panu wędrowny tryb życia. - Nie robiła jednak wrażenia szczęśliwej.

- Nie, nie odpowiada mi. Bardzo chciałem się osiedlić na dłuższy czas w jednym miejscu. Tylko że nigdy nie miałem na to środków i nigdy nie znalazłem odpowiedniego miejsca. - Nieśmiało ujął jej dłoń. - A teraz wydaje mi się, że znalazłem jedno i drugie. Czy dotrzyma mi pani towarzystwa dziś po południu? Mogłaby mi pani tak bardzo pomóc. Muszę znaleźć lokal do wynajęcia albo plac, na którym mógłbym budować. Podoba mi się takie miejsce na rogu, na końcu głównej ulicy. Pani będzie wiedziała, z kim powinienem porozmawiać, i naturalnie przedstawi mnie wszystkim, z którymi będę musiał się spotkać. Och, panno Abigail - błagał. - Niech pani ze mną pójdzie. Będziemy im patrzeć prosto w oczy i ukęcimy łeb wszystkim plotkom, jakie mogły powstać.

Panna Abigail, powodowana rozsądkiem, wycofała dłoń i opuściła wzrok.

- Obawiam się, że nie zna pan zbyt dobrze ludzi w miasteczku. Jeśli pojawimy się razem, by załatwiać interesy, po tym, co napisano o nas w gazecie, niczego nie cofną. Myślę raczej, że zapoczątkujemy znacznie więcej plotek.

- Nie pomyślałem o tym, ale oczywiście pani ma rację.

- Chociaż z drugiej strony - wahała się - jeśli stawimy czoło j miastu i udowodnimy, że łączą nas jedynie interesy, możemy w ten sposób wyplenić plotki, prawda?

Spojrzał z nadzieją, jego twarz stała się nagle młodzieńczo pociągająca, jak pierwszego dnia, kiedy przyniesiono go do jej domu.

- A więc pójdzie pani? Pomoże mi pani dzisiaj? Opanowała gwałtowną chęć westchnienia. Na co się decydowała?

- Pójdę. Ale tylko jako ambasador, musi pan to zrozumieć.

- Oczywiście, oczywiście - potwierdził.

David Melcher wywierał korzystne wrażenie. Kiedy wraz z panną Abigail odbywali spotkania w interesach tego dnia, pod wpływem jego uprzejmej postawy ludzie uświadomili sobie, że nie jest to „złotousty zagadywacz” ze wschodu, za jakich uważali wszystkich domokrażców. Niektórzy nawet twierdzili, że gdyby nie tupet panny Abigail, Melcher niczego by nie osiągnął - był tak nienatrętny i pełen rezerwy. Jednak ona utorowała mu drogę swoim rzeczowym podejściem, jakie zawsze cechowało ją w kontaktach z mieszkańcami miasteczka. Jeśli nawet ktokolwiek miał jej za złe tę obcesowość, nie przyznawał się do tego. Jak zwykle traktowano ją - a więc i jego - z szacunkiem. Może dlatego, że mieszkańcy miasta przyzwyczaili się trzymać od niej z dala, może dlatego, że nie miała łatwego życia, o czym wiedzieli, a może , dlatego, że paliła ich ciekawość na temat jej stosunków z dwoma mężczyznami, którzy się o nią pokłócili. Kiedy panna Abigail i David paradowali tego dnia po miasteczku, wydawało się, że niezależnie od powodów - zyskują powszechną aprobatę. Otrzymali też wiele zaproszeń do uczestnictwa w przypadających następnego dnia obchodach święta Czwartego Lipca. Wydawało się wręcz, iż niektórzy rozmówcy bardziej zainteresowani byli uzyskaniem zapewnienia, że ta para pokaże się na uroczystościach, niż sprzedaniem gruntu, wynajęciem lokalu czy omawianiem cen drewna.

Jednak za ich plecami trwały nie kończące się spekulacje. To odszkodowanie rodziło wiele pytań, na które miasteczko chciałoby znać odpowiedzi. Nic więc dziwnego, że wszyscy mówili: „Nie zapomnijcie włączyć się jutro do zabawy na Hake Meadow” czy „Przyjdzie pani, prawda, panno Abigail?” albo „Przyjdziecie oboje, prawda?”

Ktoś wyłożył to bez owijania w bawełnę: „Będzie jutro aukcja koszyków i zawody w łapaniu natłuszczonych świń, i splawianie bali, i wyścigi w workach, i co kto chce. Dobry sposób na poznanie się ze wszystkimi, których niedługo będzie pan nazywał swoimi klientami, Melcher”.

Ktoś inny pożegnał ich słowami: „Niech pan ją przyprowadzi i pomoże nam

świętować. Wozy odjadą sprzed sklepu Avery'ego koło dziesiątej”.

Usiłowano także uciec się do przekupstwa: „To jedyny dzień lata, kiedy można zjeść lody w Stuart's Junction. Nie chcielibyście, żeby was to ominęło, prawda?”

Ale tak naprawdę to nikt nie chciał, by ominęła go okazja obserwowania panny Abigail i jej nowego zalotnika, którego najwyraźniej przyjęła w momencie, gdy poprzedni wyjechał z miasta. Oczywiście wszyscy wiedzieli, że Melcher cholernie się wzbogacił pieniędzmi tamtego. Ale kto by przypuszczał, że panna Abigail zacznie kiedykolwiek polować na portki i, co więcej, że będzie się starała tylko o takie portki, których kieszenie są pełne pieniędzy? Oczywiście, mówili wszyscy, była prawie bez grosza po śmierci ojca. Trudno było winić tę kobietę. Kolej zapłaciła jej tysiąc dolarów, ale na jak długo to starczy? Pewnie inwestowała w swoją przyszłość, łapiąc w ten sposób Melchera. Wszyscy mieszkańcy miasta nie mogli się doczekać, czy ta para pokaże się nazajutrz i czy ona będzie robiła do niego słodkie oczy. Bo trudno było cokolwiek powiedzieć po jej dzisiejszych bardzo rzeczowych wstąpieniach. Ale jutro to zupełnie co innego!

Kiedy Melcher odprowadzał pannę Abigail do domu, byli wzajemnie bardzo z siebie zadowoleni. Wiele osiągnęli w ciągu jednego dnia. Obejrzelili kilka nieruchomości do wynajęcia, dowiedzieli się, że pusty plac obok sklepu z uprzężą należy do Nelsa Nordquista, rozmawiali z nim o cenie sprzedaży, sprawdzili księgi wieczyste, zamówili plany prostego jednopiętrowego budynku z pomieszczeniem magazynowym na zapleczu, sklepem pośrodku i oknami wystawowymi na froncie, dowiedzieli się także, z kim należy rozmawiać o cenach i dostawie drewna.

Gdy dotarli do domu, panna Abigail podeszła do wiklinowych krzeseł na ganku.

- Nie wiem, jak mam pani dziękować - powiedział Melcher.

- To drobiazg. Miał pan rację. Ja znam wszystkich w miasteczku i byłoby głupio, gdyby pan sam próbował nawiązywać kontakty.

- Ale była pani wspaniała. Ludzie zdają się po prostu... po prostu naginać do pani życzeń.

Przed pojawieniem się w jej życiu Jesse'a DuFrayne nie ośmieliłaby się odpowiedzieć w ten sposób.

- Staram się ludzi zastraszyć i sprawić, że się mnie boją.

Zdawała sobie sprawę, że to niekobiece, pozbawione wdzięku wyznanie, zauważyła też, że David poczuł się nieswojo. Ale ona sama, wypowiedziawszy je, poczuła się dziwnie wolna.

- Nonsens, taka dama jak pani? Przecież... przecież nie jest pani... natrętna.

Nagle uświadomiła sobie, że właśnie taka jest i że on nie chce tego przyznać. Natrętność była niekobieca. Damy powinny zachowywać lekki dystans. Ale Jesse wiele ją nauczył, karcąc okłamywanie samej siebie, i w coraz większym stopniu zaczynała się od tego wyzwalać.

- To nie jest nonsens. Obawiam się wręcz, że to prawda. Jednak dzisiaj przysłużyło się to naszym celom, więc nie ma powodów do narzekania. - Ale odczuwała pewną przykrość, że ludzie otwierali przed nią drzwi, bo byli zastraszeni, podczas gdy Davida wpuszczali dlatego, że natychmiast nabierali do niego sympatii.

- Jest jeszcze tyle do zrobienia prócz decyzji budowlanych. Muszę sporządzić spis zapasów i złożyć zamówienie na znacznie większą liczbę butów, niż mogłem kiedykolwiek zabrać w drogę. Trzeba zamówić wyposażenie sklepu, markizę i szyby do okien wystawowych. Będę musiał pojeździć i rozejrzeć się za dostawą drewna na zimę. No i będę musiał zamówić piec na wschodzie i...

Urwał raptownie, bez tchu, uświadomiwszy sobie, że się zagalopował.

Ale ona nagle spojrzała na niego innymi oczami i zorientowała się, że się śmieje, podekscytowana jego entuzjazmem.

- Chyba się zapomniałem przez te moje plany - przyznał niepewnie.

- Rzeczywiście, ale ma pan do tego pełne prawo. To bardzo ważny krok. Będzie wymagał wielu planów i dużej dozy entuzjazmu.

Na jego twarzy odmalowało się teraz zafasowanie.

- Nie miałem na myśli tego, że oczekuję, iż będzie mi pani cały czas pomagała. W żadnym wypadku. Dzisiaj zrobiła pani więcej niż dosyć.

Jednak kontynuowali planowanie sklepu, wyposażenia, ekwipunku i tak dalej. Melcher był bardzo ożywiony, ale zmusił się do zachowania spokoju.

Od czasu do czasu panna Abigail porównywała go z Jesse'em. Z jego nieograniczonym *ego* i drażniącą obcesowością. Nigdy nie siedziałby tutaj tak jak David, jakby przymurowany do krzesła. Chodziłby po pokoju i pewnie by wykrzykiwał: „Do cholery, Abbie, wiem, że ten interes może się udać i ty mi pomożesz!” Abigail McKenzie - skarciła samą siebie - przestań robić te niesprawiedliwe porównania i słuchaj tego, co David mówi!

- Wygląda na to, że... że jutro... sss... spodziewają się nas na uroczystościach. Czy ma pani coś przeciwko temu? - wyjąkał.

Usiłowała nie denerwować się jego brakiem pewności siebie, a że dodatkowo czuła się winna, iż przez całe popołudnie porównywała go z Jesse'em, jej odpowiedź miała stanowić

rodzaj rekompensaty.

- Teraz to już niemal sprawa dbania o interesy, prawda? Nie, nie mam nic przeciwko temu. Zresztą i tak co rok biorę udział w tych uroczystościach. Jak wszyscy w miasteczku.

- Www... więc... hmmm... może... poszlibyśmy rrr... razem?

Panna Abigail wolałaby zostać zaproszona w inny sposób. Przypomniała sobie, że Jesse nazwał kiedyś Davida mięczakiem i zaraz skarciła się w myślach, iż jest wobec niego niesprawiedliwa.

- Chyba... że... ppp... pani nie chce.

- Och, nie to miałam na myśli. Oczywiście, że pójdę z panem.

Wstał, a ona zdała sobie sprawę, iż jest zadowolona, że już wychodzi.

- Gdzie jest Hake Meadow? - spytał.

- Na północny wschód od miasta, w miejscu, gdzie poszerza się wąwóz. Jak pan słyszał wcześniej, spod sklepu bławatnego Avery'ego Holmesa pojedzie kilka wozów i wszyscy chętni mogą się zabrać.

- Kkk... kwadrans przed dziesiątą?

- Tak.

- Www... więc ppp... przyjdę... czy... mmm... mam przyjść po panią wcześniej?

- Będę czekała - odparła, coraz bardziej poirytowana jego jąkaniem się.

- To ja już lepiej... ppp... pójdę. - Miał tendencję do niepewnego zawieszania głosu na końcu zdania, co zaczynało działać jej na nerwy. Wydawało się, że jedynie mówiąc o sklepie czuł się pewny siebie. Przy tematach osobistych zaciął się i jąkał. Na schodach zrobił to znowu.

- Jjj... ja... czy... mógłbym...

Wydawał się niezdolny dokończyć zdania, wpatrywał się w nią jedynie wzrokiem spaniela. Panna Abigail nie miała już wątpliwości, że pragnął ją pocałować, tylko nie śmiał. Zastanawiała się, choć nie powinna była tego robić: dlaczego mnie nie obejmie i nie pocałuje? Nie musiała dodawać: jak Jesse. Teraz już porównywała każdą czynność, każdy akcent, każdy nawyk obydwu mężczyzn. I trudno w to uwierzyć, ale za każdym razem Davidowi czegoś brakowało. Patrząc, jak się oddalał, skonstatowała ze zdumieniem, że chociaż miał nienaganne maniery, znacznie bardziej odpowiadała jej teraz gburowatość Jesse'a.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Panna Abigail nie aprobowała wszystkiego, co działo się na Hake Meadow czwartego lipca, ale jednak zawsze się tam zjawiała. Uważała się za patriotkę, a to było patriotyczne święto, choć zazwyczaj przeradzało się w hałaśliwe, podlewane piwem zbiegowisko. Co rok burmistrz wygłaszał swoje nieudolne przemówienie, podczas którego dzieci trzymały flagi. Szybko jednak politycy ustępowali miejsca piwoszom, co w sposób nieunikniony prowadziło do sprośności. Piwo bowiem płynęło równie obficie jak fasola wydawana przez córki amerykańskiej rewolucji, które gotowały ją w otwartym pięćdziesięciogalonowym bębnie. Systematycznie powtarzano dowcip, że gdyby w 1776 roku córki amerykańskiej rewolucji przyrządziły parę bębnow swojej sławnej fasoli i nakarmiły nimi Brytyjczyków, skróciłyby to wojnę o jakieś siedem lat. A gdy ta fasola zetknęła się z piwem... wieść głosiła, że wąwóz Royal Gorge nie jest cudem przyrody, powstał czwartego lipca tego roku, kiedy piknik urządzano tam, a nie w Hake Meadow.

Odbywały się najróżniejsze zawody, niektóre zaplanowane, inne nie. Strumień spływał z gór i zatrzymywał się przed tamą bobrów, gdzie drwale z gór dawali bobu każdemu mieszkańcowi Stuart's Junction aspirującemu do roli drwala spławiającego bale i korującego drzewa, za co miastowi odpłacali im podczas rzucania podków i pogoni za wysmarowaną tłuszczem świnia.

Nie brakowało także całowania, które stawało się coraz bardziej niepoohamowane, w miarę jak zbliżał się wieczór. Wszyscy zdawali się całować, z kim popadło. Oczywiście, im było ciemniej, tym stawało się to łatwiejsze.

Feta zaczynała się o dziesiątej rano, a kończyła oficjalnie o dziesiątej wieczorem pokazem fajerwerków, jednak nieoficjalny koniec zabawy następował wtedy, kiedy ostatniej żonie udało się zaciągnąć do domu pijanego męża, który nadal głośno wyśpiewywał i był tak samo zakochany jak czwartego lipca ubiegłego roku.

Panna Abigail przyniosła koszyk na aukcję - w ten sposób dawała wyraz swemu entuzjastycznemu uczestnictwu w uroczystościach. Postawiła go obok innych pod wielkim dębem, gdzie zawsze odbywała się aukcja. Jak zwykle, miała na głowie kapelusz ozdobiony stokrotkami. Ubrana była w szarą suknię z odpowiednio dobranym żakietem prostego kroju. Już koło jedenastej ubiór mocno przylegał do skóry. David Melcher w brązowym ubraniu, białej koszuli i fontaziu również bardzo odczuwał upał, kiedy słońce dochodziło do zenitu.

Siedzieli obydwójce w cieniu, popijając lemoniadę.

- Nie pije pan piwa? - spytała panna Abigail.

- Nigdy się tego nie nauczyłem.

- Jak już pan pewnie odgadł, piwo jest napojem dnia, choć nigdy nie mogłam zrozumieć, dlaczego mężczyźni nie mogą poprzestać na określonej ilości. Czwartego lipca po prostu wydaje się to niemożliwe. Niech pan spojrzy na pana Diggensa. To ten w niebieskiej koszuli, który wyzywa na pojedynek drwala dwa razy od siebie większego. Czy to pod wpływem piwa wydaje mu się, że zdoła pokonać tego drwala na rękę?

Obserwowali niedobrych zawodników, którzy uklękli po obu stronach pnia. Oczywiście mały pan Diggins przegrał, ale podniósł się ze śmiechem i ostrzegał wielkiego drwala:

- Jeszcze kilka kufli i położę cię jak nic!

- Naprawdę? - ryknął drwal. - No to wlejemy w ciebie te piwa! - I zanim Diggins zdążył zaprotestować, drwal podniósł go, jakby przenosił przez próg oblubienicę, i wydając głośne okrzyki, zaniósł pod beczki z piwem. - Ivan, nalej mojemu przyjacielowi trochę piwa. Chcę zobaczyć, jak mnie pokona!

W tłumie rozległy się śmiechy, a drwal zdjął koszulę, związał rękawy w pasie i pił piwo, stojąc obok karzełkowatego Diggensa, jakby czekał, że tamten nagle wystrzeli do góry i dorówna mu wzrostem.

Obserwując tę scenę, panna Abigail i David dołączyli do ogólnej wesołości.

- Te drobne pojedynki to tylko wstęp do prawdziwych zawodów, które odbędą się po południu - wyjaśniła panna Abigail.

David rozglądał się wokół.

- Nigdy nie byłem dobry w ćwiczeniach fizycznych - wyznał bez skrępowania.

- Obawiam się, że Diggins również nie był.

W tym momencie oczy ich spotkały się i obydwójce wybuchnęli śmiechem.

- Zdaje się, że mówcy tracą swoje audytorium - zauważył David chwilę później. Większość słuchaczy odchodziła od brzegu stawu zaraz po rozwlekłym wystąpieniu burmistrza.

- Chętniej słuchają bredni przy beczkach z piwem.

Zacząła się tam nowa zabawa. Teraz drwal z owłosionym torsem, w koszuli związanej w pasie, składał ukłon przed Diggensem, zanim wzięli się w objęcia i ruszyli w komiczny zaimprovizowany taniec, do którego przygrywały skrzypce. Kiedy tak wirowali, piwo wylewało się z ich kufli i oblało dwie młode kobiety, które odskoczyły do tyłu z radosnymi okrzykami; po chwili obydwaj mężczyźni przeproszali je z nadmierną wylewnością. Kobiety chichotały, kiedy drwal wykonał przed nimi zabawny dyg.

- Coś się dzieje z ludźmi na tej łące czwartego lipca - powiedziała panna Abigail, odpinając żakiet, bo upał stawał się nie do zniesienia.

- To piękne miejsce. Czuję się taki szczęśliwy, że zdecydowałem się zostać w Stuart's Junction. Ci ludzie... wszyscy byli dla mnie wczoraj tacy mili. Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że jestem tu mile widziany.

- A dlaczego nie? Sądzi pan, że nie zdają sobie sprawy, że pański sklep będzie korzystny dla miasta?

- Tak pani myśli? Naprawdę sądzi pani, że mi się uda?

Nie umiał ukrywać swoich myśli. Chwilami jak dziecko oczekiwał zachęty i poparcia z jej strony.

- Czy jest coś bardziej potrzebnego niż buty? Niech pan tylko popatrzy na te wszystkie stopy. - Odwróciła się, obserwując teren pikniku. Gromadka chłopców szamotała się pod pobliskim drzewem, grając w rodzaj improwizowanego rugby; kopali wypchaną torbę butami o podwiniętych czubkach. Obok przeszła matka z małą dziewczynką, która płakała pochylona nad gołym palcem u nogi. Matka miała na sobie sznurowane półbuty z bardzo zdartymi obcasami, które pilnie wymagały reperacji. - Niech pan popatrzy, na co narażone są te wszystkie buty. Niewykluczone, że wkrótce wszyscy ci ludzie będą przychodzili po zakupy do pańskiego sklepu.

Rozpromienił się na tę myśl, snując wizje przyszłości, ale w tym momencie podszedł do nich gigantyczny mężczyzna w znajomym stroju drwala, w luźnych spodniach na czarnych szelkach i w czerwonej kraciastej koszuli.

- Halo, Melcher, pana szukam. - Wyciągnął wielką, owłosioną, przyjazną łapę. - Nazywam się Michael Morneau. Słyszę, że będzie pan potrzebował drewna na budowę. Mam akurat to, czego panu potrzeba. Przyniosłem panu piwo, żebyśmy mogli o tym pogadać po przyjaźni.

David został postawiony na nogi, w rękę trzymał kufel piwa. Sympatyczny drwal zwrócił się do panny Abigail:

- Mam nadzieję, że pani to nie przeszkodzi, jeśli połączymy interesy z przyjemnością. Przyprawdzą go z powrotem. - Wielka ręka objęła Davida Melchera i odprowadziła na bok. - Chodź pan tutaj, Melcher. Chcę, żebyś pan poznał kilku ludzi.

Panna Abigail widziała, że David został poniekąd zmuszony do wypicia piwa. Nie chodziło tylko o trunek, był to symbol dobrej woli ze strony tych mężczyzn, którzy wspólnie żłopali piwo w poczuciu koleżeństwa. Nawet z daleka bez trudu mogła się zorientować, kiedy rozmawiali o interesach, bo wtedy zapomniane kufle niemal zwisały im z rąk. Kiedy jednak

uzgodniono jakiś punkt, kufle szły w górę, zanim ktokolwiek, łącznie z Davidem, pociągnął łyk.

Obserwowała brązowe plecy Davida wśród mieszaniny koszul, w czerwoną kratę, białych, żółtych, a w każdej nowej grupie pojawiała się nowe piwo. Raz pochwycił jej wzrok przez szerokość łąki i wykonał gest bezradnego usprawiedliwienia, że ją porzucił, ale panna Abigail uśmiechnęła się, wzruszyła ramionami i dała mu ręką znak, żeby się nie przejmował. Czuła się doskonale. Siedząc wygodnie, obserwowała cały ruch wokół. David załatwiał więcej spraw i zyskiwał więcej życzliwości wśród piwoszy, niż mógłby zdobyć przez dwa tygodnie sprzedawania wytwornych butów w sklepie w centrum miasteczka czy nawet jako domokrażca.

Panna Abigail poszła oglądać dzieci ścigające się w workach. Rob Nelson pędził gdzieś, ale na jej widok zatrzymał się.

- ...dobry, panno Abigail.

- Halo, Robercie! Startujesz w wyścigu w workach?

- Jasne.

- No to powodzenia!

Panna Abigail była jakaś inna. Nie wyglądała tak, jakby przed chwilą napiła się octu.

- Dziękuję pani - powiedział chłopiec i odbiegł, ale zaraz obrócił się na pięcie i znowu podszedł do panny Abigail. Patrzył na nią spode łba i drapał się w głowę, najwyraźniej czymś zaaferowany.

- O co chodzi, Robercie?

- Pamięta pani te słomki, co przyniosłem wtedy dla złodzieja kolejowego? - Wypatrywał sygnałów niebezpieczeństwa, ale panna Abigail wyglądała jakoś tak młodo i ładnie, otworzyła usta, a ręka jej powędrowała do bluzki w to miejsce, gdzie jest serce.

- Tak?

- Czy się przydały?

- Tak, Robercie, i chciałam ci bardzo podziękować, że je przyniosłeś.

- A co pani z nimi robiła?

Ku zaskoczeniu Roberta panna Abigail uśmiechnęła się i pochyliła nad nim konspiracyjnie:

- Wdmuchiwałam w niego zupę - szepnęła mu do ucha. Wyprostowała się. - A teraz biegnij na swoje wyścigi.

Ale Rob nie ruszał się. Stał z buzią otwartą ze zdumienia.

- Wdmuchiwała pani zupę w złodzieja kolejowego, panno Abigail? - spytał z

niedowierzaniem.

- Okazało się w końcu, że nie był to złodziej kolejowy.

- Oo - skomentował krótko Robert. Popatrzył w zamyśleniu, wepchnął ręce do kieszeni spodni i powiedział: - Wie pani, w tych spodniach od pizamy nie wyglądał na złodzieja kolejowego.

Teraz na pannę Abigail przyszła kolej, by otworzyć usta ze zdumienia. Przerazona, schwyciła Roberta za ramiona i obróciła w przeciwną stronę, panując nad przemożną chęcią palnięcia go w tyłek.

- Robercie Nelson, żebyś nie ośmielił się powtórzyć tego nikomu na świecie, rozumiesz? A teraz leć!

I porywczy dzieciak pomknął na wyścigi, ciągnąc za sobą lniany worek.

Po jego odejściu panna Abigail skrzyżowała ręce na piersi, potem jeden łokieć wsparła na przedramieniu i zakryła dłonią skore do uśmiechu usta. Jej ramionami wstrząsał śmiech, kiedy przypominała sobie Jesse'a kuśtykającego w o wiele za krótkich spodniach od pizamy.

- Coś śmiesznego, panno Abigail?

- O, witam, doktorze Dougherty. Rozbawił mnie wyścig dzieci w workach.

- Wybierałem się do pani, żeby podziękować za wszystko, co pani zrobiła. Niewątpliwie wybawiła mnie pani z kłopotu.

- Z największą przyjemnością pomogłam.

- Czy ten człowiek zachowywał się przyzwoicie i schował broń? Oddając mu ją, nie chciałem przecież narazić pani na nieprzyjemną sytuację.

- Och, to wszystko już minęło, nie ma o czym mówić. - Unikała jednak spojrzenia doktorowi w oczy, wpatrywała się w wyścig w workach, który osiągał właśnie punkt kulminacyjny.

- Tak - zgodził się doktor, wodząc oczami za jej wzrokiem. Chłopcy na torze podskakiwali, skręcali się, niektórzy leżeli już rozplaszczeni i usiłowali podnieść się ponownie. - Słyszałem, że naprawdę dobrze pani zapłacono.

Spojrzała na niego przelotnie. Tylko Doc mógł się zdobyć na podobną bezczelność, żeby otwarcie o tym wspominać.

- W tym mieście wszyscy wszystko słyszą - powiedziała.

- Fakt przyznał. A czego nie usłyszą, to odgadną.

- Słyszałam, że Gertie wróciła z Fairplay - wtrąciła pośpiesznie panna Abigail, zmieniając lemat.

- Tak, i mój gabinet działa teraz tak gładko jak natłuszczona świnia. Słyszałem też, że

wczoraj chodziła pani po całym mieście, przedstawiając wszystkim tego Melchera i przecierając dla niego ścieżki, żeby mógł otworzyć nowy sklep.

- Owszem. Myślę, że miasto jest mu winne przynajmniej tyle.

- A to dlaczego?

Było to dziwne pytanie. Spojrzała na niego, zaintrygowana. Ale Doc wyjął z kieszeni scyzoryk i czyścił paznokcie.

- Wydaje mi się, że jeśli w ogóle jesteśmy komuś coś winni, to raczej Jesse'owi. Ludzie nawet nie chcieli go zabrać z jego własnego pociągu i przyjąć u siebie. Gdyby nie pani, mógłby zgnić spokojnie, tyle się nim przejmowali. A to przecież jego kolej stworzyła nową prosperity w Stuart's Junction. To tylko dowód, jak bardzo można się pomylić w ocenie człowieka.

Doktor nawet nie spojrzał na pannę Abigail, złożył scyzoryk, schował do wypchanej kieszeni, rzucił okiem na wyścigi w workach i zobaczył, że na torze leży chłopiec trzymający się za brzuch.

- Dobrze wymamrotał, jakby mówił do siebie - chyba muszę pójść i zobaczyć, czy uda mi się przywrócić mu oddech. - I ruszył na pomoc, a panna Abigail zastanawiała się, czy Doc domyśla się charakteru jej związków z Jesse'em.

Obserwując oddalającego się doktora, przypomniała sobie ten wieczór, kiedy sama straciła dech wskutek uderzenia, i wszystko, co potem nastąpiło. Myślała też o jego słowach: „To tylko dowód, jak bardzo można się pomylić w ocenie człowieka”.

- Panno Abigail, wszędzie pani szukam. - Podskoczyła i z westchnieniem przerażenia przyłożyła rękę do serca. - Przepraszam, nie chciałem pani przestraszyć - powiedział David.

- Zamyśliłam się.

- Chodźmy. Teraz będzie aukcja koszyków. Za długo stała pani na słońcu. Ma pani czerwoną twarz.

Ale te rumieńce były wynikiem wspomnienia o Jessie i panna Abigail była rada, że David nie może czytać w jej myślach. Wziął ją pod rękę i skierowali się w stronę olbrzymiego rozłożystego dębu, gdzie zbierał się tłum, który za chwilę miał podzielić się na pary i rozpocząć piknik. Melcher trzymał ją pod rękę, kiedy już rozpoczęła się aukcja, czuła od niego drożdżowy zapach wypitego piwa. Chwilami chwiał się niepewnie na nogach, ale był najwyraźniej dość trzeźwy, by rozpoznać serwetkę w kolorach jej kuchennych zasłon, która wystawała spod przykrywki piknikowego koszyka. Kiedy doszło do licytacji, David uniósł rękę i zawołał:

- Siedemdziesiąt pięć centów!

- Tak trzymać! - Ktoś trzepnął go w plecy: David z trudem zachował równowagę. Odezwał się inny głos: - To koszyk panny Abigail, Melcher nie daj się przebić!

Rozległy się śmiechy, życzliwe i kpiące, a policzki panny Abigail zaczerwieniły się jeszcze bardziej.

- Dolar! - Podniósł stawkę następny głos.

- Dolar dziesięć! - zawołał David.

- Do diabła, to tak się odpłaca kobiecie za uratowanie życia? Dolar dwadzieścia!

David zakołysał się na piętach z pijackim uśmiechem.

Ktoś z tłumu zawołał:

- Melcher, nie jesteś chyba zbyt pijany, aby zobaczyć, że spod przykrywki koszyka powiewają barwy panny Abigail, co?

- Dolar i ćwierć! - Davidowi wydawało się, że krzyknął, tylko że w połowie przerwała mu czkawka, co wywołało wybuch śmiechu.

Prowadzący aukcję zawołał:

- Czy ktoś daje więcej niż dolar i ćwierć za ten koszyk? - Śmiechy przybrały na sile, podobnie jak rumieniec panny Abigail.

- Sprzedany!

Młotek opadł w dół, a wokół rozległy się krzyki, gwizdy i pohukiwania. David jedynie się uśmiechnął.

- Daj jej bobu! - zachęcał jakiś głos, kiedy Melcher niepewnym krokiem szedł odebrać koszyk. Mijał po drodze Michaela Morneau, który ze śmiechem zmusił go do przyjęcia postawy wyprostowanej.

- Interesy już załatwione, teraz pora na zabawę, prawda, Melcher?

Panna Abigail myślała, że Davidowi nigdy nie uda się dotrzeć po koszyk i wrócić, ale wkrótce się zjawił, podał jej ramię i z dumą prowadził. Była czerwona jak poziomka, przeciskali się przez tłum i na oczach całego miasta David postawił koszyk w cieniu najbliższego drzewa. W końcu podjęto dalszą licytację, co na jakiś czas odwróciło od nich uwagę.

Panna Abigail uklękła, otworzyła przykrywkę koszyka i zaczęła wyjmować jedzenie, a David padł na kolana i wziął się rękami pod boki.

- Panno Abigail. muszę panią prosić o wybaczenie - mówił wstrząsany czkawką. - Powiedziałem, że nie jestem amatorem piwa, ale chłopcy mnie zmusili. Sądziłem, że ze względu na interesy dobrze będzie na chwilę przyłączyć się do nich.

Panna Abigail była zażenowana tą całą sceną, a jednak w jego podchmieleniu nie

zauważyła niczego, co można by potępić. Pamiętała, jak łatwo ona sama wpędziła się w podobny stan „naparstkiem szampana”. Nagle poczuła, że nie potrafi się na niego gniewać.

Siedział z głową opuszczoną, z rękami na udach - niepoczyszony pijak wpatrujący się w ziemię pomiędzy własnymi kolanami. Od czasu do czasu czkał gwałtownie, nie otwierając ust. Panna Abigail spokojnie rozkładała jedzenie.

- Bardzo mi przykro. Nie powinienem był zostawiać pani samej. Proszę, jak pan coś zje, przejdzie panu czkawka.

Spoglądał na kawałek pieczonego kurczaka, który mu podawała, jakby usiłował zidentyfikować, co to takiego.

- Proszę - powtórzyła, wymachując kurzym udkiem, jakby chciała go obudzić. - Nie jestem zła.

Popatrzył na nią tępo.

- Niece?

- Nie, ale będę, jeśli nie zacznie pan jeść i ludzie nie przestaną na nas patrzeć.

- O... tak... oczywiście - powiedział i bardzo ostrożnie wziął do ręki udko, jakby miał do czynienia z porcelaną. Ugryzł kawałek, rozejrzał się i zaczął wymachiwać kurczakiem w stronę gapiów. - Hej tam... jak leci?

- Wiesz, ja naprawdę nie lubię piwa - zwierzył się kurczakowi.

- Owszem, już mi pan to mówił. A ja uprzedzałam, że podczas święta Czwartego Lipca coś dziwnego dzieje się z ludźmi.

- Ale nie powinienem był wypić tak dużo.

- Wydaje się jednak, że wynikło z tego coś dobrego, prawda? Sądzę, że dzisiaj przeszedł pan inicjację i został zaakceptowany jako członek społeczności.

- Naprawdę pani tak myśli? - podniósł na nią wzrok, zaskoczony.

- Pamięta pan, co pan powiedział, gdy tutaj usiadł? Że chłopcy nalegali, by wypił pan jeszcze jedno.

- Tak powiedziałem?

- Tak. Zupełnie jakby był pan jednym z nich.

Uniósł brwi i uśmiechnął się.

- Więc może to prawda, może to prawda. - I po długiej przerwie dodał: - To byłoby coś.

- Mam uczucie, że na początku większość tutejszych mężczyzn brała pana za nadętego ważniaka ze wschodu. i do tego domokrażcę. Ta kombinacja nie zawsze zyskuje aprobatę w oczach ludzi interesu w Stuart's Junction. Nie dziwiłabym się, gdyby to wszystko było z góry

ukartowane, by sprawdzić, jak się pan zachowa.

- Tak pani myśli? - Nie przestawał zadawać głupich, retorycznych pytań, ale panna Abigail nie mogła powstrzymać uśmiechu, bo był najwyraźniej zmieszany swoim stanem... i wszystko wyglądało zabawnie.

- Och, ja tylko się domyślam. Niech się pan nie przejmuj. Jeśli pana podeszli, to tylko ten raz, ale wydaje mi się, że już pan przeszedł pomyślnie rytuał inicjacji.

- Tak pani myśli? - zapytał znowu, tak samo apatycznym głosem jak poprzednio.

- W trakcie picia piwa załatwił pan część spraw, prawda? Czy może nie tego dotyczyły podnoszone kufle?

- Prawdę mówiąc, załatwiłem. - Wydawał się zdumiony.

- No więc o co chodzi?

Nawet w stanie zamroczenia czuł się wzruszony jej wspaniałomyślnością.

- Panno Abigail, jest pani nad wyraz wyrozumiała, zważywszy, jak bardzo musiała się pani czuć zażenowana podczas licytacji.

- Chciałby pan usłyszeć sekret? - spytała.

- Sekret?

- Uuhmm. - Przekrzywiła głowę, a w jej oczach pojawił się przekorny wyraz. - Dzisiejsza licytacja była niczym w porównaniu z tą, kiedy pan Binley kupił mój koszyk.

- Chudzielec Binley? spytał zdumiony David. Otworzył usta, w których ukazał się kawałek kurczaka.

- On sam.

- Chudzielec Binley kupił pani koszyk? - Kurczak wypadł mu z ust, a panna Abigail śmiała się, zakrywając usta dłonią.

- Aha. To brzmi nieprawdopodobnie, prawda? - W jej wyznaniu nie było udawanej skromności. Lepiej było zbagatelizować zażenowanie i spędzić przyjemny dzień, niż mieć do niego pretensję o zaczepki ze strony mieszkańców miasta i o to, że go upoili piwem.

- Ten, który ma brązowe zęby i cały dzień spędza przy sklepie rolniczym, plując tabaką?

Było to jednak śmieszne, choć nigdy dotychczas jej się śmieszne nie wydało. Kołysała się w przód i w tył, śmiejąc się na samo wspomnienie.

- To zabawne, prawda? Ale wtedy nie było zabawne. On... kupił mój koszyk i nikt z niego nie kpił. To było straszne, po prostu straszne, musiałam z nim przejść przez tłum. I od tamtej pory wpatruje się we mnie cielecym wzrokiem.

- Pani pieczony kurczak musiał być powodem. - Już trochę trzeźwiał, ale był jeszcze

wystarczająco podchmielony, by śmiać się z własnego dowcipu. Potem zaczął wysysać zatłuszczone palce i obydwójce wybuchnęli śmiechem.

Mijała ich kolejna para z koszykiem. Frank Adney pomachał Davidowi ręką i rzekł:

- Wygląda na to, że jednak nie jest całkiem szalona, co, David? - W tym momencie lekko uchylił kapelusza ze słowami: - Bez urazy, panno Abigail?

- Absolutnie, panie Adney. - Odpowiedziała uśmiechem na uśmiech. Frank ze zdumieniem stwierdził, że z tą roześmianą twarzą jest bardzo ładną kobietą. Żona przyznała mu rację.

Panna Abigail, obserwując oddalających się Adneyów, poczuła nagle, że bardziej niż kiedykolwiek dotąd stanowi część tej społeczności. A David, patrząc na nią, poczuł się cudownie. W ciągu dwóch dni zaakceptowano go w Stuart's Junction jako kupca i członka społeczności, z niemal magiczną łatwością, a to wszystko dzięki niej.

- Panno Abigail?

- Słucham. - Spojrzała na niego.

- Bardzo mi smakuje ten kurczak i te jajka w sosie. - W rzeczywistości chciał powiedzieć, że to ona bardzo mu się podoba.

Nagle uświadomiła sobie, że to wszystko było zdecydowanie zbyt przyjemne i że nie powinna go w ten sposób zachęcać swoimi uśmiechami.

- Zgubił pan gdzieś żakiet - zauważyła.

Spojrzał na swój tors i odegrał zdumienie, że jest tylko w koszuli i w krawacie.

- Jest tam gdzieś. - Zatoczył koło udkiem kurczaka. - Znajdzie się, kiedy będzie mi potrzebny. Zresztą jest za gorąco na żakiet. Czy chce pani zdjąć swój?

Brak formalności rodzi poufałość, wiedziała więc, że nie powinna tego robić. Ale było tak gorąco, a Jesse uczył ją, żeby pozbyła się zbyt sztywnego poczucia lego, co wypada. Starła się nie myśleć o tym, jak ucieszyłby się ze zmian, jakie dzisiaj w niej zaszły.

- Jest strasznie gorąco - przyznała, zdejmując żakiet. David szybko wytarł się serwetką i pomaszerował na kolanach, żeby jej pomóc.

- Tak jest dużo lepiej - powiedziała, kładąc okrycie na wierzchu koszyka. Podniosła rękę do karku, ale nie miała co poprawiać, bo włosy były w najlepszym porządku.

David skończył jeść, ale wciąż czuł się osłabiony piwem, toteż wyciągnął się na trawie, całkowicie rozluźniony. Zastanawiał się, co by odczuwał, gdyby złożył głowę na jej kolanach. Powiedział jednak:

- Jutro mam pojechać do obozu drwali i zamówić u Morneau trochę drewna z tartaku. Ale nie wiem dokładnie, gdzie to jest.

- Mniej więcej w połowie drogi na tamten grzbiet. - Wskazała ręką na wzniesienie, czując na sobie wzrok Davida.

Podobał mu się cień tańczący na jej czole, kiedy uniosła głowę, żeby spojrzeć na góry.

- Czy mogłaby pani... - zaczął, ale przerwał. Czy powinien zaprosić ją na przejażdżkę, czy powiedzieć, że potrzebna mu jej pomoc, by odnaleźć to miejsce? Zdawała się unikać wszelkich tematów osobistych, znacznie przychylniejsza okazywała się, kiedy ściśle trzymał się interesów. - Czy mogłaby pani ze mną pojechać i pokazać, gdzie to jest?

Chciała się zgodzić, ale powiedziała:

- Jutro muszę prasować.

- Ooo! - był wyraźnie rozczarowany. Leżał na trawie, przyglądając się jej, kiedy pakowała resztki pikniku. W końcu odezwał się: - Jeśli nie zajmie to pani całego dnia, może pojechalibyśmy po południu.

Pannie Abigail podobał się jeden ze skutków picia piwa: odkąd David znajdował się po wpływie tego napoju, przestał się jąkać. Niewiele brakowało, by się załamała i zgodziła mu towarzyszyć, ale uświadomiła sobie, że nie ma już prawa wiązać się z nim.

- Nie, nie będę miała czasu - rzuciła oschle, nadal krzątając się przy koszyku.

Ofuknięty w ten sposób David usiadł. Gwałtowne zmiany jej nastrojów zbijały go z pantafelku. Przed chwilą była bardzo miła, nagle zrobiła się chłodna i rzeczowa, unikała spojrzenia mu w oczy.

- Powiedziałem już, że nie oczekuję pani pomocy na każdym kroku w urządzaniu sklepu, i oto znowu panią o coś proszę. Nie powinienem był tego robić.

Raz jeszcze zirytował ją sposób, w jaki David to mówił. Chociaż wiedziała, że nie powinna go zachęcać, wolałaby nie słyszeć nieustannie wymyślanych pretekstów, by przebywać w jej towarzystwie. Kobięca próżność - łajała samą siebie, pamiętając, jak Jesse kpinami i docinkami zachęcił ją, by pojechała z nim na przejażdżkę. Zdecydowanie starała się wyrzucić go z pamięci na zawsze.

Jakby pragnąc zrekompensować swoje wykroczenie, David zaproponował:

- Miałaby pani ochotę na lody?

Ale panna Abigail pogrążona była w myślach, poirytowana na samą siebie, że zachęca Davida, i na niego, że nie jest dość męski, by przejąć inicjatywę. To wszystko wyprowadzało ją z równowagi.

- Chciałaby pani?

Ocknęła się z zadumy i zobaczyła, że David stoi obok. Mrugnęła oczami.

- Słucham?

- Pytałem, czy miałyby pani ochotę na lody - powtórzył. - Już są gotowe. - Był przystojny, grzeczny i nie narzucający się. Przez chwilę wpatrywała się w jego sylwetkę, zmieszana szybkimi zmianami uczuć, jakie wobec niego żywiła.

- Tak, bardzo proszę - odparła, żalując poprzedniej opryskliwości.

Uśmiech zniknął z jej twarzy, kiedy odwrócił się i oddalał, kulejąc, co znowu przypomniało jej, jak Jesse odchodził od niej utykając, kiedy widziała go po raz ostatni.

David zupełnie nie mógł zrozumieć panny Abigail, odkąd powrócił do Stuart's Junction. Błyskawiczne zmiany nastrojów w niczym nie przypominały zrównoważonej, miłej kobiety, którą poznał wcześniej. Były chwile, kiedy mógłby przysiąc, że go lubi, a w innych momentach w jej oczach pojawiał się ten zimny błysk, upewniający go, że ona się nim w ogóle nie interesuje.

Znowu jednak uświadomił sobie, co może znaczyć dla niego panna Abigail, kiedy obsłużono go bez kolejki przy maszynie z lodami, wokół której kłębiły się dzieci. Całe miasteczko zdawało się okazywać mu przychylność! Nawet gruba kobieta, która nakładała lody i podała mu je poza kolejnością.

- Niech pan powie panie Abigail, że sama zbierałam te brzoskwinie zeszłej jesieni i że Fanny Hastings mówi, iż przyprowadziła naprawdę pierwszą klasę chłopca, to znaczy pana - powiedziała przymilnie, a dołeczki zniknęły w tłustych policzkach.

Podziękował kobiecie i wracając do panny Abigail, zastanawiał się, w jakim humorze ją zastanie.

Stanął nad nią, zachwycony po raz kolejny jej pełną rezerwy, elegancką postawą, wpatrywał się w jej piersi pod bluzką z wysokim kołnierzykiem.

- Fanny Hastings prosiła, by pani powtórzyć, że sama zbierała brzoskwinie do lodów.

Abbie podniosła wzrok i wyciągnęła rękę po gałązkę oliwną w postaci lodów. Z jego twarzy wyczytała obawę, że zrobił coś nie tak, że czymś ją zdenerwował, podczas gdy ostatnio to ona sama najbardziej siebie denerwowała. A ponieważ naprawdę nie zrobił nic niestosownego, ponieważ Jesse DuFrayne nie chciał uwolnić jej od wspomnień, ponieważ David, podając jej rozpluwające się lody, miał oczy zbitego psa, powiedziała:

- Panie Melcher, chyba jednak będę mogła pokazać panu jutro drogę do tartaku.

Jego twarz od razu się rozpromieniła. Kiedy zobaczyła ten natychmiastowy uśmiech, tak pełen radości, uświadomiła sobie, jak łatwo może uczynić go szczęśliwym. Jego oczy wyrażały wdzięczność i podziw, jeśli tylko poświęciła mu choć odrobinę uwagi.

Zdała sobie sprawę, że wystarczy uśmiech, by manipulować tym mężczyzną. Powinno to być oszałamiające spostrzeżenie, ale pozostawiło ją dziwnie obojętną. Postanowiła jednak,

że do końca dnia będzie dla niego miła, ponieważ nie zasłużył na to, by ponosić konsekwencje faktu, że Jesse DuFrayne nie opuszczał jej myśli.

- Chodźmy zobaczyć, jak się tworzą drużyny korowaczy drzewa - zaproponowała, wyciągając rękę do Davida. Jak wdzięczny pies pomógł jej wstać, a jego wzrok wyrażał absolutne przywiązanie.

Inicjacja Davida Melchera zaledwie się zaczęła podczas porannej sesji piwnej i aukcji koszyków piknikowych. Jako obiekt licznych domysłów, witany był bardzo wylewnie, gdziekolwiek się pojawił w towarzystwie panny Abigail. Serdeczność kolejnych powitań podkreślać miał kufel piwa, więc, podobnie jak rano, David przez całe popołudnie trzymał w ręku zroszony kufel, choć nie wynikało to z wolnego wyboru. Wiadomo było, że panna Abigail nie pije piwa, ale sam fakt, że towarzyszyła Davidowi, który je pił, nadawał jej bardziej ludzkich cech w oczach mieszkańców Stuart's Junction. Od czasu do czasu widziano, jak się uśmiecha czy wręcz śmieje, co oczywiście zauważały miejscowe kobiety i trącały się łokciami lub porozumiewały mrugnięciem. Z każdą chwilą wzrastał stopień podchmielenia Davida, a także stopień jego powszechnej akceptacji.

Zanim dzień dobiegł końca, panna Abigail poczuła, że ona również została zaakceptowana jak nigdy dotąd. Kobiety włączały ją w planowane na drugi dzień spotkanie kółka robótek ręcznych, dały jej fartuch i warzachew podczas zawodów jedzenia ciasta, akceptowały ją w swoim rozbawionym kręgu, kiedy David uczestniczył w różnych zawodach razem z ich mężczyznami, i brały ją pod rękę, kiedy dochodziło do bardziej wymyślnych zmagania. David uczestniczył we wszystkim - walce na worki, wdrapywaniu się na pał, w indiańskich zapasach, nawet w pluciu tabaką. I ze wszystkich prób wychodził żałośnie przegrany. Ale tylko na oficjalnej tablicy wyników, bo jego dobra wola była nie do pokonania. Fakt, że nie pominął żadnych zawodów, mimo braku palca i utykania, mimo skazania na przegraną, jeszcze zanim wystartował, zapewnił mu sympatię mężczyzn. To zaś, że spowodował taką zmianę w pannie Abigail, zjednywało im obojgu sympatię i życzliwość kobiet.

W końcu zmuszono Davida, żeby zrezygnował z uczestnictwa w ostatnich zawodach - splawianiu bali. Wymagało to wielkiej zręczności nóg i doskonałego poczucia równowagi, a najwyraźniej brakowało mu obydwu. Ale niemal wszyscy zawodnicy poklepywali go po ramieniu i ściskali, kiedy wychodzili ze stawu, przegrani, ociekający wodą, roześmiani. Toteż kiedy wrócił do panny Abigail, był tak przemoczony, jakby sam uczestniczył w zawodach. Był także kompletnie pijany, ubranie miał poplamione tabaką i ciastem, piwo cuchnęło od

niego na miłą przedstawiał opłakany widok. W tym rozpaczliwym stanie przyniesiono go pannie Abigail, która razem z innymi kobietami zbierała foremki od ciasta, widelce, szklanki i sortowała koszyki piknikowe, by oddać je prawowitym właścicielkom.

- Panno Abigail! - ryczał Michael Morneau. - To jest najwspanialszy chłop, jakiemu kiedykolwiek odstrzelono paluch u nogi!

Kobiety zauważyły, że panna Abigail przyjęła to oświadczenie bez mrugnięcia powieką. Odwróciła się natomiast, patrząc, jak odnoszą jej rozmemłanego Davida mężczyźni, którzy będą jego kompanami tak długo, jak długo będzie mieszkał w tym miasteczku. Wszyscy się zaśmiewali, zataczali, śpiewali, objęci ramionami tak, że jeśli jeden wychylał się w lewo, to w lewo wychylał się cały szereg.

- Miasto zyskało cholernie wspaniałego przybysza, prawda, Jim?

Kimkolwiek był ów Jim, ryknął jeszcze głośniejsze:

- Niech mnie diabli, jeśli to nieprawda, a musimy podziękować pannie Abigail, że go tu przyprowadziła! Co, chłopaki?

Wszyscy to potwierdzili, a panna Abigail patrzyła na Davida kołyszącego się na rękach kompanów.

- Proszę, przynieśliśmy go pani z powrotem, panno Abigail. - Ale pijany orator zdawał się niezdolny do zlokalizowania Davida i zaczął się bezradnie rozglądać. - Prawda, że przynieśliśmy? I gdzieś go, do diabła, położyli?

- Jestem tutaj! - wołał roześmiany David z wyżyny trzymających go rąk.

Wtedy ten, który go poszukiwał, spojrział do góry.

- A, jesteś tu! Jak, do diabła, tam wlałeś?

- No przecież, idioto, nieśliśmy go do panny Abigail, nie pamiętasz? - wybełkotał jakiś głos, ktoś się potknął i cała rozbawiona banda przechyliła się *en masse* w drugą stronę.

- No to go połóżcie, bo ona jest tutaj!

Panna Abigail przewidziała, co się stanie, jeszcze zanim do tego doszło. W jednej chwili David siedział tam roześmiany, a w następnej - ręce się rozłączyły jak na komendę: połowa w jedną stronę, połowa w drugą. Rozdzieliły się jak Morze Czerwone, wpuszczając wciąż uśmiechniętego i machającego rękami Davida Melchera w powstały otwór. Panna Abigail zobaczyła, że spada, i rzuciła się na pomoc. Wyglądał jak ośmiornica ze splątanymi bezwładnie rękami i nogami. W momencie kiedy spadał, panna Abigail dobiegła do skraju tego ludzkiego morza i ramię spadającego zaczepiło o jej szyję, pociągając ją za sobą w dół! Wylądowała na Davidzie, z rękami i nogami rozłożonymi w sposób całkiem nie przystojący damie.

Jak tylko tłum uświadomił sobie, co się stało, życzliwe ręce wyciągnęły się w stronę pary ofiar. Mężczyźni wydawali ochy i achy, kobiety gdakały. A David, ciągle z rozradowanym uśmiechem, otworzył oczy i zobaczył przed sobą twarz panny Abigail McKenzie. Wielki Boże! Przecież panna Abigail leżała na nim! Włosy jej wymykały się z koka, piersi rozpląszczyły się na wilgotnym wyplamionym gorsie jego koszuli, w oczach miała przerażenie, a na policzkach rumieńce. Nie obchodziło go ani jak, ani kiedy się tu znalazła. Była to zbyt wielka okazja, by ją przegapić.

Zarzucił jej na szyję dwie niezbyt zborne ręce i całował ją tak długo i mocno, aż miał wrażenie, że zwymiotuje z braku powietrza i zawrotu głowy, na której przed chwilą nabił sobie guza.

Panna Abigail poczuła zaciskające się na szyi ramiona, zobaczyła, że uśmiech na jego ustach nabiera coraz dziwniejszego wyrazu i nie miała wątpliwości, jakie są jego zamiary, ale nie zdążyła się im przeciwstawić. Czowała, że włosy jej rozpuściły się zupełnie i okryły ich policzki, kiedy David całował ją wśród woni tabaki, piwa, potu i ciasta z wiśniami.

I nagle uświadomiła sobie, że słyszy ogłuszający ryk aplauzu. Nawet kobiety klaskały w ręce i wiwatowały. Mężczyźni gwizdali zachęcająco, a dzieciaki przeciskały się pomiędzy długimi nogami, płataniną halek i spódnic, żeby zobaczyć, co się dzieje wewnątrz kręgu.

- Dobrze, David, tak rób! - krzyknął jakiś głos.

Panna Abigail wrywała się i wreszcie udało jej się uwolnić, stoczyła się na ziemię i usiadła. Była wręcz purpurowa. Jednak widzowie nie mogli uwierzyć własnym oczom i uszom, bo wybuchnęła śmiechem, usiłując zakryć zarumienione policzki niezwykle jak na siebie brudną dłonią. Siedząc w piachu, wyciągnęła obydwie ręce do zebranych wokół mężczyzn.

- Będziecie tak stać cały dzień i bić brawo, czy może ktoś pomoże mi się podnieść?

Wszyscy śmieli się razem z nią, kiedy pomagali wstać i jej, i Davidowi. Kobiety robiły wiele zamieszania wokół otrzepywania jej sukni i karcili swoich mężów. Ale w głębi duszy wszyscy byli zadowoleni. Panna Abigail nie była może tak nadęta i sztywna, jak się wydawało przez lata, a David... David był po prostu idealny dla niej. Każdy mieszkaniec miasteczka składał sobie gratulacje z powodu tak wspaniale skojarzonej pary. Od tej chwili David Melcher i Abigail McKenzie zostali zaakceptowani nie indywidualnie, ale jako para.

Panna Abigail przez cały dzień czuła, jak narasta otaczająca ją fala aprobaty. Było to nowe uczucie, którego nie doznała nigdy w swoim samotnym życiu jako panna Abigail McKenzie. Subtelna zmiana, która dawała się zauważyć już rankiem, stawała się coraz

bardziej wyczuwalna. Trudno byłoby jej znaleźć słowo określające stopień wykluczenia samotnej osoby z zaczarowanego kręgu tych, którzy pędzili życie parami. Dopiero z tej perspektywy w pełni to sobie uświadomiła. Dopiero pod koniec tego dnia, kiedy odczuła, do jakiego stopnia stała się częścią społeczności, zdała sobie sprawę, jak całkowicie była z niej dotychczas wyłączona.

Uradowana tą świadomością, siedziała na trawie obok Davida Melchera pod ciemnogrnatowym niebem Hake Meadow. Siedzieli z nogami wyciągniętymi, głowami wzniesionymi do góry, obserwując częste fajerwerki sztucznych ogni, które oświetlały ich twarze i niebo.

Panna Abigail dostrzegła kalem oka, że David ją obserwuje.

- Nn... nie... nie ppp... powinienem był pocałować... ppp... pani - wyjąkał, trzeźwiejąc już po raz drugi tego dnia, podziwiając jej brodę, nos i policzki w świetle fajerwerków. Panna Abigail siedziała z twarzą uniesioną do góry, ale się nie odezwała. - Nn... nie... www... wiedziałem dobrze, ccc... co robię.

- Czyżby?

Spojrzał na rozpryskujący się fajerwerk.

- Chodzi mi o to, że za dużo wypilem.

- Jak wszyscy.

Podniosło go to na duchu.

- Nn... nie... jest... ppp... pani zła? , - .

- Nie.

Obydwoje odchyliłi się do tyłu, opierając dłonie za plecami na trawie. David przesunął rękę, aż dotknął palcami jej dłoni, a w blasku następnego fajerwerku zobaczył na jej twarzy uśmiech.

Palce mężczyzny były ciepłe, a oczy w nią wpatrzone - pełne podziwu. Przepelniało ją poczucie zadowolenia po tym wspólnie spędzonym dniu i zastanawiała się, czy on, odprowadzwszy ją do domu, spróbuje ją pocałować.

W drodze powrotnej, na przepelnionym wozie, David trzymał ją za rękę, siedzieli obok siebie na kupie siana, a dłonie ich zakrywały fałdy jej spódnicy. Ręce robiły się wilgotne, w pewnym momencie David puścił jej dłoń, wytarł rękę o nogawkę spodni i znowu odszukał jej palce pod fałdami szarej spódnicy. Myślała o Jessie, o otwartości jego poczynań, tak odmiennej od nieśmiałości Davida. Pełna poczucia winy ścisnęła jego rękę.

Odprowadzał ją, ale trzymał się z daleka, bo wiele innych osób również wracało tą samą drogą. Pod domem z bijącym sercem ujął jej dłoń w swoją spotniałą rękę.

- Ja... - zaczął, ale urwał, jak zwykle.

Pragnęła, żeby po prostu powiedział to, co myśli, bez tych nieudanych startów. To nie Jesse, przypominała sobie, daj mu trochę czasu.

- Dziękuję pani - rzekł w końcu i wypuścił jej dłoń, cofając się o krok, ponieważ do sąsiedniego domu wracali właśnie Nelsonowie.

- Nie zrobiłam nic, co zasługiwałoby na pańskie podziękowania oświadczyła spokojnie - rozczarowana, że wypuścił jej dłoń.

- Owszem, zrobiła pani.

- Co na przykład?

- Co? - Przez moment zdawał się szukać w pamięci. - Na przykład piknik. - Wypatrzył stojący na ganku koszyk.

Milczała.

- Pani... pani zrobiła znacznie więcej, panno Abigail, wie pani o tym... Dzięki ppp... pani... zaakceptowano mnie dzisiaj w Stuart's Junction.

Wieczór był spokojny, zadowolenie zdawało się otaczać Abbie jak ciepły wietrzyk.

- Nie, to dzięki panu zaakceptowano mnie.

- Co... takiego?

Spojrzała na swoje dłonie i splotła je.

- Mieszkam tu przez całe życie i nigdy dotychczas nie czułam się częścią tej społeczności tak jak w tej chwili. To dzięki panu, panie Melcher.

Nagle ujął obie jej dłonie.

- To ja właśnie tak się czuję. Jakbym... jakbym w końcu odnalazł swój dom.

- Bo odnalazł pan - zapewniła. - I to taki, w którym wszyscy panią lubią.

- Wszyscy? - spytał, przelitykając ślinę.

- Wszyscy.

Dłuższy czas stał, ściskając jej ręce; słyszała, że znowu przelityka ślinę. Miał znacznie mniejsze dłonie niż Jesse. Starła się nie porównywać ich obydwu. Pocałuj mnie - myślała. - Pocałuj mnie i przepędź tamtego z moich myśli.

Ale teraz, po wytrzeźwieniu, David nie potrafił zdobyć się na odwagę. Poza tym zdawał sobie sprawę ze swojego stanu, z tego, że śmierdzi piwem i tytoniem, że ma wilgotne i poplamione ubranie.

- A więc pokaże mi pani jutro drogę do tartaku?

- Oczywiście. Im szybciej stanie budynek, tym prędzej zacznie pan handlować.

- Tak.

Wypuścił jej dłonie, czym ją głęboko rozczarował, ponieważ domyślała się, że najchętniej dalej by je ścisłał.

Jesse nie zrobiłby tak.

Niech cię diabli, Jesse, zostaw nas samych.

- Spędziłam cudowny dzień - ponagliła go, czując niemal instynktowną potrzebę pocałunku, choć może niekoniecznie kierowały nią słuszne motywy.

Ale David powiedział jedynie „ja też”, życzył jej dobrej nocy i odszedł.

Zmarkotniała. A więc skazana była mimo wszystko na kolejną noc marzeń o Jessie. Podeszła z rezygnacją do huśtawki i siedziała po ciemku, wsłuchując się w odgłos oddalających się kroków Davida na zwirowanej alejce. Wkrótce wszystko umilkło, słychać było tylko zgrzyt sznurów huśtawki. Zawtórował mu konik polny. Patrzyła jak zahipnotyzowana w ciemność ulicy i widziała na niej ciemne wąsiki...

David... Jesse... David... Jesse...

Davidzie, dlaczego mnie nie pocałowałeś?

Jesse, dlaczego mnie pocałowałeś?

Davidzie, czy pozwoliłabym ci na to?

Jesse, dlaczego ci pozwoliłam?

Davidzie, a gdybyś tak się dowiedział o Jessie?

Jesse, gdyby nie ty, David nie miałby się czego dowiadywać. Dlaczego nie zmusiłeś mnie do opuszczenia twego pokoju tamtego wieczoru, jak zrobiłby każdy dżentelmen? Dlaczego narzuciłam ci się w sposób nie przystający damie? Przyniosło mi to jedynie cierpienie. Nie, to nieprawda, przyniosło mi Davida, który jest delikatny, uprzejmy, sympatyczny, uosabia wszystko to, czego zawsze pragnęłam. Dlaczego muszę go porównywać z tobą, Jessie DuFrayne? Dlaczego musi ci dorównać, tobie, który od początku do końca robiłeś wszystko źle? Davidzie, Davidzie, tak mi przykro... uwierz mi. Skąd mogłam wiedzieć, że wrócisz? Jak byś przyjął prawdę o mnie, ty, z twoją wrodzoną delikatnością? Dlaczego krytykuję cię za to, że jesteś niepewny i uprzejmy, za to, że jesteś dżentelmenem? Jesse był porywczy, gburowaty, nie miał w sobie nic z dżentelmena, co wywoływało moją niechęć...

Ale nie do końca, nie do końca, upierało się nielojalne ciało.

Położyła rękę na brzuchu, oparła na niej łokieć i objęła dłonią czoło, starając się zapomnieć.

Sznury huśtawki skrzypiały rytmicznie, wspomnienia atakowały bezlitośnie. Obnażony tors pod rozpiętą koszulą, ręka zarzucona na oparcie huśtawki, uśmiech rodzący się

powoli w kąciku ust, dotyk ręki, warg i języka na jej skórze.

Oczy napełniły się łzami, uświadomiła sobie, że piersi jej nabrzmiały jak pączki róży.

Wynoś się z mojego życia, Jessie DuFrayne! Słyszysz mnie?! Zejdź z mojej huśtawki, wyjdź z mojego łóżka i pozwól mi znowu żyć w spokoju!

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

W ciągu następnych dni mieszkańcy miasta przyzwyczaili się widywać razem pannę Abigail i Davida. Spędzali oni z sobą wiele godzin, podejmując decyzje niezbędne przy zakładaniu nowego sklepu. W dzień po pikniku zjawili się w tartaku, a panna Abigail towarzyszyła Davidowi w momencie zawierania transakcji dotyczącej zakupu drewna. Zademonstrowała duży zmysł do interesów, dzięki niej bowiem uzyskali drewno po znacznie niższej cenie. Upierała się, żeby pokazano im mniej atrakcyjną sosnę z sękami. Zauważyła, nie bez racji, że jest to wystarczająco dobry materiał na wybudowanie półek na zapleczu sklepu.

Szyby do okien wystawowych, które miały przyjechać pociągiem z Ohio, byłyby najdroższym elementem wyposażenia, gdyby zgodnie z planem Davida zamówili je w dużych taflach. Panna Abigail zaproponowała jednak, żeby zamówić większą liczbę mniejszych płyt, których transport był znacznie tańszy ze względu na niewielkie ryzyko stłuczenia ich po drodze. Zrezygnowano więc z planowanego dużego, zimnego i nieciekawego okna wystawowego z jednej olbrzymiej szyby na rzecz przytulnych okien wykuszowych w stylu Cape Cod, pierwszych tego typu na głównej ulicy miasteczka. Jak to określiła panna Abigail, dlaczego nie umożliwić kobietom oglądania butów z trzech stron zamiast z jednej? Może w ten sposób sprzedadzą również trzy więcej.

Kiedy stanął szkielet konstrukcyjny budynku, panna Abigail zjawiła się pewnego dnia w magazynie rolnym i złożyła Chudzielcowi Binleyowi propozycję nie do odrzucenia: żeby wraz z kumplami przyciął dwadzieścia osiem jednakowych balasków do balustrady na tyłach okna wystawowego, a ona w zamian przez siedem dni będzie dostarczać jemu i kumplom koszyk piknikowy. Balustrada, w przeciwieństwie do przepierzenia, pozwoli klientom oglądać eksponaty na wystawie również ze sklepu, a jednocześnie stworzy przytulną, zachęcającą atmosferę wnętrza dla oglądających wystawę z ulicy.

Kiedy pewnej niedzieli pastor ogłosił z ambony, że wreszcie zamówiono nowe ławki do kościoła, panna Abigail podsunęła Davidowi pomysł, by postarać się o odkupienie starych za cenę znacznie niższą, niż pochłonełyby nowe krzesła. Następnie wyprawiła się na zaplecze sklepu bławatnego Avery'ego Holmesa i znalazła tam zakurzoną belę solidnego rypsu, która leżała nie ruszana od lat, ponieważ był to rypsu w kolorze szkarłatnym. Uznała, że szkarłat idealnie nadaje się do zapewnienia przytulności wnętrza w salonie z obuwiami. Namówiła Avery'ego, aby sprzedał jej całą belę za śmiesznie niską cenę. I tak był zadowolony, że wreszcie pozbył się tego rypsu. Potem przekonała panie z kółka robótek ręcznych do eksperymentowania z obiciami meblowymi, czego żadna z nich wcześniej nie próbowała.

Pokryły stare ławki kościelne czerwonym rypsem, dziękując pannie Abigail, że umożliwiła im zdobycie nowej umiejętności.

Bela rypsu zdawała się nie mieć końca. Po obiciu ławek zostały jeszcze całe metry materiału, więc Abbie uszyła proste zasłony do okna wystawowego, związane z boku, co nadawało wystawie charakter sceny. Mimo to nie zużyła jeszcze beli rypsu, więc w wolnych chwilach zaczęła drzeć resztę na paski, z których zamierzała upleść dywaniki pod drzwi wejściowe i pod piec w głębi sklepu.

Zbliżał się sierpień, budynek powoli nabierał kształtów, więc Abbie i David pracowali wspólnie nad wielkim zamówieniem do fabryki w Filadelfii, które miało wypełnić półki w sklepie. Dalej panował upał, w powietrzu zdawała się unosić mgiełka drobinek pyłu. Pewnego popołudnia zasiedli oboje w najchłodniejszym miejscu pod lipą, w ogródku na tyłach domu Abbie, obłożeni księgami, spisami i katalogami.

- Musisz przecież pomyśleć o nadchodzącej zimie! - nalegała Abbie. - Davidzie, bądź praktyczny. Jeżeli złożysz zamówienie w twojej dawnej firmie tylko na modne pantofelki, stracisz wielu potencjalnych klientów.

- Zawsze sprzedawałem eleganckie, modne buciki - upierał się David. - Ludzie mogą kupować buty w sklepie bławatnym i niech tak pozostanie.

- Ale dlaczego masz tracić klientów?

- Nie sądzę, żebym ich potrzebował. Wystarczy, że będę sprzedawał najmodniejsze fasony, czym się zawsze zajmowałem.

- Może wystarczyłoby to na wschodzie, może w handlu domokrażnym, ponieważ to, co przywoziłeś, było nowością, a wszyscy uważali, że skoro odjedziesz, utracą szansę zakupu podobnych butów. Ale tutaj, handlując w jednym miejscu, będziesz musiał zaspokajać wszystkie potrzeby. Najlepszym artykułem byłoby obuwie do pracy.

- Ale jak będą wyglądały robocze buty w tym pięknym oknie wystawowym, na które mnie namówiłaś?

- Okropnie.

Zamrugnął pytająco oczami.

- No wiec?

Panna Abigail natychmiast zaczęła robić plany, zawsze miała głowy pełną nowych pomysłów.

- No więc... umieścimy je w głębi sklepu, w bardziej odpowiednim miejscu. Wystawimy je w takim miejscu, gdzie mężczyźni będą się czuli swobodniej, oglądając buty. Już wiem! Zrobimy kącik tylko dla mężczyzn! Mężczyźni są śmieszni pod tym względem,

lubią mieć własny kąt. Postawimy wokół pieca kilka krzeseł, takich jak przed sklepem rolniczym Michaela, i... poczekaj... Zastanawiała się chwilę, dotykając palcem zębów. - Stworzymy jednocześnie domową i męską atmosferę - czerwony chodnik W środku kręgu krzeseł, może uda się nam też zaprezentować buty w jakiś atrakcyjny i męski sposób.

- Nie jestem pewien - z powątpiewaniem w głosie rzekł David.

Zniecierpliwiał ją, poderwała się na nogi, rozsypując kartki, spisy i katalogi.

- Och, Davidzie, bądź rozsądny!

- Jestem rozsądny. W mieście jest już punkt sprzedaży obuwia roboczego i codziennego. Ja specjalizuję się w modnych trzewiczkach i umiem je sprzedawać. Chcę trafić do klientek. Chcę, żeby po obejrzeniu wystawy pobiegły prosto do domów i krzyknęły do mężów: „Zgadnij, co dzisiaj widziałam!”

Abbie stała teraz nieruchomo z rękami na biodrach, rzucając im wyzwanie:

- I co dokładnie opiszą?

- No, oczywiście, okno wystawowe pełne pantofli, które podniecają ich próżność, a może także próżność ich mężów. Niebiańskie buty, jakich nie widziały nigdy w życiu, buty prosto ze wschodu.

Nie zastanawiając się, czy postępuje rozsądnie, zapytała:

- Czerwone buty?

- Co? - Zamrugał nerwowo powiekami.

- Powiedziałam „czerwone buty”. Czy będą mówiły o czerwonych butach?

- Dlaczego... dlaczego... oczywiście, niektóre będą czerwone. Takie jak twoje.

Obydwoje wiedzieli jednak, że prócz tego jednego wieczoru, kiedy zabrał ją na kolację, panna Abigail nigdy więcej nie włożyła czerwonych bucików.

- Ttt... tobie się... ppp... podobają czerwone buty... prawda, Abigail?

Podeszła bliżej i przykucnęła, spódnica ułożyła się wokół niej jak kapelusz grzyba. Położyła rękę na ramieniu Davida.

- Proszę cię, zrozum, lubię je, bo pochodzą od ciebie, ale ja...

Kiedy się zawahała, ponaglił ją:

- No, mów dalej.

Spojrzała mu w oczy, odwróciła wzrok, wstała nerwowo i wykręciła się do niego plecami.

- Czy wiesz, co... co powiedział pan DuFrayne, kiedy je zobaczył?

Słyszając wzmiankę o DuFraynie, David natychmiast się zjeżył.

- A jaki to ma związek z DuFrayne'em?

- Jak wiesz, byt tutaj w dniu, w którym przyszła paczka. - Zdecydowanym ruchem odwróciła się w stronę Davida: - Nazwał je butami ladacznicy.

Twarz jego płonęła, mocno zaciskał usta.

- Dlaczego o nim mówisz? Jakie ma znaczenie, co on myśli?

Teraz głos panny Abigail przybrał błagalne tony.

- Ponieważ, chciałabym, żeby ci się powiodło. Chciałabym, żebyś sobie uświadomił, że tutaj, w Stuart's Junction, nie nosi się czerwonych butów, nosi się natomiast buty robocze i dużo wygodnych butów codziennych. Jeżeli ma ci się udać, musisz to zrozumieć. Na wschodzie, gdzie modne są jaskrawe kolory, można sprzedawać i nosić takie buty. Tu jest inaczej. Patrzysz na kolory okiem sprzedawcy. Tutejsi ludzie, a zwłaszcza kobiety, są znacznie bardziej konserwatywni. Większość kobiet nie ośmieli się kupić takich butów, choćby nawet po cichu się nimi zachwycaly. I tylko dlatego powtórzyłam ci komentarz pana DuFrayne'a, ponieważ symbolizuje on poglądy naszego miasta.

- Abigail! - Usta Davida były zaciśnięte, szczęki nieruchome. Zupełnie zapomniał o przyczynach jej monologu. Znalazł się we władzy jednej tylko myśli. - Czy chcesz powiedzieć, że nazwał cię ladacznicą?

Odparła bez zastanowienia:

- Ależ nie, był po prostu zazdrosny.

- Co takiego?! - David poderwał się na nogi. , . Uświadomiwszy sobie swoją gafę, usiłowała ją zbagatelizować.

- Odchodzimy od tematu. Mówiliśmy o tym, jakie buty powinieneś zamówić.

- Ty mówiłaś o tym, jakie buty powinienem zamówić. Ja mówiłem o tym, jakie powody do zazdrości mógł mieć DuFrayne. A więc jednak coś między wami zaszło? - David Melcher stawał się zadziwiająco pewny siebie i wymowny, ilekroć wspomniano nazwisko DuFrayne'a. Otaczała go wówczas aura autorytetu, której tak bardzo mu brakowało w innych momentach.

- Nie! - wykrzyknęła zbyt gwałtownie, po czym opanowała się i powtórzyła spokojniej: - Nie... nic między nami nie było. Przy każdej okazji zachowywał się ohydnie, egoistycznie i obelżywie. - zdawała sobie jednak sprawę, że to niezupełna prawda, i nie potrafiła spojrzeć Davidowi w oczy.

- A więc co mogło go obchodzić to, że przysłałem ci parę butów ladacznicy? Po tej scenie na łóżku w dniu mojego wyjazdu byłbym skłonny przypuszczać, że czerwone buty powinny być raczej w jego guście, jeżeli prawdą jest to, co mówisz, i są to rzeczywiście nieodpowiednie buty.

David nieświadomie dotknął jednej z owych niekonsekwencji w charakterze Jesse'a DuFrayne, które dręczyły Abbie do tej pory, tyle tygodni po jego wyjeździe. Niezwykle było usłyszeć z ust osoby trzeciej określenie tego, nad czym zastanawiała się tak często, a co zdawało się niemożliwe do wyrażenia.

- Nie mogę się wypowiadać za niego. I nie sędzę, żeby do ciebie należało wypowiadanie połajanek pod moim adresem. W końcu między tobą a mną nie ma nic więcej niż... - Nagle urwała zasmucona. Spuściła oczy i bawiła się guzikiem mankietu. Naprawdę nie wiedziała, czym są z Davidem dla siebie nawzajem. Był uosobieniem uprzejmości w ciągu tych tygodni, kiedy robili wspólne plany i pracowali nad otwarciem sklepu. Jedyna zmiana w ich stosunkach - zmiana całkiem naturalna - polegała na tym, że zaczęli mówić do siebie po imieniu. David nie podejmował dalszych prób pocałowania jej czy nawet trzymania za rękę. Również w żaden inny sposób nie dawał do poznania, że się do niej zaleca. Uznała, że doszedł do wniosku, iż obraził ją tym pocałunkiem na oczach całego miasteczka w święto Czwartego Lipca, i od tamtej pory starał się naprawić sytuację, zachowując się z wyszukaną uprzejmością.

- Abigail, nic życzę sobie, żebyśmy kiedykolwiek mówili o tym człowieku - oświadczył kategorycznie.

Popatrzyła na niego pytająco. Jakim prawem wydawał jej polecenia? Nie byli przecież zaręczeni.

Nagle David zmiękł. Wiatr zwiewał z jego czoła ciemne włosy, a w oczach pojawił się wyraz rozmarzenia. Stał, opierając cały ciężar ciała na zdrowej nodze - robił to często, widocznie druga noga nadal mu dokuczała - sprawiał wrażenie całkowicie rozluźnionego, kciuk i palec wskazujący schował do kieszeni kamizelki, w której nosił zegarek.

- Abigail, co chciałaś powiedzieć przed chwilą? Że ty i ja nie jesteśmy niczym więcej niż...? Nie dokończyłaś.

Jak mogła dokończyć? Tak jej się wyrwało. To on powinien dokończyć, powinien odgadnąć, co miała na myśli. Bardzo się przyzwyczaiła do przebywania w jego towarzystwie, które na ogół sprawiało jej przyjemność. Czasami myślała o utraconym dziewictwie i o tym, że powinna przestać zachęcać Davida, ale w miarę upływu czasu coraz rzadziej przychodziło jej to do głowy. A jednak David nigdy nie robił jej żadnych awansów, nie sprawiał nawet wrażenia, iż ma takie zamiary. W najlepszym razie łączyła ich platoniczna przyjaźń. Toteż Abbie bez trudu wymyśliła wiarygodną odpowiedź.

- Chciałam powiedzieć, że jesteśmy współnikami w interesach. Ale przecież nawet to nie jest prawdą. Sklep należy do ciebie. - Nie potrafiła spojrzeć mu w oczy.

- Wydaje mi się, że w połowie jest twój. Zrobiłaś tak wiele... zzz... znacznie więcej niż ja. - Znow zaczął się jąkać, bo rozmowa schodziła na tematy osobiste. Kiedy mówił o sklepie, entuzjazm nie pozwalał na jękanie. Ale teraz, w chwili tak niebezpiecznie bliskiej wyjaśnienia istoty jego stosunków z Abigail, znowu ogarnęło go lękliwe onieśmienie.

- Zrobiłam tyle, ile zrobiłby każdy przyjaciel - powiedziała skromnie w nadziei, że on zaprzeczy.

- Nic, Abigail, zrobiłaś znacznie więcej. Nie wiem, jak bym sobie poradził bez ciebie. Jjj... jesteś znacznie ode mnie... rozsądniejsza.

Czekała z zapartym tchem, zastanawiając się, czy powie coś bardziej osobistego, wyczuwała jednak jego nieśmiałość, dla niektórych mężczyzn podobna sytuacja byłaby nie do zniesienia. Milczenie przedłużało się, stawało się kłępujące. Zorientowała się, David stracił pewność siebie.

- Nie ustaliliśmy jeszcze sprawy zamówienia towaru - przypomniała, przerywając zenującą ciszę.

- Coś mi mówi, że znowu powinienem zawierzyć twojej intuicji.

- W głębi sklepu jest miejsce na obuwie robocze. Jestem pewna zresztą, że będzie się sprzedawało znacznie lepiej, jeśli zorganizujemy to tak, jak sobie wyobrażam. Chodźmy do sklepu, pokażę ci, gdzie i jak urządzimy ten dział.

- Teraz?

- A dlaczego nie?

- Przecież jest niedziela.

- No właśnie, więc będziemy mogli porozmawiać w spokoju, bez kucia i stukania.

- Masz rację, chodźmy. - David uśmiechnął się.

Panna Abigail nie nosiła już kapelusza ani rękawiczek, kiedy było zbyt upalnie. Szli do centrum miasta w popołudniowym słońcu, pozdrawiając od czasu do czasu mijanych sąsiadów, którzy witali ich przyjaznym: „Dzień dobry, Davidzie, panno Abigail. Co słyhać?” Chwilami panna Abigail czuła się tak, jakby już była jego żoną.

Szkielet budynku już stał. Były ściany i część dachu, ale wewnątrz dominowały słupy konstrukcyjne. Framugi wykuszowego okna czekały na szyby, brakowało też drzwi. Wewnętrzne ściany ponad półkami miały być wyłożone blachą, więc duże jej arkusze leżały wśród trocin i desek.

Abigail przeciskała się między kupami gwoździ, stertą półek i rzeźbionymi balustradkami, które przygotował już Chudzielec z chłopakami.

- Widzisz? - Wskazała na otwór w głębi budynku zostawiony na przewód kominowy. -

Tutaj będzie piec. Możemy postawić tu wielkie pnie dębowe, z korą i ze wszystkim, tak jak przyjadą z lasu. Postawimy je w pobliżu pieca, a na nich wystawimy obuwie robocze, co nada wnętrzu pewną aurę męskości. Tutaj kosz z orzechami, krąg solidnych krzeseł wokół pieca albo przy ścianie w głębi, tak jakby były zarezerwowane dla konkretnych klientów. Zobaczysz, to im się spodoba! Mężczyźni lubią gromadzić się wokół pieca. Kobiety mają dosyć pieców w kuchni, więc damskie buty wystawimy od frontu, gdzie jest chłodniej, w oknie wystawowym za balustradką. I choć może być prawdą, że żadna z tutejszych kobiet nie wybrałaby butów w kolorze czerwonym, nie będą miały nic przeciwko temu, kiedy kolor ten rozjaśni wnętrze. Wyobraź to sobie w czasie Bożego Narodzenia - trzaskający ogień w piecu i dzbanek gorącej kawy dla mężczyzn w głębi sklepu. Możemy zaproponować, żeby zostawiali tutaj swoje kubki, zawieszane na kołkach na ścianie. Na pewno będziemy sprzedawać obuwie robocze, i to w dużych ilościach, a jednocześnie na froncie kobiety będą wzdychać i rozpląwać się nad twoimi eleganckimi pantoflami, plotkując z dala od swoich mężczyzn.

Abigail nie zdawała sobie sprawy, że w zapale planowania sklepu jej twarz przybierała ten sam uroczy wyraz, który zauważył Jesse w dniu, kiedy przyszła paczka z butami. Nie zdawała sobie również sprawy z tego, że powiedziała: „...będziemy sprzedawać obuwie,..”. Twarz miała promienną i ożywioną, oczy płonące. Przed kilkoma tygodniami widok ten poruszył Jesse'a DuFrayne, teraz poruszył Davida Melchera. Drobiniki trocin wprawione w ruch rąbkiem spódnicy panny Abigail tańczyły w powietrzu w promieniach słońca, podczas gdy ona kręciła się, gestykulowała, nie przestawała mówić. Wskazała ręką miejsce, gdzie stanie dzbanek z kawą, paplała o piecu... a David zapomniał o letnim upale, wyobraził ją sobie w sklepie, pełną entuzjazmu i doskonałego wyczucia interesów. Wyobrażał sobie, jak sam zajmuje się klientami płci męskiej i mówi do ich kobiet: „Moja żona obsługuje panie we frontowej części”.

I nagle uświadomił sobie, że nie może być inaczej.

Panna Abigail obróciła się gwałtownie, a David zaskoczył ją, chwytając niespodziewanie za rękę. Na sekundę słowa zamarły mu w gardle. Trociny unosiły się wokół nich jak letni śnieg, osiadały im na ubraniach. Było cicho, intymnie, pachniało świeżym drewnem. A on bardzo ją kochał.

- Abigail... - zaczął i głośno przełknął ślinę.

- Słucham, Davidzie?

- Abigail, cz... mmm... mógłbym cię pocałować? - Popełnił wobec niej już tyle gaf, że uznał, iż lepiej będzie najpierw zapytać.

Panna Abigail wolałaby, żeby nie pytał. Jesse nie zrobiłby tego. Zaniepokojona, że

David mógłby odczytać te niepożądane myśli, spuściła wzrok. On jednak przyjął to za stanowczą odmowę i puścił jej rękę.

- Przepraszam... - zaczął.

Błyskawicznie podniosła wzrok.

- Za co masz przepraszać? Nie zrobiłeś nic złego. - Nie miała żadnego powodu do urazy, przecież on po prostu starał się być uprzejmy, ale co za dużo, to za dużo!!

- Ja... nnn... nie... - mamrotał, ale jej odpowiedź tak go zaskoczyła, że nie wiedział, co robić.

- Owszem, Davidzie, możesz mnie pocałować.

Teraz jednak sytuacja straciła cały urok, jakiego mógł jej przydać spontaniczny pocałunek. Mimo wszystko David ujął obie dłonie panny Abigail i pochylił się w jej stronę. Na podłodze pomiędzy nimi leżała krótka deska, zamiast jednak zrobić krok i wziąć Abigail w ramiona, David pochylił się i, zamknawszy oczy, delikatnie przytknął wargi do jej ust.

Miał ładne, miękkie, ciepłe, kształtne wargi. Co za szkoda, że nie umie się nimi posługiwać - pomyślała.

Przez kilka sekund nie odrywał warg od jej ust, a panna Abigail w tym czasie nie odczuwała absolutnie nic. Rozmowa o tym, jak będą wystawiać buty, podnieciła ją znacznie bardziej niż ten pocałunek. David wyprostował się i zachował absolutne milczenie, równie nijakie jak jego pocałunek. Panna Abigail patrzyła na trociny na podłodze, na rozdzielającą ich deskę i pomyślała, że ta deska mogłaby równie dobrze znajdować się znacznie wyżej, tak niewielki kontakt mieli w czasie tego pocałunku. Pocałunek samych warg - skonstatowała - zdecydowanie nie jest zadowalający. Jeszcze raz więc uniosła usta w stronę Davida i odważyła się na moment objąć go za szyję. Jednak pocałunek trwał krótko i David natychmiast podjął decyzję.

- Pójdziemy już?

Miała ochotę powiedzieć: „Nic, spróbujmy jeszcze raz, bez tej deski pomiędzy nami. Spróbujmy jeszcze raz z języczkiem”. Jednak on w końcu obszedł tę nieszczęsna deskę, wziął pannę Abigail pod rękę i poprowadził w stronę nic istniejących drzwi. Widziała, że pocałunek wprowadził go w pomieszanie, bo przez całą drogę do domu mówił nerwowo o tym, że ona ma rację, że zaraz złoży zamówienie na obuwie robocze, aby zdążyło nadejść przed otwarciem sklepu planowanym na październik, o tym, że wtedy już może padać śnieg, więc musi na zapleczu zgromadzić drewno, o tym, że powinni wydrukować specjalne ogłoszenie w gazecie, chociaż całe miasto doskonale wiedziało, kiedy nastąpi otwarcie sklepu.

Nie chciał zostać na kolacji, choć ostatnio często zostawał wspólne kolacje stały się

raczej regułą niż wyjątkiem - zebrał swoje papiery i wyszedł, twierdząc, że musi sporządzić zamówienie na piśmie.

Tego wieczoru panna Abigail usiłowała przeanalizować swoje uczucia wobec Davida Melchera, zrozumieć powody, dla których udzielała mu zachęty takiej jak dzisiaj. Teraz już była pewna, że nie jest w ciąży, zniknęła więc największa potencjalna przeszkoda ich związku. Dziwne, ale opuściło ją również poczucie winy, kiedyś tak wszechpotężne. Dopuściła się czynu niemoralnego, ale nie uważała, że powinna za to pokutować przez całe życie. Zasługiwała na odrobinę szczęścia, a jeśli Melcher mógł jej to ofiarować, nit' uważała już, że oszuka go, akceptując tę ofertę.

Nie, jej problem z Davidem przestał już być problemem moralnym, by I to problem seksualny. Po prostu jej nie podniecał. Starła się nie myśleć o Jessie... och, naprawdę tego próbowała. Ale nie udawało się. Po pocałunku Davida nie mogła nie porównywać go z doświadczonym, ognistym, kuszącym Jesse'em. Zaczęły wracać bardzo wyraźne wspomnienia, które w końcu przepędziły z jej myśli wszystko inne prócz pamięci intymnej znajomości ciała Jesse'a. Znała każdą część jego ciała tak dobrze jak swoje własne i przyznanie się do tego nie wydawało się już czymś wstydlivym. Wspominając DuFrayne'a, zastanawiała się, czy z czasem zmniejszy się znaczenie pociągu seksualnego, kiedy już poślubi Davida. Tylko że on się nie oświadczył. Ale zrobi to. Musi mieć jeszcze trochę czasu, ale na pewno to zrobi. A wtedy co ona mu odpowie? Nie, nie wyjdę za ciebie, ponieważ przy tobie moja krew nie pulsuje tak mocno jak w obecności Jesse'a? Czy odpowie „tak”, bo pod każdym innym względem pasują do siebie. Nie mogąc zasnąć do wczesnych godzin porannych, myślała o tym, że gdyby udało jej się wykrzesać z Davida więcej zapалу, miałyby przynajmniej lepsze podstawy do porównywania go z Jesse'em DuFrayne.

Następnego wieczoru David przyjął zaproszenie na kolację. Był to przyjemny posiłek, który jak zwykle zjedli przy stole w kuchni. Przy kawie David, co również było jego zwyczajem, nie szczędził komplementów.

- Jaka wspaniała kolacja. Wszystko, co robisz, jest zawsze wspaniałe. Działa nie tylko na żołądek.

Jeżeli ma porównywać obydwu mężczyzn, powinna robić to sprawiedliwie i zostawić sobie możliwość uczciwego wyboru. Przypomniała sobie głos Jesse'a, zawsze pełen kpiny, co tak ją wówczas irytowało, a teraz wydawało się kuszące. „Abbie, czym zamierzasz mnie dzisiaj zatruć?” Nie zdawała sobie sprawy, że wspomnienie to wywołało uśmiech na jej twarzy.

- Czy powiedziałem coś śmiesznego? - dopytywał się David.

- Słucham? - Z żalem powróciła do rzeczywistości.

- Śmiałaś się przed chwilą. O czym myślałaś?

- Nie śmiałam się.

- Ramiona ci drgały, jakbyś się śmiała. - Pokręciła głową.

- Nic takiego. Cieszę się, że smakowała ci kolacja.

Ta odpowiedź go uspokoiła. Odsunął krzesło od stołu i zaproponował:

- Pomyślałem, że moglibyśmy poczytać trochę sonetów. Nie trzeba nic więcej, by uczynić ten wieczór doskonałym.

Dlaczego nagle sonety wydały się równie suche jak jego pocałunki?

- Zawsze mówisz takie przyjemne rzeczy. - Panna Abigail chciała zrekompensować w jakiś sposób swoje niepoprawne myśli. Muszę naprawdę traktować go bardziej sprawiedliwie - obiecywała sobie - bo to nie on się zmienił, tylko ja.

Czytali sonety, on siedział na kanapce, a ona na krześle obok. Nie pozostawało im nic innego, jak rozkoszować się wspólnie brzmieniem wierszy w świetle zapalonych lamp. David wyczuł w niej jednak zniecierpliwienie i uczucie ulgi, kiedy odłożyli książkę. Zdumiewał się ponownie zmianami, jakie czasami w niej zauważał, tym jakimś niepokojeni, który zakłócał zrównoważenie, tak przez niego podziwiane.

Pocałował ją na dobranoc. Przyzwoity pocałunek - pomyślał David. Suchy pocałunek - pomyślała Abbie.

Kilka dni później wczesnym wieczorem siedzieli na huśtawce. Nadszedł już wrzesień, niemal wyczuwało się zapowiedź zimy.

- Ccc... coś... cię gnębi... ppp... prawda?

- Gnębi? - powtórzyła ostro. Darła paski rypsu na dywanik, palce jej szarpały i zwijały materiał niemal histerycznie.

- Wiem, że cię drażnię, ale nnn... nie wiem... dlaczego.

- Nie bądź głuptasem, Davidzie - powiedziała z wyrzutem. - Wcale mnie nie drażnisz. Wprost przeciwnie.

Urwała długi pasek materiału, nie odrywając wzroku od czerwonego rypsu, a odgłos darcia działał Davidowi na nerwy. Chciałby, żeby przestała robić dywanik, kiedy rozmawiali.

- Nnn... nie ma powodu, żebyś to ukrywała... i starała się być uprzejma. Tylko chciałbym wiedzieć, ccc... co cię gnębi.

- Już powiedziałam, że nie! - Szybkimi ruchami zwijała w kłębek paski materiału. Jak mogła powiedzieć, że wszyscy w miasteczku spodziewają się ich ślubu, że zrobiłaby

wszystko, żeby jej się uświadczyl, a jednocześnie coraz bardziej się tego obawiała? Jak mogła mu wytłumaczyć podobne pogmatwanie myśli, kiedy sama nie bardzo je rozumiała?

Spokojnym gestem wyciągnął rękę i położył na jej dłoniach, z furją zwijających paski w bardzo ścisły kłębek.

- To, co nazywasz niczym, jest czymś bardzo ważnym. Ważniejszym, niż przypuszczałem. Zwijas te szmaty tak, jakbyś chciała nimi kogoś zadusić. Czy chodzi o mnie?

Upuściła kłębek na kolana, oparła czoło na dłoni, ale nie powiedziała ani słowa.

David wpatrywał się w strzępki czerwonych nitek, które otaczały ją jak pajęczyna.

- Ttt... to się zaczęło tego dnia, kiedy... zapytałem, czy mm... mogę cię pocałować? Widziałem, że czułaś do mnie wstręt. Abigail, czy o to chodzi? Czy jesteś zła dlatego, że... cię... pocałowałem?

Stuknęła się palcami w czoło, wpatrywała się we własne kolana i nie wiedziała, jak zareagować. Nie wiedziała, czy chce, żeby kontynuował ten temat, czy nie. Jak mogła wiedzieć po dwóch zimnych pocałunkach?

- Och, Davidzie... - westchnęła głęboko i spojrzała w dal.

- O co chodzi? Co takiego zrobiłem? - dopytywał się błagalnie.

- Nic nie zrobiłeś. - Pragnęła teraz gorąco, żeby coś zrobił, żeby mogła raz na zawsze przekonać się, co do niego czuje.

- Abigail... kiedy zjawiłem się tu po raz pierwszy, wyczuwałem... między nami jakąś więź. Zdawało mi się, że ty również to czujesz. Sądziłem, że jesteśmy do siebie podobni, ale odkąd wróciłem, wydajesz się inna.

Przyszła pora, by wyznać prawdę.

- Bo jestem powiedziała zmęczonym głosem.

- To znaczy? - odważył się zapytać.

Opuściło ją zmęczenie, poderwała się energicznie i rzuciła poirytowana:

- Nie lubię już sonetów.

Kłębek potoczył się po ganku, rozwijał się, ale nie zwróciła na to najmniejszej uwagi. Skrzyżowała ręce na piersiach i pozwoliła mu wpatrywać się w swoje wyprostowane ramiona.

Kompletnie zaskoczony, nie odrywał od niej wzroku. Po chwili weszła do saloniku, zatraskując za sobą ochronne drzwi. David jeszcze jakiś czas pozostał na huśtawce, zastanawiając się, czego ona od niego oczekuje i jaki związek z tym wszystkim mają sonety. Wreszcie westchnął, wstał i pokuśtykał do drzwi. Otworzył je cichutko i zastał pannę Abigail przed ohydny stojakiem na parasole w kształcie tronu; wpatrywała się w swoje odbicie w

lustrze. Kiedy na nią patrzył, wykonała bardzo dziwny gest. Uniosła rękę i dotknęła podbródka wierzchem dłoni, obserwując ten gest w lustrze.

- Co ty robisz? - spytał.

Nie odpowiedziała od razu, dalej przyciskała brodę. W końcu opuściła rękę, jakby ogarnęło ją straszne zmęczenie, odwróciła się do niego z wyrazem smutku na twarzy i odpowiedziała niemal żałośnie:

- Pragnę, żebyś mnie znowu pocałował.

Otworzył usta, mogła niemal odczytać myśli na jego twarzy: od tak dawna trapiło go przekonanie, że posunął się za daleko, całując ją tamtego dnia w sklepie. Odczuł ulgę, że go o to poprosiła, choć był onieśmielony, a może nawet trochę zaszokowany. Ale w końcu podszedł do niej i zdołała odczytać na jego twarzy ostatnią myśl: przerażenie, że ona może go naprawdę pożądać.

Tym razem nie dzieliła ich deska, ale kiedy ją całował, obejmował ją niepewnie, nie miał żadnych wymagań. Było tak samo jak przedtem, tylko gorzej, ponieważ teraz, w braku przeszkód, mógł mocno przytulić ją do siebie, ale nie zrobił tego. Trzymał ją w nędznej imitacji uścisku, bojąc się uwierzyć, że wreszcie dotyka ustami jej warg, i to za jej przyzwoleniem.

Nagle zapragnęła dowiedzieć się czegoś o Davidzie Melcherze, o sobie samej. Wyciągnęła rękę, zarzuciła mu na ramiona, wspierała się na palce i ofiarowała mu swe usta z udaną namiętnością. Przycisnęła piersi do jego wykamizelkowanego torsu, ale zamiast przyjąć to zaproszenie, David wciągnął powietrze i odsunął się, pełen obaw, że za wcześnie na tak intymny kontakt.

- Abigail, myślałem o tym od tak dawna - wyznał, patrząc jej w oczy. - Myślałem o tobie, o domu, o sklepie, o wszystkim i wydawało się to zbyt piękne, by mogło być prawdziwe; ta myśl, że ty czujesz do mnie to samo, co ja do ciebie.

- A co ty czujesz, Davidzie? - zapytała, usiłując wydusić z niego wyznanie.

Uwolnił ją z objęć i, jak wypadało, cofnął się o krok, trzymał jedynie ręce na jej ramionach.

- Pragnę cię poślubić i mieszkać w tym domu, pracować w sklepie z tobą u mojego boku.

Miała przygnębiające uczucie, że wszystkich trzech rzeczy pożądał jednakowo. I jeszcze bardziej przygnębiające przekonanie, że to samo odnosi się do niej.

- Kocham cię - powiedział w tym momencie. - Chyba od tego powinienem zacząć - dodał.

Cóż mogła na to odpowiedzieć? Owszem, powinienes? Powiedz mi to jeszcze raz, pocałuj mnie, przytul, dotknij mnie tutaj i tu i skłoń mnie do tego, żebym cię również pokochała? Dotknij mojej skóry, moich włosów, dotknij mojego serca i wpraw je w galop, dotknij moich piersi i spraw, że krew zacznie szybciej pulsować, włóż rękę pod moją spódnicę i udowodnij, że jesteś w tym równie dobry, jak był tamten mężczyzna?

Jednak nic takiego nie nastąpiło. Nie pocałował jej namiętnie, nie dotknął włosów, serca ani niczego innego, jak robił to Jesse. Odsunął się natomiast, czule ścisnął jej rękę, kontrolując wszystkie swoje żądze z siłą, która nagle wywołała jej gwałtowną niechęć. Czekał na odpowiedź. Panna Abigail przybliżyła się i pocałowała go, miękkie wargi czekały, iż może zechce otworzyć je językiem. Jednak jego wargi nie rozłączyły się, powodowane rozsądkiem.

Ale rozsądek był ostatnią rzeczą, do jakiej tęskniła Abigail. Pragnęła zostać porwana, uniesiona ekstazą, do której zdolne było jej ciało, gdyby tylko David zabrał się do tego odpowiednio. Stojąc obok niego, pomyślała: „On nie jest Jesse'em. Nigdy nim nie będzie”.

Ale czy to nigdy nie przestanie mieć znaczenia? Proponował jej bezpieczeństwo na resztę życia. Nie odmawia się propozycji małżeństwa tylko z powodu sposobu, w jaki mężczyzna całuje. Lub nie całuje. Powinnam odbierać jego układność jako komplement, nie jak obelgę. Okazało się jednak, że Jesse potrafił zmienić jej system wartości.

- Nie musisz się spieszyć z decyzją - mówił David. - Nie musisz dawać mi odpowiedzi dzisiaj. W końcu zdaję sobie sprawę, że to trochę niespodziewane.

Panna Abigail czuła nieprzewartą ochotę śmiechu. Znała go już ponad trzy miesiące. Co prawda guziki jej bluzki nigdy nie zetknęły się z materiałem jego kamizelki, ale i tak dziwne było, że uważał ten czysty pocałunek i oświadczyzny za niespodziewane!

Co by pomyślał, gdyby wiedział, że zanim upłynęły trzy tygodnie, znała każdy fragment ciała Jesse'a DuFrayne'a i błagała go, by robił z nią, co zechce.

- Czy jesteś pewien, że chcesz mnie poślubić? - spytała Abigail, uświadamiając sobie, że powinna zaadresować to pytanie nie tyle do niego, ile do siebie samej.

- Byłem tego zupełnie pewny od tego dnia, kiedy mnie wyrzuciłaś, ponieważ oskarżyłem cię... - W tym momencie umilkł, bo nie chciał wymieniać nazwiska DuFrayne'a, a nie mógł wiedzieć, że Jesse przez cały czas był obecny między nimi. - Czy możesz mi wybaczyć to oskarżenie? Tamtego ranka zachowałem się bardzo głupio, ale byłem zazdrosny. Teraz wiem, że wcale nie jesteś takim typem kobiety. Jesteś czysta, wspaniała i dobra... i dlatego cię kocham.

Jeżeli istniała kiedykolwiek sytuacja, z której nie było odwrotu, to właśnie nadeszła. Teraz, kiedy łatwo było zaprzeczyć jego słowom. Jednak panna Abigail nie zaprzeczyła im.

Zachowała milczenie, zdając sobie sprawę, że nawet ono jest kłamstwem.

David po raz ostatni uściśnął jej rękę.

- Poza tym czym byłby mój sklep bez ciebie? - zaryzykował próbę żartu.

Panna Abigail po raz kolejny jednak zastanawiała się, czy nie zależy mu na niej bardziej z powodu sklepu i możliwości zamieszkania w jej domu niż z powodu jej zalet jako żony.

- Davidzie, jestem bardzo dumna, że złożyłeś mi tę propozycję, ale chciałabym się nad nią zastanowić przynajmniej do jutra.

Skinął głowę ze zrozumieniem, przyciągnął ją do siebie i pocałował w czoło. Po jego wyjściu panna Abigail stała jeszcze jakiś czas przy stojaku na parasole, ze wzrokiem bezmyślnie utkwionym przed siebie. W końcu odwróciła głowę i spojrzała na swoje odbicie w lustrze; zauważyła, jak bardzo się postarzała. Westchnęła głęboko, pomasażowała ręką kark, wyszła na ganek po kłębek rypsu i zwijała go automatycznie w drodze do sypialni. Nie przerywając tej czynności, stanęła w wykuszowym oknie i wspominała, jak Jesse siedział tu na ławeczce po wizycie Jima Hudsona. Wrzuciła kłębek do pudełka z przyborami do szycia, stojącego na podłodze, i przypomniała sobie, jak Jesse wziął stamtąd kawałek nitki do związania świńskiego pęcherza, którym tak bezlitośnie ją drażnił. Wyobraziła sobie jego śniade dłonie o długich palcach, tak delikatne, zaciskające się na nadmuchanym pęcherzu, zaciskające się na jej piersi. Pomyślała o Davidzie, który bał się ją przytulić, kiedy całował ją w przeddzień oświadczyn.

Opadła z westchnieniem na ławeczkę przy oknie, oparła łokcie na kolanach, ukryła twarz w dłoniach i wybuchnęła płaczem.

Na szczęście w nocy zwyciężył zdrowy rozsądek i Abigail uświadomiła sobie, że David Melcher jest uczciwym, przyzwoitym człowiekiem, który będzie ją traktował z szacunkiem do końca życia. Ona mogła mu odpłacić tym samym. Uznała, że David w swojej naiwności nawet się nie zorientuje, czy ona jest, czy nie jest dziewczicą. Jeżeli się myli co do tego, to powie mu, że zdarzyło się to z Richardem, wiele lat temu. Jeśli jej małżeństwo ma się rozpocząć od tego ostatniego kłamstwa, jest to kłamstwo niezbędne, żeby oszczędzić Davidowi dalszych przykrości. A ponieważ niewielkie są szanse, żeby znowu popadła w rozwiązłość, więc podjęła decyzję.

Kiedy powiedziała Davidowi, że przyjmuje jego oświadczyzny, pocałował ją czule, choć bez namiętności. W jego niezbyt mocnych objęciach Abigail poczuła ulgę, że decyzyja

jest już poza nią. Tym razem przytulił ją do piersi, ale jednocześnie lustrował wzrokiem salonik.

- Abigail, będziemy tutaj bardzo szczęśliwi - powiedział z ustami w pobliżu jej skroni.

W jej domu ogarniało go uczucie wielkiego spokoju.

- Nareszcie zapuścisz korzenie - odparła.

- Tak, i to dzięki tobie.

I dzięki Jesse'owi DuFrayne - pomyślała.

- I dzięki mieszkańcom Stuart's Junction - dodała.

- Myślę, że spodziewają się naszego małżeństwa.

- Jestem tego pewna, zwłaszcza po święcie Czwartego Lipca.

Wypuścił ją z objęć, uśmiechając się po chłopięcemu.

Kiedy podamy to do publicznej wiadomości?

Przez moment Abigail wydawała się zamyślona, po czym uniosła brwi.

- Może w czwartkowej gazecie? Pan Riley zapoczątkował to wszystko w czerwcu, kiedy wydrukował moje nazwisko obok twojego. Czy umożliwimy mu teraz wydrukowanie następnego rozdziału?

Ogłoszenie w czwartkowym wydaniu gazety brzmiało:

Panna Abigail McKenzie i pan David Melcher z przyjemnością informują o swoim zamiarze zawarcia związku małżeńskiego w dniu 20 października 1879 roku w Christ Church w Stuart's Junction. Panna McKenzie przez całe życie zamieszkująca w tym mieście, jest córką nieżyjących już Andrzeja i Marty McKenzie. Pan Melcher, pochodzący z Filadelfii w Pensylwanii, przez wiele lat jeździł po tym regionie jako domokrażny sprzedawca kompanii „Modne Buty” z Filadelfii. Po poślubieniu panny McKenzie Melcher otworzy swój Salon Obuwia, który aktualnie znajduje się w budowie na południowym krańcu głównej ulicy miasta, tuż obok stajni Perkinsa. Otwarcie sklepu nastąpi natychmiast po powrocie młodej pary z dwutygodniowej podróży poślubnej do Colorado Springs.

Nadeszły pierwsze przymrozki. Drżące osiki przystroiły wzgórza błyszczącymi plamami bursztynu. Rankiem nawet koleiny na drodze wyglądały pięknie, ozdobione szronem błyszczącym w słońcu. Zachody słońca miały kolor melonów coraz częściej zaprawionych purpurą, co zapowiadało, że wkrótce pojawi się chłodny oddech zimy. Odleciały płaczące synogarlice, barge pozostały. Pierwsze liście w górach spadały na ziemię jak złote klejnoty.

Potoki najlepszych życzeń napływały do domu panny Abigail i do sklepu Davida - był już niemal na ukończeniu. Przechodząc koło jednego z tych miejsc, najbliżsi sąsiedzi i inni mieszkańcy miasta nie mogli się oprzeć chęci wstąpienia z wizytą. Te życzenia utwierdziły Abigail w przekonaniu, że postąpiła słusznie, przyjmując oświadczyzny Davida.

Przebywanie w jego towarzystwie stało się teraz zupełnie niekrępujące i naturalne, codziennie utwierdzali się w przekonaniu, że dzielą podobne ideały, sympatie, antypatie i cele. David był bez reszty uwielbiającym zalotnikiem, zawsze skory do komplementu, uśmiechu, spojrzenia, które mówiło, że oblubienica cieszy się jego pełną aprobatą. Jego pocałunki stały się gorętsze, co podobało się Abigail, jednak olbrzymi szacunek dla niej hamował wszelkie przejawy nieodpowiedniego zachowania. David coraz rzadziej się jąkał, w miarę jak stawali się coraz bardziej zżyci. Ta nowo odkryta swoboda bardzo odpowiadała pannie Abigail.

Często można było zastać ich oboje w sklepie. Umieszczali na zapleczu zapasy drewna na zimę, polerowali balustradę, ustawiali półki, zawieszali czerwone draperie w wykuszowym oknie, szukali odpowiedniego miejsca dla olbrzymich pni dębowych, rozpakowywali część transportu towaru, który wreszcie nadszedł. Zawsze pracowali razem, stali się więc parą w społeczności małego miasteczka, jeszcze zanim odbyło się wesele. Wszyscy ci, którzy wstępowali do sklepu, by powiedzieć dzień dobry lub zapytać, czy nie trzeba pomóc, wychodzili przekonani, że trudno byłoby spotkać bardziej dobraną parę; zaiste musiało to być stadło skojarzone w niebie. Niektórzy przy tym chichotali, poklepując się po plecach. No, jeśli nie skojarzono tej pary w niebie, to na pewno na Hake Meadow.

W miarę zbliżania się daty ślubu Abigail stawała się niezrównaną mistrzynią efektywnego działania. Poza tym, że pomagała Davidowi w przygotowaniach do otwarcia sklepu, musiała jeszcze zajmować się niezliczonymi drobiazgami bardziej osobistej natury, postanowiła włożyć ślubną suknię matki z jedwabiu w kolorze kości słoniowej, ale strój ten wymagał przeróbek. Koronkowy welon był w doskonałym stanie. Jednak w stroiku na głowę brakowało wielu perełek, został więc wysłany do jubilera w Denver. David zamówił dla niej parę satynowych białych pantofelków i z niecierpliwością oczekiwała nadejścia obydwu przesyłek. Po skompletowaniu ślubnego stroju zamierzała zrobić sobie zdjęcie jako ślubny podarunek dla Davida. Zamówiła fotografa z Denver, Damona Smitha. Miał przyjechać specjalnie w celu wykonania portretu. Zaplanowano, iż przyjęcie ślubne odbędzie się w domu i Abbie zaczęła pieczenie ciast oraz *petits fours*, które zamrażała, ponieważ mrozy nastały na dobre. Zrobiła na zimę porządki w ogrodzie. W sklepie zainstalowano niewielki żelazny piec,

na którym stał już dzbanek do kawy. Często z przyjemnością z niego korzystała, gdyż obowiązki zmuszały ją do kursowania między domem a sklepem i poświęcania uwagi na zmianę przygotowań do wesela i do otwarcia sklepu.

Sklep robił się coraz piękniejszy. Zdawało się, że właśnie tutaj David i Abigail spędzali najbardziej intymne chwile. Kiedy byli sami, David kradł jej całusy w trakcie wypełniania półek w magazynie, nie mogła się więc doczekać dnia wesela... a jeszcze bardziej podróży poślubnej. Były momenty, kiedy czuła, że David gotów jest zapomnieć o nałożonych na siebie ograniczeniach ale zazwyczaj albo się wycofywał, albo ktoś im przerywał, ponieważ ludzie kręcili się po sklepie, jakby już dawno został otwarty.

Wnętrze sklepu było przytulne, jasne i pogodne, tak jak je sobie wyobrażała: czerwone draperie, plecione dywaniki i tapicerka na ławach. Krąg wygodnych krzeseł otaczał kominek, w którym wesoło buzował ogień. Powietrze wypełniał zapach świeżego drewna i kory, połączony z zapachem kawy, skóry i pasty do butów. Ludziom bardzo się tu podobało i przy piecu zawsze zbierała się grupka przyjaciół. Nie było najmniejszej wątpliwości, że sklep będzie prosperował doskonale. To samo dotyczyło małżeństwa.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Był to jeden z tych ciemnych, ponurych zmierzchów, kiedy myśl o przytulnej kuchni w domu każe przechodniom przyspieszać kroku. Mroczne chmury kłębiły się wokół szczytów wzgórz, przepędzane wiatrem płatny na ciemniejącym niebie wywierały naprawdę przygnębiające wrażenie na wszystkich bez mała śmiertelnikach.

Z Denver nadeszły przesyłki ze stroikiem weselnym i dzwonkiem. Chudzielec Binley przyniósł je ze stacji po odejściu ostatniego pociągu. Uszczęśliwiona Abigail wystroiła się w nowy zielony płaszcz, owinęła głowę odpowiednio dobranym szalem i zarzuciła jego końce na ramiona. Z uśmiechem wyszła z domu, trzymając w białej mufce niewielki mosiężny dzwonek.

Płatki śniegu osiadały na jej czole, a wiatr rozwiewał wokół policzków końce szala. Przebiegł ją dreszcz. David na pewno zapalił już w sklepie latarnie. W piecu pewno napalone. Wyobraziła sobie Davida stojącego z jedną nogą opartą na ramie pieca i z filiżanką kawy w rękę. Och, będzie zadowolony, że pomyślała o dzwonku. Podskoczyła radośnie i popędziła w stronę sklepu.

Kiedy wyszła zza rogu ulicy i znalazła się na chodniku, wiatr zmienił kierunek i smagnął ją po twarzy, niosąc lodowate igielki śniegu. Spojrzała na zapraszający krąg pomarańczowego światła otaczający wykuszowe okno sklepu. Przez niewielkie płaszczyzny wystawowej szyby zaglądał do wnętrza potężny mężczyzna w ciężkiej kurtce z baraniej skóry z podniesionym kołnierzem. Ręce trzymał w kieszeniach. Stał bez ruchu, z gołą głową, odwrócony do Abigail plecami, ale z niezrozumiałych powodów, widząc go, zwolniła kroku. Mężczyzna zwiesił głowę, popatrzył na swoje buty, potem skierował się w stronę sąsiadującej ze sklepem stajni i zniknął w jej wnętrzu. Był bardzo wysoki i szeroki w barach. Z tyłu przypominał jej Jesse'a, tylko że nie kulał. Znowu przyspieszyła kroku, nie spuszczać oczu z wejścia do stajni ale nikt stamtąd nie wyszedł. Zbliżyła się do sklepu, nad którym kołysał się na wietrze świeżo wymalowany szyld:

SALON OBUWIA

WŁASNOŚĆ DAVIDA I ABIGAIL MELCHERÓW

Wewnątrz panowało rozkoszne ciepło. Jak zwykle wokół pieca zebrała się grupka mężczyzn, wśród których stał David, popijając kawę.

Natychmiast podszedł, żeby się z nią przywitać.

- Halo, Abigail. Nie powinnaś była wychodzić z domu. Robi się coraz gorsza pogoda.

Ruszyła w stronę pieca, zdejmując po drodze palto, szal i mufkę, które rzuciła na ławkę obitą czerwoną tapicerką.

- Musiałam przyjść, żeby przekazać ci dobre nowiny. Dziś po południu wrócił z Denver stroik na głowę, nareszcie wyreperowany.

- Doskonale! - wykrzyknął David i, mrugnawszy do kumpli przy piecu, dodał: - Teraz może nie będę już musiał wysłuchiwać niepokojów na temat fotografii.

Mężczyźni zachichotali, sącząc kawę.

- Zobacz, co jeszcze przyszło. - Podniosła do góry mosiężny dzwonek. - To do twoich drzwi, na szczęście. W każdym nowym sklepie musi być dzwonek, który obwieści nadejście pierwszego klienta.

David uśmiechnął się z nieklamany zachwytem, odstawił filiżankę z kawą i czule ucisnął ją za rękę.

- Dziękuję, Abigail. - Widząc jego uśmiech, poczuła, że jest należycie doceniana. - Pozwól, że go powieszę - powiedział.

- O, nie zaprotestowała, odsuwając rękę z dzwonkiem - to prezent ode mnie. Ja go zawieszę.

Melcher ze śmiechem odwrócił się w stronę mężczyzn.

- Nigdy nie widziałem tak nieznośnej kobiety, zawsze chce postawić na swoim.

- David, musisz się nauczyć ją poskramiać, kiedy posunie się za daleko. - Wszyscy mężczyźni wybuchnęli swobodnym, przyjaznym śmiechem. Teraz mogli w ten sposób śmiać się z pandy Abigail - tak bardzo się zmieniła, odkąd pojawił się David Melcher.

Abigail wzięła z zaplecza gwoździe i młotek i przysunęła jedno z krzeseł do drzwi wejściowych. Kiedy wchodziła na nie, dzwonek zadzwieczał. Abigail szukała na listwie nad drzwiami odpowiedniego miejsca, nie mogła jednak dosięgnąć z krzesła, więc postawiła jedną nogę na poręczy balustrady wystawowej, a potem stanęła na niej.

I w takiej pozycji ujrzał ją Jesse DuFrayne, kiedy wyszedł ze stajni i znowu zatrzymał się przed sklepem z szyldem DAVID I ABIGAIL MELCHEROWIE...

Abigail trzymała w ustach dwa gwoździe, podpierała mosiężny wspornik przy framudze drzwi, w drugiej ręce miała gotowy do uderzenia młotek, kiedy w wykuszowym oknie w stylu Cape Cod dostrzegła nogi mężczyzny. Mając podniesione do góry ręce, nie mogła zobaczyć jego twarzy. Widziała kowbojskie buty, szeroko rozstawione nogi obciążone ciemną skórą i skraj grubej starej kurtki z baranów. Coś skłoniło ją, by pochylić się i spojrzeć na twarz należącą do tych szeroko rozstawionych nóg.

Oczy jej rozszerzyły się, z ust wypadł jeden gwóźdź. Serce przepęliło cudowne, straszne, niepowtarzalne przerażenie.

Jesse! O Boże, nie... Jesse.

Patrzył na nią do góry, podniesiony wysoko kołnierz kurtki okalał jego policzki, a gęste czarne włosy rozwiewał wiatr, niby chmury na szczytach gór. Światło padające ze sklepu oświetlało jego twarz i ożywiało ciemne, pełne napięcia oczy zajęte baczny obserwowaniem Abigail. Oświetlało także czoło, policzki i brodę, obrysowując ich wyraźny zarys na tle burzliwej czerni wieczoru. Wąsy miał czarne jak skrzydło kruk. A kiedy Abigail wpatrywała się w niego, zapomniawszy o młotku, jego usta rozchyliły się w nieznacznym uśmiechu, a jedna wyciągnięta z kieszeni ręka uniosła się w górę w milczącym geście pozdrowienia. Abigail zdawała się niezdolna do wykonania jakiegokolwiek ruchu, mogła jedynie patrzeć na Jesse'a jak oniemiała, przepęlniona sprzecznymi uczuciami.

Wtedy jeden z mężczyzn zapytał, jak sobie radzi, co przywróciło ją rzeczywistości; obejrzała się przez ramię i coś wymamrotała. Kiedy znowu spojrzała na wystawę, Jesse wycofał się poza krąg światła, ale nadal widziała jego buty i wiedziała, że obserwuje ją tymi swoimi smolistoczarnymi oczami z tak znajomym półuśmiechem na ustach.

Zeszła poszukać gwóźdźa na podłodze, nie mogła go jednak znaleźć, więc weszła z powrotem na balustradę i zaczęła wbijać drugi gwóźdź, świadoma, że Jesse ze swojego punktu obserwacyjnego widzi poruszenia jej piersi przy każdym uderzeniu młotka.

Zobaczyła upuszczony gwóźdź za balustradą, zeszła, by go podnieść, niezdolna oderwać wzroku od postaci za oknem. Stała przez chwilę w obramowaniu czerwonych zasłon, jak niemy manekin na wystawie, nie mogąc poruszyć się ani oderwać wzroku od niewyraźnej postaci, która obserwowała ją z ulicy, walcząc z napierającą siłą wiatru.

Jesse, odejdz - błagała w milczeniu, przerażona siłą, z jaką ją przyciągał.

Wreszcie jej kończyny odzyskały zdolność poruszania się, znowu weszła na balustradę i wbiła drugi gwóźdź, a serce pod żebrami biło w tempie uderzeń młotka.

Z głębi sklepu wyszedł David, by podziwiać jej dzieło.

- Czy powiesimy razem ten dzwonek? - spytał.

- Tak. - Niemal się zakrztusiła, pełna nadziei, że nie dosłysz w jej głosie histerycznych tonów. - Tym sposobem przyniesie szczęście nam obojgu. - Zobaczyła, że nogi Jesse'a zniknęły, i zastanawiała się, czy David zdążył go zauważyć.

Kiedy powiesili dzwonek, David podał jej palto i pomógł się ubrać.

- Lepiej wracaj do domu, zanim pogoda się pogorszy.

- Przyjdiesz na kolację, prawda? - spytała, usiłując nie dopuścić, by w jej głosie

zabrzmiała rozpacz.

- A jak myślisz? - Opiekuńczym gestem owinał jej szyję szalem, wziął za ramiona i obrócił w kierunku drzwi, zanim z uśmiechem otworzył je przed nią.

Zadzwieczał dzwonek.

Zeszła dwa schodki i zatrzymała się.

- Davidzie, przyjdź jak najszybciej do domu - powiedziała błagalnie.

- Tak zrobię.

Opuściła głowę, by przytrzymać szal wokół szyi, ale wiatr rozwiał jego ozdobione frędzlami końce, które zasłoniły jej twarz. Wpatrywała się w ciemność ulicy.

Jesse odszedł!

Paciał drobny, lodowaty śnieżek, ulice pokryły się niebezpieczną warstwą lodu, nie zostawały na niej żadne ślady, za którymi Abigail mogłaby podążyć lub je ominąć. Wiatr wiał jej w plecy, pchając po śliskim chodniku, wydymał spódnice jak żagle podczas sztormu. Spoglądała w oświetlone okna wszystkich mijanych sklepów, ale nie było go w żadnym z nich. Za rogiem baru wiatr tworzył wiry i okręcał jej spódnice ze wzmożoną siłą. Pochyliła głowę i przytrzymała ręką szal, chowając brodę pod kołnierzem palta.

- Halo, Abbie!

Poderwała głowę, jakby otworzyła się przed nią zapadka szubienicy. Jego głos rozległ się z nieprzeniknionej ciemności, z tak bliska, że uświadomiła sobie, iż o mało nie zderzyła się z nim, skręcając za róg. Stał na szeroko rozstawionych nogach, ręce trzymał w kieszeniach, wiatr rozwiewał białą mgiełkę jego oddechu.

- Jesse - wyjąkała. - Zdawało mi się, że to ty. - Przystanęła i nie mogła oderwać od niego oczu.

- Owszem, to ja.

Stali w taki sposób, że wiatr wiał jemu w plecy, nawiewając lodowate, szczypiące igielki śniegu prosto w jej twarz. Zapomniała już, jak potężny jest Jesse, jak szeroki w barach i wysoki. Żeby zobaczyć jego twarz, musiała podnosić głowę.

- Co tu robisz? - zapytała, a zęby zaczęły jej szczekać, co niewiele miało wspólnego z zimnem.

- Słyszałem, że w mieście zapowiada się wesele - powiedział tak niedbale, jakby w pogodne popołudnie siedzieli w ogrodzie pełnym kwiatów. Wyjął dłoń z kieszeni, bez pytania wziął ją pod rękę i obrócił tak, by stała plecami do wiatru. Przysunął ją pod okap, stanął tuż przed nią i znowu włożył rękę do kieszeni.

- Skąd się dowiedziałeś, że wychodzę za mąż?

- Domyślałem się tego jeszcze przed wyjazdem, więc śledziłem gazety.

- To dlaczego nie zostawisz nas w spokoju?

Jego pozbawiona uśmiechu twarz wyglądała równie złowieszczo jak skłębione chmury, które przyniosły tę przedwczesną ciemność. Zmarszczył brwi, zignorował całkowicie jej pytanie i zadał inne:

- Czy jesteś w ciąży?

Nie zaskoczyłby jej bardziej, gdyby nagle kopnął ją w skroń swoim kowbojskim butem na ściętym obcasie.

- Co takiego, ty nieznośny... - Jednak wiatr porwał końcówkę epitetu, a szal zatkał jej usta.

- Czy jesteś w ciąży? - powtórzył Jesse ostrym, wymagającym tonem i stał przed nią jak zaporą. Wykonała ruch, jakby chciała się wyrwać, ale zablokował ją jednym prostym krokiem w bok. Ręce trzymał w kieszeni, a ją więził pomiędzy ścianą baru a masą własnego ciała.

- Pozwól mi przejść - rzuciła zimno, patrząc na niego z nie ukrywaną złością.

- Nie mam najmniejszego zamiaru, kobieto! Zadałem ci pytanie i zasłużyłem na to, by dostać na nie odpowiedź.

- Nie zasłużyłeś na nic i dokładnie tyle dostaniesz!

Kontynuował tonem pełnym urazy.

- Do diabła, Abbie, zostawiłem mu dosyć pieniędzy, żeby zapewnić wam obojgu komfortowe życie do końca waszych dni. W zamian chcę tylko wiedzieć, czy dziecko jest moje.

Ogarnęła ją wściekłość. Jak on śmie zjawiać się w mieście i sugerować, że pozwoliła, by David się z nią kochał, by mogła zatuszować występki, jakiego się dopuściła z nim, Jesse'em?! W tym momencie nienawidziła go. Zamachnęła się zapominając, że ma ręce w mufce. Trafiała go w bok twarzy, ale miękkie królicze futro nie wyrządziło mu żadnej krzywdy. Żalosa próba przemocy stała się jeszcze bardziej godna pożałowania przez swoją nieskuteczność.

Miał rękę w kieszeni, więc nie mógł w porę zapobiec temu zamachowi, wrzucił jednak ramionami i uchylił się, a mufka potoczyła się na oblodzony chodnik za jego plecami.

Abigail rzuciła się w tę stronę, ale schwycił ją za ramiona, i obrócił twarzą do siebie.

- Słuchaj mnie uważnie! Wróciłem tutaj, żeby wydobyć od ciebie prawdę i Bóg mi świadkiem, że ją wydobędę!

Spiorunowała go wzrokiem i znowu wykonała taki ruch, jakby chciała podnieść

mufkę. Przyparł ją jednak z powrotem do ściany, jego oczy ostrzegły, że lepiej się nie ruszać. Uklęknął i podniósł mufkę, ale kiedy podawał ją Abigail, całkiem już o tej mufce zapomniała.

- Ty wstrętny capie! - krzyczała, a na jej policzkach zamarzały ścieżki łez. - Jeśli myślisz, że będę spokojnie stała wśród zamieci, czekając, aż znowu mnie zelżysz, to się grubo mylisz!

- Wystarczy zwykłe nie albo tak - wyjaśnił, nie pozwalając jej się ruszyć, podczas gdy wiatr mógł w każdej chwili zwalić ich oboje z nóg. - Do diabła! Czy jesteś w ciąży?

Znowu usiłowała się wyrwać, ale zacisnął palce jak kleszcze na rękawach jej płaszcza.

- Jesteś? - pytał, potrząsając nią.

- Nie! - krzyknęła mu w twarz., wrywając się nareszcie. Usiłowała uciekać, ale jej drobna stopa poślizgnęła się na chodniku i sekundę później leżała rozplaszczona u jego nóg. Natychmiast przyklęknął, wziął ją za łokieć, a w drugiej potężnej dłoni wciąż trzymał białą mufkę.

- Przepraszam, Abbie - powiedział, ale odtrąciła jego rękę, usiadła, poprawiając spódnice, połykała łzy upokorzenia. - Do diabła, Abbie, nie możemy rozmawiać w tych warunkach. - Wyciągnął dłoń, jakby ponownie chciał jej pomóc, ale znowu go odepchnęła.

- Nie możemy rozmawiać w żadnych warunkach! - krzyknęła, wciąż siedząc na chodniku i patrząc na niego z nienawiścią. - Nigdy nie mogliśmy! Mogliśmy jedynie walczyć, i znowu wróciłeś, żeby dalej to robić. O co chodzi, panie DuFrayne, nie mógł pan znaleźć żadnej innej kobiety, którą mógłby pan zniewolić?

Spojrzał w jej pełne złości oczy, jego głos utracił wszelkie tony irytacji, klęczał na jednym kolanie, ubrany w tę okropnie męską kurtkę baranią i powiedział:

- Nie szukałem żadnej.

Boże, dopomóż mi pomyślała Abbie. Oburzenie stało się jej zbroją, podnosiła się z trudem, podczas gdy on usłużnie podtrzymywał ją za łokieć i podawał mufkę, którą wreszcie wyszarpała mu z ręki. Kiedy zaczęła się od niego oddalać, aż kipiała ze złości.

Patrzył przez chwilę, jak odchodzi, i zawołał:

- Abbie, jesteś szczęśliwa?

Miała ochotę krzyknąć: „Przestań! Przestań! Przestań! Nie zaczynaj!” Ale odwróciła się, walcząc z wiatrem, i wykrzyknęła:

- Co cię to obchodzi? Zostaw mnie w spokoju. Słyszysz? Przez trzy miesiące krzyczałam do pustych ścian, ale nareszcie mogę wykrzyknąć ci to w twarz: wynoś się z mojego życia, Jessie DuFrayne!

I znowu odwróciła się w kierunku domu, starając się iść jak : najszybciej po

niebezpiecznej ślizgawce.

Gdy skręciła za domem doktora i zniknęła, Jesse jeszcze kilka minut wpatrywał się w pusta ulicę, potem tupnął, by zrzucić z butów śnieg, i zawrócił w stronę narożnego baru. Zamówił drinka i, pogrążony w ponurym rozmyślaniu, czekał, aż go podadzą; wypił duszkiem i podjął decyzję. Pójdzie znowu do tego jej cholernego domu i zmusi tę kobietę do udzielenia kilku odpowiedzi!

Białe paliki, przy których nie było już róż, wyglądały ponuro w wietrznej zamieci. Idąc ścieżką, wpatrywał się w ganek. Zniknęły wiklinowe meble. Huśtawka zwisała posepnie, kołysząc się w podmuchach wiatru, jakby właśnie wstał z niej jakiś duch - a może dwa. Wszedł po stopniach i zaglądał do środka przez długą owalną szybę we frontowych drzwiach. Widział skraj spódnicy Abbie w odległej części domu. Zdawało się, że jest pochylona i dokłada drewna do pieca w kuchni.

Podniósł kołnierz i zaskrobał w drzwi, patrząc, jak Abbie biegnie w jego stronę z głębi domu. Cofnął się w cień.

- Abbie, możemy chwile porozmawiać?

Kolor jej policzków zastępował brak róż w ogródku.

- Wynoś się z mojego ganku! Czy mnie słyszysz? Tylko tego mi potrzeba, żeby cię tutaj zobaczono! - Spojrzała na ulicę poza nim, ale i ogródek, i ulica były puste.

- To nie zajmie wiele czasu, a poza tym czy staremu przyjacielowi nie powinno się pozwolić na złożenie życzeń pannie młodej?

- Odejdź, zanim przyjdzie David i zobaczy cię tutaj. W każdej chwili może się zjawić na kolację.

- Więc złożę życzenia również panu młodemu.

Szybko oceniła wzrokiem sytuację, spojrzała na jego rękę i nogę przytrzymujące drzwi - żadnym sposobem nie mogłaby go zmusić do odejścia.

- Ani David, ani ja nie chcemy od ciebie niczego poza tym, żebyś zniknął z naszego życia. - Zimne powietrze wdzierało się do domu, sprawiało, że lampy zaczynały mrugać. Ręka Jesse'a niemal przymarzła do drzwi.

- Dobrze, pójdę teraz, ale jeszcze się zobaczymy, panno Abigail. Nada jestem pani winien jedno zdjęcie i te dwadzieścia trzy dolary, które pożyczyłem.

I zanim zdążyła raz jeszcze warknąć, że nic od niego nie chce, puścił drzwi, zeskoczył ze schodków i ruszył w stronę miasta, kopiąc przed sobą śnieg.

Zupełnie przestał utykać.

Kiedy David przyszedł na kolację, Abigail powitała go znacznie serdeczniej niż zwykle. Ścisnęła mu dłoń ze słowami:

- Och, Davidzie, jak się cieszę, że przyszedłeś.

- A gdzie mógłbym pójść na trzy dni przed ślubem? - spytał z uśmiechem.

Ale ona jedynie mocniej ścisnęła jego rękę i pomogła mu zdjąć palto.

- Davidzie, jesteś dla mnie taki dobry - powiedziała, przytulając się do palta, pełna nadziei, że te słowa są prawdziwe.

- Abigail, o co chodzi? - pytał, zauważywszy w jej oczach blask łez. Podeszedł bliżej, by wziąć ją w ramiona.

- Nie wiem. Myślę, że to te wszystkie plany i przeszkody, i chęć zdążenia ze wszystkim na czas. Tak się martwiłam, że nie przyślą stroiku, że nie zdążę zrobić fotografii, a teraz zaczęła się ta zamieć i może się okazać, że fotograf nie dojedzie z Denver. - Odsunęła się, otarła pojedynczą łzę i rzekła, patrząc w podłogę pomiędzy nimi: - Pewnie zdarzyło mi się to, na co cierpią wszystkie narzeczone, napad przedślubnych nerwów.

- Po prostu za dużo pracujesz. - Głos Davida był pełen współczucia. - Sklep, przygotowanie do przyjęcia i szycie tych wszystkich strojów na ślub i na podróż. Wiesz, że to wcale nie jest konieczne. Już ci to mówiłem.

- Wiem - powiedziała żałośnie. Teraz czuła się głupio z powodu tej demonstracji rozdrażnienia. - Jednak ślub w życiu kobiety zdarza się tylko raz i każda z nas pragnie, żeby był doskonały, ze wszystkimi dodatkami.

Otoczył ją ramieniem i poprowadził do kuchni.

- Ale większość kobiet ma matki, siostry, ciotki, które mogą pomóc. Ty robisz za dużo. Abigail, nie możesz przeciągać struny, pamiętaj o tym. Chciałbym, żebyś w sobotę czuła się dobrze i była szczęśliwa.

Jego troskliwość trochę poprawiła jej samopoczucie, ale trudno było zapomnieć, że Jesse DuFrayne spędza noc gdzieś w pobliżu i że jeśli David spotka go przed sobotą i ożyje dawna wrogość, to trudno przewidzieć, co może się zdarzyć. W najlepszym wypadku rezultaty tego spotkania mogą się okazać nieprzyjemne, żeby nie powiedzieć katastrofalne. Uważała bowiem, że Jesse jest zdolny do wszystkiego.

Podczas kolacji myśli jej ciągle powracały do jednego dręczącego pytania: czy Jesse zdolny jest posunąć się tak daleko, by powiedzieć Davidowi o tym, co zrobili?

Instykt samozachowawczy skłonił ją do zahaczenia o temat Richarda. David,

rozluźniony i senny, siedział na kanapie z rękami złożonymi na pełnym żołądku, nogi miał wyciągnięte i skrzyżowane w kostkach.

- Davidzie?

- Słucham, Abigail? - Nigdy nie używał żadnego zdrobnienia jej imienia, jak robił to Jesse. Zawsze odczuwała z tego powodu drobne rozczarowanie.

- Czy mówiłam ci, że byłam kiedyś zaręczona? - Doskonale wiedziała, że nigdy mu o tym nie wspominała. Nagle wyprostował się, zainteresowany. - To było dawno temu, kiedy miałam dwadzieścia lat.

Wyraz zdumienia na jego twarzy podpowiadał jej, że chciałby zadać setki pytań, ale siedział w milczeniu, czekając, co sama powie.

- Miał na imię Richard i pochodził ze Stuart's Junction. My... graliśmy razem w klasy. Dziwię się, że nikt nie wspominał ci o nim, bo tutejsi ludzie mają dobrą pamięć.

- Nie, nikt mi nic nie mówił - odparł, zarumieniony po szyję.

- Davidzie, pomyślałam, że powinieneś się o tym dowiedzieć, zanim się pobierzemy. Nigdy nie rozmawiamy o naszej przeszłości. Tak bardzo interesujemy się wspólną przyszłością, sklepem i wszystkim, że nie ma czasu na inne tematy, prawda?

- Możliwe, że masz rację. Ale jeśli nie chcesz rozmawiać o Richardzie, to nie musisz. To nie ma znaczenia, Abigail.

- Chcę - patrzyła mu prosto w oczy - bo może dzięki temu zrozumiesz moje niespodziewane rozdrażnienie. - Spojrzała na własne kolana. - Nigdy nie było nikogo prócz Richarda, wyrastaliśmy obok siebie pewni, że przyjdzie dzień, kiedy się pobierzemy. Moja matka zmarła, kiedy miałam dziewiętnaście lat, i wkrótce potem zaręczyliśmy się z Richardem. Byłam wtedy bardzo młoda i naiwna i wierzyłam w takie rzeczy jak przeznaczenie. - Zamilkła, starając się przekazać w swojej opowieści upływ czasu. Westchnęła i kontynuowała: - Ale najwyraźniej poglądy Richarda były odmienne, bo kiedy w rok po śmierci matki mój ojciec zachorował i został inwalidą, Richard uznał, że jako przyszła żona nie jestem już tak atrakcyjna. Można chyba powiedzieć, że uznał mego ojca za zbędne obciążenie. W każdym razie mój... mój narzeczony zniknął niecały tydzień przed ślubem. Wkrótce potem wyprowadziła się stąd także jego rodzina i od tamtej pory nie widziałam nikogo z nich.

Na twarzy Davida pojawił się wyraz z troską. Sięgnął po jej dłoń.

- Przykro mi, Abigail, naprawdę.

Spojrzała na jego łagodną, bezpretensjonalną twarz, uświadamiając sobie w tym momencie, jak dobry i moralny z niego człowiek i że miała szczęście, znajdując kogoś

takiego w swoim zaawansowanym wieku.

- Rozumiem teraz twoje zdenerwowanie - rzekł, patrząc jej w oczy - ale ja nigdy nie zrobiłbym czegoś takiego. Chyba nie masz co do tego wątpliwości.

- Nie mam - zapewniła. Czuła się jednak nędzna i pełna winy, zdawała sobie bowiem sprawę, że jest zbyt szlachetny, by domyślić się z jej opowieści, że łączyły ją z Richardem intymne stosunki. - Davidzie - powiedziała z absolutną szczerością - tak bardzo bym chciała, żeby w naszym wspólnym życiu wszystko ułożyło się idealnie.

- Tak będzie - obiecał. Ale obiecując to, trzymał ją jedynie za rękę i nie mogła się oprzeć myśli, że w takim momencie dwoje ludzi naprawdę w sobie zakochanych powinno paść sobie w ramiona. - Cieszę się, że mi to powiedziałaś, Abigail. Widziałem, I że dziś wieczorem coś cię przygnębiło, a skoro już opowiedziałaś mi tę historię, zapomnijmy o niej.

Teraz przynajmniej ją pocałował, a ona przywarła do niego w nagłej rozpacz, tak bardzo dla niej niezwyklej.

- Abigail, chyba lepiej będzie, jak sobie pójdę - oznajmił, przerywając pocałunek.

Ale przywarła do niego mocniej, pragnąc, by został dłużej, by odsunął zagrożenie, jakie stwarzał pozostający w pobliżu Jesse DuFrayne.

- Czy musisz już iść?

Zdecydowanym ruchem odsunął ją od siebie.

- Musisz się porządnie wyspać, sama to mówiłaś przed chwilą. Zobaczymy się jutro wieczorem, tak jak ustaliliśmy.

Pocałował ją przed wyjściem, ale najpierw ubrał się w palto, więc ciepło uścisku przypadło pomiędzy wełną zwierzchniego okrycia i muślinem spódnicy.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Natychmiast po wyjściu Davida Abbie zaczęła szykować się do łóżka; chciała jak najprędzej zdmuchnąć lampy. Wiatr atakował dom. poruszał dachówki, uderzał gałęzmi w szczyty. Zapowiadała się niespokojna noc. Odgłosy burzy jedynie wzmagaly niepokój Abigail. Zamknęła oczy z determinacją i zaczęła w myślach wyliczać, które z jej potrzeb David całkowicie zaspokaja: poczucie bezpieczeństwa, potrzeba towarzystwa, podziwu, miłości. Przez jakiś czas analizowała je kolejno. Otwierał jej drogę do życia tak pełnego bezpieczeństwa, jakiego dotychczas nie znała. Przyjemność przebywania w jego towarzystwie nie podlegała dyskusji, Od pierwszej chwili obydwój nie mieli co do tego wątpliwości. A jeśli chodzi o podziw, to jeszcze nigdy nikt nie prawil jej tylu komplementów, nie darzył taką adoracją. No i miłość...

Myśli jej przerwało wyjątkowo gwałtowne walenie do drzwi od podwórza. Nikt nie przychodził do niej tamtymi drzwiami. Zanim dotknęła stopami lodowatej podłogi, wiedziała, kto to jest, : uświadomiła sobie, że przez cały czas zaprzętała sobie umysł myślami o Davidzie, żeby nie myśleć o Jessie DuFrayne.

Przez chwilę zastanawiała się, czy nie pozwolić mu dobijać się bezskutecznie, ale zaczął krzyczeć na cały głos i obawiała się, że mimo szalejącej nawałnicy usłyszy go ktoś z najbliższych sąsiadów.

Znalazła szlafrok i pobiegła do tylnych drzwi, nasłuchując; palce u nóg kuliły się od wirujących po podłodze przeciągów. Znowu zaczął walić i wykrzykiwać, zapaliła więc lampę, nie podkręcając zbytnio knota, dalej pełna obaw, że ktoś zauważy go przez okno.

- Abbie, otwieraj!

Uchyliła drzwi, nie wpuszczając go do środka.

Stał na wietrze i śniegu, miał oszronione włosy, brwi i wąsy, a pełne determinacji czarne oczy zdawały się prześwidrowywać Abigail na wylot.

- Powiedziałam ci, żebyś trzymał się ode mnie z daleka. Czy zdajesz sobie sprawę, która godzina?

- Nic mnie to nie obchodzi.

- Nigdy cię nie obchodziło.

- Wpuścisz mnie czy nie? Nikt mnie nic widział, ale na pewno usłyszą, jak walę w drzwi, jeśli zamkniesz mi je przed nosem. - Wiatr wdarł się do domu. Stopy jej kostniały, a szlafrok nie mógł ochronić przed nagłymi dreszczami.

Nagle Jesse rozkazał:

- Wchodź do środka, zanim tu razem ze mną zamarznie na śmierć!

Wszedł do wnętrza, wypełniając kuchnię kurtką baranią, kilkoma centymetrami czarnych wąsów i niemal stoma kilogramami uporu.

Zaatakowała go, jeszcze zanim zdążył zamknąć drzwi.

- Jak śmiesz wdzierać się tutaj, jakby ten dom należał do ciebie? Wynoś się!

Zademonstrował gwałtowny, przesadny dreszcz, zatarł ręce i wykrzyknął:

- Boże, ale dzisiaj zimno! - Całkowicie zignorował jej polecenie i jakby nigdy nie zdjął kurtkę. - Potrzebne nam będzie drzewo do pieca, żebyśmy zupełnie nie zamrzli. - Przyniósł krzesło od stołu kuchennego, postawił przy piecu, powiesił kurtkę na oparciu, zdjął fajerkę i sięgnął po pogrzebacz do pudła. Przez cały ten czas nawet nie spojrzał na Abbie.

- To mój dom i nie jesteś tu mile widziany. Zostaw to drewno! - Znowu nie zwrócił na nią uwagi, dołożył do pieca, położył na miejsce fajerkę, pochylił się do przodu i strzepnął z włosów śnieg. Zauważył jej gołe stopy wystające spod szlafroka.

- Włóż coś na nóżki, ślicznotko, bo zajmie nam to trochę czasu.

Abbie była niemal sina z wściekłości.

- Nic nam nie zajmie, bo wyniesiesz się stąd w tej chwili. I nie mów do mnie ślicznotko!

- Nigdzie nie wychodzę - stwierdził rzeczowo. Wiedziała, że to prawda. Co mogła zrobić z takim upartym kozłem? Zacisnęła pięści i zgrzytała zębami ze złości, a on tymczasem przystawił do pieca drugie krzesło i cofnął się z kciukiem w kieszonce kamizelki.

- Abbie, musimy porozmawiać.

Szron na jego wąsach zaczął się topić, kapały z nich krople wody, a Jesse stał czekając cierpliwie, aż Abbie się podda i usiądzie. Miał nos czerwony od zimna, włosy błyszczące i potargane od zgarniania z nich śniegu. W długich butach i dzinsach, w ciemnej koszuli i kamizelce z szorstkiej skóry bardziej niż kiedykolwiek przypominał rewolwerowca. Miał śniadą cerę, stanowiącą doskonałe tło dla czarnych włosów, wąsów i baczków. Wyglądał, jakby świeżo wrócił z rancho, w zamieci zapędziwszy bydło do zagrody lub wymknąwszy się z obławy. Był wyjątkowo męski, od sposobu ubierania się aż do czerstwych policzków, od zaczerwienionego od wiatru nosa do potarganych włosów. Spojrzała na jego biodro - nie miał broni.

- Nie musisz się mnie bać - zapewnił, idąc za kierunkiem jej wzroku. Wyjął z kieszeni chustkę i wytarł nos. Przez cały czas obserwował Abbie, nie spuszczał z niej oczu.

Jak mogły uczucia zdradzić ją w ten sposób? Jak mogła stać tutaj myśląc, że on nawet nos wyciera w ponętny sposób? To prawda. O Boże, Boże, to wszystko dlatego, że Jesse

DuFrayne był tak całkowicie, tak niezaprzeczalnie mężczyzną. Zła na siebie z powodu tych myśli, odegrała się na nim.

- Po co znowu przyszedłeś? Wiesz, że jeśli David cię tu zastanie, będzie wściekły, ale pewnie o to ci chodzi. Nie dosyć jeszcze dla mnie zrobiłeś, prawda?

Pochylił się do przodu, wyciągając rękę za siebie, by schować chustkę do tylnej kieszeni.

- Usiądź, Abbie - powiedział spokojnie. - Zamarzłem niemal na kość, czekając, aż on wyjdzie. - Usiadł i wyciągnął dłonie w stronę ognia.

- Stałeś na ulicy, obserwując mój dom? Jak śmiesz!

Dalej pochylał się nad piecem, nawet nie uznał za stosowne się odwrócić, kiedy mówił:

- Zdajesz się zapominać, że finansuję całe to przedsięwzięcie. To mi chyba daje specjalne uprawnienia.

- Uprawnienia! - Podeszła o krok bliżej, stojąc wciąż za jego plecami. - Przychodzisz tutaj i bredzisz o uprawnieniach w moim własnym domu, dokładasz drewna do mojego pieca... siedzisz na moim krześle i twierdzisz, że masz prawa? A co powiesz o moich prawach?

Zdjął łokcie z kolan, wyprostował plecy, westchnął głęboko, wstał z krzesła z przesadną powolnością i ruszył w jej stronę zdecydowanym, niespiesznym krokiem. W jego oczach wyczytała, że ma dosyć jej buntu. Jedną ręką ujął ją powyżej łokcia, a drugą wziął za kark i skierował w stronę krzeseł przy piecu. Kiedy tym razem polecił „siadaj”, posłuchała.

Usiadła jednak sztywno, na skraju krzesła, złożyła ręce na piersiach, nienaturalna jak statuetka.

- Jeśli David dowie się o tym i jeśli go stracę, to... to... - Umilkła jednak, niezdolna znaleźć wyrazów dość ostrych, tak wielka była jej złość.

Jesse wyciągnął właśnie swoje długie nogi i rozparł się wygodnie na krześle, złożywszy ręce na brzuchu.

- A więc jesteś z nim szczęśliwa? - zapytał, obserwując jej napięty profil.

- Czy to była twoja ostatnia myśl, kiedy stąd wychodziłeś?

- Nie bądź zuchwałą, Abbie. Kiedy stąd wychodziłem, sytuacja była poplątana, a nie lubię zostawiać spraw w takim stanie, więc wróciłem. Kiedy nie miałem od ciebie wiadomości, a w gazecie przeczytałem, że wychodzisz za mąż, musiałem się upewnić, czy nie spodziewasz się dziecka.

Obrzuciła go nieprzyjaznym spojrzeniem.

- To wielkoduszne z twojej strony, naprawdę! - rzuciła szyderczo. - Rozumiem, że powinnam się czuć zaszczycona tą spóźnioną troską.

- Nie spodziewałem się tego, zwłaszcza po lodowatym przyjęciu, jakiego doznałem dziś rano w drodze tutaj. - Uśmiechnął się szelmowsko i nie wiadomo skąd naszło Abbie wspomnienie Jesse'a w tym oszłamiającym ubraniu w kolorze grynszpanu, kiedy klęknął przed nią na jedno kolano.

- Zasłużyłeś na nie - powiedziała opryskliwie, ale już z mniejszym jadem.

- Prawdopodobnie tak - przyznał dobrodusznie z życzliwym wyrazem twarzy.

Stojąca za nimi lampa mrugała, wprawiając w ruch ich cienie na ścianie za kuchnią. Ogień w piecu rozpalał się coraz lepiej, języczki płomieni lizały szybkę z miki w żeliwnych drzwiczkach. Na zewnątrz szalał wicher, przez chwilę popatrzyli na siebie, pogrążeni we wspomnieniach.

Potem Jesse zapytał miękko:

- Nie jesteś, prawda, Abbie?

- Nie jestem co?

- W ciąży.

Ogarnięta raz jeszcze sprzecznymi uczuciami, które ten przekłety mężczyzna zawsze potrafił w niej obudzić, wpatrywała się w okienko piecyka. Dręczyła ją niepewność i niepokój. Wystarczyło, że przyszedł tutaj i zachowywał się tak uprzejmie, a wszystko zaczęło się od początku. Podniosła stopy z zimnej podłogi, oparła na krześle, objęła kolana rękami i oparła na nich czoło.

- Och, Jesse, jak możesz? - spytała głosem przytłumionym z powodu pozycji, w jakiej siedziała. - Tam na ulicy praktycznie posadziłeś mnie o... o to, że zadaję się z Davidem, żeby zagmatwać... sprawę nie istniejącego ojcostwa.

- Abbie, nie chciałem, żeby zabrzmiało to w ten sposób. - Dotknął jej łokcia, ale odskoczyła, dalej trzymając głowę ukrytą na kolanach.

- Nie dotykaj mnie, Jesse. - Spojrzała na niego oskarżycielsko. - Nie po tym, co powiedziałeś.

- Dobrze... dobrze. - Podniósł ręce, jakby ktoś mierzył do niego z rewolweru, i opuścił je powoli, widząc malującą się na jej twarzy wielką przykrość.

- Po co tu wróciłeś? Czy nie zrobiłeś dosyć za pierwszym razem? Czy musisz jeszcze w ten sposób mnie nękać?

Oczy ich spotkały się na ułamek sekundy.

- Czy nawiedzają cię myśli o mnie, Abbie?

Odwróciła wzrok.

- Nie, nie tak, jak myślisz.

Spojrzał na jej nagie stopy, których palce podginały się na skraju krzesła, rozsiadł się wygodnie i przyglądał kobiecie, zarzuciwszy rękę na oparcie jej krzesła.

- Bo ty mnie prześladujesz - przyznał. - Pewnie dlatego wróciłem, żeby wyjaśnić wszystkie nieporozumienia między nami, o których nie mogę zapomnieć. - Ujął w palce kosmyk jej włosów. Poruszyła ramieniem i wyciągnęła rękę, żeby włosy uwolnić.

- Ostatniego dnia miałam wrażenie, że rozumiemy się doskonale.

- Niezupełnie.

Wróciły do nich wspomnienia tego dnia, gdy teraz siedzieli tak obok siebie, grzejąc się przy piecu, rozgrzewając wzajemnie swoją obecnością, gdy z ustępującym zimnem odchodził gniew. Wraz z promieniejącym od pieca ciepłem coś niepożądanego zdawało się przenikać w ich skórę. Po jakimś czasie odezwał się głos Abbie, cichutki i pełen urazy:

- Dlaczego mi nie powiedziałaś, że David przyjeżdża, zanim... - Jednak nie miała odwagi dokończyć. Był zbyt blisko, by mogła to wypowiedzieć.

Zastanawiał się dłuższą chwilę, potem zapytał spokojnie:

- Dlaczego nie wróciłaś mi górę, kiedy cię o to prosiłem?

Ale żadne z nich nie znało odpowiedzi na te pytania, które niosły się echem wśród wietrznej nocy. Abbie znowu oparła czoło na złożonych rękach i w milczeniu potrząsnęła głową. Słyszała, że Jesse się poruszył. Usiadł na brzegu krzesła i oparł łokcie na kolanach.

- Jest trochę kawy w tym dzbanku?

Abbie wstała, podniosła pokrywkę dzbanka w niebieskie kropki, przekonała się, że jest pełny, i objęła go obydwoma dłońmi. Jesse obserwował ją spod półprzymkniętych powiek, przypomniał sobie dotyk tych dłoni, sprawdzających, czy ma gorączkę. Abbie zniknęła w drzwiach nie oświetlonej spiżarni.

Kiedy znalazła się sama, przycisnęła dłonie do rozchylonych warg, jakby mogła tym gestem powstrzymać przemożną potrzebę płaczu.

Nie spuszczał z, niej wzroku, kiedy wróciła z filiżankami. Napełniła je kawą. Abbie zauważyła, że Jesse tymczasem zdjął buty i oparł stopy o osłonę pieca, żeby je ogrzać. Podala mu filiżankę bez słowa; oczy ich spotkały się, kiedy zdjął nogi z kominka, żeby mogła wrócić na swoje krzesło.

Siedzieli obok siebie i w milczeniu popijali kawę, obydwójce wpatrywali się w ogień widoczny przez szybkę w drzwiczkach. Jesse znowu oparł nogi o piecyk, a ona przykryła palce stóp. Takie wspólne siedzenie z bosymi stopami przed ogniem trzaskającym w piecu

niosło jakieś niepokojące uspokojenie. Zniknęła gdzieś wrogość, wydawali się niemal pogodzeni.

- Myślisz, że wiedziałem, iż Melcher przyjeżdża tu na zawsze? - spytał, nie patrząc na nią.

- A nie wiedziałeś? - skierowała to pytanie do własnych palców u nóg. Przypomniła sobie, jak wyglądały jego bosa stopy, świadoma, że sama teraz siedzi na bosaka.

- Wiem, że tak myślałaś przez te wszystkie miesiące, ale to nieprawda. Wiedziałem, że przyjeżdża na spotkanie następnego dnia, ale nie miałem pojęcia, że wyląduje tu na stałe.

Odwiodła głowę, by przyjrzeć się jego profilowi; jego czoło, nos, wąsy i usta oświetlone były czerwonym blaskiem ognia. Podniósł filiżankę, przełknął łyk kawy, obserwowała, jak jego grdyka uniosła się i opadła. Jest zdecydowanie przystojny - przyznała w myślach.

- Nie okłamuj mnie więcej, Jesse. Przynajmniej mnie nie okłamuj - powiedziała znużonym głosem.

Podniósł wzrok, na poważnej teraz twarzy igrały odblaski ognia.

- Nigdy tego nie robiłem. Kiedy skłamałem?

- Milczenie też może być kłamstwem.

Wiedział, że ona ma rację. Wielokrotnie zwodził ją swoim milczeniem, nie tylko w sprawie powrotu Melchera, ale także tego, że jest udziałowcem linii kolejowej i że sam płacił za opiekę. Napila się kawy, przytrzymała filiżankę obydwiema rękami i wpatrywała się w nią.

- Jesse, wiedziałeś, jakie nadzieje z nim wiązałam, wiedziałeś to przez cały czas. Jak mogłeś mi nie powiedzieć? - W świetle ognia robiła wrażenie siedemnastolatki o złotej cerze, ze złamanym sercem. Z trudem panował nad sobą i mocno ścisnął w dłoniach filiżankę.

- Bo gdybym ci powiedział, że on wraca, nie mógłbym cię mieć tamtej nocy, tak?

Zaskoczona, spojrzała mu w oczy. Nie wiedziała, co powiedzieć. Przez cały ten czas myślała...

- A... ale, Jesse, to przecież ja przyszedłam do ciebie tamtej nocy, to ja cię prosiłam.

- Nie. - Wpatrywał się w jej twarz, w szeroko otwarte oczy, które w mroku kuchni wydawały się ciemne, potem zmusił się, by odwrócić wzrok. - To nie było tak od samego początku. To ja aż do ostatniego dnia usiłowałem cię złamać, aż wreszcie mi się to udało. I wiesz co, Abbie? - zdjął nogi z osłony piecyka, oparł łokcie na kolanach i mówił dalej do wnętrza filiżanki. - Kiedy było po wszystkim, nie byłem zbyt dumny z tego, co zrobiłem.

W tym momencie lampa, stojąca na stole za nimi, zamrugnęła, zasyczała i zgasła.

Abigail, zupełnie wstrząśnięta, wpatrywała się w kark Jesse'a, w gęste, kręcone włosy za uchem.

- Absolutnie cię nie rozumiem.

- Abbie, chcę, żebyś była szczęśliwa. Czy to tak trudno pojąć?

- To po prostu... po prostu... nie pasuje do Jesse'a, jakiego znam.

Przez dłuższą chwilę przyglądał jej się przez ramię, znowu spojrzał na ogień i popił kawy.

- A więc co do mnie pasuje? Obraz kolejowego bandyty? Trudno ci się wyzwolić od tego wyobrażenia. Częściowo dlatego tu wróciłem. Ponieważ ważne było dla mnie, co będziesz o mnie myślała, a to jeszcze nigdy nie zdarzyło mi się z żadną kobietą. Ty jesteś inna. Zaczęliśmy również zupełnie inaczej. Zaczęliśmy tak... - Urwał, wracając w myślach do tych początków, niektóre wspomnienia sprawiały przyjemność, inne przykrość, nie potrafił jednak ująć swoich uczuć w słowa.

- Jak zaczęliśmy? - zachęcała, zastanawiając się, co zamierzał powiedzieć.

- Och, wszystkie te utarczki, zasadzki, porachunki. Kiedy ocknąłem się w tym domu po raz pierwszy i dowiedziałem, w jaki sposób się tu znalazłem, sama wiesz, jaki byłem wściekły, i łatwo mi było odgrywać się na tobie. Nie chciałem jednak, żebyś myślała, że tej ostatniej nocy, kiedy się kochaliśmy, również wyrównywałem porachunki. To nie miało z tym nic wspólnego.

Uświadomiła sobie, że od tamtej pory wielokrotnie tak właśnie myślała. I częściowo to właśnie ją prześladowało. Patrzył przez ramię, ale bała się spotkać wzrok tego nowego, szczerzego Jesse'a.

- Tak myślałaś, Abbie? Że kochałem się z tobą dlatego, żebym mógł jedną ręką wręczyć Melcherowi pieniądze, a drugą - naruszoną oblubienicę, i obserwować, jak się miota, zastanawiając się, co z nimi zrobić? - Dalej siedział w pewnej odległości od niej, na jednym palcu trzymał za ucho pustą, zapomnianą filiżankę po kawie i czekał na odpowiedź, której Abbie nie miała odwagi mu udzielić. - Tak myślałaś? - nalegał.

W końcu nic mogła się oprzeć pokusie spojrzenia mu w oczy.

- Nn... nie... chciałam tak myśleć - wyjąkała.

Przyjął te słowa długim milczeniem, potem rozparł się na krześle, założył nogę na nogę tak, że stopa w skarpetce dotykała niemal jej kolana. Jedną dłoń położył na kostce, a drugą oparł na uniesionym kolanie.

- Abbie, zamierzam powiedzieć ci prawdę, bez względu na to, czy mi uwierzysz, czy nie. Pieniądze wypłacone Melcherowi to był rodzaj odkupienia win, ale nie z powodu

odstrzelonego palca. Nie s płacałem jego, tylko ciebie, ponieważ czułem się winny z powodu tamtej nocy. Przysięgam ci jednak, że wpadłem na ten pomysł dopiero w połowie tego arbitrażowego zebrania. Wyobraziłem sobie, że jeśli dam mu dosyć pieniędzy, będzie mógł się tutaj osiedlić i prawdopodobnie tak zrobi. Owszem, przyznaję, że wywarłem na niego pewną presję, ale nie chciałem ci w ten sposób dokuczyć, Abbie. Absolutnie nie. Myślałem, że jeśli uda mi się to załatwić w ten sposób, żebyś miała jego i udane małżeństwo, i dobry sklep, i zapewnioną finansowo przyszłość, nie będę miał wyrzutów sumienia z twojego powodu.

Spojrzała na jego profil. Uderzał filiżanką w kolano.

- I nie masz?

Filiżanka znieruchomiała. Spojrzał w oczy Abbie.

- Mam.

Pociągnęła za luźną nitkę w szlafroku.

- Czy zawsze okazujesz taką hojność swoim kochankom? - spytała, usiłując przerwać tę nić szaleństwa, która zdawała się ich oplatać jak jedwabna, kusząca pajęczyna.

Zaskoczył ją, odpowiedział bowiem krótko:

- Nie.

Uświadomiła sobie, że oczekiwała, iż wyprze się istnienia innych, i że nagle bardzo ją zabolalo, że tego nie zrobił. Jakie to miało znaczenie, że były inne kobiety? Nie śmiała jednak spojrzeć mu w oczy w obawie, że wyczyta z nich uczucia, jakie dla niego żywi, co w obecnej chwili nie byłoby rozsądne.

- Czy nie byłoby prościej, gdybyś mnie po prostu przepędził, kiedy do ciebie przyszedłem?

Zdjął nogę z kolana i poderwał się, nagle zaabsorbowany napełnianiem filiżanki. Odwrócony do Abbie plecami, odparł:

- Niezupełnie. - Wypił duży łyk kawy, a tymczasem zdumiona Abbie wpatrywała się w gęste włosy na jego karku. Stał tak przez dłuższą chwilę, zanim spytał: - Abbie, czy wiesz, że byłaś pierwszą kobietą, która mi powiedziała „nie”?

Znowu udało mu się ją zadziwić, przecież to, co mówił, nie miało sensu.

- Ale ja...

Raptownie odwrócił się do niej.

- Abbie, nie obwiniaj siebie. To ja cię prosiłem, bez względu na to, kto przyszedł do czyjego pokoju, i wiesz o tym doskonale. Ale byłaś inna od wszystkich.

- Byłabym skłonna sądzić, że w łóżku wszystkie kobiety są jednakowe.

Wyciągnął rękę, ujął ją pod brodę i brutalnie podniósł twarz do góry. Przez chwilę wydawało się, że ją uderzy.

- Skończ z tym, Abbie! Dobrze wiesz, że byłaś inna i nie chodzi tu tylko o to, że byłaś dziewczyną. Najważniejsze jest to, przez co wspólnie przeszliśmy. A poza tym uratowałaś mi życie.

Jego pełen irytacji gest i napięcie w oczach sprawiły, że Abbie poczuła pod powiekami łzy. Odsunęła się od niego i, cały czas patrząc mu w oczy, wreszcie zrzuciła z siebie ciężar.

- Czy wiesz, jak długo przypuszczałam, że wykorzystujesz moją niewiedzę przeciwko mnie? Nie powiedziałeś mi ani o powrocie Davida, ani o tym, że jesteś właścicielem kolei, ani że z twoich pieniędzy... zostałam opłacona... jak jakaś dziwka.

- Abbie...

- Nie, pozwól mi skończyć. Zła byłam o to, jak się stąd wymknąłeś, uważając, że drobna obłapka na sianie nie ma znaczenia dla kobiety takiej jak ja, która...

- Nigdy nie myślałem... - Usiadł, kładąc ponownie rękę na oparciu jej krzesła.

- Bądź cicho! Chcę, żebyś wiedział, jakie piekło przeszłam przez ciebie, Jessie DuFrayne, bo to prawda... prawda. Sprawileś, że nie czułam się godna miłości Davida, sądziłam, że nie mam prawa za niego wyjść, nawet gdyby się oświadczył. Nie potrafisz sobie wyobrazić, Jesse, co to dla mnie znaczyło. Nie chcę, żebyś wyszedł stąd ze spokojnym sumieniem. Chcę zranić cię tak, jak ty zraniłeś mnie, ponieważ jedyne, co mi pozostawało po twoim wyjeździe, to spacerowanie po domu i wspomnianie tego, co zrobiłam albo chodzenie do sklepu Davida ze świadomością, że ty za ten sklep zapłaciłeś. Nawet tam zdawało mi się, że śmiesz się ze mnie. Chciałam ci oddać ciosy, ale nie miałam jak tego zrobić i zaczęłam przypuszczać, że już nigdy się od ciebie nie uwolnię.

- A chcesz tego?

- Bardziej niż czegokolwiek na świecie - powiedziała z absolutną szczerością.

- To znaczy, że jeszcze się nie uwolniłaś?

- Nie. Może nigdy mi się to nie uda i dlatego cieszę się, że masz mnie na sumieniu. Ponieważ tamtej nocy wystarczyłoby jedno proste zdanie i niepotrzebne byłoby całe to poczucie winy. Teraz mam przed sobą noc poślubną... dość wątpliwej natury, mówiąc najdelikatniej. A ty twierdzisz, że chcesz mieć czyste sumienie?

- Abbie - mówił teraz błagalnym tonem, przysunął się bliżej i nie spuszczał wzroku z jej twarzy. - Powiedziałem już, że nie miałem pojęcia, że on tu zostanie...

Przerwała mu.

- Zdajesz sobie chyba sprawę, że jeszcze mogę to wszystko stracić. Teraz, kiedy jestem u progu osiągnięcia wszystkiego, o czym kiedykolwiek marzyłam: męża, który mnie uwielbia, i sklepu, który oznacza zabezpieczenie finansowe do końca życia. Zyskałam nawet akceptację miejscowej społeczności, jaką nie cieszyłam się nigdy przed poznaniem Davida. Jako jego żona znajdę nareszcie swoje miejsce, podczas gdy przedtem byłam zawsze niewinną damą.

Słysząc było jedynie podmuchy wiatru i trzaskanie ognia. Jesse wpatrywał się w Abbie, ubraną w nocną koszulę i szlafrok. I nagle uświadomił sobie, że gdyby tu został, jedynie głębiej by ją zranił.

- Cóż mam powiedzieć? - zapytał żałośnie. - Że mi przykro? - Znowu musnął palcami jej włosy, ale tym razem się nie cofnęła. - Jest mi przykro i wiesz o tym, Abbie. - Po wyrazie jego twarzy poznała, że mówi zupełnie szczerze, nie uśmiechał się nawet.

- Jesse, przez ciebie przeszłam piekło. Może to, że ci przykro, nie wystarczy. Od pierwszej chwili, kiedy David powiedział, że zamierza osiedlić się w Stuart's Junction, wiedziałam, że robi to ze względu na mnie. Wiedziałam, że ustawił mnie na piedestale, ale nie mogłam wyprowadzać go z błędu. On nigdy, przenigdy nie zrozumie, dlaczego zrobiłam to z tobą. Ale czy zdajesz sobie sprawę, jak ja się czuję z powodu swoich kłamstw?

Dla Jesse'a nie ulegało wątpliwości, jak ona się czuje. Czytał na jej twarzy cierpienie i żałował, że jest jego przyczyną. Cofnął się trochę.

- Co powiesz w noc poślubną, jeśli zaczniesz coś podejrzewać?

Spojrzała na okienko w drzwiczkach piecyka.

- Powiem, że to Richard.

- Powiedziałas mu o Richardzie? - spytał, zaskoczony.

- Nie tyle, ile powiedziałam tobie, ale dosyć.

- Uwierzy ci? - Uśmiechnęła się dość żałośnie.

- On nie jest taki jak ty, Jesse. Nie miał każdej kobiety, jaka się nawinęła.

Unosił w palcach kosmyki jej włosów i wypuszczał z powrotem. Bardzo cicho powiedział jej do ucha:

- Nie było żadnej kobiety, odkąd stąd wyjechałem.

Ciało Abbie przebiegł dreszcz.

- Jesse, zamierzam wyjść za Davida. Jest dla mnie bardzo dobry.

- Kiedyś i ja byłem.

- Nie w ten sposób.

- Na wiele sposobów. Zawsze potrafiliśmy rozmawiać, śmiać się i...

- I walczyć?

Na sekundę przestał bawić się jej włosami.

- Tak, również walczyć - przyznał nie zmieszany, a w jego głosie słychać było rozbawienie.

- Po twoim wyjeździe dalej z tobą walczyłam. Kiedy po tym zebraniu przeczytałam w gazecie całą prawdę, wściekałam się kilka dni.

- Zawsze byłeś w tym dobra - powiedział żarliwie, z uśmiechem.

- Panie DuFrayne, proszę zdjąć rękę z oparcia mojego krzesła, bo znowu się wścieknę.

- Na imię mam Jesse - oznajmił, nie ruszając ręki.

- Och, oszczędź mi tego. Za chwilę będziesz utrzymywał, że jesteś bandytą kolejowym z kulą w biodrze.

Roześmiał się, pogładził jej kark, po czym musnął palcem jej ucho.

- Pozłóż się troszkę, Abbie, dobrze? Na pamiątkę dawnych czasów. - Przyciągnął ją delikatnie, trzymając w dłoni kosmyk jej włosów.

Spojrzała mu w oczy i oświadczyła spokojnie:

- Zamierzam poślubić Davida Melchera, a zanim to zrobię, będziesz łaskaw wynieść się z mojego domu i z mojego życia.

Jesse znowu wpatrzył się w piec, wyciągnął nogi do przodu i oparł kark na poręczu krzesła.

- Czy naprawdę po moim wyjeździe musiałaś to wykrzykiwać w pustych pokojach?

- Och, nie pusz się tak - powiedziała kpiąco. - Ilekroć to robiłam, byłam wściekła.

- Nigdy nie czułaś do mnie nienawiści.

- Owszem, nienawidziłam cię.

- A teraz mnie nienawidzisz?

Zamiast odpowiedzi usiadła wygodniej na krześle i oparła stopy na osłonie pieca obok jego nóg.

- Powiedz, że mnie nienawidzisz - rzucił jej wyzwanie, stawiając swoją stopę na jej drobnych nóżkach.

- Powiem, jeśli nie zdejmiesz nogi i natychmiast stąd nie wyjdiesz. - Teraz wziął jedną z jej stóp pomiędzy swoje i pocierał ją zmysłowo.

- Zmusz mnie do tego.

Zobaczyła na jego ustach dawny kpiący uśmiech i nabrała pewności, że gdyby potrafiła w tym momencie przekonać go o prawdziwości swoich słów, w końcu uwolniłaby się od niego na zawsze. Rozsiadła się na krześle w równie niedbałej pozycji jak on i rzekła bez

wahania:

- Dalej uważasz, że przemoc jest oznaką siły, prawda? Wiesz, że nie mogę cię zmusić do wyjścia. Ale mogę powtórzyć to, co powiedziałam dawno temu, że David Melcher dysponuje piękną i łagodną siłą, którą podziwiam u mężczyzny, i że dlatego zamierzam go poślubić.

Jesse przez chwilę przyglądał jej się w milczeniu, a potem ujął ją za rękę. Serce waliło jej jak oszalałe, zachowała jednak pozory spokoju, kiedy głaskał jej dłoń.

- Sądzę, że naprawdę tak uważasz.

- Tak - potwierdziła, pozwalając mu trzymać się za rękę, by udowodnić, że już nie robi to na niej wrażenia.

- Czy on jest dla ciebie dobry? - zapytał Jesse i nagle zapragnął spleść jej palce ze swoimi i przycisnąć jej dłoń do piersi. To było jak zawsze najtrudniejsze, kiedy stawał się czuły i troskliwy i wyraźnie to okazywał.

- Zawsze... pod każdym względem - odpowiedziała miękko.

Wiatr lamentował nad czymś, co sprawiało ból.

- A czy jest dla ciebie odpowiedni?

Śnieg wyjawiał swe sekrety ścianom domu.

- Abbie? - nalegał Jesse, nie usłyszawszy odpowiedzi.

- Obydwa twoje pytania sprowadzają się do tego samego.

- Wcale nie.

- Być może więc pytanie powinno brzmieć, czy ja jestem odpowiednia dla niego.

- To oczywiste.

Abbie, patrząc na ich połączone dłonie, powiedziała:

- Nie bądź dobry. Zazwyczaj, kiedy byłeś dobry, robiliśmy z siebie głupców.

Po tych słowach czar przysł, Jesse puścił jej dłoń, roześmiał się krótko i poprosił:

- Opowiedz mi o swoich planach, naprawdę chciałbym je poznać.

To zabawne - pomyślała - zostały jeszcze dwa dni do ślubu, a nie miała żadnej przyjaznej duszy, z którą mogłaby o tym porozmawiać. Jak na ironię, to właśnie Jesse skłonił ją do mówienia. Ale co do jednego miał rację: zawsze potrafili z sobą rozmawiać i teraz czuła się bardzo dobrze w jego towarzystwie. I z niewiadomego powodu opowiadała mu o wszystkim: o ślubie, o planach przyjęcia, o tym, jak ciężko pracowali z Davidem, przygotowując otwarcie sklepu. Powiedziała, że w podróż poślubną wybierają się do Colorado Springs.

Jesse uśmiechnął się przekornie.

- A, więc płacę również za podróż poślubną? - Ale natychmiast przyznał, że sklep jest bardzo ładnie urządzony. Od razu dostrzegł w tym jej rękę.

A ona opowiedziała o stroiku na głowę należącym do jej matki, o tym, jak się niepokoiła, że jubiler nie odeśle go na czas do jutrzejszej fotografii. Jesse zapytał, u kogo zamówiła zdjęcie, a potem oznajmił, że zna Damona Smitha. To dobry fotograf i na pewno będzie z niego zadowolona. A potem ona go rozśmieszyła, bo zapytała, czy naprawdę sam jest fotografem, na co odrzekł: „Więc dalej mi nic wierzysz”, i w końcu obydwójce serdecznie się uśmieśli.

Ogarniało ich rozleniwienie i senność, więc rozmowa chwilami zamierała. Abbie powiedziała mu, że w tym stroju wygląda raczej jak wyjęty spod prawa niż fotograf, a on zapytał, czy wolała go w ubraniu koloru grynszpanu, na co przyznała, że jednak ten strój bardziej do niego pasuje. Od czasu do czasu w trakcie tej niespiesznej wymiany zdań rzucał jej ten swój cholernie zaspany uśmiezek, po czym znów wpatrywali się oboje w okienko w drzwiczkach pieca, naturalni, swobodni i z każdą minutą coraz bardziej senni. Czas przestał się liczyć w toku tej rozmowy w noc szalejącej wichury.

Opowiedział, jak zaczęli z Jimem od nadzorowania ekipy na kolei, potem wysadzali tunele, budowali przęsła, a nawet kładli tory, zanim w końcu położyli szyny własnej kolei, najpierw niewielkiej bocznicy, bo już wtedy zorientowali się, że pieniądze przynosi nie układanie torów, lecz posiadanie ich na własność. Kiedy pojedzie do Colorado Springs, powiedział, zobaczy tam rezydencje kolejowych magnatów.

- Twoją też? - spytała leniwie.

- Nie. - Roześmiał się, podobne rzeczy nie były w jego stylu. Poza tym nie był właścicielem aż tak wielkiej linii. Mówił jeszcze o tym, jak zaczął robić fotografie początkowo dla rozrywki, a potem pokochał to zajęcie.

W tym momencie już prawie leżał na krześle, z nogami na osłonie pieca, na pół śpiący. Zapytał jednak znowu:

- A teraz mi wierzysz?

- Chyba tak.

Trzeba było długo czekać, by wypowiedziała te słowa; zajęło to wiele czasu i spowodowało liczne nieporozumienia.

Dobiegały do nich odgłosy burzliwej nocy, którym przysłuchiwali się w przyjaznym i niekrepującym milczeniu.

- Jest bardzo późno - powiedziała wreszcie Abbie. - Chyba powinieneś iść, bo w przeciwnym razie moja fotografia będzie przedstawiała bardzo pomarszczoną pannę młodą.

Roześmiał się.

- Zupełnie tak jak wtedy, kiedy zobaczyłem cię po raz pierwszy. Ależ ty wtedy niechlujnie wyglądałaś, Abbie!

- Trzeba przyznać, że umiesz się wysławiać. - Ale oboje byli już zbyt rozleniwieni, by przywiązywać do tego wagę. Odwrócili głowy i spojrzeli na siebie.

- Abbie, nie pozwól, żebym cię nabrał - rzekł spokojnie.

Uświadomiła sobie, że on nigdy się nie zmieni. Będzie zawsze tym samym kpiącym Jesse'em. Stanowczo nie był dla niej odpowiedni.

- Cieszę się, że dobyliśmy tę rozmowę - podsumował, prostując się na krześle. Ziewnął i przeciągnął się.

Abbie również wstała, zeszywniała i zmęczona.

- Ja też. Ale, Jesse...

- Słucham? - powoli mrugał powiekami, ręce zwisały mu bezwładnie.

- Czy potrafisz wślizgnąć się do swojego pokoju hotelowego tak, żeby cię nikt nie widział, czy znowu będę musiała wymyślać , jakieś tłumaczenia dla Davida?

- Tylko idiota nic spałby do tej pory. Przemknę się bez trudu.

- Ale mimo wszystko postarasz się, żeby nikt cienie zobaczył?

- Oczywiście, Abbie. - Chociaż raz w jego głosie nie brzmiały przekorne tony.

Przeciągnął się teraz dokładnie, starannie, uruchamiając każdy mięsień, każdy staw. Wielokrotnie widywała go podczas tej czynności.

Wspomnienia.

Potem schylił się i zaczął wolno wciągać buty Obserwując go, przypomniała sobie, jak kiedyś pomagała mu w tym.

Wstał. Wepchnął poły koszuli do spodni, Abbie stanęła niepewnie obok niego.

Załóżył kciuk za pasek spodni i wpatrywał się w nią.

- Domyślam się, że nie jestem zaproszony na ślub.

Opanowała szalone bicie serca i rzekła z uśmiechem:

- Panie DuFrayne, jest pan niepoprawny.

Nie odrywając od niej wzroku, Jesse zdjął swoje okrycie z oparcia krzesła i ubrał się. Abbie, skrzyżowawszy ręce na piersiach, Obserwowała każdy jego gest, każdy ruch.

Zamiast pozapinać kurtkę Jesse złapał za obie klapy i stał nieruchomo, wcale nie ruszając w stronę drzwi.

- Tak... - powiedział bez związku. Abbie uśmiechnęła się drżąc i wzruszyła ramionami.

- Tak - powtórzyła bez sensu.

I wtedy spotkały się ich oczy. Żadne z nich się nie uśmiechnęło.

- Czy mam przed wyjściem pocałować pannę młodą? - spytał głosem zabarwionym uczuciem.

- Nie! - wykrzyknęła Abbie zbyt gwałtownie, cofnęła się o krok, ale zawadziła o krzesło. Wyciągnął rękę, żeby ochronić ją przed upadkiem, po czym wolno, nieubłaganie przyciągał w stronę miękkiego futra kurtki. Zamknął oczy w momencie, gdy objął dłońmi jej głowę.

Abbie - pomyślał - mój mały koliberku.

A serce Abigail McKenzie załomotało tak, jakby miało wyskoczyć z piersi. Jak serce kolibra, które bije szybciej niż serca wszystkich innych stworzeń.

Bliskość Jesse'a w niczym nie przypominała bliskości Davida. Jego kurtka barania była grubsza, ale nawet pod tą warstwą wyczuwała łomot serca.

- Bądź szczęśliwa, Abbie - wyszeptał z ustami w jej włosach, na które następnie złożył pocałunek.

Mocno zacisnęła powieki, a na skórze policzka odcisnął się ślad guzika.

- Będę - wyszeptała w skórę kurtki, do bijącego pod nią serca. Wielka dłoń głaskała ją po włosach, potem przywarła niemal boleśnie, przytulając ją po raz ostatni.

Jesse cofnął się, jego ręce zsuwały się w dół po jej ramionach, aż sięgnęły dłoni. Spojrzał pytająco w jej oczy po raz ostatni i przez chwilę przytrzymał jej ręce przy swoich policzkach, musnęła palcami wąsy. Zamknął na moment powieki, które drżały. Potem otworzył je i powiedział tak cicho, że ledwie usłyszała.

- Żegnaj, Ab.

Zapagnęła nagle zatrzymać dłonie na jego opalonej twarzy, głaskać wąsy, dotykać oczu i reszty tak dobrze zapamiętanego ciała. On jednak ścisnął boleśnie jej palce, przełknęła ślinę i wyszeptała.

- Żegnaj Jesse.

Cofnął się o krok i zapinając kurtkę, nie odrywał od niej wzroku. Postawił kołnierz.

Odwrócił się. Otworzył drzwi, a płatki śniegu zawirowały wokół jej stóp.

W ciszy, jaka zapanowała po zamknięciu drzwi, wzdrygając się od zimnego dreszczu, Abbie wyszeptała w pustkę: „Żegnaj, Jesse”.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Kiedy następnego ranka po obudzeniu Abbie ujrzała w lustrze swoją wynędzniałą twarz, odczuła ulgę, że David nie zobaczy jej w tym stanie. Uzgodnili, że tego dnia w ogóle nie pójdzie do sklepu, więc nie spotka się z nim przed siódmą wieczorem, kiedy wstąpi, by zabrać ją do kościoła na próbę ślubu.

Patrząc w lustro, Abbie doszła do wniosku, że jej twarz wygląda katastrofalnie, a nerwy są zrujnowane. I jedno, i drugie wymagało natychmiastowej interwencji.

Swojej twarzy mogła pomóc najlepiej, pozwalając jej doznać ściągającego działania świeżo wyciśniętej cytryny. Rezultaty tego zabiegu przyniosły niewątpliwą poprawę w porównaniu z obrazem upadku widocznym rano w każdej komórce. Niedwuznaczne obrzmienia i cienie pod oczami udało się osłabić za pomocą garści śniegu. Po kąpieli i umyciu włosów Abbie poczuła się niemal jak istota ludzka. Zniknęły widoczne ślady dewastacji.

Ale co z niewidocznymi?

Myślenie o Jessie z pewnością nie wpływało korzystnie na rozstrojony żołądek, ale nic na to nie mogła poradzić. Zawahała się chwilę, zanim dokończyła fryzury. Jak odmienny wydawał się Jesse ostatniej nocy...

Zapomnij o nim, Abigail McKenzie!

Zmusiła się, by myśleć o Davidzie, o sklepie, o fotografii, wieczornej próbie ślubu, o jutrzejszej ceremonii, o przyjęciu. O podróży poślubnej. Na sekundę myśli jej zbłądziły z powrotem do Jesse'a, ale szybko przywołała je do porządku.

Przejrzyj spis rzeczy, które trzeba jeszcze przygotować na przyjęcie! Wyjmij koronkowy obrus, przygotuj talerze, sztuce, filiżanki. Zamroź herbatniki, pokrój chleb i schowaj. Uprasuj suknię mamy. Martw się, że może padać śnieg.

Wyjrzała przez okno - zamieć uspokoiła się o świcie. Ale śnieg w górach oznaczał często spóźnienie pociągów. Nie wszystkie linie miały bowiem wystarczające zabezpieczenia przeciwnieźne i pociągi musiały nieraz czekać na oczyszczenie torów po zamieci takiej jak wczorajsza. A jeśli pociąg się spóźni albo w ogóle nie przyjedzie? Fotografia nie jest przecież sprawą życia i śmierci mówiła sobie. I już w następnej chwili patrzyła na zegarek, nasłuchiwała gwizdka lokomotywy, rozpacziała, że akurat wczoraj musiało padać!

Śnieg topniejący na włosach i wąsach Jesse'a...

Zapomnij o nim! Myśl o Davidzie. Przygotuj strój, który weźmiesz do hotelu.

Gwizdek pociągu o dziewiątej pięćdziesiąt! Nareszcie! To oznacza, że Damon Smith

przyjechał i zacznie ustawiać sprzęt fotograficzny w hotelu.

Czy oznacza to również, że Jesse wsiada do pociągu, żeby wyjechać z miasta?

O tak, tak, proszę cię, wyjedź.

Czy David dowie się, że Jesse był w mieście, choćby na tak krótko? Czy ktoś go widział wracającego do hotelu o trzeciej nad ranem?

Nie myśl o tym! Zapakuj w papier stroik i welon, owiń suknię ślubną razem z wieszakiem, przygotuj pantofelki. Twarz wygląda dobrze, Abbie, przestań patrzeć w lustro! Sukienka jest śliczna, wszystko dobrze się ułoży, jeśli tylko zapomnisz o Jessie DuFrayne.

Piętnaście minut przed czasem panna Abigail McKenzie stała przed stojakiem na parasole obok drzwi wejściowych, w których było to piękne owalne okno. Podziwiała bezwietrzny cudowny dzień, przystrojony śniegiem na białą, jak przystało na ślub. Na półce stojaka leżał jej strój, starannie zapakowany. Na wierzchu znajdowała się para pantofelków z białej satyny z małym obcasikiem i wydłużonym noskiem - prezent ślubny od Davida.

Z lustra patrzyły na nią oczy pełne determinacji, karcąc Abbie za jej bezsensowne trwożne przewidywania. Obserwowała siebie w chwili wkładania nowego ciemnozielonego palta z pelerynką i kapturem, zakupionego na podróż poślubną. Zmuszała się, by nie myśleć o tym, że zostało kupione za pieniądze Jesse'a. Wsunęła dłonie w mufkę. To także za jego pieniądze.

Weź swój ślubny strój, Abigail McKenzie, zanieś do hotelu, daj sobie zrobić zdjęcie i wyjdź za mąż za Davida Melchera, przestań być afektowaną pensjonarką - pomyślała. Zastanowiła się, od jak dawna nie sprawdzała jędrności podbródka. Nie musiała już tego robić, nie była stara. Ale nie była też młoda. Znajdowała się w przedziale pośrednim, a jaką błogosławioną ulgę sprawiał fakt, że nie musiała się już dłużej o to kłopotać. David bez żadnego problemu akceptował wiek średni, więc naśladowała go pod tym względem. Nie musiała się już martwić, że życie przechodzi obok. Od tej pory będzie z nią David.

Edwin Young siedział za biurkiem recepcji, kiedy panna Abigail weszła do hallu, otrzepując z butów śnieg.

- Niech pani pozwoli, że pomogę zanieść te rzeczy, panno Abigail - zaoferował, wychodząc zza biurka.

- Dziękuję, Edwinie, ale dobrze sobie radzę.

- To pewnie pani ślubny strój.

- Naturalnie.

- Szkoda, że pogoda się tak zepsuła tuż przed pani ślubem.

- Śnieg mi nie przeszkadza. Dziś rano pomyślałam, że to wygląda tak, jakby góry przystroiły się na mój ślub z Davidem.

Panna Abigail niewątpliwie się zmieniła, odkąd David Melcher przybył do miasta pomyślał Edwin. Była teraz miła, normalna i przyjazna. Człowiek dobrze się czuł w jej towarzystwie. Young ośmielił się nawet delikatnie dotknąć jej podbródka.

- Niech pani tylko zachowa ten uśmiech, proszę mi wybaczyć, panno Abigail, a fotografia będzie śliczna jak obrazek.

Roześmieli się, a Edwin skonstatował, że panna Abigail pozbyła się tej swojej wyniosłości, która budziła w nim podejrzenia, że uważa się za kogoś lepszego od pozostałych mieszkańców miasta.

- Rozumiem, że Damon Smith przyjechał porannym pociągiem zgodnie z umową.

- Tak, panno Abigail, i przytaszczył tyle sprzętu, że mógłby pewno sfotografować całą populację stanu Colorado.

- Bałam się, że śnieg zablokuje tory. Odczułam ulgę na dźwięk gwizdka.

- Przyjechał, przyjechał. Chętnie zaprowadzę panią do jego pokoju i pomogę zanieść te rzeczy.

- To całkiem niepotrzebne, ale dziękuję za propozycję. Dopóki trzymam to wszystko w ręku, wejdę po prostu na górę, jeśli poda mi pan numer pokoju.

- Numer osiem. Na pewno nie chce pani, żebym pomógł?

Ale była już w połowie schodów.

Długi, wąski korytarz na górze dzielił budynek pośrodku, po każdej stronie mieściły się cztery pokoje. Numer osiem był ostatnim pokojem po lewej stronie, gdzie wysokie okno oświetlało hall; słońce zalewało go teraz promiennym blaskiem, ożywiając wyblakłe róże na dywanie.

Panna Abigail, mając na jednym ręku przewieszoną suknię w kolorze kości słoniowej, w drugiej zaś trzymając pozostałe części stroju, zapukała do pokoju oznaczonego mosiężną ósemką. Nigdy w życiu nie była w pokoju hotelowym i czuła się trochę zmieszana. Zamierzała się postarać o to, żeby drzwi na korytarz pozostawały otwarte przez cały czas seansu.

Po drugiej stronie rozległy się kroki, zastanawiała się, jak wygląda Damon Smith. David go poznał i miał wysokie mniemanie o jego pracy. Przekręciła się gałka i drzwi otworzył Jesse DuFrayne.

Patrzyła na niego jakby oślepla od śniegu. Mrugała nerwowo powiekami, ale tak, to

był Jesse. Zapraszał ją gestem ręki do środka.

- Musiałam pomylić pokoje - powiedziała, stojąc, jakby wrosła w podłogę, zdawało się, że ósemka na drzwiach mruga do niej porozumiewawczo.

- Nie, to ten pokój - odparł nie zmieszany Jesse.

- Ale to miał być pokój Damona Smitha.

- I jest.

- A gdzie jest pan Smith?

- Obok, w moim pokoju. - Wskazał na zamknięte drzwi numer siedem. - Namówiłem go, żebyśmy na jakiś czas zamienili pokoje.

- Namówiłeś go?

- No tak. Wzajemna przysługa między fotografami, można by powiedzieć.

- Nie wierzę. Jak to zrobiłeś?

Zwróciła się w stronę pokoju numer siedem, spodziewając się, że Jesse będzie usiłował ją powstrzymać. Oparł się jednak o framugę drzwi z rękami skrzyżowanymi na piersiach i rzekł, całkiem zdawkowo:

- Zapłaciłem mu. Nie będzie robił twojego zdjęcia. Ja je zrobię.

Abbie, już wystarczająco zła, teraz rzuciła się na niego:

- Jesteś równie nieznośny jak zwykle.

Uśmiechnął się czarująco.

- Po prostu spłacam długi. Dostałem tę domową kolację, ale dalej winien ci jestem portret, zgodnie z warunkami zakładu. I dzisiaj ten portret zrobię.

- Nic nie zrobisz!

Abigail głośno zapukała w drzwi numer siedem. Czekala, aż się ktoś odezwie, a tymczasem Jesse oznajmił zza jej pleców:

- Powiedziałem mu, że jesteśmy starymi przyjaciółmi, że kiedyś nawet uratowałaś mi życie, więc skoro tak się szczęśliwie złożyło, że jestem w mieście, oddam ci w zamian tę przysługę.

Abigail już uniosła rękę, żeby zapukać ponownie, ale w tym momencie drzwi otworzył jasnowłosy, zaspany mężczyzna, który zapinał kamizelkę i tłumił ziewanie. Nie ulegało wątpliwości, że wyrwano go z drzemki. Przejechał ręką po potarganych włosach, uśmiechnął się przyjaźnie i popatrzył kolejno na nich oboje.

- O co chodzi, Jesse? Czy to jest panna McKenzie?

- Tak, to jest panna McKenzie - wtrąciła sama Abigail.

- Czy coś się stało? - dopytywał się, zaskoczony.

- Czy pan Damon Smith?

- Tak... przepraszam... powinienem był się przedsta...

- Czy dostał pan zamówienie na wykonanie mojego ślubnego portretu?

- Tak, ale Jesse wyjaśnił, że akurat jest w mieście w samą porę, żeby to zrobić, a skoro jesteście państwo tak bliskimi przyjaciółmi, chętnie ustąpiłem. Zapłacił mi za trud, nie mam więc żadnych pretensji. Nie musi się pani usprawiedliwiać, panno McKenzie.

- Nie pukam do pana, żeby się usprawiedliwiać, panie Smith. Pukam po to, żeby moja fotografia została wykonana zgodnie z umową!

Smith skrzywił się.

- Halo, Jesse, o co tu chodzi?

- Sprzeczka kochanków - z największą swobodą rzucił Jesse teatralnym szeptem. Jeśli znikniesz, dojdziemy do porozumienia. Widzisz, ona wychodzi za tego człowieka na złość. - DuFrayne wciąż opierał się o framugę drzwi.

Smith chrząknął, a pełna oburzenia Abbie zwróciła się najpierw do jednego z nich, potem do drugiego, ale nie doczekała się zrozumienia.

- On kłamie! Wynajęłam pana do mojego portretu, nie jego! Zrobi pan ten portret czy nie?

- Niech pani posłucha, nawet nie ustawiłem sprzętu, a poza tym nie chcę uczestniczyć w waszym sporze, bez względu na to, czego dotyczy. Proszę mnie z tego wyłączyć. Jesse już zapłacił mi dwa razy tyle, ile dostałbym od pani, więc po co miałbym się męczyć z szykowaniem sprzętu? Jeśli chce pani mieć fotografię, niech mu pani pozwoli ją zrobić. Zresztą jest do tego przygotowany.

I na jej zdumionych oczach Damon Smith wycofał się, mamrocząc coś na temat sposobu, w jaki w ogóle dał się w to wplątać. W końcu zatrzasnął drzwi swojego pokoju.

Rozwścieczona Abbie natychmiast rzuciła się na Jesse'a.

- Jak śmiesz... - Ale on w tym momencie odszedł od drzwi i pchnął ją w stronę pokoju numer osiem, patrząc jednocześnie przez ramię na kraniec hallu z konspiracyjnym uśmiechem.

- Sza - upomniał. - Jeśli chcesz odgrywać przekupkę, poczekaj przynajmniej, aż zamknę drzwi, bo inaczej całe miasto dowie o wszystkim.

Opierała się, pełna oburzenia, wyrwała mu rękę, ale wciąż stała nieruchomo.

Zamiast ją przymuszać, Jesse wykonał ponownie elegancki ruch dłonią i rzekł uprzejmie:

- Wstąp na me pokoje...

Dokończyła jadowicie:

- ...muchę pająk prosił.

- Touche! - przyznał, ubawiony tak celną ripostą. - Ale ja chcę tylko zrobić ci zdjęcie, a nie masz już w tej sprawie dużego wyboru, prawda?

- Mam taki wybór, że mogę zrezygnować z fotografii.

- Naprawdę? - spytał, unosząc brwi.

- Dlaczego nie?

- W żadnym razie, jeśli chcesz, żeby Melcher pozostał w błogiej nieświadomości co do twojego tete - a - tete wczorajszej nocy z kimś, kto wyslizgnął się z twojego domu o trzeciej rano. Jest jeszcze poza tym ten urzędnik w recepcji, który doskonale wie, że jesteś tu na górze i Damon robi ci zdjęcie. Jak wytłumaczysz, że spędziłaś z nim tyle czasu i nie masz żadnej fotografii?

Spojrzała z niechęcią na drzwi numer siedem i wiedziała, że pająk schwycił ją, jeszcze zanim weszła na jego pokoje. W głębi pokoju Jesse'a widziała rzeczywiście przygotowaną kamerę z kapturem na trójnogu, ale stanowiło to jedynie drobne pocieszenie. Absolutnie nie miała do niego zaufania.

- Skoro twoje pierwsze przybycie do miasta wywołało taką sensację, na pewno zauważono twój kolejny przyjazd. Urzędnik w recepcji również wie, że jesteś na górze. Prędzej czy później David i tak się dowie, że byłeś w mieście.

- Ale ja mam tutaj zupełnie legalne interesy, więc pewno dobrze wie, że przyjechałem w tej sprawie. Dotychczas nikt nie wie, że spędziliśmy razem ostatnią noc czy dzisiejszy poranek. Prócz Smitha oczywiście, ale nim już się zająłem.

Ten człowiek naprawdę wywoływał w niej głęboką frustrację. Jak mógł się tak zmienić od wczoraj, z, ciepłego, pełnego wyrozumiałości przyjaciela przedzierzgnąć się w podstępny intrygant?

- Och! Ty, te twoje pieniądze i twoja kolej! Uważasz, że absolutnie wszystko możesz kupić, że wystarczy machnąć pieniędzmi i już możesz manipulować życiem ludzi.

- Jaki sens miałyby moje pieniądze, gdyby nie mogły przynieść mi szczęścia? - spytał niewinnie, raz jeszcze zapraszając ją do wnętrza.

Zdała sobie sprawę, że ją pokonał. Weszła z wyniosłą miną do pokoju, a Jesse zaczął zamykać drzwi.

- Proszę zostawić otwarte - rzuciła, myśląc: co może mi zrobić przy otwartych drzwiach?

- Jak sobie życzysz - zgodził się uprzejmie i zostawił drzwi przymknięte. Podeszedł do

niej, szarmancko wyciągnął rękę po rzeczy, które przyniosła. Była już wobec niego tak podejrzliwa, że nie pozwoliła mu niczego dotknąć.

Spojrzał, jak ściska w dłoni satynę w kolorze kości słoniowej, i przestrzegł:

- Pognieciesz suknię, zanim zaczniesz pozować. Co na to powie David?

Wziął od niej ślubny strój i położył na łóżku, po czym znowu podszedł do niej.

- Pozwól, że pomogę ci zdjąć płaszcz. - Stał za nią, kiedy rozpiniała guziki. - Ładne palto - zauważył. - Nowe? - Nie musiała widzieć jego twarzy, by rozpoznać pełen domyślności błysk w oku. Palto stanowiło najwyraźniej część jej wyprawy i nie było wątpliwości, kto za to zapłacił.

Położył okrycie na łóżku obok pozostałych rzeczy i odwrócił się twarzą do niej. Przez chwilę milczeli. Abbie poczuła się nieswojo. Co powinna teraz zrobić, przebrać się?

- Czy w tym momencie nie powinienesz mnie zapytać, czy nie chciałabym obejrzeć twoich sztychów? - spytała z sarkazmem.

Zadziwiła ją jego reakcja.

- Doskonały pomysł! - Klasnął w dłonie. - Są tutaj.

Choć trudno było w to uwierzyć, ale mówił prawdę, ukucnął bowiem przy trzech wielkich czarnych skrzynkach i zaczął odpinać paski na jednej z nich. Abbie zorientowała się natychmiast, że muszą tam być jego fotografie, o których tak często wspominał.

- Żartowałam - przyznała łagodniejszym tonem.

- Wiem. Ale chodź tu i rzuć na nie okiem. Od dawna już chciałem ci pokazać te fotografie, i może, gdy je zobaczysz, będziesz miała mniejsze opory przed pozwaniem dla mnie.

- Mówiłeś, że nie robisz portretów.

- Bo nie robię. Prócz twojego.

Otworzył pierwszą skrzynkę i zaczął wyjmować kolejne warstwy aksamitnej wykładziny, którą obłożone były ciężkie szklane klisze fotograficzne, a następnie wydobył same klisze.

- Abbie, nie bądź tak sceptyczna i uparta. Pokażę ci, jak się buduje linię kolejową.

Ciekawa była, jakie zdjęcia robi Jesse, ale dalej się wahała, pełna niepewności. Już wielokrotnie przecież ją rozbroił.

- Chodź. - Wyciągnął rękę, jakby chciał posadzić ją obok siebie, pośród szklanych kwadratów. Wyglądał niezwykle pociągająco, a nawet dostojnie, kiedy oczekiwał, aż Abbie zbliży się do niego. Zignorowała wyciągniętą rękę, znalazła wolne miejsce na podłodze i uklękła otoczona balonem spódnicy. Jej wzrok natychmiast powędrował w stronę fotografii.

Pierwsza z nich wcale nie przedstawiała pociągu, tylko żaglowiec.

- Chyba ten pojazd będzie miał trudności z poruszaniem się po szynach - zauważyła.

Jesse roześmiał się, wziął do ręki fotografię i wytarł z kurzu rękawem.

- To „Nantucket”. Przełynął wokół przylądka z Filadelfii do San Francisco w sto dwanaście dni w tysiąc osiemset sześćdziesiątym trzecim. „Nantucket” przywiózł dwie pierwsze lokomotywy.

- Lokomotywy kolejowe? Abbie zainteresowała się niejako wbrew sobie. Jesse uśmiechnął się przelotnie, ale widać było, że zajmują go przede wszystkim fotografie.

- Wtedy wszystko przywoziło się statkiem i wszystko jechało dokoła przylądka - lokomotywy, szyny, gwoździe, łubki do szyn, żabki - wszystko prócz drewna na progi i filary.

Żabki? Wydawało się, że Jesse wie, o czym mówi. Ponadto oczy błyszczały mu z zachwytu, czego jeszcze nigdy nie widziała. Następnie wskazał na fotografię lokomotywy na kształtnym, długim szkunerze rzeczonym, który pruł wody przy tamie w Sacramento.

- Kolej była uzależniona od parowców rzecznych. Czy wiesz, że tę tamę zbudowano specjalnie do transportu wyposażenia dla kolei, a kiedy już powstała kolej, parowce straciły rację bytu?

Wpatrywał się w zdjęcie. Abigail nie mogła się oprzeć wzruszeniu na widok smutku w jego oczach. Był tak zaabsorbowany, jakby zapomniał o jej obecności. Zaczął palcami odkurzać zdjęcie i w tym momencie dowiedziała się o nim więcej niż kiedykolwiek dotychczas.

Nie odrywając wzroku od fotografii, Jesse zagłębił się we wspomnienia:

- Jako chłopiec często pływałem parowcem. Bez nich Nowy Orlean nigdy już nie będzie taki sam. - Jego głos i palce dotykające szklanej kliszy wyrażały i pasję, i współczucie, co głęboko poruszyło Abigail.

Potem oglądali zdjęcia wiaduktów, których podstawy ginęły w sercu gór lub przepaściach kanionów.

- Czasami zapalają się od iskiei z lokomotywy. - Jesse zmarszczył brwi, jakby nie mógł się uwolnić od niedobrego wspomnienia.

Następna fotografia pokazywała setki kulisów przypominających mrówki; pchali małe drewniane taczki w kierunku ciągnących się w nieskończoność filarów. Jesse objaśniał każde zdjęcie, czasami z uśmiechem, czasami z grymasem, ale zawsze z niekłamaną pasją, co robiło na Abbie coraz większe wrażenie.

- To Czen. - Zdjęcie przedstawiało sylwetkę pomarszczonego, spotniałego Chińczyka.

Spojrzała na nieładną twarz, a potem na Jesse'a, który uśmiechał się do jakiegoś

wspomnienia.

- Czy Czen miał naprawdę żółtą skórę? - spytała, zafascynowana.

Jesse roześmiał się i powiedział niemal tak, jakby mówił do siebie:

- Nie, przypominała raczej kolor ziemi, którą woził na taczkach, nigdy się nie skarżył, zawsze uśmiechnięty. - Odkurzył rękawem fotografię. - Zastanawiam się, gdzie on jest teraz.

Były na tych zdjęciach tunele biegnące w czarną nicość, jaskiniowe i złowieszcze. Na sam ich widok Abbie zdrząła. Były miasta namiotów, które kiedyś Jesse jej opisał, sfotografowane w słońcu, w błocie, w porze kolacji, w czasie walki, nawet podczas tańców - na koniec ciężkiego dnia mężczyźni tańczyli z mężczyznami. Na widok tych zdjęć Jesse roześmiał się, jakby wyraźnie pamiętał te dobre czasy. Widać było twarze ubrudzone błotem, obnażone plecy pochylone nad kilofami, brzuchatych dygnitarzy w nienaganych jedwabnych ubraniach ze złotą dewizką od zegarka obok ociekających potem torsów wyrobników, umorusanych i wymoczonych. Dwie zadbane dłonie obejmowały złoty boleć. Samotna, sztywna i powykręcana ręka sterczała z góry gruzu, który mężczyźni rozkopywali pospiesznymi ruchami dłoni.

- To Will Fenton - objaśnił spokojnie Jesse. - To był porządny i chłop.

Ale tej fotografii nic wytarł z kurzu. Wpatrywał się w nią, a Abbie widziała na jego twarzy cierpienie, z trudem przełknęła ślinę, żeby rozluźnić węzeł zaciskający gardło. Miała nieprzepatą ochotę położyć rękę na ramieniu Jesse'a, ukoić smutek malujący się na jego napiętej twarzy, Jesse, co jeszcze kryjesz w sobie, czego istnienia nigdy nie podejrzewałam? Spojrzała na długie palce jego dłoni i na rękę Willa Fentona.

Widziała przed sobą galerię kontrastów, staranny zapis tego, ile kosztowało połączenie obu wybrzeży Ameryki żelaznymi torami, ile jedni zapłacili za to, żeby inni osiągnęli korzyść; opowieść w obrazach sporządzona przez człowieka, który miał swój udział i w płaceniu wysokiej ceny, i w osiąganiu zysków, i poznał wartość obydwu.

James Hudson miał rację.

- Czy zdałem egzamin? spytał Jesse, przerywając jej zadumę.

- Z doskonałym wynikiem - odpowiedziała, trochę upokorzona tym, co zobaczyła. W każdym razie nie żałowała już, że zwabił ją do swojego pokoju.

- Może przebierzesz się teraz, w te weselne fatalaszki, a ja pochowam klisze.

Zajął się tym, jakby zapomniał o jej obecności. Abbie rzuciła okiem na strój leżący na łóżku, potem na parawan w kącie. Biorąc do ręki, miała nadzieję, że podjęła słuszną decyzję.

Za parawanem powtarzała sobie, że choć te fotografie zrobiły na niej duże wrażenie, nie była na tyle głupia, żeby nie zdawać sobie sprawy, że Jesse stara się ją udobruchać.

Wstąpił na me pokoje, muchę pajak prosił...

Jednak, ubierając się w swoją suknię, nie mogła zapomnieć ani fotografii, ani wyrazu twarzy Jesse'a. Zaczęła się spieszyć, powtarzając sobie, że powinna się mieć przed nim na baczności, bez względu na to, czy jako fotograf zdobył jej szacunek, czy nie. Dalej był podstępny Jesse'em DuFrayne.

Kręcił się po pokoju, pogwizdywał, chował klisze, a potem zdawało się, że przesuwa jakiś mebel. Kiedy Abbie wyszła zza parawanu, klęczał tyłem do niej i podnosił coś z podłogi. Obserwowała, jak podłożył to pod bieguny fotela, który ustawił na wprost kamery. Podchwyciła na moment jego wzrok, ale nie przestał nonszalancko pogwizdywać, najwyraźniej w swoim żywiole w pobliżu kamery.

- Muszę przejrzeć się w twoim lustrze. - Abbie zauważyła, że podwinął rękawy koszuli, jakby szykował się do poważnej pracy.

- Doskonale. - Wstał, żeby mogła przejść między nim a kamerą do toaletki. Obserwował kątem oka, jak przyglądała włosy, poprawiła szpilki przytrzymujące surowy kok na karku. Ona z kolei obserwowała w lustrze, jak Jesse przysuwa do bujanego fotela stolik z paprotką, jako tło. Chyba nie zamierza fotografować jej w bujanym fotelu? A co ze stroikiem na głowę i długim welonem? Jednak na razie nie zadawała żadnych pytań, wzięła tylko do ręki ozdobiony perłami krąg. Miała włożyć go na głowę, kiedy odezwał się Jesse: - Nie, nie rób tego.

- Ale to mój ślubny welon. Chcę go mieć na fotografii.

- Będzie. Przynies go tutaj. - Wskazał gestem fotel.

- Chyba nie zamierzasz mnie posadzić w bujanym fotelu do ślubnego zdjęcia. Nie jestem jeszcze aż tak stara.

Roześmiał się cudownym, beztróskim śmiechem. Nigdy nie znał kobiety z tak wspaniałym poczuciem humoru. Stał swobodny, rozluźniony, z rękami na biodrach, napawając się widokiem Abbie w ślubnej sukni jej matki.

- Cieszę się, że przekonałem cię o tym. Owszem, będziesz siedziała na bujanym fotelu.

- Jesse... - usiłowała protestować.

- Sądzę, że trochę więcej od ciebie wiem o fotografowaniu, więc podejdź tutaj. - A ponieważ Abbie się nie poruszyła, dodał: - Zaufaj mi.

Przypomnij sobie, do czego doszło, kiedy ostatni raz ci zaufałam - pomyślała, ale posłuchała go i podeszła bliżej. Jesse ustawił fotel pochylony do tyłu pod ostrym kątem, zablokował bieguny kawałkiem drewna. Nagle Abbie uświadomiła sobie, o co mu chodzi.

- To ma być fotografia panny młodej, nie buduaru - zauważyła sarkastycznie.

- Ab, nic bądź taka podejrzliwa. Wiem, co robię. David będzie zachwycony tą fotografią.

Tu dopiero obudziło jej podejrzliwość.

- Chcę, żebyś mnie sfotografował w pozycji stojącej.

- Nie martw się, na pewno będę stał.

- Nie bądź śmieszny. Wiesz, co mam na myśli.

- Oczywiście. To tylko takie moje facecje. Albo robimy tak, jak ja chce, albo David będzie się zastanawiał, dlaczego nie ma żadnego portretu, choć spędziłaś tu tyle czasu.

Wyciągnął rękę i czekał, żeby pomoc jej usadowić się w fotelu. Mimo wahań musiała mu się jednak podporządkować. Jego dłoń była silna i ciepła, dawała dziwne poczucie bezpieczeństwa, kiedy pomagał jej zachować równowagę w chwili siadania na pochylonym fotelu. Fotel był większy od tego, który miała w domu, okrągło zakończone oparcie upiększały z obu stron ozdobne zwieńczenia. Jesse ustawił fotel pod takim kątem, że trudno było wstać z niego bez pomocy. Czowała się zdana na los szczęścia, siedząc tak z dyndającymi nogami, starała się odsunąć głowę od oparcia.

Jesse wziął od niej welon i odłożył go na łóżko. Stanął za fotelem i spojrzał z góry na jej włosy. Położył rękę na jej czole i przyciągnął głowę do zdobnego oparcia, które sięgało akurat powyżej karku.

- Tak jak teraz - powiedział. - Rozluźniona i naturalna.

Na dotyk jego ręki serce Abbie pod koronkowym gorsem sukni zareagowało gwałtownie. Kiedy ciasno upięty kok dotknął oparcia fotela zorientowała się, że widzi Jesse'a w niezwyklej perspektywie. Przez chwilę patrzyli na siebie, Abbie zastanawiała się, zaniepokojona, co on ma zamiar zrobić.

Zaczął mówić aksamitnym głosem, chodząc wokół fotela, przy czym ani na moment nie oderwał od niej wzroku.

- Mamy tutaj pannę młodą nie przed uroczystością, ale po niej. Każdy pan młody chce zapamiętać swoją oblubienicę w tym właśnie momencie. Kiedy jej włosy nie są w zupełnie idealnym porządku, ale ona nawet o tym nie wie.

Wydawał się poruszać w zwolnionym tempie, sięgnął do kieszeni, wyjął niewielki grzebyk, przez cały czas patrząc w oczy Abbie. Dostrzegła grzebyk zbliżający się do skroni, poczuła jego lekkie dotknięcie, kilka kosmyków włosów wydostało się z uwięzi, a ona tym razem nie zaprotestowała. Wiedziała, że powinna podnieść ręce i powstrzymać to szaleństwo, ale zdawało się, że hipnotyzują ją te ciemne oczy i cichy pieszczotliwy głos.

- Mężczyzna tak właśnie lubi oglądać swoją oblubienicę. Można to nazwać potarganiem... w każdym razie uczesanie nie całkiem idealne po tyłu uściskach, na jakie wystawiona była przez cały dzień, po tych tańcach, podczas których wszyscy odrąceni nieszczęśnicy przytulali skronie do jej skroni.

Pochylił się nad nią powoli, śniadą dłonią uwolnił kosmyk włosów nad drugim uchem, nie uśmiechał się, jedynie wpatrywał badawczo. Abbie zdawała sobie sprawę, że rujnuje starannie upięty kok, siedziała jednak jak zaczarowana, a on uwalniał kolejne pasma, obchodząc wokół bujany fotel. Abbie wodziła za nim wzrokiem.

- Podobają mi się luźne kosmyki przylegające tu i ówdzie do jej wilgotnej skóry.

Nie, Jesse, nie - pomyślała, ale wciąż siedziała jak urzeczona, kiedy poślinił czubek palca, dotknął nim policzka i przylepił pasemko włosów. Obserwowała to i odczuwała jak widz - koniec jego języka, smukły palec, wilgoć - chłodna kropla śliny na jej policzku. Starła się nie myśleć, jakich zakątków jej ciała dotykał ten język, a tymczasem Jesse znowu podniósł palce do ust, powtórzył wszystkie czynności na jej drugim policzku, po czym cofnął się o krok, podziwiając efekty.

- Tak jest dużo lepiej, Abbie. David będzie zachwycony.

Uchwyciła poręczę fotela, wpatrywała się w Jesse'a, a puls jej przyspieszał.

- Ale nie możesz być taka napięta. Żadna oblubienica nie może czepiać się poręczy fotela, jakby odczuwała śmiertelne przerażenie. - Zdjął jej ręce z poręczy i w tym momencie jego włosy znalazły się blisko jej twarzy. - Rozluźnij się - polecił tym swoim głosem jak ze snu, potrząsnął delikatnie jej rękami. - Tak jak w twojej sypialni tej nocy, kiedy roześmiałaś się po raz pierwszy. Pamiętasz?

Pozwoliła mu manipulować nadgarstkami w koronkowych mankietach. Położył jej na biodrze jedną dłoń wierzchem do góry.

- Tak jest dobrze - wymamrotał i przesunął palcem od przegubu do czubka jej środkowego palca, poruszył nim, uznał, że jest wystarczająco rozluźniony. Wnętrzem Abbie wstrząsnęły dreszcze. Jesse wstał i na chwilę zniknął, jej szeroko otwarte oczy niecierpliwie czekały na pojawienie się jego twarzy w polu widzenia.

- Teraz welon... - Trzymał w opalonych, męskich dłoniach białą mgielkę. - Symbol czystości, który za chwilę zostanie odrzucony. - Serce zabiło jej gwałtownie, kiedy zobaczyła, że zbliża do niej ręce, ale powiesił jedynie stroik na zwieńczeniu oparcia obok jej skroni i przerzucił koronkowy tren przez jedno ramię fotela, układając opadającą kaskadę na jej kolanach. - Dłoń do góry, dobrze, Ab?

Poczuła na dłoni dotyk muslinowej siateczki, którą Jesse ułożył tak, jakby sama przed

chwilą zdjęła welon gestem pełnym znużenia. Następnie ujął jej drugą rękę i owinał wokół poręczy fotela jak gałąź wierzby. Ukłękł przed nią na jedno kolano.

- Dzień dobiega końca. Trwał o wiele za długo, zważywszy ciasne buciki i sztywne kołnierze. - I zanim się zorientowała, Jesse zrzucił jej z nóg satynowe pantofelki od Davida, przesunął dłonią wzdłuż jej podeszwy zmysłowym, przelotnym muśnięciem. Ogarnięta przerażeniem, wsłuchiwała się w ciszę, a Jesse tymczasem wstał, znowu stanął za nią i hipnotyzował ją spojrzeniem czarnych oczu ponad kreską wąsów, które zaczynały wyginać się w uśmiechu. Zdawała sobie sprawę, że Jesse sięga do guzików przy jej szyi, ale nie miała siły, by mu przeszkodzić. Powoli rozpiął pierwszy, zmniejszając trochę napięcie, bo szybki rytm serca niemal pozbawiał ją tchu. Odpiął drugi guzik, potem trzeci. Były to maleńkie guziczki, przyszyte blisko siebie i zapinane na pętelki, więc minęło sporo czasu, zanim Jesse wreszcie odsłonił nasadę jej szyi. Wpatrywała się w jego czarne oczy. Przesunął ręce z jej szyi na zwieńczenia oparcia fotela i przechylił go jeszcze bardziej do tyłu. Przytrzymał fotel w tej pozycji i, patrząc w jej udręczone oczy, spytał stłumionym głosem: - Który mężczyzna nie chciałby zapamiętać swojej oblubienicy właśnie w takiej chwili?

Jego oczy, nawet oglądane z tej perspektywy, płonęły jak węgle, paliły jej policzki, pragnęła zakryć twarz wierzchem dłoni, która spoczywała na kolanach. Gdyby nawet chciała poderwać się i uciec od niego, nie byłaby do tego zdolna. Teraz mogła się jedynie poddać temu narkotyzującemu głosowi i oczom.

Patrząc na nią, Jesse dostrzegł zdradliwy promień słońca, który podkreślał pulsujące tętno u nasady szyi w zalotnym obramowaniu rozchylonych koronek. Powoli puszczał fotel, aż ustawił go ponownie na podpórkach, po czym równie powoli przeszedł i stanął z boku, ani na chwilę nie odrywając wzroku od Abbie i nie zdejmując ręki ze zwieńczenia oparcia tuż obok jej policzka.

- Abbie, zwilż wargi - powiedział cicho. - Powinny być wilgotne w momencie robienia fotografii. - Nie spieszył się jednak do kamery, również Abbie nie zwilżyła ust.

- Zwilż je - ponaglił - jakby David pocałował cię przed chwilą i powiedział... Kocham cię, Abbie. - Jesse wpatrywał się w jej miękkie rozchylone wargi, potem spojrzał jej w oczy i z powrotem przeniósł wzrok na jej usta. Czekał. Wysunęła koniuszek języka, wargi załśniły, dalej rozchylone, kiedy z trudem wciągnęła oddech.

Jesse pochylił się, położył ręce na poręczach fotela, jego twarz znalazła się blisko jej twarzy, a głos płynął jak ciepły miód.

- Abbie, masz zbyt szeroko otwarte oczy. Kiedy mężczyzna mówi żonie, że ją kocha, czyż nie zamyka ona oczu? - Usiłowała złapać dech, patrząc w tę urodziwą, jakże urodziwą

twarz, znajdującą się tak blisko, że kiedy Jesse się odezwał, poczuła każde słowo na skórze. - Spróbujmy jeszcze raz i przekonamy się - wyszeptał, wciąż pochylony nad nią.

- Kocham cię, Abbie. - Powieki jej drgnęły.

- Kocham cię, Abbie - usłyszała znowu... i powieki opadły do połowy masztu.

- Kocham cię, Abbie. - Tym razem zamknęły się przy jego policzku, kiedy jego głodne wargi wyruszyły na połów. Abbie nie chciała już wstawać z tego fotela, bo rozchylone wargi Jesse'a odnalazły jej usta, a długie ręce przytrzymały ją za ramiona. Kciukami muskał to miejsce na szyi, w którym widział jej pulsujące tętno. Przyklęknął na jedno kolano i przygwałdził ją pocałunkami do oparcia fotela, jego język tańczył i splatał się z jej językiem, a cała jej istota pragnęła, żeby na tym się nie skończyło.

Nagle poczuła przyływ paniki, zaciskający gardło.

- Nie, przecież jutro wychodzę za mąż - wymamrotała, usiłując uciec od jego pocałunków, które kazały jej o wszystkim zapomnieć.

- No właśnie, jutro - wyszeptał w jej szyję.

Dalej miała zamknięte oczy, kiedy odsunęła się gwałtownie, na próżno usiłując walczyć z uczuciami, jakie w niej obudził.

- Pozwól mi wstać z tego fotela - błagała, bliska łez.

- Nic z tego, dopóki panna młoda nie pocałuje mnie jak należy - powiedział, całując ją w podbródek. - Ab, jeszcze nie jesteś jego żoną, a kiedy już nią zostaniesz, nie będzie mnie przy tym, nie będę więc mógł pocałować panny młodej. Zrobię to po prostu o dzień wcześniej...

W dalszym ciągu nie chciała odwrócić głowy w jego stronę.

- Dlaczego nie, Ab? Powinnaś wyglądać jak kobieta tuż po pocałunku na tej fotografii dla Davida. Przecież tak wygląda kobieta w noc poślubną, prawda?

Silna dłoń uchwyciła ją za podbródek. Kiedy jednak usiłował ją pocałować, zaczęła się opierać, posługując się dłońmi, łokciami, czym popadło. Jednak bez wysiłku przytrzymał jej ręce, założył sobie na szyję i puścił dopiero wtedy, kiedy poczuł, że jej opór słabnie.

Tak dawno nie czuła uścisku jego ramion. Teraz nareszcie obejmowała go, czuła dotyk czarnych włosów na karku, wyprężyła się i rozchyliła wargi, zwilżone na jego polecenie na użytek Davida.

Usta Jesse'a łapczywie spoczęły na jej wargach, ale nagle odskoczyły. Kiedy ruchem kolana wykopał kawałek drewna unieruchamiający bieguny. Fotel zakołysał się do przodu, a wraz z nim Abbie, ale Jesse tylko na to czekał. Usta ich spotkały się niemal rozpaczliwie, kiedy ściągnął Abbie z fotela i pozostawił w pozycji klęczącej naprzeciwko siebie. Otoczył jej

talię silnym ramieniem, tuląc ją do swych twardych rozpierających łędźwi, które wykonywały powolne, zmysłowe, koliste ruchy na satynowej ślubnej sukni. Przyciskał Abbie mocno, języki przekazywały ustom opowieść o pożądaniu, a usta wypowiadały się jakby przeciw żądaniom ciała, prężących się i przytulonych, aż ogarnął je słodki ból.

Odrywając wargi od jej ust, Jesse wyszeptał tuż przy jej skroni:

- Ab, nie możesz za niego wyjść. Powiedz, że nie możesz. - Zanim jednak zdążyła wydać jakikolwiek dźwięk, jego niecierpliwe usta znowu odnalazły jej wargi, a język zanurzył się w wilgotnym cieple. - Powiedz - domagał się Jesse głosem przytłumionym żądzą, kiedy całował jej brodę, a potem nasadę szyi w nie dopiętej ślubnej sukni. Abbie pogrążyła się w zachwycie, niezdolna myśleć o niczym, prócz jęku rozkoszy, jaki wydobywał się z jej gardła pod wpływem dotknięcia Jesse'a. Zanurzyła twarz w jego włosach, całowała czubek głowy, pieściła dłońmi twarz. Jego usta poruszały się pod dotykiem jej dłoni, otwierały się szeroko, by poznać smak jej skóry, dokoła nich sypał się deszcz guziczków; Jesse pochylił głowę, szukając czekających na dotyk jego warg piersi, świeżo uwolnionych z uwięzi ubrania.

Odzyskała na tyle przytomności, by wyszeptać:

- Jesse... moja ślubna suknia...

Odpowiedział z głową na jej piersiach:

- Kupię ci nową.

W tym momencie wsunął dłonie pod rozchyloną suknię, dotykając napiętych sutek.

- Ale to suknia mojej matki - zaprotestowała Abbie bez sensu.

- Bardzo dobrze. - Przesunął dłońmi do góry, wzdłuż jej piersi, aż do ramion, i zsunął suknię gwałtownym ruchem. Zepchnął ją do tyłu, aż zatrzymała się powyżej łokci Abbie, które uwięzły w długich koronkowych rękawach, za to piersi, uwolnione od materiału, poddawały się teraz dotykowi ręki Jesse'a, jego języka i zębów. Abbie odchyliła głowę do tyłu gestem oddania. Jesse z jękiem rozkoszy pieścił dłońią jej sutki, wypuścił je i muskał wąsami. - Boże, Abbie, nie mogłem o tobie zapomnieć.

- Jesse, proszę cię, musimy przestać.

Ale on nie przestał, tylko zajął się drugą piersią.

- Czy ty leż o mnie myślałaś? - pytał zduszonym głosem.

Próbowała, co prawda niezbyt zdecydowanym ruchem, oderwać jego głowę od swojej piersi, ale on nie przestawał jej pieścić i całować, podczas gdy ręce Abbie pozostawały uwięzione w rękawach sukni.

- Staralam się nie myśleć. Och, Jesse, tak bardzo się starałam.

- Ja też...

- Przestań, Jesse...

- Uwielbiam, kiedy mówisz do mnie Jesse. A jak mówisz do niego, kiedy to robicie? - Wyprostował się, chociaż nie wstał z kolan, ujął jej dłoń w swoje potężne ręce i patrzył jej w oczy, zanim przyciągnął ją do siebie i pocałował z dzikim niemal zapamiętaniem. Odsunął się i zaczął dotykać najbardziej wrażliwych miejsc piersi, podbrzusza, skraju spódnicy w kolorze kości słoniowej, oddzielającego jego dłoń od wilgotnego ciepła kobiecego ciała. - Czy David potrafi wprawić cię w podobne drżenie, obudzić takie pożądanie? Czy potrafi sprawić, by twoje piersi stały się tak twarde, a ciało pokryte rosą?

Z udrezonego wyrazu jej twarzy odczytał odpowiedź, jeszcze zanim przybliżył się i pocałował ją w brodę.

- Nie, nie tak jak ty, Jesse, nigdy tak jak ty...

Wiedziała, że gdyby nawet żyła z Davidem przez tysiąc lat, ta odpowiedź nie uległaby zmianie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Zadźwięczał dzwonek, David podniósł głowę i zobaczył, że Chudzielec Binley zmierza w jego kierunku pomiędzy ławkami z czerwoną tapicerką. Odkąd nastąpiła zima, Chudzielec chętnie pętał się po sklepie, bo było tu dużo przyjemniej niż na werandzie Mitcha, a poza tym zachęcała ciepła kawa. Miał przy tym okazję od czasu do czasu popatrzeć na pannę Abigail.

Dzisiaj nie było jej w sklepie, ale Chudzielec wiedział o tym, zanim tu przyszedł.

- Jak się masz, Chudzielec - powitał go David, odczuwając tę szczególną chwilę przyjemności, jakiej dostarczała mu obecność Binleya, odkąd dowiedział się, że tamten popatrywał na jego kobietę. Jako „wybraniec” Abbie, David często pozwalał sobie traktować Binleya odrobinę z góry. Chudzielec doskonale to wyczuwał i buntował się wewnątrz. Zresztą nie mógł zrozumieć, co panna Abigail zobaczyła w Melcherze.

- Co słyhać, David? - odpowiedział na to powitanie.

- Dziękuję, że przyniosłeś wczoraj ze stacji paczki dla Abigail. Bardzo się z. nich ucieszyła. Od dawna czekała na ten stroik i martwiła się, że może nie przyjść na czas.

Chudzielec skinął głową, patrząc w podłogę.

- Aha.

- Prosiła, żeby jeszcze raz ci podziękować, kiedy cię zobaczę.

- Aha.

- Teraz jest w hotelu, gdzie robią jej fotografię.

- Aha.

David roześmiał się.

- Nie wiem, po co w ogóle zadaję sobie trud, żeby ci coś powiedzieć. W tym mieście nie może się zdarzyć nic, żebyś ty nie wiedział o tym, jeszcze zanim się zdarzy.

Chudzielec znowu roześmiał się w podłogę, bezgłośnie podrygiwały mu ramiona.

- To fakt. Jak weźmy wczoraj, przy tej zamieci, chyba tylko ja widziałem, jak przyjechał pociąg o drugiej dwadzieścia i wysiadł z niego ten DuFrayne z całym sprzętem do fotografii i zatrzymał się u Edwina. - Chudzielec znalazł kawałek tabaki i odgryzł potężny kawał.

Twarz Davida przybrała kolor pierwszego śniegu.

- Ddd... Ddd... DuFrayne?

- Aha.

- Chchch... Chudzielec, chyba... śśś... się mylisz. To nie był Ddd... DuFrayne, tylko

Ddd... Damon Smith ze swoim sprzętem fotograficznym.

- To blondyn? Niski? Mniej więcej taki? Nie, on przyjechał dopiero o dziewiątej pięćdziesiąt dziś rano, a tamten wczoraj, wieczornym pociągiem, i poszedł do Edwina, tak jak mówiłem. O ile wiem, dalej tam jest. - Chudzielec podniósł fajerkę pękatego piecyka, wycelował i splunął brązową od tabaki śliną, której skwierczenie wypełniło ciszę, jaka nagle zapanowała w sklepie. Wytarł dłonią kącik ust, popatrując z ukosa na Davida.

- Www... widzę, żżż... że już czas, żżż... żebym poszedł po Abigail. Obiecałem, że po nią przyjdę, kiedy fotografia będzie zrobiona. Przepraszam cię.

- Jasne, jasne - odpowiedział zadowolony Chudzielec, kiedy David pomknął na zaplecze po palto.

Trzy i pół minuty później Melcher wkroczył do hotelowego hallu.

- Cześć, David, jak leci?

- Www... wszystko gotowe do otwarcia, zaraz po ślubie.

Edwin zachichotał przyjaźnie, ale zauważył zdenerwowanie Davida. Uśmiechnął się do niego konspiracyjnie:

- Ostatnia doba przed ślubem jest najtrudniejsza, co?

David przełknął ślinę.

- Nie martw się, chłopie, teraz, z tym sklepem i żoną, to będziesz szczęśliwy jak świnia w pomyjach.

W normalnych okolicznościach David śmiałyby się wraz z Edwinem, ale teraz zapytał jedynie z wyrazem niepokoju na twarzy.

- Czy ona jest na górze?

- Jasne. - Edwin pokazał palcem sufit. - Jest tam już od godziny. Przez tyle czasu to nie wiem jaką fotografię można zrobić.

- Mmm... muszę z nią chwilę porozmawiać.

- Oczywiście, idź prosto na górę. Smith jest w pokoju numer osiem na końcu korytarza po lewej.

- Dziękuję, Ed.

Na górze promienie słońca wpadały przez wysokie wąskie okno, kiedy David szedł cicho po długim chodniku w wyblakłe róże. Palec zaczynał mu dokuczać, a serce coraz większym ciężarem dławiło w gardle. Godzinę? Była tu całą godzinę? Czy zrobienie fotografii zajmuje godzinę? Ale przecież była w pokoju Damona Smitha. Na pewno! Tak, to musi zajmować godzinę, pozowanie i wywołanie, które miało być zrobione na miejscu.

Kiedy zbliżył się do pokoju numer osiem, zauważył, że drzwi są tylko przymknięte.

Ze środka dochodziły odgłosy rozmowy - głos mężczyzny, ochryply i cichy, i głos kobiety, przytłumiony i napięty. David nagle poczuł, że słabnie, i oparł się ręką o ścianę. Głosy były przyciszone, natęzał więc słuch.

- Przestań, Jesse...

O Boże, to głos Abbie. David zamknął oczy. Chciał ruszyć nogami, odejść, ale zdawało się, że róże z chodnika wysunęły macki i trzymały go na miejscu. Udręczony, wsłuchiwał się w niski głos.

- Uwielbiam, kiedy mówisz do mnie Jesse. A jak mówisz do niego, kiedy to robicie?

Nastąpiła długa, jakże długa cisza, a wyobraźnię Davida wypełniły straszliwe żywe obrazy, na czoło wystąpił mu pot. Rusz się powtarzał sobie. - Odejdź! - Zanim jednak zdążył to zrobić, usłyszał pełen namiętności głos DuFrayne'a:

- Czy David potrafi wprawić cię w podobne drzenie, obudzić takie pożądanie? Czy potrafi sprawić, by twoje piersi stały się tak twarde, a ciało pokryte rosą?

Na to Abigail odpowiedziała drżącym głosem:

- Nie, nie tak jak ty, Jesse, nigdy tak jak ty...

David wahał się jeszcze chwilę, odczuwał mdłości i przerażenie, a tymczasem z pokoju dobiegały odgłosy spotkania kochanków, którzy się zapomnieli; pokusa stała się zbyt wielka.

Podszedł do drzwi, otworzył je i poczuł, że dławi go serce, które podeszło do gardła.

Abigail klęczała na podłodze z zamkniętymi oczami, głowę miała odrzuconą do tyłu, a włosy rozpuszczone w nieładzie rozsypywały się po obnażonych plecach. Ślubna suknia, ściągnięta z ramion, więziła łokcie u boków Abigail, obnażając jej piersi przed Jesse'em DuFrayne, który klęczał przed nią na jednym kolanie i obsypywał ją pocałunkami. Ślubny welon leżał zgnieciony pomiędzy nimi, a stroik na głowę spoczywał sponiewierany pod bujanym fotelem. Na podłodze wały się perłowe guziczki, spinki do włosów, grzebień, satynowe pantofelki, które podarował Abigail jako ślubny prezent. Pełen obrzydzenia, ale niezdolny odwrócić wzroku, David patrzył, jak kobieta, którą miał nazajutrz poślubić, obejmuje rękami głowę czarnowłosego mężczyzny, naprowadza jego usta najpierw na jedną pierś, potem na drugą, a z jej gardła wydobywają się jęki rozkoszy.

David, purpurowy ze wstydu, wykrzyknął jedynie:

- Abigail!

Poderwała się.

- David! O Boże!

- Udało ci się mnie nabrać!

Krew odpłynęła z twarzy Abigail, ale kiedy tylko odsunęła się od Jesse'a, ten natychmiast instynktownie przytulił ją do siebie, zakrywając obnażone piersi przed wzrokiem intruza, opiekuńczym gestem objął jej głowę, przysunął nawet bliżej uniesione kolano, żeby przytrzymać ją bezpiecznie w swoich objęciach.

- Uważaj, co mówisz, Melcher, bo teraz będziesz miał do czynienia ze mną, nie z nią - ostrzegł Jesse, a jego głos zadudnił w uchu Abigail, przytulonym do jego piersi.

- Ty... ty szumowino! - zasyczał David. - Miałem rację od początku. Jesteście do siebie podobni!

- Na to wygląda, i zastanawiam się, dlaczego, do wszystkich diabłów, miałaby wychodzić za ciebie!

- I nie wyjdzie! Możesz ją mieć!

- Kupione! - warknął Jesse, mierząc Melchera złowieszczym wzrokiem, jednocześnie starał się po omacku podciągnąć suknię na ramiona Abigail.

- Powiedziałbym, że to odpowiednie słowo, zważywszy, iż pieniądze już od ciebie wzięła, ty sukinsynu!

Abigail poczuła, jak napinają się mięśnie Jesse'a, kiedy odsunął ją od siebie i sprawiał wrażenie, że chce stanąć.

- Przestańcie! Przestańcie obydwaj! - krzyknęła, przyciskając do piersi suknię. Wstała, Jesse również wstał i ramieniem oddzielał ją od drzwi. Poszarpana suknia, kompromitująca pozycja, słowa podsłuchane przez Davida uniemożliwiały wyparcie się wszystkiemu zdawało jej się, że leci przez nie kończącą się przestrzeń do przerażającej nicości *deja vu*. Rzuciła się w stronę Davida, ale z odrazą uskoczył do tyłu.

- Davidzie, tak mi przykro... Davidzie, proszę cię, przebac mi. Nie chciałam, żeby to się stało. Wyciągnęła rękę błagalnym gestem, choć drugą nadal przytrzymywała rozpiętą suknię. Jednak przeprosiny i usprawiedliwienia stały się żałosne, pogłębiały jedynie jej hańbę.

- Ty kłamliwa ladacznico! - warknął jadowicie, nagle zupełnie przestał się jąkać. - Myślałaś, że się nie dowiem? Jeszcze tylko raz, zanim mnie poślubisz, co? Jeszcze jeden raz z tym sukinsynem, którego wolisz ode mnie! Dobrze, zatrzymaj go sobie!

Po raz pierwszy słyszała, jak David klnie. Chciała dotknąć jego rękawa, przerażona tym, co zobaczył, przerażona tym, że upadła tak nisko.

- Davidzie. proszę...

Szarpnął się, jakby dotknięcie jej ręki było trucizną.

- Nie dotykaj mnie. Już nigdy więcej mnie nie dotykaj! - rzucał z nienawiścią. Otulił się paltem, wykonał obrót na zdrowej nodze i pokuśtykał, nie oglądając się za siebie.

Patrząc na otwarte drzwi. Abigail uświadomiła sobie cały bezmiar okropności, jakiej się dopuściła. Miała w oczach łzy, podniosła dłoń do otwartych ust, z których przez dłuższą chwilę nie wydobył się żaden dźwięk. Czuła do siebie wstręt, zamknęła oczy i zaczęła drżeć na całym ciele.

- Teraz, już nigdy się ze mną nie ożeni. O Boże, za godzinę będzie o tym wiedziało całe miasto. Co ja teraz zrobię? - Potarła dłońmi skronie, skrzyżowała ręce na piersiach i kołysała się w przód i w tył.

Jesse stał kilka kroków za nią, nie usiłował się zbliżyć ani jej dotknąć, kiedy powiedział spokojnie:

- To proste... wyjdź za mnie.

- Co takiego? - Odwróciła się błyskawicznie w jego stronę i przyglądała mu się tak, jakby oszalała. I nagle zaczęła się śmiać, płakać i trząść w dziwnym napadzie hysterii. - Och, to dopiero byłaby zabawa! Wyjdę za ciebie i spędzimy resztę życia wrzeszcząc, gryząc, drapiąc, starając się wzajemnie pokonać. Och... Znowu roześmiała się nienaturalnie. - To bardzo śmieszne, panie DuFrayne - zakończyła, a po twarzy spływały jej łzy.

Ale Jesse się nie śmiał. Był zupełnie poważny, jego twarz przypominała nieruchomą maskę, kiedy mówił:

- Owszem, chwilami jest to bardzo śmieszne, panno McKenzie, śmieszne i ekscytujące, i wspaniałe, ponieważ właśnie w ten sposób się do siebie zalecamy. Przekonałem się, że tak bardzo za tym tęsknię, iż musiałem tu wrócić, by sprawdzić, czy rzeczywiście jesteś taka dobra, jak zapamiętałem.

- Wróciłeś tu specjalnie, żeby skłócić mnie z Davidem, nie zaprzeczaj.

- Nie zaprzeczam. Ale podczas naszej wczorajszej rozmowy zmieniłem zdanie. To, co się dzisiaj zdarzyło, nie było zaplanowane. Po prostu się zdarzyło.

- Ale... ale zwabiłeś mnie podstępem do tego pokoju... posadziłeś w bujanym fotelu... i...

- Ale pragnęłaś tego równie mocno jak ja.

Prawda wydawała się jeszcze zbyt przerażająca, by się z nią zmierzyć. A zmienność Jesse'a, jak zwykle, stanowiła zaskoczenie. Abigail usiłowała odgadnąć, jakie motywy kierowały nim dzisiaj. Podeszła do parawanu w kącie pokoju i rzekła:

- Dla ciebie to wspaniała zabawa, manipulowanie ludźmi tak...

- To nie zabawa, Abbie - przerwał, idąc za nią za parawan. Przemawiał teraz do jej ramienia, bo odwróciła się do niego plecami. - Proszę cię, żebyś za mnie wyszła.

Abigail rozpiniała mankiety sukni takim ruchem, jakby dotykała pokrzywy.

- Czy nie stalibyśmy się pośmiewiskiem Stuart's Junction? Panna Abigail i jej kolejowy bandyta? - Odwróciła się twarzą do Jesse'a i, ściągając rękawy, naśladowała miodowy głos plotkarzy: - Pamiętasz, prawda? Ta para złapana na gorącym uczynku na dzień przed jej ślubem z innym. - Zdjęła górę sukni, wściekła. Jesse stanął tuż za nią.

- To powinno cię utwierdzić w przekonaniu, że jesteśmy dla niebie stworzeni. Wiesz cholernie dobrze, że wolisz to robić ze mną niż z nim, bo w przeciwnym razie nigdy nie pozwoliłabyś mi posunąć się tak daleko jak dzisiaj.

Rzuciła się na niego, zakrywając piersi.

- Jak śmiesz insynuować, że robiłam cokolwiek z Davidem! Nie robiliśmy nic, absolutnie nic! Byliśmy tak czyści jak pierwszy śnieg i miasto o tym wiedziało.

Stali twarzą w twarz i wpatrywali się w siebie z niezwykłą intensywnością.

- A kogo to obchodzi, co myśli to miasteczko? Cóż ono kiedykolwiek dla ciebie zrobiło poza tym, że uznało cię za starą pannę, choć miałaś zaledwie dwadzieścia lat?

- Wyjdź stąd, kiedy się przebieram! - wykrzyknęła i odwróciła się do niego plecami, by rozebrać się ze ślubnej sukni. Pochyliła się do przodu, pokazując Jesse'owi tył białych pantalonów z taką liczbą falbanek, jakiej nigdy nie zauważył, kiedy bielizna suszyła się na sznurze. Nie odrywał wzroku od zacienionego zagłębienia pod białym bawełnianym paskiem w talii.

- Wyjdę stąd jedynie z tobą u boku, będziesz w tym swoim drogim zielonym palcie, za które zapłaciłem, i powiemy temu miastu, żeby się odczepiło, kiedy wsiądziemy do mojego pociągu!

Abigail wciągała przez głowę koszulę; Jesse obserwował delikatne włoski na jej karku, kiedy opuściła głowę, by zawiązać pasek.

- Jeszcze nie skończyłeś z rozrzucaniem pieniędzy, co? - Spojrzała na niego krytycznie przez ramię. - No więc, natknąłeś się teraz na coś, czego nie możesz kupić! - Wciągnęła halkę i spódnicę, którą zapięła w talii.

- Kupić ciebie! - wykrzyknął. - Ja nie chcę ciebie kupować Chcę, żebyś oddała mi się dobrowolnie, jeśli mamy się pobrać dlatego, że tego chcesz.

- Zaplanowałeś tę dzisiejszą scenę uwiedzenia, nie wypieraj się - Zdjęła bluzkę wiszącą na parawanie i włożyła ręce w rękawy.

Stojąc za jej plecami, ujął w dłonie jej piersi i przyciągnął ją do siebie. Abigail udawała, że nie robi to na niej najmniejszego wrażenia, musiała jedynie odepchnąć jego ręce, żeby pozapinać bluzkę.

- A więc rachunki wyrównane, co, Ab? - spytał, całując kosmyk włosów za uchem. -

Czy nie zaplanowałaś kiedyś, że mnie uwiedziesz? Tyle, że tobie się udało, podczas gdy mnie... jak dotąd niezupełnie. - Muskał ustami jej szyję pachnącą różami, gorączkowo pieścił piersi, budząc w niej w końcu żądzę walki. Odpychała jego ręce, ale zaciskał je mocniej, wsuwając dłonie pod nie dopiętą bluzkę, pochylił się, by pocałować ją w szyję i przy okazji zsunął dłoń niżej, wzdłuż jej brzucha i dalej. Szamotali się, wymachując łokciami, aż parawan runął na ziemię.

- To najbardziej bezpardonowe zaloty, z jakimi się kiedykolwiek spotkałam! - wrzasnęła Abigail, szarpiąc go za rękę. Ale w tym momencie objął ją silnym ramieniem w talii, drugą ręką znowu sięgając po pierś, i przytrzymał ją tuż przy nabrzmiewającej twardości swego ciała.

- Dotknij! Powiedz mi, że nie masz na to ochoty. Powiedz mi, że nie wiem, czego ci najbardziej potrzeba.

Abbie na moment znieruchomiała, a Jesse rozluźnił uścisk, co wykorzystała natychmiast, by wyrwać się z jego objęć. Obróciła się twarzą do niego.

- Jak możesz wiedzieć, czego mi najbardziej potrzeba, skoro ja sama tego nie wiem?

Rzuciła okiem na drzwi, których David nie zamknął za sobą.

- Chyba nadeszła pora, żebym ci to znowu udowodnił - zagroził głosem pełnym słodyczy, podchodząc do niej bliżej.

Teraz serce Abbie bilo szaleńczo, zmylone mieszaniną uczuć, jakie zawsze budził w niej Jesse. Patrzyli na siebie jak para rozjuszonych kotów, zaczęli poruszać się powolutku, powolutku, aż Abbie znalazła się po stronie bliższej korytarza. Odwróciła się gwałtownie i rzuciła do drzwi, ale Jesse zatrzasnął je tak błyskawicznie, że poczuła jedynie powiew przeciągu. Cofnęła się, zdyszana, z szeroko otwartymi oczami, zdawało jej się, że każdy umęczony nerw w jej ciele pulsuje gwałtownie.

Oparł się nonszalancko o drzwi, zasłaniając plecami klamkę. Stał na jednej nodze, drugą lekko tylko dotykał podłogi. Nawet nie oddychał szybciej. Stał tak, jakby nigdzie mu się nie śpieszyło, na ustach igrał cień uśmiechu, a oczy o orzechowych plamkach wpatrywały się w Abbie ze znaczącym rozbawieniem. Odezwał się głosem ciepłym, pieszczotliwym, uwodzicielskim.

- Zdajesz sobie sprawę, że znowu to robimy? Ten sam stary rytuał zalotów, który oboje tak lubimy. Zawsze w ten sposób zaczynamy, Abbie - ja ścigam, a ty stawiasz opór. Ale to nie jest walka, i wiesz o tym doskonale, bo w końcu oboje wychodzimy zwycięsko. - Powoli odsunął się od drzwi. Chodź tutaj, mała tygrysico - zakończył ochryplym szeptem - bo już nic będę się dłużej podkradać, tylko przypuszczę atak.

Jakże to uwielbiała, jak bardzo jej tego brakowało, jak bardzo tego pragnęła, tego drażnienia zmysłów, które podniecało bardziej niż cokolwiek na świecie, kiedy tak czekała, czekała, wiedząc doskonale, co on zrobi. Piersi jej unosiły się w rytmie przyspieszonego oddechu, oczy błyszczały, ale, jak przystało na prawdziwą kocicę warknęła jeszcze raz:

- Chodź tutaj! Zrób to! Zrób tamto! Wyjdź za mnie! A potem co? Mamy przechodzić przez to do końca życia?

Uśmiechnął się bardziej zdecydowanie.

- Masz absolutną rację - powiedział cicho.

- Och. ty... ty...

Ale on miał już dosyć czekania.

- Do diabła! - wymamrotał i rzucił się do skoku. Złapał ją za ręce i obrócił zręcznie, aż rozplaszczyl jej plecy na drzwiach. Ujął ją pod pachy i poczuła, że stopy jej odrywają się od podłogi, trzymał ją w tej pozycji, przyciśniętą do drzwi, i całował. Jego szerokie dłonie przytrzymywały jej piersi, a usta również trzymały ją na uwiezi. Ciało Abbie przebiegały dreszcze pożądania, wywoływane ruchami jego mistrzowskiego języka. Emocje przypuściły szturm do jej zmysłów, podczas gdy Jesse szturmował jej ciało. Oddychał teraz jak huragan, nie odrywając od niej ust i przygniatając do drzwi.

W końcu uwolnił jej wargi i spojrzał w oczy swymi ciemnymi, ognistymi oczami.

- Do wszystkich diabłów, Abbie, kocham cię. Mówiłem to przedtem w swoim imieniu, nie w imieniu Davida.

Almie wydawała się niezdolna wydać głosu i nagle uświadomili sobie, że Jesse dalej więzi ją przyplaszczoną do drzwi. Pozwolił jej osunąć się powoli w dół, ostatnia nie zauważona szpilka wypadła z jej włosów. Kiedy stopy Abbie dotknęły podłogi, dłonie Jesse'a ciągle spoczywały na jej piersiach, szukał w jej oczach oznaki porozumienia.

- Co mówisz, Abbie?

- Jak mogę wyjść za człowieka, którego przeważnie się boję, który właśnie rzucił mną o drzwi?

Na twarzy Jesse'a pojawił się wyraz bólu, zsunął dłonie z jej piersi na żebra, dotykał jej delikatnie, pieszczotliwie.

- O Boże, Abbie, czy sprawiłem ci ból? Nie chciałem. - Pocałował ją najpierw w jedno oko, następnie w drugie. Potem patrząc w jej niebieskie oczy, mówił głosem pełnym udręki, jakiego Abbie nigdy jeszcze u niego nie słyszała. - Abbie, czy ty naprawdę się mnie boisz? Nie powinnaś nigdy się mnie bać. Chcę jedynie uczynić cię szczęśliwą, chcę, żebyś się śmiała, może nawet jęczała... ale nie z bólu. Raczej z powodu tego...

Raz jeszcze zamknął pocałunkami jej usta, potem całował jej nos, policzek, delikatny zarys szczęki, brodę, i znowu wargi, które już czekały na niego, rozchylone. Położył ręce na jej ramionach i ścisnął tak mocno, że miała wrażenie, iż popękają. Jednak jego usta na jej wargach stanowiły wyraźny kontrast z naciskiem rąk - były miękkie, łagodne, przekonujące, a ciepły język musnął lekko, leciutko jej wargi, potem zęby, zanim dotarł do ucha i usłyszała szept:

- Abbie, przyznaj, że również tego chcesz. Bądź szczerą wobec siebie i wobec mnie.

- Jesse, jak mogę być szczerą, kiedy mnie tak przyciskasz. Nie mogę nawet myśleć.

Ostrożnie opuścił ręce, ale tylko na wysokość jej żeber. Przytrzymał ją leciutko, jakby obawiał się, że nawet teraz mogłaby mu się wymknąć... Ciepłe, duże dłonie obejmowały jej klatkę piersiową, Jesse głaskał ją kciukiem pod piersią, nie odrywając jednocześnie pytającego wzroku od jej twarzy.

- Abbie, powiedziałaś, że po moim wyjeździe musiałaś krzyknąć do pustych pokoi, żeby się ode mnie uwolnić. Czy to ci nic nie mówi?

Patrzyła na niego błagalnie, ale nie rozluźnił uścisku. Ciepło bijące z jego dłoni przenikało przez warstwy bawełny do jej skóry, teraz dłonie Jesse'a zawędrowały pod bluzkę, na żebra, poruszenia jego palców wprawiały ją w zmysłowe dreszcze.

- Jestem taka niepewna - wyznała drżącym głosem, zamknęła oczy i oparła głowę o drzwi.

- Masz do tego prawo. Stanowią dokładne przeciwieństwo tego, co miało być dla ciebie dobre, jak ci to wmawiano przez całe życie. Ale to ja mam rację, Ab, naprawdę.

Kręciła głową, przetykając ślinę.

- Nie wiem... nie wiem.

- Wiesz, Abbie. Wiesz, jak będziemy żyli. Dobrze nam razem w każdej sytuacji. Możemy rozmawiać, kłócić się, kochać... jesteśmy zgodni we wszystkim, co robimy. Czego się obawiasz, Abbie? Że znowu cię zranię? Czy tego, co powiedzą w mieście? A może tego, co powie David?

Otworzyła oczy, patrzyła jednak ponad jego ramieniem na zamarzniete okno i śnieg.

- Skrzywdziłam Davida tak bardzo. - Nozdrza jej się rozszerzyły, a oczy zamknęły.

- Może musiałaś to zrobić, żeby ocalić siebie.

- Nie, nikt nie zasługuje na to, by tak go zranić.

- A ty zasługiwałaś, trzynaście lat temu?

Ponownie spojrzała mu w oczy.

- Nie chcę uspokajać sumienia twierdzeniem, że z dwóch krzywd rodzi się jedno

dobro.

- Pozwól więc, że wezmę na siebie część odpowiedzialności za krzywdę Davida. Do diabła, gotów jestem nawet pójść i go przeprosić, jeżeli tego trzeba, żeby ciebie zdobyć. Czy tego ode mnie chcesz, Abbie?

Nagle rozpląkała się z powodu utraty Davida, z powodu przywiązania Jesse'a. Uwierzyła, że mówi prawdę, że byłby zdolny spotkać się z Melcherem i przeprosić go. W końcu Jesse był człowiekiem gotowym na wszystko, by zdobyć to, czego chciał. Uderzyło ją, jak bardzo jej pragnął. A jednak, nadal opierając się o drzwi, pozwalała mu przekonywać się, ponieważ było to boskie uczucie widzieć jego opalona twarz tak blisko, kiedy opierał się obydwiema rękami po obu stronach jej głowy.

- Abbie, czeka na nas cały kraj. Możesz wybrać miasto, w którym chcesz mieszkać. Zawiozę cię wszędzie. Chcesz żyć jak żona kolejowego magnata w rezydencji w Colorado Springs - zgoda. Powiedz, dokąd chcesz jechać. A gdybyśmy tak zaczęli w Nowym Orleanie? Pokażę ci ocean, Abbie, i poznam z moją rodziną. Powiedziałaś mi, że zawsze chciałaś zobaczyć ocean. Próbowалаś nawet przybliżyć go, projektując do sklepu z obuwiami wykuszowe okno w stylu Cape Cod, ale jeśli chcesz, zabiorę cię do Cape Cod i zobaczysz, jak to wygląda naprawdę. - Z jego oczu biła szczerłość. - Abbie, nie chcę cię kupować, ale zrobiłbym to, gdybym musiał. Jestem bogaty, Abbie. Co w tym złego? Co w tym złego, że chciałbym wydawać pieniądze na to, by uczynić cię szczęśliwą? Abbie, zawdzięczam ci życie, więc pozwól, że dam ci w zamian...

O tym, właśnie o tym marzyła przez cały czas, o takim Jessie, który szepcze jej do ucha słowa miłości, czym doprowadza jej krew i zmysły do stanu wrzenia. Otworzyła oczy i napotkała jego wzrok, ciemny, napięty, obiecujący jej cały świat. Ogarnęło ją poczucie bezpieczeństwa, płynące z przekonania o jego miłości, ale na razie nie była zdolna wykrztusić słowa.

Czy to naprawdę ja, Abigail McKenzie? - zastanawiała się. Czy to się dzieje naprawdę? Ten wyjątkowo przystojny mężczyzna przekonuje mnie najszczerzszymi słowami, że mnie kocha? Serce jej o mało nie wybuchło.

Jesse pochylił się, by pocałować jej szyję, musnąć wargami ucho, a potem wsunąć w nie wilgotny koniuszek języka.

- Tego chcę, Abbie, ale czego ty pragniesz w tej chwili?

Czuła przy uchu jego gorący, szybki oddech, a potem znów usłyszała jego głos, dziwnie zduszony, ciało jej zdawało się roztopiać.

- Nie mów, że to nieważne. Jeśli wsunę rękę pod twoją spódnicę i dotknę twego ciała,

wiem, co tam znajdę. Nie zaprzeczaj, Ab, znalazłem to już wcześniej, ponieważ mnie pragnęłaś, i wiem, że teraz również to znajdę.

Abbie poczuła przyjazny napływ kobiecości; towarzyszyło mu zmysłowe obrzmienie tej części ciała, której nigdy nie dotknął żaden mężczyzna prócz Jesse'a.

Zamknęła oczy. Oddech stał się urywany. Zdawało się, że nawet włosy na karku są unerwione, tak gwałtowna była jej reakcja.

Czuła, jak Jesse przyciska swoje rozbudzone ciało do jej brzucha, lekko, leciutko, muskając z lewej i z prawej, zataczając kręgi. Przez cały ten czas opierał się dłońmi o drzwi nad jej głową. Czuła niemal swędzenie rąk, tak bardzo chciała go dotknąć, ale dalej przyciskała je biodrami do drzwi. Pragnęła rozkoszować się tym zmysłowym tokowaniem do głębi, pragnęła, by powoli, powoli nabierało intensywności. Kiedy ocierał się o nią, guziki jego koszuli drażniły koniuszki jej sutków, które sterczały jak maleńkie dzwoneczki pod cienką bawełną koszuli.

Drżała z wrażenia. Jesse, Jesse - myślała - robisz to tak dobrze... tak dobrze...

Spojrzał na nią i odkrył lekki uśmiezek na jej ustach; piersi wypinały się do przodu, a łopatki dalej przylegały do drzwi. Uśmiechnął się leniwie, rozumiał ją tak dobrze, opuścił łokcie, musnął językiem kącik jej oka.

Tak niewiele miała miłości - pomyślał - będę ją kochał do końca życia.

Nie padło żadne słowo. Wyciągnęła ręce, szukając po omacku jego bioder, przyciągnęła do siebie cały żar i twardość, tam gdzie ich pragnęła, uśmiechnął się z ustami przy jej włosach, wsunął rękę pomiędzy jej łopatki, przeciągnął w dół, aż do talii, odsuwając ją przy tym od drzwi. Drugą ręką uchwycił klamkę, by zachować równowagę, kiedy próbował domacać się skóry przez liczne warstwy halek.

Ich biodra zaczęły poruszać się wspólnym rytmem, podczas gdy dłonie Abigail pozostały poniżej talii Jesse'a, jakby chciały poznać każde jego poruszenie, koniecznie, koniecznie, przecież czekała na to tak długo. Otworzyła nieprzytomnie oczy, jakby znalazła się pod wpływem narkotyków, patrzyła na niego z wyrazem milczącej prośby, aż usta jego zbliżyły się i spotkały jej wargi, rozchylone, oczekujące, stęsknione. Ich języki rozpoczęły penetrację w głąb, podczas gdy ciała przywarły do siebie tak blisko, iż wydawał się łączyć je wspólny puls.

Abigail wiała się pomiędzy Jesse'em a drzwiami, przyłożył wargi do jej ucha i wyszeptał ochryple:

- Abbie, zamierzam zanieść cię na łóżko i kochać się z tobą w sposób, który wydawał ci się bezpowrotnie stracony.

Jesse poczuł, że ciało Abbie przebiegł dreszcz, i w tym momencie pojął, co się z nią dzieje. Jego własne ciało buntowało się przeciwko ograniczeniom ubrania. A jednak pochylił głowę i leciutko ugryzł jej sutkę przez materiał; Abbie poruszyła się gwałtownie, wciągnęła powietrze i otworzyła oczy.

Objął ręką jej ramiona, drugą wziął ją pod kolana i podniósł bez wysiłku; otoczyła ramionami jego szerokie bary, przebierała palcami we włosach, a on wolno, bez pośpiechu kierował się w stronę łóżka.

- Będę zwlekał... zwlekał... zwlekał, tak długo, dopóki nie przyznasz, że mnie kochasz i wyjdiesz za mnie - wyszeptał.

Patrzyli sobie w oczy, kiedy niósł ją na łóżko, czuła pod piersiami ciepłe i napięte mięśnie jego torsu.

Usłyszała skrzyp sprężyn, kiedy Jesse przyklęknął na jedno kolano i pochylił się, żeby ją położyć. Układając ręce po obu stronach jej głowy, zawisł nad nią i rzekł, patrząc w oczy:

- I nie pozwolę, by przeszkodziły mi halki, które włożyłaś na wesele z innym, bez względu na to, czy zapłaciłem za nie, czy nie. - Następnie wyciągnął rękę i po omacku odpinał guziki w talii, aż poczuła, że spódnice puszczają. Po jej ciele przebiegały dreszcze, uśmiechnęła się, kokietując go teraz spod półprzymkniętych powiek.

- Jesse, zapłaciłeś przecież tyle pieniędzy, żeby doprowadzić do tego ślubu - powiedziała uwodzicielsko.

- Dobrze, teraz go odwołuję - odparł chrapliwie, opuszczając halki na wysokość jej łydek, potem złapał ją za rękę i podsadził na łóżku.

- Nie zgodzę się także na wiktoriańskie kołnierzyki, które nic nie znaczą.

Paralizująco wolno zdejmował jej bluzkę. Poddawała się posłusznie jego woli, kiedy jednak zbliżył głowę, zsuwając bluzkę poinformowała:

- Bez względu na to, czy cię poślubię, czy nie, będę ubierała się tak, jak uznam za stosowne, a więc tak jak przystoi damie.

- Doskonale - zgodził się. - Tak rób. W naszym salonie, kiedy będziesz podejmowała herbatkę żony innych magnatów kolejowych. - Rzucił bluzkę za siebie. - Ale w naszej sypialni zostawisz to wszystko w szafie, razem z koszulą i z tym. - Wsunął palec pod pasek pantalonów.

Opadła na poduszki rozleniwionym ruchem, ręce rozłożyła obok głowy, każde wypowiedziane słowo sprawiało, że Jesse stawał się dla niej coraz droższy.

- Za nie też zapłaciłeś. Przypuszczam, że daje ci to prawo zrobienia z nimi, co chcesz.

Ukląkł obok niej i nie odrywając wzroku od jej twarzy, zdjął kamizelkę i koszulę, po

czym przerzucił je przez ramię tak, że wylądowały na podłodze obok jej halek i spódnicy.

- Właśnie. Zapłaciłem też za zielony płaszcz, który miałaś nosić w podróży poślubnej. A gdyby fakt mojego bogactwa nie napawał cię dumą, nie wracałabyś ciągle do tego tematu. - W tym momencie odpiął pasek od spodni.

- Chętnie prowadziłabym zwykły sklep z obuwem. - Wyciągnęła rękę, by dotknąć tej części jego ciała, którą zobaczyła przede wszystkim, kiedy umierał na jej łóżku; oczy mu się zaświeciły, zanim odsunęła dłoń.

Potem powoli, niewiarygodnie wolno, odpinał guziki spodni, a dźwięk jego głosu spowijał ją jak płynny jedwab.

- Jak wyjdziemy stąd, pójde zestrzelić ten cholerny szyld, na którym widnieje twoje imię obok jego imienia. - Zapął w jego głosie sprawił, że słowo „cholerny” brzmiało niemal jak pieśczoła. I w tym momencie również jego spodnie znalazły się na podłodze.

- To nic nie znaczy - uśmiechnęła się leniwie.

- Akurat - sięgnął ręką do troczka w jej koszuli, po czym wsunął rękę pod spód i przesuwał ją w górę, w górę, wzdłuż bioder. Siedział na łóżku i wyciągał swe długie opalone kończyny w stronę Abbie.

Oddech jej stał się urywany.

- Myślisz, że nie ma znaczenia fakt, iż odbieram to, co kiedyś tak lekkomyślnie podarowałem? - spytał tonem właściciela, podciągając jej koszulę i pochylając swą ciemną głowę, by całować jej żebra, a potem lewą pierś.

Wyszeptała z zamkniętymi oczami:

- Pewnie całe miasto dokładnie wie, co robimy w tej chwili.

Ale zupełnie się tym nie przejmowała, była zachwycona sytuacją.

Przesunął język w zagłębienie pod jej drugą piersią, chichocząc, kiedy usta muskały jej skórę.

- Pewnie wszyscy pobiegną do domu, żeby też tego spróbować.

- Nie wszyscy są tacy jak ty, Jesse - powiedziała, uśmiechając się z zamkniętymi oczami, pragnąc, by już dłużej nie zwlekał.

On jednak poruszał się jak uwodzicielski wąż, odpinając guziki jej pantalonów, które zsunął jedynie na wysokość bioder, eksponując prowokacyjnie ich zagłębienia.

- Nie, ale ty jesteś taka jak ja, i tylko to się liczy. - I znowu jego usta odnajdywały zagłębienia jej ciała, a ona poruszała się niecierpliwie. Po kilku chwilach zsunął powoli ostatnią część garderoby, całując zarazem szlak przebyty przez ten fragment ubrania. Abigail zakryła ręką czoło, niezdolna opierać się dłużej, rozchyliła usta, na których tańczył jego

niecierpliwy język.

- To pamiętam najlepiej - wyszeptał chrapliwie, zanim zanurzył się w nią, poruszając się, dopóki nie zaczęła jęczeć i drżeć pod jego ciężarem.

- Ja też... ja też - przyznała zduszonym głosem.

Znał ją dobrze, bardzo ją kochał. Uniósł głowę, przejechał palcami po jej włosach i opadł na nią, nie w nią, całą długością swego rozgorączkowanego ciała.

- Powiedz to, Abbie - błagał, całując ją w podbródek, kiedy odchyłała głowę do tyłu. - Powiedz to teraz, kiedy wchodzę w ciebie.

Otworzyła oczy i napotkała jego wzrok przepełniony miłością. Łokcie mu drżały, kiedy odchylił się do tyłu, czekając, aż ona wypowie te słowa.

Wsunęła dłoń pomiędzy nich i odnalazła go, poprowadziła do portu, nie odrywając od niego wzroku, kiedy w nią wchodził, poruszając się energicznie w rytm jej słów.

- Kocham cię, Jesse... kocham cię... kocham... kocham - powtarzała bez końca jak akompaniament do jego powolnych, niespiesznych pchnięć. Zobaczył w jej oczach łzy, kiedy usta wciąż na nowo wypowiadały te słowa, coraz szybciej i szybciej, aż wargi jej zamarły w rozchyleniu. Wkrótce poszedł za nią tą samą drogą, unosząc się na gwałtownej fali ekstazy.

W pokoju zapanował spokój, zalewało go odbite od śniegu światło popołudnia, kiedy ręka Abbie spoczywała na wilgotnym karku Jesse'a. Bezmyślnie bawiła się jego włosami. Potem, zamknawszy oczy, nagle przyciągnęła go mocno do siebie, obejmując, biorąc w posiadanie, przez chwilę leżała nieruchomo, rejestrując tę chwilę w pamięci na resztę życia.

- Jesse, och, Jesse...

Przepełniony miłością, kołysał ją bez słów, przewracając się z boku na bok, aż w końcu położył się przy niej i patrzył na jej rozpogodzoną twarz.

- Pociąg nadjeżdża - rzekł cicho.

Dotknęła z uśmiechem jego dolnej wargi, a potem przesunęła palce po wąsach aż do środka górnej wargi.

- Nawet rozkład pociągów odpowiada twoim potrzebom, prawda?

- A co z panną Abigail McKenzie? - spytał, wstrzymując oddech.

Spojrzała w głąb ukochanych oczu.

- Ona też - powiedziała miękko. - Ona też.

Zamknął oczy i westchnął, ukontentowany. Jednak otworzył je znowu, słysząc jej pytanie:

- Ale co ma zrobić ze swoim domem pełnym weselnych ciast i kanapek?

- Zostawić je myszom. Wolą to niż płatki owsiane.

- Zostawić? - spytała, zaskoczona.

Podniósł się na łokciu, patrzył na nią poważnie, bez cienia uśmiechu.

- Proszę cię, żebyś wstała z tego łóżka, ubrała się, poszła ze mną na stację, trzymając mnie pod rękę i nie oglądając się za siebie. Wszystko zaczyna się od tej chwili.

- Mam zostawić mój dom, moją własność, wszystko, ot tak?

- Po prostu.

- Ale pewnie całe miasto czeka, kiedy wyjdziemy z tego hotelu. Jeśli pójdziemy prosto na stację, będą wiedzieli.

- Owszem, będą. Czyż nie wzbudzimy sensacji, przechodząc obok nich, by wsiąść do salonki? Panna Abigail i jej kolejowy bandyta?

Przyglądała mu się, zastanawiając się nad tym.

- Jesse, ty chcesz ich zaszokować?

- Chyba już to zrobiliśmy, czemu więc nie dokończyć z fasonem?

Nie mogła się powstrzymać od śmiechu. W każdym razie próbowała, ale znowu ją przytulił, przycisnął do piersi, a był ciężki, bardzo ciężki. Wywiązała się drobna szarpanina; uwolnił ją od części swego ciężaru, dopiero kiedy powiedziała „tak”.

- Jesse, tak bardzo się różnimy. - Znowu była poważna. Dotknęła ręką jego skroni. - Mimo tego, co nas łączy, dalej stanowimy przeciwności. Nie potrafię się zmienić ze względu na ciebie.

- Wcale tego nie pragnę. Chcesz, żebym ja się zmienił? - Przez moment obawiał się, jaka może być jej odpowiedź. Nie powiedziała jednak nic, usiadł więc plecami do niej na brzegu łóżka.

Abigail знаła go jednak wystarczająco dobrze, by rozpoznać znaczenie napięcia mięśni szczęki. Usiadła za nim i przesunęła dłonią po jednym ramieniu, po czym pocałowała go w plecy.

- Nie - powiedziała spokojnie. - Kocham cię takim, jakim jesteś, Jesse.

Odwrócił się do niej z niepewnym uśmiechem pod kuszącym wąsem i wyciągnął rękę:

- Chodźmy więc.

Pozwoliła mu wziąć się za rękę i podnieść z łóżka, wpadła w jego ramiona ze śmiechem, jak wystrzelona z katapuły.

Długo przytulał do siebie jej nagie ciało, przeciągając ręką wzdłuż kręgosłupa, podczas gdy jej bosa stopy zwisały nad podłogą.

- Odsuń się, kobieto - ostrzegł z chichotem - bo spóźnimy się na trzecią dwadzieścia do Denver.

Pozwolił jej osunąć się stopami na podłogę i trzepnął lekko w goły pośladek.

Ubierali się, patrząc na siebie zamiast na to, co robią. Kiedy jednak Abigail zaczęła zbierać podartą ślubną suknię, rozsypane guziki i satynowe pantofelki, Jesse polecił spokojnie:

- Zostaw to.

- Ale...

- Zostaw.

Spojrzała na suknię. Dotyk satyny pod palcami znowu przypomniał jej Davida, uświadomiła sobie, co musi zrobić.

- Jesse, mogę zostawić wszystko, ale muszę... - Zerknęła na niego przymilnie. - Nie mogę zostawić Davida... nie w ten sposób. - Na twarzy Jesse'a nie drgnął żaden mięsień, nie pojawił się również uśmiech. - Nie po tym, jak wyrządziłam mu taką krzywdę. Czy mogę pójść do sklepu i spróbować mu wytłumaczyć, że nigdy nie miałam zamiaru go zranić?

Oczy Jesse'a były ciemne i nieprzeniknione, kiedy ukląkł obok niej, by zapiąć jedną ze skrzynek z fotografiami.

- Tak, jeśli to oznacza, że nie będzie stał między nami do końca życia. - Były to najtwardsze słowa, jakie wypowiedział Jesse DuFrayne.

Kilka sekund później podawał jej nowe zielone palto. Odwrócili się na progu, by raz jeszcze spojrzeć na pokój - przewrócony parawan, podarta i pognieciona suknia ślubna, której guziczki rozsypały się po całej podłodze, skotłowany welon i porzucone pantofelki z satyny.

Abigail wróciła, podniosła pantofelki i schowała je pod płaszcz, mając nadzieję, że Jesse zrozumie. Wyszli z hotelu w zimne i słoneczne popołudnie.

Jesse trzymał ją pod rękę, kiedy szli do sklepu z butami na końcu ulicy, i ze stoickim spokojem czekał przed wejściem z rękami w kieszeniach, a ona poszła oddać białe satynowe pantofelki Davidowi Melcherowi. Wydawało się, że trwa to całą wieczność, choć w istocie nie zabrało więcej niż kilka minut.

Zadzwieczał dzwonek, Jesse podniósł wzrok, patrząc pytająco na twarz Abbie wychodzącej ze sklepu; wzięła go pod rękę i ruszyli w stronę stacji.

Czuł nieprzyjemny skurcz w żołądku. Patrzył na nią z powagą.

- Kocham cię, Jesse - powiedziała z uśmiechem.

Znowu mógł oddychać.

Przeszli całą długość głównej ulicy, czując utkwione w siebie spojrzenia. Na stacji czekał pociąg, ziejąc niecierpliwie parą bielejącą w zimnym powietrzu Colorado.

Na trzecim wagonie od końca błyszczał złożony herb Kolei Gór Skalistych, opleciony zarysem płatków kwiatu dzikiego derenia.

Zdziwiona Abigail spojrzała na herb, potem na Jesse'a, ale zanim zdążyła zadać pytanie, wziął ją na ręce i wniósł do salonki.

Nagle jednak zatrzymał się, odwrócił i popatrzył w zamyśleniu na opustoszałą ulicę, potem postawił Abbie na ziemi i rzekł:

- Chwileczkę. Nie odchodź. - I zeskoczył ze stopni wagonu.

Nie okazując najmniejszego zdenerwowania, Jesse DuFrayne wyjął pistolet, wycelował w szyld z nazwiskami Abigail i Davida Melcherów, wystrzelił dwa razy, co spowodowało, że wzdłuż całej głównej ulicy wszyscy wyszli ze sklepów zobaczyć, co się dzieje.

Zobaczyli jedynie szyld leżący na śniegu przed sklepem z butami i plecy Jesse'a DuFrayne wsiadającego do pociągu.

W wagonie znowu wziął Abbie na ręce, zamykając ustami jej zdumione wargi.

- Nie ma jak w domu - powiedział, kiedy już nacieszył się pocałunkiem i zamknął kopnięciem drzwi.

- W domu? - powtórzyła, rozglądając się wokół po wytwornym wnętrzu salonki wybitym aksamitem w kolorze szmaragdu. - Co to jest?

Starła się spojrzeć ponad jego głowę. Kiedy usiłowała się rozglądać, całował ją w szyję, ponieważ dalej trzymał ją w objęciach i wcale nie zamierzał wypuszczać.

- To, moja droga Ab, jest twój apartament na podróż poślubną, specjalnie zamówiony na tę okazję.

Abbie zorientowała się, że nie znaleźli się w zwykłym wagonie. Nigdy w życiu nie zetknęła się z podobnym luksusem - olbrzymie łóżce, nakryte zielonym aksamitem, intymny stół na dwie osoby, butelka szampana w kubelku, ozdobna miedziana wanna w pobliżu dekoracyjnego, pękatego pieca, w którym płonął ogień, głębokie fotele, puszyste dywany.

- Jessie DuFrayne! Ty diabelski intrygancie! W jaki sposób sprowadziłeś ten wagon do Stuart's Junction dokładnie wtedy, kiedy był nam potrzebny? I przestań całować moją szyję, jakbyś nie słyszał ani słowa z moich oskarżeń. - Jednak, mimo tego zrzędzenia, nie mogła się powstrzymać od chichotu.

- Musiałoby zimno zapanować w piekle, żeby przestał całować twoją szyję, panno Abigail McKenzie, tylko dlatego, że taki wydajesz rozkaz.

- Ale to jest salonka. Poleciałeś sprowadzić tu ten wagon. A więc planowałeś całą scenę uwiedzenia w najdrobniejszych szczegółach!

- Zamknij swoje bezcenne usta! - powiedział, zamykając je skutecznie pocałunkiem, w chwili gdy pociąg ruszył. Niósł Abigail na koniec wagonu, w stronę królewskich rozmiarów łoża, ale pocałunek stawał się coraz bardziej niepewny, gdy pociąg rozkołysał się, nabierając szybkości.

Roześmieli się, potem Jesse rzucił ją na łóżko, stanął w pewnym oddaleniu i zapytał:

- Od czego zaczynamy? Kąpiel, kolacja, szampan... czy ja?

- Ile mamy czasu? - spytała Abigail, odpinając guziki płaszcza.

- Możemy jechać aż do Nowego Orleanu, nie wychodząc ani razu, by zaczerpnąć świeżego powietrza - wyjaśnił z tym szelmowskim uśmiechem, który stanowił dla Abbie taką pokusę.

Zdejmując palto, popatrzyła na miedzianą wannę, butelkę szampana, stół nakryty na dwie osoby, ustawiony przy oknie, za którym migał mijany świat. I na mężczyznę... odpinającego mankiety.

- A gdyby tak wszystko naraz? - zaproponowała Abigail McKenzie.

Podniósł brwi, jego ręce znieruchomiały na moment, zanim zaczął rozpinać guziki koszuli na piersi.

- Niech mnie diabli... - wymamrotał zachwycony Jesse DuFrayne, zbliżając do twarzy Abbie tak złowieszczo uwodzicielskie wąsy.